

*Książkę tę dedykuje  
z wyrazami miłości  
mojemu mężowi Dougowi  
i naszym trzem synom:  
Peterowi, Christoplierowi i Jackowi.*

*Dedykuję ją również  
Caroline Trolley  
i jej nowo narodzonemu synkowi,  
Johnowi Andrew Malabre juniorowi.  
A także: Lauren McKennie -  
za jej cierpliwość  
i Steve'owi Axelrodowi  
oraz Damaris Rowland - za ich wiarę.*

### **Rozdział pierwszy**

Wchodząc do pogrążonej w mroku stajni, Joe Welch pojął, iż właśnie odkrył źródło drażniącego przekonania, że coś jest nie w porządku.

W środku ktoś był. Ktoś, kto nie powinien tam się znajdować. Konie były poruszone, niespokojne i kręciły się w swoich boksach, zamiast stać cicho, jak zwykle o tak późnej porze. Któryś - Joe pomyślał, że to chyba Sulejman - zarżał do niego cichutko. W powietrzu wyczuwało się nieokreślone napięcie, świadczące o czyjejs niedostrzegalnej obecności. Wyczuwał ją, była tak namacalna jak zapach dymu, wciąż snujący się na zewnątrz, pozostały po spalonych po południu gałęziach.

Joe, stojąc w prostokącie księżycowego blasku, który wlewał się przez szerokie wrota, teraz częściowo odsunięte na bok, zmrużonymi oczyma wpatrywał się w długi szereg boksów, szukając intruza pośród cieni. Jednocześnie przesuwał palcami po wygładzonych piaskiem deskach w poszukiwaniu przełącznika światła. Znalazł go, przycisnął - i nic. No jasne. Brak prądu nie wydawał się taki znów dziwny. Wcześniej wiał silny wiatr, a w tej części hrabstwa czasami to już wystarczało, by zerwać linię elektryczną. A może wyskoczył bezpiecznik? To też się czasami zdarzało, kiedy ktoś włączył za dużo świateł. Dzisiejszego wieczoru w Dużym Domu paliło się wiele lamp: Joe widział je, kiedy przechodził przez pola. A więc to prawdopodobnie bezpiecznik.

Cholera.

Nadal przeszukiwał wzrokiem ciemność, uniesiona dłoń opadła mu powoli wzdłuż ciała. Po chwili znalazł to, czego szukał: ciemniejszy, gęstszy, człekokształtny cień, zapewne usadowiony na miękkich, zagrabionych trocinach leżących na ziemi. Ów kształt opierał się plecami o ścianę po lewej stronie. Nogi wyciągnął prosto przed siebie, wyglądały jak ciężkie, czarne kłody na tle jasnego pyłu w kolorze umbry. W panującym mroku Joe mógł w ogóle przeoczyć siedzącego, gdyby nie to, że tylko ten jedyny cień pozostawał w bezruchu pośród wszystkich innych, przesuających się i tańczących tuż poza zasięgiem księżycowego blasku.

Zaniepokojony Sulejman - Joe był już teraz pewien, że to ten wielki deresz - ponownie zarżał.

- Hej, kto tam? Proszę się pokazać! - Głos Joego zabrzmiał rozkazująco, ale nie niegrzecznie, na wszelki wypadek, gdyby to jego pracodawca lub któryś z gości postanowił odpocząć, siedząc tutaj na ziemi.

Nie było żadnej odpowiedzi. Żadnego poruszenia. Nic.

Joe wziął głęboki wdech, opanował się, czując narastające napięcie w mięśniach. Miliarderzy i ich kumple zazwyczaj nie siedzą w stodole pośród trocin, pomyślał, więc to przypuszczenie można spokojnie wykluczyć. Pozostawało zatem - właśnie, co? Niektóre z koni zostały kupione zaledwie parę miesięcy wcześniej, na lipcowym targu w Keeneland, a każdy z nich kosztował około miliona dolarów; pozostałe również były cenne, bardziej lub mniej, więc obcy przybysz w tym miejscu oznaczał tysiące różnych wypadków - a zaden z nich nie był pożądanym.

Nagle, gdy Joe już się szykował, by porządnie wystraszyć albo nawet potraktować jeszcze gorzej intruza, który wtargnął do stajni, pośród zwykłych zapachów siana, słodkiego zboża, końskich odchodów i samych zwierząt rozpoznał wyraźny kwaśny odór bimbru. Zapach ów wciskał się do nozdrzy i sływał do gardła, pozostawiając na języku wyraźny smak, który Joe przez lata dobrze poznał i zienawidził.

Napięcie zniknęło, na jego miejscu pojawiły się gniew i irytacja.

- Tato?

Ten zapach jednoznacznie zdradzał intruza. Któż inny mógłby tu siedzieć w nocy, jeśli nie jego ojciec, pijany jak bela, pijany tak, jak wiecznie się zarzekał, że już nigdy więcej nie będzie. Upojony alkoholem Cary Welch czasami odwiedzał stajnię Whistledown: wyobrażał sobie, że jest wielkim trenerem i hodowcą rasowych koni, jak dawniej,

a nie zapitym eks-hodowcą o zaszarganej opinii, którego żaden właściciel nie dopuści do swoich zwierząt nawet na odległość splunięcia.

Także i Charles Haywood, pracodawca Joego i właściciel stadniny Whistledown, do którego należały ta stajnia i konie.

Joe nie usłyszał odpowiedzi, tylko Sulejman po raz kolejny zarżał niespokojnie, uderzając kopytami o ziemię. Ciemny kształt w kącie nadal się nie poruszał. Ale tego zapachu nie można było z niczym pomylić.

- Do diabła, tato, nie masz tu nic do roboty, skoro piłeś, i wiesz o tym, do cholery! Powiniennem wykopać cię stąd na księżyc i z powrotem!

Cień ani drgnął, nie zareagował też w żaden inny sposób. Czyżby ojciec był nieprzytomny?

Głośno klnąc, Joe ruszył ku nieruchomej postaci. Wszystkie konie po obu stronach przysuwały się do drzwiczek boksów, parskając i rżąc do niego.

- Myślisz, że cię nie widzę? Widzę cię jak na dłoni, ty stary pijaku. - Wysokie buty Joego zaskakująco głośno uderzały o ziemię, kiedy szedł przez stajnię. Cień - jego ojciec - trwał nieruchomo, jak zając na pustym polu, gdy wokół węszy pies. - Mówię ci jeszcze raz, nie chcę tu kłopotów.

Właśnie minęła pierwsza w nocy, zaczynał się chłodny czwartek, był początek października. Joe poszedł spać o jedenastej, jak zwykle, i nawet zdążył już zasnąć. Zazwyczaj zasypiał jak kamień, gdy tylko przyłożył głowę do poduszki. Ale obudził się z dreszczem osiem minut po wpół do pierwszej, jak głośno lśniące zielone cyferki budzika. Teraz już nigdy nie budził się w środku nocy - długi dzień wypełniony ciężką, fizyczną pracą raz na zawsze leczy z bezsenności - dzisiaj mu się to jednak przydarzyło. Jeszcze półprzytomny, z nieokreślonym uczuciem niepokoju pomyślał o tym, co najbardziej oczywiste - że coś jest nie tak z dziećmi. Wstał, wciągnął dzinsy i flanelową koszulę, którą zostawił na oparciu krzesła w kącie małej sypialni, po czym człapiąc bosymi stopami, wyszedł na zimny korytarz na pierwszym piętrze starego domu, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Najpierw zajrzał do pokoju Jen, po drugiej stronie korytarza. Wsunął głowę przez drzwi, nie włączając światła, i dostrzegł swą jedenastoletnią córeczkę, śpiącą twardo na boku, twarzą do wejścia. Leżała z kolanami podciągniętymi niemal pod drobną klatkę piersiową, przykryta ulubioną czerwono-niebieską kołdrą z aplikacją przedstawiającą konia. Krótkie brązowe włosy rozsypały się na poduszce. Jedną małą dłoń podsunęła sobie pod opalony policzek. Ruffles, gruba, nierasowa suczka, nieodłączna towarzysząca Jen, wyciągnęła się na plecach w nogach łóżka: wszystkie cztery łapy miała w górze, długie czarne uszy opadały po obu stronach pyska. W przeciwieństwie do dziecka chrapała głośno. Widząc pana, przebudziła się na chwilę, by otworzyć jedno brązowe oko i mrugnąć do niego.

Joe zamknął na powrót drzwi. Tutaj nie było żadnych problemów. Lecz przecież tu ich się nie spodziewał, raczej nie. Jen nigdy w życiu nie sprawiła mu kłopotu, o ile pamiętał. Jeśli od czasu do czasu nasunęła mu się refleksja, że mała jest w końcu córką swej matki, odsuwał od siebie tę myśl. Przecież on sam ją wychował, nie Laura. Laura odeszła już dawno temu.

Josh i Eli to inna sprawa. Ich wspólny pokój znajdował się kilka kroków dalej, tuż za łazienką. Bardziej prawdopodobne wydawało się, że to jeden z synów wzburzył owo dziwne przeczucie ojca. Chłopcy wprawdzie nie byli źli - ale to żywi chłopcy, zawsze gotowi do wszelkich psikusów. Joe otworzył drzwi i zajrzał do pokoju. Zobaczył szesnastoletniego Eliego, w dzinsach i podkoszulku, śpiącego smacznie na plecach, z rozrzuconymi rękami i nogami na skotłowanej pościeli. Stopy chłopca, w niegdyś białych, a teraz spranych, szarych sportowych skarpetach, wystawały dobre dziesięć centymetrów poza materac, jedna ręka zwisała z łóżka, na uszach miał nadal słuchawki. Eli niemal doganiał wzrostem ojca, jego wydłużona, chuda sylwetka nie zaczęła się jeszcze wypełniać. Chrapał z lekko otwartymi ustami, trzymając na piersi otwarty podręcznik - zapewne do algebry. Wcześniej chłopiec wspominał, że ma jutro jakiś większy sprawdzian. Pod przeciwległą ścianą stało równie skotłowane, bliźniacze łóżko czternastoletniego Josha - puste.

Aha, pomyślał Joe, gratulując sobie dobrze działającego rodzicielskiego radaru. Lata bycia jednocześnie ojcem i matką dla tej trójki uczyniły go niezwykle wyczulonym na wszystko, co się działo z dziećmi. Jeśli Josh, zamiast być w łóżku, spaceruje gdzieś o tej porze, wiedząc, że jego staruszek zazwyczaj śpi jak kamień, to czeka go nie lada niespodzianka.

Lampka na zniszczonej, dębowej szafce nocnej była włączona. Aparatura stereo stojąca obok lampki musiała być podkręcona do maksimum, bo pomimo słuchawek Joe słyszał ryk wysokich tonów gitary i rytmiczne dudnienie basów.

Jak już niezliczoną ilość razy mówił synowi, zapewne lepiej by mu szło w szkole, gdyby choć raz spróbował uczyć się bez wycia, od którego pękają bębenki w uszach. Eli oczywiście tłumaczył, że muzyka pomaga mu się skoncentrować. Nie potrafił jednak dowieść tego swoimi ocenami.

Wykrzywiając z przekąsem usta, Joe wszedł do pokoju i zdjął książkę z piersi syna. Zamknął ją, odłożył na nocną szafkę, po czym wyłączył stereo. Obok umieścił słuchawki, a Eli nawet nie drgnął, jak zwykle. Joe zgasił światło i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

A gdzie Josh?

Ledwo zaczął schodzić po wąskich schodach, prowadzących na parter, dobiegł go dźwięk telewizora. Łagodny,

lekką błękitny blask podświetlał łukowate przejście do salonu, nadając dobrze już wytartym podłogowym deskom na dole dziwny odcień brązowej purpury. Joe zmarszczył brwi, stanął na purpurowej plamie i spojrzał w lewo, do środka pokoju. Telewizor był włączony, ale miał ściszony głos. Akurat na tym kanale nadawano film, chyba był to któryś z „Terminatorów”. Josh, wciąż w powyciąganym, szarym swetrze i wyblakłych džinsach, które nosił do szkoły, leżał na plecach na kanapie, śledząc obrazy na ekranie. Czarną głowę, jak na poduszce, opierał na miękkim, wytartym, krytym brązowym tweedem oparciu.

- Hej, kolego, czemu nie jesteś w łóżku? - zapytał zrzędlawie Joe, wchodząc do pokoju; jednocześnie poczuł ulgę, że jego sprawiająca największe kłopoty latorośl nie wypuściła się gdzieś dalej.

Josh wykręcił głowę, by spojrzeć na ojca.

- Eli musi mieć włączone światło do nauki. - Głos chłopca był pełen goryczy, jak głosy wszystkich krzywdzonych młodszych braci na całym świecie.

- Akurat. - Joe podszedł do telewizora, wyłączył go i spojrzał na syna. - Eli śpi. Idź do łóżka. Jutro musisz wstać do szkoły.

- Tato! To był Arnold! - zaprotestował Josh, siadając gwałtownie. Był szczupły jak źdźbło trawy, miał jakieś sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i przed sobą jeszcze sporo wyrastania. Z rozdrażnieniem przebiegł palcami po krótkich, przystrzyżonych surowo, po wojskowemu, włosach. Ta fryzura, myślał Joe, to jeden ze sposobów, by odróżnić się od Eliego, tak jak to tylko możliwe, co było trudne, gdyż bracia stali się bardzo do siebie podobni. Josh często drażnił się z Elim, z kpina mówiąc o fryzurze starszego brata „długie, piękne loki”. Eli był próżny, gdy chodziło o jego lekko kręcone, czarne włosy sięgające karku i takie żarty bardzo go irytowały.

- Trudno. Już prawie pierwsza. Do łóżka!

- Proszę cię, nie mogę obejrzeć do końca? - Niebieskie oczy chłopca patrzyły prosząco na ojca, w jego głosie zabrzmiał przymilny ton.

- Nie. Marsz spać, natychmiast - polecił Joe, niewzruszony.

- Proszę?

- Słyszałeś, co powiedziałem.

Joe pomyślał, że spośród jego trojga dzieci to właśnie Josh zawsze będzie próbował zbadać granice ojcowskiej cierpliwości. Czasem, gdy musiał powtarzać coś synowi pięćdziesiąt razy, nim ten w końcu usłuchał, czuł, że jeszcze trochę, a poprze swe polecenie szybkim szturchańcem, ale w głębi duszy rozumiał, że młodszy syn pragnie na każdym kroku zaznaczyć swą indywidualność. Tak samo rozumiał jego potrzebę, by odróżnić się od starszego, a w oczach Josha również bardziej udanego, brata.

- Gdybyś kazał Eliemu zgasić światło o przyzwoitej porze, już bym teraz spał. Ale nie, jemu nigdy nic nie każesz - odparł teraz ponurym głosem.

- Joshua, idź do łóżka. - Krzyżując ręce na piersi, Joe policzył w myślach do dziesięciu.

Josh zerknął na ojca, który odpowiedział mu stanowczym spojrzeniem. Chłopak parsknął z odrazą, wstał i szurając nogami, wyszedł z pokoju, a przydługie nogawki workowatych džinsów zamiatały podłogę.

Joe obserwował, jak syn wchodzi na górę, po czym potrząsnął głową i powoli obrócił się wkoło pośrodku ciemnego salonu.

Jak widać, z dziećmi wszystko w porządku. Czy więc usłyszał coś, może szum telewizora albo jakiś dźwięk, który wydawał się tak niezwykle, że go obudził?

Być może. Zapewne właśnie tak. Ale skoro już wstał, nie zaszkodzi zajrzeć do koni. Zwracał na nie uwagę niemal tak samo jak na dzieci.

Konie były jego źródłem utrzymania, a także pasją. Joe hodował je, trenował i dbał o nie: o swoje własne, stojące w starej, pomalowanej na czarno szopie na tyłach domu, troszczył się z miłości i wdzięczności za wszystko, co udało mu się osiągnąć w tym biznesie; natomiast o wierzchowce Charlesa Haywooda, zajmujące niepokalanie czystą, białą stajnię z dachem o dwóch szczytach, zbudowaną na wzgórzu, dbał w zamian za regularną pensję.

Jednym uchem nasłuchując, jak Josh szykował się do snu - zaszumiała spłuczka w toalecie, pociekła woda w umywalce, zatrzeszczała podłoga, drzwi otworzyły się i zamknęły - Joe przeszedł z salonu na korytarz i dalej do kuchni na tyłach domu. Usiadłszy na jednym z solidnych, białych kuchennych krzeseł, wcisnął bosa stopy w wysokie, sznurowane, brązowe buty robocze, które wcześniej postawił tuż za kuchennymi drzwiami, zawiązał je, po czym wstał. Porwał z wieszaka nylonową, niebieską kurtkę z napisem „Uniwersytet Kentucky”, wyszedł z domu, zamknął za sobą drzwi na klucz i ruszył przez trzeszczącą, oszronioną trawę ku swojej stajni.

Noc była piękna i jasna, chłodniejsza niż zwykle w październiku, który w Kentucky bywał z zasady łagodny. Dziesiątki gwiazd migotały na granatowym czystym nieboskłonie. Księżycowi do pełni brakowało już tylko kawałeczka; okrągły i biały, świecił jasno jak reflektory samochodowe, zalewając blaskiem łagodnie pagórkowaty krajobraz i rozrzucone po nim domy, stodoły, ogrodzenia z desek i szerokie szosy.

Trzyście hektarów ziemi Joego rozciągało się wzdłuż dwustu czterdziestu pięciu hektarów Whistledown, ale ponieważ jego teren należał niegdyś do posiadłości - a dokładniej, ziemia stanowiła własność zarządcy - obie stajnie znajdowały się na tyle blisko siebie, że można było z łatwością przejść od jednej do drugiej. Stajnia Joego znajdowała się na niewielkim wzniesieniu za domem; stajnia Whistledown zaś na większym pagórku, oddzielona

pomalowanym na czarno, pojedynczym płotem; dzieliło je nie więcej niż sześć akrów ziemi.

Zbliżywszy się do zabudowań, Joe dojrzał czarne wody trójkątnego jeziora, lśniące w blasku księżyca, odbijające nocne niebo jak zwierciadło. Nieco dalej z tyłu stał cichy i opustoszały kryty tor wyścigowy do trenowania koni: był to zadaszony owal o obwodzie prawie kilometra, tak więc Joe mógł pracować ze zwierzętami nawet podczas niesprzyjającej pogody. Tor wyglądał dokładnie jak długi, zakrzywiony, czarny tunel kolejowy. Dalej, w lasku ograniczającym posiadłość od tyłu, pohukiwała sowa, a z jeszcze większej odległości dobiegało wycie kojota. Tuż na skraju zagajnika, ledwo widoczna jak ciemny, jednolity blok na tle rozmaitych plam węglowego szkicu lasu, stała niewielka chata ojca Joego. Światła były pogaszone - nic dziwnego. Jego owdowiały ojciec był także miłośnikiem koni, co oznaczało, że kładł się wcześniej i wstawał o świtanie.

To znaczy, kiedy nie pił.

Joe wszedł do stajni i przycisnął włącznik oświetlenia - był to system równo rozmieszczonych pod sufitem, połączonych ze sobą tanich jarzeniówek - i rozejrzał się wokół. Srebrzysty Cud przysunęła się do przodu boksu, mrugając oczami i parsknęła w cichym zapytaniu. Drago i Leśna Kraina były następne, wystawiły głowy przez otwarte górne części holenderskich drzwiczek i spoglądały na przybyłego z ciekawością. Dalej, wzdłuż przejścia, coraz więcej koni, niektóre należące do Joego, a inne tylko wstawione tu przez właścicieli, wysuwało głowy na zewnątrz. Znały rozkład dnia równie dobrze jak on i najwyraźniej dziwiły się, co sprowadza do nich człowieka w środku nocy.

- Wszystko w porządku, małeńka?

Joe podszedł do Srebrzystego Cudu i pogładził jej piękny, kształtny łeb. Rasowa dziesięciolatka trąciła go pyskiem, dopraszając się poczęstunku, więc pogrzebał w kieszeniach, by znaleźć miętówki. Srebrzysty Cud uwielbiała miętówki.

Odwinął cukierek i podał go na otwartej dłoni siwej, drobnej klaczy. Wzięła poczęstunek aksamitnymi wargami i schrupała ze smakiem. Zapach mięty wypełnił powietrze, gdy Joe szybko obchodził wszystkie boksy. Stajnia, zbudowana na planie prostokąta, mieściła około czterdziestu koni w dwóch równoległych rzędach po obu stronach, od przodu miała pomieszczenie biurowe, a na drugim końcu trochę wolnej przestrzeni. Tworzyło to w efekcie coś w rodzaju krótkiego toru, biegnącego wokół boksov i pomieszczeń na sprzęt, tak więc konie można było uspokoić i przeprowadzać wewnątrz, gdyby to było konieczne.

Zachowanie zwierząt wskazywało, że tu wszystko w porządku.

- No dobrze, śpijcie dalej. - Wróciwszy do punktu, z którego zaczął obchód, Joe poklepał czule klacz po szyi, oparł się jej przymówkom o kolejnego cukierka i opuścił stajnię.

Pewnie jedyną niezwykłą rzeczą tej rozgwieżdżonej nocy był fakt, że Josh nie leżał w łóżku. Przecież to Simpsonville w Kentucky, miejscowość licząca sobie dziewięćset siedmiu mieszkańców, samo serce końskiego hrabstwa Shelby. Rajskiej Krainy, jak je nazywali tutejsi ludzie, z powodu pięknego krajobrazu i niezwykle spokojnego życia. Przystępność była tu tak znikoma, że praktycznie nie istniała.

A jednak Joe obudził się z myślą, że coś jest nie tak. I, jak sobie uświadomił, nadal miał to uczucie.

Sprawdzi jeszcze konie w Whistledown i podejdzie do chaty ojca, zanim wróci do łóżka.

Bardzo łatwo było pokonać ogrodzenie - Joe robił to mniej więcej dziesięć razy dziennie. Najpierw wspierał but na najniższej desce, potem przerzucał drugą nogę górą i gotowe. Wspiął się na wzgórze przy akompaniamencie własnych trzeszczących kroków i bardziej odległych szmerów jakichś nocnych stworzeń, zajmujących się własnymi sprawami. Na horyzoncie, na tle ściany wysokich dębów, jaśniała sylwetka Whistledown, białego domostwa Haywoodów, wzniesionego jeszcze przed wojną secesyjną. Budynek lśnił delikatnie w żółtym blasku zewnętrznych lamp oświetlających teren. Teraz, gdy znajdował się tu pan Haywood z grupką przyjaciół przybyłych na wyścigi w Keeneland, zazwyczaj opustoszały dom jarzył się jak bożonarodzeniowe drzewko. Rozproszone światło przelewało się przez story w dwunastu oknach. Na podjeździe, niemal cały rok pustym, parkowały cztery samochody.

Joe się zamyślił: to wspaniale, być tak bogatym, że miejsca takiego jak Whistledown używa się tylko przez sześć tygodni w roku, głównie w czasie wiosennych i jesiennych gonitw w Keeneland. Dla Charlesa Haywooda konie były wyłącznie kosztownym hobby, farma Whistledown zaś to tylko jedna z kilkunastu należących doń posiadłości. Oczywiście, Joe był przekonany, że ten facet również ma problemy, bo każdy z nas ma jakieś problemy, ale z taką kasą - czyż mogą one być poważne?

On sam chętnie by się przekonał, jakie problemy niesie ze sobą taka fortuna, zamiast bez przerwy zamartwiać się, skąd weźmie pieniądze na niezbędne wydatki. Najważniejsze w jego życiu istoty - dzieci i konie - wymagały olbrzymich nakładów finansowych, nie dając w zamian gwarancji, że inwestycja się zwróci.

W przeciwieństwie do jego niewątpliwie starej stajni piętrowe zabudowania Whistledown lśniły świeżą, białą farbą. Zwieńczenia dachu ozdabiały dwie szkarłatne kopułki, będące znakiem rozpoznawczym farmy. Joe dotarł do wejścia, odsunął zasuwę, przesunął odrzwia na bok i wszedł do środka.

Parę chwil później ruszył, tupiąc ze złości, a zapach whisky wskazywał mu kierunek, niczym latarnia morska; Joe szedł przez stajnię i przeklinał, czując się zdecydowany, gotowy i na siłach, by zrobić z tym wreszcie porządek.

Jego cierpliwość się wyczerpała. Sześć tygodni temu ojciec przysiągł nigdy więcej nie tknąć ani kropli gorzałki,

póki żyje, po tym, jak Joe wyciągnął go z meczu koszykówki w szkole średniej hrabstwa Shelby, kiedy to Cary poważnie skompromitował Eliego, który grał jako napastnik, i pozostałe wnuki, śpiewając w czasie przerwy hymn szkolny na środku boiska.

Jasne, myślał Joe. Słyszał już tę śpiewkę, i to więcej razy, niżby mu się chciało liczyć. Wszyscy ją już znali. Ale to była ostatnia kropla. Ojciec wiedział - dobrze wiedział - że nie wolno mu się zbliżyć do koni, jeśli pił. Zwłaszcza do koni w Whistledown. A już szczególnie wtedy, gdy Charles Haywood przebywał w domu.

W ciemnościach trudno było coś dostrzec, ale wyglądało na to, że nieruchoma postać nie zdaje sobie sprawy z obecności Joego, nawet gdy ten podszedł blisko i wpatrywał się natarczywie w siedzącego. Na sekundę opanowało go zwątpienie: może to jednak nie ojciec? Na oko facet był zbyt wysoki i za dobrze zbudowany, ale z drugiej strony może to ciemność płatała figle. Nagle pozostała mu tylko jedna rzecz, której mógł być pewien - raczej pewien - a mianowicie, że ktokolwiek to był, był mężczyzną. Buty, spodnie, sama postura intruza - wszystko wskazywało na mężczyznę. Siedział na ziemi z wyrzuconymi sztywno w przód nogami i głową lekko przechyloną; ramiona zwisały luźno wzdłuż ciała, ręce spoczywały na ziemi dłońmi do góry. Joe pomyślał, że facet ma chyba zamknięte oczy. Było zbyt ciemno, by to dostrzec na pewno, ale pomyślał, że przecież dostrzegłby jakiś błysk, gdyby tamten na niego patrzył.

- Tato? - zapytał, choć już niemal na pewno wiedział, że to nie ojciec. Poczł ślad innego zapachu, obcego w stajni. Był bardziej ostry i przenikliwy, jednak tak samo dobrze znany, jak zapach wódki. Głos Joego zabrzmiał bardziej stanowczo i ostrzej: - No dobra, wstawaj!

Nieznajomy ani drgnął.

Rdzawobrzęde trociny w mroku były prawie czarne. Ale wokół prawego boku mężczyzny Joe dostrzegł okrągłą plamę, która zdawała się powiększać w oczach, rozlewała się w ciemniejszą, gęściejszą czerń, połyskujący oleście mrok...

Zmrużył oczy, usiłując przebić wzrokiem ciemność. Przysunął się bliżej, przykucnął, położył niepewnie rękę na ramieniu intruza. Było silne i sprężyste - lecz ów ktoś pozostał nieczuły na wezwanie.

- Hej - powiedział Joe, chwytając siedzącego mocniej za ramię i potrząsając nim. - Hej, ty! - dodał po chwili, głośnie.

Głowa mężczyzny przetoczyła się w przód, a jego korpus przechylił się w bok, jakby pozbawiony kośćca; skórzana kurtka, trąc o drewno, wydała zgrzytliwy dźwięk. W końcu tamten zatrzymał się, jak gdyby przełamany na pół w pasie, wiotki niczym szmaciana lalka, opierając głowę o ziemię na skraju oleistego kręgu.

Ta postawa zdecydowanie nie jest naturalna, pomyślał Joe. Facet musi być załany w trupa - albo martwy.

O Jezu. Martwy!

Już wszędzie dookoła konie tupały i parskały bez przerwy nerwowym chórem. Joe czuł niepokój zwierząt; świadomość, że coś jest nie tak w ich świecie. W chwili gdy to rozumiał, zjeżyły mu się włosy na karku: miał to samo wrażenie, co w chwili gdy wszedł do stajni. Najlepiej oddawały je słowa „ciąża czyjejś obecności”. Szybko rzucił okiem przez ramię, ale ujrzał jedynie cienie, blask księżycy i poruszające się końskie łby - i wtedy przyszło mu do głowy, jak bardzo stajnia stoi na uboczu.

Był taki film, który Eli ogromnie lubił. Joe nie mógł tak od razu przypomnieć sobie tytułu, ale tekst z zapowiedzi zaczynał się jakoś tak: „W próżni nikt nie usłyszy twego krzyku”.

To zdanie mniej więcej podsumowywało jego uczucia, kiedy tak zamarł w ciemności obok nieruchomej, przekrzywionej postaci. Poczł spojrzanie niewidzialnych oczu jak lodowate palce na skórze i znów się obejrzał. Nie widział nic prócz koni, cieni i księżycowego blasku. Ale miał absolutne, mocne przekonanie, iż nie jest sam.

- Kto tu jest? - zawołał ostro.

Nie było odpowiedzi. Czy naprawdę spodziewał się, że ją usłyszy? Zacisnął usta i na powrót skupił uwagę na leżącym mężczyźnie. Dotknął zbrązowiałych trocin i odkrył, że, tak jak podejrzewał, to, co zabarwiło je na ciemno, było lepkie, mokre - i ciepłe.

Krew. Podniósłszy palce do nosa, nie mógł nie rozpoznać jej ostrego zapachu, przypominającego woń gnijącego mięsa.

- Jezu Chryste - powiedział Joe na głos, wycierając palce w trociny. Sięgnął do szyi mężczyzny, by wyczuć tętnicę i puls. Nic, choć ciało było ciepłe. Szukając tętna, pochylił się nad nieruchomą postacią, usiłując przyjrzeć się rysom twarzy.

Przez ten czas jego oczy przystosowały się do mroku najlepiej, jak to było możliwe. Nadal nie dostrzegał wszystkiego - umykały mu drobne szczegóły i barwy, coś jednak widział. Na przykład to, że facet na pewno miał zamknięte oczy, a usta otwarte, i że na wargi wystąpiła mu czarna piana, która nie mogła być niczym innym jak wypływającą w bąblach krwią.

Charles Haywood. Roztrzęsiony Joe nabrał głęboko powietrza, rozpoznając swego pracodawcę. W lewej skroni mężczyzny czerniała dziura wielkości dziesięciocentówki, wokół prawego boku powiększał się krąg przesiąkniętych krwią trocin - a nie dalej niż piętnaście centymetrów od lewej dłoni leżał pistolet.

Joe uświadomił sobie, że zapach, który go uderzył razem z odorem alkoholu, był przenikliwą wonią świeżo użytej broni. Haywood zginął od kuli.

## Rozdział drugi

Drapieżca spoglądał wygłodniałym wzrokiem spośród cieni. Nadal czuł zapach krwi, czuł jej ciepło na palcach, miał jej słony smak na języku i wyobrażał sobie głęboki, soczysty odcień czerwonego bordo - barwę tej życiowej siły, która uchodzi właśnie z ciała jego ofiary. Lecz ta śmierć pozostawiła w nim pustkę, zamiast dać satysfakcję, jakby wchłaniał zapachy szykowanego posiłku, a nie mógł go spożyć. Tego czynu nie planował: był spowodowany raczej koniecznością niż chęcią zaznania przyjemności.

Lecz obudził w nim żądzę przyjemności.

Obserwował i oceniał mężczyznę pochylonego obok ciała. Było ciemno, znajdowali się tu sami - ale nie. Nawyk ostrożności zadziałał w porę. Drapieżca robił to już od lat, napadał na tych, którzy się go nie spodziewali; nocą, szybko i cicho porywał ich i zabierał tam, gdzie nikt nie usłyszał krzyku ofiar, gdzie mógł bawić się, rozkoszować i cieszyć ich bólem i przerażeniem do woli. Ten mężczyzna był przystojny, miał harmonijne rysy twarzy i gładką cerę, lecz czegoś mu brakowało: jego śmierć przyniosłaby tylko odrobinę więcej zadowolenia niż śmierć tamtego - o ile ten człowiek w ogóle by mu uległ.

Pragnął młodości i piękna.

Drapieżca wyslizgnął się prędko i cicho ze stajni. Nisko pochylony, wtulony w czarny cień ogrodzenia, obiegnął pole dookoła aż do miejsca, gdzie pozostawił swój samochód, kryjąc go przed ludzkim wzrokiem. Zanim wsunął się na przednie siedzenie wozu, zdążył się zasapać i spocić, jako że był postawnym mężczyzną i nieco stracił formę, a poza tym nie ugasił jeszcze pragnienia emocji, rozbudzonego tylko przez to absolutnie niezadowolające zabójstwo.

Chce więcej. Potrzebuje więcej. Musi dostać więcej. Głód był tak natarczywy jak narkotykowy. Nie mógł już czekać dłużej.

Wychodząc dziś, nie przygotował się na łowy, ale to nic nie szkodzi, myślał, uruchamiając specjalnie przerobionego chevroleta blazer i wyjeżdżając ze świstem opon na szosę krajową numer 60. Łatwo znaleźć ofiarę, jeśli się tylko wie, jak to zrobić - a on wiedział. Około siedmiu kilometrów dalej szosa łączyła się z autostradą międzystanową, a przy niej, tak blisko jego domu, że to niemal musiało być przeznaczenie, znajdował się parking. Czasem myślał o sobie jak o pająku, wielkim i włochatym, przyczajonym w poszukiwaniu ofiary. Ten parking należał do jego pajęczej sieci. W potrzebie zawsze mógł liczyć, że tutaj znajdzie apetyczny kąsek.

Jadąc, uchylił lekko okno i wciągał w płuca zimne powietrze przesycone zapachami mijanych farm i zwierząt. Teraz, gdy polowanie już się rozpoczęło, czuł bardziej niż kiedykolwiek, że żyje. Zmysły miał wyostrzone; znajome uczucie euforii wywołało na jego usta uśmiech i kazało włączyć radio, ustawione na ulubioną stację, nadającą złote przeboje. Akurat grali „Satisfaction” Stonesów. Nie umknął jego uwagi fakt, że piosenka była bardzo odpowiednia; uśmiechnął się jeszcze szerzej.

Już niedługo doczeka się satysfakcji!

O tej porze bez trudu jechało się szeroką, wiejską szosą; reflektory wozu omiały pofałdowane pola i czarne ogrodzenia z desek, by od czasu do czasu oświetlić jakiegoś konia czy krowę, stojące przy płocie koło drogi. Było już po północy i całe hrabstwo spało. Wiedział o tym dobrze, gdyż tutaj się urodził i wychował. Czasem bawiła go myśl, jak bezpieczni i nietykalni czuli się mieszkańcy tej krainy, pogrążeni we śnie we własnych łóżkach. Niemal całe swe życie spędził pośród nich, a mimo to nie mieli nawet pojęcia o jego istnieniu. Ich ukochane hrabstwo miało swe mroczne tajemnice, lecz nikt - no, może z wyjątkiem tych, których dopadał - nigdy ich nie odkryje.

Skreślił w prawo na autostradę i około pięciu kilometrów podążył na wschód, aż dotarł do parkingu. Zjeżdżając wolno z szosy i mijając ceglany budynek, mieszczący łazienki i automaty z napojami, przyglądał się samochodom zaparkowanym przed kompleksem. Były dwa: czarna toyota camry i niebieski minivan. Z tego ostatniego wysiadła właśnie rodzina składająca się z ojca, matki i dwójki zaspanych dzieci; wszyscy skierowali się do toalet po obu stronach słabo oświetlonego budynku. Ci go nie interesowali.

Po drugiej stronie parkingu zjechał z asfaltu i zagłębił się w otaczający kompleks las - ulubiony teren myśliwski miejscowych łowców jeleni. Tu zaparkował. Wysiadł z wozu, przeszedł do tyłu i z bagażnika wyjął składany mały skuterek. Później wróci na nim do własnego samochodu, ale na razie bezgłośnie toczył go przed sobą, wracając na parking. Najśmieszniejsze było to, że taki pojazd nigdy nie wzbudzał podejrzeń u niewielu osób, które go widziały. Wyglądał równie niewinnie jak dziecięca zabawka, a on sam, wielki mężczyzna na małym motorku, wydawał się komiczny i niegroźny.

Miał swoje ulubione miejsce w głębokim cieniu na samym skraju lasu: leżał tam pień drzewa, na którym mógł usiąść i obserwować ruch na parkingu, nie będąc jednocześnie przez nikogo zauważonym. Czasem musiał siedzieć bardzo długo, zanim dostał to, czego chciał, ale przecież nie miał nic przeciw oczekiwaniu. Czekanie to część łowów.

Czasami nie dostawał tego, czego pragnął, i musiał wracać do domu niezadowolony. Wtedy wyruszał na łowy następnej nocy i jeszcze następnej, przemierzając całą swoją rozciągniętą daleko sieć pajęczą tak długo, jak było trzeba, a z każdą chwilą narastało w nim przeczucie tego, co nastąpi.

Prędzej czy później i tak dostawał to, czego chciał.

Siedział więc w tę zimną, zbliżającą się ku końcowi październikową noc, cierpliwy niczym pająk ptasznik ukryty

na dnie swojej pułapki, i patrzył, jak księżyc wznosi się na niebie i odpływa na zachód, a cienie wysokich sosen podążają zgodnie z ruchem wskazówek zegara wzdłuż skraju parkingu; samochody osobowe, ciężarówki, minivany i sportowe jeepy zatrzymywały się i odjeżdżały, wypluwając z siebie pasażerów i przywołując ich z powrotem.

Gdy się pojawili, z początku ich nie rozpoznał. Było ich dwoje, chłopak i dziewczyna, oboje chyba już po szkole średniej; przyjechali nowym jasnobłękitnym volkswagenem, dziewczyna prowadziła. Pozwoliłby im nawet odjechać - w końcu parą dwa razy trudniej się zająć niż samotną zwierzyną, no i szansę na niepowodzenie są dwa razy większe, a on nie był głupcem, nie miał w planie dać się złapać - ale kiedy dziewczyna szła przez parking w rozproszonym blasku latarni, zobaczył, że jest piękna - i to dokładnie tą urodą, którą lubił. Miała proste, długie jasne włosy, połyskujące w świetle lampy, i zdawała się niewiarygodnie smukła i wiotka w brązowej skórzanej kurtce i dzinsach. Śmiała się przez ramię, odwracając głowę w tył i patrząc na chłopaka; równe, białe zęby lśniły, a jej śmiech rozbrzmiewał radośnie w zimną noc - „cha cha cha!”.

- No i co poradzę na to, że ciągle mi się chce siusiu? - zapytała, i znów wybuchnęła śmiechem.

Oj, był z niego pies na piękne, roześmiane blondynki. Nawet na te piękne roześmiane blondynki, którym ciągle chce się siusiu.

Chłopak coś odpowiedział, ale Drapieźca ledwo zwrócił na niego uwagę - tyle tylko, żeby ocenić potencjalny opór. To jeszcze dzieciak: chudy, może ze sto siedemdziesiąt pięć wzrostu. Nie spodziewa się problemów. Nie jest na nie przygotowany.

Bułka z masłem, powiedział sobie Drapieźca, a potem zostawił skuter, wstał i z wawo ruszył w stronę ceglanego budyneczku. Rozejrzał się i upewnił, że błękitny volkswagen stoi samotnie na parkingu, po czym podążył za chłopakiem do męskiej toalety. Najpierw rozprawi się z tym dzieciakiem: pozostawiona sama sobie dziewczyna nie będzie już sprawiać kłopotów.

Chłopak stał przy pisuarze, załatwiając swoją potrzebę. Słyszając dźwięk otwieranych drzwi, rzucił okiem przez ramię. Ich oczy przez chwilę się spotkały.

Drapieźca i ofiara, pomyślał z rozbawieniem, choć ofiara jeszcze o tym nie wie.

- Przyjemna noc - powiedział na głos, postępując krok do środka i kierując się do umywalki, jakby miał zamiar umyć ręce. Zobaczył swoje odbicie w lustrze w srebrzystej oprawie: zwyczajny, przyjacielsko uśmiechnięty facet. Nic w jego postaci nie sugerowało zagrożenia.

- Trochę chłodno - odrzekł chłopak, skończył i zapiął rozpięty. Drapieźca otworzył strumień rdzawej wody na cały regulator, by zagłuszyć ewentualne hałasy, z rozczarowaniem dostrzegł jednak, że chłopak zmierza do drzwi, nie kłopotząc się w ogóle myciem rąk.

Co za fatalny nawyk. Przecież wszędzie są zarazki.

- To na razie - pożegnał się chłopak i sięgnął do klamki.

Ale Drapieźca był już gotów, był już gotów w momencie, gdy wchodził do toalety. Mógłby po prostu skoczyć na tamtego i go obezwładnić, lecz w ten sposób będzie dużo zabawniej.

- Aaach, aaaaa, aaaach - zaczął chwytać powietrze w chwili, gdy dłoń chłopca obejmowała srebrną klamkę. Oparł się o umywalkę, jedną rękę przyciskając do serca. Drugą dłoń wsunął w kieszeń.

Obserwując ofiarę w lustrze, z zadowoleniem spostrzegł, że chłopak zareagował dokładnie tak, jak się tego należało spodziewać: odwrócił się i z wyrazem zatroskania na młodej, szczupłej twarzy spoglądał na mężczyznę w średnim wieku, rażącego atakiem serca.

- Proszę pana...

- Moje lekarstwo... - charczał Drapieźca, chwytając palcami za koszulę na piersi. - W kieszeni...

Chłopak puścił drzwi i zbliżył się, by mu pomóc. W momencie gdy dotknął Drapieźcy, ten uderzył. Prawą ręką złapał tamtego za nadgarstek, szarpnął go w stronę umywalki, lewą ręką wyjął z kieszeni paralizator i przycisnął go ofierze do boku, a wszystko to z szybkością błyskawicy, zacierającą kontury rąk. Skwierczenie, leciuteńka woń spalenizny - słodki, drażniący zapach - i słaby krzyk, zagłuszony szumem wody; chłopak był gotowy. Oczy uciekły mu w tył; padł bezwładnie w ramiona napastnika. Z doświadczenia drapieźca wiedział, że teraz chłopak pozostanie nieprzytomny co najmniej przez kwadrans. Zanim się ocknie, będzie już za późno.

Całe zdarzenie nie trwało chyba więcej niż półtorej minuty.

Drapieźca podtrzymał ciało chłopaka, gdy ten upadł na podłogę - rzuciłby go, nie chciał jednak ryzykować, że tamten się uderzy - po czym szybko ruszył do wyjścia i dalej na zewnątrz, prosto w żółtawą plamę światła tuż przed drzwiami. Gdyby dziewczyna już wyszła (choć na pewno jeszcze nie, dziewczęta nigdy nie są pierwsze, w ogóle za dużo czasu spędzają w łazienkach), zawołałby ją do męskiej toalety, na pomoc jej zemdlonemu nagle towarzysowi. Jeśliby nawet w tym czasie podjechał inny wóz, a zawsze istniała taka możliwość, dodatkowo zwiększająca podniecenie związane z polowaniem, mężczyzna po prostu oddaliłby się spokojnie. Chłopak nie pamiętałby wiele z tego, co mu się przytrafiło, a nikt inny nie widział napastnika. Lecz jeśli żadna z tych dwóch sytuacji nie nastąpi, Drapieźca zaskoczy dziewczynę w damskiej toalecie, obezwładni ją paralizatorem i wywiezie oboje ich błękitnym volkswagenem. Po umieszczeniu ofiar w bezpiecznym miejscu wróci skuterem po swój wóz i wszyscy troje rozplną się bez śladu w mroku nocy.

Nikt nigdy więcej nie zobaczy pary młodych ludzi z niebieskiego samochodu.

Nucąc pod nosem, obszedł budynek i z zadowoleniem zobaczył, że błękitne auto jest nadal jedynym pojazdem na parkingu. Wszystko szło zgodnie z planem, jakby tak właśnie miało być. I rzeczywiście, czasem zastanawiał się, czy taki właśnie miał być los jego ofiar. Inaczej mówiąc, czy to on był ich przeznaczeniem.

Jeśli tak, musieli naprawdę bardzo, ale to bardzo nabroić w poprzednim życiu.

W chwili gdy dotarł do chodnika prowadzącego do damskiej toalety, dziewczyna ukazała się na zewnątrz, odrzucając do tyłu długie, jasne włosy. Na jej widok serce Drapieżcy zaczęło bić szybciej. Jakże była piękna, prawdziwie piękna; warta dodatkowego wysiłku, poświęconego na chłopaka.

Ich oczy spotkały się nagle. Jej źrenice się rozszerzyły, pomyślał, że w instynktownym odruchu lęku, wywołanym spotkaniem obcego mężczyzny na pustkowiu, późno w nocy.

Dzisiejsze dziewczęta są takie ostrożne.

Uśmiechnął się do niej.

- Siusiu zrobione? - zagadnął łagodnie, nie zwalniając kroku. Był już prawie przy niej. Ceglany murek, osłaniający wchodzących do toalety przed wzrokiem innych, blokował jej drogę ucieczki.

- Eryk! - Przystanęła, wołając, jak się domyślał, swojego chudego towarzysza.

Potem zawirowała w miejscu, włosy rozwiały się za nią jak peleryna, i zaczęła ciągnąć szaleńczo za klamkę, jakby wierzyła, że umknie przed napastnikiem, kryjąc się na powrót we wnętrzu toalety.

- Głuptasie - powiedział niemal z czułością, chwycił ją za ramię i wbił jej pod żebra końcówkę paralizatora.

### Rozdział trzeci

Było zimno, dużo zimniej, niż się spodziewała. Kentucky zawsze kojarzyło jej się ze słońcem, końmi i hektarami soczystych, zielonych traw; ale przecież zawsze odwiedzała farmę Whistledown w lecie, a w ciągu ostatnich siedmiu lat nie przyjeżdżała tu ani razu.

Teraz sprowadziło ją nieszczęście.

Alexandra Haywood zadrżała, wysiadając z wielkiego, białego mercedesa, jednego z kilku wozów trzymany na farmie przez okrągły rok. Sięgająca bioder, grafitowa, wełniana kurtka, którą miała na sobie, przy szyi oraz mankietach wykończona była czarnym perskim barankiem i mocno ściągnięta paskiem. Zamek zasunięty pod samą szyję, czarny, kaszmirowy golf, obcisłe skórzane spodnie i czarne, sięgające kostek sznurowane buty na obcasie powinny sprawić, by było jej ciepło - niestety nie wystarczyły. Trzęsła się z zimna i zaciskała zęby, by powstrzymać je przed szczękaniem. Od pogrzebu straciła na wadze, może nawet pięć kilogramów i przy wzroście stu sześćdziesięciu siedmiu centymetrów była już raczej chuda niż szczupła. Także i jej uroda przygasła, przyćmiona jak lampa, gdy spada napięcie. Błada cera Alexandry stała się już niemal mlecznobiała, jaśniejsza nawet od platynowego koloru prostych włosów, sięgających aż na plecy, a teraz ściągniętych na karku w gładki węzeł. Wyraźnie zarysowane rysy twarzy jeszcze się wyostrzyły, prawie ściągnęły, a ciemny błękit oczu powtarzał się w głębokich cieniach poniżej. Usiłowała ukryć najgorsze zniszczenia poczynione przez żalobę, malując usta czerwoną kredką Chanel i maskując sińce pod oczami kryjącym pudrem, ale fakt pozostawał faktem: wyglądała jak duch siebie samej z przeszłości. I tak też się czuła.

Poranek wstawał szary, zasnute chmurami niebo zwiastowało lodowatą mżawkę w ciągu dnia. Wznosząca się przed oczyma Alexandry na błotnistym wzgórk koślawca szopa i okrągła budowla z tyłu, wyglądająca na kryty tor dla koni, straciły kolory i stały się ciemnografitowe, prawie czarne. Przymrożona trawa na łąkach, mały staw po prawej stronie i po lewej kępa drzew, wyciągających ku niebu bezlistne gałęzie, jak poskręcane reumatyzmem dłonie, a nawet wąski, asfaltowy podjazd, na którym teraz stała Alexandra - wszystko to jawiło się w różnych odcieniach szarości.

Pomyślała, że całe jej życie przybrało ciemnoszarą barwę, i ta myśl wywołała wielką falę żalu, buchającą jak krew z otwartej rany. Alex zacisnęła usta, zbierając się w sobie, tak jak zwykła to robić, póki napór bólu nie ustąpił. Jakiś ruch w częściowo otwartych drzwiach szopy przyciągnął jej uwagę, a wtedy poczuła, że przeszywający ją smutek zaczyna ustępować.

Kilkunastoletni chłopiec, z głową jakby oskalpowaną, ubrany w granatową bluzę z polaru, stał z rękami wciśniętymi głęboko do kieszeni workowatych dzinsów i przyglądał się jej; zapewne ściągnął go dźwięk nadjeżdżającego auta. Automatycznie, jak gdyby sterowana autopilotem, Alex zatrzasnęła i zamknęła drzwi samochodu. Trudno jej było pamiętać o tym, że znajduje się teraz w Simpsonville w Kentucky, a nie w Filadelfii, i że tutaj nie musi niczego zamykać na klucz. Tego typu fakty wciąż umykały jej pamięci: od czasu pogrzebu po prostu nie potrafiła się skoncentrować. Tymczasem chłopiec odwrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu szopy, wrzeszcząc „tato!” tak głośno, że Alex aż się skrzywiła.

Chociaż może to dobry znak. Może przynajmniej jej słuch wraca do normalnego stanu.

Od dnia pogrzebu większość dźwięków i kolorów odbierała jako przytłumione. Przypuszczała, że takie stopień zmysłów to naturalny środek znieczulający, który ma jej pomóc pokonać obezwładniający ból.

Ojciec nie żyje - popełnił samobójstwo. Tak przynajmniej mówili tamci: koroner, prawnicy, policja i cała rzesza urzędników wezwanych, by wydać opinię o przyczynie śmierci tak zamożnego i znanego człowieka. Czytała raport



z sekcji, widziała zdjęcia, pochylała się nad wszystkimi dokumentami, usiłując poznać wszystkie szczegóły ostatnich minut życia ojca i miała nadzieję, że zrozumie, a ta wiedza ukoi Jej żal. Nic z tego, co odkryła, nie przeczyło teorii o samobójstwie, Alex Jednak wciąż nie mogła uwierzyć w taką przyczynę jego śmierci.

Z drugiej strony trudno było uwierzyć w to wszystko, co się wydarzyło w przeciągu ostatnich pięciu tygodni. Zdawało jej się, że, jak Alicja, znalazła się po drugiej stronie lustra. Świat istniejący po drugiej stronie był całkowicie odmienny od życia, które do tej pory znała.

Chłopiec znów stanął w drzwiach i wpatrywał się w nią otwarcie zaciekawionym wzrokiem. Z tyłu pojawił się mężczyzna, wyższy od niego o głowę i jeszcze trochę; położył rękę na ramieniu chłopaka i zmrużył oczy, obserwując, jak Alex do nich podchodzi. Słońce świeciło wprost w jej plecy, założyła więc, że zmarszczone brwi i zmrużone oczy to wynik patrzenia pod światło i że ów grymas nie ma nic wspólnego z jej osobą. Wygląd mężczyzny pokrywał się z dość ogólnym opisem, jaki jej przekazano - postawny, wysoki facet, o czarnych włosach, zbliżający się do czterdziestki - odgadła więc, że musi to być Joe Welch, zarządca farmy. Zarządca jej farmy, teraz, gdy zabrakło ojca. Informatorką Alex była Inez Johnson, długoletnia gospodyni Whistledown, która entuzjastycznie nazwała też Joego Welcha „zabójczo seksownym”.

Jeśli istotnie taki był, to Alex nie mogła tego zauważyć. Żal po stracie ojca odebrał jej nie tylko zdolność cieszenia się jedzeniem i piciem, lecz także radość czerpaną z seksu, a nawet tę drobną przyjemność rozpoznawania i reagowania na atrakcyjnego mężczyznę. Owszem, dostrzegła, że jej administrator jest bardzo przystojny, że ma stanowcze rysy i mocną szczękę, a jego twarz wydaje się jeszcze bardziej zachwycająco męska dzięki cieniowi czarnego zarostu, nie czuła jednak owego mrowienia, które dawniej oznajmiało jej, że jakiś mężczyzna jest atrakcyjny. Był po prostu wysokim facetem w olśniewająco niebieskiej puchowej kurtce, w której jego ramiona i tors wyglądały potężnie, i która podkreślała kształt wąskich bioder oraz muskularnych nóg okrytych wyblakłymi džinsami.

Przynajmniej ta kurtka była na tyle jaskrawa, że nie zmieniła się w szarość, jak wszystko inne, co rejestrował wzrok Alex. Skupiwszy się więc na niej jak na latarni morskiej, ruszyła naprzód, ostrożnie stawiając stopy na chodniku, który, jak się obawiała, mógł być śliski, sądząc po temperaturze powietrza, trzeszczącej trawie i ściętej lodem powierzchni stawu.

Mężczyzna obserwował ją bez uśmiechu i Alex zaczęła się zastanawiać, czy wiedział, kim ona jest - i dlaczego tu się pojawiła.

Zapewne nie. Wprawdzie śmierć jej ojca opisywano na stronach dotyczących finansów we wszystkich większych gazetach, wraz z artykułami donoszącymi, że zabił się z powodu nagłego katastrofalnego zwrotu w interesach, nie zamieszczano tam jednak zdjęć Alex i pozostałych członków rodziny - właściwie w ogóle o nich nie wspomniano.

Jakie to dziwne, że wystarczyła niewielka podwyżka stóp procentowych, kilka nieudanych inwestycji i samobójstwo, by wszystko przepadło; imperium warte miliard dolarów zawałiło się jak domek z kart. Bankructwo to takie ohydne słowo. Nigdy, w całym swoim życiu Alex nie przypuszczała, że mogłoby odnosić się do jej rodziny, do ich interesów. Firma Haywood Harley Nichols, należąca w całości do jej ojca, przez prawie pół wieku budowała szpitale, domy opieki i przychodnie na całym świecie. Ale prawnicy jej ojca - nie, teraz to jej prawnicy - oświadczyli, że jeśli będą mieli szczęście i o ile uda im się sprzedać wszystko za przyzwoitą cenę, może uzyskają sumę wystarczającą akurat na pokrycie długów ojca i może ewentualnie coś jeszcze zostanie.

Jeśli nie, bankructwo było chyba nieuniknione. Ale wtedy nie zostałyby nic, czym Alex, jej siostra i aktualna macocha mogłyby się podzielić jako spadkobierczynie. Mercedes, szósta żona ojca i w końcu wdowa po nim, regularnie dostawała ataków hysterii na myśl o perspektywie grożącego jej ubóstwa, odkąd tuż po pogrzebie dowiedziała się prawdy.

Alex miała wrażenie, że gdyby ona sama nie żyła w stanie kompletnego odrętwienia, też mogłaby dostać hysterii.

Pole, na którym stała szopa, otaczał czarny płot z desek, podjazd do domu odgradzała od podwórka czerwona, metalowa bramka. Zbliżywszy się do niej, Alex przestała patrzeć na latarnię morską, by zająć się haczykiem przy furtce. Metal boleśnie mroził jej palce; jakoś nie mogła zmusić ich do właściwych ruchów, choć bardzo się starała.

Słyszac odgłos zbliżających się z drugiej strony kroków, uniosła wzrok i ujrzała mężczyznę, jak przypuszczała, Joego Welcha, idącego ku niej wysypaną żwirem ścieżką biegnącą od szopy. Jego brązowe, robocze buty nie miały najmniejszego problemu ze znalezieniem stabilnego oparcia na śliskim żwirze.

- Pan Welch? - zapytała, gdy już wystarczająco się zbliżył. Jej głos był przytłumiony i zachrypnięty; od czasu pogrzebu mówiła z obcą, obojętną intonacją: brzmiało to dokładnie tak, jak sama Alex się czuła: bez życia.

- Tak jest. - Jego głos z kolei był głęboki i tylko troszkę słychać w nim było przeciąglą rozwlekłą melodię mowy południowców; w innych warunkach Alex uważałaby tę nutę za intrygującą. W chwili gdy sięgnął do zamknięcia, ich oczy się spotkały i zobaczyła, że miał niebieskie tęczęwki: jasny, rozświetlony odcień zbliżony do akwamaryny, który uwydatniały jeszcze czarne rzęsy. W jego spojrzeniu nie było uśmiechu i, co zauważyła, powoli marszcząc brwi, nie było też wyrazu powitania.

- Jestem Alexandra Haywood.

- Wiem, kim pani jest. - Również jego głos nie brzmiał zachęcająco.

Bez wysiłku otworzył bramkę i pchnął ją na oścież, bez słowa zapraszając Alexandrę do środka. Minęła furtkę i

weszła na podwórko; nogi chwiały jej się trochę w kostkach, a wysokie obcasy zgrzytały na kamykach; wyciągnęła do niego rękę tym automatycznym gestem dobrego wychowania, które przez lata Wpajano jej w najdroższych szkołach dla dziewcząt. Spojrzał w dół na jej rękę i zacisnął wargi. Alex odniosła wrażenie, że jej gest mu się nie podoba. Ujął jednak jej dłoń i uściśnił ją. Jego duża ręka otoczyła jej o wiele mniejszą; jego skóra w dotyku była lekko szorstka i bardzo ciepła. Alex zdrząła nieświadomie, gdy wypuścił z uścisku jej zmarznięte palce. Ciepło - ostatnio wydawało się jej, że nigdy nie ma go dosyć. Czasem nie wierzyła już, że kiedykolwiek będzie jej naprawdę ciepło.

- Czy my się już spotkaliśmy? - zapytała, ponownie zastanawiając się, czy ten człowiek może mieć choć słabe pojęcie o powodach jej przyjazdu. Wydawał jej się niemal wrogo nastawiony - albo, pomyślała, do każdego tak podchodzi.

- Na pogrzebie pani ojca. - Zamknął za nią furtkę i z powrotem założył haczyk.

- Ach... - Nie wydawało jej się, by mogła na to cokolwiek odpowiedzieć. Nie pamiętała go z pogrzebu, co ją zdziwiło, ponieważ należał do mężczyzn, których odruchowo się zapamiętuje. Lecz z drugiej strony, niewiele pozostało jej w pamięci z tego dnia. Skrzyżowała ramiona na piersiach i wsunęła dłonie w rękawy, by uchronić palce przed lodowatym powietrzem, po czym spojrzała na Joego. - Bardzo mi przykro. Nie zapamiętałam pana. Wszystko po tamtym dniu wydaje mi się zamazane... Ale dziękuję, że pan tam był. Z Simpsonville do Filadelfii jest przecież tak daleko.

Skinął głową, przyjmując jej słowa.

- Proszę przyjąć wyrazy współczucia, panno Haywood.

Alex słyszała te słowa tak często w ciągu ostatnich pięciu tygodni, że zdawało jej się, iż na zawsze zostały wyryte w jej sercu.

- Dziękuję panu.

Stał tuż obok i przyglądał się jej. Ponieważ teren był pochyły, Alex znalazła się nieco wyżej, ale i tak nad nią górował. Już sam jego wzrost i to, że ani razu się nie uśmiechnął, mogłoby ją onieśmielić, gdyby była kobietą łatwo dającą się zastraszyć.

- Zakładam, że chciała się pani ze mną zobaczyć? - Wcale nie wyobraziła sobie wrogości w głosie mężczyzny - owa nuta dźwięczała w każdym jego słowie.

- Owszem.

- A więc proszę ze mną do stajni. Jestem w trakcie roboty.

Ruszył pod górę, chrzęszcząc butami na żwirze. Alex szła za nim krokiem odrobinę chwiejnym, gdyż jej obcasy zapadały się pomiędzy kamyki na parę centymetrów. Widząc to, mężczyzna ujął ją pod łokieć, wspierając lekko. Czują wyraźnie rozmiar i siłę jego dłoni, nawet przez materiał kurtki: ten uścisk był jednocześnie mocny i bezosobowy.

#### Rozdział czwarty

Muszę przyznać, że zaskoczyła mnie pani, tak po prostu zjawiając się tutaj. W czym mogę pomóc?

Alex zachwiała się na nogach, gdy jej stopy znowu zapadły się w żwir. W odpowiedzi mężczyzna wzmocnił uścisk. Wzięła głęboki wdech, wciągając do płuc zimne wilgotne powietrze o błotnistym zapachu. Zacisnąwszy zęby, odsunęła od siebie wciąż jej przeszkadzającą mgłę bólu i żalu i przypomniała sobie o zadaniu. Z premedytacją nadała głosowi szorstkie brzmienie:

- Zdaję sobie sprawę z tego, że jest sobota i przepraszam, że zajmuję prawdopodobnie pański prywatny czas, ale... są pewne sprawy, dotyczące farmy, które należy załatwić jak najszybciej. Dziewczynka, która odebrała mój telefon pod numerem podanym mi jako pański, powiedziała, że znajdzie pana w szopie za domem oraz że powinnam po prostu tam pójść. Co też zrobiłam.

- Ktoś, kto pracuje z końmi, pracuje siedem dni w tygodniu, panno Haywood, więc nie musi się pani martwić moim prywatnym czasem. A rozmawiała pani z całą pewnością z moją córką, Jenny. - Jego głos brzmiał sucho.

Prawie dotarli już do szopy i Alex ze zdumieniem usłyszała natarczywy łomot Black Sabbath, dobiegający gdzieś z wnętrza. Hard rock jakoś nie pasował do tego mężczyzny - ale oczywiście należało wziąć pod uwagę nastolatka, który nadal ich obserwował, stojąc w drzwiach budynku. To zapewne on słuchał muzyki.

Jej towarzysz ciągnął dalej:

- Gdyby pani zostawiła wiadomość, przyszedłbym do Whistledown, aby oszczędzić pani poszukiwania mnie aż tutaj.

- Nic nie szkodzi, miałam ochotę wyjść z domu. A ponieważ nie planuję pozostać tu dłużej niż tydzień, czas jest istotnym czynnikiem.

Dotarli do szopy. Chłopak usunął się z przejścia i Alex weszła do środka. Welch puścił jej łokieć i wszedł za nią, po czym zasunął drzwi, toczące się po prowadnicy z głośnym łoskotem. Powietrze w środku było tylko odrobinę cieplejsze. Sznur zniszczonych lamp pod sufitem kiepsko oświetlał wnętrze. Powitał ją dziwny zapach, który jednak nie był nieprzyjemny. Kilkanaście koni wyglądało z boksów, z lewej strony Alex zobaczyła ścianę z surowych desek, w środku której znajdowały się zamknięte teraz drzwi. Na prawo miała otwartą przestrzeń: stał tam, uwiązany długim rzemieniem do żelaznego pierścienia osadzonego w ścianie, wielki koń kasztanowatej

maści, tak wychudzony, że widać mu było wszystkie żebra. Sierść miał zmatowiałą i wyglądał na zagłodzonego, pożywiał się właśnie z wypełnionego sianem żłobu, a obok, na odwróconym wiadrze, leżały zgrzebło i szczotka. Wciąż żując siano, z pełnym pyskiem, koń uniósł głowę i przyglądał się Alex zażawionymi, brązowymi oczyma. Podeszła do niego, wiedzona odruchem, przyciągana tym spojrzeniem i oczywistymi oznakami opłakanego stanu zwierzęcia. Z tyłu stali dwaj mężczyźni, jeden szczupły, w jasnobrązowym stroju myśliwskim, drugi przysadzisty, w dżinsach i czarnej, skórzanej kurtce. Gdy się zbliżyła, obaj odwrócili się i obserwowali ją z nieskrywanym zainteresowaniem, równie widocznym jak ciekawość zwierzęcia.

Alex zignorowała ich, podeszła do konia i pogłaskała jego wielki łeb, potem poszukała wzrokiem Welcha. Stał na skraju wolnej przestrzeni, z chłopcem u boku.

- Czy to zwierzę choruje? Dlaczego jest takie wychudzone? - zapytała, podnosząc głos, by był słyszalny ponad żalobnym refrenem Black Sabbath. Bardzo możliwe, że koń należał do Whistledown, a więc technicznie rzecz biorąc, stanowił jej własność. Ale czy należał do niej, czy nie, nie miało znaczenia. Kochała konie i nie mogła znieść złego ich traktowania.

- Wyłącz tę muzykę, Josh - polecił Welch.

Ponuro krzywiąc usta, chłopiec skierował się ku złotemu magnetofonowi ustawionemu na beli siana niedaleko drzwi. Welch podszedł do konia, jedną ręką sięgając do kieszeni. Gdy wyjął dłoń, Alex zobaczyła, że trzymał w niej miętówkę, którą od razu zaczął rozwijać. Muzyka urwała się nagle i przez sekundę szelest celofanu wypełnił pustkę.

- Według mojej osobistej teorii konie biegają lepiej, kiedy są głodne - powiedział obojętnie, bez żadnego wyrazu na twarzy.

Spojrzał Alex na niego w oczach w chwili, gdy obok nich pojawił się z powrotem chłopak.

- Przywieźli go dopiero dziś rano - odezwał się, rzucając Welchowi spojrzenie pełne przygany, zanim popatrzył na Alex oczami o jasnym, zielonkawoniebieskim odcieniu, takim samym jak kolor tęczy starszego mężczyzny. - Ten facet, od którego tata go odkupił, przysięgał, że nic mu nie jest. Mówił, że to taki wrodzony, żalony wygląd.

Koń wyciągał teraz głowę w stronę Welcha, czując przysmak. Kpiąc spojrzawszy na Alex, mężczyzna podał mu cukierek, po czym poklepał wychudzoną szyję zwierzęcia. Rozległo się chrupanie, a miętowy zapach wypełnił powietrze. Alex, oburzona, że zarządca z niej kpi, rzuciła mu spojrzenie pełne złości. Jeżeli w ogóle zauważył jej gniew, raczej się nim nie przejął.

- Nie do wiary, Joe, że staruszek namówił cię na trzydzieści patyków za tego tu kolesia - odezwał się mężczyzna w czarnej kurtce.

Alex spojrzała na niego. Miał około stu osiemdziesięciu centymetrów wzrostu, jaskraworude włosy, zaczesane wprost do tyłu znad czoła, błyszczące, brązowe oczy i jakby spłaszczone rysy twarzy, które w pewien sposób pasowały do jego przysadzistej figury. Był bardziej przyjemny niż przystojny. I on, i drugi mężczyzna przysłuchiwali się poprzedniej wymianie zdań z dużym zaciekawieniem. Teraz patrzyli na konia.

- Jak on się nazywa, Taniec Zwycięstwa? No, spodziewam się, że ty będziesz tańczył, jeśli wydusisz z niego zwycięstwo. - Rudzielec przeniósł wzrok na Alex i gdy ich spojrzenia się spotkały, nagle uśmiechnął się szeroko. - A przy okazji, witaj, słoneczko! Masz jakieś plany na resztę mojego życia?

Zaskoczona Alex otworzyła szeroko oczy ze zdumienia. Stojący obok rudzielca kolega-myśliwy wykrzywił się i przeszedł na drugą stronę konia, jakby dystansując się od całej rozmowy. Kasztan parsknął, podrzucił łbem i trącił Welcha w ramię, wyraźnie prosząc o drugą miętówkę.

- Ten przygląd z niewyparzoną gębą to Tom Kinkaid, nasz miejscowy szeryf - szorstko wyjaśnił zarządca, jednocześnie sięgając do kieszeni po kolejny cukierek i zaczął go rozwijać. - Jest prawie tak bystry, jak to widać z jego zachowania, ale to wrodzone i biedak po prostu nic nie może na to poradzić, więc mam nadzieję, że będzie pani tak łaskawa i wybaczy mu. Tommy, to panna Alexandra Haywood. Wiesz, córka Charlesa Haywooda.

- O Jez-zu! - zawołał szeryf, robiąc zakłopotaną minę. Jeszcze raz w powietrzu rozszedł się mocny zapach mięty, gdy Taniec Zwycięstwa rozgryzł cukierek. - Przykro mi z powodu pani ojca, panno Haywood.

Alex skinęła głową w podziękowaniu i wyciągnęła rękę do szeryfa. Kinkaid uściśnął ją, ale zamiast od razu puścić, zatrzymał jej dłoń w swojej i znów szeroko się uśmiechnął.

- Jeśli reszta mojego życia nie wchodzi w grę, to chciałbym przynajmniej zaprosić panią dziś na kolację.

- Dziękuję bardzo, nie skorzystam - odparła stanowczo, uwalniając rękę.

Spojrzała na Welcha z niemą prośbą o kilka minut na osobności, by mogła powiedzieć, po co przyszła, i mieć to już za sobą. Zanim zdążyła się odezwać, zarządca odezwał się ponownie.

- Skoro już dokonujemy prezentacji, tamten myśliwy za koniem to Ben Ryder, nasz miejscowy dentysta, a to - lekko oparł dłoń na ramieniu chłopca stojącego obok - mój syn, Josh.

Nastąpiła wymiana uścisków dłoni i mamrotanych uprzejmości.

- Tato, mogę już iść? - zapytał Josh niecierpliwie, gdy grzecznościowe formułki już się skończyły.

Welch spojrzał na niego z uwagą.

- Gnój wyniesiony ze wszystkich boksów?

- Taa.

- Konie nakarmione i napojone?  
 - Tak.  
 - Uprząż czysta i rozplataną?  
 - Jasne.  
 - Czy jeszcze kiedyś przyłapię cię na paleniu papierosów? - Jego głos i wyraz twarzy wydawały się tak surowe, że gdyby Alex była dzieckiem i gdyby te słowa skierowano do niej, zadrżałaby ze strachu.  
 - Nigdy więcej.  
 - No to chyba tyle. Odprowadź Taniec Zwycięstwa i wracaj do domu, pomóż siostrze i dziadkowi przy tym projekcie, który Jenny ma zanieść do szkoły.  
 Josh spojrział na ojca szeroko otwartymi oczami.  
 - Tato! - zaprotestował. - Miałem szlaban przez tydzień! Zrobiłem wszystko, co mi kazałeś! Nie będę już palił, przyrzekam! Proszę cię, pozwól mi iść!  
 Welch zmarszczył brwi, jakby się zastanawiał. W końcu skinął głową.  
 - No dobrze. Odprowadź konia i możesz iść, swoje zrobiłeś. Powiedz Eliemu, że pozwalam, żeby cię podrzucił do Burke'ów, jak będzie jechał na trening kosza.  
 - Super! - Josh machnął pięścią w geście zwycięstwa. Odwrócił się i podszedł do konia, by go odwiązać. Alex jeszcze raz poklepała wielkiego kasztana, zanim został zabrany.  
 - Czy jest tu jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy porozmawiać na osobności? - zapytała Welch głosem cichym; lecz stanowczym, zanim zdążył pograć się w rozmowie z dwoma mężczyznami, którzy akurat omawiali zalety, a raczej ich brak, oddalającego się zwierzęcia.  
 - Oczywiście. Proszę do biura. - Głową wskazał zamknięte drzwi naprzeciwko. - Jakie jest, takie jest.  
 - Cary musiał być zalany jak prosie! To najgorzej wyglądająca szkapa, jaką widziałem chyba w całym życiu. - To zdanie, skierowane do dentysty i podkreślone smutnym potrząśnięciem głowy, wypowiedział szeryf z nutą niedowierzania w głosie.  
 - Daj już spokój, Tommy, co? - Welch dosłyszał jego słowa i oczy zabłysły mu gniewem, gdy popatrzył na kolegę. I znów Alex dostrzegła niesamowitą zdolność tego człowieka do wzbudzania w innych lęku.  
 - Wybacz, Joe. - W głosie szeryfa brzmiała skrucha, nie onieśmienie. Wyraz twarzy Welch nie złagodniał, gdy Joe przeniósł spojrzenie w dół, na Alex.  
 - Tędy, proszę - powiedział, znów wskazując głową drzwi.  
 Ruszyła przodem, jej buty bezgłośnie zapadały się w starannie zagrabione trociny. Welch wyciągnął rękę, by otworzyć drzwi, po czym cofnął się i przepuścił Alex przodem.  
 Pokoik był niewielki, miał może dwa i pół na trzy metry, i bynajmniej nie piękny: ścianka z płyty gipsowej pomalowana na białą, na podłodze linoleum w szare plamki, podwieszany sufit przecięty podtrzymującymi go listwami z aluminium. Pojedyncza lampa zalewała wszystko matowym, obnażające jasnym światłem. Na środku Alex zobaczyła metalowe biurko z fornirowanym drewnem blatem, zavalone papierami. Sfatygowane czarne plastikowe krzesło na kółkach stało za biurkiem, a naprzeciwko drzwi stał dosunięty do ściany stolik z wyłączonym komputerem i telefonem. Po lewej stronie zauważyła domowym sposobem wykonane półki, na których piętrzyła się chaotyczna kolekcja pucharów, zdjęć, książek i dokumentów; pod spodem znajdowało się pięć czy sześć czarnych szuflad na kartoteki. Jeszcze dwa biurowe krzesła - metalowe nogi i poręcze, modelowane oparcia i siedzenia z tworzywa - stały przed biurkiem.  
 - Proszę siadać.  
 Machnął ręką w stronę dwóch krzeseł dla gości, rozpiął kurtkę, nie zdejmując jej, i obszedł biurko dookoła; ustawił porządnie krzesło na kółkach, po czym spojrział na Alex i zawahał się: najwyraźniej czekał, aż ona usiądzie pierwsza. Południowcy znali byli z doskonałych manier, lecz nie przypuszczała, żeby ten człowiek tak przestrzegał zasad dobrego wychowania. Usiadła, a on zrobił to samo i przysunął krzesło do biurka; położył ręce płasko na blacie i popatrzył na nią spokojnie.  
 - Niech pani strzela - odezwał się stanowczym tonem.  
 Czując się niezręcznie, a jednocześnie zła na siebie z tego powodu, Alex przez chwilę zwlekała, założyła nogę na nogę, a splecione ręce oparła o kolano, zanim spojrziała Welchowi w oczy.  
 - Tego, co mam do powiedzenia, nie da się przekazać w przyjemny sposób.  
 Zarządca uniósł brwi.  
 Od pogrzebu robiła to już chyba ze sto razy, ale nadal nie było to łatwe. Zwolniła już służbę z czterech rezydencji, a domy wystawiła na sprzedaż. Załoga jachtu ojca dowiedziała się, że ma szukać nowej pracy, tak jak załogi jego prywatnych samolotów, same maszyny i statek właśnie sprzedawano. Wspierana przez cały legion prawników, Alex pisała do pracowników każdego szpitala, domu opieki i przychodni, osobiście przekazując złą wiadomość - że obiekt zostanie sprzedany lub zamknięty - choć jej prawnicy mogli to zrobić w ogóle bez udziału Alexandry. Lecz jako jedyny członek rodziny, wyznaczony na wykonawcę testamentu ojca, oraz jako starsza córka, najbardziej z nim związana, czuła, że jej obowiązkiem jest mówić w jego imieniu teraz, gdy on sam nie mógł już tego uczynić.

A więc musi wystąpić w jego imieniu w tej chwili. Wzięła głęboki wdech.

- Panie Welch, jest mi bardzo przykro, ale będę zmuszona podziękować panu za pracę.

## Rozdział piąty

Zmrużył oczy, gdy dotarło do niego znaczenie tych słów.

- Czy chce pani powiedzieć, że jestem zwolniony?

- Właśnie to chcę powiedzieć. - Głos jej nie zdrzął i nie odwróciła wzroku. - Z trzydziestodniowym okresem wypowiedzenia, a to, jak myślę, więcej niż uczciwy termin.

Zacisnęła wargi i odchylił się na krześle; przesuwając oczami po pokoju, aż utkwił niewidzące spojrzenie w suficie. Gdy tak siedział, wydawał się ogromny i bardzo... Alex przyszło na myśl słowo „depresyjny”, choć nie chciała się przyznać, że czuje się dziwnie speszona wobec tej nagłej, pełnej napięcia ciszy. Jego szczeka zacisnęła się mocniej pod zarostem, usta ściągnęły w wąską linię, a wszystkie mięśnie potężnego ciała sprawiały wrażenie gotowych do podjęcia akcji. Oczywiście było, że ta nowina stanowi dla niego ogromne zaskoczenie. Po dłuższej, szarpiącej nerwy chwili milczenia oderwał wzrok od sufitu i spojrzał Alex w oczy. Potem położył obie dłonie płasko na biurku i pochylił się do przodu. Twarz miał zaszepioną.

- Nie mówi pani tego poważnie.

Nie spodziewała się, że będzie protestował. Jak dotąd nikt nie protestował. Co prawda po raz pierwszy przekazywała tę złą wiadomość podczas spotkania w cztery oczy. Zazwyczaj wygłaszała krótką przemowę do zebranych w pokoju zwalnianych osób, w obecności stojących z tyłu prawników, którzy usuwali ją szybko w chwili, gdy kończyła mówić. Tym razem, z powodów osobistych, postanowiła podejść do tego zadania całkowicie samodzielnie.

Możliwe, że gdzieś w jej kalkulacjach pojawił się błąd.

Zebrała odwagę i całą siłę woli i odpowiedziała mu równie mocnym spojrzeniem.

- Mówię absolutnie poważnie, panie Welch, proszę mi wierzyć.

- Ma pani kogoś innego na moje miejsce?

- Nie. To stanowisko zostanie zlikwidowane.

- Stanowisko zostanie... - Urwał, jakby nie rozumiał tych słów, potrząsnął głową, po czym mówił dalej, patrząc twardo na Alex. - Co pani przez to rozumie, że stanowisko zostanie zlikwidowane? Nie może pani go zlikwidować! Jest tu dwieście czterdzieści pięć hektarów ziemi, którymi zarządzam w pani imieniu, panno Haywood. Co roku obsiewamy po sześćdziesiąt hektarów soi i kukurydzy i czterdzieści hektarów tytoniu. Czy wie pani cokolwiek na temat uprawy tytoniu albo o płodozmianie, czy o zatrudnianiu robotników sezonowych i tym podobnych sprawach? - Alex zaprzeczyła krótkim ruchem głowy. - Tak myślałam. Poza tym mam cztery pani konie w stajni w Churchill Downs, dwie kłaczki tutaj, w mojej stajni - żrebne, mógłbym dodać - i wiele innych w stajni Whistledown. Czy pani zamierza zajmować się nimi osobiście?

- Konie zostaną sprzedane.

- Co?! - Nagle wydało jej się, że jest gotów wyskoczyć z fotela, obiecać biurko dookoła i udusić ją własnymi rękami. - Nie może pani tego zrobić! Nie wie pani ni cholery o tym, czego tu próbujemy dokonać z tymi końmi! Och, do diabła z tym, prawie już to osiągnęliśmy!

Alex uniosła brodę, czując, jak rozpała się w jej sercu gniew. Nie przywykła, by do niej tak mówiono - a już na pewno nie przywykła do tego, by ktoś przy niej tak kłął.

- Ależ tak, mogę to zrobić, niech mi pan wierzy. Nie obchodzi mnie, czego próbowaliście dokonać z tymi końmi. Rzecz w tym, że nie będziecie już nic robić dla mnie.

Misja zakończona. Alex wstała z krzesła.

- Ma pani kupca? - To pytanie wystrzeliło ku niej jak kamień z procy.

- To pańskie zadanie, panie Welch. To znaczy, sprzedaż koni. Oczekuję, iż upora się pan z tym w przeciągu trzydziestu dni swego wypowiedzenia. Farma także zostanie sprzedana, ale tym nie musi się pan martwić. Moi ludzie zajmą się tą sprawą.

- Sprzedaje pani Whistledown? - W jego wyglądzie i głosie było takie zdumienie, jakby uderzyła go w twarz. Odrzuciwszy dobre maniery lub zapomniawszy o nich wobec tak niespodziewanych wiadomości, nie ruszył się z krzesła, choć Alex stała, mierząc go lodowatym spojrzeniem. Odchylił się w tył, palcami jednej ręki bębniąc po stole. Nie spuszczał wzroku z jej twarzy. - Ma pani pojęcie, jaki skarb pani posiada? Whistledown to jedna z nielicznych w tej okolicy tak rozległych farm, które nadal pozostają w całości. Dwieście czterdzieści pięć hektarów pierwotnych stepów Kentucky! I co, sprzedaje pani firmie budowlanej? I pozwoli, by podzielili posiadłość na dziesięcioarowe działki i na każdej postawili dom? Pani ojciec przewróciłby się w grobie! On kochał to miejsce. Do diabła, ja też je kocham! Przez te osiem lat, kiedy zarządzam farmą, każdego dnia urabiam sobie tyłek, żeby Whistledown wypłaciło się wam najlepiej, jak potrafi. Do ciężkiej cholery, przez ostatnie pięć lat mieliśmy zysk z tego kawałka ziemi! Czy pani ma pojęcie, jakie to trudne? I właśnie udało nam się stworzyć stajnię wyścigową, która wreszcie jest coś warta! W tej stodole mam dwie kłaczki żrebne ze Sztormowym Kotem. I jeszcze jedną... Ale pani nie rozumie ani słowa z tego, co mówię, co? Szkoda strzepić sobie język.

- Nic, co pan powie, nie zmieni sytuacji, panie Welch. Farma zostanie sprzedana. Konie też. A gdy minie trzydzieści dni, pan zakończy pracę. Koniec dyskusji. - Głos Alex był chłodny. Trudno było trwać w opanowaniu w obliczu jego gniewu, ale postanowiła wytrwać.

- Konie będą sprzedane. - Wstał teraz, mówiąc z goryczą w głosie; zacisnął usta i wbił ręce w kieszenie spodni. Przy tym gwałtownym ruchu poły kurtki rozchyliły się jeszcze szerzej i zobaczyła, że miał na sobie flanelową koszulę w czerwono-szarą kratę, a pod spodem biały podkoszulek, mocno kontrastujący z brązową skórą. - Ma pani świadomość, że dostałaby pani piekielnie dużo więcej za konie, gdyby pani zaczekała do letniego targu w Keeneland? Albo chociaż do czasu, aż klacze się ożrebią?

- Nie mam zamiaru kłócić się z panem, panie Welch. Ma pan trzydzieści dni, by zlikwidować inwentarz. - Alex odwróciła się i ruszyła ku drzwiom. Nie było sensu tego przeciągać. Powiedziała wszystko, co miała do powiedzenia, a ostatnia linijka jej tekstu brzmiała „czy ci się to podoba, czy nie”.

- Zlikwidować inwentarz! Chryste!

W dwóch krokach obszedł biurko i zrównał się z Alex, po czym chwycił ją za ramię i obrócił ku sobie. Miała sto sześćdziesiąt siedem centymetrów wzrostu - całkiem niezłe, a w butach na obcasie sięgała może nawet stu siedemdziesięciu pięciu centymetrów. A jednak on był wciąż dużo wyższy od niej i musiała odchylić głowę w tył, by móc spojrzeć mu w oczy, teraz pełne furii; był też dużo masywniejszy. Jego szerokie ramiona i klatka piersiowa sprawiały, że szczupła sylwetka Alex wydawała się jeszcze drobniejsza, a gdy obiema dłońmi ścisnął ją za ramiona, pomyślała, że jego palce z łatwością owinęłyby się wokół jej rąk dwa razy.

Przez kurtkę czuła twardy uścisk jego dłoni i miała nieprzyjemne wrażenie, że ten mężczyzna góruje nad nią, starając się zastraszyć ją już tylko swą potężną posturą.

Zaczęła tracić cierpliwość. Kontakt fizyczny tolerowała jeszcze mniej niż przekleństwa. Welch patrzył na nią z wściekłością, wypluwając każde słowo.

- Widzi pani, mamy tu w zasadzie dwa problemy, jeśli chodzi o likwidację inwentarza: po pierwsze, są tu konie, które pani ojciec dopiero co kupił. Wyłożył milion dwieście za jednego i dziewięćset osiemdziesiąt tysięcy za drugiego. Poza tym klacze żrebne ze Sztormowym Kotem. One też są warte ładny kawałek grosza. Tak samo kilka innych. Znaleźć kupców na tak dużo kosztownych zwierząt o tej porze roku nie będzie łatwo: na tym poziomie rozgrywki liczba graczy jest ograniczona. To prowadzi do drugiego problemu: za pozostałe konie nie dostanie pani złamanego grosza. Nie mówię tu o fabrykach psiego żarcia albo kleju. Pani ojciec trzymał te zwierzęta, płacił za obrok dla nich i opiekę długo po tym, gdy szkapę zakończyły karierę na wyścigach, ponieważ cenil to, czego dokonały w przeszłości i całkiem po prostu je kochał. Będzie pani sprzedawać jego ukochane konie na wagę, panno Haywood. Czy aby na pewno to właśnie chce pani uczynić?

- Niech pan zabierze ręce - rzuciła przez zęby, utkwivszy wściekły wzrok w jego oczach i wyzywając go, by spróbował jej nie posłuchać. Złość stłumiła w niej wszelkie opanowanie i Alex spróbowała wyszarpnąć ręce z uścisku mężczyzny. Nie udało jej się - był zbyt silny. Ale po chwili sam cofnął ręce z jej ramion i postąpił krok w tył, choć nadal wyglądał na tak samo rozgniewanego, jak i ona. - Niech pan nie próbuje manipulować mną, opowiadając mi kliwne historie, panie Welch. To na nic.

- Nie próbuję panią manipulować w żaden sposób. - Mówił niskim, twardym głosem. W jego oczach wciąż płonęła furia. Wcisnął ręce do kieszeni, jakby w ten sposób chciał się powstrzymać przed ponownym złapaniem jej za ramiona. - Usiłuję tylko pani wyjaśnić, jak niemożliwej, idiotycznej, cholernie nieludzkiej rzeczy wymaga pani ode mnie. Nie mogę sprzedać tych koni. Nie w ciągu miesiąca. Nie urządzę wyprzedaży, jak po pożarze domu. Nie mogę tego zrobić i nie zrobię.

- Skoro nie potrafi pan sprzedać moich koni, panie Welch, nie pozostawia mi pan innego wyboru, tylko zwrócić się z tym do kogoś innego. Wie pan, że istnieją różne możliwości. Na początek chociażby, moi prawnicy już to sprawdzili, niektóre domy aukcyjne mogą zająć się tego typu masową sprzedażą.

- Domy aukcyjne! Ty zimna, nieczuła... - Urwał, ale oczy mu płonęły i było jasne, co chciał powiedzieć.

Alex miała już dość. Wyprostowała się na całą wysokość i odpowiedziała mu równie gniewnym spojrzeniem.

- Zwalniam pana, panie Welch. Z tą chwilą. Trzydziestodniowe wypowiedzenie już nieaktualne.

Odwróciwszy się od niego, z głową uniesioną wysoko i sztywna jak żołnierz na defiladzie podjęła swój marsz ku drzwiom. Była wściekła, gdyż udało mu się ją rozczłócić. Wiedziała o tym, rozpoznawała to uczucie i ze zdziwieniem zdała sobie sprawę, że gorąca fala gniewu to pierwsze gwałtowne uczucie, jakiego doświadczyła po śmierci ojca. Przez krótki, przyjemny moment czuła się na powrót sobą.

Dotarł do niej głos Welcha, niemal prowokujący:

- W sumie jest ich dwadzieścia dwa, tutaj, w Churchill Downs i w Whistledown. Następne karmienie o piątej. Siano i zboże. Poza tym Toreador jest na antybiotykach. Radość Życia ma małe pęknięcie na kopycie, trzeba by posmarować je maścią. Maminsynek miał. znowu krwotok, należy go zbadać. Jest tego jeszcze więcej. Pani to wszystko załatwi, panno Haywood? Czy może myśli pani, że znajdzie kogoś, kto będzie wiedział, co w ogóle, do cholery, należy robić? Tak po prostu?

Alex zatrzymała się i ściągnęła usta. To najbardziej natrętny facet, jakiego w życiu spotkała. Nie lubiła go, nie chciała mieć z nim więcej do czynienia i już zdążyła sprawić jej znaczną przyjemność myśl, że kiedy stąd wyjdzie,

nigdy więcej nie będzie musiała go oglądać. A jednak miał słuszość i, mimo złości, jaką czuła, nie była aż tak głupia, by tego nie dostrzec.

Zgrzytając zębami, odwróciła się na pięcie i spojrzała mu w twarz.

- No dobrze, panie Welch. Odwołuję to, co powiedziałam. Ma pan swoje trzydzieści dni. Ale to wszystko. Trzydzieści dni, które ma pan wykorzystać tak, by w Whistledown nie został ani jeden koń. Czy to jasne?

Wytrzymała jego spojrzenie przez długą i - miała nadzieję - przepełnioną mocą autorytetu chwilę.

Zacisnęła usta i Alex myślała, że znów zacznie się z nią kłócić. Ale zamiast tego skinął głową, raz, krótko. Zwycięstwo, pomyślała sobie, zwłaszcza jeśli się pominie zacisnięte pięści zwieszonych po bokach rąk i pełną napięcia postawę. Zignorowała te oznaki, jeszcze raz odwróciła się do mężczyzny plecami i wyszła z jego biura; maszerując dumnie przez szopę, miała świadomość, że Welch śledzi wzrokiem każdy jej krok.

- Zdzira - wymamrotał gniewnie Joe pod nosem, stając koło drzwi stajni i odprowadzając nienawistnym spojrzeniem oddalającą się postać Alexandry Haywood. Ręce opuszczone wzdłuż ciała zacisnął w pięści, w skroniach czuł puls, dudniący jak wielki basowy bęben. Trzydzieści dni, by sprzedać dwadzieścia dwa konie! Do diabła, nie cierpiał rozstawać się choćby z jednym, zwłaszcza w taki sposób. Ale nie wygląda na to, żeby miał wielki wybór. Choć niechętnie to przyznawał, miała prawo polecić mu, by je sprzedał, skoro tak sobie życzyła. W końcu to jej konie. - Zdzira - powtórzył na głos.

- Chłopie, to jest kobieta! - Tommy podszedł od tyłu i poklepał go po ramieniu; w jego głosie brzmiał podziw, przyglądał się kształtnym pośladkom Alexandry Haywood w czarnych skórzanych spodniach, poruszającym się zgrabnie, gdy szła w stronę samochodu. Jej lśniące, jasne włosy na tle zasnutego nieba wyglądały jak płonąca latarnia. - Nie miałbym nic przeciwko, gdyby to była moja szefowa. Jeśli będziesz miał szczęście, może będzie cię ganiać wokół biurka. Oczywiście, ja bym za bardzo nie uciekał.

Joe nie zwracał uwagi na te słowa. Żałował, że nie może wymazać z pamięci jej słów z taką łatwością, z jaką pozbył się jej samej; postąpił krok naprzód i zasunął wrota wejściowe; dały się słyszeć łoskot i stuknięcie. Potem odwrócił się, obrzucając swoją szopę pochmurnym spojrzeniem. Sporo ponad połowę jego dochodu wyszło właśnie tymi drzwiami, zabierając ze sobą prawie wszystkie marzenia, które pielęgnował przez ostatnie osiem lat. Zdawało się, że jeszcze to do niego nie dociera.

Szlag trafił jego pomysł, by stworzyć stajnię wyścigową o międzynarodowej renomie! Na dodatek sam ma dobić to przedsięwzięcie, sprzedając konie z Whistledown. I to w ciągu trzydziestu dni. I Wesołych Świąt, panno Haywood, pomyślał przygnębiony.

Prędzej otworzyłby sobie żyły.

- Co do licha, Joe, wyglądasz, jakby jakiś pies potraktował twoją nogę jak drzewo! Co jest?

Joe nabrał głęboko powietrza, mając nadzieję, że go to uspokoi. Ślepy gniew nigdy nikomu nic nie dał - prócz ataku serca. On i Tommy mieli długą wspólną historię: przyjaźnili się, odkąd razem uczęszczali do zerowej klasy panny Maureen i dobrze się nawzajem poznali. Poza tym nie da się utrzymać wiadomości w sekrecie. Wieść o nadchodzących zmianach obiegnie całe Simpsonville i, zapewne, szersze środowisko hodowców koni w chwili, w której Joe zaczęłby szukać nabywców na swoje - jej - zwierzęta. Takie to już miasteczko. Taki to właśnie świątek. Każdy wiedział, co się dzieje u wszystkich dookoła i nie ma sensu z tym walczyć.

- Zwolniła mnie. Powiedziała, że sprzedaje farmę. Kazała mi wyprzedać konie. W ciągu trzydziestu dni. - Mówił twardym głosem, ale w środku zaczął odczuwać ból. Sulejman, Toreador, Srebrzysty Cud - o Boże, jak Joe kochał tę klacz! Ponieważ właśnie miała urodzić źrebaka po Sztormowym Kocie, warta była blisko pół miliona dolarów. Nigdy nie będzie go stać, by mógł sam ją odkupić...

Tommy szeroko otworzył oczy.

- Żarty sobie robisz?

- Nie, Tommy.

- To suka! - Głos przyjaciela zadrzał z oburzenia i Joe odczuł pewną pociechę, słysząc, jak jego własne odczucia tak wiernym echem odbijają się w tych słowach. - O, to trudna sprawa, stary. Naprawdę trudna sprawa.

- Ano, trudna. - Joe się wykrzywił. Tommy spoglądał na niego niepewnie, najwyraźniej nie wiedząc, jak wyrazić swoją oczywistą solidarność z kolegą.

- Wiesz, stary, że nie lubię podważać opinii twojego taty - głównie dlatego, że jeśli chodzi o konie, to ma on zazwyczaj rację - ale nie wydaje mi się, by ten kasztan, na którego cię namówił - ten Taniec Zwycięstwa - był wart choćby coś koło trzydziestu tysięcy. Jak mówiłeś, gdzie go wyszukał?

Zbliżył się do nich Ben, potrząsając łysiejącą głową. Ben miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu, chudą figurę i krótkie, ziemistobrązowe włosy otaczające wianuszkami coraz bardziej łysą czaszkę; jego oczy miały zawsze zmartwiony wyraz, który przyjaciele składali na karb nieustannego lęku o pozostałe jeszcze włosy.

- W Pimlico, na wyścigu kwalifikującym - odrzekł Joe nieuważnie, w myślach bowiem już zaczynał przeglądać spisy, szukając potencjalnych kupców.

Skoro już musi to zrobić, to zrobi wszystko, co w jego mocy, do cholery, by wykonać zadanie porządnie, ponieważ chciał tylko jak najlepiej dla swoich - jej - koni. Trudno mu będzie dokonać tej sztuki, by umieścić wszystkie w dobrych miejscach, zwłaszcza o tej porze roku. Święto Dziękczynienia już za pasem, a trzy tygodnie

później Boże Narodzenie. Hodowcy koni tak jak i cały kraj dostają przedświątecznej gorączki.

Jeszcze raz Wesołych Świąt, panno Haywood!

- Ben, chłopie, Joe wyleciał z pracy. Ta Haywood sprzedaje Whistledown. On ma sprzedać wszystkie zwierzęta. Swoje konie! - Tommy mówił przyciszonym głosem, jakby zawiadamiał, że przyjaciel ma nieuleczalną chorobę albo coś w tym stylu.

- Nie próbuj mi wciskać kitu, Tommy. - Ben też był kumplem z dzieciństwa. Znali się tak dobrze, że praktycznie stali się rodziną. Co miało swoje dobre strony, ale też i złe.

- Nie wciskam ci kitu. Słowo daję, to szczerą prawdą.

- Tak, Ben, to prawda - odezwał się Joe zmęczonym głosem, zanim tamten zapytał go o potwierdzenie. Ben zatrzymał się i spojrzał na przyjaciela z widoczną troską wypisaną na twarzy.

- I co teraz zrobisz?

Wzruszył ramionami. Był taki wściekły, że mógłby gryźć żelazo, na dodatek z minuty na minutę ból narastał; ale Joe nie miał zamiaru pokazać swoich uczuć światu, jeśli tylko zdoła coś na to poradzić.

- To jej konie. Chyba jak mówi „sprzedać”, to sprzedam.

Ben kręcił głową.

- Czy wolno jej tak po prostu przychodzić tu jak na bal i robić takie rzeczy? Nie masz jakiegoś kontraktu czy co?

Joe zastął w bezruchu i zapatrzył się na Bena. W obliczu blond inwazji Alexandry Haywood przestał chyba jasno myśleć! Co roku podpisywał jakiś papier, przysyłany przez jednego z prawników Charlesa Haywooda. Za pierwszym razem nawet naprawdę przeczytał swoją umowę. Ostatnio taki dokument przewinął się przez jego biurko we wrześnie. Sprawa stała się rutyną do tego stopnia, że ledwo spojrzał na pismo, nim nabazgrał pod nim swój podpis. Jednakże był to kontrakt, zlecający mu zarządzanie farmą oraz zatrudniający go jako prywatnego trenera koni należących do stajni Whistledown. Była to legalna, wiążąca umowa, która, o ile pamięć go nie myli, obowiązuje do grudnia następnego roku.

- Wiecie co? Właśnie, że mam.

Trzech mężczyzn patrzyło na siebie przez chwilę w milczeniu.

- No to idź i zanieś tę nowinę temu Attyli w spódnicy... tej Attyli. - Tommy rozciągnął usta w uśmiechu, słysząc własny żart. - Attyla, ta Attyla, łapiecie? Dobrze, co?

Joe w odpowiedzi uśmiechnął się blade.

- Myślę, że odbędę małą pogawędkę z panną Haywood. Zanim zaczniesz wydzwaniać po domach aukcyjnych albo i co gorszego.

## Rozdział szósty

Gdy Alex w końcu zatrzymała wóz na podjeździe domu Whistledown i wysiadła, była już na dnie rozpacz, jak nigdy. Ostatnio przekazywała tak wiele złych wieści tylu ludziom, że powinna już do tego przywyknąć, lecz nadal ją to bolało. Nawet jeśli adresat tych wieści był tak nieprzyjemny jak Joe Welch.

A jednak, przypomniała sobie, mimo że rozmowa z nim była tak niemiła, miała jedną zaletę: należała do przeszłości. Alex przyjęła rolę dowódcy, do której zmusiła ją śmierć ojca, i wykonywała to, co miała do zrobienia. Powinna być z siebie dumna, że udało jej się poradzić z tak trudną sytuacją - i trudnym człowiekiem - z niezbędną dozą stanowczości. Ojciec byłby dumny, gdyby o tym wiedział. Lecz ona nie czuła dumy, tylko zmęczenie. Ogromne zmęczenie. Czuła tak wielkie wyczerpanie, że mogłaby w tej chwili położyć się do łóżka, aby spać przez wiele dni.

Tak jakby niedawny wybuch gniewu zabrał jej całą pozostałą jeszcze siłę.

Welch nie wiedział jednego: że ona również nie chciała rozstawać się z Whistledown i końmi. Miał rację: ojciec kochał i farmę, i zwierzęta, i gdyby tylko mogła, utrzymałaby tę posiadłość w hołdzie dla niego. Zawsze z radością wyczekiwał wizyt tutaj co pół roku - będących ulubioną formą ucieczki od presji pełnego stresów życia. Od czasu do czasu w letnie weekendy przylatywał nawet odrzutowcem, kradnąc czas przeznaczony na inne, ważne zajęcia, by sprawdzić postępy czynione przez ulubionego konia. Whistledown należało do tych nielicznych nabytków, które kupił tylko dla własnej przyjemności, a nie jako inwestycję finansową. Ale teraz nic nie można poradzić. Farma to luksus, na który nie mogą sobie dłużej pozwolić, i musi zostać sprzedana.

Gdyby postąpiła według rad prawników i pozostawiła im kwestię rozmowy z Joem Welchem, uniknęłaby dzisiejszych nieprzyjemności, myślała. W końcu Whistledown to tylko pomniejsza lokata kapitału. Równie dobrze Alex mogła zostać w domu, w Filadelfii, i zastanowić się nad swoim dalszym życiem.

Musiała jednak tu przyjechać. Ten upór, by odwiedzić Whistledown i osobiście przekazać Welchowi złą wiadomość, był czymś więcej niż tylko pretekstem, by się tu znaleźć. Zlekceważyła rady przyjaciół, którzy tłumaczyli, że wizyta tutaj będzie zbyt bolesna, i zrezygnowała z towarzystwa prawników prostym sposobem - mówiąc „nie”; w końcu to oni dla niej pracują. Musiała przyjechać do Whistledown i pragnęła przyjechać tu sama. Bardzo pragnęła. Lękała się, że zbroja „radzenia sobie”, za którą się skryła po śmierci ojca, zaczyna pękać. Prawda była taka, że Alex nie mogła sobie poradzić. Czuła się pusta, odrętwiała, przerażona i zdradzona. Gdy pojawiła się kwestia sprzedaży Whistledown, dziewczyna doznała gwałtownego uczucia bardzo silnego przymusu, któremu absolutnie nie można się oprzeć, przymusu, by jeszcze raz odwiedzić miejsce, które jej ojciec tak kochał: miejsce,



w którym zginął. Musiała zobaczyć, gdzie to się stało, musiała znaleźć w tym miejscu, jeśli to możliwe, odpowiedź na pytanie „jak” i „dlaczego”. Obawiała się, że w przeciwnym razie już nigdy w życiu nie będzie mogła pogodzić się z jego śmiercią.

Ojciec i samobójstwo? Wydawało się to wprost niemożliwe: samobójcza śmierć nie pasowała do jego charakteru, Alex знаła swego ojca. Lecz tu właśnie aż się prosiło o następne pytanie: jak dobrze właściwie go znała?

Myślała, że zna go wystarczająco. Najwyraźniej jednak była w błędzie.

Zrobiła głęboki wdech, wypełniając płuca zimnym, wilgotnym powietrzem, i ruszyła po schodach do głównego wejścia Whistledown. Nic nie pomoże rozpamiętywanie straty, wiedziała o tym dobrze, zmusiła się więc, by skierować myśli w inną stronę. Na szczycie schodów odwróciła się i objęła wzrokiem krajobraz. Wokół było przepięknie, nawet w tak nieprzyjemny dzień jak ten. W którąkolwiek stronę popatrzyła, widziała nieskończone pola, hektar za hektarem. Dostrzegła tylko dwa budynki, nic więcej - jakiś odległy dach i, zaledwie dwie miedze na lewo, biały domek z kamieni, w którym mieszkał Joe Welch z rodziną. Po łąkach rozsiane były jak polne kwiatki barwne plamy - konie otulone czerwonymi derkami (szkarłat i biel były barwami Whistledown).

Sam dom wzniesiono z masywnych gładów kilkadziesiąt lat przed wojną secesyjną. Wiele lat temu ktoś przerobił kuchnię na bardziej nowoczesną, dobudował łazienki, wymienił rury i kable elektryczne, ale poza tym budynek pozostał niezmienny. Już dawno temu pokryto białym tynkiem oryginalne kamienne ściany, front zaś ozdobiono podwójną werandą, szczycącą się sześcioma wyniosłymi kolumnami w stylu korynckim. Całość wyglądała jak przeniesiona z „Przeminęło z wiatrem”.

Alex przyjechała tu pierwszy raz niedługo po tym, gdy ojciec kupił posiadłość. Miała wtedy piętnaście lat i w mękach dojrzewania musiała radzić sobie jednocześnie z niedoskonałością sylwetki podlotka, własnym rewolucyjnym duchem i nową macochą (numer trzy, Alicia) - smukłą jak trzcina eksmodelką, chciwą i skąpą. Ta rodzinna wycieczka ciągnęła się przez dwa niekończące się letnie tygodnie i wzięli w niej udział również ojciec oraz trzyletnia przyrodnia siostra Alex, Neely.

Nim nastąpiło kolejne lato, Alicia przeszła do historii, a rodzinny wyjazd dokądkolwiek nigdy się już nie powtórzył.

Alex pamiętała jednak, jak podekscytowany był ojciec tamtego lata, gdy oprowadzał ją z dumą po Whistledown, i ból na nowo ścisnął jej serce.

- Szkoda, że nie ma cię tu ze mną, tato - powiedziała cichutko, czując, jak dławi ją w gardle, i posłała tę myśl niczym modlitwę prosto w otwarte niebo.

Jakby w odpowiedzi coś zimnego i mokrego dotknęło jej twarzy. Na chwilę ogarnął ją lęk. Spojrzała w górę i zauważyła, że zaczyna padać deszcz. Gdy poczuła uderzenia kolejnych kropel, odwróciła się plecami do wspomnień i weszła do środka.

Zamykając drzwi, z ulgą uświadomiła sobie, że wewnątrz jest ciepło i że hol delikatnie pachnie cytrynową pastą do mebli. Orientalny dywan w odcieniach czerwieni na lśniącej, drewnianej podłodze stanowił jedyny weselszy akcent w przestronnym wnętrzu o ścianach wyłożonych kremową tapetą w tłoczone wzory, sięgającą sufitu na wysokości czterech i pół metra. Olbrzymi kryształowy żyrandol od Waterforda zalewał pomieszczenie jakże pożądanym blaskiem. Na prawo było przejście do oficjalnego salonu, w odcieniach chłodnego beżu i kremowym, którego jedynym dekoracyjnym elementem były wazy pełne róż z jedwabiu; na lewo zaś znajdowała się olbrzymia jadalnia pełna ciężkich antyków. Oba pomieszczenia widoczne były w oprawie lśniących mahoniowych drzwi, chowanych w futrynach. Na wprost szerokie stopnie zapraszały na piętro. Obok schodów wahadłowe drzwi prowadziły do kuchni.

- I co, znalazła pani Joego?

Inez energicznie weszła do holu, przybывая gdzieś z tyłów domu, z twarzą całą w uśmiechach. Przyjechała w te strony jako wędrowną pracownicą i poślubiła miejscowego chłopaka. Miała około pięćdziesiątki była zaokrąglona i to nie tylko na twarzy, na której nie dostrzegało się śladu zmarszczek. Dziś miała na sobie czerwony, błyszczący dres, różowo-czerwoną bluzkę w kwiaty i czarne przydeptane pantofle. Alex mimochodem pomyślała, czy taki jest jej oficjalny strój. A jeśli tak - jakże to odległe od ubranych na czarno pokojówek, wśród których dorastała!

- O tak, znalazłam go - odparła sucho, rozpinając kurtkę i podając ją gospodyni.

- On to ci jest przystojny. - Inez wzięła kurtkę z westchnieniem. - Co za szkoda, że nie ma żony. Biedny człowiek. Biedne dzieci!

- A co się stało z jego żoną? - Ton głosu Inez jasno mówił, że w tej historii chodzi o coś więcej niż tylko o zwykły rozwód.

- Ach, było z niej ladaco. Uciekła, po prostu uciekła i zostawiła go z trojgiem maluchów. To już wiele lat temu. Uciekła i nigdy nie wróciła. Joe wychowuje tę trójkę całkiem sam, a to bardzo trudne dla mężczyzny.

- Naprawdę?

Alex poczuła lekki wyrzut sumienia, że zwalnia z pracy tego człowieka, choć tak wstrętnie zareagował na jej słowa, ale przypomniawszy sobie, że i tak nic nie może zrobić, nie ma więc sensu czuć wyrzutów sumienia z powodu czegoś, na co i tak nie ma rady. Chciała porozmawiać z gospodynią o czym innym. Chociaż w okresach, gdy dom

stał pusty, Inez przychodziła tylko raz w tygodniu, pracowała jednak tak długo, jak było trzeba, gdy ktokolwiek z rodziny przyjeżdżał na farmę. Bardzo możliwe, że była tu tamtej nocy...

- Inez... - Alex przerwała. Ciężko jej było wyartykułować to pytanie. Obrazy kreowane przez słowa wywoływały zbyt duże cierpienie. Spróbowała jeszcze raz. - Byłaś tutaj podczas ostatniej wizyty ojca, prawda? Czy wydał ci się inny niż zwykle? Smutny lub... lub przygnębiony?

Inez spojrzała na nią z zalem.

- Już wielu ludzi zadawało mi to pytanie. Odpowiedź brzmi „nie”, proszę pani. Zachowywał się tak jak zwykle, był bardzo miłym dżentelmenem.

„Bardzo miłym dżentelmenem”. Alex z trudem przełknęła ślinę.

- A tego ostatniego dnia... byłaś w domu? - Gospodyni skinęła głową. - I nic cię nie zaskoczyło? Nic niezwykłego?

- Nie, proszę pani. - Ciemne oczy kobiety wypełnił ból. - Gdy widziałam go po raz ostatni, był zadowolony i śmiał się, grając w karty z gośćmi. Gdy przyszedłem drugiego dnia rano i dowiedziałam się, że Joe go znalazł... Po prostu nie mogłam w to uwierzyć.

Alex uczepliła się tej nowej informacji.

- Joe... Joe Welch go znalazł? On znalazł mojego ojca?

- To pani nie wiedziała? Myślałam, że może właśnie dlatego chciała pani z nim porozmawiać.

- Nie. - Alex pokręciła głową. Jak na razie Inez nie wiedziała nic o zwolnieniach, nawet o swoim własnym, już bliskim, Alex zaś nie znalazła tyle odwagi, by jej teraz o tym powiedzieć. To wszystko ją przerosło. Może jednak pozwoli prawnikom zająć się całą sprawą. - Nie wiedziałam. Ja...

Rozmowę przerwał dzwonek telefonu. Wzywał cicho, lecz natarczywie.

- Chce pani, żebym odebrała? - zapytała Inez, a gdy Alex przytaknęła, gospodyni pośpieszyła w stronę kuchni, zostawiając za sobą otwarte drzwi.

Alex słyszała szmer głosu służącej, gdy kobieta odebrała telefon, lecz nie słuchała uważnie wypowiedzianych przez nią słów. Skoro to Joe Welch znalazł ojca, będzie zmuszona jeszcze raz z nim porozmawiać, choć pytanie go o cokolwiek stało w sprzeczności z tym, co sobie postanowiła. Musi się jednak dowiedzieć jak najwięcej. Znajomość faktów da jej pocieszenie, jedyne, jakiego może zaznać.

- To do pani. - Inez stanęła w kuchennych drzwiach. - Jakiś pan Paul O'Neil.

Rysy Alex straciły ostrość. Paul był jej narzeczonym i dzwonił w odpowiedzi na jej wiadomość pozostawioną poprzedniej nocy na automatycznej sekretarce. Wykazał wiele cierpliwości od czasu pogrzebu. Najpierw Alex była rozdrażniona, potem popadła w emocjonalne i fizyczne odretwienie; z całą pewnością ucierpiało na tym ich życie seksualne. A raczej - zamarło i zanikło. Mówiła sobie, że będzie musiała zająć się tą sprawą po powrocie do domu. Poza tym wiele przeszła. Miniony tydzień spędziła w ciągłych podróżach między Los Angeles i Nowym Jorkiem, zajmując się problemami związanymi ze śmiercią ojca. Teraz, gdy o tym pomyślała, zorientowała się, że właściwie to nawet nie widziała Paula ani razu od zeszłego czwartku. Ślub został wyznaczony na dziewiątego kwietnia, dzień jej dwudziestych ósmych urodzin. Oczywiście, jak wszystko inne w życiu Alex, te plany leżały w gruzach. Kwiecień był zbyt blisko, by mogła się spodziewać, że potrafi odczuwać taką radość, jaką pragnęłaby czuć w dniu własnego ślubu; poza tym cała wystawność ceremonii musiała z konieczności zostać mocno zredukowana.

- Odbiorę w bibliotece - powiedziała, odwracając się; Inez skinęła głową i na powrót zniknęła w kuchni.

Alex czuła, jak sama myśl o rozmowie z Paulem podnosi ją na duchu. Poznali się, gdy oglądała dwustuletni, fachowo odnowiony budynek biurowy w centrum Filadelfii, w którym pracował Paul. Alex - będąca z zawodu fotografem - robiła zdjęcia ciekawych krajobrazów i architektury do albumów. Nie było to zbyt dochodowe zajęcie, ale przecież nigdy nie musiała utrzymywać się z tego, co zarobiła.

Paul nawet nie zdawał sobie sprawy z tego, kto jest jej ojcem, dowiedział się po kilku miesiącach, gdy spotykali się już regularnie. We wrześniu poprosił o rękę Alex i natychmiast się zgodziła. Miesiąc później zginął ojciec i całe jej życie rozpadło się na kawałki.

Ale pośród tego chaosu Paul stał zawsze przy niej. Dobrze było wiedzieć, że ją kocha, że jest mężczyzną, na którego można liczyć w tych mrocznych dniach.

Biblioteka była ogromnym pomieszczeniem z bogato zdobionym, sklepieniem sufitem. Regały z drewna jesionowego, dostarczonego przez samo Whistledown, sięgały od podłogi do sufitu, pokrywając trzy ściany. Półki wypełnione były książkami, fotografiami i innymi pamiątkami. Czwartą ścianę, w łagodnym kolorze trawiastej zieleni, zajmował wielki kominek z białym, zgrabnym zwieńczeniem, zbudowany w stylu braci Adamów, osiemnastowiecznych szkockich architektów. Powyżej, pomiędzy dużymi, porcelanowymi figurkami żywo ubarwionych papug, które zdobiły gzyms kominka, wisiał portret ostatniej macochy Alex, pięknej Mercedes: w jej długich, czarnych włosach, spływających na różową, jedwabną suknię balową od Versacego lśniły przeblęski granatu.

Jak Alex już odkryła, liczne portrety pięciu poprzednich żon Charlesa Haywooda przechowywano w magazynie w Filadelfii. Podejrzewała, że za każdym razem, gdy ojciec się rozwodził i żenił ponownie, we wszystkich swoich rezydencjach wymieniał wizerunki poprzedniej małżonki na portrety nowej. Co - gdy tak o tym pomyśleć -

wydawało się raczej zabawne. Alex przypuszczała, że w przyszłości, gdy osłabnie szok po jego śmierci, będzie mogła kiedyś wspominać ten zwyczaj i śmiać się z niego.

Na razie jednak najłżejsze uczucie rozbawienia wzbudzało jednocześnie ból. Powstrzymując westchnienie, usiadła w wielkim, skórzanym fotelu za politurowanym biurkiem z włoskiego orzecha. Na blacie leżały żółty, prawniczy notes i srebrny długopis. Natychmiast w pamięci Alex pojawił się obraz ojca, siedzącego w tym samym fotelu, przy tym biurku, rozmawiającego przez telefon i jednocześnie notującego pośpiesznie w żółtym notesie. Widziała go tak wyraźnie, Jakby ta scena rozgrywała się przed jej oczami.

- Och, tato. Dlaczego?

Jednak przekonała się już, że jeśli ulegnie bólowi, ten wcale nie stanie się łatwiejszy do zniesienia. Odsunęła od siebie wszelkie myśli o ojcu i zdecydowanie podniosła słuchawkę.

- Paul?

- Alex! To ty?

- A spodziewałaś się kogoś innego? - zapytała lekkim tonem, zalotnie.

Głos narzeczonego natychmiast przywołał przed oczy Alex jego postać: nienagannie ułożone włosy w kolorze tytoniu, zaczesane w tył znad szczupłej twarzy estety; jasnoorzechowe oczy, długi, wąski nos, wąskie, wyraźnie zarysowane usta; wysoka, szczupła, wysportowana sylwetka. Przystojny, choć zawsze trochę spięty. Bardzo zadbany, świetnie wykształcony, wyrafinowany mężczyzna, w którym była do szaleństwa zakochana. Nawet rozmowa z nim przez telefon sprawiała przyjemność. Dopiero gdy Alex zaczęła się rozluźniać, uświadomiła sobie, jak napięte miała przedtem wszystkie mięśnie. Z uśmiechem na ustach zakręciła fotelem, ustawiając się tak, by przez dwa wysokie, obramowane jedwabiem okna móc przyglądać się płynącym z nieba delikatnym strumyczkom deszczu, i odchyliła się w tył.

- Och, Paul, jak dobrze usłyszeć twój głos! Jesteś w domu? Chciałabym być tam razem z tobą!

- Właściwie to dzwonię z miasta. Alex, mhm... Jest coś, o czym muszę ci powiedzieć.

Alex uderzyło dziwne brzmienie jego głosu. Niemal nerwowe. Paul, najbardziej pewny siebie człowiek, jakiego знаła w życiu, przez cały ten czas, kiedy się znali, nigdy nie był zdenerwowany. Otworzyła szeroko oczy i zacisnęła rękę na słuchawce.

- Czy coś się stało? - zapytała. Jeszcze zanim odpowiedział, wyczuła, że w jej kierunku zmierzają kolejne złe wieści.

- Nie chciałem zawiadamiać cię o tym przez telefon, ale, Boże, przecież nawet rzadko kiedy cię widuję, sama przyznasz? Więc właściwie to chyba twoja wina.

- O czym ty mówisz? - Z trudem powstrzymywała drżenie głosu.

Nastąpiło krótkie milczenie.

- Posłuchaj... wczoraj wieczorem się ożeniłem - wyrzucił z siebie ciężkie słowa. - Alex, tak strasznie mi przykro, ale między nami i tak się nie układało, wiesz o tym równie dobrze, jak ja. I ja...

- Ty... wczoraj wieczorem... się ożeniłeś? - przerwała mu, nie wierząc własnym uszom; wypowiadała poszczególne słowa, usiłując jednocześnie zrozumieć wiadomość, którą odczuła jak fizyczny cios.

- Tak... no cóż, ja.. my...

Zanim zdołał wykrztusić coś jeszcze, Alex zawołała gwałtownie:

- Ty, ożeniłeś się wczoraj wieczorem? Ależ... to przecież niemożliwe! Jesteśmy zaręczeni, ty i ja. Ślub jest zaplanowany na kwiecień. Mam na palcu pierścione od ciebie. - Spojrzała na olbrzymi, wyjątkowej urody brylant w kształcie łyzy, zdobiący jej lewą dłoń.

- Możesz zatrzymać ten pierścionek - pośpiesznie zapewnił ją Paul. - Tara i tak by go nie chciała, jestem tego pewien, a w ogóle, jeśli zechce, kupię jej inny. Chodzi o to, że...

- Tara? Tara Gould?

Tara Gould była jedyną córką i spadkobierczynią jednego z najbogatszych ludzi w Pensylwanii. Rzeczywiście, Paul pracował w jakimś Komitecie jej ojca przez całą jesień. Poza tym Tara kręciła się czasem w pobliżu, gdy Alex była z Paulem: oglądała rysunki techniczne, pojawiała się na koktajlach i obiadach, przynosiła mu do biura różne rzeczy. Najwyraźniej o wiele częściej kręciła się koło Paula, gdy Alex tam nie było. Chuda, śniada dziewczyna, Alex zupełnie o niej zapomniała.

- Ożeniłeś się z Tarą Gould? Wczoraj?

To niemożliwe. Nie mógł tego zrobić! To musi być żart... ale już w chwili gdy ta myśl przemknęła jej przez głowę, Alex wiedziała na pewno, że to nie żart, że Paul mówi prawdę, że naprawdę zrobił jej tak niewyobrażalną rzecz - jej, im obojgu...

- Wszystko stało się tak szybko. - Głos Paula nie brzmiał przeprasząco, raczej obronnie. - Ty wyjechałaś, ona była na miejscu, z jednego wynikało drugie i, wiesz...

- I ona ma masę pieniędzy, których ja już nie mam, a jej ojciec posiada duże wpływy, podczas gdy mój wywołał skandal, a prócz tego jest martwy - dorzuciła Alex z goryczą i jeszcze zanim te słowa przebrzmiały, wiedziała, że udało jej się zgrabnie podsumować całą sytuację jednym zdaniem. Żeby w ten sposób ożenić się z Tarą Gould, Paul musiał po prostu być zainteresowany pieniędzmi i pomocną dłońią jej ojca, którą ten może podać zięciowi

podczas wspinaczki po drabinie kariery politycznej. Gdy sobie to uświadomiła, poczuła taki ucisk w piersiach, że ledwie mogła oddychać.

- Alex, to już naprawdę jest nie fair. - Głos Paula brzmiał łagodnie i przymilnie. Dawniej uwielbiała, kiedy mówił do niej w ten sposób. Teraz ów ton powiększał jeszcze poczucie zdrady.

Traciła go - nie, już go utraciła - Paula także. Panie Boże, jakże ona poradzi sobie z kolejną stratą?

- Mam nadzieję, że ty i Tara będziecie bardzo szczęśliwi - powiedziała, ostatkiem sił czepiając się poczucia godności i walcząc z własnym głosem, by nie zadrżał. Wcześniej nagły szok nie pozwolił jej odczuwać bólu z całą mocą, lecz teraz szok powoli mijał i zaczynała już czuć w sercu ostre, zimne ukłucia cierpienia.

- Wiesz, że na zawsze pozostaniesz w moim sercu - zabrzmiał znów przymilny głos Paula. - Tylko że...

- Żegnaj, Paul - przerwała mu i nim zdążył coś odpowiedzieć, opuściła słuchawkę, obróciła się na fotelu i odłożyła ją na widelki.

Przez chwilę po prostu siedziała bez ruchu, wpatrując się w telefon i w swoje ręce, które przyciskały słuchawkę do aparatu, jakby chciały zatrzymać ją na miejscu, żeby nie poderwała się i nie rzuciła na Alex. Tak mocno ścisnęła kremowy plastik, że aż zbieleły jej dłonie. Zaręczynowy pierścionek zaśnił jak żywy, gdy poruszyła palcem: olbrzymi brylant migotał i mrugał, jakby naigrawał się z jej bólu.

Tara zapewne jest teraz z Paulem i kpi sobie z niej z taką samą bezczelnością jak ten kamień.

- Ty skurwysynu! - powiedziała cicho, zdecydowanym ruchem ściągając pierścionek z palca. - Ty oszuście! Ty podły, ohydny, cholerny kłamco!

Z całej siły powstrzymując palące łzy, najmocniej jak tylko mogła, odrzuciła pierścionek od siebie.

- Hola, hola - odezwał się męski głos.

Alex nie wierzyła własnym oczom: bez najmniejszego ostrzeżenia pojawił się w drzwiach biblioteki Joe Welch - akurat na czas, by pochwycić pierścionek, jakby celowo rzucony mu prosto w twarz. Szybkim ruchem uchylił się i złapał go w powietrzu, po czym stanął w progu, patrząc na Alex z naganą.

## Rozdział siódmy

Co pan tu robi? - zapytała ostro Alex, usiłując opanować łkanie, istniała bowiem obawa, że w każdej chwili może się ono przerodzić w otwarty szloch. Rzuciła mu gniewne spojrzenie. Wprawdzie napływające do oczu łzy zacierały lekko obraz, ale wysoka sylwetka zarządcy w niebieskiej, dżinsowej kurtce była nieomylnie rozpoznawalna. - To nie jest dla mnie odpowiednia pora.

- Właśnie widzę - odparł sucho.

Zamiast jednak okazać choć minimum taktu i wycofać się, wszedł do pokoju, a potem ruszył prosto do biurka. Jedną dużą, opaloną dłoń oparł płasko na blacie, pochylił się ku Alex i wyciągnął drugą, w której między kciukiem i palcem wskazującym trzymał pierścionek. W tej wielkiej dłoni pierścionek wydawał się drobny i delikatny; brylant znów zaśnił, natrząsając się z właścicielki.

- Chyba coś pani upuściła?

Uspokoiła się, nabierając głęboko powietrza. Prędzej jej kaktus na dłoni wyrośnie, niż pozwoli sobie na łzy w obecności tego człowieka!

- Nie upuściłam. Rzuciłam - oświadczyła z jadowitą złością, biorąc pierścionek do ręki. Wysunęła szufladę, wrzuciła do niej brylant i zamknęła ją z głośnym trzaśnięciem, po czym podniosła wzrok i spojrzała intruzowi prosto w oczy niemal z nienawiścią. - Poza tym byłabym wdzięczna, gdyby pan wyszedł. Jak już wspomniałam, nie Jest to dla mnie odpowiednia chwila.

- Pokłóciliśmy się z chłopakiem? - Zarządca farmy wyprostował się i założył ręce na piersiach, patrząc na Alex tak, jakby była robakiem na szpilce.

- Mój narzeczony właśnie dzwonił, by mi powiedzieć, że wczoraj ożenił się z kimś innym - wyjaśniła niepewnym głosem.

Dlaczego przyznaje mu się do takiej rzeczy? Nie umiała powiedzieć. Z całą pewnością to nie jego interes i z pewnością Welch nie należy do jej największych fanów. W dodatku nie miała przecież w zwyczaju zwierzać się z kłopotów obcym ludziom. Ale w ciągu ostatnich paru tygodni tyle razy przeżyła szok, że - przynajmniej w tej chwili - nie umiała już panować nad sobą. Straciła równowagę jak akrobata chwiejący się gwałtownie na linie.

- O, biedactwo! - W jego głosie brzmiało coś wprost przeciwnego do współczucia.

Poczuła falę gniewu i natychmiast się spięła. Spojrzała na mężczyznę ze złością.

- Niech pan posłucha, może niech pan po prostu wyjdzie, dobrze?

- Żeby mogła pani siedzieć tu i wypłakiwać sobie oczy?

- Wcale nie mam zamiaru... - Urwała. Wzrok tak jej się już przejaśnił, że mogła dostrzec coś jeszcze oprócz kurtki - wyraz twarzy przybyłego. Joe Welch spoglądał na nią krytycznie, zmrużywszy oczy, aż wokół nich pokazały się kurze łapki, usta zaś ściągnął w wąską, prostą linię. Na jego krótko ściętych, czarnych włosach lekko połyskiwały kropelki wilgoci. Twarz miał bardzo opaloną, jakby prawie cały czas przebywał na powietrzu; cień popołudniowego, gęstego już zarostu, pokrywający szczękę, dodawał jego rysom twardości. Już sam wzrost tego mężczyzny pomniejszał optycznie pokój. Alex mimowolnie odnotowała silnie promieniujący od niego męski urok

- i postanowiła mu się oprzeć. Jak mówi przysłowie, piękno stanowią piękne uczynki, a w takim razie ten człowiek jest równie przystojny jak wieprz. - A w ogóle jak pan tu wszedł? Czy pan pukał? A może w tej okolicy macie takie zwyczaje, że bez zaproszenia wpychacie się ludziom do domu?

- Inez mnie wpuściła. Poza tym owszem, pukałem. Proszę bardzo, niech pani sobie popłacze, jeśli pani chce. Ja poczekam.

Ten obrzydliwy facet obserwował ją, jakby naprawdę spodziewał się, że Alex wybuchnie płaczem na jego oczach. Uniosła odrobinę podbródek i jeszcze raz wzięła głęboki wdech, by się uspokoić.

- No dobrze, panie Welch, skoro nie jest pan tak uprzejmy, by wyjść, gdy pana o to proszą, miejmy to już z głowy: po co pan tu przyszedł?

Przyglądał jej się z dużo większą uwagą, niżby chciała, biorąc pod uwagę fakt, że jej oczy pozostały wilgotne i troszkę szczypały, prócz tego, jak podejrzewała, były zaczerwienione. Włosy miała ściągnięte do tyłu, czarny golf zaś wyraźnie ukazywał jej kształty, czuła się więc niepokojąco odsłonięta.

- Skoro powiedział pani o tym w tej chwili i przez telefon, nie warto po nim płakać, niech pani wierzy.

- Nie mam zamiaru omawiać z panem mojego życia osobistego. Nawet i tyle bym nie powiedziała, gdyby nie to, że wpadł pan tutaj z nienacka i zaskoczył mnie. - Łzy już nie napływały jej do oczu i czuła zażenowanie na myśl o tym, że Joe Welch widział ich ślady. W normalnych warunkach Alex nigdy nie płakała. Była to cecha, którą się chlubiła. Już w dzieciństwie, spędzonym najpierw z długą procesją nieczułych niań, a następnie w kolejnych, bezosobowych internatach szkolnych, nauczyła się, że płacz nigdy niczego nie rozwiązuje. Wszystko, co można zyskać, płacząc, to czerwone oczy i zapchany nos. Poza tym ojciec nie cierpiał mazgających się kobiet. Rozwiódł się z dwoma żonami, ponieważ, jak sam mówił, co chwilę miały mokre oczy, gdy zrobił coś, co im się nie podobało.

Na jego wspomnienie znów poczuła ból. Nigdy nie płakała - ale z żalu za ojcem wylała już morze łez.

- Nie interesuje mnie pani życie osobiste, panno Haywood. Interesuje mnie tylko farma Whistledown.

Alex złowieszczo zmarszczyła brwi. Od patrzenia w górę na Welcha zeszytniał jej kark, obawiała się jednak, że jeśli wstanie, ugną się pod nią kolana. Potrzebowała chwili samotności, potrzebowała czasu, by ocenić krzywdy wyrządzone jej przez Paula i opatrzyć świeżą ranę, którą zadano jej i tak już pokiereszowanemu sercu. Jeśli ma ją to zabić, to nie zostawi światu obrazu siebie skowyczącej i pokonanej. Uniesie głowę wysoko i będzie kroczyć naprzód, aż sytuacja się polepszy, albo do końca świata - zależy, co nastąpi prędzej.

W tym momencie wszakże mogłaby chyba postawić wszystkie pieniądze na koniec świata.

- Jeśli przyszedł pan tu, by próbować mnie przekonywać - odezwała się - niech się pan nie trudzi. To, co powiedziałam przedtem, nadal obowiązuje.

Obrzucił ją uważnym wzrokiem i zacisnął zęby; jego oczy rozbliły się, a spojrzenie stwardniało.

- Nie ma obawy, Księżniczko. Mam kontrakt i coś z tego wynika.

Alex roześmiała się niepewnie.

- To się już staje irytujące, panie Welch. Której konkretnie części dwóch prostych słów: „zwalniam pana” nie potrafi pan zrozumieć?

- Właśnie o to mi chodzi. Nie może mnie pani zwolnić. Jak powiedziałem, mam umowę. Wie pani, to jedno z takich prawniczych Pisemek, ze stroną pierwszą i stroną drugą. Nie może pani tak po prostu dać mi trzydziestu dni wypowiedzenia i kazać sprzedać wszystkich koni, a potem się wynosić. - W jego głosie pobrzmiwała nutka tryumfu. - Kontrakt nie działa w ten sposób.

Alex wpatrywała się w niego. Zacisnęła zęby i policzyła w myślach do dziesięciu.

- Niech pan wyjdzie - odezwała się powoli i wyraźnie.

- Nie słyszy pani, co mówię? - Jego głos brzmiał szorstko i niecierpliwie. Całkowicie zignorował jej słowa i utkwiał twardy wzrok w twarzy Alex. - Mam kontrakt, który pozwala mi zarządzać farmą Whistledown tak, jak to uznaję za stosowne, ważny do grudnia roku następnego. A to oznacza, po pierwsze, że konie nie pójdą na żadną szybką wyprzedź.

Czemu ten człowiek po prostu się nie podda? Patrzył na nią tak, jakby miał w garści karetę z czterech asów. Jedyne, co należy zrobić, to nie tracić opanowania i wyłożyć temu arogantowi sytuację słowami, które potrafi pojąć, a wtedy może da jej wreszcie spokój.

- Gdzie jest ten kontrakt? Mogę go zobaczyć?

- Mam go w biurze. Niech mi pani wierzy, jest ważny w świetle prawa. Sporządzili go pani prawnicy. - W jego głosie wychwyliła drobny ślad kpiny.

Cierpliwość Alex sięgała już kresu.

- A więc ma pan kontrakt. Cóż, pana szczęście! A słyszał pan kiedyś takie powiedzenie: „Nie utoczysz krwi z kamienia”?

Ściągnął brwi i obrzucił ją podejrzliwym spojrzeniem.

- Parę razy. A o co chodzi?

- Posiadłość mego ojca to taki kamień. Innymi słowy - jeśli pan nadal nie rozumie - nie ma pieniędzy. Jeśli pański kontrakt jest ważny, a to już pozostawiam moim prawnikom do ustalenia, ponieważ w tej chwili naprawdę

wszystko jest mi całkowicie obojętne, to może dojdą z panem do porozumienia co do należnych pensji. A może nie, zależy od wchodzących w grę sum. Ale, tak czy inaczej, po prostu nie ma pieniędzy na dalsze egzystowanie Whistledown. Muszę wszystko zlikwidować, nieważne, czy ktoś ma jakiś kontrakt. Dobrze będzie, jeśli unikniemy ogłoszenia bankructwa.

- Niech mi pani nie wciska kitu. Pani ojciec jest - był - jednym z najbogatszych ludzi na świecie.

- „Był” to odpowiednie słowo. Niektóre inwestycje okazały się bardzo ryzykowne. Nie powiodły się i koniec. Gdy rozniosła się wieść o jego śmierci, wartość firmy spadła na łeb, na szyję. Potem w ślad za akcjami firmy poleciało w dół wszystko, co posiadał. Nie zostało nic, no, może odrobina. Niemal wszystko, co należało do mojego ojca, jest w tej chwili wystawione na sprzedaż. - Udało jej się wypowiedzieć te słowa chłodno i rzeczowo, bez ujawnienia wstydu, zwątpienia i lęku, które nadal towarzyszyły Alex, gdy myślała o tej sytuacji.

Gapił się na nią tak, jakby nagle wyrosły jej rogi.

- Czy to prawda?

- Słowo honoru - zapewniła go niemal wesołym tonem i poczuła dumę z tego powodu. Nigdy nie okazuj słabości - była to jedna ze złotych zasad ojca.

Kolejne ukłucie żalu.

- Czy to dlatego on... nie. - Welch sam przerwał w połowie zdania; po raz pierwszy, odkąd go poznała, wyglądał na zmieszanego.

- Czy dlatego ojciec się zabił? - Zadziwiające, z jakim spokojem ten człowiek potrafi mówić o sprawach, które rozdierają ją od środka, pomyślała Alex beznamiętnie.

- To chciałem powiedzieć. - Welch nie był już zmieszany, tylko arogancki.

- Nie ma powodu, by nie nazywać rzeczy po imieniu, prawda, panie Welch? Odpowiadając więc na pańskie pytanie - które pan niemal zadał, choć nie do końca - nie wiem. Poczył błędne inwestycje, ale gdyby nadal żył, z pewnością zdołałby nadrobić straty. Kapitał naszej własnej spółki był wciąż mocny. Nie wiem, czemu to zrobił. Może nigdy się nie dowiemy.

- Jak już powiedziałem, współczuję pani z powodu tej straty. - Ani w jego głosie, ani w wyrazie twarzy nie było śladu łagodności.

- To pan znalazł ciało, prawda? - To pytanie zostało zadane zniemacka. Zbierając siły, Alex zacisnęła dłonie na gładkiej skórze poręczy fotela.

Gdy spotkali się wzrokiem, zmarszczki wokół oczu Welcha jeszcze się pogłębiły, a usta zwęziły jeszcze mocniej.

- Tak, ja.

- Niech mi pan o tym opowie.

Ten rozkaz padł sam z siebie, nie z jej woli. Oddychaj, mówiła sobie. Oddychaj głęboko. To, że nie znosi tego człowieka, nie ma żadnego znaczenia. Potrzeba, by poznać ostatni rozdział życia ojca, była silniejsza niż wszelkie inne uczucia.

Nim zaczął mówić, zawahał się przez chwilę.

- Co chce pani wiedzieć?

- Cokolwiek. Wszystko. Szczegóły.

Potrząsnął głową.

- Po co? Nie ma sensu bardziej się denerwować.

- Nie ma sensu się denerwować? - Jej śmiech pozbawiony był wesołości. - Nie ma sensu się denerwować? „Zdenerwowanie” to nie jest słowo, które może określić mój stan. Ja jestem zrozpaczona, mówiąc ogólnie. Jestem zrozpaczona od chwili, gdy dowiedziałam się o śmierci ojca. Nic, co pan może powiedzieć, nie pogorszy już tej sytuacji, proszę mi wierzyć. Myśli pan, że przyjechałam aż tutaj, do tej zapadłej dziury, specjalnie po to, żeby pana zwolnić? Nie. Prawdę mówiąc, nie obchodzi mnie ani trochę, czy pan pracuje, czy wyleci, czy ma pan kontrakt, czy nie; może pan się wyklócać o ten papier z moimi prawnikami, aż was wszystkich szlag trafi. Jestem tu, bo muszę być tam, gdzie zmarł mój ojciec, muszę wiedzieć, co robił, co czuł tamtej nocy, kiedy... odszedł. - Przerwała na chwilę i nabrała powietrza. - A pan może mi pomóc, jeśli zechce. Bardzo proszę. - Było wbrew jej naturze błagać tego człowieka, ale konała z głodu, z pragnienia zdobycia informacji, choćby strzępków wiadomości o tym, co się wydarzyło.

Przez moment patrzył na nią w milczeniu, a jego niebieskie oczy nagle pociemniały. Potem skinął głową, tylko raz.

- Powiem pani, co wiem - oświadczył. - Nie ma tego zbyt dużo.

Nie czekając na zaproszenie, złapał za oparcie jednego z dwóch stojących przy kominku krzeseł w stylu Chippendale, jednym ruchem ustawił je oparciem w stronę biurka i usiadł okrakiem. Jego wytarte dżinsy gniotły siedzenie obite delikatnym, zielonym jedwabiem w chińskie wzory; Alex odruchowo otworzyła szeroko oczy na to bezczelne świętokradztwo, gdy Welch tak bezpardonowo potraktował cenny antyk. Najwyraźniej nieświadomy jej głębokiego niesmaku, położył ręce na oparciu, pochylił się do przodu i spojrzał na nią ponuro.

- No więc to było tak: znalazłem go około pierwszej w nocy. Był w stajni, tutaj, w Whistledown, siedział oparty plecami o ścianę. Dotknąłem go, a wtedy się przewrócił. Sprawdziłem, czy oddycha, zbadłem puls. Już nie żył.

- Co pan robił tak późno w nocy w stajni? - Alex znów musiała sobie przypomnieć o konieczności głębokiego oddychania. Obraz, który stworzyły jego słowa, wywoływał mdłości.

- Sprawdzalem, co u koni. - Przerwał, po czym mówił dalej, prawie z oporem. - Już prawie spałem, kiedy zbudził mnie jakiś dźwięk. Teraz, gdy o tym myślę, wydaje mi się, że to mógł być odgłos strzału, od którego zginął.

- O mój Boże! - Poczula, jak krew odpływa jej z twarzy. Nie była już w stanie utrzymać pozorów, oparła głowę o toczone oparcie fotela i starała się wciągać powietrze wielkimi haustami. - O Boże. O Boże...

- Cholera, wiedziałem, że to nie jest dobry pomysł. - Welch wstał gwałtownie, znów jednym ruchem odsunął sobie krzesło z drogi i przeszedł na drugą stronę biurka, zatrzymując się tuż nad Alex. Jego twarz miała ostry wyraz. - Chyba mi tu pani nie zemdleje, co?

- Nie, nie mam zamiaru - odrzekła, mając nadzieję, że to prawda. Gdyby był tu z nią ktoś, kto okazałby choć odrobinę współczucia, możliwe, że tak właśnie by się stało. Ale przy nim? Nigdy. Welch patrzył na nią groźnie, z góry, jego gęste, czarne brwi niemal schodziły się tuż nad nosem. Alex zebrała siły, by odpowiedzieć mu równie stanowczym spojrzeniem.

- Dobrze - rzucił tylko jedno słowo.

- Przepraszam. - Oddychała normalnie jedynie siłą woli i miała nadzieję, że nie wygląda tak beznadziejnie, jak się czuje. Jego postać nadal wznosiła się nad nią groźnie. Alex trzymała głowę opartą o tył krzesła, aby patrzenie w górę nie było tak wyczerpujące. - Po prostu... robi mi się słabo na samą myśl o nim... o tym, co zrobił. Nie mogę w to uwierzyć. Wciąż zadaję sobie pytanie, dlaczego. Dlaczego? - Nie potrafiła ukryć cierpienia brzmiącego w tym pytaniu.

- Wcześniej pił. - Powiedział to tak, jakby ofiarował Alex i jej ojcu usprawiedliwienie.

- Dlaczego pan tak uważa? - Wbiła wzrok w jego twarz.

- Bo... - Zawahał się i pokręcił głową. - Niech pani posłucha, panno Haywood, może już dość, co? Ja nie jestem sadystą. Nie uznaję znęcania się nad bezradnymi zwierzętami, małymi dziećmi i kobietami w żałobie. Jeśli chce pani więcej informacji, proszę je zdobyć z innego źródła.

- Chcę wiedzieć, czemu pan uważa, że mój ojciec przed śmiercią pił. - W jej głosie brzmiał upór. - Mój ojciec nie pił alkoholu. Jest - był - abstynentem.

- Smród whisky wokół jego ciała był tak silny, że czułem go wyraźnie nawet po drugiej stronie stajni. - Odpowiedź zabrzmiała niemal brutalnie.

- Niewielu ludzi o tym wiedziało, ale mój ojciec wyleczył się z alkoholizmu. Nie tknął alkoholu od lat. Co najmniej przez dziesięć lat nie wypił nawet lampki wina. Był z siebie bardzo dumny. - Głos jej się załamał. Zaciśnęła zęby i uniosła podbródek. - Nie przyjmuję do wiadomości tego, że pił tej nocy, gdy umarł.

Welch przez chwilę milczał i patrzył na nią z uwagą. Potem odezwał się, cicho, znużonym głosem:

- Pijacy czasami wracają do nałogu.

Alex otworzyła usta, a powietrze uszło z jej płuc z głośnym świstem. Wbiła wzrok w jego oczy, jednocześnie usiłując nabrać tchu. Czuła się jakby spłaszczona, jakby zredukowana nagle do dwóch wymiarów w trójwymiarowym świecie. Czy takiego wyjaśnienia szukała? Czegoś tak ordynarnego, tak prostego? Pijacy czasami wracają do nałogu? O nie, ona w to nie uwierzy! Nie przyjmuje tego do wiadomości.

- Bardzo mi przykro - powtórzył. Teraz jednak zabrzmiało to prawie tak, jakby naprawdę tak myślał.

W tym momencie przeszkodziło im wołanie - ktoś wołał Alex po imieniu.

## Rozdział ósmy

Alex, Alex, jesteś tu?

Zerwała się zza biurka, rozpoznawszy głos, i rzuciła się do holu przy wejściu, skąd dobiegało wołanie. Już sięgała do klamki, gdy w drzwiach pojawiła się młodsza siostra. Piętnastoletnia Neely nie była jeszcze tak wysoka jak Alex, za to bardziej zaokrąglona; miała gęste, proste złote włosy, sięgające jej niemal do pasa. Górne pasma zostały zaczesane do tyłu i wysoko spięte czarną aksamitką w kucyk, który podskakiwał na czubku głowy dziewczyny przy każdym energicznym kroku. Jej dziecięco zaokrąglona, ładna twarzyczka została maksymalnie odmieniona za pomocą olbrzymich ilości czarnego tuszu do rzęs oraz fioletowego cienia do powiek z brokatem. Ta krzyżująca kombinacja całkowicie zagłuszyła łagodny, szarawy błękit oczu. Na policzkach odznaczały się brązowawe ślady różu, najwyraźniej mające podkreślić kości policzkowe, których wcale jeszcze nie było widać. Na ustach lśniła bładoróżowa szminka. Neely ubrana była według ostatniej mody: retro-hippisowskie, fabrycznie sprane haftowane dzinsy i pasująca do nich dzinsowa kurtka, której brzegi gęsto obszyto koralikami; spod spodu prześwitywał jaskrawy róż bawełnianej bluzeczki. Na nogach miała czarne skórzane szpilki, w uszach dzwoniące kolczyki z koralików, a kiedy wyciągnęła ręce, by ucisnąć siostrę, Alex zauważyła, że paznokcie dziewczyny Pomalowane są jasnobłękitnym lakierem, z miniaturowymi stokrotkami na końcach

- Neely!

Alex wzięła przybyłą w objęcia, wdychając opary kwiatowych Perfum, zaskoczona, że aż tak się cieszy z jej widoku. Mimo zamieszania i chaosu, jakie zawsze wokół siebie tworzyła, Neely była istotą, która Alex kochała najbardziej na świecie. Nie zdawała sobie sprawy, jak samotna się czuła, póki nie zobaczyła dziewczyny.

- Niespodzianka! - Neely cofnęła się o krok, rozłożyła ręce i szeroko się uśmiechnęła.

Patrząc na nią, Alex poczuła pierwsze ukłucia podejrzeń.

- To nie jest wyjazdowy weekend, chyba nie opuściłaś znowu szkoły bez pozwolenia, co? - zapytała z niepokojem. - Wiesz, że zagrozili, że cię wydała, jeśli to zrobisz.

Neely opuściła ramiona, przestała się uśmiechać i wykrzywiła twarz.

- I mam taką nadzieję. Nie cierpię tego miejsca. Straszna tam nuuu-daa!

- O nie... - Alex zamknęła oczy, zrozumiała bowiem z tej odpowiedzi, że Neely rzeczywiście zrobiła to, czego Alex tak się obawiała.

Neely i tak już po pogrzebie nie chciała wracać do swojej ekskluzywnej szkoły, lecz starsza siostra nalegała. Teraz, gdy oboje rodzice dziewczyny już nie żyli (jej matka zginęła w katastrofie dziesięć lat temu, razem ze swym drugim mężem, w jego prywatnym samolocie), Alex została prawnym opiekunem swej piętnastoletniej przyrodniej siostry. Chociaż, *de facto*, już od lat zastępowała jej rodziców. Ponieważ ojciec nieustannie zajęty był interesami i kolejnymi żonami, dla Neely normą stały się wakacje i ferie spędzane z Alex. Ale to, że starsza siostra miała teraz sędownie orzeczone prawo wydawania Neely poleceń, nie znaczyło wcale, że młodsza będzie jej słuchać. W rzeczywistości Neely rzadko kiedy kogoś słuchała. Alex bardzo kochała swoją siostrzyczkę, lecz fakt, że mała jest rozpuszczona i uparta jak koza, był niezaprzeczalny.

- Czemu nie spróbujesz przynajmniej udawać, że się cieszysz na mój widok?

- Naprawdę bardzo się cieszę. Oczywiście, że się cieszę, ale...

Nie czekając, aż siostra skończy, Neely minęła ją ostentacyjnie i weszła do biblioteki, zatrzymując się tuż za progiem: niewątpliwie uwagę jej przykuło coś, co właśnie zobaczyła. Podążając za jej wzrokiem, Alex zauważyła, że Welch odstawił krzesło, które uprzednio zbecześcił, na zwykle miejsce przy kominku i stanął obok, patrząc w stronę wejścia. Neely otwarcie mierzyła go wzrokiem, a jednocześnie on oglądał ją sobie od stóp do głów. Nie wyglądał na poruszonego ani tą ewidentną inspekcją, ani też śmiesznym strojem przybyłej. Oczywiście, przypominała sobie Alex, przecież sam ma dzieci w tym wieku. Był prawdopodobnie przygotowany na wszystko, co te nastoletnie stwory mogły wymyślić.

- Kim jesteś? - padło jej pytanie, nieomal obraźliwe.

Alex westchnęła cichutko. Na to nie była przygotowana.

- Nazywam się Joe Welch. A ty? - Lekko wykrzywił usta, odpowiadając bezczelnością na bezczelność.

- Kornelia Haywood. A raczej Neely. Jesteś znajomym mojej siostry?

Jej przyjemnie zaokrąglona figurka nadal blokowała drzwi; Neely stanęła w wyzywającej pozie, z jedną ręką opartą o biodro i głową przechyloną na bok. Alex delikatnie objęła siostrę w pasie i przesunęła ją, usiłując precyzyjnie się obok.

Welch pokręcił głową.

- Zarządzam tą farmą w imieniu twojej rodziny.

Przecisnęła się przez drzwi akurat na czas, by uchwycić wyraz rozczarowania na twarzy Neely.

- A, jesteś pracownikiem...

- Tak jest.

Ten arogancki facet prawdopodobnie zasługuje na to, by go obrażano, pomyślała Alex, ale i tak zawstydzila się za swoją niewychowaną siostrę.

- Będę już szedł. - Welch zerknął na Alex i ruszył ku drzwiom.

- Odprowadzę pana do drzwi. - Posłała mu spojrzenie, w którym było ukryte przesłanie.

Jeszcze z nim nie skończyła, nie miała jednak zamiaru rozmawiać o śmierci ojca w obecności Neely. Relacje między małą a tatą bardzo się różniły od jej własnego z nim związku. Rozwód z matką Neely był tak nieprzyjemnym wydarzeniem, że pozostałe po nim uczucia niesmaku i niechęci przeszły również na córkę. W konsekwencji ojciec poświęcał dziewczynce bardzo mało czasu. Ona z kolei buntowała się przeciwko zaniedbywaniu jej i bez skrępowania wypominała mu to w czasie nielicznych chwil, które spędzali razem. Ta sytuacja doprowadziła do konfliktu między obojgiem, co z kolei, jak uważała Alex, czyniło jego śmierć dużo tragiczniejszym doświadczeniem dla Neely niż dla niej samej. Przynajmniej w chwili gdy umierał, nie pozostały pomiędzy nimi żadne rzucone w złości słowa. Chociaż młodsza siostra, tak samo jak starsza, przez lata nauczyła się chronić swe rany przed wścibskim wzrokiem otoczenia, Alex wiedziała, że Neely ogromnie rozpacza.

- Nie trzeba, znam drogę.

- Nalegam. Kochanie, zaraz wrócę.

- Nie spiesz się, mną się nie przejmuj. - Neely weszła głębiej do pokoju, uśmiechając się znacząco do siostry. Alex zignorowała tę sytuację i ruszyła za Welchem do wyjścia. Mężczyzna kroczył szybko, jakby spieszo mu był stąd uciec.

- Panie Welch. - Dogoniła go w holu i zatrzymała, chwytając za rękaw.

Odwrócił się i spojrzał na nią w dół, marszcząc brwi. Stali przed wysokim lustrem w złotej ramie, które zdobiło ścianę naprzeciwko schodów. Przypadkowe spojrzenie na ich odbicia uświadomiło Alex, że stanowią uosobienie przeciwieństw. Chociaż nosiła buty na wysokich obcasach, nie sięgała swemu towarzyszowi nawet do nosa. On



reprezentował ciemną, twardą siłę, ona była smukła, delikatna i kobieca.

- O co znów chodzi? - Nie podjął nawet najmniejszego wysiłku, by ukryć zniecierpliwienie: chciał już wyjść.

- Chcę dokończyć naszą rozmowę. O moim ojcu. - Dłoń Alex ześlizgnęła się z jego rękawa, w głosie zabrzmiała determinacja. - Nie teraz, ponieważ nie chcę, aby moja siostra coś usłyszała. Ale może nieco później. Albo jutro.

Przez chwilę nie odpowiadał. Potem potrząsnął głową.

- Mówiłem już, że jeśli chce pani usłyszeć więcej informacji, musi je pani uzyskać od kogoś innego. Nie ode mnie.

A potem po prostu odwrócił się i poszedł. Alex nie mogła nic zrobić, patrzyła tylko w plecy mężczyzny z bezsilną złością, gdy zatrzasnęły się za nim drzwi wejściowe.

Niewychowany, niemożliwy facet...

- Przynajmniej jedna jasna strona tego miejsca - zauważyła Neely, podchodząc od tyłu do siostry. - Miejscowy parobek, czyli chodząca orgia.

- On jest dla ciebie zdecydowanie za stary. - Skutecznie zbita z tropu, Alex przeniosła karcące spojrzenie na Neely, która właśnie podniosła z podłogi holu dzinsowy plecak. - Poza tym byłaś dla niego niegrzeczna.

- Lubię starszych mężczyzn - wyznała dziewczyna, kompletnie ignorując wymówki. Z plecakiem w rękę skierowała się z powrotem do biblioteki, rzuciwszy Alex spojrzenie przez ramię. - W zasadzie lubię wszystkich mężczyzn. Jeśli, oczywiście, są seksowni. A ten zdecydowanie jest!

Alex już otwierała usta, by odpowiedzieć, gdy nagle jej uwagę przyciągnęło coś, co załśniło na nosie Neely, gdy dziewczyna odwracała głowę. Ze zdumieniem dostrzegła, że z boku lewego nozdrza jej siostry wystaje mały, brylantowy kolczyk.

- Przekłułaś sobie nos! - zauważyła ze zgrozą w chwili, gdy dotarły do drzwi biblioteki. Niezupełnie to miała zamiar powiedzieć, ale była tak zaskoczona, że słowa same wymknęły jej się z ust.

- Nie pieprz - odparła Neely, rzucając plecak na podłogę i kierując się ku jednemu z nielicznych nowoczesnych mebli: miękko wyściełanej, niewielkiej sofie, obitej blad różowym perkalą.

- A ty nie bądź ordynarna - odcięła się Alex tym samym tonem, powoli otrząsając się z szoku i podchodząc do biurka. Wszystko po kolei.

- Dokąd dzwonicz? - Neely usiadła prosto, gdy siostra podniosła słuchawkę.

- Do twojej szkoły - odrzekła Alex ponurym głosem.

Dziewczyna osunęła się na oparcie, wykrzywiając twarz.

Pani Stanton, dyrektorka Pomfret, powiedziała wprost:

- Jest mi bardzo przykro, że muszę pani przysparzać kłopotów w tym trudnym okresie, panno Haywood, ale nie możemy przyjąć Kornelii z powrotem.

Te słowa, choć przecież nie tak całkiem niespodziewane, zadały Alex cios. Wzięła głęboki wdech i rzuciła siostrze groźne spojrzenie, mrużąc oczy. Neely, bez śladu skruchy, pokazała jej język.

- Och, pani Stanton, nie mówi pani tego poważnie. Od śmierci ojca biedaczka nie jest sobą...

- Wprost przeciwnie, ona jest sobą, i w tym cały problem - przerwała ostro dyrektorka. - Proszę mi wierzyć, naprawdę doceniam zalety Kornelii - a jest ich wiele - lecz dziewczynka jest po prostu zbyt niezdyscyplinowana, byśmy mogli trzymać ją dłużej w Pomfret. Uważam, że byliśmy dla niej więcej niż wyrozumiali, ale trzeba gdzieś ustanowić granicę, i muszę uczynić to właśnie teraz, po trzeciej ucieczce w przeciągu mniej niż dwóch lat.

Alex na moment zamilkła. Nawet zanim umarł ojciec, Neely niemal przez cały czas pobytu w Pomfret, czyli przez półtora roku, miała nieustannie kłopoty. Przyłapano ją na paleniu (papierosów i trawki), a także na picciu alkoholu, złapano, gdy wykradała się w nocy i kiedy przeszmygłowała chłopaka do swego pokoju, i to wszystko wielokrotnie. Myszkowała po zakazanych stronach w Internecie, bez pozwolenia dzwoniła i odbierała rozmowy telefoniczne, i tyle razy nie wracała do internatu przed ciszą nocną, że zabroniono jej wychodzić do miasta w czasie weekendów. Alex w pełni zdawała sobie sprawę z całego, bynajmniej nie chwalebne dorobku dziewczyny w szkole.

Ale zachowanie Neely miało swoje przyczyny, protestowała w cichości ducha starsza siostra. Oczywiście, chyba nikt poza nią nie dostrzegał tych przyczyn ani się nimi nie przejmował.

- Czy mogę panią w jakikolwiek sposób przekonać, by dano Neely jeszcze jedną szansę? - zapytała, już w tej chwili wiedząc, że nie. Pani Stanton była raczej miłą kobietą, lecz miała zdecydowanie dość Neely, i Alex o tym wiedziała. W zasadzie nie mogła żywić o to pretensji do dyrektorki. Kiedy Neely była w transie, potrafiła wystawić na próbę cierpliwość świętego.

- Obawiam się, że nie.

Alex westchnęła, uznając swą porażkę.

- Pani Stanton, wdzięczna jestem za pani cierpliwość do mojej siostry. Zdaję sobie sprawę, że była dość trudną wychowanką.

- No cóż, niektóre dziewczęta takie już są. - Głos dyrektorki złagodniał nieco. - To nie jest złe dziecko, panno Haywood, tylko po prostu nie pasuje do Pomfret. Jeśli zechce pani zapisać ją gdzieś indziej, z całą pewnością zrobimy wszystko, co w naszej mocy, by pani dopomóc. Proszę tylko dać mi znać.

- Dziękuję, pani Stanton - odpowiedziała Alex i zakończyła rozmowę.

Słuchawka stuknęła o widełki. Alex przymknęła na chwilę oczy, nie zdejmując ręki z aparatu. A więc, co teraz począć z Neely? Próbować zapisać ją do innej szkoły, zapewne, ale do której? Poza tym czy wystarczy pieniędzy na czesne? Jedynym maleńkim jasnym punktem w ich finansowym mroku był fakt, że czesne za Neely w Pomfret zostało zapłacone za cały rok szkolny - tylko czy szkoła zwróci pieniądze? Jeszcze to na dodatek, jakby miała za mało problemów! Jednak to jej sprawa i właśnie Alex musi się tym zająć. I tak samo właśnie ona musi zająć się Neely.

Otworzyła oczy i spojrzała groźnie na siostrę.

- Gdybyś chciała wiedzieć, to zostałam wydalona ze szkoły.

- Hura - skomentowała Neely obojętnie.

- Słuszna postawa. - Alex przeszła na drugą stronę biurka i usiadła naprzeciwko siostry na drugiej różowej sofie. Obie ustawione były prostopadle do siebie w odległym rogu gabinetu; za każdym z mebli wznosiło się wysokie okno.

- Robię, co mogę. - Neely rzuciła siostrze krótkie, kpiące spojrzenie.

- To co teraz zrobimy?

Dziewczyna wzruszyła ramionami.

Alex czekała; kiedy stało się jasne, że nie doczeka się propozycji, w myślach przejrzała listę możliwości. Od najwcześniejszych lat Neely przywodziła jej na myśl owego przysłowiowego konia, którego da się zaciągnąć do wodopoju, ale nie można zmusić go do picia. Także branie byka wprost za rogi zwykle okazywało się błędem: nieuchronnie sprawiało, że Neely robiła coś dokładnie odwrotnego niż to, czego od niej oczekiwano.

W każdym razie, co się stało w Pomfret, to już się nie odstanie. Po co więc ciągnąć dalej pretensje? Jeśli będzie robić wyrzuty siostrze, tylko się pokłóca. A w obecnej chwili potrzebowały się nawzajem. Mają tylko siebie.

Może nie była dość surowym opiekunem, rozważała Alex. Może Neely należy rugać i karać (w jaki sposób, zabrać jej kosmetyki? To chyba niezły pomysł). Po wszystkich tych nieszczęściach, których obie ostatnio doznały, Alex po prostu nie potrafiła zmusić się ani do jednego, ani do drugiego. Niezależnie od tego, czy to słuszne rozwiązanie, czy nie, ma zamiar pójść najprostszą drogą do celu i przeprowadzić je obie przez ten stosunkowo niewielki kryzys najłagodniej, jak to możliwe.

Westchnęła.

- Czy już wspominałam ci, siostrzo, że potrafisz czasem zależeć za skórę? To świetnie. Jakoś sobie poradzimy. W poniedziałek rano zaczynam szukać nowej szkoły. A przy okazji, pani Stanton bardzo uprzejmie zaproponowała, że pomoże ci gdzieś umieścić. Powiedziała też, że masz wiele dobrych cech.

- Stara krowa - wymamrotała Neely bez specjalnego wrażenia.

Zadzwoił telefon. Dziewczyna podskoczyła, jakby ją ktoś ukłuł i złapała Alex za nadgarstek w chwili, gdy ta wstała, by podnieść słuchawkę.

- Nie! - krzyknęła ostro.

Alex zapatrzyła się na nią. Telefon umilkł: zapewne Inez odebrała.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Alex.

Neely nigdy, przenigdy w życiu nie łapała jej za rękę w ten sposób, ani tym bardziej nie podskakiwała na dźwięk dzwonka - chyba że czekała na telefon od aktualnego chłopaka i śpieszyła się, by odebrać, nim zrobi to ktoś inny, co jednak nie było w tej chwili zbyt prawdopodobne. Alex poczuła nieprzyjemne mrowienie - lęk powrócił. Jeśli Neely nie chce, by odebrała telefon, to musi mieć ważny powód, na przykład jest coś, co chce przed siostrą zataić. Coś niedobrego, coś jeszcze oprócz wiadomości, że wyrzucono ją ze szkoły, a w przypadku Neely Alex spodziewała się już teraz rzeczy najgorszej. Ale może nie.... Poczuła, jak żołądek zaciska się jej w węzeł, gdy spieszenie rozważała różne możliwości.

- Alex... - Neely, odważna, silna, zawsze zadziorna Neely, była prawie zdenerwowana. Wstała i zamiast puścić rękę Alex, ujęła obie jej dłonie w swoje. Starsza siostra spojrzała, przerażona, szeroko otwierając oczy. Jakakolwiek to jest wiadomość, musi być jak najgorsza. Zacisnęła dłonie na dłoniach dziewczyny.

- O Boże, błagam, nie mów tylko, że jesteś w ciąży - wyszeptowała. Tuż za śmiertelną chorobą była to najgorsza możliwość, jaka przyszła jej do głowy.

- Co? - Neely z początku wyglądała na zaskoczoną, potem spojrzała na nią z oburzeniem. - Oczywiście, że nie jestem w ciąży! Czy wyglądam na głupią?

- Dzięki Bogu. - Odetchnęła głęboko, czując, jak serce wraca powoli do prawie normalnego rytmu. Ścisnęła ręce dziewczyny. - Cokolwiek planujesz mi teraz wyznać, wypłuj to z siebie jak najprędzej. Nic, co mogłabyś zrobić, nie przebije tego, co sobie wyobrażałam.

- Tu nie chodzi o to, co ja zrobiłam... nie chodzi o mnie, tylko o ciebie.

- O mnie? - Alex utkwiała wzrok w twarzy siostry. Neely wyglądała na zakłopotaną. Splotła palce z palcami siostry i zacisnęła je mocno.

- Mam naprawdę złą wiadomość. - Dziewczyna oblizwała wargi koniuszkiem języka i dopiero wtedy powiedziała: - Wczoraj wieczorem Paul ożenił się z Tarą Gould. - Skrzywiła się, jakby zbierała siły, gotowa na katastrofę. Gdy

Alex nie zareagowała od razu, wyrzuciła z siebie potok słów, jakby chciała powstrzymać to, co nieuniknione. - Jej kuzynka, Carole Segal, też chodzi do Pomfret i wczoraj wieczorem dzwoniła do niej matka, do której dzwonił jej brat, czyli ojciec Tary, i opowiadała, że Tara już wydana, bo wzięła ślub z Paulem, i że wszyscy są szczęśliwi, a w przyszły weekend odbędzie się wielkie przyjęcie weselne w Philadelphia Country Club. Carole idzie na to wesele. Możesz w to uwierzyć? - Nagle głos Neely złagodniał. - Tak strasznie mi przykro, Alex.

- Kornelio Haywood, czy opuściłaś bez pozwolenia szkołę, a przy okazji zostałam z niej wylana, tylko po to, by tu wpaść i powiedzieć mi o tym?

Neely pokiwała głową z nieszczęśliwą miną.

- Nie chciałam, żebyś usłyszała o tym od jednej z tych twoich przyjaciółek plotkarek albo kogoś takiego.

Alex potrząsnęła głową, a potem przyciągnęła siostrę do siebie i objęła ją mocno. Neely odpowiedziała uściskiem.

- Proszę, cię, nie bądź smutna - szeptała, gdy tak stały razem przytulone. - I tak nigdy nie lubiłam Paula. To palant.

- Oj tak, palant, co? - Alex uwolniła się z uścisku i uśmiechnęła krzywo do siostry. - Kompletny, skończony palant. Lepiej mi bez niego. Myślałam właśnie o tym przez cały czas, odkąd zadzwonił i powiedział mi, co zrobił, około pół godziny temu.

- Co takiego? - Z twarzy i głosu Neely były strach i zdumienie. - Wiedziałaś? Chcesz powiedzieć, że wpakowałam się w kłopoty i przyjechałam aż tutaj, i przeszłam przez to piekło, zamartwiając się, jak mam ci to przekazać, i wszystko na darmo? To już kompletne dno!

Alex znów wykrzywiła usta w uśmiechu.

- Wprost przeciwnie, to najmiłsza rzecz, jaką w życiu słyszałam. Nawet jeśli od czasu do czasu potrafisz zaleźć każdemu za skórę, to cieszę się, że jesteś moją siostrą, Neely Haywood.

- Cóż... ja też się cieszę, że jesteś moją siostrą - wymamrotała Neely, nadal żalonym głosem, opierając czoło o czoło Alex. Stały tak przez chwilę, obejmując się ramionami. Potem Alex odsunęła się z uśmiechem i pokręciła głową.

- Dobrana z nas para. Jedna wyrzucona, druga porzucona. I co teraz zrobimy?

## Rozdział dziewiąty

Drapieżca już od dwóch dni miał tego psa na oku. Było to niewielki zwierzak, w zasadzie nie większy od kota: straszne brzydactwo, w połowie pitbul, w połowie nie wiadomo co. Prócz jednej czarnej łaty był cały biały i jakby łysy, miał krótki ogon i szeroką, różową mordę, z której w każdej chwili mogła zacząć splotać ślina. Za każdym razem, gdy mężczyzna wychodził z auta, pies był w pobliżu, lecz natychmiast potem wymykał się z zasięgu wzroku.

- Chodź tu, piesku - przemówił do zwierzaka po południu drugiego dnia; wyszedł na zewnątrz i ruszył za psem do jego kryjówki, po czym przykleknął i zaczął pstrykać na niego palcami. Kuląc się pod samochodem, pies patrzył na niego, ale nie słuchał. - Chodź tutaj.

- Szukasz dla siebie zwierzaka?

Drapieżca rozejrzał się wokół i zauważył, że jest obserwowany. Znał tego, kto go zagadnął, tak jak znał wszystkich w okolicy.

- Zastanawiam się - odpowiedział przyjaźnie, po czym pomachał ręką, gdy tamten wsiadł do auta i odjechał.

Na razie zostawił psa tam, gdzie go znalazł; podniósł się i wrócił do pracy. Ale tuż po zmierzchu wyszedł znów, tym razem niosąc papierową tackę z kawałkiem pizzy. Porywisty wiatr zapowiadał deszcz. Parking był pełny, choć - jako że wszyscy, którzy zaparkowali tu auta, weszli do budynku - w zasięgu wzroku nie było nikogo. Rozejrzał się i pomyślał, że pies jednak w końcu uciekł. Ale nie, był tam; błądy skulony cień, przemknął za rogiem, by zniknąć pod ciemnopurpurową zasłoną krzewów. Drapieżca podszedł bliżej i postawił tackę na ziemi w takim miejscu, by zwierzę musiało i widzieć, i poczuć jedzenie.

- Chodź tu, piesku - powtórzył, przykucając nad tacką i pstrykając palcami. - No, chodź tutaj.

Tym razem pies wyczołgał się z ukrycia. Gdy pochłaniał pizzę, mężczyzna pogłaskał go. Kochał psy, kochał je od zawsze, od najwcześniejszych lat dzieciństwa. Należały do jego pierwszych, ulubionych zabawek.

- Dobry pies - mruzczał pieszczotliwie. - Dobry piesek.

Następnie wrócił do pracy.

Później, dużo później, gdy zniknęły już prawie wszystkie samochody, wyszedł jeszcze raz. Tym razem w jednej ręce niósł talerzyk z hamburgerem, a w drugiej prowizoryczną smycz. Teraz już padało i poza oświetleniem z tyłu, z budynku, wokół panowała taka ciemność, że wzrok ledwo sięgał do połowy parkingu. Mężczyzna miał na sobie pelerynę z kapturem, ale hamburger - to był problem: Czy pies wyjdzie ze swojej kryjówki, gdziekolwiek się skrył, dla rozmoczonego kawałka mięsa?

I czy w ogóle uda się odszukać psa w ciemności? Zawsze może poczekać do jutra. A jeśli zwierzę do jutra zniknie? Ha, trudno, taki los.

Ale naprawdę chciał go znaleźć jeszcze dzisiaj.

W końcu, gdy już miał zawrócić i z powrotem wejść do wnętrza, nie wystawiając nawet nosa na deszcz, zauważył psa. Siedział skulony całkiem na widoku, pod ścianą budynku, oświetlony lampami systemu alarmowego; wystający okap dachu chronił go przed strugami wody.

Drapieżca uśmiechnął się i ostrożnie, by nie zamoczyć tacki z hamburgerem, przeszedł wzdłuż ściany budynku aż do zwierzęcia.

- Masz, piesku - przemówił łagodnie, gdy już był blisko. Pies przyjrzał mu się, najwyraźniej przypomniał sobie tego człowieka jako dobroczyńcę sprzed paru godzin i zamerdał ogonem.

Przyklęknąwszy na jedno kolano, człowiek położył tackę na ziemi.

- Masz, piesku - powtórzył.

Zwierzak spojrział na lśniący, brązowy krążek mięsa, na człowieka, po czym zbliżył się z głową tuż przy ziemi i ogonem nisko kołyszącym się lekko na boki.

- Dobry piesek. - Gdy zwierzę podeszło dostatecznie blisko, mężczyzna poklepał je, a gdy pies pożarł mięso dwoma kłapnięciami, przelożył mu przez głowę smycz, która w istocie była kawałkiem linki, zawiązanej z jednej strony w zaciskającą się pętlę i na tyle długiej, by dało się prowadzić psa.

Zwierzę nie uczyniło nic, by uciec.

- Dobry pies - powtórzył mężczyzna z zadowoleniem. Poklepał psa i wstał. - Chodź!

Poniekąd spodziewał się, że pies stawi opór, ale tak się nie stało: chętnie podążył za człowiekiem, gdy ruszyli, cały czas wzdłuż ściany, pozostając pod osłoną okapu tak długo, jak się da. Jego dżip stał na parkingu od tyłu. Pies nawet bez oporu wyszedł za człowiekiem na deszcz, a kiedy mężczyzna otworzył tylne drzwi auta, wskoczył do środka tak skwapliwie, jak tego mógłby sobie życzyć każdy treser.

Drapieżca nagrodził go za to, klepiąc po łbie.

- Dobry pies - powiedział jeszcze raz i zatrasnął drzwi.

Wsuwając się za kierownicę, otrzepał krople z wierzchu peleryny, uznał, że nie ma co się martwić plamami na skórzanych siedzeniach i przekręcił kluczyk. Włączył światła, zwolnił sprzęgło i ruszył. Nim dojedzie na miejsce, minie około piętnastu minut, a drogę znał tak dobrze, jak trasę z własnej sypialni do łazienki.

Ukołysany szumem opon na szosie i rytmicznym szmerem wycieraczek, pies zwinął się w kłębek na tylnym siedzeniu i ułożył do drzemki; Drapieżca pomyślał, że zwierzak czuje się bezpieczny i pewny swej nowej pozycji. Z tego, jak chętnie reagował na smycz i na samochód, można było przypuszczać, że musiał być czymś pupilem, którego zgubiono lub porzucono przy drodze. Ludzie nieładnie postępowali, porzucając psy gdzieś w polu; najwyraźniej liczyli na to, że jakiś farmer o dobrym sercu przygarnie opuszczonego zwierzaka.

Istoty ludzkie w głębi duszy stanowią gatunek, który charakteryzuje głupota. Lub wrodzone okrucieństwo, co w efekcie wychodzi na to samo.

Po drodze minął go tylko jeden wóz, wielka ciężarówka, jadąca zdecydowanie zbyt szybko jak na takie warunki na szosie. Mijając go, niemal zdmuchnęła dżipa z drogi, a woda spod jej kół zalała przednią szybę. Te wielgachne ciężarówki nie mają czego szukać poza autostradą, pomyślał mężczyzna z dezaprobatą; zaryzykował wniosek, że ten tutaj szuka stacji benzynowej albo jedzenia. Jeśli tak, to ma pecha: niemal wszystkie sklepy w okolicy zamykano koło dziesiątej.

Zbliżając się do celu, zjechał z głównej drogi i poprowadził podskakujący na wertepach samochód przez lasek i w dół wzgórza. Zaparkował tam, gdzie zwykle, na skraju kukurydzianych pól Boba Tolera. Ze schowka wyjął latarkę i wysiadł. Pies już był gotów, stał niecierpliwie na siedzeniu, gdy człowiek otworzył drzwi wozu. Wskoczył bez oporu, choć w tej chwili deszcz lał strumieniami. Huknął grom i błyskawica przecięła zygzakiem niebo, na sekundę oświetlając gęste łąny wysokich łądyg kukurydzy, tak że wyglądały jak publiczność złożona z błądych, wychudzonych duchów.

Duchy - mężczyzna nie wierzył w nie. Ale jeśli istniały, to bardzo możliwe, że stoją tu wokoło, czekając w milczeniu, aż on pomnoży ich grono.

Rozbawił go ten pomysł i przechodząc z pluskiem przez płytki strumyk ku pionowym skałom po drugiej stronie, uśmiechał się blade. Pies podążał za nim tuż przy nodze. Drugi brzeg w tym miejscu wznosił się na prawie pięć metrów, porośnięty bujną roślinnością, której od lat nikt nie przeszkadzał, wyjąwszy rzadkie wizyty mężczyzny. Doszedł do miejsca, którego szukał, i wciąż stojąc w wodzie po kostki, odsunął na bok ciężką zasłonę bluszczu, zwieszającą się z brzegu. Pod liśćmi, niecały metr od ziemi, była wnęka w skale, wyglądająca na opuszczoną jamę jakiegoś zwierzęcia. W rzeczywistości było to wejście do całkiem wyjątkowej jaskini. Odkrył ją jako chłopiec i od tego czasu często tu bywał. Oczywiście był teraz starszy i większy, więc nieco trudniej było mu zmieścić się w przejściu do tego podziemnego świata. Ale nadal mógł się tam dostać, jeśli wsuwał się głową naprzód, a następnie posuwał się na brzuchu, póki korytarz się nie poszerzył. Pies nie stawiał oporu, gdy człowiek podniósł go z ziemi i wstawił do jamy, potem zaś wgramolił się tam sam. W tunelu było ciemno jak w grobie, ale mężczyzna nie widział powodu, by już teraz włączać latarkę. Znał to przejście jak własną kieszeń.

Popychając psa przed sobą, z łatwością - wynikającą z praktyki - pokonał trzy i pół metra korytarza szerokości nory dużego zwierzęcia. A potem niespodziewanie już był na miejscu; wygramolił się z tunelu za psem, ostrożnie prostując plecy. Nie raz rozbił sobie głowę o niskie sklepienie. Pies, najwyraźniej niepewny w nowym otoczeniu,

tulił się lekliwie do jego nóg. Mężczyzna zapalił latarkę.

- Dobry piesek - pochwalił zwierzę, zadowolony, że zaufało mu na tyle, by zwrócić się do niego po opiekę. Nadal trzymał linkę, choć pies zdawał się więcej niż chętnie podążać za nim nawet bez smyczy; pochylając głowę, kroczył starym korytarzem, wyłożonym kamieniami, którego niegdyś używano przy szmuglowaniu niewolników na wolność. Była to część Podziemnego Szlaku. Wkrótce dotarli do żelaznych drzwi. Choć same skrzydła miały ponad sto lat, zabezpieczająca je kłódka była nowa. Otwierał ją jeden z wielu kluczy, które mężczyzna zawsze nosił przy sobie na breloczku. Otworzył drzwi, po czym zamknął je za sobą, przechodząc do wyższego pomieszczenia o ścianach z gliny. Z ulgą wyprostował się na całą wysokość. Kiedy tak długo trzymał głowę pochyloną, czasami łapał go skurcz w karku.

- Chodź! - zawołał psa, który zamerdał ogonem.

Podszedł do drewnianych drzwi, otworzył je i wpuścił zwierzę do kolejnego pomieszczenia, w którym podłoga, sklepienie i wszystkie cztery ściany zrobione zostały z olbrzymich, ręcznie ciosanych bloków kamienia. Ta komora była równie stara jak tunel i tak samo zapomniana przez wszystkich, prócz Drapieżcy. Wiele lat temu urządził tu sobie własny, prywatny pokój do zabawy.

- Witaj, Kasandro - pozdrowił przyjacielsko dziewczynę, która oczekiwała go, siedząc naga na brzegu pryczy, o jaką przezornie postarał się z myślą o swych gościach. Włosy miała matowe, a oczy bez wyrazu, nawet już nie zerwała się na równe nogi na jego widok. Wpatrywała się tylko w niego tępo spoza żelaznych krat. - Przypro-wadziłem ci zwierzątko - oznajmił z uśmiechem, włączając biwakową lampkę na baterie, stojącą na stole w części pomieszczenia oddzielonej od zakratowanego boksu. Blask latarni rzucił na ścianę jego cień, a cień z zaskakującą dokładnością odzwierciedlał prawdę o Drapieżcy - wyglądał złowieszczo, podczas gdy jego rzeczywista postać zdecydowanie taka nie była. Podobał mu się ten obraz, zawierający też małe, krzywonogie zwierzę u jego stóp i łączącą ich smycz. Światło nie docierało do kątów, ale i tak miał dość światła do tego, co zamierzał zrobić.

W zamyśleniu spoglądając dokoła, mężczyzna spostrzegł, że wszystkie rzeczy znajdują się tam, gdzie je zostawił. Wielki skórzany fotel, telewizor, pilot, zbiór taśm wideo, a także galeria fotografii jego gości: byli tu wszyscy, sportretowani za życia i po śmierci oraz na każdym etapie pomiędzy tymi dwoma stanami; zdjęcia przykleił do drewnianych listew, które z kolei umocował na ścianach. Miał zapis metamorfozy każdego z nich, od pierwszych swych ofiar do ostatniej, Eryka, chłopaka Kasandry. Kolekcja fotografii dziewczyny jeszcze nie była skończona. Jej portfolio otwierało zdjęcie, które zrobił tamtej nocy, kiedy sprowadził ją w to miejsce. Na fotografii była piękna, otwierała szeroko oczy z przerażenia, ale uśmiechała się dzielnie do aparatu, bo tak jej rozkazał. Już niedługo zrobi ostatnie zdjęcie w tej serii: wyraz twarzy ofiary, gdy zawładnie nią śmierć. Może nie będzie tak zwyczajnie piękne jak to pierwsze, lecz z pewnością bardziej fascynujące. Intrygowało go to, w jak różny sposób ludzie umierali. Jedni modlili się, inni nie. Jedni zamykali oczy, inni patrzyli śmierci prosto w twarz. Wszyscy jednak, co do jednego, na końcu wypluwali sobie płuca w krzyku. Śmierć jest taka prosta i oczyszczająca. Nie rozumiał, dlaczego wszyscy tak jej się obawiali.

On sam nie czuł lęku. Gdy śmierć nadejdzie, powitają z otwartymi ramionami. Ale na razie nie był jeszcze gotów ją powitać.

- Chodź tu, piesku - przemówił do zwierzęcia, który patrzył na niego niemal z uwielbieniem w brązowych ślepiach. Drapieżca podprowadził go bliżej do ściany, podniósł jeden koniec łańcucha, zwisającego z osadzonej w kamieniu obręczy, po czym owinał go psu wokół szyi, poprawiając ogniwa, aż był pewien, że łańcuch nie spadnie, po czym zamknął go na kłódkę. Pies położył się na ziemi, niezadowolony z tego, że jest na uwięzi, ale nie podjął próby ucieczki.

Wiedząc, co się zaraz stanie - w końcu widziała, co zrobił z Erykiem - Kasandra zaczęła płakać; szlochała ciężko bez łez: każde łkanie brzmiało tak, jakby sprawiał jej fizyczny ból.

- Nie podoba ci się twoje zwierzątko? - zapytał ją z wyrzutem. Szarpnął za łańcuch raz, drugi, sprawdzając, czy pies się nie uwolni, po czym, pochwywszy wzrok zwierzęcia, jeszcze raz poklepał go po łbie. - Dobry piesek - powiedział z czułością, odsuwając się w stronę szafki, w której trzymał zapasy.

Pies wyciągnął za nim szyję: już stał się jego wiernym przyjacielem. Drapieżca, wyjąwszy z szafy puszkę z naftą i pudełko długich zapalek, wrócił w to samo miejsce, stając tuż poza zasięgiem zwierzęcia.

Łkanie Kasandry przycichło. Drapieżca spojrzał na nią i zobaczył, że miała zaciśnięte powieki.

- Otwórz oczy - rozkazał jej szorstkim nagle głosem. - Otwórz oczy i patrz, bo inaczej zrobię to tobie, nie jemu.

Uniosła powieki. Uśmiechnął się z satysfakcją i prawie całą zawartość puszkę wylał na psa. Zapach nafty był tak przenikliwy, że mężczyzna aż zmarszczył nos. Pies był chyba zdezorientowany, bo skulił się, gdy mocno pachnący płyn wsiąkał w jego sierść; zaskomlał tylko raz i spojrzał błagalnie w górę na człowieka.

Upewniwszy się, że Kasandra wciąż patrzy, mężczyzna odstaąpił o krok, zapalił zapalną i rzucił ją na zwierzęcia. Płomień dotknął nafty i zapalił ją z cichym fuknięciem.

Skowyt psa zabrzmiał niemal jak ludzki krzyk, gdy sierść zapłonęła niczym pochodnia.

- Dobry pies - powtórzył Drapieżca ostatni raz, z uśmiechem obserwując, jak uwiązane zwierzę skacze i kręci się w kółko, aż w końcu pada, wijąc się, na ziemię, desperacko, lecz nadaremnie walcząc, by umknąć płomieniom.

Tymczasem Alex i Neely spędziły miłe, wspólne popołudnie i wieczór. Rozmawiały, zwiedzały dom, na kolację wykradły z lodówki pieczeń na zimno i oglądały telewizję w zacisznej bawialni obok dużego salonu. Młoda kobieta odkryła, że obecność Neely wszystko zmieniła. Pełna życia i kompletnie pozbawiona szacunku do kogośkolwiek siostra swoim towarzystwem jednocześnie rozweselała i leczyła rany Alex. Choć martwiła się obecną sytuacją szkolną Neely, mimo wszystko była zadowolona z obecności dziewczyny bardziej, niż to potrafiła wyrazić.

Za każdym razem, gdy na horyzoncie majaczyły myśli o zdradzie Paula, Alex zdecydowanie odsuwała je od siebie, chociaż bólu nie dało się całkowicie opanować. Dodawszy do tego ciągle obecny żal po stracie ojca, mogła to być najgorsza noc w jej życiu.

Dzięki Neely tak jednak nie było.

Nawet pomijając szok po rozstaniu z narzeczonym, nie chciałyby dzisiaj w nocy być sama, myślała teraz; książka spoczywała zapomniana na jej kolanach, Alex zaś patrzyła, jak jej siostra z zainteresowaniem ogląda film. Zabawne, że kiedy Alex planowała tę samotną wyprawę do Whistledown, nigdy nie wzięła pod uwagę, że będzie musiała zostać sama w tym wielkim, obcym domu w nocy. Teraz, gdy miała przy sobie Neely, zdała sobie sprawę z tego, jak przerażające mogły wydawać się echa w pustych, olbrzymich, wysokich pokojach, gdyby nie znajdowała się tutaj z siostrą. Ich ojciec spędził w Whistledown ostatnie dni i noce swego życia; tutaj umarł. Wszędzie wyczuwało się jego obecność. Gdy było cicho, tak jak teraz, Alex czuła przy sobie tę obecność zmarłego i niepokoiła ją ona. Gdyby nie Neely, zapewne w końcu przenocowałyby w jakimś hotelu. Simpsonville było za małe, by mieć hotel, ale z poprzednich wizyt pamiętała jeden w Shelbyville.

Ostatnio była tu w lecie, tuż po zakończeniu nauki w college'u. Miała dwadzieścia jeden lat; przyjechała do ojca na weekend. Przyleciał do Whistledown, by wziąć udział w lipcowym targu rocznych żrebaków w Keeneland. Rzadko kiedy spędzali czas tylko we dwoje - ciągle kręciła się koło niego jakaś żona czy narzeczona - Alex czuła więc radość i wzruszenie, kiedy ojciec oświadczył, że tym razem będą na farmie sami. Oczywiście, tak naprawdę chciał porozmawiać z córką o przyszłości. A zwłaszcza o jej pracy w Haywood Harley Nichols, z perspektywą przejęcia kierownictwa firmy w przyszłości. Kiedy ojciec złożył jej taką propozycję, Alex nie chciała o tym słyszeć i skończyło się na zajadłej kłótni. Opuściła Whistledown na drugi dzień po przyjeździe i nawet nie oglądała końskich targów.

Teraz na to wspomnienie aż coś zakłuło ją w sercu. Och, tato, westchnęła w myślach. Gdybym zgodziła się pracować z tobą, czy wszystko ułożyłoby się inaczej? Mogło tak być, oczywiście... powinnam była...

Łzy napłynęły jej do oczu i zaczęła mrugać gwałtownie, by je opanować. Nie było sensu, aby także Neely wpadła w ponury nastrój. Poza tym i tak nic nie da żal, że wtedy nie podjęła innej decyzji. Co się stało, to się nie odstanie.

Około jedenastej przysłała burza, wylewając na dach - sądząc po odgłosach - wodospady deszczu. Po niebie przetoczył się grzmot, błyskawica trzasnęła na nieboskłoncie jak wielki bicz i zerwał się wiatr. Neely pierwsza poszła do łóżka, do sypialni tuż obok pokoju Alex. Obie odruchowo wybrały te pokoje, w których spały w czasie poprzednich wizyt. Nim nadeszła północ, Alex już spała jak kamień, zapomniawszy o bożym świecie; wcześniej zażyła jedną z tabletek nasennych, zapisanych przez lekarza, by przezwyciężyć bezsenność, która męczyła ją od śmierci ojca. Na zewnątrz szalała burza, stary dom trzeszczał, centralne ogrzewanie włączyło się z cichutkim buczeniem. Żaden z tych dźwięków jej nie obudził.

Obudziło ją coś innego. Coś wyrwało ją ze snu tak głębokiego, że graniczył niemal ze śpiączką. W jednej chwili była praktycznie nieprzytomna, a w następnej całkiem rozbudzona, z potwornym uczuciem, że coś nieprzyjemnego przed sekundą otarło się o jej policzek. Mrugała oczami, by zobaczyć to coś w ciemnościach i wpatrywała się w mrok tak gęsty, że nie widziała kompletnie nic. Była zdezorientowana tylko przez moment. Wkrótce już wiedziała, gdzie jest i dlaczego.

Instynkt nakazał jej nie odzywać się i nie poruszać, podczas gdy dokonywała oceny sytuacji.

Otoczający ją łagodny kwiatowy zapach, jak sobie zdała sprawę, to płyn zmiękczający, którego Inez używała do płukania pościeli. Alex leżała na prawym boku z twarzą prawie całkiem wciśniętą w zbyt miękką poduszkę, dlatego właśnie zapach wydał jej się tak intensywny. Ten grzechoczący dźwięk to deszcz tłukący o szyby. Chłodny powiew, który czuła na twarzy, to zapewne przeciąg ze starego i niezbyt dopasowanego okna. Zapewne właśnie ów ruch powietrza poczuła na policzku i to ją obudziło.

Ale oprócz deszczu był też inny dźwięk, nie tak głośny, gdzieś blisko. Dochodził z drugiego końca jej zabytkowego, bogato rzeźbionego orzechowego łóża.

Alex leżała w bezruchu, wpatrzona niewidzącymi oczami w nieprzenikloną ciemność, która otulała ją szalenie gęstym całunem, i nasłuchiwała z uwagą. Serce zaczęło jej przyśpieszać, w ustach nagle zaschło. Nie miała już wątpliwości co do dźwięku, który słyszała:

był to niski, rytmiczny świst wciągane powietrza; ktoś, lub coś, był razem z nią w pokoju; owa istota głośno oddychała.

## Rozdział dziesiąty

Włosy stanęły jej dęba. Leżała nieruchomo jakby przymarznięta do łóżka. Ten ktoś lub to coś, co przyczaiło się w nogach jej łóżka, także pozostawało w bezruchu i nie robiło nic - tylko oddychało.

O Boże, co począć?

Jej puls galopował, mięśnie zeszywniały. Odruch walki i chęć ucieczki atakowały jej mózg, ale zmusiła się, by pozostać w tej samej pozycji. Póki nie wymyśli skutecznego wyjścia z sytuacji, najlepiej będzie udawać, że nadal śpi.

Odgłosy oddychania nie milkły: wdech, wydech, wdech, wydech. Ciężki... chrapliwy... Ten dźwięk stał się tak głośny, przynajmniej tak się Alex wydawało, że zagłuszył wszystko inne, łącznie z gwałtownymi uderzeniami jej serca, łącznie z szalejącą na zewnątrz ulewą. Może to Neely? Czy to możliwe, żeby Neely stała tam, w nogach łóżka, z jakiegoś niewyobrażalnego powodu trwała w milczeniu i nieruchoma, obserwując w ciemności śpiącą siostrę?

Nie, to niemożliwe. Po pierwsze, Neely nigdy w życiu tak nie dyszała. Po drugie, oznajmiłaby swą obecność głośno i jednoznacznie, wołając Alex po imieniu i szturchając ją albo nawet, gdyby była przestraszona, wskazując do łóżka. Cicha obserwacja nie leżała w naturze dziewczyny.

Ona i Neely zostały w domu same.

Jakie są więc inne możliwości? Włamywacz? Na tę myśl Alex poczuła chłód. Może... duch? Teraz poczuła lodowate zimno.

Śnił jej się ojciec. Niewyraźne strzępki wspomnień przelatywały przez umysł Alex jak smugi mgły. Whistledown było świadkiem jego nagłej śmierci. Od pierwszej chwili, gdy tylko zrozumiała, co się stało, nabrała przekonania, że, bez względu na wszystko inne, co ojciec zrobił, na pewno nie mógłby porzucić ich, swojej rodziny, tak bez słowa. Czy ten świszczący oddech to jakieś zjawisko metafizyczne? Jakaś jego próba, by z „drugiej strony” skontaktować się z córką?

Alex nigdy nie wierzyła w duchy - aż do - bardzo to możliwe - teraz.

Jeszcze gdy ta myśl formowała się w jej głowie, usłyszała, że oddychanie jakby się przesuwa, dobiega z innego miejsca. Nadal wyraźnie słyszała rytmiczne wdechy i wydechy, które jednak stopniowo cichły, jakby dobiegając z coraz to większej odległości. Ten nieznany ktoś lub coś zmierzał ku otwartym drzwiom sypialni. Alex uświadomiła to sobie w jednej sekundzie.

Nie widziała nic, absolutnie nic, nie dostrzegła nawet poduszki, na której opierała głowę, ale wiedziała, że nie śpi, nie śni i niczego sobie nie wyobraża. To wszystko jest prawdziwe. To się dzieje naprawdę.

Strach przygasł nagle stłumioną gwałtowną potrzebą poznania prawdy: Alex poderwała się i sięgnęła do przełącznika lampki nocnej. Był to jeden z tych modeli, w których przełącznik umocowano gdzieś w połowie przewodu. Namacała kabel palcami, przesunęła je parę centymetrów w dół i znalazła przełącznik, a wszystko to w przeciągu paru sekund.

Rozległo się słyszalne „pstryk”. Wydało jej się, że dyszenie ustało na chwilę, lecz poza tym nic się nie zmieniło. Światło nie rozbłysło. Pstryk, pstryk - próbowała raz za razem, prawie w histerii. Światła nadal nie było - szmer oddechu zaś oddalał się stopniowo. Wydawał się teraz płytszy i nieco przyspieszony, najwyraźniej odsuwał się z dość dużą szybkością.

Nie pozwoli temu dyszącemu komuś - lub czemuś - uciec, nie dowiedziawszy się, co to. Nawet spotkanie oko w oko z włamywaczem jest lepsze niż niewiedza.

Tatusiu, czy to ty? Co za głupi pomysł, Alex była tego świadoma, jednak...

Kopnięciem zrzuciła kołdrę i stoczyła się z łóżka. Bose stopy bezszelestnie stąpały po miękkiej wełnie orientального dywanu, pokrywającego drewnianą podłogę; z wyciągniętymi przed siebie rękami odnajdywała drogę w ciemnym jak jaskinia pokoju, idąc od jednego słupka łóżka do drugiego, a potem dotarła do ściany; nadal podążała za tamtym dźwiękiem.

Dyszenie było teraz mniej słyszalne. Rytmiczne wdechy i wydechy zanikały, w miarę jak ich źródło oddalało się od niej wąskim korytarzem, z którego prowadziły drzwi do wszystkich pokoi.

Alex zatrzymała się na chwilę w drzwiach sypialni, by odnaleźć włącznik górnej lampy. Pod palcami wyczuwała gładkość i chłód gipsowej ściany. Zimny prąd powietrza głaskał jej stopy i kostki wystające spod koronkowego brzegu nocnej koszuli z kremowego jedwabiu. Deszcz bębniący o szyby niemal zagłuszał teraz dźwięk oddechu; w ogóle by go nie dosłyszała, gdyby o nim nie wiedziała. Znalazła przełącznik, pstryknęła - i nic. Światła nie było.

Teraz już nie słyszała dyszenia, choć nasłuchiwała z wielką uwagą. Jeszcze raz nadstawiła uszu, wstrzymując oddech. Tak bardzo chciała zidentyfikować tamten dźwięk, że nawet nie czuła już strachu. Musi się dowiedzieć, kto lub co to jest. Po prostu musi.

Musi wiedzieć, czy to jej ojciec, czy nie.

Wyszła na korytarz, wyciągniętymi rękami dotykając ścian, ślepa jakby była pod ziemią - i znów usłyszała dyszenie. Brzmiało teraz dużo delikatniej. Gwałtownie zwróciła się w stronę, skąd dobiegał ów odgłos, potknęła się o coś i poleciała do przodu. Machając rękami, otarła się o jakąś elastyczną, pokrytą materiałem powierzchnię i chwyciła się jej, odruchowo próbując uchronić się od upadku. Zaciśnęła dłonie na luźnych fałdach materiału - i w tej chwili coś mocno uderzyło ją w tył głowy. Na sekundę ujrzała wszystkie gwiazdy, po czym świat odpłynął w ciemność.

Następną rzeczą, która dotarła do Alex, było to, że leży rozciągnięta na brzuchu na wełnianym chodniku, biegnącym przez środek korytarza. Zapach kurzu z dywanu wypełniał jej nozdrza. Czubkami palców dotykała szorstkiej wełny. Wydawało jej się, że ciemność wiruje wokół. Prócz bólu w tyle głowy niejasno wyczuwała też pieczenie na kolanach i dłoniach. Jęknęła.

- Alex? - zawołała Neely.

Sądząc po głosie, znajdowała się także w korytarzu, zaledwie metr dalej. Jeśli wyszła ze swojej sypialni, a tak właśnie powinno być, to wszystko się zgadzało: apartamenty składające się z sypialni, łazienki i saloniku położone były obok siebie w północnej części korytarza.

- Uważaj. - Alex usiadła niezdarnie i przycisnęła rękę do potylicy. - Wydaje mi się, że ktoś jest w domu.

Ciemność wzbierała wokół niej i falowała jak wzburzone morze, lecz Alex nie zemdląca. Tył głowy piekł i pulsował pod dotykiem; wymacała tam coś ciepłego i lepkiego; pomyślała, że to krew. Co się wydarzyło? Czy upadła i rozbiła sobie głowę? Niejasno przypominała sobie, że poleciała w przód, ale wszystko, co było potem, zamazało się w jej pamięci.

- Co takiego? - Najwyraźniej Neely albo nie dosłyszała, albo nie zrozumiała. Słowom siostry towarzyszył słaby, stukający dźwięk

Alex domyśliła się, że dziewczyna bez powodzenia usiłuje włączyć światło w korytarzu. - Alex, przewróciłaś się? Coś ci się stało?

- Upadłam, ale nic mi nie jest. Myślę, że nie ma prądu - udało jej się powiedzieć. Jej głos brzmiał teraz nieco mocniej. - Neely, słyszałaś, co powiedziałam? Zdaje mi się, że ktoś jest w domu.

Alex z trudem podniosła się na kolana. Kręciło jej się w głowie i pulsowało w skroniach. Nie do końca „nic jej nie było”, jak zapewniała małą, lecz nie czas się tym zajmować. Neely już klęczała obok, wyciągając ręce, by w mroku dosięgnąć siostry.

- Co to znaczy, iż wydaje ci się, że ktoś jest w domu?

Alex rozważała, czy podzielić się z Neely swoim drugim przypuszczeniem. Albo ktoś dostał się do domu, albo duch ojca usiłuje się z nimi skontaktować. Ale przecież to drugie nie ma sensu. Nie może być prawdą. Myśląc o tym teraz, na spokojnie, doszła do wniosku, że ten ktoś, kto dyszał w jej sypialni, nie mógł być zjawą.

W końcu nawet jeśli duchy istnieją, co w świetle dziennym i w normalnym stanie umysłu Alex zdecydowanie by odrzuciła, to przecież nie oddychają, prawda? Bo skoro by oddychały, nie byłyby zjawami. To proste i logiczne. Gdyby w pierwszych sekundach po przebudzeniu rozumowała jasno, od razu by sobie to uświadomiła.

A to z kolei doprowadziło ją do nieuniknionych wniosków: jakaś nieznana żywa, oddychająca istota ludzka była w jej sypialni i równie dobrze mogła nadal znajdować się w budynku.

- Neely - powiedziała prędko, łapiąc siostrę za ramię. - Ktoś przed chwilą był w mojej sypialni. Obudziłam się i wypłoszyłam go na korytarz. Myślę, że nadal może być w domu.

- Co? - Neely aż się zachłysnęła.

- Ciii! - Oczywiście narobiły już tyle hałasu, że uciszać się teraz to jak zamykać drzwi do stajni, gdy koń dawno uciekł, Alex nie mogła jednak się powstrzymać, by nie mówić szeptem.

Telefon komórkowy został w jej torebce na dole; zapomniała go naładować, więc nawet jeśli uda jej się go znaleźć, zapewne nie będzie działał. Ale przy jej łóżku był telefon, przypomniała sobie, próbując ocenić ich szansę pomimo bolącej głowy. Powinny wrócić do sypialni, zamknąć drzwi na klucz i wezwać policję. Czy działa tu numer 997? Może wystarczy połączyć się z centralą...

- Żartujesz sobie? - szepnęła Neely.

- Nie. - Alex spróbowała wstać. Neely podtrzymała ją za ramię. Gdy podnosiła się do pionu, ciemność znów zakotłowała się wokół niej, ale nie było na to rady: muszą się stąd zabierać. Jeśli w domu naprawdę ktoś był, tu, w korytarzu, obie są całkiem bezbronne. - Musimy zadzwonić na policję. W mojej sypialni jest telefon.

- O kurczę! - W głosie Neely brzmiał strach.

- Nie klnij - automatycznie zwróciła jej uwagę Alex, również szeptem. Siostra poprowadziła ją, trzymając pod ramię, i tak dotarły do sypialni najszybciej i najciszej, jak potrafiły. W głowie Alex dzwoniło, jakby ją położyła na kowadle; miała wrażenie, że widziałaby wszystko podwójnie, gdyby w ogóle było cokolwiek widać.

- Zamknij drzwi na klucz - poleciła, gdy tylko znalazły się w środku.

Podczas gdy siostra wykonywała polecenie, Alex po omacku dotarła do łóżka. Czuła się trochę bezpieczniejsza za zamkniętymi drzwiami, ale tylko trochę. Kompletna ciemność sama w sobie była deprymująca. Do tego należało jeszcze dodać odgłosy burzy na zewnątrz i niemal całkowitą pewność, że ktoś - jednak ktoś - jest w domu - i już zmieniłaby się we wrak człowieka, gdyby nie Neely. Musi być dzielna ze względu na siostrę, która w końcu jest jeszcze dzieckiem.

Telefon stał na nocnej szafce, obok lampki. Posuwając się wzdłuż łóżka, Alex dość łatwo znalazła blat. Przeszukała go ręką - lampka, książka, budzik, telefon. Podniosła słuchawkę, żonglując nią przez chwilę. Cisza.

- Alex, czujesz dym? - Neely mówiła teraz cieniem, wystraszonego głosem. Chyba obchodziła łóżko dookoła, żeby zbliżyć się do siostry.

Naciskając na oślep przyciski - było tak ciemno, że nie mogła ich nawet znaleźć, a co dopiero odczytać cyfry -



Alex bezskutecznie usiłowała zmusić telefon do działania. Usłyszawszy słowa Neely, przerwała i pociągnęła nosem. Nawet tak niewielki ruch nasilił ból w czaszce. Zamknęła oczy i prawie natychmiast je otworzyła: przyknięcie oczu też bolało.

Rzeczywiście wyczuła jakiś zapach: słaby, ale jednoznaczny. Coś jakby paliła się... guma.

- Coś czuję. - Alex poddała się i odłożyła słuchawkę, a potem uniosła dłoń do głowy. Tak, rana na pewno krwawi, poza tym z tyłu rośnie jej wielki guz, obrzmiała i bolesny w dotyku. Skrzywiła się, dotykając go palcami. - Telefon nie działa.

- I co teraz zrobimy? - Głos Neely stał się nagle bardzo dziecinny i bardzo przerażony.

- Chyba powinniśmy opuścić dom. - Coś się jednak pali, pomyślała, przesuając dłonią wzdłuż blatu szafki w poszukiwaniu chusteczek, których paczkę gdzieś tu widziała. Ostro zapach był jednoznacznie rozpoznawalny. Czy to możliwe, żeby w domu wybuchł pożar? Takiej ewentualności nie można wykluczyć. Włamywacz czy też nie, nie wydawało jej się mądrym pomysłem siedzenie tu w zamknięciu i czekanie, co będzie.

- Boję się - drżącym głosem oświadczyła Neely.

- Ja też. - Alex znalazła pudełko chusteczek, wyciągnęła ich cały pęk i przycisnęła ten tampon do głowy: guz bolał i pulsował, gdy delikatnie dociskała opatrunek - tylko tak mocno, jak mogła wytrzymać. Nie chciała mówić Neely, że jest ranna. Siostra nic na to nie poradzi, poza tym nie ma sensu straszyć jej jeszcze bardziej.

- Myślisz, że dom się pali? - zapytała Neely.

- Możliwe.

Gdyby tylko zdołały dostać się do któregoś z samochodów... Ale kluczyki do mercedesa wisiały na haczyku w kuchni, a sam wóz, jak wszystkie inne, był w oddzielnym garażu, kawałek za domem. Wiele godzin temu sama go tam wstawiła.

Nie chciała ryzykować wędrówki po omacku, w kompletnej ciemności, aż do kuchni. Nie miała też ochoty na bieg do oddalonego garażu.

- Ten człowiek, który tu dzisiaj był - Joe Welch, zarządca farmy - mieszka niedaleko, tuż u stóp wzgórza. Jeśli zejdziemy na dół głównymi schodami i wyjdziemy drzwiami frontowymi, będziemy miały zaledwie kilka minut do jego domu.

- Ale na zewnątrz leje jak z cebra... A jeśli ten ktoś, kto jest w domu, tylko czeka, żebyśmy wyszły? - Neely wyraziła swe wątpliwości drżącym, stłumionym głosem. - W „Krzyku”...

- Nie chcę tego słuchać - przerwała jej Alex. Młodsza siostra uwielbiała horrory, Alex zaś nie mogła ich oglądać. W czasie tych nielicznych seansów, kiedy Neely udało się wyciągnąć ją do kina na horror, siedziała prawie cały czas z zamkniętymi oczami. Kiedy coś okropnego wydarzyło się akurat w momencie, gdy Alex patrzyła, sapną wrzeszczała jak upiór i zakrywała twarz dłońmi, na co oczywiście nastolatka patrzyła ze wstydem i z obrzydzeniem. - Wyjście przez frontowe drzwi to kwestia paru minut. Musimy tylko zejść na dół głównymi schodami i już będziemy na zewnątrz.

- Ale w „Krzyku”...

- To jest rzeczywistość, a nie film - ucięła stanowczo Alex. Nie chciała nawet brać pod uwagę możliwości, że człowiek, który był w jej sypialni, czeka na nie gdzieś tam, w ciemnościach.

Zapach spalenizny się nasilał. To głupota tak ryzykować. Muszą opuścić dom. Alex myślała szybko: jeśli mają biec przez zimne, podmokłe pola, przydadzą się buty. Jej domowe pantofle mają gumowe podeszwy i są na tyle elastyczne, by pasować na Neely, noszącą o numer większe obuwie. Szukając stopą po podłodze, Alex zlokalizowała pantofle pod łóżkiem, gdzie je wcześniej wkopała. Podniosła je i wcisnęła siostrze w ręce.

- Wkładaj prędko.

Ponieważ wcześniej rozpakowywała te nieliczne rzeczy, które ze sobą przywiozła, wiedziała dokładnie, gdzie są jej jedyne buty na płaskim obcasie, brązowe mokasyny od Gucciego: na stojaku na obuwie, tuż za drzwiami do garderoby.

- Gdzie idziesz? - Alex odsunęła się od siostry i Neely prawie wpadła w panikę.

- Po buty.

Obie mówiły cichutko. Posuwając się wzdłuż serwantki, Alex dotarła do drzwi garderoby. Dotykami odnalazła gładką, mosiężną gałkę, przekręciła ją, sięgnęła do środka i zdjęła buty ze stojaka przy drzwiach. Wsunąwszy na stopy miękkie, skórzane mokasyny, po omacku wróciła do łóżka.

- Alex...

- Jestem tutaj. - Zdjęła z łóżka wierzchnią kapę, zszywaną ręcznie, starodawną kołdrę, i rzuciła ją do Neely - niezręcznie, jako że nic nie widziała. - Owiń się w to i chodźmy - powiedziała, gdy poczuła, że siostra równie niezdarnie odebrała od niej przykrycie.

Alex wzięła jeszcze wełniany koc, który leżał pod kołdrą, narzuciła go na ramiona i odszukała Neely. Splótłszy mocno ręce w uścisku, ruszyły ku drzwiom.

W chwili gdy wyciągnięta ręka Alex odnalazła drewnianą powierzchnię paneli ściennych, do których miały dotrzeć, Neely nagle szarpnęła się w tył.

- O Boże, pamiętasz „Piątek, trzynastego”....

- Jeśli choć jednym jeszcze słowem wspomnisz któryś z tych głupich horrorów, zamorduję cię własnymi rękami - wysyczała Alex wściekle przez ramię, gwałtownie ciągnąc dziewczynę za rękę. - No, chodźże; nie mów nic, póki nie wyjdziemy z budynku. I cokolwiek się stanie, trzymaj się blisko mnie.

- Co ty powiesz! - W głosie Neely brzmiał żar, lecz jej dłoń była zimna.

Alex nie myślała nawet o tym, by się obruszyć. Jej serce uderzało w duecie z pulsującym bólem - łowy. Żołądek się wywracał, w ustach zaschło. Tam, w ciemnościach, za drzwiami sypialni, może na nich czekać ktokolwiek - cokolwiek...

Najciszej jak umiała odsunęła zasuwę zamka; nie udało jej się uniknąć szczęknięcia, które zabrzmiało w jej uszach jak wystrzał z armaty. W końcu przekreśliła gałkę.

## Rozdział jedenasty

Joe leżał na wznak z rękami podłożonymi pod głowę, gapiąc się na przybrudzoną biel sufitu nad łóżkiem; był całkowicie rozbudzony, choć już dawno minęła pora, o której zwykle zasypiał jak kamień. Na zewnątrz deszcz lał strumieniami. Przez całe lato tego roku hrabstwo Shelby doświadczyło najgorszej w tym stuleciu suszy: puste koryta strumieni piekły się w słońcu, plony wysychały na polach, drzewa potraciły liście. Teraz, gdy woda i tak na nic się już nie przyda, najwyraźniej trafił im się potop niemal na skalę biblijnego. Joe miał tylko nadzieję, że dach nie zacznie przeciekać.

Mógłby wstać, zejść na dół i zjeść coś. Oglądanie telewizji nie wchodziło w grę, gdyż około dwudziestu minut temu zgasło światło, jak to się często zdarzało w czasie burzy. Joe nie przyjmował do wiadomości porażki: bezsenność go nie zwycięży. Po odejściu Laury, kiedy porzuciła go w biedzie z trójką małych dzieci, masą długów i obróconymi w pył zawodowymi ambicjami, przez długie lata miał kłopoty z zasypianiem. Wreszcie pokonał demony, wypłynął na spokojne wody, znalazł swoje miejsce w życiu i w końcu mógł spać.

Lecz dziś Alexandra Haywood ponownie zburzyła jego uporządkowane wygodnie życie.

Pensja za prowadzenie farmy Whistledown stanowiła około połowy dochodów Joego. Poza tym miał dodatki - ubezpieczenie zdrowotne i stomatologiczne, za które wprawdzie musiał płacić sam, ale znacznie mniej niż normalnie, ponieważ praktycznie rzecz biorąc był zatrudniany przez firmę Haywooda. Stracić to wszystko w jednej chwili to spory cios. Po drugie konie - strata zwierząt wydawała się chyba jeszcze gorsza niż utrata pracy. Gdyby nie to, że utrata pracy miała wpływ na los jego dzieci, Joe powiedziałby, że strata koni jest gorsza.

Miał kontrakt, no dobrze, ale przecież nie był głupi: czasami umowa może się okazać niewarta nawet tyle, co papier, na którym ją spisano. Ten kontrakt dawał Joemu jedynie więcej czasu. Mógł powiedzieć Alexandrze Haywood, czy komu tam trzeba, że będzie od nich wymagał respektowania każdego słowa umowy, mógł nawet zagrozić, że poda ich do sądu, jeśli to się stanie konieczne. Gdyby miał szczęście, może wytargowałby parę tygodni, albo i miesięcy, oraz jakieś odszkodowanie za zerwanie kontraktu. Ale bez względu na to, co by zrobił, jeżeli firma naprawdę ma takie problemy finansowe, o jakich mówiła Alexandra Haywood, a nie przypuszczał, żeby ta kobieta kłamała, to prędzej czy później konie z Whistledown i sama farma zostaną i tak sprzedane.

A skoro taka jest sytuacja i nie ma wyjścia, trzeba się z nią pogodzić i zacząć coś planować.

Po pierwsze należy jak najlepiej ulokować konie. Z każdym były inne problemy, od najcenniejszego - Marzyciela, drażliwego dwulatka po Panu Odkrywcy - do najmniej wartego. Dwunastoletni Sulejman, który nigdy nie przybiegł do mety wcześniej niż trzeci, kosztowałyby może z tysiąc dolarów.

Joe miał zamiar sam odkupić Sulejmana. Tysiąc dolarów zdoła wyłożyć. A Srebrzysty Cud, warta pewnie z pół miliona? Może o niej tylko pomarzyć. Chyba że - istnieje taka możliwość - udałoby się zebrać grupę inwestorów i jakoś się z nimi dogadać.

Jakie są na to szanse?

Jeśli chodzi o jego własne finanse, przewidywał, że będzie musiał się rozejrzeć za innym źródłem zarobku. Mógłby przyjąć do stajni więcej koni niż teraz; po odejściu tych z Whistledown zostanie mu dużo wolnych boksów. Mógłby poszukać stanowiska zarządcy na innej farmie, ale w okolicy, o ile wiedział, wszystkie posiadłości, które wymagały administratora, już takiego miały. Zamiast pracować jako prywatny trener, mógłby otworzyć dużą stajnię i trenować konie dla różnych właścicieli. Ale stworzenie dochodowej stajni wymaga czasu, a prócz tego Joe musiałby często wyjeżdżać. A częste podróże to coś, co chciałby robić tylko w ostateczności, ponieważ miał trójkę dzieci, o które musiał zadbać.

Dobrze wiedział, że szczególnie chłopcy wymagają obecności ojca w domu, nawet bardziej gdy mają kilkanaście lat, niż kiedy byli dziećmi.

Oczywiście zawsze mógłby znaleźć pracę w fabryce Budda, miejscowym gigancie produkującym części do maszyn. Albo w fabryce Forda w Louisville. W obu płace były niezłe. Świadczenia socjalne też.

Joe wykrzywił wargi. Jako dziewiętnastolatek miał mnóstwo planów: chciał zostać wybitnym trenerem koni i uważał, że ma wszystko, czego trzeba, by zostać jednym z najlepszych i należeć do elity. Marzył o wygranych we wszystkich wielkich gonitwach, o Derby, Pucharze Hodowców, a nawet o Potrójnej Koronie. Potem jednak pojawiła się Laura i dzieci, i nastąpiła katastrofa, którą zakończyło się jego małżeństwo. I wreszcie, gdy przyszło mu wybierać między zapewnieniem dzieciom opieki i troski a realizacją własnych marzeń, dzieci wygrały. Gdy

przyjął pracę u Charlesa Haywooda, myślał, że znalazł zadowalający go kompromis: stałą pensję i wyzwanie - stworzenie pierwszorzędnej stajni wyścigowej za czyjeś pieniądze. Teraz, mając lat trzydzieści siedem, zbierał plony swych starań: stajnia, nad której powstaniem tak ciężko pracował, zostanie mu odebrana, ponieważ, tak naprawdę, nie należy przecież do niego, a Joemu pozostaje tylko zastanowić się, czy nie podjąć pracy w fabryce, żeby utrzymać dzieci.

Powinien był przewidzieć nadchodzące niebezpieczeństwo już wtedy, gdy znalazł ciało Haywooda. Zapewne przeczuwał je, tylko nie chciał tego przyjąć do wiadomości. A gdy dzisiaj tak niespodziewanie pojawiła się Alexandra Haywood, wiedział od pierwszej chwili, gdy tylko ją zobaczył, że ta wyjątkowa wizyta w Whistledown nie wróży niczego dobrego.

„Której konkretnie części „zwalnim pana, nie potrafi pan zrozumieć?” - zapytała go z ironią.

A jego natychmiastową reakcją była myśl: Ty mała, zadowolona z siebie suko.

I pomyśleć, że w czasie pogrzebu Haywooda, na który poleciał do Filadelfii, czuł dla niej współczucie. Szanował swego pracodawcę i lubił go. Obaj pragnęli tego samego: zrobić z Whistledown jedną z najlepszych stajni wyścigowych w kraju. W czasie tych dwóch miesięcy każdego roku, kiedy Haywood przebywał na farmie, spędzali razem dużo czasu; właściciel i trener, rozmawiali o koniach, o stajni. Pan Haywood często wspominał starszą córkę, opowiadał różne anegdotki o jej wyczynach, chwalał mądrość i urodę młodej kobiety. Pewnego dnia, powtarzał zawsze, pewnego dnia, kiedy jeszcze trochę dorośnie i porzuci wszystkie te bzdury o sztuce, których się nasłuchiwała podczas studiów w college'u, zdecyduje się pracować dla ojca, a wtedy on nauczy ją wszystkiego, by mogła kiedyś przejąć ster firmy Haywood Harley Nichols; taka z niej mądra dziewczyna.

Joe pozwalał, by te historyjki wpadały mu jednym uchem, a wypadały drugim i nie zwracał na nie uwagi, zrzucając owe pochwały na karb zrozumiałego rodzicielskiego zaślepienia. I dlatego był nieco zaskoczony, ujrawszy Alexandrę Haywood po raz pierwszy na pogrzebie, odkrył bowiem, że istotnie jest tak urocza, jak mówił jej ojciec. Wysmukła blondynka w dopasowanym, czarnym kostiumiku, piękna tą arystokratyczną, onieśmielającą urodą, od razu przykuła jego wzrok, gdy szła w stronę pierwszej ławki w kościele w towarzystwie macochy i siostry, gdy już pozostali żałobnicy zajęli miejsca.

Nie był pewien, czy to rzeczywiście ona, aż do przyjęcia, które odbyło się po ceremonii, domyślał się jednak, że może to być tylko Alex, ukochana córka Charlesa Haywooda. Obserwował ją cały czas w trakcie ceremonii. Była pogrążona w głębokim żalu. Siedziała pomiędzy siostrą a szczupłym, ciemnowłosym mężczyzną w drogim garniturze - to zapewne ten narzeczony, który ją wczoraj porzucił. Twarz miała białą i nieruchomą, jak wykutą z marmuru. Wysłuchiwała słów księdza prowadzącego nabożeństwo, potem zaś rumianego mężczyzny, który wygłosił mowę, i śpiewów chóru, a jej twarz pozostała taka sama, choć po policzkach spływały ciche łzy. Później, w czasie przyjęcia w wielkiej, zbudowanej z kamienia rezydencji Haywoodów - marmury na podłogach i pełno kwiatów w olbrzymich pokojach - Joe snuł się tu i tam, póki nie udało mu się złożyć Alexandrze kondolencji, chociaż czuł, że pasuje tutaj jak wół do karety. Znajdowali się tu dziwni ludzie, których nie znał, podano dziwne jedzenie, które mu nie smakowało (przypomnił sobie wędzonego łososia i kawior na małych, trójkątnych grzankach), jakiś pianista grał przyjemne dla ucha melodie, a młoda i piękna wdowa po Haywoodzie co jakiś czas przechodziła przez salony i dziękowała wszystkim za przybycie. Joe porozmawiał z kilkoma gośćmi, popróbowował jedzenia, złożył kondolencje wdowie i wypatrywał starszej córki zmarłego szefa. Pojawiła się w końcu, z czerwonymi obwódkami wokół oczu, ale usta miała zaciśnięte, jakby powzięła mocne postanowienie, że nie będzie płakać. Podszedł do niej, przedstawił się, uściśnął dłoń, którą do niego wyciągnęła, i wyraził swój żal z powodu śmierci ojca oraz swój podziw dla zmarłego.

Lecz kiedy Alexandra pojawiła się dzisiaj w jego stajni, od razu było widać, że zupełnie nie pamięta ich wcześniejszego spotkania. Cóż, nie miał jej tego za złe. Rozpacz i ból nie były mu obce i wiedział, co mogą uczynić z ludzkim umysłem.

I choć był wściekły, że go zwolniła, znów, niechętnie, poczuł przyptyw współczucia dla niej, gdy błagała o szczegóły dotyczące znalezienia zmarłego. Widział wyraźnie, że śmierć ojca ją przybiła. Joe uznał, że całe lata zajmowania się wszystkimi i wszystkim wyrobiły w nim odruch współczucia dla kobiet i dzieci. Usiłował przeciwdziałać jakoś temu impulsowi - który w obecnej sytuacji tylko by mu zaszkodził, gdyż mógłby go skłonić do odstąpienia od stanowczych wysiłków, by pozostać w Whistledown, jak długo się da - i dlatego zapewne odnosił się do niej bardziej ostro niż powinien. A kiedy jego opowieść wyraźnie jeszcze bardziej ją przygnębiła, w myśli przeklinał sam siebie, że uległ prośbom tej kobiety. Wreszcie, gdy się upierała, musiał powiedzieć sobie, że Alexandra Haywood to nie jego problem, i po prostu odszedł.

Ma dość własnych zmartwień i nie musi brać na siebie jeszcze czyichś kłopotów.

Zaangażował się tak mocno w rozwój stadniny Whistledown, a teraz w jednej chwili zniweczono wszystkie jego plany i marzenia.

Doszedł do wniosku, że to właśnie najbardziej go martwiło. Nie utrata pracy, zarobków i wszystkiego, co się z nią wiązało, choć te sprawy też były istotne. Najbardziej jednak żal mu było utraty marzeń.

A więc oto on, trzydziestosiedmioletni facet z trójką dzieci, został postawiony przed faktem, że musi wszystko zacząć od nowa.

Boże, co za przygnębiająca myśl.

Nie będzie dłużej o tym myślał. Dosyć. Nie dziś. Można poczekać do jutra i dopiero wtedy zacząć planować przyszłość od nowa.

Obrócił się na brzuch i walnął pięścią w poduszkę - dużo mocniej, niż tego wymagało nadanie jej odpowiedniego kształtu - i po raz kolejny spróbował zasnąć.

- Boże, zamarznę na kość! Alex, pośpiesz się!

Szum szalejącej ulewy tłumił słowa Neely, tak że Alex ledwo mogła je zrozumieć. Strugi deszczu chłostały ziemię. Z nasiąkniętego wodą gruntu zapach mokrego błota unosił się wokół jak mgła. Błoto z każdym krokiem wysysało buty i czyniło każdy krok bardziej wyczerpującym, niż gdyby próbowała biec przez głęboki, sypki piach. Noc była mroczna, rozświetlały ją jedynie aż nazbyt częste światła błyskawic. Strach przed pościgiem ustępował - nawet maniackalny zabójca dobrze się zastanowi, zanim zaryzykuje spacer w taką ulewę - ale cień lęku mimo wszystko pozostał.

Alex podniosła oczy - przed największymi strumieniami wody chronił ją koc, okrywający ją teraz jak płaszcz z kapturem o grubo zrolowanym brzegu. Zobaczyła ciemną postać, otuloną kołdrą - była to Neely, która właśnie przerzuciła nogę przez górną deskę czarnego ogrodzenia; Alex dopiero do niego dotarła. To już drugi płot, przez który muszą przejść. Siostra, ubrana we flanelową piżamę, miała łatwiejsze zadanie niż Alex w długiej nocnej koszuli.

Czy naprawdę wydawało jej się, że to taka prosta sprawa, biec po pomoc do domu zarządcy?

W każdej chwili kolana mogły odmówić jej posłuszeństwa, a głowa bolała wściekle. Pożytek z lodowatego deszczu był taki, że już dawno przestała odczuwać pulsowanie rany na potylicy. Minus zaś stanowiło to, że przemokła już do suchej nitki i przemarzła do szpiku kości: była tak zdrętwiała z zimna, że wątpiła, czy poczuje, jeśli przypadkiem wbije sobie w rękę gwóźdź.

Neely zesła na ziemię po drugiej stronie i zatrzymała się, czekając na siostrę. Skulona pod przemokniętą kołdrą, z bladym owalem twarzy ledwo zarysowanym w ciemności, gdy zwróciła się ku Alex, była prawie niewidoczna za srebrzystą zasłoną padającego deszczu.

- Idź naprzód beze mnie! - Alex musiała krzyczeć, żeby dziewczyna ją usłyszała.

Huk ulewy był wręcz ogłuszający, ale Neely najwyraźniej zrozumiała, bo odwróciła się i zniknęła w ciemności. Przez chwilę, tylko jedną chwilę, Alex pozwoliła sobie na odpoczynek. Pochyliła głowę, by ochronić ją przed deszczem, i oparła się o płot, usiłując złapać oddech. Strugi wody przenikały przez całkiem przemoczony koc i spływały po jej ciele, nie napotykając oporu, jakby Alex stała tam naga. Uprzytomniła sobie, przed czym ucieka - świszający oddech, zapach spalenizny, obecność w domu kogoś obcego, kto być może właśnie teraz ją goni - i to wspomnienie dodało jej siły do dalszej walki.

Zagrzmiało. Błyskawica przecięła niebo, po czym z hukiem głośnym niczym eksplozja gdzieś przerażająco blisko uderzył piorun. Alex ruszyła naprzód. Wyszarpnęła jedną nogę z błotnistej brei, energicznie podciągnęła koszulę za kolana, z trudem poprawiła na sobie koc i wspięła się na ogrodzenie. Deski były szorstkie w dotyku i pełne drzazg, ale też śliskie od spływającej po nich wody. Stopy w butach na skórzanej podeszwie zsuwały się z wąskich listew. Deszcz zaciął tak mocno, że uderzenia kropel w gołe nogi sprawiały ból. Przerzuciwszy nogę przez górną deskę płotu, Alex uniosła wzrok i zobaczyła biały dom Welcha mający niewyraźnie na wzniesieniu tuż przed nią. Jeszcze tylko kawałeczek...

Domyślała się, że Neely pewnie w tej chwili ślizga się i brnie przez błoto na ostatnim odcinku dzielącym ją od schronienia: na podwórku przed wejściem.

Potem spadła.

Stało się to tak nagle i niespodziewanie, że nie zdążyła nawet krzyknąć. Obsunęła jej się stopa i Alex poleciała w dół, by z głuchym łomotem wylądować na plecach w błocie. Uderzyła głową o coś twardego i po raz drugi tej nocy zobaczyła wszystkie gwiazdy. Przez chwilę po prostu leżała tam, gdzie upadła, zbyt oszołomiona, by się ruszyć, wydana na pastwę chłoszczącej ulewy. Koc zahaczył o coś i zsunął się z jej ramion, gdy leciała w dół; powiewał teraz na płocie niczym biała flaga.

Krople deszczu kłuły jej skórę jak tysiące lodowatych igieł. Piersi, przedtem okryte, teraz były boleśnie odsłonięte. Przetoczyła się na brzuch, by, o ile to możliwe, osłonić ciało przed deszczem, po czym podsumowała sytuację.

Uderzyła głową o najbliższy pal ogrodzenia; dostrzegła to, rozejrzawszy się dookoła. Dwa ciosy w głowę to za dużo jak na jedną noc: Alex nie była w stanie nawet spróbować się podnieść. Kręciło jej się w głowie i cała się trzęsa. Ciemność zdawała się falować i kołysać wokół niej. Krople deszczu tańczyły i skakały, odbijając się od rozmoczonej ziemi. Alex powiedziała sobie, że to tylko na chwilkę, zamknęła oczy i złożyła głowę na skrzyżowanych ramionach.

Po krótkim czasie, może kilka sekund czy minut później, rytmiczny dźwięk mlaskającego błota, coraz głośniejszy, kazał jej spojrzeć w górę. Nie do końca przytomna, zobaczyła, że leży w lodowatej kałuży wody i błota, a po jej plecach bębni jeszcze zimniejszy deszcz. Całą skórę miała ścierpniętą; na tle ciemnego gruntu jej

ramiona - czyli jedyna część ciała, którą dostrzegła w tej pozycji - miały niemal trupi wygląd. Wszędzie unosił się ostry jak tanie perfumy zapach mokrego torfu. Oslaniając oczy dłonią, Alex z pewną trudnością skupiła wzrok na zbliżających się butach jakiegoś mężczyzny. Zrozumiała, że to one wydają ów mlaskający odgłos, w chwili gdy zatrzymały się parę centymetrów przed jej twarzą. Nawet przez srebrzysty welon wody widziała, że są olbrzymie i ubłocone...

Strach uderzył w jej wszystkie otepiałe zmysły, gdy uprzytomniła sobie, że ktoś był przecież w domu, w jej sypialni...

Gramoląc się na kolana, z trzepoczącym sercem spojrzała w górę przez strugi deszczu na wysoką, ciemną postać wyłaniającą się z mroku i górującą ponad nią tak złowieszczo...

- Co pani sobie wyobraża, że to błotna kąpiel?

Ten głos, wyraźny mimo hałasu ulewy, brzmiący po równo wściekłością i zniecierpliwieniem, niespodziewanie napelnił Alex ulgą. Stał przed nią nie maniakałny zabójca, którego na wpół oczekiwała, lecz Joe Welch, jak zawsze niemily i opryskliwy, lecz tym razem również dający jej poczucie bezpieczeństwa. Woda spływała po nim tak obficie, jakby ktoś stał gdzieś obok nich w górze z wycelowanym w czubek jego głowy węzłem strażackim z kurkiem odkręconym na maksimum.

- Upadłam - odrzekła w chwili, gdy pochylił się, chwycił ją całkiem niedelikatnie pod pachy i postawił na nogi.

Kolana zdrząły jej w proteście, w głowie zawirowało, i Alex zwiśla mu w rękach, łapiąc mokre poły jego koszuli obiema rękami i dziękując Bogu, że ma się czego chwycić. Odruchowo pochyliła twarz, chroniąc się przed deszczem, i w efekcie oparła czoło o szyję mężczyzny. Spojrzała, że nie zapiął koszuli do samej góry i odwracając głowę, poczuła pod policzkiem szorstkie włosy na piersi swego wybawcy. Doszedł ją słaby zapach ostrego mydła i mokrego ubrania. Zlana deszczem skóra była chłodna w dotyku, ale podtrzymujące Alex ręce okazały się bezpieczne i silne. Ten człowiek wydał jej się ogromny, stanowczy i wystarczająco silny, by poradzić sobie z każdym nieproszonym gościem. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo się boi, dopóki strach jej nie opuścił. Może i Welch jej nie lubi, ale zapewni jej bezpieczeństwo.

- Ktoś obcy był w domu... - wychrypiała.

- Nie teraz!

Krzyczeli do siebie, a raczej to on krzyczał. Własny głos brzmiał o wiele słabiej w jej uszach niż słowa Joego i wątpiła, czy w ogóle coś zrozumiał. Nim się zorientowała, co on chce zrobić, pochylił się, jedną ręką objął ją za ramiona, drugą wsunął pod kolana i podniósł Alex. Obrócił się, trzymając ją i niosąc z taką łatwością, jakby nie ważyła więcej niż dziecko, i ruszył ku domowi. Szedł szybko, długimi krokami; jego głowa i ramiona pochyłały się nad nią opiekuńczo, żeby - jak podejrzewała - osłonić ją przed deszczem, jeśli to możliwe. Nieco zmieszana faktem, że musi przyjąć taką pomoc, Alex mimo wszystko uległa konieczności i przywarła do swego wybawcy, oplatając rękami jego szyję.

## Rozdział dwunasty

W otwartych drzwiach stali jacyś ludzie. W ciemności widać było jedynie ich ciemniejsze sylwetki i blade plamy twarzy, gdy obserwowali, jak Welch niesie Alex żwawo w górę po stopniach prowadzących na zadaszoną werandę. Alex czuła się cudownie już przez sam fakt, że nie jest wystawiona na bolesne uderzenia kropli deszczu. Z ulgą spoczywała bezsilnie w ramionach swego wybawcy. Jasny promień światła skakał po jej postaci: przynajmniej jedna osoba z tłoczącej się przy wejściu grupy miała latarkę. Spojrzawszy w dół, Alex nagle uświadomiła sobie, że okrywa ją przemoczona koszula nocna. Cienki, mokry jedwab kleił się do ciała jak folia samoprzylepna. Pod materiałem wyraźnie rysowały się jej piersi i sutki ściągnięte z zimna - tak samo jak i cała reszta sylwetki. Gdyby nie panujący mrok, wyglądałaby nieprzyzwoicie.

- Świeć pod nogi - zwrócił się Welch do kogoś, kto trzymał latarkę, zdobywając sobie tym dozwoloną wdzięczność Alex; jasny promień skierował się w dół. Stojący cofnęli się przed nimi i mężczyzna wszedł do środka. Alex złożyła głowę - zbyt ciężką teraz, by ją utrzymać prosto - na jego szerokim ramieniu. Była przemarznięta, osłabiona i zbierało jej się na mdłości. Gdyby Joe Welch po nią nie przyszedł, chyba nie udałoby jej się wstać z kałuży i samodzielnie dotrzeć do bezpiecznego domu.

Miała wobec niego dług wdzięczności.

- Alex, nic ci nie jest? - Neely przepchnęła się do przodu i położyła rękę na ramieniu siostry. Szczękała zębami i jej słowa przeplatały się z dźwiękiem cichego stukania. Alex była tak przemarznięta, że prawie nie czuła dotyku niemal tak samo lodowatych palców dziewczyny. - Co się stało? Myślałam, że jesteś tuż za mną.

- Obsunęłam się i spadłam, przechodząc przez płot. Nic mi nie jest. Tylko mi zimno.

Nie mówiła tak mocnym głosem, jak zazwyczaj i także szczękała zębami. Ciepło panujące w domu przenikało ją całą, ale to nie wystarczało: wstrząsały nią gwałtowne dreszcze i drżała w ramionach Welcha. Nadal mocno przyciskał Alex do piersi, jak gdyby chroniąc przed deszczem, a ona garnęła się do niego niemal zachłannie, usiłując wchłonąć odrobinę ciepła wytworzonego przez ich stykające się ciała. Jednak gdy Neely wraz z resztą obecnych patrzyła uważnie na nich oboje, Alex zdała sobie nagle sprawę z potencjalnej dwuznaczności tej sytuacji. Poruszyła się w ramionach mężczyzny, niemo prosząc, by postawił ją na ziemi. Zrobił to natychmiast, lecz jedną ręką nadal podtrzymywał Alex w pasie. Po twardych, napiętych mięśniach ramienia spływała woda.

Mózg Alex zakołysał się ostrzegawczo, gdy jej nogi dotknęły podłogi pośród strumieni wody lejącej się raczej niż kapiącej z nich obojga. Kolana nie wytrzymały jej ciężaru i zachwiała się nagle. Gwałtownym ruchem chwyciła przemoczoną flanelową koszulę Welcha i oparła się ciężko o niego - jak o stojący najbliższy stabilny przedmiot.

- Wszystko w porządku? - zapytał.

Nim zdążyła odpowiedzieć, prosto w twarz trafił ją snop światła latarki. Alex skrzywiła się i zamknęła oczy. Mężczyzna objął ją mocniej w pasie, przyciągając do siebie, a drugą ręką osłonił jej oczy.

- Josh, mówiłem, żebyś świecił w dół! - odezwał się ostro.

- Przepraszam - odezwał się młody męski głos. Alex przypomniała sobie wygolonego nastolatka ze stajni i doszła do wniosku, że dookoła nich stoją dzieci Welcha oraz Neely. Coś włochatego otarło się o jej kostki. Przestraszona przesunęła nogę i spojrzała w dół: zobaczyła małego, grubego psa, węszącego wokół jej butów.

- Upadła już wcześniej, w domu. Może naprawdę coś sobie zrobiła - powiedziała z troską Neely do Welcha.

Alex odwróciła głowę. Jej policzek spoczywał na zimnej, mokrej flaneli, okrywającej pierś mężczyzny. Słyszała równe bicie jego serca. Neely stała w kompletnym cieniu, choć światełka latarek, chaotycznie omiatające pomieszczenie, pozwoliły Alex na krótko zobaczyć mokre kosmyki zwisające w nieładzie po obu stronach mokrej od deszczu twarzy i otwarte szeroko oczy siostry.

- Chłopcy, macie więcej latarek, prawda? - zapytał Welch.

- Mamy trzy. - Teraz odezwał się inny chłopiec, wysoki i, sądząc po głosie, starszy od poprzedniego.

- Daj mi jedną.

Latarka zmieniła właściciela; snop światła omiatał sufit, gdy Joe brał ją z rąk jednego z synów. Potem, ku zaskoczeniu Alex, ponownie wziął ją na ręce bez słowa i ruszył w głąb mrocznego wnętrza.

- Nie trzeba... - protestowała, chwytając go za szyję, jakby chodziło o jej życie.

Nagły ruch w górę znów wywołał zawroty głowy. Urwała, nie kończąc zdania; opuściła głowę, czując, że musi się oprzeć na ramieniu swego wybawcy, dopóki świat wokół niej się nie zatrzyma. Choć ten mężczyzna ma poważne wady, jest silny jak wół, pomyślała i nagle odkryła, że to duża pociecha.

- Ja uważam, że trzeba - odrzekł, jakby tylko jego zdanie się liczyło. W normalnych warunkach tak zimna pewność siebie tylko by ją zirytowała, ale w obecnej sytuacji Alex chętnie pozwoliła, by zlekceważono jej opinię. Welch wniósł ją schodami na górę prosto w kompletny mrok, który skrywał piętro, po drodze przez ramię rzucając rozkazy:

- Eli, wyjmij spod zlewozmywaka lampy namiotowe. Josh, skombinuj mi jakieś dodatkowe ręczniki. Zajrzyj do suszarki, włożyłem wczoraj pranie, zanim poszliśmy spać. Jen, ty zaprowadź Neely do łazienki chłopaków. Chłopcy, upewnijcie się, że dziewczęta mają tam światło, a potem niech Eli przyniesie lampkę i ręczniki do mojej sypialni.

Chór posłusznych odpowiedzi niósł się za nimi po schodach. Alex zdziwiła się, nie słysząc ostrych „tajest!”, którym zwykle towarzyszy żołnierski stukot obcasów.

U szczytu schodów Welch skręcił w lewo i szybko przeszedł wąski korytarzyk. Jego ciężkie buty przy każdym kroku wydawały mlaszczące dźwięki, co przypominało Alex, że on także jest przemoczony i prawdopodobnie, tak jak ona, przemarznięty.

Choć niewątpliwie był autokratycznym impertynentem, mimo wszystko przyszedł jej na ratunek, poświęcając własną wygodę, i potrafiła to docenić.

- Czy telefon u was działa? - wykrztusiła, szcękając zębami. Nie mogła powstrzymać drżenia. Słabe ciepło, wytworzone przez ich dotykające się ciała, i wyższa temperatura w domu nie zlikwidowały przenikającego ją do szpiku kości chłodu. Mimo fizycznych dolegliwości czuła, że wypadki, z powodu których uciekła z Whistledown, wymagają natychmiastowego działania. - Musi pan zadzwonić po straż pożarną. I na policję. Neely i ja poczułyśmy dym, poza tym... poza tym ktoś był u nas w domu.

- Tak mówiła pani siostra, kiedy przybiegła tu i waliła w drzwi. - Najwyraźniej nie zrobiło to na nim wrażenia: skręcił w drzwi na końcu korytarza, przeszedł przez pokój i wszedł do wyłożonej białymi kafelkami łazienki. W świetle podskakującej latarki zobaczyła, że pomieszczenie jest niewielkie, praktycznie urządzone, z dużą, przeszkloną kabiną prysznicową zamiast wanny. - A teraz niech się pani trzyma. Muszę panią postawić.

Znów opuścił ją na podłogę, ostrożnie podtrzymując ramieniem w pasie, a jednocześnie ustawił pionowo latarkę, blokując ją paczką chusteczek higienicznych, żeby się nie stoczyła. Niewielka lampka oświetlała nieco pomieszczenie, choć kąty łazienki i sufit kryły się w mroku. Z obojga z pluskiem skapywała woda, tworząc na podłodze błotnistą kałużę. Alex zobaczyła, że mężczyzna ubrany jest w tę samą koszulę w szaro-czerwonej kratę, którą nosił wcześniej, oraz w dżinsy i buty robocze. Wszystkie rzeczy nasiąkły wodą, a koszulę i spodnie pokrywało błoto. Alex była w równie opłakanym stanie. Długie szare smugi zabrudziły jej nocną koszulę, miała wysmarowane ziemią ramiona i zapewne również twarz. Także i jej buty oblepiała skorupa błota, jedwabna koszula zaś przykleiła się dokładnie do piersi i brzucha i owinęła wokół nóg, ujawniając każdy szczegół szczupłego ciała: drobny biust i stwardniałe z zimna sutki, pępek, a także ciemny trójkąt między udami. Prerażona swą niemalże nagością, odruchowo odwróciła się od mężczyzny.

- No już, spokojnie - powiedział, całkiem tak, jakby miał do czynienia z nerwową kłaczą.

Kiedy się poruszyła, podprowadził ją do prysznica, trzymając rękę na jej biodrze. Dłoń miał dużą, o długich palcach, i już dość ciepłą, tak że Alex czuła ją przez mokry jedwab. Końce palców lekko przyciskał do jej ciała.

- Nic mi nie jest.

Ale to nie była prawda. Alex odkryła, że nie należało tak gwałtownie się poruszać. Znowu poczuła zawrót głowy i mdłości, kolana prawie się pod nią ugięły. Zatoczyła się lekko, robiąc kolejny krok. Mężczyzna napiął mięśnie; jego ramię przyciągnęło ją bliżej jak żyłka wędkę rybę. Mózg Alex wirował: jeszcze raz osunęła się na szeroką pierś Joego Welcha, rezygnując z wysiłków, by stanąć samodzielnie na nogach.

- Właśnie widzę - odpowiedział sucho. Podtrzymując ją bezpiecznie jednym ramieniem, drugim sięgnął do kurków prysznica i odkręcił je.

- Trzeba wezwać straż pożarną - nalegała Alex z ustami wciśniętymi w jego koszulę.

Ciepło jego ciała ujawniało się nawet przez wilgotne ubranie i odruchowo przyciskała się do mężczyzny, podczas gdy całym jej ciałem nadal szarpały fale dreszczy. Pokusa zawarta w poszumie gorącej wody zaledwie parę centymetrów dalej wabiła i drażniła.

- I policję!

- Linia telefoniczna jest zerwana - odpowiedział, podstawiając wolną rękę pod strumień wody, najwyraźniej po to, by sprawdzić temperaturę. - Kiedy już doprowadzimy panią i pani siostrę do porządku, pójdę do rezydencji i rozejrzę się tam. Jeśli Whistledown naprawdę się pali, to w tym momencie parę minut nie zrobi różnicy. A jeśli ktoś jest w budynku, potrafię doskonale sam sobie z nim poradzić.

Alex w to nie wątpiła.

- Nie ma pan komórki? - zapytała, gdy wyjął rękę spod wody, zasunął prysznic, a następnie sięgnął za plecy i zamknął drzwi do łazienki. Z brodziku buchała para, osiadając na szklanej osłonie. Alex obrzuciła ją tęsknym spojrzeniem.

- Zasięg jest tu słaby. Nie ma sensu.

Spojrzał w dół, na nią. Jego czarne włosy lśniły, mokre i przyglądzone jak futro foki, wyostrowając ostre rysy twarzy. Miał wysokie czoło, prosty nos, niezbyt duży, mocne wargi bez uśmiechu i kanciastą szczękę. Skóra nie straciła jeszcze brązowego odcienia, na policzkach i podbródku czernił się słaby zarost. Oczy miały niemal kolor wody przy tym nieostrym świetle. Na jednym policzku i z boku nosa swego wybawcy Alex zauważyła smugę błota. Wydawał się dużo większy od niej, a także postawniejszy, a jego ciało było ciepłe i twarde. Ku własnemu zaskoczeniu Alex poczuła, jak gdzieś, w głębi niej budzi się słabiutka reakcja na niego jako mężczyznę: zapatrzyła się w jego twarz szeroko otwartymi oczami.

- Coś się dzieje? - zapytał, marszcząc brwi.

- Nie - zdołała odpowiedzieć.

- No dobrze, weźmy się do rozgrzewania.

Jeśli on również odczuwał jakieś podniecenie, to nie dał tego po sobie poznać. Pochylił się, ponownie wziął Alex na ręce, jakby ona sama nie miała tu nic do powiedzenia - i zapewne tak właśnie było w tej chwili. Potem, nadal kompletnie ubrany, wszedł z nią pod prysznic. Gorące strugi, jakże pożądane, spływały po nich gwałtownie. W odpływie wirowała brązowa woda, zabierając ze sobą splukane z obojga błoto. Nadal wstrząsana dreszczami, Alex zacisnęła mocniej ręce na karku swego wybawcy, odchyliła głowę i wystawiła twarz na strumienie, zamykając oczy i usiłując jednocześnie opanować nagle pożądanie, jakie do niego poczuła.

To musi być czysto biologiczna odpowiedź na bliskość atrakcyjnego mężczyzny, wytłumaczyła sobie. Ale jest też dobra wiadomość: jej zmysły, niemal zmrożone po śmierci ojca, zaczynają działać. Zła wiadomość to ta, że są bardzo niewybredne w wyborze obiektu, na który reagują. Gdybyż to nastąpiło wcześniej, gdyby nie była tak oziębła dla Paula w ciągu tych kilku ostatnich, okropnych tygodni, może nie zwróciłby się ku Tarze Gould...

Przestań! - nakazała sobie ostro. Zabroniła sobie kiedykolwiek jeszcze myśleć o Paulu. Straciła go nieodwracalnie, tak jak ojca, a patrząc w przeszłość, widziała, że kochała go znacznie mniej niż zmarłego.

- Ciepłej? - odezwał się Welch niemal do jej ucha.

Alex nie chciała otwierać oczu. Ciężko było opanować te zmysłowe dreszcze, kiedy tak tkwiła w mocnych, męskich ramionach, przyciśnięta do mocnej, męskiej piersi; gdyby na dodatek widziała tuż nad sobą stanowcze rysy męskiej twarzy, byłoby jeszcze gorzej.

- Mhm-hm.

Czuła mrowienie w rozgrzewających się kończynach, szczególnie w zlodowaciałych nogach: było to tak, jakby wbijały się w nie dziesiątki drobnych igiełek. W niemym proteście podkurczyła palce u stóp i zaczęła nimi poruszać. Widocznie Welch odebrał ten ruch jako prośbę o postawienie na ziemi, gdyż opuścił jej nogi, aż stopami dotknęła brodzika. Zetknięcie ich ciał miało niespodziewanie erotyczny charakter. Alex otworzyła oczy i usta ze zdumienia. Joe Welch był zdecydowanie zbyt blisko, by mogła zachować spokój. Pochylał się nad nią, znowu chroniąc jej ciało przed naporem wody. Gdy spotkali się wzrokiem, odkryła, że jego oczy są ciemniejsze niż przedtem, a źrenice rozszerzyły się tak, że niemal pochłonęły jasne tęczówki. Błoto zniknęło z jego policzka i nosa, w miarę jak woda obmywała mu twarz. Alex mogłaby policzyć każdy włos na jego nieogolonym podbródku.

- Ma pani błoto na policzku - powiedział, ujmując ją pod brodę i wycierając brudne miejsce kciukiem. Gest ten

okazał się niespodziewanie poufały. Zbyt poufały, pomyślała Alex, by zachować przytomność umysłu, i odsunęła twarz.

- Pan też - zauważyła gardłowym tonem i z czystej chęci samoobrony odwróciła spojrzenie. Nie podobało jej się to, jak jej ciało reaguje na niego, a już na pewno nie chciałaby, żeby on się o tym dowiedział.

- Różnica jest taka, że ja przywykłem do błota.

- A skąd pan wie, że ja nie przywykłam? - Spojrzała na niego ponownie - nie była w stanie się powstrzymać. Przesunął wzrokiem po jej twarzy i uniósł jeden kącik ust w krzywym uśmiechu.

- Powiedzmy, że to przecucie - odrzekł, chwytając ją w pasie i ustawiając tak, by gorąca woda spływała jej po plecach.

Alex odkryła, że trudno jest bronić się przed naturalną reakcją ciała w takich warunkach. Raczej nie mogła ustać samodzielnie, a pomoc mężczyzny wymagała częstego kontaktu fizycznego. Czowała mocny uścisk jego rąk w talii: były potężne i silne, niemal zaborcze. Jej dłonie pozostały splecione na jego karku, a ramiona opierały się na twardych mięśniach i solidnej konstrukcji jego torsu. Jej ciało przywierało do jego ciała. Jej piersi, praktycznie nagie, nie licząc delikatnej osłony mokrego jedwabiu, przyciśnięte były mocno do mokrej flaneli okrywającej jego pierś. Choć zrobiło jej się już ciepło, brodawki pozostały twarde i wrażliwe na bliski kontakt z jego ciałem. Alex uświadomiła sobie, że rzeczywiście narasta w niej podniecenie, i to ją zaniepokoiło. Minęło tak wiele tygodni, odkąd czuła takie napięcie, a jeszcze więcej, odkąd czuła coś takiego w związku z seksem, więc teraz przeraziło ją owo przebudzenie własnych zmysłów, tym bardziej że nastąpiło w reakcji na tego właśnie mężczyznę.

Czy to ten sam gburowaty, niemożliwy facet, z którym parę godzin wcześniej nie mogła sobie poradzić? Jak to możliwe, że tak na nią działa?

- Proszę poczekać. - Puścił jej talię, by sięgnąć po mydło leżące na uchwycie przymocowanym do białych kafelków, wziął nakrapianą zieloną kostkę i namydlił ręce. Zapachniało ostro, ziołami. Już przedtem Alex czuła słabszą nutę tego zapachu na jego skórze; czy to „Irlandzka wiosna”? - zastanawiała się teraz.

- Niech pani zamknie oczy - rozkazał, przerywając jej rozmyślenia.

Gdy posłuchała, przesunął namydlonymi dłońmi po jej twarzy, palcami lekko masując policzki, nos i skórę wokół ust, aż dotarł do brody. Jego palce były nieco stwardniałe, a dłonie wręcz kwadratowe - ręce nawykłe do zarabiania na życie. Alex czuła zapach mydła mocniej niż kiedykolwiek w życiu. Szum prysznicza przypomniawszy jej o ulewie za oknem, tyle że uderzenia tych kropeł były gorące i przyjemne - jak dotyk dłoni Joego. Zauważyła, że nagle zaczęła oddychać ciężko, gdy wyobraziła sobie jego ręce w innych miejscach, zajęte czym innym.

- Niech pani przechyli głowę.

Ciepłe strugi obmyły twarz Alex, splukując mydło. Potem odwrócił ją tak, że najsilniejszy strumień padał na jej plecy i odłożył mydło na miejsce. Mruganiem odganiając kropelki, nadal spływające po twarzy, Alex otworzyła oczy i patrzyła, jak Welch sam się umył, trąc twarz obiema rękami, a następnie przechylił głowę tak, by woda usunęła pianę. Zafascynowana wpatrywała się w mocną, opaloną szyję mężczyzny, ostrą linię jego szczęk, twarde, pięknie wykrojone usta i czarne rzęsy.

Nic nie stało na przeszkodzie, by przycisnąć usta do jego szyi, rozpiąć koszulę i przesunąć dłońmi po jego piersi, zanurzyć dłoń w spodniach... Stop! - wrzasnęła na siebie w duchu, przerażona kierunkiem, w jakim biegną jej myśli. Oczywiście nie miała zamiaru zrobić żadnej z tych rzeczy, ale pożądanie wrzało w niej tak mocno, jak nigdy dotąd.

Dlaczego teraz? Czemu z nim? Te pytania krążyły po głowie Alex, gdy analizowała własne odczucia z satysfakcją i niemal z poczuciem winy. Jej ciało, okryte mokrym jedwabiem, ślizgało się na mokrej flaneli jego koszuli i sztywnym materiale spodni. Nie dawała sobie rady sama ze sobą, uległa więc pokusie, by przytulić się do niego i przycisnęła dyskretnie biodra do twardego uda mężczyzny. Wrażenie, jakie odniosła, stykając swe niemal nagie ciało z jego, ukrytym pod ubraniem, było nie do opisania. W jednym momencie zalała ją fala gorąca, puls przyśpieszył, mięśnie na brzuchu zesztyniały. Aż ogłuszyła ją siła tej biologicznej reakcji. Welch też nie pozostał niewzruszony. Podniósł głowę; ich oczy spotkały się i tak pozostały: jego były nieco zmrużone i ostrożne, jakby to, co się dzieje, zaskoczyło go tak samo, jak ją.

## Rozdział trzynasty

Joe Welch patrzył bez uśmiechu w dół, na Alex, przenosząc wzrok od jej oczu do ust. W odpowiedzi na to palące spojrzenie rozchyliła wargi i zadrzała.

Wtedy mrugnął powiekami, zacisnął wargi i odsunął ją lekko od siebie.

- Ma pani też błoto we włosach - zauważył obojętnym głosem.

Alex zorientowała się, że nie miał zamiaru ciągnąć dalej tego, co wynikało z powstałej między nimi bliskości, gdyż ustawił ją tak, by cała siła strumienia wody padała na czubek jej głowy, zapewne chcąc wyplukać wspomniane błoto. Ciepłe strugi uderzyły w zranione miejsce; w mózgu eksplodował ból i jęknęła. Wszelkie myśli natury seksualnej ulotniły się w sekundę, gdy szybko usunęła głowę spod prysznicza.

- Co się stało? - Znów patrzył na nią ze ściągniętymi brwiami.

- Głowa. Rozciąłam sobie głowę.



Palący ból wystarczył, by oderwać jej myśli od ciała mężczyzny, i poczuła się z tego zadowolona. Była tak przemarznięta, zmoczona i rozdygotana, że prawie zapominała o pierwszym uderzeniu w głowę. Teraz rana mściwie przypominała o swoim istnieniu.

- W jaki sposób? - Znów odwrócił ją tak, by głowa Alex była całkowicie osłonięta przed strumieniami wody, uderzającymi w jego plecy.

- Mówiłam już, że ktoś był w mojej sypialni, kiedy się przebudziłam. Spłoszyłam go i uciekł na korytarz, i... Myślę, że uderzył mnie w głowę jakimś przedmiotem. Na parę minut straciłam przytomność. Kiedy ją odzyskałam, ten ktoś zniknął i zorientowałam się, że z rany leci krew.

- I dopiero teraz zdecydowała się pani o tym powiedzieć? - W głosie Welcha brzmiała wściekłość. - Niech pani pokaże.

Alex posłusznie pochyliła głowę do przodu, starając się nie wystawiać rany na strugi wody, i jedną ręką rozsunęła mokre włosy, żeby Joe mógł zobaczyć, co się stało. Cały czubek czaszki palił ją i pulsował. Do tej pory, pomyślała, zranienie musiało być znieczulone zimnem.

- Widać?

Zagwizdał prawie niesłyszalnie.

- Nic dziwnego, że nie może pani ustać na nogach. - Dotknął palcami bolącego miejsca i Alex się skrzywiła. - Ma pani tu paskudne rozcięcie, a guz jest wielkości piłki do golfa. - Opuścił ręce. Odsuwając włosy, Alex podniosła głowę i spojrzała mu w oczy. - Chce pani powiedzieć, że ktoś panią zaatakował wewnątrz budynku? - W głosie Joego pobrzmiwał ślad zwątpienia.

Zjęzyła się cała.

- Chcę powiedzieć, że ktoś obcy był w mojej sypialni. Stał w nogach łóżka, kiedy się przebudziłam. Wyraźnie słyszałam, jak oddycha, każdy wdech i wydech, naprawdę głośno, o tak. - Zademontowała tamten dźwięk. - Wstałam i wypłoszyłam go na korytarz i... potknęłam się i dostałam w głowę. Myślę, że uderzył mnie właśnie ten ktoś, ale nie jestem pewna. Może sama o coś się zraniłam; było ciemno, bo nie ma prądu. Nic nie widziałam.

Przez chwilę Welch nie mówił nic, jakby, z lekko zmarszczonymi brwiami, próbował przeanalizować jej wyjaśnienia. Alex, zmęczona patrzeniem w górę, poddała się i zamknęła oczy, opierając policzek na jego piersi. Gorący prysznic przyjemnie ją rozgrzał, lecz w zamian musiała teraz znosić ostry, kłujący ból. Nie wiedziała już sama, co gorsze: ból czy przenikliwy chłód. Wiedziała natomiast, że eksplozja cierpienia w jej mózgu stłumiła nieco pożądanie, nie osłabiła jednak narastającej pewności, że na tym człowieku można polegać. Biorąc pod uwagę wydarzenia minionego dnia - przecież zwolniła zarządcę Whistledown z pracy, a on nie zareagował na to zbyt uprzejmie - z jakimś zaskoczeniem odkryła, iż bardzo chętnie zgadza się, by to Joe Welch radził sobie z obecną sytuacją tak, jak to uważa za stosowne. A przynajmniej zgadzałaby się, gdyby była pewna, że zrozumiał wagę wydarzeń, o których usiłowała mu opowiedzieć.

Otworzyła oczy.

- Proszę mi wierzyć, nie wymyśliłam sobie tego wszystkiego - oświadczyła kwaśno.

- Na pewno nie wymyśliła pani sobie tego ciosu w głowę - odparł z zadumą w głosie.

Zmrużyła oczy.

- Reszty też sobie nie wymyśliłam.

- Nie powiedziałem tego.

- Ale tak pan sugerował.

- Nie miałem takiego zamiaru. - Jego głos zabrzmiał kojąco, ich spojrzenia znowu się spotkały. - Proszę posłuchać, dojdziemy do wszystkiego po kolei, dobrze? Najpierw to, co najważniejsze. Wiem, że to boli, ale musimy przemyć ranę. Jak już mówiłem, ma pani pełno błota we włosach. Wytrzyma pani?

Na samo wspomnienie ostrego bólu, który towarzyszył poprzedniemu kontaktowi rany z bieżącą wodą, Alex była prawie gotowa odpowiedzieć „nie”. Ale wiedziała, że jej towarzysz ma rację, skrzywiła się więc i ledwo widocznie skinęła głową.

- Grzeczna dziewczynka. - Zanurzył ręce w jej włosach, delikatnie rozdzielając długie pasma i odsłaniając pokiereszowaną skórę. Alex ukryła twarz na jego piersi, zamknęła oczy i zacisnęła mu ręce na karku, w napięciu oczekując tego, co się zaraz stanie. - Zaczynamy - powiedział i znowu obrócił ją tak, że głowę miała pod silnym strumieniem wody. Ból uderzył natychmiast i mocno, ale już nie tak gwałtownie jak przedtem, ponieważ teraz była na niego przygotowana. Zagryzła wargi, by nie krzyknąć, gdy gorący prysznic spłukiwał wrażliwą ranę.

- I po wszystkim. - Odsunął jej głowę spod wody. Mocno objął Alex ramionami, chroniąc ją przed upadkiem, gdy kolana niemal się pod nią ugięły.

Oboje zdrygnęli się, słysząc głośne walenie do drzwi.

- Hej, tato, przyniosłem latarnię i ręczniki! - zawołał chłopięcy głos z drugiej strony.

- Dzięki, Eli! - odkrzyknął Welch. Spojrzał w dół, na Alex, z krzywym uśmiechem. - Myślę, że to dla nas sygnał do zakończenia kąpieli - powiedział i wziął ją na ręce, po czym wyszedł spod prysznica.

Mimo ciepłej wilgoci unoszącej się w powietrzu w łazience było chłodniej niż w buchającej parą kabinie i Alex natychmiast pożałowała utraty tak miłego ciepła. Poczowała dreszcze, już nie tak silne jak poprzednio, ale

łagodniejsze, wynikające z naturalnej reakcji na zmianę temperatury. Woda spływała z niej strumieniami, mieszając się z błotnistą kałużą na podłodze. Cała łazienka była zalana.

- Jak pani myśli, usiedzi pani przez chwilę sama na toalecie, nie spadając z niej?

- Tak.

Ból w czaszce nie wydawał się już tak przenikliwy, nie ustępował jednak, w dodatku było jej słabo i miała mdłości. Mimo to uznała, że się nie przewróci, pod warunkiem że nogi nie będą musiały utrzymać całego jej ciężaru.

Welch usadowił ją na pokrywie toalety i przez moment jeszcze trzymał za ramiona, aż uzyskał pewność, że Alex nie spadnie. Gdy ją puścił, pochyliła się do przodu, wsparła łokcie na kolanach, a głowę na dłoniach. Zamknęła oczy, wzięła kilka uspokajających, głębokich wdechów, mocno postanawiając, że nie da się pokonać ranie na głowie. Welch wahał się, Alex czuła na sobie jego wzrok.

- Wszystko w porządku - powiedziała, nie patrząc na niego.

Wydał powątpiewające mruknięcie, ale usłyszała, że odsunął się od niej i otworzył drzwi łazienki, a następnie poczuła powiew chłodnego powietrza. Znow przeszedł ją dreszcz; aż za dobrze zdawała sobie sprawę z tego, że jest całkowicie przemoczona i praktycznie naga, i nic nie chroni jej przed najmniejszym chociaż spadkiem temperatury czy, jeśli już o tym mowa, męskim spojrzeniem. Na szczęście w tej chwili Alex siedziała w bardzo skromnej pozycji, poza tym, jeśli chodzi o Joego Welcha, nie była pewna, czy została jej choć odrobina wstydu. Należało jednak przyznać, że ten mężczyzna nie wydawał się skłonny do wykorzystania jej bezbronności; chyba powinna mu to policzyć na plus.

Już po paru sekundach wrócił; owinał głowę Alex ręcznikiem, a następnie narzucił drugi, dłuższy i grubszy na jej plecy. Światło, którego źródłem była lampa pozostawiona w sypialni przez któregoś z chłopców, wpadało do łazienki przez uchylone drzwi, rozjaśniając trochę pomieszczenie.

Głębokie wdechy i wydechy pomogły Alex się uspokoić, tak samo jak upór i determinacja. Welch zaczął wyciskać wodę z końców jej włosów, potem mocno przycisnął zwinięty ręcznik do rany, zapewne, by powstrzymać krwawienie. Alex skrzywiła się i chwyciła go za rękę, ale nie krzyknęła.

- Sama to zrobię - oświadczyła, otwierając oczy i siadając prosto, tak żeby plecami oprzeć się o zimny, porcelanowy zbiornik wody. By dowieść tego, co powiedziała, przycisnęła ręcznik do rany i przytrzymała go - dużo słabiej, niż robił to Joe.

Welch popatrzył przez chwilę, a potem wrzucił ramionami i odstał od niej. Alex jeszcze przez chwilę przytrzymała ręcznik na głowie, po czym go obejrzała. Nie przypuszczała, że rozcięcie krwawi aż tak bardzo, poza tym bezpośredni nacisk na zranione miejsce sprawiał jej ból. Szybkie spojrzenie na włochaty, biały materiał dowiodło, że jest już cały splamiony krwią, a palce po bardzo ostrożnym obmacaniu rany zrobiły się lepkie i ciemne. Zwinęła ręcznik jak kompres i przyłożyła do guza. Potem, pochyliwszy się do przodu, starannie owinęła głowę drugim ręcznikiem, by utrzymać na miejscu ten prowizoryczny opatrunek. Kiedy się wyprostowała i poszukała wzrokiem Welcha, właśnie unosił ociekające wodą brzegi koszuli. Nie trując się przeciskaniem guzików przez dziurki, po prostu ściągnął ją przez głowę. W tej samej sekundzie Alex zorientowała się, że wpatruje się w nagi, męski tors - tak pociągający, że niemal zapomniała o bólu.

- Co pan robi? - zapytała z ostrożną uprzejmością, gdy mokra koszula z cichym plaśnięciem upadła na posadzkę.

Spojrzenie Alex ślizgało się po ciele mężczyzny i nic nie mogła na to poradzić. Najwyraźniej nie bał się ani ciężkiej, fizycznej pracy, ani regularnych ćwiczeń, a może obu tych rzeczy naraz. Miał masywne ramiona i wypukłe bicepsy. Muskulatura klatki piersiowej była mocno zarysowana, brzuch zaś płaski, z widocznymi mięśniami. W porównaniu z węzlastym, szerokim torsem Welch miał wąskie biodra; przez środek klatki piersiowej przebiegał ciemny pas gęstych, kręconych włosów.

Jak go opisała Neely? Seksowny? Siostrzyczka nie wiedziała nawet w połowie, o czym mówi.

- Zdejmuję ubranie - wyjaśnił, jakby rozbieranie się na jej oczach było najnormalniejszą rzeczą pod słońcem. - Tak jakby jestem przemoczony, jeśli pani tego nie zauważyła. Proszę.

Rzucił jej jeszcze jeden ręcznik ze stosu, który przyniósł ze sobą i upchnął na wieszaku na ręczniki. Ten był tak duży, że okrywał Alex jak mały koc. Więcej już się nie odzywała, tylko zarzuciła go sobie na plecy i zacisnęła z przodu brzegi obiema rękami. Nie mogła jednak się powstrzymać, by nie patrzeć, jak jej wybawca, balansując najpierw na jednej nodze, a potem na drugiej, ściąga wypłukane już do czysta buty i rzuca je na ziemię, jak przedtem koszulę. Na wpół oszołomiona oczekiwała, że teraz Welch zdejmie ostatnią pozostałą część garderoby - dżinsy, lecz zamiast tego stanął z kciukami założonymi za pasek i popatrzył na nią.

- Teraz pani kolej.

- Co? - Do Alex nie dotarło znaczenie tych słów, zapewne dlatego, że coś innego zaprzętało jej umysł. Najwyraźniej nie mogła się powstrzymać od patrzenia na niego. I rzeczywiście, w ciasnej łazience nie było innego miejsca, by zatrzymać tam wzrok. Joe stał nie dalej niż na wyciągnięcie ręki, tak blisko, że widziała ciemne wgłębienie pępka nad paskiem spodni, dość blisko, by dostrzegła pojedyncze krople wody lśniącej na jego ramionach i toczące się wężykami w dół, przez trójkątną plamę owłosienia na piersi. Z własnej woli jej oczy ześlizgnęły się w dół, poniżej pasa.

Mokre dzinsy i słabe światło nie dawały żadnej pewności, Alex wydawało się jednak, że jej obecność działa na niego tak samo, jak on na nią. Z zakłopotaniem pomyślała, że Welch może się zorientować, na co ona patrzy, szybko więc podniosła oczy. Mężczyzna obserwował jej twarz.

- Widzi pani ten ręcznik? - Wziął z wieszaka jaskrawopomarańczowy ręcznik i podniósł, by go zobaczyła. Gdy Alex skinęła głową, ciągnął dalej: - Podam go pani. Proszę zdjąć koszulę i owinać się nim. Czy da pani radę zrobić to sama?

Seksowny czy nie, posuwa się za daleko, pomyślała Alex. Nie miała zamiaru zdejmować koszuli i stać na jego oczach jak ją Pan Bóg stworzył. Trzeźwy umysł protestował, niezależnie od tego, jak owa perspektywa działała na jej ciało.

- Nie, jeśli pan będzie tu stał - odparła z przekonaniem.

Uśmiechnął się szeroko tym krzywym, uroczym uśmiechem, od którego aż łzy napływały jej do oczu. Alex po raz pierwszy zobaczyła, jak Welch się uśmiechał i bijący od niego męski urok ją przeraził.

Naprawdę był bardzo atrakcyjny.

- Chciałem najpierw zgasić latarkę. Co pani o tym myśli?

- O, dobry pomysł.

Oczywiście. Jak dotąd okazywał różne uczucia, ale na pewno nie natarczywość. W zasadzie zachowywał się bardziej po dżentelmeńsku niż większość mężczyzn w podobnych warunkach. W ciągu tych paru minut pod prysznicem mógł z nią zrobić, co tylko zechciał. Uczciwość kazała Alex dodać, że przy jej pełnym entuzjasmus współdziałaniu.

Wiedział o tym i powstrzymał się wtedy. Teraz, gdy o tym pomyślała, było to trochę zawstydzające. Ale jednocześnie ekscytujące.

Przysunął się do niej, podał jej ręcznik, a potem sięgnął po latarkę.

- I, na miłość boską, niech pani powie, jeśli potrzebna będzie pomoc - powiedział i zgasił światło.

Nagła ciemność była tak głęboka, jakby Alex wpadła do nieoświetlonego tunelu metra. Całkiem ślepa, niezdarnie zrzuciła buty, a potem ściągnęła sfatygowaną koszulę dołem, uważając, by nie stracić równowagi. Musiała się jednak przytrzymać zbiornika, kiedy tylko na chwilę wstała z kłapy sedesu, by zdjąć swój strój. Skórę miała mokrą i śliską, przez moment więc istotnie obawiała się, że może zsunąć się na posadzkę, gdy usiadła z powrotem. Znowu czuła dreszcze, a w głowie jej dudniło, gdy wycierała się ręcznikiem narzuconym na ramiona, ale ból wydawał się już słabszy niż przedtem. Najgorsze były miękkie kolana i zawroty głowy, których doznawała przy każdym ruchu.

- Jak pani sobie radzi? - zapytał Welch; jego głos odbił się takim echem w małej łazience, jakby byli w jaskini.

- Dobrze - odrzekła pośpiesznie, na wypadek, gdyby uznał, że musi jej pomóc lub gdyby zapalił światło.

Pozbawione pomocy wzroku pozostałe zmysły bardzo się wyostrzyły. Jej wybawca stał niedaleko, tak jak obiecał. Słyszała go, słyszała szelest, gdy mokre dzinsy upadły na posadzkę, Alex wiedziała więc, że i on zdejmuje ubranie. Czuła jego zapach, ostry aromat mydła zmieszany z ciepłą, podobną do piżma wonią, kojarzącą się z mężczyzną. Czuła go całą skórą, czuła niewidzialny ciężar czyjejs obecności w pobliżu.

Wytarła się i owinęła w plażowy ręcznik jak w sarong, utykając jego końce na piersiach, i cały czas starała się nie myśleć o tym, że nagi Welch robi to samo niecały metr od niej.

## Rozdział czternasty

Ubrana? - zapytał.

- Tak.

Pstryknęła latarka. Welch stał na środku łazienki w ciemnozielonym ręczniku owiniętym wokół bioder i z drugim, idealnie białym, przerzuconym przez kark. Było widać, że wycierał włosy, które sterczały teraz rozczochrane, a w słabym świetle wydawały się czarne jak skrzydło kruka. Biały kolor ładnie kontrastował z owłosieniem na piersi i ze śniadą skórą. Zielony ręcznik okrywał ciało mężczyzny od pępka po kolana. Poniżej Alex dojrzała twarde mięśnie łydek, gęsto pokrytych ciemnymi włosami. Stał na bosaka.

On też obrzucił ją uważnym spojrzeniem. Alex wiedziała dobrze, jak wygląda: blada i zbyt szczupła, z wąskimi ramionami, długimi, arystokratycznymi kończynami i delikatną twarzą o drobnych rysach. Osłonięta tylko pomarańczowym ręcznikiem, z drugim, w niebieskie pasy, na głowie, bez makijażu, fryzury i stroju, za którymi mogłaby się skryć, czuła się bezbronna i odrobinę zaniepokojona. Dotąd nigdy nie myślała o tym, czy jakiś mężczyzna, spojrzawszy na nią, uzna ją za atrakcyjną, czy nie; teraz, niespodziewanie, po odejściu Paula, zorientowała się, że właśnie to czyni.

Aż się prosiło o kolejne pytanie: czy chce, żeby Welch uznał ją za atrakcyjną? Odpowiedź była niemal natychmiastowa: owszem, chce.

Przynajmniej za tak atrakcyjną, jak Alex oceniała jego. Choćby dla zaspokojenia jej dumy, jeśli nie z innych powodów.

- Chodźmy - powiedział i podszedł do niej, omijając porzucone fragmenty odzieży, rozrzucone niby małe wyspy na mini jeziorze, które powstało na posadzce. Pochylił się i uniósł Alex tak naturalnie, jakby robił to codziennie.

Prawie już przyzwyczała się do bycia podnoszoną w powietrze bez ostrzeżenia, ale tym razem, kiedy wziął ją na rękę, poczuła, że została przyciśnięta do twardej, męskiej piersi, miękkiej tylko tam, gdzie porastały ją czarne włosy, ramionami oplata szerokie, brązowe, umięśnione ramiona, dłonie zaś zaciska na mocnym, opalonym karku Joego.

Jego ciało było ciepłe, a skóra gładka i tylko troszeczkę wilgotna, pachniała niedawną kąpielą. Alex czuła łaskotanie jego włosów, gdy dotknęły jej skóry.

Wszystkie jej zmysły oszalały.

Powoli wciągnęła powietrze i próbowała nie dać po sobie poznać, że tak błyskawicznie, instynktownie reaguje na nagie męskie ciało. Niezależnie od innych spraw, które wymkną lub nie z tej wizyty w Whistledown, pomyślała z lekkim rozbawieniem, jedno jest pewne: dzięki tej wyprawie jej libido znów działa jak należy. I nadrabia straty.

Szkoda tylko, że wszystkie te myśli nie nawiedziły jej wcześniej i przy odpowiednim mężczyźnie. Gdyby ożywiła nieco swoje stosunki z Paulem... ale nie będzie przecież o nim myśleć, już nigdy więcej!

- Będzie pani musiała ubrać się w moje rzeczy, chyba że wybierze się pani do szpitala w tym ręczniku.

Welch zaniósł ją do sypialni i posadził na łóżku. Nakrycie leżało odrzucone, prześcieradło było skłębione, a poduszki pogniecione i niekształtne. Było to najwyraźniej jego łóżko, w którym spał wcześniej tej nocy. Alex spróbowała nie myśleć o tym. Dość niechętnie puściła szyję mężczyzny, oparła się o wezgłowie i wepchnęła sobie pod plecy zmaltretowane poduszki.

- Nie muszę jechać do szpitala.

Welch już się odwrócił i podchodził właśnie do komody stojącej pod przeciwległą ścianą. Tak jak i pozostałe meble - łóżko, regał wypełniony tanimi książkami, dwa stoliki nocne oraz fotel z zielonym obiciem - wykonano ją z twardego dębu, bez słoików. Sama sypialnia była niewielka, pomalowana na ciepły, piaskowy kolor, i poza niepościelonym łóżkiem skrupulatnie wysprzątana.

- Ależ tak, musi pani. Ranę trzeba zszyc. W ostateczności potrafię zszyc nogę konia, ale myślę, że wołałaby pani, żeby to lekarz zajął się pani głową. Możliwe, że konieczne też będzie prześwietlenie.

Popatrzył na nią przez ramię. Jego szerokie plecy lśniły lekko w miękkiej poświacie latarni, stojącej na komodzie. A poniżej Alex dojrzała zarys jędrnych pośladków, okrytych luźno ręcznikiem. Nawet gdy gniewała się na ich właściciela, potrafiła dostrzec ich urok z obiektywnym zainteresowaniem.

- Panie Welch, doceniam wszystko, co do tej pory zrobił pan dla mnie, ale to ja decyduję, kiedy mam jechać do szpitala, a kiedy nie. A w tej chwili decyzja brzmi „nie”.

Alex nienawidziła szpitali. Ostatni raz była tam, gdy miała dziewięć lat i w szkole dostała w głowę kijem hokejowym. Doznała pęknięcia czaszki i musiała przejść operację. Żadne z jej rodziców nie pokazało się przez trzy dni. Wzięli już wtedy rozwód i z matką nie udało się nawiązać kontaktu, gdyż przebywała akurat na jednej ze swych niezliczonych wakacyjnych wypraw, z jednym z niezliczonych narzeczonych. Ojciec zaś był właśnie w ciągu alkoholowym: przyznał się do tego dopiero parę lat później, gdy przestał pić. Wciąż pamiętała swoją obawę, że umrze, a potem, gdy nauczyciele przychodzili sprawdzić, czy wszystko w porządku, rosnący wstyd, że rodzice jej nie odwiedzają; w końcu wstyd stał się silniejszy niż strach. Czuła się niekochana i niechciana, a z tego powodu także zawstydzona. To doświadczenie zaszczepiło w niej niechęć do szpitali tak silną, że trwała aż do teraz.

- Nie zgadzam się - powiedział łagodnym tonem. Otworzył szufladę, pogrzebał w niej przez chwilę i wyjął jakieś ubrania - grafitowe spodnie od dresu, jasnoszary podkoszulek i parę skarpet z dziurawymi piętami, zauważyła to od razu - i rzucił wszystko na łóżko obok niej. - A w tym domu dzieje się tak, jak ja zdecyduję. - Potem dorzucił już łżejszym tonem: - Przykro mi bardzo, ale moja garderoba nie zawiera damskiej bielizny.

- Pracuje pan dla mnie - przypomniała mu, ignorując ostatnie słowa i obserwując, jak mężczyzna podchodzi do stojącej naprzeciw łóżka szafy, otwiera przesuwane drzwi i wyciąga kolejne ubrania. - Według mnie oznacza to, że stanie się tak, jak ja zdecyduję.

- Nie pamięta pani, że jestem zwolniony? Ten fakt tak jakby umniejsza pani władzę, tak bym to widział. - Z ubraniami w ręku ruszył w stronę łazienki.

- Pamiętam dobrze, że dałam panu trzydziestodniowe wypowiedzenie, które pan odrzucił. Przynajmniej do końca tego okresu nadal pracuje pan dla mnie. Czyli nadal ja jestem tu szefem.

- Taak... no cóż, podpis na czeku z moją pensją brzmi „Farma Whistledown”, a nie „Alexandra Haywood”, tak przynajmniej było, gdy ostatni raz go widziałem. Oczywiście, to i tak nie ma znaczenia. Teraz pójdę się ubrać do łazienki. Jeśli nie da sobie pani rady z tym dressem, proszę poczekać, aż wrócę, chętnie pomogę.

Z tą nie całkiem zamaskowaną groźną uwagą zniknął w drzwiach łazienki, zamykając je za sobą. Alex popatrzyła za nim wściekła. Może i ten facet ma rację, może powinna jechać do lekarza. Jej wstręt do szpitali nie był aż tak silny, by miała zrobić sobie krzywdę, nie pozwalając się zbadać. Ale nie podobało jej się, że ten człowiek mówi jej, co powinna robić. Już od dawna sama decydowała o sobie i dawało jej to satysfakcję.

To, z jakim spokojem Joe przejął władzę, doprowadzało ją do furii.

Mimo wszystko z trudem wciągnęła na siebie jego ubranie i dopiero wtedy w pełni zrozumiała jego wzmiankę o braku damskiej bielizny. Dziwnie się czuła, czując sprany, miękki dres na gołym ciele, lecz to był najmniejszy problem. Dość się już napatrzyła na sposoby działania Joego Welcha, by nie wątpić, że włoży jej ubranie siłą, jeśli

będzie musiał. A dopuścić do tego, znaczyliby stracić poczucie własnej godności.

W chwili gdy bardzo ostrożnie zdejmowała z głowy ręcznik i sprawdzała, ile krwi jest na jej prowizorycznym opatrunku, krótkie pukanie w drzwi łazienki ostrzegło ją, że mężczyzna zaraz się pojawi. Zarzuciła poplamiony krwią biały ręcznik na oparcie łóżka tak szybko, jakby ją palił w ręce, porwała ten w niebieskie paski i zaczęła dość ostrożnie wycierać włosy. Ponieważ nie odpowiedziała na pukanie, Welch otworzył drzwi i wszedł do sypialni. Szybki rzut okiem powiedział mu, że Alex zrobiła, co jej kazał.

- Grzeczna dziewczynka - pochwalił ją.

Rzuciła mu wściekle spojrzenie, ponownie usadowiona na poduszkach: teraz wycierała mokre pasma włosów, jakby rana na głowie była ostatnią sprawą zaprzatającą jej myśli. Welch, już w dżinsach i wojskowym podkoszulku, wyglądał niemal radośnie. A to pewna odmiana w ich dotychczasowej znajomości.

- Było mi zimno - powiedziała zgryźliwie, rzucając mokry ręcznik na łóżko tak, by ukryć pod nim ten pierwszy, z widocznymi plamami krwi.

Nie miała na sobie bielizny, w męskim dresie niemal tonęła, włosy, gdy tylko przeschną, będą rozwiane i postrzępione jak dmuchawce, a co najbardziej denerwowało Alex, głowa bolała ją, pulsowała i wirowała. Może i ten facet ma rację, może powinna jechać do szpitala i pozwolić się zbadać, nie zamierzała jednak dać mu satysfakcji i przyznać tego. Ta jego zadowolona mina, gdy obchodził łóżko, już budziła w Alex ochotę, by czymś w niego rzucić. Gdyby mogła odwrócić bieg wydarzeń, siedziałaby teraz w samym ręczniku i powiedziała mu, żeby tylko spróbował coś z nią zrobić.

Wyraz jego twarzy aż prosił się, żeby dodać:

- Niech pan nie myśli, że się ubrałam, aby jechać do szpitala, bo tak się nie stanie.

Zatrzymał się z boku łóżka, byстрыm spojrzeniem obrzucił jej głowę i wręczył jej zwiniętą myjkę.

- Proszę to przycisnąć do rany, póki nie dotrzemy na miejsce.

- Nie słyszał pan, co powiedziałam? - zapytała ostro. Dłoń, którą odruchowo wzięła szmatkę, zacisnęła się w pięść.

Przez chwilę stał z rękami założonymi na piersiach i patrzył na nią z zamyśloną miną.

- Czy pani zawsze sprawia tyle kłopotów, czy tylko ja mam takie szczęście?

- Panie Welch, niech pan posłucha, potrzeba mi tylko... - Miała zamiar powiedzieć „dwóch tabletek aspiryny”, ale urwała, ponieważ, ot tak, po prostu, podniósł ją z łóżka i wziął na ręce.

- Jeśli mamy się kłócić przez resztę nocy, równie dobrze możemy to robić, mówiąc sobie po imieniu. Jestem Joe.

- Do diabła, posłuchaj no, Joe, nigdzie nie jadę! - Wymówiła jego imię z łatwością. Rzeczywiście, trudno było myśleć o nim jako o „panu Welchu”, skoro przecież prawie się przed nim rozplynęła tam, pod prysznicem. Ale teraz, zamiast objąć go rękami za szyję, zaczęła odpychać jego ramiona. - Postaw mnie na podłodze!

- Dobrze. - Postawił ją tak gwałtownie, że cały pokój aż zawirował. - Pokaż mi, że nie musisz jechać do szpitala. No proszę, pokaż. Przejdź przez pokój.

Ramię podtrzymujące ją w pasie opadło, choć mężczyzna nadal stał tuż obok. Alex zamrużyła powiekami, widząc, jak podłoga się ugina. Ale postanowiła mu pokazać: uniosła głowę i postąpiła krok, a później drugi. Potem kolana zaczęły pod nią drzeć i zatoczyła się nagle. Chwytał ją w chwili, gdy instynktownie zaczęła szukać wokół siebie łóżka, i na powrót wziął na ręce.

- Wciąż chcesz się kłócić?

- No dobrze, może jednak powinnam jechać do szpitala - wymamrotała z oporem, obejmując go za szyję. W drugiej dłoni nadal trzymała myjkę; poddając się wreszcie, przycisnęła ją do rany, uniosła i spojrzała na pokrywającą kompres krew. Joe uniósł jeden kącik ust w swym zwykłym krzywym uśmiechu.

- Tak uważasz?

Twarz Alex opadła na jego ramię w niemym geście uznającym porażkę. Gdy niósł ją schodami na dół, z opatrunkiem przyciśniętym do rany, tak bardzo kręciło jej się w głowie, jakby jechała na kołyszącej się na boki karuzeli.

- Alex! Co ci się stało?

Neely, ubrana w żółty frotowy szlafrok, narzucony na coś, co wyglądało jak chłopięca piżama, z włosami w nieładzie, poderwała się i rzuciła ku siostrze, gdy Joe wniósł ją do oświetlonej blaskiem latarni kuchni. Przedtem siedziała przy wielkim prostokątnym stole razem z trójką dzieci gospodarza: prawie już nastoletnią córką o ściętej na krótko czuprynie, ubraną w białe, płócienne spodnie; ogolonym na łyso chłopcem w dżinsach i białym podkoszulku, i jeszcze jednym starszym chłopakiem, również w dżinsach i flanelowej koszuli, który wyglądał jak młodsza i szczuplejsza wersja gospodarza z długimi włosami. Chyba przerwali ożywioną dyskusję, gdy ich ojciec wszedł do pomieszczenia ze swym ciężarem. Wszyscy z ciekawością patrzyli na Alex. Nawet pies wyjrzał spod stołu, żeby jej się przyjrzeć.

- Zabieram twoją siostrę do szpitala, żeby jej założyli szwy - wyjaśnił Joe Neely, zanim Alex zdążyła otworzyć usta.

- Szwy! - wykrzyknęła dziewczyna, gdy Joe minął ją, by posadzić Alex na zwolnionym przez Neely krześle.

Alex przywarła na chwilę do niego, póki nie przejaśniło jej się w głowie. Jej słabość nie umknęła jego uwagi.

- Nie spadnij - szepnął jej do ucha z nutką kpiny, a potem się odsunął. Jego miejsce natychmiast zajęła Neely, pochylając się nad siostrą z przerażeniem w oczach, kiedy zobaczyła myjkę, którą Alex przyciskała do rany.

- Rozciąłam głowę, kiedy upadłam. To nic wielkiego. - Zapewniając o tym dziewczynę, Alex zdecydowana była zbagatelizować sprawę.

Neely przeżyła w życiu tyle strat, że bardziej niż większość jej rówieśniczek wyczulona była na możliwość, iż ukochana osoba zostanie jej odebrana bez ostrzeżenia i Alex zdawała sobie z tego sprawę.

Teraz, wcale nieprzekonana, przesunęła się i stanęła za jej plecami.

- Pokaż.

Alex uniosła szmatkę.

- Ojej, Alex!

- Aż tak źle? - zapytała Alex żałośnie, na powrót przykładając szmatkę do głowy.

- Kilka szwów i nic jej nie będzie. - Joe już wrócił, ubrany w ciemnozieloną pelerynę, sięgającą do połowy uda, i narzucił Alex na ramiona płaszcz, który, sądząc po wielkości, mógł należeć tylko do niego. Przykucnął przed nią, gdy wsuwała ramiona w rękawy. Patrząc na Joego, zauważyła, że jego szerokie ramiona wyglądają strasznie masywnie w pelerynie i że światło lampy wychwytuje w jego czarnych włosach niebieskie pasemka.

- Włóż to na nogi - powiedział, a potem dodał, rozglądając się dookoła: - Eli, znajdź mi parasol.

„To” oznaczało parę gumiaków, za małych, by należały do niego. Może to własność kogoś z chłopców? Alex zrobiła, jak jej kazał, wsunęła stopy w cholewki i łatwo włożyła kalosze. Joe wstał, owinał ją płaszczem jak kocem i znów wziął na ręce. Pogodziwszy się już z tym, co nieuniknione, jedną ręką przycisnęła do głowy szmatkę, drugą zaś objęła go za szyję; pod ciekawskimi spojrzeniami czwórki dzieci czuła się bardziej niż trochę skrępowana.

- A przy okazji, to moje dzieci. Jenny, Eli, i na pewno pamiętasz Josha - przedstawiał, po kolei wskazując każdego głową. Potem zwrócił się do nich: - Gdybyście mnie potrzebowali, będziemy w szpitalu. To pewnie trochę potrwa, więc możecie równie dobrze wracać do łóżek. - Spojrzał na Neely. - W pokoju Jen jest dodatkowe łóżko. Możesz u nas zostać, jeśli chcesz. Gdy wrócimy, twoja siostra może spać na moim łóżku, a ja się położę na kanapie. Chyba że chcecie wrócić do Whistledown i spędzić tam te parę godzin, które zostały do świtu.

Alex i Neely spojrzały po sobie i obie w tej samej chwili pokręciły głowami. Niedawne przerażające wydarzenia w tym domu odebrały mu dotychczasowy urok.

- Pewnie i tak już się spalił - wymamrotała Alex tylko do Joego, gdy odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

- Niee... - odrzekł. - Widzielibyśmy stąd płomienie. - Skinął głową w stronę odsłoniętych okien. Noc na zewnątrz była czarna.

- Alex, chcesz, żebym pojechała z tobą? - Neely ruszyła za nimi niespokojnie.

Spoglądając ponad ramieniem Welcha, Alex zdobyła się na uśmiech.

- W takim stroju? Nie ma mowy. Zostań tu i idź spać.

- Tato, masz tu parasol. - Najstarszy chłopiec, Eli, podał ojcu złożony parasol.

- Dzięki. Jesteś dzisiaj niańką.

- Taak, wiem.

- Ale nie moją. Mam prawie tyle lat, co on - odezwał się ponurym głosem Josh, który nagle pojawił się z drugiej strony.

- Jest niańką Jen. A raczej oboje ją niańczycie - odrzekł Joe, by załagodzić sprawę. Potem ktoś - Alex domyśliła się, że to Eli - otworzył tylne drzwi. Zimne, porywiste podmuchy powietrza ciężkiego od wilgoci i szumiący dźwięk ulewy otoczyły ich, gdy znaleźli się na małym ganku. Na szczęście był tu dach, Welch miał więc czas, by ustawić parasol ponad ich głowami, zanim wyszedł stawić czoło ulewie.

- Ja go będę trzymać - zaproponowała Alex, widząc, że mężczyzna ma trudności z utrzymaniem i jej, i parasola.

Oddał jej parasol bez komentarza. Pośpiesznie wepchnęła szmatkę do kieszeni płaszcza i niepewnie złapała uchwyt, jedną ręką, balansując parasolem nad ich głowami, podczas gdy deszcz tłukł o napięty nylon jak groch o bęben, a wiatr usiłował w ogóle wyrwać parasol. Niosąc ją w ramionach, Joe zbiegł chyżo po schodkach ku samochodowi zaparkowanemu na podjeździe poniżej. Alex czuła na kolanach i stopach uderzenia deszczu. Gdyby nie to, że i płaszcz, i buty były nieprzemakalne, przemokłaby natychmiast. Małe krople, niesione wiatrem, kłuły w twarz jak igiełki lodu. Wąski prostokąt światła padający z drzwi zniknął nagle, gdy zostały zamknięte. Ciemność otulała ich jak koc.

## Rozdział piętnasty

Chyba zamkną dobrze drzwi? - zapytała Alex głośno, żeby przekrzyczeć burzę i wiatr; Joe właśnie postawił ją na ziemi obok samochodu - był to jakiś wóz terenowy ciemnego koloru.

Gdy znalazła się ponownie na zewnątrz, w deszczu, przypomniała sobie, jak bardzo się bała, póki Joe nie przyszedł jej na ratunek. Nic teraz nie odpowiedział, tylko otworzył pojazd i wsunął ją do środka. Poczekala, aż znajdzie się obok niej, wrzuci ociekający wodą parasol na tylne siedzenie i zatrzaśnie drzwi, i dopiero wtedy zapytała drugi raz.

- Zapewne któreś z dzieci je zamknie, ale nie przejmowałbym się tym tak bardzo. Tu, w okolicy nie ma w ogóle przestępców.

Uruchomił silnik, włączył światła, wycieraczki i ogrzewanie tylnej szyby, po czym wrzucił wsteczny bieg. W świetle reflektorów widać było lśniące strugi deszczu. Huk gromu w górze prawie całkiem zagłuszył dźwięk kół, szurających po wyżwirowanym podjeździe. Było zimno, ale pojazd przynajmniej chronił przed deszczem i okazał się zaskakująco przytulny.

- Ach, czyżby? Pozwól sobie przypomnieć, że dziś w nocy ktoś wszedł do mojej sypialni! - odezwała się Alex kwaśno. Oparła głowę na skórzanym zagłówku i znów przyciskała do rany szmatkę.

- Na pewno ci się to nie przyśniło?

- Na pewno nie przyśniło mi się, że dostałam w głowę!

- O nie, to na pewno nie sen.

Dojechali do szosy; Joe zerknął na Alex, zmieniając bieg. Jedyne oświetlenie był słaby blask z deski rozdzielczej, Alex nie mogła więc zobaczyć nic więcej niż tylko zarys postaci swego towarzysza. Miała nadzieję, że kierowca widzi drogę lepiej niż ona: wyłączając dwa reflektory rozjaśniające strugi deszczu, noc wokół była czarna jak otchłań kopalni.

- Głowa bardzo cię boli? - Joe spojrzał na nią ponownie.

- Trochę.

- Wiesz co, prawdopodobieństwo, że ktoś włamie się do Whistledown, jest raczej znikome, zwłaszcza w taką noc. Nawet przestępcy nie lubią moknąć.

- Jeśli przychodzi ci do głowy inne wytłuma...

Urwała w chwili, gdy błyskawica przecięła niebo. Prawie dojeżdżali do drogi do Whistledown. Dom na szczycie wzgórza rozświetlił się nagle, jakby pochwycony w błysk flesza. Na balkonie pierwszego piętra, na tle białego kamienia wyraźnie odcinała się ciemna postać. Ludzka postać. Mężczyzna.

Alex otworzyła szeroko oczy. Puls przyspieszył jej nagle. Usiadła wyprostowana jak struna, w napięciu patrzyła, jak błyskawica blednie i noc niczym chusta magika ponownie zakrywa dom.

- Patrz! Widziałeś...? Ktoś stoi na balkonie! Na górnym balkonie jest jakiś człowiek! - Wyciągnęła palec, jednocześnie łapiąc Joego za rękę.

Samochód gwałtownie skręcił w prawo, a potem wrócił na pas, gdy Joe wcisnął hamulec i wyrwał jej rękę.

- Do cholery, Alex, nie wiesz, że nie wolno szarpać kierowcy za ramię?

Nie usłyszała ani jego wybuchu, ani tego, że zawołał ją po imieniu. Siedziała z oczami utkwionymi w budynku. Na balkonie ktoś stał. Była tego pewna. Spojrzała na Joego prawie nieprzytomnym wzrokiem.

- Widziałeś go? To musi być ten sam facet, który znajdował się przedtem w moim pokoju, ten, który mnie uderzył! Wciąż jest w domu! Musimy wezwać policję!

Obrzucił ją spojrzeniem zmrużonych oczu.

- Naprawdę uważasz, że kogoś tam widziałeś?

- Tak! Na balkonie na piętrze! Jestem tego pewna!

- W życiu nie spotkałem nikogo, kto by sprawiał więcej kłopotów - mruknął ze złością i wcisnął gaz. Kilka sekund później skręcili na podjazd do Whistledown.

- Co robisz? - Alex przeniosła pełen zdziwienia wzrok z domu na swego towarzysza, gdy sunęli po asfalcie, rozbryzgując wodę.

- Poświęcę pięć minut i sprawdzę to.

- Nie możesz! Potrzebna nam pomoc policji! On może mieć broń albo...

- Bardzo wątpię - uciał sucho.

- Myślisz, że sobie to wszystko wyobraziłam? - Głos Alex stał się piskliwy z oburzenia.

- Myślę, że gdybyś tylko zechciała użyć choć odrobiny zdrowego rozsądku, przekonałabyś się, że to, co sugerujesz, jest praktycznie niemożliwe. To nie Filadelfia, wiesz, tu odległości są dość duże. Zadaj sobie pytanie: jeśli ktoś jest w budynku, to skąd przyjechał? Jak się tu dostał? Nie widzę żadnego wozu, a ty? A więc przyszedł piechotą? Tylko skąd? Z Simpsonville? To ponad siedem kilometrów, a Simpsonville leży najbliżej Whistledown. Na litość boską, Alex, pomyśl logicznie: całą noc leje jak z cebra. Nawet potencjalni gwałciciele mają dość oleju w głowie, żeby nie maszerować siedem kilometrów w taką ulewę!

Dotarli do końca podjazdu i Joe zaparkował przy kamiennej ścieżce, wiodącej do frontowych drzwi rezydencji. Nie gasząc świateł i silnika, pochylił się i otworzył schowek. Alex z przerażeniem patrzyła, jak wyjmuje stamtąd zwyczajną czarną latarkę. Taka broń wystarczyłaby, by nabić komuś solidnego guza, naturalnie jeśli Joemu udałoby się podejść do napastnika wystarczająco blisko.

- O, nie! - krzyknęła, chwytając za oparcie i odwracając się, by na niego spojrzeć. Ten nagły ruch spowodował gwałtowny atak zawrotów głowy, ale nie myślała o tym teraz. - Nie rób tego! Proszę cię, nie! Jedźmy na policję! To naprawdę głupota. Ja...

Ale Joe już otwierał drzwi. Zapaliła się lampka wewnątrz, tak że Alex mogła dojrzeć zdecydowany wyraz jego twarzy. Zapewne Joe także z łatwością teraz zobaczył jej przerażoną minę. Ich oczy się spotkały.

- Zamknij drzwi od środka i siedź tu. Wróć jak najszybciej. Gdybyś mnie potrzebowała, daj znać klaksonem.

- Och, Joe, proszę cię... - Jęknęła.

Zatrzasnął za sobą drzwi i pochłonęła go noc.

Alex wcisnęła przełącznik, blokujący wszystkie drzwi, a potem skuliła się na fotelu, na próżno w ciemności wypatrując swego obrońcy. Spostrzegła, że trzyma w dłoni zakrwawioną szmatkę, więc znów przyłożyła ją do rany. Nagle odgłos padającego deszczu wydał jej się bardzo głośny: był to równy, bębniący dźwięk, podobny do ryku silników na ruchliwej drodze. Reflektory jak dwa bliźniacze, żółte miecze przecinały ciemność przed samochodem. Deszcz przelatujący przez snop światła wyglądał jak dziesiątki maleńkich sopli. Alex rozważała, czy nie zgasić świateł, ale zrezygnowała na samą myśl o tym, że miałyby siedzieć sama w ciemności. Zresztą, w jakim celu miałyby to robić? Jeśli intruz nadal jest na balkonie, z pewnością widział, jak nadjeżdżają od szosy, a jeśli pozostał dłużej, by ich obserwować, widział też, że zaparkowali wóz. Ale przecież nie mógł zostać: jeżeli w ogóle miał odrobinę zdrowego rozsądku, to opuścił dom natychmiast, gdy zobaczył zbliżający się pojazd; bardzo prawdopodobne, że w środku nie ma już nikogo. Może złoczyńca czai się gdzieś tuż obok samochodu...

Włosy stanęły jej dęba ze strachu; rozejrzała się szybko. Za oknem nie widziała nic oprócz deszczu rozświetlanego dwoma słupami światła. Nic również nie słyszała, prócz uderzających w maskę kropel i szumu silnika. Była sama z ciemnością i ulewą, w zasadzie ślepa i głucha; jedynie zablokowane drzwi wozu chroniły ją przed ewentualnym napastnikiem, który mógł zdecydować się na atak.

O Boże, jeśli będzie miał choćby młotek albo podobne narzędzie, po prostu rozwali szybę.

Alex wygramoliła się z miejsca pasażera, nie zważając na ból w czaszce i następujące po nim zawroty głowy, i przesiadła się na fotel kierowcy, skąd miała lepszy dostęp do klaksonu i dźwigni skrzyni biegów. Uderzył piorun; gdyby atak nastąpił w tej chwili, Joe nie usłyszałby dźwięku rozbijanego okna ani też klaksonu. Czy będzie miała dość czasu, by wrzucić wsteczny i odjechać?

Rozwidlony język błyskawicy przemknął w stronę horyzontu. Szybki rzut oka dookoła nie ukazał Alex nic, prócz rozświetlonej kurtyny deszczu po obu stronach wozu.

Parę minut później aż podskoczyła, słysząc gwałtowne stukanie w szybę. Spojrzała w lewo i zobaczyła ciemną postać: potężną, ale o nierozpoznawalnych kształtach, wyłaniającą się z deszczu obok samochodu. Joe? Boże, proszę, niech to będzie Joe, błagała, wyglądając przez szybę. Kolejne stukanie: dostrzegła za szybą kostki palców, a następnie zaglądnąca do środka twarz. Zamarła na chwilę, lecz potem rozpoznała go.

Joe. Dzięki Bogu.

Odblokowała drzwi, a Welch otworzył je w tej samej chwili; Alex poczuła uderzenie zimnego, wilgotnego podmuchu. Uniosła się, opierając dłoń na desce rozdzielczej, a kiedy wszedł, opadła na swój fotel, czując, że trzęsie się jak galareta.

- Tęskniłaś? - zapytał z lekkim uśmiechem, spojrzawszy najpierw na jej - sądząc po tym, jak się czuła - kredowobiałą twarz. Woda z peleryny spływała strumieniami na podłogę, gdzie zebrała się w kałużę. Odrzucił kaptur. Włosy miał suche, ale na twarzy lśniła wilgoć.

- O Boże - padła jej przepełniona szczerością odpowiedź, gdy Joe pochylił się, by odłożyć do schowka latarkę. - Czy ty.... Czy był...?

Już wycofywał wóz z podjazdu.

- W domu nikogo nie ma. Nie ma też śladu, żeby ktoś - ktoś obcy - w nim przebywał. Nigdzie też nie widać śladu ognia. Drzwi frontowe nie były zamknięte - zakładam, że tak je zostawiłyście?

- Tak, ale...

Unióś dłoń.

- Pozwól mi dokończyć. - Dotarli do szosy, Joe zmienił bieg i ruszył w stronę, w którą jechali przedtem. - Drzwi od tyłu są zamknięte na klucz. Sprawdziłem górny balkon: nie tylko nikogo tam nie było, ale na dodatek drzwi wychodzące na ten balkon zamknięto od wewnątrz. Drzwi do sypialni są pootwierane, wszystkie, a na środku podłogi w korytarzu na piętrze leży przewrócona figurka kobiety z brązu. Przypuszczam, że nią właśnie dostałaś w głowę.

- Musiał jej użyć...

- Alex, słonko, były tam dwie takie same rzeźby, ustawione na drewnianych półkach po obu stronach lustra na korytarzu. Jeśli potknęłaś się o dywanik i poleciałaś do przodu, to nie uważasz, że mogłaś strącić jedną z nich, a ta po prostu zdzieliła cię w potylicę bez udziału kogoś innego?

Alex wpatrywała się w niego. To przeciągnięte „słonko” w zestawieniu z lekko protekcyjną nutką w zakończeniu jego przemowy wskazywało, że złożył nocne wydarzenia na karb jej wyobraźni, połączonej z nieszczęśliwym wypadkiem.

- Nie odbiło mi i nie ulegam histerycznym halucynacjom - odpowiedziała stanowczo. - Nawet jeśli ta figura się przewróciła i uderzyła mnie w głowę, nie tłumaczy to dyszenia, które mnie obudziło. A kto stał na górnym balkonie przed chwileczką?

- Jesteś pewna, że kogoś widziałaś? - zapytał łagodnie. Dojechali już do głównej szosy i Joe skręcił w lewo, rozpędzając się na opustoszałym odcinku dwupasmówki przy akompaniamencie rytmicznego szurania wycieraczek. - Miałaś dziś dość ciężki dzień, prawda?

Bardziej już nie można uprościć sprawy. W mózgu Alex zaczęło dudnić, jakby dawał swoją własną odpowiedź.



Cios w głowę nie był najgorszym wydarzeniem tego dnia: musiała zwolnić faceta siedzącego obok, a on nie miał nawet na tyle przyzwoitości, by zostać zwolnionym, tylko się wyklóca; narzeczony oznajmił, że poślubił inną kobietę; siostra wyleciała ze szkoły; jakiś intruz wdarł się do pokoju, budząc ją z głębokiego snu. Lepiej już być nie może, pomyślała ironicznie. Wykrzywiła twarz w grymasie, czując, że głowa znów reaguje bólem, i mocniej przycisnęła myjkę do rany.

- No dobrze, do czego zmierzasz? - zapytała z agresją w głosie.

Docierali już do cywilizacji - zorientowała się Alex po świecących neonach, które mijali. Najpierw sklep Wal-Mart po lewej stronie, potem, po prawej, stacja benzynowa Thorntona i motel o nazwie Dixie Inn. I wreszcie gęsta siatka ulicznych świateł: najwyraźniej w mieście był prąd, choć okolica go nie miała. A może do tej pory już wszędzie naprawiono przewody.

- Chcę tylko powiedzieć, że w rezydencji nie widziałem nikogo, kiedy sprawdzałem. - Joe uśmiechnął się do niej z przeblaskiem prawdziwego humoru. - No, tylko się nie wściekaj. Jestem skłonny przyznać, że ktoś, kto był w domu, mógł przecież schować się przede mną albo uciec tylnymi drzwiami, oczywiście zamykając je za sobą, podczas gdy ja wchodziłem od frontu. Czy coś w tym stylu.

- Och, zamknij się już - odparła rozdrażniona Alex, gdy dotarły do niej te argumenty. Ale na pewno się nie myliła, jeśli chodzi o człowieka na górnym balkonie: widziała go wyraźnie. I nie przyśniło jej się tamto dyszenie.

A może jednak?

Znalazła tylko trzy możliwe wyjaśnienia: kombinacja tabletek nasennych, stresu i prawdopodobnie również - w wypadku postaci na balkonie - uderzenia w głowę, wywołała halucynacje; albo może rzeczywisty intruz znajdował się w sypialni, a potem stał na balkonie; lub były to zdarzenia paranormalne, a to, co widziała i słyszała, nie jest z tej ziemi.

- Joe - zapytała z wahaniem - wierzysz w... duchy?

- Aha - odrzekł, spoglądając na nią. - Czy mówimy tu o duchu twojego ojca?

- Brzmi to raczej głupio, co? - I nawet samej Alex wydawało się głupie, kiedy już wypowiedziała tę myśl na głos.

- Nie do końca. - Znów na nią spojrział. - Moja matka i siostra zginęły razem w wypadku samochodowym, kiedy miałem dwadzieścia lat. - Mówił tak rzeczowym tonem, jakby gawędzili o pogodzie. Patrzył teraz prosto przed siebie, uważając na drogę. Klasyczny zarys jego profilu oświetlało rozmyte deszczem lśnienie ulicznych latarni. Jedynie lekko uniesiony kącik ust wskazywał, że ów temat może być dla niego bolesny. - Przez wiele miesięcy po śmierci obie powracały do mnie w snach. Prawie co noc przychodziły do mojego pokoju, czasem matka, czasem moja siostra Carol, a czasami razem, i tłumaczyły mi, powtarzały, że jest im dobrze, że nie powinienem po nich rozpaczać. Sen czy nie sen, było to jedno z najbardziej rzeczywistych doznań, jakie przeżyłem. Wreszcie zacząłem radzić sobie z ich stratą i przestały przychodzić. Gdy myślę o tym teraz, przypuszczam, że to mój umysł próbował jakoś pogodzić się z ich śmiercią. Uważam też, że to dosyć popularne doznanie.

- Och, Joe - odpowiedziała łagodnie Alex, wzruszona, że dzieli się z nią czymś tak osobistym. - Tak mi przykro.

Zerknął na nią.

- To było wiele lat temu. Już dawno się z tym pogodziłem. Ale wiem, jak człowiek się czuje przez pierwsze tygodnie i miesiące po stracie ukochanej osoby. Wierz mi, jestem ostatnim człowiekiem na świecie, który śmiałby się z twojego ducha. - Skręcił na parking przy ulicy. - Jesteśmy na miejscu.

Rozejrawszy się, Alex dostrzegła lśniący napis „Szpital okręgowy”. Wysokie latarnie stojące na parkingu wydobywały z mroku ciemny kształt parterowego budynku. Joe wjechał pod betonową wiatę na końcu i zatrzymał wóz. Uderzający był nagły brak deszczu. W blasku lamp Alex zobaczyła ściany z żółtej cegły i podwójne, szklane drzwi w stalowych framugach, otwierające się na jasno oświetlone wnętrze. Napis nad wejściem głosił: „Ambulatorium”.

- Zaraz doprowadzimy cię do porządku - odezwał się Joe, wysiadając z samochodu. Zanim dotarł do jej drzwi, Alex otworzyła je i wysunęła nogi na zewnątrz. Ignorując jej wysiłki, by jeszcze raz spróbować samodzielnie stanąć na nogach, Joe wziął ją na rękę i wkroczył do ambulatorium.

## Rozdział szesnasty

Następnego ranka Alex budziła się powoli. Przeciągnęła się i obróciła na łóżku, nie otwierając oczu. Przez kilka pierwszych sekund czuła niejasny niepokój: siedziała w bibliotece w Whistledown i rozmawiała przez telefon z ojcem, który chciał jej przekazać coś bardzo ważnego. Nie mogła go jednak usłyszeć wyraźnie poprzez trzaski, aż w końcu połączenie się urwało. Jeszcze ze zmarszczonym czołem przypominała sobie rozmowę, zdecydowana oddzwonić natychmiast, jak tylko wstanie, gdy uderzyła ją rzeczywistość. Znany już smutek okrył ją niczym grubą pierzyną, przydusił i przygniótł swym ciężarem. Ojciec nie żyje, przerwana rozmowa telefoniczna to tylko sen. Już nigdy w życiu nie porozmawia z ojcem. A wczoraj Paul ożenił się z kimś innym. O Boże, to jednak za dużo. Jak ona ma to wytrzymać? Leżała jeszcze chwilę z próżną nadzieją, że uda jej się ponownie zasnąć. Wstać i zmierzyć się ze światem to teraz zbyt wielki wysiłek: czuła, że się nie ruszy, tak była ociężała. Paraliżował ją ból w sercu, jak przez minione pięć tygodni. Ale teraz wiedziała już z gorzkiego doświadczenia, że potrafi się poruszać, może funkcjonować. Będzie w stanie to przeżyć. Przede wszystkim trzeba oddychać, powtarzała sobie. Oddychać:

wdech-wydech. Wdech-wydech. Oddychaj!

Tak jak ów ktoś w jej sypialni wczoraj w nocy. Czy to ten sam ktoś, kogo widziała później na balkonie na pierwszym piętrze? Czy to ktoś rzeczywisty, ktoś z jej wyobraźni, czy... zjawą?

Na tę myśl Alex otworzyła natychmiast oczy i odwróciła się na plecy. Przy nagłym ruchu przesunęła głowę po desce i poczuła fizyczny ból. Au, to piecze! Skrzywiła się, ostrożnie badając palcami miejsce, gdzie trzy szwy spinały skórę na czaszce.

Jak orzekł lekarz, który oglądał zdjęcie rentgenowskie, przynajmniej nie doznała wstrząśnienia mózgu.

Przez lekko przysłonięte okno w drugim końcu pokoju przesączał się słoneczny blask. Najwyraźniej przestało padać, a sądząc po wysokości słońca, spała dość długo. Leżała w łóżku Joego Welcha. Gdy sobie to uzmysłowiła, dreszcz, zrodzony między jej udami, rozszedł się po wszystkich zakończeniach nerwowych. Szkoda, że on sam nie leży tu razem z nią, pomyślała, podkurczając palce stóp, podniecona taką perspektywą. Zapewne przespanie się z zarządcą farmy nie zadziała jako lekarstwo na trapiące Alex dolegliwości, ale dobrze wiedzieć, że znów zaczyna mieć ochotę na seks. Może jednak pewnego dnia zaleczy złamane serce.

Joe zapewniał ją, że tak będzie. Cała sztuka, wyjaśniał jej, gdy czekali razem na lekarza, by założył jej szwy, polega na tym, by stawiać nogi do przodu, aż odkryje, że wyszła z cienia i znów stoi w pełnym słońcu.

I tak się stanie, obiecywał.

Alex uśmiechnęła się na myśl o nim. Ten wczorajszy grubiański, okropny facet w ciągu nocy przemienił się w seksownego opiekuna, na którym mogła polegać. Zajął się nią błyskawicznie i skutecznie, nawet pomimo jej protestów, wysłuchał opowieści o duchu, nie śmiejąc się (Paul zadzwoniłby do najbliższego psychiatry), był przy niej w czasie ciężkiej próby w szpitalu, a nawet zaniósł ją na górę, kiedy wrócili, i ułożył do snu we własnym łóżku.

A to wszystko zrobił, nie prosząc o nic w zamian.

Paul nigdy nie umiałby zaopiekować się nią w ten sposób. Paul nigdy niczego nie uczynił, nie oczekując podzięk. Każdy troskliwy gest z jego strony, począwszy od pierwszego razu, gdy zaprosił Alex na obiad, miał na celu uzyskanie od niej jakiejś korzyści, zwykle w naturze. W każdym razie na pewno nie mógłby dźwigać jej wszędzie przez całą noc jak Joe, gdyż nie miał jego kondycji.

A więc spadaj! - powiedziała Alex do obrazu Paula w swoim umyśle i usiadła prosto, poruszając się ostrożnie, by zobaczyć, jak jej ciało zareaguje na pozycję pionową. Szwy ściągały skórę, miała też lekki ból głowy, ale poza tym czuła się względnie normalnie. A już na pewno lepiej niż zeszłej nocy.

Pytanie tylko, czy potrafi wstać, nie przewracając się od razu na twarz? Sprawa wydawała się coraz bardziej niecierpiąca zwłoki. Alex przerzuciła nogi poza brzeg łóżka, postawiła stopy na podłodze i, opierając się na nocnej szafce, dźwignęła ciało do pionu. Przez sekundę stała spokojnie, sprawdzając, czy kolana wytrzymują jej ciężar. Potem zrobiła jeden ostrożny krok, a po nim kolejny, aż przeszła przez cały pokój do łazienki. Pstryknęła przełącznikiem światła, ale się nie zapaliło. Wywnioskowała z tego, że albo jeszcze nie włączono prądu, albo trzeba zmienić żarówkę.

Zniknęły ubrania i rzeczy porzucone na podłodze minionej nocy, ktoś też wytarł posadzkę do czysta. Pozostawiono tylko dwa wielgachne ręczniki, które Joe wczoraj wepchnął złożone między pręty wieszaka. Wspomnienie jej wybawcy osłoniętego tylko jednym z takich ręczników wywołało kolejny podniecający dreszczyk i Alex napawała się tym uczuciem.

Powoli, powolutku, wracała do życia.

Zdjęła podkoszulek, w którym spała (dostała go od Joego, kiedy wrócili ze szpitala: sięgał jej do połowy uda) i wzięła szybki prysznic, uważając, by nie zamoczyć włosów. Skończywszy, owinęła się ręcznikiem, po czym, pokonując skrupuły co do naruszenia prywatności gospodarza, otworzyła szafkę na lekarstwa w poszukiwaniu aspiryny i balsamu do ciała. Nie znalazła ani jednego, ani drugiego: krem do golenia, maszynka i nożyki, dezodorant, pasta do zębów, płyn do płukania, nitka dentystyczna - to była cała zawartość. W porcelanowym uchwycie umocowanym w ścianie nad umywalką wisiała zielona szczoteczka do zębów. Na rezerwuarze leżała tania, plastikowa szczotka do włosów.

Najwidoczniej, pomyślała Alex, przeglądając te skąpe zasoby, mieszkał tu tylko samotny mężczyzna. Wzięła do ręki szczotkę i zaczęła delikatnie rozczesywać splątane pasma.

- Alex? - To była Neely. Alex wystawiła głowę przez drzwi łazienki i ze zdziwieniem odkryła, że jej siostra jest ubrana w dzinsy i obcisły, różowy golf - i jedno, i drugie najwyraźniej jej własne.

- Tu jestem. Skąd wzięłaś ubranie?

- Joe podrzucił mnie do Whistledown. Tobie też coś przywiozłam. - Na dowód tego uniosła wypchaną plastikową reklamówkę, a następnie postawiła ją w nogach łóżka i sama przycupnęła obok, podczas gdy Alex wychodziła z łazienki.

- Super. Dzięki. - Alex zaczęła grzebać w torbie.

- Jak się czujesz? - Neely obejrzała ją krytycznym wzrokiem.

Gdy Alex i Joe wrócili ze szpitala, Neely i dwaj synowie gospodarza nie spali, siedzieli na podłodze wokół niskiej ławy w saloniku i grali w karty przy świetle lampy, najwyraźniej w najlepszej komitywie. Mała Jenny spała

mocno, zwinięta w kłębek na kanapie. Neely i chłopcy wysłuchali krótkiego raportu Joego z przeszukiwania rezydencji, obejrzeni szwy Alex, wykrzykując nad nimi ze zgrozą, i dopiero wtedy Welch zapędził ich wszystkich do łóżek.

Alex nie wspomniała Neely o postaci, którą ujrzała na balkonie Whistledown. Choć nadal była przekonana, że coś widziała, nie miała już takiej pewności, co to: mężczyzna, zjawa czy też wytwór porażonego smutkiem umysłu. Cokolwiek to było, Alex uznała, że nie ma sensu, by siostra się tym zamartwiała.

- Lepiej. Nie masz ze sobą aspiryny, co?

Neely z żalem potrzęsła głową.

- Niestety nie. Ale mogę poprosić Joego o kilka tabletek.

- Sama go poproszę, gdy tylko zejść na dół. - Reklamówka ujawniła wąskie spodnie khaki, czarny kaszmirowy golf i blezerek, bieliznę, czarne botki na obcasie i torebkę, a w niej przygotowany na podróż kosmetyczny niezbędnik, zawierający między innymi małe pudełko z aspiryną. - Siostrzo, bądź błogosławiona - powiedziała Alex, pokazując Neely pudełeczko, po czym wróciła do łazienki, żeby popić pastylki wodą.

- No więc, co myślisz o Welchach? - odezwała się Neely tonem obojętnej konwersacji, gdy siostra wróciła do pokoju i zaczęła się ubierać.

Radar Alex natychmiast zaczął działać.

- Czy mowa o jakimś konkretnym członku tej rodziny?

Neely wykrzywiła się do siostry.

- O Elim.

- Uroczy chłopak. - Głos Alex był stłumiony, gdyż właśnie wciągała przez głowę koszulkę, i to z dużą uwagą, żeby nie zahaczyć o szwy. Gdy już wyłoniła się spod koszulki, wzięła z łóżka spodnie. - A ty co o nim myślisz?

- Myślę, że jest jeszcze bardziej apetyczny niż Joe. Eli wydaje się trochę nieśmiały, uważam, że to słodkie. Ciekawe, czy jest prawiczkiem?

Zapinając zamek w spodniach, Alex rzuciła siostrze ostre spojrzenie.

- Niestety, nie pozostaniemy tu na tyle długo, abyś mogła się dowiedzieć.

Neely prowokująco wyszczerzyła zęby.

- No, nie wiem...

- Obiad! - usłyszały z dołu donośny, chłopięcy głos.

- To Josh - wyjaśniła Neely, zrywając się z łóżka. - Ponieważ nie ma prądu, Joe pojechał do KFC. Chodź, padam z głodu. - Ruszyła ku drzwiom, przystanąła jednak i obejrzała się na siostrę.

- Aha. Potrzebujesz pomocy, żeby zejść na dół? Poczekam na ciebie. Albo pójść po Joego.

Alex pokręciła głową. Propozycja, by znów być niesioną na rękach przez pana tego domu, wydawała się kusząca, ale...

- Nic mi nie jest.

Neely zniknęła, błysnąwszy zębami w złośliwym uśmiechu, który mówił, że dziewczyna domyśla się, o czym pomyślała Alex.

Pospiesznie nakładając makijaż i gładko zaczesując włosy w kucyk, Alex odkryła, że, nie licząc bólu głowy, który zlikwiduje aspiryna, gdy tylko zacznie działać, i ogólnej apatii, właściwie nic jej nie było. Następnie, pamiętając, by trzymać się poręczy, ruszyła schodami w dół. Powitał ją zapach jedzenia. Wciągając go w nozdrza, ze zdumieniem odkryła, że pachnie smakowicie! Od śmierci ojca nie cieszył jej ani smak, ani zapach jedzenia. Jadła, ponieważ wiedziała, że powinna, i tylko z tego powodu. Tak samo ze spaniem: zmuszała się do zaśnięcia, bo rozumiała, że sen jest potrzebny. A więc - pigułki nasenne.

- Hej! Piękny poranek. - Joe pojawił się, gdy była w połowie schodów, i stanął na dole, patrząc na nią. Obrzuciła go szybkim spojrzeniem: ubrany był w adidas, dzinsy i flanelową szaro-granatową koszulkę, która opadała z jego szerokich ramion ze swobodą typową dla ukochanych, znoszonych ciuchów. Zauważyła, że się ogolił: bez ciemnej szczeciny przesłaniającej czystą linię szczęk i podbródka stał się tak przystojny, że jego widok aż porażał oczy. Uśmiechnął się do niej szeroko: efekt był olśniewający. - A raczej, piękne popołudnie. Myślałem, że potrzebna, ci pomoc.

Odwzajemniła uśmiech. Niesamowite, co się z nią dzieje na jego widok, pomyślała zdumiona. Wczoraj o tej porze wydawał się wrogiem. Dziś jest przyjacielem; nie, poprawiła się, niezupełnie przyjacielem. Przyjaciół miała wielu, lecz żaden nie działał na nią tak jak on.

- Dzięki, już mi dużo lepiej. Przynajmniej mogę wstać. A w ogóle, która godzina?

- Dochodzi pierwsza. Głodna?

- Trochę. - Z zaskoczeniem przekonała się, że nie skłamała. Dotarła do ostatniego stopnia i zauważyła, że teraz ich głowy znajdują się na tym samym poziomie: jeszcze raz uprzytomniła sobie, jaki Joe jest wysoki. - A tak przy okazji, dziękuję za wszystko, co dla mnie wczoraj zrobiłeś.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Ich oczy spotkały się i przez chwilę Alex myślała, że zobaczyła w jego zrenicach błysk świadomości tego samego, co sama czuła.

- Hej, tato, jak się nie pośpieszycie, zaczniemy bez was! - zawołał chłopięcy głos z kuchni.

- Idziemy! - odkrzyknął Joe, po czym zwrócił się do Alex: - Chodźmy albo rzeczywiście nic nam nie zostawia.

Alex posłuchała go i ruszyła pierwsza przez korytarz do kuchni. Przy każdym kroku czuła za sobą obecność Joego. Na pierwszy rzut oka kuchnia wyglądała na zatłoczoną. Ponad sześćdziesięcioletni mężczyzna z całkowicie białymi włosami, wysoki i żyłasty, ubrany w odprasowane spodnie khaki i wsuniętą do środka niebieską koszulę, niósł do stołu dwa półmiski wyładowane kawałkami kurczaka. Za nim kroczyła Jenny, w żółtych kuchennych rękawicach, trzymając wielką miskę tłuczonych ziemniaków. Josh szedł za nią z kamionką pełną kolb kukurydzy. Neely - jej siostra Neely, której awersja do prac domowych była już legendarna - stała przy blacie, napełniając wysokie szklanki lodem z wielkiego plastikowego worka z gotowymi kostkami, który ktoś wstawił do zlewu. Te szklanki zabierał na stół Eli, co wiele wyjaśniało. Tak jak i Neely, wszystkie dzieci Joego były w dzinsach. Eli miał na sobie sweter w barwach drużyny, a pod spodem biały podkoszulek; z długimi włosami, spiętymi z tyłu w kucyk wyglądał ogromnie uwodzicielsko, oczarowałby każdą nastolatkę, a co dopiero dziewczynę tak podatną na urok płci przeciwnej jak Neely. Josh nosił dziś flanelową koszulę i miał zmarszczone czoło. Zbyt wielki sweter Jenny z pewnością należał kiedyś do jednego z jej braci - lub do obu.

- No proszę, proszę! Wygląda na to, że wstała!

Starszy mężczyzna pierwszy zauważył Alex, gdy tylko przystanęła w drzwiach kuchni; jego oczy przemknęły po jej postaci z aprobatą w tej samej chwili, gdy uśmiechnął się zachęcająco. Neely porozumiała się z siostrą oczami. Każde z dzieci wymamrotało jakąś wersję „dzień dobry”. Z tyłu Joe przytrzymał ją w talii i wprowadził do kuchni. Starszy pan rozstawił półmiski na stole i podszedł do Alex.

- Miło panią poznać, panno Haywood. Dziś rano wiele o pani słyszałem. Jestem Cary Welch.

- To mój tata - wtrącił Joe; Alex kątem oka zauważyła, że posłał ojcu miążdżące spojrzenie. Ciekawe, co takiego Cary Welch usłyszał... i czy to syn był źródłem tych informacji.

- Proszę mówić do mnie „Alex”. - Wyciągnęła rękę do ojca Joego. Miał ciepłą dłoń, o mocnych, szczupłych palcach.

- A więc, Alex, słyszałem, że wszyscy tu przeżyliście małą przygodę zeszłej nocy, w związku z Whistledown.

Popatrzył na nią z błyskiem w oku. Zobaczyła, że tęczęwki Cary'ego są także błękitne, w tym samym jasnym, zabójczym odcieniu, co oczy syna i wnuków. Oczy Jenny były inne: miały ciepły, brązowy kolor, niemal taki sam, jak barwa jej włosów.

- Poniekąd - odrzekła Alex.

- Taak, było super. Tak długo siedzieliśmy w nocy, że dziś rano nie musieliśmy iść do kościoła - odezwał się Eli, niosąc do stołu ostatnie szklanki.

- O czym ty mówisz? Przecież uwielbiasz chodzić do kościoła, dobrze o tym wiesz. - Joe, śmiejąc się szeroko, żartobliwie pacnął syna w głowę, gdy ten przechodził obok.

- Mniej więcej tak samo, jak uwielbiam chodzić do dentysty - burknął chłopak, stawiając szklanki na blacie.

- Założę się, że Heather była rozczarowana, że cię nie zobaczyła na mszy - wtrąciła złośliwie Jenny, wyjmując sześć puszek coli ze zgrzewki i stawiając je obok szklanek.

- A kto to jest Heather? - zapytała Neely, ach, jakże niedbałym tonem.

- To dziewczyna Elięgo. Jest za-ko-chaaa-nyyy! - zaśpiewał Josh.

- Przymknij się, głąbie! - Chłopak rzucił bratu wściekłe spojrzenie.

- No dobra, towarzystwo, do jedzenia - zainterweniował Joe. - Alex, możesz usiąść tam, obok siostry.

Nastąpiło ogólne zamieszanie, gdy wszyscy zajmowali miejsca. Z lekkim zdziwieniem Alex przyjęła fakt, że Welchowie odmawiali modlitwę przed jedzeniem. Jakoś nie spodziewała się, że Joe będzie tak skrupulatny, jeśli chodzi o niedzielną mszę czy modlitwę przed jedzeniem, ale widać bardzo poważnie traktował swe obowiązki jako ojca rodziny. Najwyraźniej dzisiaj wypadła kolej Josha. Gdy rodzina w oczekiwaniu zwróciła ku niemu twarzę, wykrzywił się i szybko, prawie z zakłopotaniem, zerknął na Neely, zanim zaczął mówić:

- Dobre picie i jedzenie, dobry Boże, do śniadania! Amen.

- Josh! - upomniał go ojciec, rzucając ostrzegawcze spojrzenie spod przymrużonych powiek.

Policzki chłopca przybrały różowy odcień i ponownie zerknął na Neely.

- No, dobra, już dobra. Boże, dziękujemy Ci za te dary, które będziemy spożywać. Amen.

- Teraz lepiej - zgodził się Joe i rozpoczęła się ogólna rozmowa, podczas gdy podawano sobie półmiski i wszyscy zaczęli jeść. Z zasady Alex nie przepadała za jedzeniem tego typu, ale kurczak był zaskakująco smaczny i ze zdziwieniem spostrzegła, że może spróbować wszystkiego po trochu i cieszyć się z tego, co je.

- Możemy teraz pojeździć twoją terenówką? - zapytała Neely, patrząc na Elięgo, gdy skończono posiłek.

Chłopiec popatrzył na ojca.

- Jasne - odpowiedział Joe na niezadane pytanie. - Gdy tylko wypełnisz swoje obowiązki.

- Jakie obowiązki? - chciała wiedzieć Neely.

Eli się skrzywił.

- Mam załadować zmywarkę. Josh sprząta, Jen usuwa resztki z talerzy. Tata zwykle gotuje. - Na jego ustach wykwitł uśmiech. - Ruffles zjada resztki, a dziadek robi, co mu się podoba.

- Też będziesz robił, co ci się podoba, jak będziesz w moim wieku - odparł Cary Welch, gdy wszyscy podnieśli

się od stołu. - Cóż, Joe, myślę, że przejdę się trochę i zajrzę do Tańca Zwycięstwa. Gdybym był ci do czegoś potrzebny, to szukaj mnie w stajni.

Joe skinął ojcu głową i spojrzął na Alex.

- Masz ochotę przejść się teraz i rozejrzeć po Whistledown?

- Jasne. - Wstała i opierając się jedną ręką o krzesło, z którego się właśnie podniosła, popatrzyła na Neely. Jej siostra, która z całą pewnością w życiu czegoś takiego nie robiła, pomagała Jenny usuwać resztki jedzenia z talerzy. Cuda nigdy nie przestaną się zdarzać. - Neely, jadę do Whistledown.

Dziewczyna pomachała jej ręką przez ramię.

- Baw się dobrze.

- Przyda ci się płaszcz - uznał Joe, gdy zbliżali się do tylnego wyjścia.

Nim zdążyła odpowiedzieć, pochwyił z wieszaka przy drzwiach jakieś okrycie i zarzucił jej na ramiona. Stara, zielona wojskowa kurtka, jak zauważyła Alex, gdy już się zapięła, była tak duża, że można by w niej pływać. Domyśliła się, że kurtka należy do Joego. Wsunął ramiona w niebieską puchówkę, tę samą, którą miał na sobie, gdy zobaczyła go pierwszy raz. Znowu przypomniał jej się ponurak, którego wczoraj poznała, i uśmiechnęła się do siebie, myśląc: Ileż może się zmienić przez jeden dzień!

Gdy wyszli na małą werandę z tyłu domu, zauważyła, że słońce świeci jasno, ale wszędzie widać było ślady wczorajszej burzy. Na podwórku i na polach stały kałuże wielkości małych jezior, niemal wesoło połyskując w słonecznym blasku, a po ziemi wałały się połamane gałęzie. W przecinających zgnieciony trawnik minikanionach wyżłobionych w rdzawobrunatnej glinie płynęły wąskie strumyki. Na czarny asfalt podjazdu woda naniosła jeszcze więcej błota, które pokrywało teraz drogę cienką warstwą, zasychającą na słońcu. W ostrym, chłodnym powietrzu unosił się silny zapach mokrej ziemi.

- Czy masz coś przeciwko jeździe pikapem? - zapytał Joe, zatrzymując się obok Alex.

Podążyła wzrokiem za jego gestem i ujrzała zdezelowaną, niebieską półciężarówkę, stojącą przed szopą, najwyraźniej używaną jako składzik. Ponieważ dżip, którym jeździli wcześniej (ciemnozielony chevy blazer, jak się przekonała w świetle dziennym), był zaparkowany tuż obok, Alex przypuszczała, że Joe nie bez powodu woli jechać pikapem.

- Czemu tak sądzisz? - odparła, mierzając go spojrzeniem spod przymkniętych powiek. - Lubię pikapy.

- Ach, tak? - Uśmiechnął się, przemykając oczami po jej twarzy. - No cóż, a ja lubię oglądać pierwsze bale dobrze urodzonych pańienek. Chodźmy więc, Księżniczko. Chcę po drodze podrzucić trochę paszy do stajni, skoro już ruszamy się z domu.

### Rozdział siedemnasty

Muszę cię o coś spytać - powiedziała Alex, idąc w stronę stajni za Joem; niósł na ramionach pięćdziesięciokilogramowy wór paszy z taką łatwością, jakby to był bochen chleba. Nic dziwnego, że ten facet bez problemów nosił ją wszędzie na rękach! Zapewne takie ciężary dźwiga na co dzień. Teraz pytająco uniósł brwi, czarne i gęste jak jego włosy. - Skąd to wytrzasnąłeś? - Pociągnęła go za rękaw od swojej strony.

Gdy się uśmiechnął, wokół oczu pojawiły się zmarszczki.

- Co, moją kurtkę? Nie podoba ci się?

- Jest, hmm... jaskrawa. I ma bardzo nietypowy odcień błękitu. - Poza tym jeszcze bardziej uwypuklała jego tors, który, jak już zauważyła, sam z siebie był świetnie umięśniony.

Znajdowali się już w stajni. Do Alex docierały wyraźnie różniące się zapachy siana i koni. Światła pod sufitem były włączone; Alex od razu zauważyła, że Cary Welch jest w środku i właśnie wyprowadza z boksu jakiegoś konia.

- To błękit UK, czyli drużyny Wildcats z Uniwersytetu Kentucky. Ta kurtka zagrzewa do walki. - Omiótł wszystko wzrokiem, otwierając drzwi do małego pomieszczenia tuż za biurem, i podniósł głos niemal do krzyku. - Natomiast mój tata, tu obecny, jest fanem UL-u, Uniwersytetu w Louisville.

Cary Welch obejrzał się, a potem niedbale machnął ręką.

- Poczekaj no do meczu, zobaczymy, kto wygra.

Joe zaśmiał się i wszedł do pomieszczenia, które dla Alex wyglądało na składzik. Zrzucił worek z paszą na podłogę.

- Domyślałam się, że mówicie o koszykówce - oświadczyła sucho.

- Uniwersytet Kentucky przeciw Louisville. Święta wojna. W tę sobotę będzie wielki mecz. - Joe wyłonił się ze składziku i zamknął drzwi, starannie zasuwając bolec, po czym spojrzął na Alex. - Poradziłbym ci, żebyś go sobie obejrzała w telewizji, ale będziesz już wtedy w mieście, a wątpię, czy w Filadelfii nadadzą transmisję.

- No tak. - Myśl o powrocie do domu zabolęła Alex, która od razu wiedziała, dlaczego: ta sprawa z Joem - świadomość jego ciała i seksualne wibracje - wszystko to nie będzie miało okazji się rozwinąć. Jutro Alex znajdzie się w samolocie i prawdopodobnie już nigdy nie zobaczy tego mężczyzny.

- Hej, Joe, pozwól na minutkę. Chcę, żebyś rzucił okiem na kopyto naszego Tancerza! - zawołał Cary.

Welch poszedł w stronę, z której dobiegał głos, Alex zaś ruszyła w jego ślady. Większość bokсів stała pusta, podejrzewała więc, że konie wyprowadzono na dzień. Obcasy jej butów zapadały się w grubą warstwę starannie

zagrabionych trocin, nogi chwiały się w kostkach i odruchowo chwyciła Joego za ramię, by się wesprzeć. Popatrzył na nią z cieniem uśmiechu.

- Wysokie obcasy nie pasują do stajni - zauważył.

- I mnie to mówisz...

Podeszli do Cary'ego i konia. Wielki, rudy wierzchowiec był tym samym wychudzonym i zabiedzonym nieszczęślikiem, o którego wczoraj się upominała, i dziś wcale nie wyglądał lepiej. Jego przejrzyste, brązowe oczy patrzyły w jej twarz i mogłaby przysiąc, że chyba ją rozpoznawał. Parsknął cicho i trącił Alex w ramię pyskiem. Poklepała go.

- Masz, daj mu to - powiedział Joe, podając jej owiniętą w celofan miętówkę.

Alex rozwinęła cukierek i podsunęła zwierzęciu na otwartej dłoni: koń wziął przysmak miękkimi wargami i schrupał z widocznym zadowoleniem. Ponieważ mężczyźni przestali na nią zwracać uwagę, Alex zaczęła pieszczotliwie przemawiać do niego cichutko i przez parę minut głaskała wielki łeb; w powietrzu rozchodził się zapach mięty. W tym samym czasie Joe i jego ojciec przesuwali przednie prawe kopyto konia w przód i w tył, unieśli je, pukali w nie i stukali, jednocześnie omawiając zalety różnych metod leczenia tego, co właśnie dostrzegli.

- A ty co o nim myślisz, Alex? - zapytał Cary, gdy skończyli i koń znów stał na wszystkich czterech nogach.

- Na moje oko przydałoby mu się parę solidnych posiłków i cała armia witamin - odrzekła. - Albo co najmniej jeszcze z pięćdziesiąt miętówek.

Joe roześmiał się, a Cary pokręcił nad nią głową.

- Młoda damo, to jest czempion! Zapamiętaj sobie moje słowa. Nie śmieć się, synu. Jeśli się mylę co do tego zwierzaka, to do końca życia nie będę już oceniać koni.

- A najśmieszniejsze jest to, że on się zna na koniach i nieczęsto się myli w swoich opiniach - dodał Joe, gdy Cary odprowadzał Taniec Zwycięstwa, a oni oboje wyszli ze stajni i ruszyli do samochodu. Żwir na zewnątrz był tak samo niedobry dla obcasów jak trociny w środku i Alex, nawet o tym nie myśląc, ujęła swojego towarzysza pod rękę. - To dlatego kupiłem tego konia pomimo jego wyglądu. Należy do mnie, tak przy okazji, nie do farmy Whistledown.

Te ostatnie słowa zabrzmiały sucho, co przypomniało Alex, że sprawa wymówienia nie została jeszcze załagodzona.

- Naprawdę, bardzo przepraszam za wczoraj - powiedziała, podnosząc na niego spojrzenie. Dotarli już do samochodu i wysunęła palce spod łokcia Joego, gdy otwierał przed nią drzwi z prawej strony. - To znaczy za to, że przywiozłam złe wieści. Uwierz mi, ta cała sytuacja dla mnie też nie jest łatwa.

Jego usta, zaciśnięte od chwili, gdy wspominał o własności konia, rozciągnęły się teraz w krzywym półuśmiechu.

- Nie, nie przypuszczam, by była łatwa.

Alex wsiadła do pikapa; Joe zatrzasnął za nią drzwi, obszedł samochód przed maską i wsiadł z drugiej strony.

- No to opowiedz mi o sobie - zaproponował, zapalając silnik i zawracając wozem. Alex złapała za uchwyt przy drzwiach, gdy samochód zakołysał się na zakręcie. - Jak to jest, dorastać jako nieprzyzwoicie bogata dziewczynka?

- To nie taka frajda, jak by się mogło wydawać. - Oparła się o niebieski, plastikowy zagłówek i zwróciła ku niemu twarz. - Miałam masę zabawek, kiedy byłam mała, masę ubrań, kiedy zrobiłam się starsza, i lekcje z każdej dziedziny pod słońcem. Nauka tenisa i gry w golfa, narty, fortepian, taniec - wymień jeszcze coś, a ja zapewne i z tego brałam lekcje. Posiadaliśmy bardzo dużo wielkich domów z całą armią służby, więc kiedy już byłam dość duża, praktycznie mogłam pojechać, dokąd tylko chciałam. Ale, jak wiesz, można mieć ograniczoną liczbę rzeczy i pojechać w ograniczoną liczbę miejsc. Po pewnym czasie to wszystko tak jakby przestaje się naprawdę liczyć. A przynajmniej ja uważam, że te rzeczy nie mają znaczenia. Nigdy nie byłam biedna. Nie wydaje mi się, żeby miało być to trudne, ale tak naprawdę nie wiem.

- Człowiek się przyzwyczaja. - Joe roześmiał się krótko pod nosem, gdy samochód wjechał na szosę. - Chodziłaś do szkoły?

- Oczywiście, że chodziłam. Do szkół z internatem, ściśle mówiąc. Do Shipley, do Pensionat de la Chassotte w Szwajcarii i do Le Rosey. Bogate dzieci zawsze uczą się w szkołach z internatem. Dzięki temu nie płaczą się rodzicom pod nogami.

Joe popatrzył na nią bystrym wzrokiem.

- A gdzie twoja matka? Czy jeszcze żyje?

Alex skinęła głową.

- Poradziła sobie nawet lepiej niż ojciec: ma już siódmego męża. Mieszka teraz w Australii. Nie kontaktujemy się zbyt często, choć od czasu do czasu dzwoni. Po pierwsze, nie może się pogodzić z myślą, że ma dorosłą córkę, bo czuje się przez to stara. Po drugie, nie znosi Neely. Choć, dokładnie rzecz biorąc, to nie sama Neely ją drażni. Nigdy tak naprawdę jej nie widziała. Chodzi o sam fakt istnienia mojej siostry.

- Jak to?

- Moja mama była drugą żoną ojca, a matka Neely jego trzecią żoną. Moja matka oskarża matkę Neely o to, że ukradła jej męża, nawet po tylu latach. Jakby nie zdawała sobie sprawy, że gdyby to nie była matka Neely, to pojawiłaby się jakaś inna dziewczyna. Mój ojciec lubił młode i piękne kobiety. Gdy przestawały być młode i

piękne, jego podejście do nich zmieniało się na: „ściąć jej głowę!”. Oczywiście, w przenośni.

Joe patrzył na nią zaciekawiony.

- No to z kim spędzałaś Boże Narodzenie, wakacje i inne święta? Z ojcem czy z matką?

- Z obojgiem. Albo z żadnym z nich. Czasem jechałam do przyjaciół. Albo zostawałam w którymś z naszych domów, choć rodziców zwykle nie było. Zajmowali się swoimi sprawami, a ja swoimi. Zawsze oczywiście znajdowała się tam służba, żeby się mną zająć.

- Pobrzmiewa w tym samotność.

- W zasadzie nawet nie. Lubiłam być sama. Potem pojawiła się Neely i zawsze spędzałam wakacje tam, gdzie ona. Jej matka zmarła, gdy dziewczynka skończyła sześć lat, byłam więc od tej pory najbliższą osobą, jaką miała. Żadna z kolejnych żon mego ojca nie paliła się do roli macochy. Kilka z nich miało własne dzieci, a te, które nie miały, to... cóż, powiedzmy, że nie były specjalnie obdarzone instynktem macierzyńskim.

- Widziałem twoją obecną macochę. Muszę przyznać, że nie potrafię sobie wyobrazić jej matkującej Neely czy komukolwiek w ogóle.

Alex uśmiechnęła się lekko.

- Obawiam się, że bycie matką nie leży w naturze Mercedes. Nie, żeby coś przeciw niej miała. Nawet ją lubię. Dogadujemy się ze sobą, kiedy jesteśmy razem. Neely natomiast to całkiem inna sprawa. Jeśli zaczniesz ją naciskać, stawia dwa razy silniejszy opór, a do Mercedes jakoś to nie dociera. Ona i Neely nie są w dobrych układach.

- Czym się więc zajmujesz? Skoro jesteś już duża i nie chodzisz do szkoły? Czy bogate dziewczynki w ogóle coś robią?

Alex zamrużyła powiekami.

- Usiłujesz mnie obrazić?

Joe się roześmiał.

- Wybacz, mam ograniczone doświadczenie, jeśli chodzi o córki miliarderów.

Posłała mu spojrzenie spod przymkniętych powiek.

- Jestem fotografikiem. Bardzo dobrym, jeśli mogę to powiedzieć sama o sobie. Znasz takie wielkie albumy ze zdjęciami, które ludzie kładą na stolikach i ławach? Ja robię te zdjęcia. Nie opłaca się to tak bardzo, ale jak dotąd nie musiałam się martwić o pieniądze.

- Przypuszczam, że twój narzeczony też był nieźle nadziany? - Dotarli do drogi dojazdowej do Whistledown i Joe skierował na nią wóz.

Alex fuknęła przez nos z ironią. Jakie to dziwne, wspomnienie Paula prawie nie zabolalo. Złamane serce goiło się szybciej, niżby uznała to za możliwe - i wiedziała, dlaczego. Pociąg do innego mężczyzny działał jak mocny środek usmierzający cierpienie.

- Dość powiedzieć, że jego nowa żona to córka bardzo bogatego człowieka. Owszem, Paul odnosi sukcesy w tym, co robi, ale naprawdę nie ma dużych pieniędzy. A przynajmniej nie posiadał do tej pory. Teraz, gdy jest mężem Tary Gould, już je zdobył. W zasadzie odkrycie prawdy o nim to najlepsza rzecz, jaka wynikła z tej całej sytuacji. Nie chciałabym zostać poślubiona dla majątku.

Joe posłał jej uśmiech.

- Nie ma takiej obawy. Jesteś piękną kobietą. Inteligentną i czarującą. Może trochę zbyt się rządzisz, ale to pewno nie mój problem.

Alex roześmiała się.

- Dziękuję ci bardzo... chyba.

Whistledown było tuż przed nimi i Alex nie mogła się powstrzymać, by nie spojrzeć na balkon na piętrze, gdy Joe zatrzymał wóz. Nieświadomie zadrżała. Tam - właśnie tam, pomiędzy dwoma wysokimi oknami na prawo - zobaczyła wczoraj owego człowieka. Dziś nic tam nie było. Wyraźnie widziała balkon od balustrady aż do samej białej kamiennej ściany.

- Gotowa? - Welch już wysiadł z samochodu. Alex także się wygramoliła, nie czekając, aż on obejdzie auto i otworzy przed nią drzwi. Nieco pozostawała za nim w tyle, gdy szli ku frontowym drzwiom. Wspomnienie strachu z minionej nocy było zbyt świeże, by tak łatwo mogła je odsunąć na bok. - Bardzo dokładnie przeczesał się cały dom, ja sam, a potem z twoją siostrą, i o ile mogę to stwierdzić, nie brakuje ani jednej rzeczy. - Joe przerwał jej rozmyślenia. Otworzył drzwi i czekał, by przepuścić ją przodem.

Przez chwilę Alex się ościagała: strach tworzył tak solidną barierę jak prawdziwa ściana. Ale potem spojrzała na swego towarzysza: jest wielki, silny i można absolutnie na nim polegać. W stu procentach wierzyła, że Joe zdołałby poradzić sobie ze wszystkim, na co mogą się natknąć. A przynajmniej zapewni jej bezpieczeństwo. Z tą myślą minęła go i weszła do środka.

Bez światła wewnątrz wydawało się ciemne i trochę niesamowite, nawet w tak jasny dzień. To przez te ciężkie zasłony, wciąż zaciągnięte po minionej nocy, tłumaczyła sobie dzielnie Alex. W nozdrzach wyczuła przelotny, słaby aromat różanego potpourri. Dom wydawał się zbyt cichy, jakby na coś czekał. Na nią? Ta myśl sama z siebie pojawiła się w jej głowie i Alex znów się otrząsnęła. Musiała aż zagryźć wargę, by nie zaprotestować, kiedy Joe

zatrzasnął za nimi drzwi.

Przez sekundę dom zdawał się zamykać wokół niej. Nagły półmrok sprawiał wrażenie, jakby ożywiły go cienie, przyczajone w kątach niczym milczące zjawy.

- Bardzo tu ciemno. - Joe przerwał działanie uroku, wchodząc do salonu i rozsuwając zasłony.

Alex, krok w krok za swoim obrońcą (nie ma mowy, żeby straciła go z oczu), westchnęła z ulgą. Gdy słoneczny blask wlał się do środka, atmosfera wokół przestała być tak złowróżbna. Przeszli przez cały parter, a Joe rozsuwał zasłony w każdym pokoju.

Gdy dotarli do kuchni, Alex zatrzymała się na chwilę i popatrzyła dookoła. Od czasu gdy ojciec kupił ten dom, kuchnię wyposażono w granitowe blaty w kolorze malachitu i ręcznie malowane szafki od Smallbone'a, które nadały wnętrzu staroświecki wygląd. Podłogę wyłożono płytkami, ściany zaś pokrywały ciężkie, drewniane panele, pomalowane na łagodny, zielony kolor. Było to piękne pomieszczenie, jak wszystkie w Whistledown. A przynajmniej piękne od zewnątrz. Alex nadal wyczuwała jakieś odpychające fluidy, biegnące gdzieś pod powierzchnią.

- Idziemy na górę?

Joe stał przy małych drzwiach z boku kuchni, prowadzących na wąską klatkę schodową z tyłu domu. Na samą myśl o wejściu na górę Alex poczuła narastający strach. Powiedziała jednak sobie, że mając takiego towarzysza, nie musi się niczego obawiać.

- Chyba tak.

Uśmiechnął się, widząc jej oczywisty brak entuzjazmu, i czekał przy drzwiach, więc niechętnie przeszła obok niego i pierwsza ruszyła na górę.

- Nie wiem tego do końca, ale wydaje mi się, że jeśli wczoraj w nocy naprawdę myślałaś, że w domu jest ktoś, kto nie powinien tu być, to zrywanie się z łóżka i ściganie tego kogoś nie wydaje mi się najmądrzejszy pomysłem.

W tej powoli wygłaszanej uwadze pobrzmiwały złośliwe nuty. Alex była już w połowie stromych schodów; spojrzała na Joego przez ramię. Choć stał dwa stopnie niżej, czubkiem głowy sięgał podbródka Alex, a jego ramiona, bardzo poszerzone przez kurtkę, jakby wziętą z reklam Michelina, blokowały cały korytarz. W półmroku pozbawionej okien klatki schodowej uniesione w jej stronę oczy lśniły, odbijając przyćmione światło. Potężna postać mężczyzny była tak dużą pociechą, że Alex chętnie puściła mu płazem insynuacje na temat jej tchórzostwa.

- Pewnie masz rację - przyznała, wchodząc na piętro i idąc powoli korytarzem; Joe szedł tuż za nią. - Ale pomyślałam... - Jej głos ucichł, gdy rozejrzała się dokoła.

- Pomyślałaś, że...?

- Że to może mój ojciec.

- Aha. - Głębokie zrozumienie w jego głosie sprawiło, że posłała Joemu krótki, przelotny uśmiech.

Wszystko było dokładnie tak samo, jak wczoraj: bladokremowe ściany, eleganckie, białe futryny, a w nich wypolerowane, mahoniowe drzwi, czerwony chodnik w orientalne motywy na ciemnej drewnianej podłodze, przymocowany do ściany stolik, którego boków strzegły dwa osiemnastowieczne krzesła Duncana Phyfe'a, i nad którym wisiał gobelin o skomplikowanym wzorze. Ponad krzesłami, na wysokości oczu zawieszono dwie pozłacane półki. Stały na nich, tak jak mówił Joe, dwie brązowe rzeźby, przedstawiające jakieś mityczne boginki. Ktoś, zapewne sam Joe, a może Neely, odstawił przewróconą figurkę na swoje miejsce. Alex w myślach jeszcze raz przebiegła ostatnie chwile przed momentem, gdy poczuła uderzenie w głowę. Potknęła się - to pamiętała - i teraz od razu zobaczyła, że winowajcą mógł być chodnik, który kończył się plecionką frędzli dokładnie przed drzwiami jej sypialni. Poleciała do przodu i chwyciła ręką jakiś materiał - może ten gobelin? Sięgnęła do niego, by porównać materiał ze wspomnieniem, i zmarszczyła brwi. Czy dziś wydawał się grubszy i bardziej śliski niż ten, który wczoraj złapała? Tak jej się wydawało, ale też wspomnienie owych paru sekund, kiedy właściwie już leciała w dół, było bardzo niewyraźne. Czy to możliwe, że chwytając tkaninę, straciła sobie rzeźbę na głowę?

Na wspomnienie tego uderzenia aż coś ścisnęło ją w żołądku, a w czaszce pod szwami znów zaczęło dudnić. Gdy tylko znalazła się ponownie w tym korytarzu, wszystko wróciło: niemal słyszała odgłos dyszenia: wdech, wydech, wdech, wydech...

- Na litość boską, nie hiperwentyluj się tak! - zawołał Joe, chwytając ją za ramię i odwracając twarzą do siebie. Wspomnienie pierzchnęło.

Alex podniosła na niego wzrok; zorientowała się, że nieświadomie naśladowała tamto sapanie. Dzięki Bogu, że jest tu Joe, pomyślała, patrząc mu w oczy. Dzięki niemu cała ta straszliwa sprawa staje się prostsza. Oczy mu pociemniały, gdy tak stali, wpatrując się w siebie, a jego ręce zacisnęły się na ramionach Alex.

Nagły dźwięk spłoszył oboje. Nie był głośny, brzmiał raczej jak stłumione uderzenie, ale w teoretycznie pustym domu nie powinno być w ogóle żadnych hałasów. Alex zeszytywniała, czując, jak lodowaty dreszcz przebiega jej wzdłuż kręgosłupa, i gwałtownie odwróciła głowę w stronę, z której dobiegł ich ów dźwięk. Chwyciła mocno obiema dłońmi ramiona Joego, wbijając paznokcie w puchate, nylonowe rękawy kurtki.

- Co to było? - zapytała syczącym głosem.

- Poczekaj tutaj. - Puścił Alex i odsunął jej ręce. - Sprawdzę, co to jest.

I zostawił ją tutaj samą na korytarzu, wydaną na pastwę nie wiadomo czego?



- Po moim trupie! - Gdy ją mijał, złapała mocno jego wielką, ciepłą dłoń. Koszmarne wspomnienia przelatowały w jej myślach, gdy podążała za nim korytarzem. Tym razem nie było miejsca na przypuszczenia. Coś - ktoś - na pewno jest w domu. Od samego początku miała rację.

Serce zaczęło jej łomotać, kiedy sobie to uświadomiła.

Buch! Dźwięk dochodził z jej sypialni. Idąc za Joem, Alex nadal ścisnęła mocno jego dłoń, gdy zbliżyli się do uchylonych drzwi. Rwał jej się oddech i musiała sobie przypominać, by nad nim panować.

- Może powinniśmy po prostu wezwać policję - zaproponowała szeptem, nie licząc zbytnio na to, że zostanie wysłuchana.

- Cii! - Joe przystanął i wyciągniętą ręką pchnął drzwi, aż otworzyły się na całą szerokość. Gdy skrzyknęły, Alex aż się skrzywiła: ten dźwięk na pewno zaalarmuje kogoś, kto był w pokoju - ale w środku nie dostrzegli nikogo. Jedyne kryjówki znajdowały się pod łóżkiem albo za zamkniętymi drzwiami garderoby.

Buch! Alex szeroko otworzyła oczy. Ten dźwięk naprawdę dobiegał z garderoby. Joe uwolnił rękę gwałtownym szarpnięciem, posłał Alex szybkie, znaczące spojrzenie, które mówiło wyraźnie: „zostań tutaj”, i czterema długimi krokami pokonał szerokość pokoju, pozostawiając ją, zlaną zimnym potem, by tylko patrzyła. Jeśli w garderobie kryje się prawdziwa, groźna istota ludzka o złych zamiarach, to równie dobrze może mieć przy sobie prawdziwy, groźny pistolet...

### Rozdział osiemnasty

Jeżeli tam jest uzbrojony włamywacz, pomyślała Alex, to ucieknę. Będzie krzyżeć. Zadzwoń po policję.

Ale przecież telefon nie działa.

Joe szarpnięciem otworzył drzwi do garderoby, zajrzał do środka i... spacerowym krokiem, omijając jego stopy, wyszedł stamtąd ogromny, rudy kocur.

Przez moment Alex po prostu gapiła się na zwierzaka. Joe, sądząc po jego minie, z początku równie zaskoczony jak ona, teraz wybuchnął śmiechem i pochylił się, by wziąć puszystego olbrzyma na ręce. Był to schludny i wyjątkowo dobrze odżywiony kot - musiał ważyć około dziesięciu kilogramów.

- Alex, oto Hanibal - powiedział Joe; pogłaskał kocura i przyniósł go do niej. - Jak się dostał do garderoby, nie mam pojęcia, ale wydaje mi się, że jest niesłychanie zadowolony, że nas widzi.

- Hanibal? - powtórzyła głosem pełnym wątpliwości. Imię wydało jej się dziwne dla kota.

- Łowi myszy - wyjaśnił Joe, mrugając do niej. - I to bardzo dobrze. Kojarzysz chyba, Hanibal-Kanibal?

- Och. Bardzo śmieszne.

Kot popatrzył na Alex zielonymi szparkami oczu; mrucał tak głośno, że chyba słysząc go było na parterze. Robił sobie czasem przerwy, żeby wziąć oddech - głęboki i dobrze słyszalny.

- Skąd się tu wziął? - Doskonale pamiętała, że poprzedniej nocy wyjęła buty właśnie z tej szafy. Była raczej pewna, że później zamknęła za sobą drzwi. Czy wtedy uwięziła w środku kocura? Dobry Boże, czy to możliwe, że tamto dyszenie było sapaniem kota? Czy goniła tego zwierzaka, kiedy upadła, i czy to on w zamieszaniu wrócił tu w jakiś sposób, by ukryć się w garderobie?

Ale za nic nie wspomni o takiej możliwości Joemu. Jeśli już koniecznie musiała zrobić z siebie idiotkę...

- To kot z Whistledown. Zwykle siedzi w stajni. Musiał jakoś się dostać do domu.

Alex odrobinę nieśmiało poklepała Hanibala po głowie. Nigdy nie wolno jej było mieć żadnego ulubieńca i była trochę nieufna wobec zwierząt domowych. Spojrzała na Joego i napotkała jego wesołe oczy. Pomyślała sobie, że zapewne śmiał się właśnie z niej. Miała tylko nadzieję, że Welch nie wpadł na to samo co ona.

Ale, oczywiście, tak właśnie było.

- Trochę zbyt realny jak na ducha, byłby jednak z niego fantastyczny włamywacz, gdybyś miała gdzieś ukrytą kanapkę z tuńczykiem - zauważył Joe z namysłem.

- Och, przymknij się już. Zresztą, nawet jeśli, choć to bardzo nieprawdopodobne, on wydawał tamte dziwne dźwięki, które słyszałam, to co z człowiekiem na balkonie? Kot nie wyjaśnia jego obecności.

- Nie - zgodził się Joe. - Nie wyjaśnia. - Lecz uśmiech nadal błędził na jego ustach. Postawił kota na ziemi, a Hanibal, machając ogonem, odszedł dumnym krokiem. - Chodź, sprawdzimy ten balkon.

Balkon na piętrze okazał się pusty. Nie było na nim nic: ani bujanego fotela, ani huśtawki, ani roślin w wiszących doniczkach. Nic, co mogłoby ewentualnie rzucać cień albo za sprawą mroku i wyobraźni przemienić się w sylwetkę człowieka. Alex podeszła do balustrady w miejscu, gdzie widziała ową postać i stała tam przez chwilę, patrząc w dół na podjazd, trawnik przed wejściem i drogę dojazdową. Z tego miejsca miała doskonały widok na cały teren aż do domu Welchów i dalej...

Zamyślona odwróciła się, oparła o poręcz i obejrzała dokładnie fragment ściany przed sobą. Miał tę samą barwę co sąsiednie kamienie: nie był wyblakły ani spękany, nic z tych rzeczy. Marszcząc czoło, popatrzyła na pomalowane na szaro deski podłogi.

- I co, nie ma ektoplazmy? - zapytał Joe. Stał metr od niej, oparty jednym ramieniem o kamienny mur, i z rękami skrzyżowanymi na piersiach obserwował Alex z bladym uśmiechem.

- Coś widziałam - powtórzyła z uporem. Potem jednak uczeniwie kazała sobie dodać: - Tak myślę.

- W porządku, słonko, dobrze cię rozumiem. - Mimo ukrytego rozbawienia głos mężczyzny był ciepły i

współczujący. - On dużo o tobie opowiadał.

Alex spojrzała na niego szybko.

- Mój ojciec? Tobie?

- Taa... cały czas, zawsze gdy tu był. Rozmawialiśmy o koniach. Ud nagle, jakimś sposobem, zawsze przeskakiwał na swoją starszą córkę. Szczerze mówiąc, po pewnym czasie trochę mnie zmęczyło wysłuchiwanie historyjek o księżniczce Alex. Tak przynajmniej zacząłem cię nazywać w myślach. A on mógł mówić i mówić o tym, jaka jesteś piękna, mądra i że pewnego dnia będziesz prowadzić jego firmę. Było już tak źle, że gdy tylko w rozmowie pojawiał się twoje imię, to od razu wyłączałem nastuch.

- Och, tata. - Alex westchnęła przez zaciśnięte gardło, choć w kącikach jej ust pojawił się nieśmiały uśmiech. - Chciał, żebym pracowała dla niego, rozumiesz... Zawsze się o to wyklócaliśmy. Teraz mam wyrzuty sumienia, że go zawiodłam... - Głos jej się załamał.

- Nie powinnaś czuć się winna. Był dumny z ciebie, że zajmujesz się tym, czym chciałaś. Zawsze powtarzał, że jego mała dziewczynka ma jaja.

To brzmiało tak typowo dla ojca, że Alex, zaskoczona, roześmiała się głośno.

- Och, Joe! - Ruszyła ku niemu i zatrzymała się dopiero parę centymetrów przed nim. Odsunął się od ściany, uniósł ręce - automatycznie, pomyślała Alex - i objął ją w pasie. Położyła ręce na jego ramionach i spojrzała mu w twarz oczami pociemniałymi z żalu. Odpowiedział jej nieodgadnionym spojrzeniem. - Pokażesz mi, gdzie go znalazłeś? Proszę cię, proszę!

Po kwadransie długich nalegań patrzyła na miejsce, w którym Welch znalazł ciało jej ojca. Stali w stajni Whistledown. Chociaż samej Alex było tak zimno, że aż się trzęsła, wewnątrz było ciepło i pachniało sianem. Pyłki kurzu tańczyły w promieniach słońca, wpadających skosem do środka przez szybki dwóch bliźniaczych wieżyczek na dachu. Konie wyprowadzono już wcześniej, więc, nie licząc zagubionego wróbla, przycupniętego na belce pod sufitem, Alex i Joe byli sami. Stała w milczeniu, złożywszy ręce na piersiach, by zatrzymać nieco ciepła; a on opowiadał. Nie pozostało już nic - ani krwi, ani śladu na ziemi w miejscu, gdzie umarł Charles Haywood, lecz choć Joe z całą świadomością nie podał szczegółów jej tragicznego wydarzenia, Alex potrafiła sobie wyobrazić tę scenę aż za wyraźnie i ów obraz sprawił, że poczuła się bardzo źle.

- On już nie pił - powtórzyła, protestując przeciw jednemu z wielu elementów opowieści, których nie mogła do końca zrozumieć. - Wiedział, że jest alkoholikiem i zwalczył chorobę. Nie pił od dziesięciu lat.

- Alkoholicy bardzo często ponownie wpadają w nałóg - Joe powtórzył to, co mówił już wcześniej. Tym razem oznajmił to rzeczowym tonem. - Znam sprawę z własnego doświadczenia. Mój tata też jest alkoholikiem. Obiecywał poprawę już tyle razy, że straciłem rachubę. Nie wierzę, że kiedyś tego doczekam.

- O Boże! - Popatrzyli na siebie ze zrozumieniem, a potem Alex wybuchnęła: - Ale ja nie wierzę. Tata mógłby - mówię: mógłby, zauważ to - znów zacząć pić przez całą tę sprawę z finansami, ale nie zabiłby się z tego powodu. Po prostu nie zrobiłby czegoś takiego.

Znów spojrzała na ziemię, po czym, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, co chce zrobić, ukłękła w miękkich trocinach, obok miejsca, gdzie leżał martwy jej ojciec. Jej ojciec - przez całe lata wydawał się olbrzymem, istotą wszechmocną jak Czarnoksiężnik z Krainy Oz. Ale jaki był naprawdę? Czy znała go tak dobrze, jak jej się wydawało? Pojęła teraz, że wiele decyzji, które podjęła w życiu, wynikało z buntu przeciwko byciu tylko córką miliardera Charlesa Haywooda. College, który wybrała, Fordham, nie był jedną z tych elitarnych uczelni, do których pragnął ją posłać ojciec. Na jej pracę fotografika też patrzył z pogardą. Przez sekundę zastanowiła się, czy Paul nie stanowił przejawu tego samego syndromu... tata go nie lubił...

Dawniej, przed śmiercią ojca, gdy wydawało się, że jego i jej życie będzie trwać bez końca, Alex zawsze myślała, że pewnego dnia ona i ojciec otrzymają ów dar - czas, który spędzą razem, prawdziwy czas, godziny i dni, tygodnie, miesiące. Może, gdy ojciec będzie już starszy, zechce trochę zwolnić tempo, przestanie tyle podróżować i w jego życiu znajdzie się miejsce na coś jeszcze poza młodymi żonami i prowadzeniem interesów. Może, myślała Alex, kiedy będzie miała własne dzieci, ojciec wynagrodzi jej to, że nigdy nie znalazł dla niej czasu, i stanie się dla nich kochającym dziadkiem. Na pewno pragnie - pragnąłby - wnuka...

I właśnie to, owa wizja hipotetycznego następcy, którego ojciec nigdy nie zobaczy, napelniła oczy Alex łzami, spływającymi jej po policzkach. Klęczała skulona, opierając rękę w miejscu, gdzie krew jej ojca wsiąkła w ziemię, i płakała z żalu za nim, za tym, kim był, za tym, kim zawsze chciała go widzieć, za tym, kim mógł się stać pewnego dnia. Pomimo wszystkich jego wad, kochała go przecież.

Był jej ojcem.

Nie zdołała się opanować i płakała, gwałtownie łapiąc powietrze i nie mogła przestać szlochać, choć próbowała; potoki łez spływały jej po twarzy, znacząc miejsce, w którym umarł.

- Już dobrze, chodź ze mną.

Ciepłe, mocne ramię objęło ją w pasie. Nie do końca zdając sobie sprawę z tego, do kogo ono należy, pozwoliła poprowadzić się na ślepo, pozwoliła podnieść się z ziemi, czerpiąc pociechę z tego, że w pobliżu jest jakiś człowiek, który ją do siebie tuli. Wsparta o ciepłą, masywną podporę płakała, aż zabrakło jej łez.

- O Boże, przepraszam - zdołała wymówić pomiędzy kolejnymi łkaniem, gdy wróciła jej świadomość. Stała z

głową wtuloną pod brodę Joego, szlochając w jego brzydką, michelinową kurtkę, w obu garściach ściskając fałdy śliskiego materiału. Mężczyzna obejmował ją ramionami, a jego oddech poruszał kosmyki jej włosów, gdy mruzczał: „ciiii” i już dobrze”. - Do tej pory nigdy nie płakałam.

- Płacz sobie, ile tylko chcesz - szepnął cicho prosto do jej ucha. Alex poczuła nagły przypływ wdzięczności za jego dobroć i siłę, za samą fizyczną obecność, która stała się dla niej oparciem. Ktoś, kto ją przytuli - tylko to się liczyło w tej chwili słabości. Zawsze to ona była twarda; teraz potrzebowała siły kogoś innego. Joe miał tej siły aż nadto. - Każdy musi się czasem wypłakać.

- To nic nie daje. Płacz nie rozwiązuje problemu. Nie zwróci mi ojca. - Zatkąła i pociągnęła nosem, nie unosząc twarzy; obiema rękami ściskała jego kurtkę.

- Nie, ale sprawi, że poczujesz się lepiej.

Nie chcę się czuć lepiej! Nie powiedziała tego na głos, ale ów nagły błysk samoświadomości okazał się tak trafny, że był jak krzyk. Czuć się lepiej oznaczało być nielojalną wobec ojca. Czuć się lepiej oznaczało, że zaczyna o nim zapominać.

- Skończył dopiero sześćdziesiąt cztery lata. Nawet jeśli wiedział, że firma jest spisana na straty, i rozumiał, że będzie musiał ogłosić bankructwo, nadal nie ma sensu fakt, że popełnił samobójstwo. Z tym właśnie nie mogę się pogodzić! Dlaczego? Dlaczego?

- Na to nie potrafię ci odpowiedzieć.

Alex zorientowała się, że wciąż stoi przytulona do Joego; uświadomiła też sobie, że to dla niej rzecz najbardziej naturalna na świecie, stać tak w jego ramionach. Westchnęła, otrząsając się, jakby tym westchnieniem przyznawała, że bez sensu jest stawiać pytania, na które nie ma odpowiedzi, po czym spojrzała na mężczyznę.

- Dziękuję - powiedziała, wygładzając palcami materiał zmoczony jej łzami.

- Za co...? - spytał uprzejmie.

Opłatające ją ramiona były ciepłe i mocne. Gdy patrzyła na brodę Joego pod tym kątem, wydała jej się kwadratowa, i choć Alex wiedziała, że ogolił się rano, już zauważyła cień zarostu. Płaszczyna policzka była śniada i gładka. Prosty nos, rzęsy i brwi gęste i czarne, czoło wysokie... Gdy spojrzała w jego oczy, dostrzegła, że są barwy oceanu w miejscu, gdzie obmywa plażę. Joe był przystojny, bardzo pociągający i czuła się przy nim bardzo pewnie, bo wiedział z własnego doświadczenia, przez co ona teraz przechodzi.

- Za to, że byłeś dla mnie taki miły - dla nas, mnie i Neely - zwłaszcza po tym, jak... - Ucichła w poczuciu winy.

- Po tym, jak wyrzuciłaś mnie z pracy, chciałaś powiedzieć? - W głosie Joego pobrzmiwała nuta rozbawienia, choć jego oczy były śmiertelnie poważne, gdy przesuwały się po jej twarzy.

Przytaknęła.

- Nie martw się tak. Już mnie wcześniej zwalniano. Przeżyję to.

- Naprawdę? Kiedy?

Po tak silnym wzburzeniu czuła się pozbawiona emocji i niemal usypiała. Otaczało ją ciepło jego ciała, a śpiewny akcent był kojący jak kołysanka. Wiedziała, że powinna teraz wysunąć się z ramion Joego, ale, ach, jakże pragnęła pozostać dokładnie tu, gdzie jest, jeszcze przez parę chwil! Pragnęła pociechy płynącej z ich fizycznego kontaktu. Chciała słuchać głębokich, powolnych fraz jego głosu.

- Opowiem ci o tym innym razem, może. Chodź, wracajmy do domu. - Głos Joego nabrał lekko szorstkich nut i gdy Alex spojrzała na niego zdziwiona, dłonie mężczyzny objęły ją w pasie i dosłownie odsunęły.

- Wszystko w porządku? - zapytał, mając na myśli to, czy może ustać o własnych siłach, a kiedy skinęła głową, wypuścił ją z objęć.

Ukradkiem otarła wciąż wilgotne oczy rękawem. Joe wsunął ręce do kieszeni i ramię przy ramieniu poszli przez jasne, rześkie popołudnie z powrotem do domu. Ziemię zaśmiecały pozostałości po wczorajszej burzy: małe gałęzie, liście, i cytrynowozielone, sprężyste kulki, które, jak Joe jej wyjaśnił, nazywano tu morwami żywopłotowymi. W powietrzu unosił się leciuteńki zapach dymu. Nad ich głowami przeleciał klucz gęsi, wydających głośne, ostre dźwięki. Daleko, poza czarnymi ogrodzeniami pól, na których pasły się konie, poza domem i terenem Welchów, widać było dwa przysadziste kształty czerwonych terenówek, pędzących ku drzewom na horyzoncie. Neely pojechała z Elim, może Josh i Jenny też są razem z nimi, tak Alex przypuszczała. Neely zapewne bawi się jak nigdy w życiu. Nieco bliżej stał Cary, oparty o płot tuż za stacją Joego, i obserwował pasącego się samotnie w małym, ogrodzonym padoku konia - był to Taniec Zwycięstwa.

- Kiedy wyjeżdżacie? - zapytał Joe, kiedy dotarli do domu.

Alex skrzywiła się, gdy tak brutalnie przypomniano jej, że wkrótce stąd wyjedzie. Zdała sobie sprawę, że myśl ta wydaje się jej nieprzyjemna dlatego, że oznacza rozstanie z tym mężczyzną. Nigdy już nie będzie miała okazji dowiedzieć się, jaki jest w łóżku...

- Jutro. Zaraz po południu. Neely jedzie ze mną, oczywiście. Trzeba zrobić coś z jej biletem, ale przypuszczam, że nie będzie z tym problemów - mówiąc te słowa, wchodziła po schodkach na wąską werandę, biegnącą wzdłuż całej tylnej ściany domu; Joe szedł tuż obok.

- Odwiozę was na lotnisko.

- Dziękuję. - Weszła na górę i obejrzała się na niego. Na przodzie kurtki miał mokrą od jej łez plamę wielkości

spodka.

- Bardzo proszę - odrzekł sucho. Z jego miny nic nie dało się wyczytać.

Alex otworzyła drzwi i przez małą sień weszli do kuchni. Joe zamknął za sobą drzwi. Dom był cichy, wytłumiony i mroczny, ale już nie odpychający. A może zbyt rozpraszała ją bliskość Joego, by mogła cokolwiek zauważyć.

Jego buty stuknęły głośno na ceglanej posadzce. Zatrzymał się tuż i za drzwiami, patrząc na Alex.

- Usiądź, czemu stoisz? - Machnęła ręką w stronę dwóch barowych stołków, ustawionych przy centralnym blacie.

- Co ci dać do picia? - Podeszła do lodówki, otworzyła ją i zajrzała do środka. Nie było prądu i ciemne wnętrze wypełniał stęchły zapach. - Mleku nie zaufam, ale jest tu dietetyczna cola. I sok pomarańczowy.

- Wystarczy woda. - Rozpiął zamek kurtki i usiadł na jednym z wysokich stołków.

- Jak myślisz, szybko włączą prąd? - zapytała, wyjmując z kredensu szklanę i napełniając ją pod kranem.

Joe wzruszył ramionami.

- Kto to wie? W naszej sieci jest tylko kilka domów, więc monterzy zazwyczaj docierają tutaj na końcu. To jeden z minusów życia na wsi. Jeśli nie naprawią światła do wieczora, oczywiście będziecie mile widziane u nas, ty i Neely.

- To bardzo miło z twojej strony. - Alex podała mu szklanę.

- Och, na drugie imię mam „miły”.

Czy dosłyszała w głosie Joego sarkazm? Zamknął dłoń na szklance, ale nie pił. Gdy na niego spojrzała, uśmiechnął się krzywo, jakby trochę kpiąc z samego siebie, i pociągnął łyk wody. Ich spojrzenia się spotkały i coś w jego oczach - mrok i jakby ukryty żar - sprawiło, że puls Alex przyśpieszył nagle.

Pomyślała, że Joe jest świadomy jej uroku, tak jak ona jego, lecz stawało się coraz bardziej widoczne, że nie ma zamiaru niczego przedsięwziąć.

Alex podjęła decyzję. Zawsze słyszała, że rzeczy, których człowiek najbardziej żałuje w życiu, to te, których nie zrobił.

Joe zmrugał oczy, widząc, jak przeszła z drugiej strony i zbliżyła się do niego; obrócił się odrobinę, tak że siedział zwrócony twarzą do Alex. Nie zatrzymała się, póki udami niemal nie dotknęła jego kolan. Ich oczy znajdowały się prawie na tym samym poziomie, a żar w jego spojrzeniu nie był już tak bardzo ukryty. Zapomniana szklanka z wodą stała na blacie.

- Joe - powiedziała Alex gardłowym głosem, opierając ręce na jego szerokich ramionach. Miał szerokie, delikatne, przepiękne usta. Nie mogła przestać na nie patrzeć.

- Tak?

Uniosła wzrok i przez chwilę oboje po prostu wpatrywali się w siebie nawzajem, podczas gdy powietrze pomiędzy nimi zaczęło iskrzyć. Potem Alex zbliżyła się i pocałowała Joego.

## Rozdział dziewiętnasty

Pocałowała go delikatnie, na próbę, czule i łagodnie dotykając warg Joego swoimi, z głową przechyloną w jedną stronę, z dłońmi opartymi lekko o jego szerokie ramiona.

Wydał cichy, gardłowy jęk. I już jego język odnalazł jej usta, a ręce zacisnęły się na talii Alex, wciągając ją w objęcia. Przycisnął gorące wargi do jej warg i Alex wydawało się, że roztopi ją sam żar tego pocałunku. Objęła Joego mocno za szyję. Dreszcz przemknął przez wszystkie nerwy jej ciała, aż po końce palców. Językiem odnalazła jego język, dotknęła go i zaczęła pieścić. Jego ręce wślizgnęły się pod za dużą kurtkę, obejmując Alex od tyłu. Joe przygarnął ją jeszcze bliżej do siebie, gładząc jej pośladki. Alex poczuła, jak mięknią jej kolana. Pragnęła go już i czuła jego pożądanie. Całował ją gorąco i namiętnie.

Potrzebowała powietrza; uwolniła wargi i wzięła głęboki, przenikający ją dreszczem wdech. Potem pochyliła głowę i wycisnęła na jego policzku serię pocałunków, aż dotarła do ucha.

- Poczekaj. - Oparł dłonie na jej biodrach i odsunął ją trochę od siebie. Głos miał schrypnięty i lekko zdyszany, na twarzy zaś jednocześnie malowały się głód i obawa, gdy odsunął głowę, by spojrzeć Alex w oczy. - Co to jest?

- Pocałunek? - zaproponowała drżącym głosem, znów opuszczając wzrok na jego usta.

- Tylko pocałunek? - Zobaczyła, że zacisnął zęby, dłońmi zaś tak mocno obejmował jej biodra, że to niemal bolało.

- Może być wszystko, co tylko zechcesz - wyszeptowała, a gdy podniosła wzrok, w jej oczach lśniła obietnica. Tak bardzo go pożądała, że niemal płonęła w środku, a jutro mają się pożegnać. Dlaczego nie miałyby dostać tego, czego pragnie? Zwłaszcza że od tak dawna niczego nie chciała.

Nagle jego oczy pociemniały groźnie; z sykiem wciągnął powietrze.

- Ja chcę bardzo dużo.

- I ja także.

Przyciągnął ją na powrót do siebie powoli. Jej dłonie przesunęły się po jego ramionach i złączyły na karku. Przez sekundę patrzyli na siebie; potem Joe pocałował ją, wciągając jej język do ust i pieszcząc go: jego wargi były gorące i wilgotne, i obezwładniające.

Alex zadrżała, objęła go mocniej i oddała pocałunek. Przycisnęła całe ciało do niego, rozkoszując się jawnymi oznakami jego pożądania. Jego dłonie jeszcze mocniej przygarnęły jej pośladki. Gorąco i dotyk jego ciała docierały do niej poprzez materiał spodni. Czowała, że cała rozpływa się z pożądania i fale podniecenia wstrząsały jej biodrami.

Pogładziła ciepłą skórę na jego karku, palcami przeczesła krótkie włosy. Nie mogła zbliżyć się do niego tak, jak chciała przez tę puchatą, niebieską kurtkę. Jej okrycie też przeszkadzało. Odsunęła wargi od jego ust. Joe otworzył oczy, patrząc na nią palącym spojrzeniem spod ciężkich powiek. Jego wzrok śledził każdy jej ruch: zaczęła powoli rozpinać kurtkę. Kiedy skończyła, zsunęła ją z siebie na podłogę. Miękki szelest odbił się echem w pogrążonym w ciszy domu.

- Dalej, dalej. - Uśmiechnął się do niej blado, ale w oczach miał płomień.

- Teraz twoja kolej. - Pociągnęła go za rękaw.

Strząsnął z siebie kurtkę, która upadła z ciężkim, świszczącym dźwiękiem. Alex przycisnęła się do niego biodrami i przebiegła dłońmi po twardych mięśniach jego klatki piersiowej, rysujących się pod flanelą koszuli.

- Jesteś przepiękna - powiedział głosem pełnym napięcia. Potem chwycił ją w pasie i pochylił się, przyciskając usta do jej piersi.

Przez moment Alex stała nieruchomo. Wilgotne gorąco jego warg dopiero po chwili przeniknęło miękki kaszmir jej sweterka i cienki jedwab stanika: natychmiast jej sutki stwardniały i jęknęła. Zaciśnęła dłonie na karku Joego.

Przymknęła oczy. Stała tak, tuląc go do siebie i czując czystą rozkosz, gdy Joe zaczął ssać jej sutek. Jednak kiedy przeniósł uwagę na drugą pierś, odsunęła się od niego na krok.

- Wracaj - powiedział, znów z lekkim uśmiechem i płonącymi oczyma, sięgając po nią rękami.

Potrząsnęła głową.

- Poczekaj.

Czując na sobie jego wzrok, zdjęła kosztowny czarny sweterek, upuściła go na ziemię i stała przez chwilę w czarnej koszulce bez rękawów i wąskich spodniach khaki. Potem wyciągnęła podkoszulek ze spodni i zdjęła go przez głowę.

Miała na sobie seksowną bieliznę z białego jedwabiu i koronek; jej piersi, choć niezbyt duże, zgrabnie wypełniały miseczki stanika. Gdy Joe spojrział na jej stwardniałe sutki widoczne przez cienką tkaninę, jego policzki zabarwił purpurowy rumieniec i zabrakło mu tchu.

- Prześliczne - powiedział. - To także dla mnie zdejmiesz?

Znów pokręciła głową.

- Zostawię to tobie.

Głośno wciągnął powietrze i wstał tak gwałtownie, że stółek przewrócił się do tyłu. Tym razem, gdy ją objął, wsunęła się w jego ramiona, rozkoszując się dotykiem twardych mięśni pod miękką flanelową koszulą, stalową siłą oplatających ją dłoni, jego potężną sylwetką i tym, jak ją całował i jak jej ciało drżało i płonęło z tęsknoty do niego...

Nawet w najlepszych czasach z Paulem nie pragnęła go tak mocno.

Joe nagle przestał ją całować i z błyskiem w oczach wykrztusił przez zaciśnięte zęby:

- Przenieśmy się na górę.

Potem porwał ją na ręce i zaczął z nią iść przez kuchenne drzwi do holu, w górę po szerokich schodach i przez wąski korytarzyk na piętrze aż do jej sypialni. Nawet się nie zadyszał. Alex przywarła do jego szyi, wyciskając na jego brodzie krótkie, słodkie pocałunki, i pieszcząc ucho koniuszkiem języka. Joe ramieniem otworzył drzwi, wszedł, zatrzasnął je za sobą kolanem i spojrział na nią.

- Bardzo cię pragnę. O Boże, ależ cię pragnę... - mówił niskim głosem.

- A więc weź mnie.

Wydał dźwięk pośredni pomiędzy pomrukiem i jękiem i ułożył ją na łóżku. Pościel pachniała tym samym kwiatowym aromatem, który Alex zapamiętała z poprzedniego wieczoru. Ale nim obrazy przerażenia i ucieczki wdarły się do jej głowy, Joe już leżał na niej, całkowicie ubrany, wciskał ją w materac i całował z pełnym pasji głodem, od którego mózg rozpływał się jak galaretka, a ciało stawało w płomieniach.

W jej myślach zabrakło miejsca na cokolwiek innego, poza nim i doznaniem, jakie w niej wywoływał.

Całował jej usta, szyję, kark, ramiona... Lekko chropawa powierzchnia jego podbródka drapała jej gładką skórę. Jego dłonie odnalazły jej piersi, pieszcząc je poprzez koronki stanika, za dłońmi podążyły usta i przylgnęły do sutków przez cieniutki jedwab.

Odruchowo rozsunęła nogi i Joe ułożył się pomiędzy nimi; jego rozkołysane ciało jednocześnie drażniło ją i obiecywało tak wiele. Potem przesunął się tak, że leżał teraz obok niej; wsunął rękę pod plecy Alex i uniósł jej twarz do ust. Drugą rękę, palącą żywym ogniem, przesunął po jej żebrach i brzuchu aż do zapięcia spodni. Rozpiął guzik i rozsunął zamek. Alex pomyślała, że ten cichy dźwięk jest najbardziej erotycznym odgłosem, jaki w życiu słyszała.

Wciąż ją całował: od długich, powolnych pocałunków kręciło jej się w głowie. Tymczasem ręka Joego podążała w dół, a potem wsunęła się pod koronkowe wykończenie fig. Jego dłoń spoczywała płasko na jej brzuchu, a delikatne palce odnalazły puszysty trójkąt i zaczęły go pieścić. Potem przesunął palce dalej i głębiej pomiędzy jej

uda. Gdy dotknął najbardziej wrażliwych miejsc jej ciała, Alex drgnęła i jęknęła prosto w jego usta.

I kiedy już myślała, że nie znieśie tego dłużej, kiedy czysta rozkosz napinała jej mięśnie i przenikała dreszczem jej uda, wsunął dłoń jeszcze niżej, odnalazł miejsce, które tak do niego tęskniło, i wsunął do środka palce. Jego dłoń poruszała się w przód i w tył równym, porażającym rytmem; jednocześnie kciuk pieścił drżący wzgórek tuż obok. Alex rozpaczliwie wiała się pod dotykiem tej doświadczonej ręki, szarpiąc koszulę Joego, lecz nie mogła nawet na tyle skupić myśli, by rozpiąć guziki; pragnęła go, nagiego, w swoim wnętrzu bardziej niż czegokolwiek w życiu.

Nagle, bez ostrzeżenia, jego usta odsunęły się od jej warg, a dłoń się wycofała. Alex uniosła powieki i zobaczyła, że Joe leży podparty na łokciu, obserwując ją. Jego oczy lśniły tak jasno, jakby miał gorączkę, a na twarz wystąpił głęboki rumieniec. Wzrokiem prześlizgnął się od jej oczu, które, wiedziała dobrze, błyszczały pożądaniem, przez wargi, miękkie i wilgotne od pocałunków, wzdłuż całego ciała, na wpeł obnażonego, otwartego na jego dotknięcie, drżącego z pragnienia; w końcu znów wrócił spojrzeniem do jej oczu.

- Proszę - szepnęła, płonąca cała: nie pamiętała, by kiedykolwiek w życiu była aż tak rozpalona; całe jej ciało wibrowało pożądaniem. Umrze, jeśli Joe nie weźmie jej szybko...

- O co? - zapytał niskim wibrującym głosem. Jego dłoń odnalazła jej pierś i zamknęła się na niej. Alex wciąż miała na sobie koronkowy stanik. Cienki, wilgotny jedwab nie chronił wrażliwych sutków i aż skręcała się od pieśczości i gorąca jego dłoni, przesuwał się po jej piersi tam i z powrotem. Z rozpaloną fascynacją obserwowała wygłodniały, błagalny ruch własnych bioder.

- Kochaj mnie. - Już tylko te słowa wychodzące z jej własnych ust przeniknęły ją dreszczem. Nie była wstydliva, nie była też przecież dziewicą, ale jak każda normalna kobieta miała poczucie własnej godności i nigdy, przenigdy nie spodziewała się, że będzie błagać niemal obcego sobie mężczyznę o seks.

Ale też nigdy, przenigdy nie spodziewała się, że tak bardzo może pragnąć niemal obcego sobie mężczyzny.

- Najpierw zdejmij stanik.

Usłuchała z drżeniem rąk, usiadła i sięgnęła za plecy, by rozpiąć haftki, zahipnotyzowana świadomością, że on obserwuje każdy jej ruch. Gdy ramiączka zsunęły się, obnażając ją, Joe opuścił wzrok na jej biust; Alex również spojrzała w dół i spróbowała zobaczyć siebie jego oczami: miała nieduże piersi, ale krągłe i jędrne, jedwabiste w dotyku i białe jak mleko, zwieńczone truskawkoworóżowymi sutkami, teraz twardymi i naprężonymi z podniecenia.

Patrzył na jej piersi, nie dotykając jej, potem stoczył się z łóżka i stanął wyprostowany ponad nią. Usiadła na środku łóżka. Nie spuszczał z niej wzroku, gdy jednym ruchem zrzucił skłębioną pościel.

- Teraz zdejmij spodnie.

- Joe... - Tak mocno go pragnęła, a on kazał jej czekać...

- Zdejmij.

Alex usłuchała. Cała się trzęsła, tak bardzo podniecająca była świadomość, że Joe patrzy, jak ona się rozbiera, że każe jej się rozbierać. Upuściła spodnie na podłogę i, uniósłszy głowę, zobaczyła, że jego oczy przesuwały się po jej ciele, okrytym wyłącznie białymi, malutkimi figami.

- Teraz to.

Rozwarła wargi, jakby brakło jej tchu. Potem powoli wsunęła palce pod koronkę trzymającą figi na biodrach i przesunęła je w dół, odsłaniając popielatobrązowy trójkąt, który wcześniej pieścił, ale którego nie mógł oglądać.

Spojrzała na niego, teraz już całkiem naga. Zrzucił ubranie szybkimi, gwałtownymi ruchami, pozwalając jej podziwiać olśniewającą klatkę piersiową atlety. W jego oczach lśniła namiętność; zęby miał zaciśnięte. Przez chwilę jeszcze stał nad Alex - przystojny, czarnowłosy, o brązowej skórze i potężnych mięśniach.

Potem Joe usiadł przy niej. Odchyliła się w tył, drżąc namiętnością, zdyszana. Gdy położył się na niej, zacisnęła powieki z rozkoszy.

Do tego właśnie tęskniła, do ciężaru jego ciała, ciasno przywierającego do jej piersi, brzucha i nóg. Instynktownie rozchyliła nogi, by mógł ułożyć się pomiędzy nimi. Uniosła wygięte w łuk biodra w oczekiwaniu, pragnąc, by wziął ją teraz...

Ale nie zrobił tego. Chwycił ją za nadgarstki, wyprostował jej ramiona nad głową i tak je przytrzymał, przyciskając ją do materaca. Pochylił głowę, zamykając wargi wokół twardego jak kamień sutka, wciągając go do ust i pieszcząc językiem.

Pomiędzy drżącymi udami czuła szorstkie, napięte i gorące mięśnie jego nóg; jego brzuch i klatka piersiowa były gorące, twarde i szorstkie. Ta drgająca, rozpalona część jego ciała, której Alex tak pragnęła, ledwo dotykała jej między nogami.

Pomyślała, że robi to specjalnie, bawi się nią, dręczy, aż będzie jęczała z pożądania, aż stopi się przed nim jak rozgrzany plastik.

Przycisnął ją do materaca, tak że prawie nie mogła się poruszyć. Wiała się pod nim, wyginała ciało w łuk, błagała bez słów.

Unióś głowę znad jej piersi.

- Alex, popatrz na mnie. - Usłuchała, otworzyła oczy i napotkała jego spojrzenie. - Powiedz mi, czego chcesz.

- Ciebie - szepnęła niemal bezgłośnie.

Jego oczy były tak ciemne, że przybrały prawie kolor obsydianu. Lekko uchylił usta, wciągając powietrze krótkimi, chrapliwymi wdechami. Nad jego brwiami pojawiły się maleńkie kropelki potu.

- Mnie? Gdzie?

Jej ciało szarpnęło się, dając instynktowną odpowiedź, przesunęło pod nim, wołając bez słów. Wciąż się powstrzymywał, choć Alex czuła pulsowanie jego członka, który zaledwie muskał jej rozpalone, wilgotne wnętrze.

- Gdzie? - Pytanie było natarczywe.

Wciągnęła spazmatycznie powietrze.

- We... mnie...

- Ach... - wydał niski, gardłowy dźwięk. Powoli, niespiesznie, zaczął wchodzić w nią, gorący i nabrzmiały, wypełniał ją całą, rozciągał...

Krzyknęła...

## Rozdział dwudziesty

Po jakimś czasie, bardzo długim czasie, Alex się poruszyła. Leżała wtulona w ciepłe, męskie ciało; mocne ramię zaborczo obejmowało ją w pasie, pierś wznosiła się równo za jej plecami, a w uszach rozbrzmiewał rytmiczny oddech. Czuła się senna, jakby pogrążona w letargu. Umysł jeszcze nie funkcjonował należycie, ale ciało było zrełaksowane i cudownie zaspokojone. Czuła się usatysfakcjonowana.

Jej ruch musiał obudzić Joego, ponieważ dłoń, do tej pory spoczywająca na brzuchu Alex, przesunęła się w górę i objęła jej pierś.

Alex uśmiechnęła się, nie otwierając oczu.

- Och, Paul - odezwała się gardłowym głosem. - Paul, kochany mój, tak mi było dobrze.

Dłoń pieszcząca jej pierś zamarła. Ramię leżące w poprzek jej żeber zastygło w bezruchu i zeszywniało.

Alex otworzyła oczy: nagle uświadomiła sobie, co zrobiła.

- O Boże - powiedziała, obracając się na plecy.

Joe wciąż leżał na boku, ale gdy spojrzała na niego, podniósł się szybko. Ich spojrzenia spotkały się nagle. Otwarte szeroko, przerażone niebieskie oczy patrzyły w przymrużone, koloru akwamaryny.

- Nie ten facet - zauważył zimno, wstając z łóżka.

Alex usiadła wyprostowana, nade wszystko świadoma swej nagości, gdy jego wzrok przemknął po jej ciele.

- Och, Joe, przepraszam! To tylko... na wół spałam i...

- Nie ma sprawy. Cieszę się, że mogłem służyć zastępstwem. - Jego głos był zimny i ostry. Wkładał ubranie, najpierw bokserki, potem dzinsy...

Alex patrzyła na niego z konsternacją.

- Joe, to tylko przejęzyczenie, przysięgam. Tak przywykłam do sypania z Paulem... kiedy obudziłam się u boku mężczyzny, odruchowo pomyślałam, że... ale mówiłam prawdę, to było wspaniałe... to znaczy, seks. O wiele lepiej mi teraz.

Wciągnął koszulę przez głowę, wbił ręce w rękawy, pochylił się, by podnieść buty, i obrzucił Alex długim spojrzeniem. Jego oczy lśniły jak stal, usta ściągnęły się w wąską, prostą linię.

- Słonko, następnym razem, jak będziesz miała ochotę na małą terapię seksem, nie wciągaj mnie w to, okay?

- Joee! - Prawie wykrzyczała jego imię, gdy obrócił się na pięcie i wyszedł z pokoju.

- Poczekam na ciebie w kuchni - rzucił przez ramię i zniknął jej z oczu.

Przez chwilę siedziała oszołomiona, podczas gdy wydarzenia minionych kilku godzin powtarzały się w jej pamięci. Kochali się w sumie trzy razy.

Gdy doprowadził Alex do pierwszego szczytowania, dał jej jedynie kilka minut, by złapała oddech, po czym odwrócił się na plecy i wciągnął ją na siebie. W ten sposób ona dosiadała go, a on patrzył i bawił się. Nie przypuszczała, że znów tak szybko osiągnie orgazm, ale Joe wiedział dokładnie, gdzie jej dotykać i co robić: krzyknęła w końcu i opadła na niego bez sił. Wreszcie, gdy leżała na brzuchu, wyczerpana, niemal już zasypiając, objął ją w pasie ramieniem, podniósł na kolana i wziął od tyłu. Kochał ją powoli i głęboko, całował jej kark, przebiegał wargami wzdłuż kręgosłupa i pieścił delikatnie pośladki. Tym razem miała cudowny orgazm, po którym padła na wół przytomna, pogrążając się w głębokim, bezdennym śnie; nie umiała powiedzieć, jak długo spała, w każdym razie skutki jej oszołomienia okazały się fatalne.

Był to najlepszy seks w jej życiu.

O Boże, teraz musi zejść i powiedzieć to Joemu. Mężczyźni są tacy wrażliwi.

Krzywiąc twarz, Alex wstała i zebrała ubranie - sweter i koszulka zostały w kuchni, przypominała sobie z leciutką nutą zawstydzenia - wrzuciła wszystko do torby, której używała jako kosza na brudne rzeczy, po czym wzięła szybki prysznic. Poruszanie się w ciemnym pomieszczeniu było niebezpieczne, ale cała była pokryta potem i nie mogła znieść dotyku samej siebie. Prysznic, raczej chłodny, jako że woda w zbiorniku najwyraźniej stygła stopniowo, nie zajął jej więcej niż trzy minuty. Niewiele więcej trwało włożenie świeżego ubrania z walizki - miękkich, szarych sztruksów, białego swetra i butów - i wyszczotkowanie włosów: krzywiła się tylko trochę, przeciągając szczotką w pobliżu szwów. Palcem rozprowadziła na wargach błyszczek i zeszła na dół.

Joe był w kuchni, tak jak zapowiedział. Oparty o blat w głębi pomieszczenia, sączył colę z raczej zamyśloną niż gniewną miną.

Gdy tylko go zobaczyła, uśmiechnęła się ze skruchą, przeszła przez kuchnię i pocałowała go w policzek. Wytrzymał pocałunek, ale nie zareagował, rzucił jej tylko krzywe spojrzenie, które mówiło, że mają jeszcze przed sobą wiele mostów do odbudowania.

- Joe - odezwała się żałośnie, kładąc rękę na jego ramieniu - przepraszam.

- Nie musisz przeproszać. - Ani jego głos, ani twarz nie zdradzały żadnych uczuć. Spokojnym ruchem odsunął się od niej, by wylać resztę napoju do zlewu. Ale gdy ich oczy się spotkały, jego spojrzenie było lodowato zimne.

Alex zaśmiała się, zmieszana.

- Przecież to oczywiste. Imię Paula po prostu mi się wymknęło... to tylko przypadek.

- Takie coś może przecież przydarzyć się każdemu, to fakt. - Zgniół pustą puszkę jedną ręką.

- Ale reszta tego, co powiedziałam, to znaczy seks, był naprawdę świetny. Fantastyczny. - Uśmiechnęła się do niego przymilnie. - Najlepszy w moim życiu.

- Taak, mnie też było przyjemnie. - Poruszył się, wrzucając puszkę do kosza. - Chodź, zawiozę cię z powrotem do naszego domu. Za godzinę się ściemni, a ja mam jeszcze robotę na dzisiaj.

- Jeśli masz być taki skrzywiony, to nigdzie z tobą nie jadę - zagroziła mu półzartem.

- Dla mnie to nie problem, zostań sobie tutaj sama, w ciemności, jeśli tak ci się podoba. Jak ci się przywidzi, że zobaczyłaś ducha, zawsze możesz jeszcze raz z krzykiem zbiec ze wzgórze.

Alex zmrużyła oczy.

- Wiesz co, to było naprawdę niepotrzebne.

- Cóż, Księżniczko, prawda w oczy kole.

Alex czuła, że zaczynają ją ponosić nerwy.

- Jeśli już mówimy o prawdzie, to pogadajmy o facecie, który jest tak przewrażliwiony na punkcie własnego ego, że zwykle, niewinne przejęzyczenie rani do głębi jego uczucia.

Uśmiechnął się, rozciągając krótko wargi w grymasie, który był całkowicie pozbawiony wesołości.

- Albo porozmawiajmy o kobiecie, która ma tylu kochanków, że płaczą się jej ich imiona.

- Wiesz, teraz to już naprawdę nigdzie z tobą nie jadę.

- Jak już mówiłem, dla mnie to nie problem. - Odwrócił się i ruszył ku drzwiom; gdy do nich dotarł, przez chwilę stał nieruchomo, po czym obrócił się na pięcie i stanął przodem do Alex.

- Nie masz nawet zasranej latarki. Zbieraj, co tam ty i twoja siostra potrzebujecie na noc, byle szybko. Nie mam zamiaru zostawiać cię samej.

Odpowiedziała mu spojrzeniem pełnym gniewu.

- Słuchaj, nie wiem, skąd ci przyszło do głowy, że możesz mi rozkazywać.

- Przedtem podobało ci się, jak rozkazywałem. - Z jego głosu wynikało całkiem jasno, które rozkazy ma na myśli. Twarz Alex okryła się purpurą, gdy usłyszała w myślach ich echo: „zdejmij stanik; teraz zdejmij spodnie; teraz to”.

- Wynoś się z mojego domu!

- Pakuj rzeczy.

- Nie rozkazuj mi!

- Dobrze, nie bierz rzeczy. - Podszedł do niej. Wiedziała, co miał zamiar zrobić - po nim można się było spodziewać, że podniesie ją i zabierze do samochodu siłą - więc stchórzyła i uciekła. Wszystkie sypialnie zamykają się na klucz...

Biegł tuż za nią, najpierw jego buty stuknęły głośno na posadzce kuchni, potem ich dźwięk stał się przytłumiony, gdy Joe ścigał ją przez główny hol. Alex rzuciła tylko jedno spłoszone spojrzenie przez ramię; udało jej się pierwszej dopaść schodów i była już w połowie drogi na górę, gdy, bez ostrzeżenia, otworzyły się drzwi frontowe.

Joe właśnie dobiegł do podnóża schodów. I on, i ona zastygli w miejscu, gdy do holu wpadła w podskokach Neely, a za nią Eli.

- A, tu jesteście - powiedziała, zerkając na siostrę, podczas gdy chłopak, rzuciwszy szybko okiem na Alex, zwrócił się ku ojcu.

- Pomyślałem, że lepiej sprawdzę, co się dzieje, jak się spóźniłeś do koni - wyjaśnił.

Joe puścił poręcz i stanął w starannie dobranej, „naturalnej” pozie. Teraz udało mu się uśmiechnąć do syna.

- A co, myślałeś, że zabłądziłem? Panna Haywood właśnie pakuje rzeczy, żeby razem z siostrą mogły u nas znów nocować, bo elektryczność chyba jeszcze nie działa.

- Oj, tak - skomentowała Neely, patrząc na Eliego.

- W zasadzie pomyślałam, że pojedziemy do hotelu - zwróciła się Alex do siostry, po czym ze złością spojrzała na Joego. - Nie śniło mi się nawet, by jeszcze raz nadużywać waszej gościnności.

- Do hotelu? - powtórzył to tak, jakby zaraz miał fuknąć pogardliwie. - Obawiam się, że właśnie zabrakło nam tu, w okolicy pięciogwiazdkowych apartamentów.

- Widziałam jakiś hotel po drodze do szpitala, wczoraj w nocy. - Alex robiła, co mogła, by jej głos brzmiał uprzejmie, a na wargach malował się uśmiech.



- Naprawdę? - Przez chwilę Joe wydawał się zbity z tropu, potem w jego oczach rozblęskło autentyczne rozbawienie. - Aha, masz na myśli Dixie Inn.  
 - O właśnie.  
 - Z całą pewnością, jeśli nie chcesz się narzucać, to powinnaś się zatrzymać w Dixie Inn - przyznał.  
 - Ale, tato... - zaprotestował Eli nieśmiało.  
 - Alex, ja naprawdę nie chcę jechać do hotelu. - Protest Neely był głośniejszy.  
 - To pech, bo właśnie tam zaraz pojedziesz. - Alex posłała siostrze mordercze spojrzenie.  
 - W zasadzie to chyba całkiem niezły pomysł, jak teraz sobie pomyślę. W Dixie Inn mają prąd, a to przecież nie jest weekend i jutro szkoła... - przypomniał Joe beznamiętnym głosem.  
 - Tato... - wymamrotał Eli.  
 - Alex... - jęknęła Neely.  
 - Hej, koniec dyskusji - uciął Joe.  
 Eli, jak przypuszczała Alex, od dawna przyzwyczajony do słuchania poleceń ojca, umilkł od razu. Neely, rzuciwszy najpierw zamyślane spojrzenie na siostrę, a potem na Joego, umilkła także.

Mniej więcej godzinę później Alex i Neely jechały białym mercedesem drogą numer 60 w stronę Shelbyville i Dixie Inn. Było już po szóstej i zapadł zmrok. Tylko jeden samochód minął ich, jadąc z przeciwną. Alex włączyła długie światła, żeby lepiej widzieć w ciemności. Przynajmniej, pomyślała, przestało padać.

- No więc jaki był? - zagadnęła Neely, kręcąc gałką radia i próbując znaleźć jakąś przyzwoitą stację.

Alex rzuciła jej szybkie, uważne spojrzenie.

- Co?

Dziewczyna zachichotała.

- Pytam, jaki był?

Alex usiłowała zachować absolutnie obojętny wyraz twarzy i miała nadzieję, że choć trochę jej się to udaje.

- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.

- No już, siostrzko, daj sobie spokój. Przystojny tatuś. Zaliczyłaś go! Potrafię to poznać.

- Neely... - Alex w duchu wzięła się w garść. - Nie mam pojęcia, o co ci chodzi - powtórzyła stanowczym tonem.

- Dobra. Nie musisz mi mówić. Ale jak ty mi nic nie powiesz, ja ci nie powiem o Elim.

Tym razem w spojrzeniu Alex był głęboki szok.

- Neely... nie zrobiłaś tego.

Dziewczyna roześmiała się z tryumfem.

Alex wciąż jeszcze usiłowała odgadnąć, czy Neely tylko się z nią drażni - miała potworne przeczucie, że jednak nie - gdy wjechały na parking Dixie Inn. Budynek był parterowy i od razu spostrzegła, że to raczej motel, niż hotel. Długi, niski, w kształcie litery U, zbudowany został wokół prostokątnego dziedzińca, służącego za parking. Alex przypomniała sobie rozbawienie Joego na samą myśl o tym, że ona i Neely mają spędzić tu noc, przygotowana więc była na pokój o niezbyt wysokim standardzie. W jednym skrzydle budynku zobaczyła przeszkloną restaurację, najwyraźniej służącą również jako recepcja. Skierowały się w tę właśnie stronę.

- Na twoim miejscu rozpuściłabym włosy, zanim tam wejdziemy - powiedziała Neely z powagą w głosie, gdy mijaly żółte lampy systemu alarmowego. Widocznie wciąż jeszcze sprzątano pokoje. Kobieta wyglądająca na Meksykankę, ubrana w znoszony, szary uniform pchała biały wózek z bielizną pościelową przez wyłożony płytkami korytarz wzdłuż drzwi. Jakiś mężczyzna szeroką miotłą zbierał śmieci z parkingu.

- Dlaczego? - zaciekawiła się Alex. Dochodziły już do wejścia. Przez grube szkło widziała mężczyznę w białej koszuli, siedzącego za ladą recepcji.

- Bo masz tu ślad. - Neely dotknęła palcem szyi tuż pod uchem. - Dokładnie w tym miejscu.

Alex otworzyła szeroko oczy i przycisnęła dłoń do szyi: ta reakcja była automatyczna. Oczywiście, że już za późno, by to cofnąć...

Neely śmiała się głośno.

- Mam cię! A więc jednak zaliczyłaś przystojnego tatusia? Wiedziałam!

Alex opuściła dłoń i spojrzała ze złością na siostrę.

- Neely, ty paskudna dziewczyno! - powiedziała ostro i pociągnęła drzwi.

Nastolatka wciąż się śmiała, wchodząc do wnętrza Dixie Inn.

## **Rozdział dwudziesty pierwszy**

Dochodziła północ; Joe siedział przy kuchennym stole, rozliczając rachunki przy świetle latarni. Choć był zmęczony - a był tak zmęczony, że pod powiekami czuł piasek - nie mógł zasnąć.

Naturalnie znał przyczynę: Alexandra Haywood. Mała Księżniczka Charlesa Haywooda - w stu procentach sprawdziło się to, co o niej mówił ojciec, a prócz tego jeszcze dużo więcej, co - Joe był pewien - tatusiowi w ogóle nie przyszło do głowy.

Seks z nią aż rozsadał mózg. I ona też tak to czuła. Wiedział o tym, jeszcze zanim sama mu powiedziała.

„Najlepszy seks mojego życia”. Wciąż słyszał jej głos, mówiący te słowa. Na samo wspomnienie poczuł ucisk w spodniach.

Do diabła z nią i do cholery!

Jaki konkretnie masz problem? - pytał sam siebie już chyba z dziesięć razy. To, co przeżył, było najwspanialsze ze wszystkich stosunków seksualnych, i to jeszcze z najbardziej godną pożądaną kobietą, jaką spotkał w dość długim czasie. Był zły nie tylko dlatego, że potem nazwała go imieniem swego eksnarzeczonego. Nie. Nie był aż tak dziecinny ani aż tak zazdrosny.

Ale zdecydowanie był zły. Drażniły go dzieciaki, choć zawsze bardzo się starał, by nie złościć się na nie. Niecierpliwili go konie. Warczał na ojca. Nie mógł spać.

Wszystko to razem stworzyło niezły zamęt. A przyczyną tego była Alex. Wiedział o tym i wiedział też dokładnie dlaczego, choć niechętnie przyjmował do wiadomości prawdę.

Zapadła mu w serce.

Od chwili gdy zobaczył ją po raz pierwszy, na pogrzebie Charlesa Haywooda, uderzyła go uroda tej kobiety. Potem Alex wmaszerowała do stajni i nastroszył się od razu, gdy zobaczył, jak się szarogęsi, jeszcze zanim w ogóle zaczęła mówić o zwolnieniu go z pracy. A potem, w Whistledown, zrobiło mu się jej żal.

Wszystko byłoby dobrze, gdyby na tym się skończyło. Pogodziłby się z uczuciem lekkiego zainteresowania piękną i prowokującą kobietą, obecnie w nieco trudnym położeniu, i na tym koniec.

Ale potem przybiegła do niego z opowieścią o włamywaczach i duchach i od tej pory kontrola nad sytuacją całkiem wymknęła mu się z rąk.

Chciał ją mieć w łóżku już mniej więcej w połowie tego niezbyt przemyślanego prysznicu. Ona także była chętna... nie, również tego pragnęła. Ale pilnował się, by zachować dystans, pilnował się, by nie zrobić niczego, czego na pewno będzie później żałował. Nawet dzisiaj przed południem, kiedy w stajni Whistledown załapała mu łzami całą kurtkę, pozostał sztywny, na dystans, za co gotów był przyznać sobie medal. I tak by pozostało, trzymałby łapy przy sobie, bo wiedział, że na dłuższą metę tak będzie lepiej.

Ale gdy Alex go pocałowała, pod słodkim, gorącym dotknięciem jej ust cały chłodny rozsądek Joego diabli wzięli.

Jest chyba takie powiedzenie, że droga do serca mężczyzny wiedzie przez żołądek? Ha, ten, kto to wymyślił, był w absolutnym błędzie. Droga do serca mężczyzny wiedzie przez jego rozporek, a kto tego nie wie, nie wie o mężczyznach nic.

Była piękna właśnie taką urodą, jaką lubił: smukła, o wysoko sklepionych, twardych piersiach, olśniewających jak słońce na niebie. Joe lubił blondynki, a jej włosy miały srebrzysty odcień i nawet jeśli to nie naturalny kolor, to chyba musiał być do niego bardzo zbliżony. Lubiał też śmiałe kobiety, takie, które nie boją się spojrzeć facetowi w oczy, kiedy trzeba, i kazać mu pójść na długi spacer po krótkim moło.

A już najbardziej lubił kobiety, które lubiły mężczyzn i nie bały się tego okazać w łóżku.

Jeśli chodzi o ten ostatni punkt, Alex była modelowym przypadkiem.

Wziął ją trzy razy i był gotów zrobić to jeszcze raz. To znaczy, zanim nazwała go imieniem poprzedniego kochanka.

Nawet teraz z trudem koncentrował się na rachunkach, ponieważ nie mógł wyrzucić z pamięci widoku jej nagiej.

Nagiej i proszącej, dokładniej rzecz biorąc.

Rozciągniętej pod nim i wijącej się z pożądania, błagającej, by w nią wszedł.

„Gdzie mnie chcesz?”

„We mnie”.

Do dupy. Nie, nie do dupy. Do cholery, do diabła, do czegoś innego. Czegokolwiek innego. Miał już taką erekcję, że niewygodnie mu było na krześle i nadal nie mógł wyrzucić z myśli tej przeklętej kobiety.

Nagiej.

Błagającej.

Przeستاń! - rozkazał sobie wściekle. Jeśli nie będzie ostrożny, zacznie biegać za Księżniczką Alex jak piesek z wywieszonym ozorem, a to na pewno się nie stanie, nie, jeśli on ma tu coś od powiedzenia, a ma. Ostatnią rzeczą, jaką sobie planował, był tak silny pociąg do jakiejś kobiety. A zwłaszcza takiej, która bierze go, by przeboleć stratę innego mężczyzny, która jest tutaj tylko przejazdem i która jest córką jego szefa, a może jego szefową, czy jak jeszcze, do diabła, na to spojrzeć - co już dostatecznie komplikuje sytuację.

Już kiedyś biegał za dziewczyną, pożądam jej z całą mocą pierwszej, rozbuchanej chłopięcej namiętności. Tak jej pragnął, że aż się zakochał. I wtedy zaczął się ten przeklęty koszmar, którym było jego małżeństwo. Szalał za Laurą, jego szczeniącą miłością, jego żoną, matką jego dzieci; za Laurą, która sypiała ze wszystkim, co nosi spodnie, przed, w trakcie i po rozpadzie ich małżeństwa, która piła, ćpała i balowała, aż picie, ćpanie i balangi znaczyły dla niej więcej niż kiedykolwiek wcześniej on i dzieci; szalał za Laurą, która porzuciła go i maluchy tak wiele razy, że stracił rachubę, zanim wreszcie odeszła na dobre; za Laurą, która pierwsza złamała mu serce, a potem pozostawiła je zamknięte w twardej skorupie: postanowił mocno, że nie rozbije jej żadna kobieta.

Nie wyrzekł się jednak seksu - co to, to nie. Ani w ogóle kobiet. Niestety, kobiety były niezbędne do tego rodzaju

seksu, w jakim gustował. Ale kobiety, z którymi się spotykał, wiedziały od samego początku, że jeśli chcą się z nim widywać, muszą to traktować lekko.

Nie miał jednak w scenariuszu zadurzenia się w kolejnej kobiecie. Lubił rzeczy takimi, jakie były: dzieci i konie w centrum uwagi, kobiety i seks na marginesie.

Wiedział więc, że ten ponury nastrój to jego własna wina. Uległ potwornej pokusie, dostał, co chciał, a teraz płacił za to wysoką cenę.

Przynajmniej ona jutro wyjedzie. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie zobaczą się już nigdy w życiu.

To dobrze, powtarzał sobie. I nie chciał się zastanawiać, dlaczego tak źle to na niego wpływa.

- Tato?

Słyszając głos dobiegający od drzwi, poderwał się niemal z poczuciem winy i rozejrzał, choć ów głos był mu tak dobrze znany, jak własny - to Eli. Joe patrzył, jak syn, tak podobny, że mógłby być jego o wiele młodszym i nowocześniejszym klonem, wchodzi, klapiąc bosymi stopami po podłodze, i trze pięściami oczy. Po przebudzeniu chłopak zawsze przecierał oczy w ten sposób, odkąd był małym brzdącem. To wspomnienie wywołało na usta Joego nikły uśmiech.

- Czemu nie śpisz? Jest już po północy, a jutro idziesz do szkoły - powiedział zrzędliwym głosem.

Wciąż był na syna troszeczkę zły o to, że odstawił terenówki do szopy całe pokryte błotem. Nie umknął mu fakt, że normalnie w takiej sytuacji za to wykroczenie Eli usłyszałyby tylko umiarkowanie ostre: „Wymyjesz je jutro”, ale kiedy wcześniej krzyczał na syna, był zbyt rozdrażniony, by o tym pamiętać.

- Wszystko w porządku?

Eli stanął obok, położył mu rękę na ramieniu i mrużąc powieki, popatrzył na książeczkę czekową oraz rachunki i notatki rozrzucone po stole. Długie włosy chłopca opadły na twarz, założył je więc za ucho dłonią o smukłych palcach.

Joe nagle spostrzegł, że jego syn staje się mężczyzną.

- Jak to, czy wszystko w porządku? Oczywiście, że w porządku. - Popatrzył na syna, marszcząc brwi.

Chłopak nie może nic wiedzieć o całym tym zamieszaniu z Alex. Boże dopomóż, jeśli coś wie. Życie seksualne ojca to nie jest coś, czym powinno się dzielić z synem, nawet jeśli jest prawie mężczyzną.

- Neely powiedziała mi, że stracisz pracę w Whistledown. Powiedziała, że jej siostra przyjechała tu, żeby cię o tym powiadomić.

- O. - Przez chwilę Joe nic nie mówił, tylko gapił się na Eliego, jakby usiłował wymyślić, co by tu odpowiedzieć.

- Ha, cóż, tak, panna Haywood mówiła coś w tym guście.

Chłopak przybrał poważny wyraz twarzy.

- Jeśli ma być z nami krucho, mogę znaleźć sobie pracę i dołożyć się. Jestem już dość duży, mam szesnaście lat.

- Eli. - Przez sekundę Joe miał ochotę wstać i uścisnąć syna, ale nie był to częsty gest, przynajmniej odkąd Eli zaczął tak rosnąć. Poprzestał na poklepaniu dłoni, spoczywającej na jego ramieniu. - Nie musisz szukać pracy. Wszystko będzie dobrze. Tak, zapewne stracę posiadłość w Whistledown, bo Haywoodowie mają kłopoty finansowe. Ale to się nie stanie tak od razu, bo mam kontrakt, ważny przez konkretny czas. W tym czasie podejmę stosowne kroki i zatroszczę się o to, byśmy nie stracili nic z naszych dochodów, kiedy to się stanie. Wierz mi, nie musisz się o nic martwić, więc wracaj do łóżka.

- A ty?

- Co? Co ja?

- Ty nie idziesz do łóżka? - Eli rzucił mu przelotny, złośliwy uśmiech. - Wiesz, już się trochę starzejesz. Starzy ludzie potrzebują więcej snu.

Joe wydał jakiś dźwięk pomiędzy parsknięciem a śmiechem.

- Chłopcze, gdybym potrzebował niańki, sprowadziłbym do nas dziadka. Tak, synu, już idę do łóżka. Natychmiast, kiedy tylko to skończę. Teraz już idź. Nic mi nie jest, wszystko w porządku. Kładź się spać.

Eli wyszedł w końcu, ale Joe jeszcze długo siedział przy stole i nie czuł się senny.

I nie mógł pozbyć się sprzed oczu obrazu Alex, nagiej i proszącej.

## Rozdział dwudziesty drugi

Słyszając śmiech, Drapiezca nadstawił uszu. Obejrzał się i zobaczył pod żółtymi lampami nie jedną, ale dwie prześliczne blondynki. Szykowały się, by wejść do środka: niemal oszołomił go ten szczęśliwy los.

Dwie przepiękne blondynki właśnie tu, na początku drogi. Pomyślał sobie, że Bóg na pewno się teraz uśmiechnął.

A może - ale tylko może - jeśli Bóg ma naprawdę dobry humor i układ gwiazd jest pomyślny i takie tam bzdury, to może uda się zatrzymać jedną lub obie te kobiety. Zaczynał być znużony Kasandrą. Ta dziewczyna już się nie śmieje. Nawet nie krzyczy i nie wygląda na przestraszona. Nie ma z niej większego pożytku niż z tych naturalnej wielkości, nadmuchiwanymi lalek z pochwą, które, nawiasem mówiąc, wypróbował, gdy był młodszy, ale okazały się niezadowolające. Czas już pomyśleć o zastępstwie.

Jeśli te dwie nieznajome spełniają jego wymagania, to mógłby wymienić Kasandrę już dziś wieczór. Pośle ją do

nieba, by dołączyła do swego Eryka, pośle ją w płomieniach chwały, a tymczasem nowe towarzyski zabawy będą na to patrzeć. Zawsze najlepiej skutkowało, gdy od razu, natychmiast pokazywał dziewczętom, co je czeka, jeśli nie będą grzeczne. Po takim ostrzeżeniu nigdy już nie miewał trudności. A nawet z żalną gorliwością robiły dokładnie to, czego od nich żądał.

Lecz, jak się okazało, Bóg był w nastroju do żartów. Drapieżca zdał sobie z tego sprawę natychmiast, gdy poznał tożsamość dwóch blond piękności. Alexandra i Kornelia Haywood! To chyba jakiś kosmiczny dowcip.

Zeszłej nocy był w ich domu. Oczywiście, gdy ukoronował swój wieczór spotkaniem z Kasandrą i wy dostał się z podziemnych czeluści, by wziąć szybki prysznic, nie wiedział nawet, że w domu ktoś mieszka. Subtelne szczegóły - no, może nie tak subtelne, na przykład torebka w kuchni - podpowiedziały mu, że w domu znajduje się przynajmniej jedna kobieta, ruszył więc na zwiady.

Zawsze korzystał z okazji. Skoro Bóg podaje mu kobietę jak na tacy, kimże on jest, by odmówić?

Już w pierwszym pokoju, do którego wszedł, odkrył skarb. Na chwilę oświetlił wnętrze małą latarką, którą z reguły nosił przy sobie, i zobaczył wysmukłą, młodą blondynkę. Spała głęboko pod nakryciem naciągniętym na ramiona, leżąc na boku; skórę miała białą-kremową. Wtedy, jedynie dlatego, że nie mógł się powstrzymać, wyciągnął rękę i dotknął policzka stojącej kobiety, chcąc tylko sprawdzić, czy jej cera jest tak delikatna, na jaką wygląda. Owszem, była, ale też to dotknięcie okazało się błędem, ponieważ kobieta się poruszyła. Wyłączył latarkę, lecz zauważył, że zrobił to w ostatniej chwili. Przebudziła się - poznał to po zmianie jej oddechu - i leżała przez chwilę w ciemności, zastanawiając się, co ją zbudziło, jak się domyślił.

Korciło go, naprawdę bardzo go korciło, by ją porazić, tu i teraz, i zabrać na dół, do Kasandry - ale oparł się pokusie. Nie wiedział, kim jest ta kobieta, lecz zgadywał, że musi być jakoś związana z Haywoodami, a jeśli ktoś jest powiązany z Haywoodami, to wiadomo, że musi być bogaty i ma szerokie znajomości. Porwać dziewczynę z jej własnego łóżka to znaczy sprowokować przeszukanie domostwa; a porywając z własnego łóżka bogatą dziewczynę ze znajomościami, spowodowałby naprawdę szczegółowe przeszukanie całej okolicy.

Był wprawdzie przekonany, że wejście do jego kryjówki jest dobrze zamaskowane - przez te wszystkie lata nikt nic nie zauważył. Ale oczywistą głupotą byłoby świadome sprowadzenie mnóstwa stróżów prawa i im podobnych do miejsca, które z lubością nazywał w myślach „Jądrem ciemności”. A choć Drapieżcę można by różnie określić, na pewno nie był głupcem.

Zdecydował więc, choć niechętnie, że musi pozostawić dziewczynę na miejscu. Stał w nogach jej łóżka, żalując tej decyzji, a potem już prawie wychodził z pokoju, gdy nagle blondynka usiadła gwałtownie i usiłowała włączyć światło.

Pstryk. Słyszał to wyraźnie. Pstryk, pstryk.

Na szczęście dla niej nie było prądu. Gdyby światło się zapaliło, nie miałby wyboru, musiałby ją zabrać.

W pewien sposób niemal żałował, że tak się nie stało. Gdyby go zobaczyła, przyjąłby to za znak, że jest mu przeznaczona.

W takiej sytuacji opuścił pokój szybko i, jak mu się wydawało, bezszelestnie. Ale młoda kobieta ruszyła za nim. Co za odwaga! I co za głupota! Poszła za nim i prawie go złapała, gdy przycisnął się do ściany w korytarzu, spodziewając się, że go minie.

Potknęła się jednak, wpadła na niego i chwyciła go za koszulę, by nie upaść, i w tym samym ułamku sekundy uderzył ją w głowę jedną z brązowych rzeźb, ozdabiających lustro. Gdyby nie stracił zimnej krwi, użyłby paralizatora, ale wszystko działo się tak szybko, poza tym urządzenie miał w tylnej kieszeni spodni, zapiętej na guzik. Statuetka, choć nieporęczna, była za to pod ręką. Widywał ją na ścianie setki razy i sam nieomal ją przewrócił, kryjąc się obok.

Potem uciekł z budynku, obiecując sobie, że, jeśli dziewczyna pobędzie tu jeszcze parę dni, odwiedzi ją ponownie.

Ale nie będzie dotykał, już nie. I nie zabierze jej. Tylko popatrzy.

Lubił patrzeć. Oglądanie dawało mu prawie taką samą (choć nie do końca) przyjemność, jak odbieranie życia. Na ile rzeczy napatrzył się przez te wszystkie lata - jeśli kiedykolwiek napisze książkę, będzie to dzieło powalające na kolana. Zatytułuje ją „Co widział Zły” albo jakoś podobnie.

No a teraz, proszę, oto ona jest tutaj, znów podana mu jak na talerzu. Rozpoznał ją od razu, gdy tylko dowiedział się, kto konkretnie chce zamieszkać w hotelu.

Zabranie jej nie wchodziło w grę. Zniknięcie córki Charlesa Haywooda tak krótko po jego tragicznej śmierci zwróciło na tę okolicę uwagę, bez której wolałby się obejść.

Będzie musiał zadowolili się patrzeniem na nią.

Ale patrzenie to też frajda. Zawsze lubił podglądać. Oczywiście jego możliwości były raczej ograniczone, gdy się wzięło pod uwagę wymogi sytuacji, ale i tak obie dały niezłe przedstawienie, kiedy już znalazły się w swoim przytulnym, bezpiecznym, dyskretnym pokoju motelowym.

Każda rozebrała się do naga, wzięła prysznic i wytarła ręcznikiem bardzo, bardzo dokładnie, zanim w końcu włożyły śliczne nocne koszulki i poszły do łóżek.

Gdy gasiły światło, kończąc ten arcyprzyjemny pokaz, Drapieżca był już tak podniecony, że postanowił znów

odwiedzić Kasandrę.

### Rozdział dwudziesty trzeci

Następnego ranka Alex zaskoczyło pukanie do hotelowych drzwi. Nie było jeszcze dziewiątej; akurat wstała, wzięła prysznic i zdążyła się ubrać. Tego ranka umyła włosy - bardzo ostrożnie - choć lekarz, który zakładał szwy, polecił odczekać trzy dni. Ale dla kogoś, kto przywykł myć głowę codziennie, trzy dni ciągnęły się jak wieczność i Alex po prostu nie mogła czekać dłużej.

Kiedy usłyszała pukanie, właśnie suszyła włosy. Neely wciąż była pod prysznicem, więc Alex nie miała wyboru: musiała odłożyć suszarkę i szczotkę i sama otworzyć drzwi.

Marszcząc brwi, odrzuciła z twarzy wciąż trochę wilgotne włosy i otworzyła, spodziewając się hotelowej pokojówki.

Na progu stał Joe z ręką uniesioną do kolejnego pukania.

Przez chwilę oboje po prostu gapili się na siebie. Joe odrobinę zmarszczył czoło; słońce świeciło dokładnie zza jego pleców i twarz miał ukrytą w cieniu. W ułamku sekundy Alex dostrzegła wszystkie szczegóły jego wyglądu: wysoki wzrost - ponieważ nie włożyła jeszcze butów, czubek jej głowy znajdował się na poziomie jego brody; szerokość ramion i swobodny wdzięk tego mężczyzny, ubranego w czerwoną flanelową koszulę i dżinsy; głęboką czerń jego włosów i stanowcze, męskie rysy. Joe także na nią patrzył. Obrzucił całą jej sylwetkę jednym uważnym spojrzeniem. Alex wiedziała, co zobaczył: zgrabną postać w obcisłym, granatowym golfie i szarych spodniach. Długie, proste, jasne włosy spływały jej luźno na ramiona; twarz o drobnych rysach i wysoko zarysowanych kościach policzkowych ozdabiały niebieskie oczy, których kolor podkreślał dodatkowo sweterek.

W tej samej sekundzie, w której uprzytomniła sobie wszystkie te szczegóły, była tak zadowolona, że go widzi, że serce aż skoczyło jej w piersi.

Potem przypomniała sobie, dlaczego wcale nie jest zadowolona, że go widzi, i również zmarszczyła czoło.

Spotkali się wzrokiem. Alex dostrzegła krótki, gwałtowny błysk w jego oczach i z przerażeniem zauważyła, że to już wystarczyło, by głęboko w jej wnętrzu rozgorzał taki sam płomień. Była to czysto fizyczna reakcja na wspomnienie tego, co robili w łóżku, która zdenerwowała ją do tego stopnia, że zmarszczone brwi utworzyły niemal poziomą linię. Ale Joe już patrzył ponad jej głowę na mały, pachnący kurzem pokój, na parę łóżek z prehistorycznymi materacami i komplet biało-złotych mebli, naśladujących prowansalski styl z lat pięćdziesiątych. Płomień przygasł, a gdy Joe znów na nią spojrział, mars na jego czole ustąpił miejsca kpiącemu uśmiewkowi.

- I jak ci się podobają komnaty, Księżniczko?

- Chciałeś czegoś? - zapytała Alex chłodno.

- Niee... tak tylko... przejeżdżałem obok.

- To super - warknęła i zaczęła zamykać mu drzwi przed nosem.

- Nie bądź dziecinna - skarcił ją, kładąc wielką dłoń na kruchym drewnie.

Potrafiłby przytrzymać drzwi ze śmieszna łatwością mimo największych wysiłków Alex. Kiedy jego kpiący uśmieszek rozciągnął się w szeroki, impertynencki, irytujący uśmiech, musiała z całą mocą sobie powiedzieć, że ulec impulsowi, każącemu jej kopnąć tego faceta z całej siły w gołe nogi, byłoby już szczytem dziecinności.

- Skoro mówimy o dziecinnych reakcjach... - zaczęła, ale przeszkodziła jej Neely, wołając z łazienki:

- Alex! Masz tam suszarkę?

Nim starsza siostra zdążyła odpowiedzieć, Neely wmaszerowała do pokoju, na szczęście owinięta w ręcznik. Był to jednak niewielki, hotelowy biały ręczniczek i zakrywał ją - z trudem - tylko od pach do górnej części ud.

- Och. Cześć, Joe!

Neely stanęła jak wryta, ale zamiast wycofać się do łazienki, podeszła do niego, najwyraźniej w ogóle nieskrępowana tym, że jest nieubrana. Alex zobaczyła, że prześlizgnął się po niej wzrokiem i nagle jego twarz stała się ponura.

- Cześć, Neely. - To powitanie nie brzmiało zachęcająco.

- Czy Eli przyjechał z tobą? - zapytała dziewczyna, najwyraźniej nie przejmując się jego tonem i patrząc w okno na parking, co dziwne, prawie wypełniony.

- Eli jest w szkole. - Ton głosu jego ojca sugerował, że tam też powinna być teraz Neely.

- Oo... szkoda. - Nastolatka zrobiła smutną minę, ale zaraz znów uśmiechnęła się do Joego. - Cóż, zostawię was, żebyście mogli pogadać. - Rzuciła okiem na siostrę. - Idę do łazienki, muszę wysuszyć włosy. Ale przecież nie będziesz mnie potrzebować...

Minęła ich, wzięła suszarkę ze sfatygowanej toaletki i, niedbale machnąwszy ręką na pożegnanie, swobodnym krokiem pomaszerowała do łazienki: gdy szła, jej długie szczupłe nogi odsłoniły się niemal do granic przyzwoitości.

- Skromność nie jest mocną stroną twojej siostry, co? - zauważył Joe, gdy już zniknęła. - Naprawdę powinnaś jej powiedzieć, że to nie jest dobry pomysł, paradować półnago przed obcymi facetami.

Alex westchnęła.

- Powiedzieć Neely, żeby czegoś nie robiła, to jak machnąć bykowi przed nosem czerwoną szmatą. Gdybym to zrobiła, zapewne następnym razem pojawiłaby się goła jak ją Pan Bóg stworzył.

Joe spojrział z dezaprobatą.

- Nie masz nad nią zbyt wielkiej władzy, prawda?

- Nie, nie mam. Ale to nie twój interes.

- Masz rację, nie mój interes. Dzięki Bogu. - Sięgnął po kopertę, która, złożona na pół, tkwiła w kieszeni jego koszuli, i podał ją Alex. - Kurier przywiózł to dziś rano. Do ciebie. Nie wiedziałem, czy będziesz jeszcze w Whistledown przed wyjazdem, więc przyniosłem list tutaj.

Alex wzięła kopertę.

- O, dziękuję. - Popatrzyła na nią z pewnym zdziwieniem i zmarszczyła brwi. - Jest otwarta.

Wzruszył ramionami.

- Sue, dziewczyna, którą zatrudniamy na pół etatu w biurze, powiedziała, że list przyszedł razem z korespondencją do Whistledown i nie zorientowała się, do kogo jest adresowany, póki nie było już za późno. To od twojego prawnika, nawiasem mówiąc. Pisze, że musisz pilnie do niej zadzwonić, zanim wyruszysz z powrotem do Filadelfii.

- Przeczytałeś! - Alex spojrzała na niego oskarżycielsko.

- Taa, przeczytałem. A raczej Sue zrobiła to najpierw. Wtedy się zorientowała, że list jest do ciebie.

- Dlaczego Andrea miałaby... - Urwała. Andrea Scopolone, jej bliska przyjaciółka, była również jej prawnikiem. A raczej należała do całego legionu prawników, którzy zajmowali się sprawami majątku. Po prawdzie była jednym z młodszych pracowników, ale ponieważ znały się od lat, Alex wolała rozmawiać właśnie z nią, kiedy tylko to było możliwe. - Aha. Telefon nie działa.

- Tak. I kiedy wyjeżdżałem, też jeszcze nie działał. Jeśli więc chcesz zadzwonić do Filadelfii, powinnaś skorzystać z telefonu tutaj.

- Rozumiem. - Rzuciła mu nieuważne spojrzenie przez ramię. Skoro sprawa jest tak pilna, że Andrea kurierską pocztą prosi o telefon, to nie może być nic dobrego. - Nie chcę, żeby Neely słyszała.

Joe także spojrział na zamknięte drzwi łazienki, po czym przeniósł wzrok na Alex.

- Homer, czyli właściciel, ma w biurze telefon. Na pewno pozwoli ci z niego skorzystać. Powiedz siostrze, że schodzimy do restauracji na śniadanie.

- Dobrze. - Alex wzięła głęboki, uspokajający wdech i puściła drzwi, po czym podeszła do łazienki i zapukała. - Neely, idę z Joem na dół, do restauracji.

- Miłej zabawy. - Głos siostry brzmiał czysto przez drzwi. Był pełen aluzji, Alex jednak ledwie to zauważyła.

Z ich pokoju do biura motelu, mieszczącego się w restauracji, było zaledwie parę kroków. Po drodze Joe został przywitany po imieniu przez dwie pokojówki w szarych uniformach i masywnie zbudowanego pomocnika; wymienił z nimi rozbawione uwagi o pogodzie i innych drobnostkach.

Gdy weszli do restauracji, powitały ich ciepło i zapach gotowanych potraw. Słońce wlewało się przez opuszczone żaluzje, rozjaśniając pomieszczenie, które niegdyś było przeszkloną werandą. Drewniana lada z lewej strony mieściła staromodną kasę i przezroczystą miskę, pełną miętowych dropsów w papierkach. Na froncie wisiał napis: „Witamy w Dixie Inn”. Obok naklejono małe znaczki różnych kart kredytowych, akceptowanych w motelu. W tej chwili za kontuarem nie było nikogo, choć głosy i śmiech dobiegające z dalszych pomieszczeń wskazywały na to, że restauracja ma pewną liczbę stałych klientów.

Joe opuścił dłoń na mały, srebrny dzwonek na ladzie. Alex aż się skrzywiła, słysząc przenikliwy dźwięk. Skutek jednak był natychmiastowy: pojawiła się pyzata, siwowłosa kobieta w różowym fartuchu.

- Joe! - zawołała uradowana, śpiesząc ku nim. - Na śniadanko?

- Może za chwilę - odrzekł Joe swobodnie. - Teraz jednak byłbym wdzięczny, gdybyś pozwoliła tej pani skorzystać z telefonu w biurze Homera. Nasz nie działa.

- O, do licha, jeszcze? - Kobieta spojrzała wyczekująco na Alex.

- To rozmowa zamiejscowa. Zapłacę moją kartą - zapewniła pośpiesznie.

Kobieta machnęła ręką. Joe dokonał prezentacji.

- Alex, poznaj Mabel Waters. Mabel, to jest Alex Haywood.

- Ach, panna Haywood z Whistledown, prawda? Przez sekundę myślałam już, że znalazłeś sobie nową dziewczynę. - Mabel wyszczerzyła zęby do Joego, potem znów przeniosła spojrzenie na Alex. - Oczywiście, kochanie, nie krępuj się i idź sobie zadzwonić. Joe pokaże ci, gdzie jest aparat.

- Dzięki, Mabel. - Joe poprowadził Alex za ladę i przez drzwi prowadzące do niewielkiego, wyłożonego boazerią gabinetu.

Alex nie zauważyła niczego prócz czarnego aparatu na biurku. Im więcej rozmyślała nad wiadomością od Andrei, tym bardziej się denerwowała. To nie może być nic dobrego.

- Tak się cieszę, że dostałaś wiadomość! - wykrzyknęła przyjaciółka. - Po pierwsze, słyszałam o Paulu! Co za gadzina! To gnida! I ta suka, Tara Gould! Jesteś zdruzgotana? Powiedz, proszę, że nie!

- Nie jestem - zapewniła ją Alex i mówiła prawdę.

Joe był razem z nią w biurze, stał oparty ramieniem o ścianę niedaleko zamkniętych drzwi, podczas gdy ona siedziała za biurkiem. Gdy zapytał Alex, czy chce, żeby wyszedł na czas rozmowy, pokręciła głową. Jeśli to jakaś

kolejna katastrofa, może potrzebować moralnego wsparcia, a pomimo ich obecnego wzajemnego antagonizmu wiedziała, że może liczyć na wszelką pomoc, jaką tylko będzie mógł jej ofiarować. Gdy Andrea wspomniała Paula, Alex całkiem bezwiednie spojrziała na Joego. To on sprawił, że odejście narzeczonego nie było już niczym więcej, tylko niknącą, niewielką zadrą w sercu - dobrze o tym wiedziała.

Alex odkryła, że cudowny seks przyćmiewa wspomnienia takiego sobie seksu.

- Cieszę się. Alex, strasznie mi przykro, ale mam kolejne złe wieści.

- Domyślałam się. Co tym razem? - W jej głosie brzmiała rezygnacja.

- Mamy wiadomość od naszego człowieka z gazety: przez kolejne kilka tygodni będą drukować cykl zatytułowany „Upadek domu Haywoodów”. To o twoim ojcu i jego interesach i... i o tym, co się stało, i w ogóle. Alex, teraz będzie najgorsze: oni utrzymują, że usiłował przekupić urzędników państwowych w kilku stanach, żeby uzyskać zezwolenia konieczne do prowadzenia tam interesów. Nasz informator mówi, że biuro prokuratora okręgowego prowadzi śledztwo; potwierdza tę wiadomość kilku ludzi, których tam znamy.

- O nie! - Alex poczuła, że żołądek jej się przewraca. - Andrea, to nieprawda!

- Nie wiem. Wiem tylko, że gazeta publikuje serię artykułów i że biuro prokuratora traktuje sprawę poważnie. Alex, nie powinnaś być tutaj, kiedy to wszystko się zacznie. Tylko dziś rano mieliśmy pięć telefonów od dziennikarzy z prośbą o komentarz, a przecież artykuły jeszcze się nie ukazały. Będą też grzebać w sprawach rodziny, wiesz: piękna córka miliardera, jak ona to wszystko znosi, takie rzeczy. Wokół domu twojego ojca krążą fotografowie, zawiadomiliśmy już Mercedes, pakuje się teraz i jedzie na parę tygodni do przyjaciół, do Londynu. Oto moja rada: może zostałabyś tam, gdzie jesteś, jeszcze przez jakiś czas? Będiesz z dala od tego wszystkiego.

Zostać w Whistledown? Alex popatrzyła na Joego. Odwzajemnił jej spojrzenie bez uśmiechu.

- Na jak długo?

- Nie wiem. Parę tygodni? Pierwszy artykuł ukaże się w środę, mówili nam, że cykl będzie szedł przez tydzień, więc myślę, że koło pierwszego grudnia będzie to już przebrzmiała historia. Oczywiście dochodzenie prokuratora potrwa, ale może ciągnąć się dość długo. Zapewne pozostanie niezauważone przez media, chyba że zbierze się wielka rada przysięgłych albo komuś zostaną postawione zarzuty. Wtedy zapewne znów będziesz musiała się gdzieś przyczaić, lecz to się nie stanie w najbliższym czasie.

Trzy tygodnie. Co ma tu robić przez trzy tygodnie? Odpocząć od normalnego życia, zapewne. Poświęcić więcej czasu na pogodzenie się ze śmiercią ojca, przebywając w miejscu, w którym zginął. Pozwolić, by ucichły plotki o Paulu. Zbadać to coś, co się zaczęło między nią a Joem?

Ta ostatnia kwestia przeważała szalę, choć Alex nie chciała się przyznać nawet przed sobą.

- Myślę, że to da się zrobić.

- Posłuchaj, potwornie mi przykro, że wszystko się tak nawarstwilo, ale z poprzedniej sprawy wynika kolejna: jeśli zarzuty zostaną podtrzymane, majątek podlegać będzie różnym sankcjom, w tym na przykład karom w sprawach cywilnych lub prawnych.

- O Boże. - Alex znów spojrziała na Joego, który tym razem odwzajemnił spojrzenie, marszcząc brwi. Widać było, że usłyszał dość, by zorientować się, iż wiadomości nie są dobre.

- Cóż, w najgorszym razie ty i Neely macie swoje fundusze powiernicze - powiedziała Andrea pocieszającym tonem. - Nawet jeśli nie możecie ich uruchomić przed czterdziestką, to i tak pieniądze są zabezpieczone. A ze spadku będziesz oczywiście pokrywać swoje wydatki, póki sprawa się nie rozstrzygnie. A tak przy okazji, czy powiadomiłaś tego faceta w Whistledown?

Zabawne, że dwa dni temu przyleciała tu z Filadelfii właśnie w tym celu. Alex po raz kolejny spojrziała na „tego faceta”. Wcześniej spodziewała się, że to będzie proste: trzeba wejść, odwalić brudną robotę, wyjść, załatwić sprawy w Whistledown i dalej wieść własne życie.

Nie spodziewała się jednak, że spotka Joego.

- Prawdę mówiąc, robi trochę trudności. Mówi, że ma kontrakt - powiedziała do słuchawki, patrząc mu w oczy. Zmrużył powieki.

- Jasne, do cholery, że robię trudności - odrzekł, zgadując, o czym mówią; oderwał się od ściany. - Daj mi pogadać z...

Jednocześnie Andrea mówiła jej do ucha: „O Boże, on tam jest z tobą. Zaraz, Mark zajmuje się...”.

- Czekaj! - zawołała Alex do Joego, który zbliżał się z widocznym zamiarem odebrania jej słuchawki, i do Andrei, która równie widocznie szykowała się, by przekazać jej jakieś wiadomości, adresowane do sprawiającego trudności zarządcy. - Nie mam zamiaru w tym pośredniczyć. Joe, będziesz musiał porozmawiać z Markiem Haniganem. Andrea, powiedz Markowi, że Joe Welch niedługo się z nim skontaktuje.

Joe zatrzymał się, wcisnął ręce w kieszenie spodni i zmierzył ją wzrokiem. Andrea aż pisnęła z radości.

- Joe? Czy jest przystojny? Z tego, jak do niego mówisz, na pewno...

Alex przerwała, nim przyjaciółka dokończyła zdanie.

- Andrea, jest jeszcze coś. Kiedy przeglądałam raport z sekcji mojego ojca, nie pamiętam, abym zauważyła jakieś uwagi o stężeniu alkoholu we krwi. Jestem pewna, że gdyby coś takiego było w raporcie, nie umknęłoby mi. Czy mogłabyś to sprawdzić i dać mi znać?

- Jasne. - Głos przyjaciółki przepelniało współczucie. Wiedziała, że Alex z trudem przyjmuje do wiadomości fakt, iż jej ojciec popełnił samobójstwo. - Zaraz każę to komuś sprawdzić.

- Dziękuję ci. - Alex uśmiechnęła się, choć oczywiście Andrea nie mogła tego widzieć. - Jeśli to już wszystko, to naprawdę muszę kończyć. Dzwonię z czyjegoś telefonu.

- Tak, wszystko. Szkoda, że mam same złe wieści. Będę czuwać. I dam ci znać o stężeniu alkoholu, gdy tylko się czegoś dowiem.

Pożegnały się i Alex odłożyła słuchawkę.

Joe wciąż stał na środku pokoju, patrząc na nią. Pytająco uniósł brwi.

Alex westchnęła; w obecnej sytuacji zapomniała o swojej złości na niego.

- Wniosek jest taki, że powinieneś zacząć rozglądać się za nową pracą.

Rysy jego twarzy złagodniały i omiół spojrzeniem jej twarz.

- Aż tak źle? Chodź, postawię ci śniadanie i opowiesz mi, co ci mówiła.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Alex, poznaj Homera Gibsona. Jest właścicielem motelu i szefem kuchni; przyrządza najobrzydliwsze kiełbaski w sosie z grzankami, jakie w życiu jadłaś; a jeśli mowa o jajkach, to i owszem, jajecznicę smaży całkiem niezłą. Każda szychą, będąc u nas przejazdem, zatrzymuje się w Dixie Inn na śniadanie.

Lecz w tej chwili Alex myślała, że wcale nie ma ochoty nic jeść, a już na pewno nie tknie czegoś tak obrzydliwego jak kiełbaski w sosie z grzankami. Pozwoliła się jednak namówić na śniadanie - Joe z absolutną słuszością zauważył, że z powodu braku prądu w Whistledown nie ma nic nadającego się do jedzenia - teraz więc uśmiechnęła się uprzejmie i uściśnęła dłoń mężczyzny, którego Joe jej przedstawił. Gibson poprowadził ich do stolika w jednej z małych sal. Był o pół głowy niższy od Welcha, łysy, przysadzisty, z rumianą, okrągłą twarzą i promiennym uśmiechem. W pasie miał zawiązany biały fartuch kucharski, okrywający białą elegancką koszulę i czarne spodnie. W czterech pomieszczeniach parteru, przerobionych na jadalnię, znajdowali się inni goście; większość było widać przez otwarte drzwi między salami, siedzących przy symetrycznie ustawionych stolikach. Wyglądało na to, że wszyscy znają Joego i teraz, gdy przechodził, albo pozdrawiali go dłonią, albo wołali za nim:

- Hej, Joe!

- Wszyscy gotowi do sobotniego meczu? Uniwersytet Kentucky, kochany!

- Widziałem, jak w zeszłym tygodniu Eli cztery razy zdobył trzy punkty. Powtórz chłopakowi ode mnie, że się wyrabia!

- Sue ma już dla mnie ten rachunek?

Joe odpowiadał na pozdrowienia i różne uwagi albo gestem, albo śmiechem i kilkoma słowami i szedł dalej. Alex domyśliła się, że żyjąc w miasteczku takim jak to, człowiek dość wcześnie się uczy, że gdyby chciał przystanąć i pogadać z wszystkimi napotkanymi znajomymi, to nie miałby czasu na nic innego.

Gdy dotarli do stolika - na cztery osoby, nakrytego białym obrusem osłoniętym innym, z przezroczystego plastiku - Homer odsunął krzesło dla Alex, po czym położył przed nią menu. Podziękowała mu uśmiechem i usiadła. Stolik stał tuż przy wielkim oknie wychodzącym na ogródek, w tej chwili składający się z pozbawionego liści wiązu i pustego betonowego poidła dla ptaków.

- Słyszałem, że przyjechała pani do Whistledown tylko na weekend? - Uniósł pytająco głos.

Widocznie zaskoczenie Alex, że hotelarz wie wszystko o jej planach, musiało być wypisane na jej twarzy, bo Joe zachichotał, sadowiąc się naprzeciwko.

- W tej okolicy wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich - wyjaśnił. - Nic świętego, uwierz mi.

- Prawda? Bardziej wścibskiej bandy niż my w życiu pani nie spotka - zgodził się Homer; tymczasem pojawiła się Mabel, niosąc dwie szklanki wody, i stanęła obok, potakując, już z przygotowanym notesem i ołówkiem.

- Chyba zostaniemy, ja i moja siostra, trochę dłużej, może na tydzień albo dwa.

- Przyjechała pani w porze deszczowej - powiedział Homer, kręcąc głową z dezaprobatą. - Naprawdę powinna pani zobaczyć to miejsce na wiosnę. Albo latem. O, w lecie też jest tu co oglądać.

- Byłam tu kiedyś w lecie. Ma pan słuszość, okolica jest przepiękna. - Wtedy pokłóciła się z ojcem. Ta myśl przyniosła Alex znajomy ból.

- No, dam wam już zająć się tym, po co przyszliście. Było mi bardzo miło poznać panią, panno Haywood. Mabel odbierze wasze zamówienie, jak już się zdecydujecie. Joe, gotuję dziś zupę fasolową, którą lubisz, i piekę kukurydziane chlebki, jakbyś chciał przyjść na lunch. - Homer odwrócił się, unosząc na pożegnanie dłoń, i ruszył w stronę, gdzie przypuszczalnie mieściła się kuchnia.

- Brzmi smakowicie. Może będę musiał tak zrobić, jeśli u nas też nadal nie będzie prądu! - zawołał za nim Welch. - Na razie, Homer.

- Czy mam wam dać jeszcze parę minut, Joe? - odezwała się Mabel.

Spojrzał pytająco na Alex. Gdy Joe i Homer gawędzili, zdążyła przejrzeć krótkie menu i już mogła zamówić.

- Poproszę grzanki i kawę.

Joe popatrzył na nią, jakby chciał coś powiedzieć. Nie zrobił tego jednak, kierując uwagę na Mabel.



- Joe, to co zwykle? - zapytała kelnerka.  
- Taak, dzięki, Mabel.  
Kobieta skinęła głową i odeszła.  
Wypił łyk wody i spojrzał na Alex.  
- I co, chcesz mi wszystko opowiedzieć?  
Uśmiechnęła się do niego trochę niewyraźnie.  
- A ty co, jesteś moim spowiednikiem?  
- Coś w tym guście.  
Zrelacjonowała mu całą historię. Kiedy skończyła, akurat przyniesiono jedzenie i Joe rzucił się z entuzjazmem na śniadanie, złożone z jajecznicy, kielbasek z sosem, zasmażanych ziemniaków z cebulką i grzanek. Alex patrzyła zafascynowana, jak jadł. Wprawdzie był wielkim mężczyzną, ale to śniadanie wydawało się olbrzymie.  
- A więc uważają, że dał w łapę jakimś urzędnikom, co? - zapytał.  
Alex skinęła głową. Węzeł w żołądku, który poczuła na wieść o nowym skandalu dotyczącym jej rodziny, zaczął się rozluźniać. Nie wiedziała, czy ma to przypisać grzance z dżemem, którą skubała, czy raczej temu, że podzieliła się kłopotami ze swym towarzyszem.  
Podejrzewała, że chodzi raczej o to drugie.  
- Wiesz, niezależnie od wszystkiego, sprawa nie dotyczy ciebie.  
Alex popatrzyła na niego ze zdumieniem.  
- Oczywiście, że dotyczy. To mój ojciec.  
- On nie żyje, Alex. Musisz już pozwolić mu odejść. - Joe spojrzał na nią poważnym wzrokiem.  
- Łatwo ci mówić. - Odłożyła grzanek, nagle straciwszy resztki apetytu.  
- Nie, nie jest mi łatwo to mówić, ale to właśnie musisz zrobić. Spójrz na siebie: od jego śmierci straciłaś, no ile, chyba z pięć kilogramów? Pamiętasz, widziałem cię na pogrzebie. - Dodał te słowa w odpowiedzi na jej zdziwione spojrzenie. Przesunął wzrok na wciąż w większości nietknięty talerz grzanek. - Nie jesz. A sypiasz?  
Alex zawahała się, a potem wyznała mu prawdę.  
- Jeśli nie zapomnę wziąć tabletek.  
Spojrzenie mężczyzny powiedziało jej, co on o tym myśli.  
- Uważasz, że ojciec chciałby, abyś tak go oplakiwała? Pamiętaj, że cię kochał. Chciałby, żebyś była silna, dbała o siebie i prowadziła dobre życie.  
- Wiem, że tego by chciał, ale... - Poczuła, że coś ściskają w gardle.  
Joe popatrzył jej w oczy i najwyraźniej zorientował się, że powiedział już akurat tyle, ile Alex zdoła znieść, ponieważ jego mina przestała być taka poważna, gdy znacząco popatrzył na talerz.  
- Możesz zacząć od zjedzenia tych przeklętych grzanek. Doprowadza mnie do szału, gdy patrzę, jak skubniesz tu trochę, tu kawałek. Zjedz całą kromkę, na litość boską.  
Klucha w gardle zniknęła; Alex popatrzyła z kolei na jego talerz.  
- Gdybym jadła tyle co ty, zaraz zrobiłabym się gruba.  
- Słonko, dużo ci jeszcze brakuje, zanim będziesz się musiała martwić tyciem.  
Słyszac, jak mówi do niej: „słonko”, w ten charakterystyczny przeciągły, powolny sposób, poczuła, że wracają wspomnienia, o których nie chciała akurat teraz myśleć. Ich oczy spotkały się i z jego spojrzenia poznała, że też wspominał to samo.  
- Czy dolać wam jeszcze kawy, Joe? - Mabel wróciła z dzbankiem. Joe skinął głową i kelnerka napelniła ich filiżanki, po czym odeszła.  
- A jak tam głowa?  
- W porządku, jeśli wezmę aspirynę. Szwy troszeczkę ciągną, ale nie czuję mocnego bólu.  
- Kiedy mają je zdjąć?  
- W piątek. Chciałam iść do lekarza w Filadelfii, lecz... - Jej głos ucichł stopniowo.  
- No to pójdziesz do lekarza tutaj. Carl Allen jest niezły.  
- To twój znajomy?  
- Tak.  
- Wydaje mi się, że wszyscy w okolicy to twoi znajomi.  
- Cóż, urodziłem się tu i wychowałem, tutaj chodziłem do szkoły. Nie było mnie przez dziewięć lat, a potem wróciłem. To było mniej więcej dziesięć lat temu. Od tego czasu jestem tu ciągle. To oczywiste, że wszystkich znam.  
Alex spojrzała na niego z ciekawością.  
- Co robiłeś w Kalifornii?  
- Pracowałem jako asystent trenera u faceta o nazwisku Ted Gray. Słyszałaś kiedy o nim? - Alex pokręciła głową.  
- Cóż, to słynny trener, powinnaś o nim słyszeć. Wspaniale było móc się od niego uczyć.  
- Czemu więc go opuściłeś?  
Joe uśmiechnął się lekko, tyle tylko że wokół oczu pojawiły mu się kurze łapki.

- Pamiętasz, jak ci powiedziałem, że już kiedyś mnie zwolniono z pracy? Właśnie ten facet mnie wyrzucił.

- Dlaczego?

Alex nie mogła sobie wyobrazić Joego inaczej niż jako wzorowego pracownika. Nawet w trakcie ich krótkiej przecież znajomości imponował jej absolutną fachowością. Był pracowity, zdyscyplinowany, odpowiedzialny, inteligentny - na takim człowieku można w pełni polegać.

Joe się wykrzywił.

- Byliśmy całą ekipą Graya w Santa Anita i nagle dostałem wezwanie z domu. Było to na dzień przed derby i mieliśmy sporo pracy, szykując do gonitwy osiem koni, spaliśmy nawet w stajniach i w ogóle. Kiedy powiedziałem Grayowi, że muszę jechać, oświadczył mi, że jeśli wyjadę przed zakończeniem wyścigów, to mnie zwolni. No i wyjechałem, a on zrobił, jak mówił.

- A co takiego ważnego stało się w domu? - Alex była zaintrygowana.

Joe popatrzył na nią i zawahał się lekko. Odniosła wrażenie, że zastanawia się nad odpowiedzią.

- Laura, moja żona, uciekła i zostawiła dzieci. Po prostu zostawiła je same w domu na ponad dobę. Eli miał cztery lata, Josh dwa. - Przyjaciółka Laury, która przysłała jej szukać, znalazła chłopców i zadzwoniła do mnie. Laury nigdzie nie było. Musiałem więc jechać do domu.

- O mój Boże! - Alex była wstrząśnięta. - Czy coś jej się stało?

Potrząsnął głową. Jego głos nabrał twardego brzmienia, a oczy, gdy ze spokojem odwzajemnił jej spojrzenie, lśniły lodowato gorzkimi wspomnieniami.

- Nie. Chciała po prostu zabalować, i tyle. Laura zawsze lubiła się bawić i nic nigdy nie mogło jej stanąć na przeszkodzie.

- Więc to wtedy rozwiodłeś się z nią? - Alex pamiętała, jak Inez mówiła jej, że żona Joego po prostu odeszła, zostawiając go z trójką dzieci. Ale wymienił tylko dwójkę.

Jego twarz przybrała nieco cieplejszy wyraz, połączony z bolesnym półuśmiechem.

- Wtedy porzuciła mnie po raz pierwszy. Nie było jej trzy tygodnie. Potem już po prostu wyjeżdżała z domu, kiedy jej się podobało, ale tak naprawdę nie mieliśmy rozwodu, póki nie wróciliśmy tutaj i nie urodziła się Jenny.

- Byłeś tylko raz żonaty?

- Raz to aż nadto, wierz mi. - Wypił łyk kawy. - No dobrze, teraz posłuchajmy o tobie: opowiedz, jak zostałeś fotografikiem. Czy tego uczą w tych frymuśnych szkołach, do których chodziłaś?

To oczywiście, że zmienił temat specjalnie, by oddalić rozmowę od jego życia osobistego. Alex nie winiła za to Joego. Jego opowieść nie była szczególnie podnosząca na duchu.

- Mówiłam ci już, że miałam lekcje ze wszystkiego. Kiedy pewnego lata, gdy byłam nastolatką, objawiłam zainteresowanie fotografią, tata dowiedział się o tym pocztą pantoflową przez służbę i wynajął najlepszych profesjonalistów, jakich mógł znaleźć, żeby mnie uczyli. I robię to od tamtej chwili, bo płacą mi za to, no dobrze, nie za dużo, ale zawsze to coś, odkąd skończyłam college. - Napila się kawy. Niezależnie od tego, co mówił Joe, nie mogła się zmusić do zjedzenia choćby kawałka chleba. Wiedziała, że grzanka tkwiłaby jej w żołądku jak kamień. - A ty? Chodziłeś do college'u?

Joe wykrzywił usta w półuśmiechu.

- Jasne. UK, Uniwersytet Kentucky.

- Czemu mnie to nie dziwi? A jaka specjalizacja?

- Hodowla koni i zarządzanie farmą. A ty?

- Filologia klasyczna.

- Ach, to dopiero praktyczne wykształcenie!

- Równie praktyczne co zarządzanie farmą końską. - Alex zmarszczyła brwi.

- Ha! Ja znalazłem pracę.

- Ha! A ja nie musiałam.

W tej chwili właśnie pojawiła się Neely, ubrana w dżinsową kurtkę i dżinsową spódniczkę mini; podeszła do ich stolika i wsunęła się na krzesło.

- Zaczęliście beze mnie - powiedziała.

- Czy coś ci podać? - Pojawiła się Mabel, rzucając pełne dezaprobaty spojrzenie na brylantowy kolczyk w nosie nastolatki. Joe dokonał prezentacji i Neely złożyła zamówienie. Alex poczekała, aż kelnerka odejdzie, dopiero wtedy streściła siostrze główne punkty - raczej przykre - rozmowy z Andream.

- Czy to znaczy, że naprawdę zostaniemy tu jeszcze parę tygodni? - zapytała dziewczyna z entuzjazmem.

Alex wiedziała, że jej siostra myśli o Elim i miała nadzieję, że Joe nie odgadł tego. Nie była pewna, co pomyślałby o „zaliczeniu” przez Neely - jeśli istotnie do tego doszło - jego syna i nie chciała się tego dowiedzieć.

- To oznacza, że ja zostaję tu jeszcze kilka tygodni. Ciebie musimy wysłać z powrotem do szkoły.

Siostra popatrzyła na nią z uwagą.

- Nie zostawię cię tu całkiem samej. Jeśli ty zostajesz, to ja też.

- Neely, nie możesz tego zrobić. Musisz chodzić do szkoły. Nie możesz przecież siedzieć w domu przez trzy czy cztery tygodnie. Musiałabyś powtarzać cały rok.

Wróciła Mabel z zamówieniem Neely. Dziewczyna wzięła do ust kawałek omletu serowego i spojrzała na Joego.

- Gdzie Eli chodzi do szkoły?

- Niedaleko, kawałek dalej drogą. Do Liceum Hrabstwa Shelby.

Neely spojrzała na siostrę z tryumfem.

- Mogłabym tam się zapisać.

- Na trzy tygodnie? Zejdź na ziemię.

Neely zrobiła upartą minę, a Alex pomyślała: Aha...

- Nie możesz mnie zmusić, żebym poszła do szkoły, do której nie chcę iść. Jeśli pošlesz mnie do następnego internatu, zanim sama się na to zgodzę, to po prostu ucieknę.

- Neely... - Alex czuła się bezsilna i na dodatek zakłopotana, że Joe jest świadkiem tej rozmowy. Co gorsza, znała siostrę wystarczająco dobrze, by wiedzieć, że nie są to czcze pogroźki. Neely była zdolna zrobić to, co właśnie powiedziała.

- Nie jesteś moją matką, Alex, tylko moją siostrą. Więc nie próbuj sterować moim życiem, dobra?

Joe wypił następny łyk kawy i uśmiechnął się ironicznie.

- Neely! - Alex posłała jej wściekle spojrzenie, bardziej przerażona faktem, że Joe widzi zachowanie dziewczyny, niż naprawdę rozgniewana. To była klasyczna Neely w całej okazałości i starsza siostra przez lata nawet się na jej wybryki uodporniała.

- Próbujesz się mnie pozbyć! Przez całe moje życie wszyscy tylko tego chcą: pozbyć się mnie! Do szkoły z internatem, na obóz, to tu, to tam, cały czas! Dziwne, że moja matka po prostu mnie nie wyskrobała, miałaby problem z głową!

Neely rzuciła siostrze spojrzenie pełne furii, cisnęła z brzękiem widelec na talerz, zerwała się od stołu i wybiegła z restauracji.

Mabel i połowa gości odwrócili się, by za nią popatrzeć.

### Rozdział dwudziesty piąty

Alex już wstała i chciała pójść za siostrą, ale Joe przytrzymał ją za nadgarstek.

- Zostań na miejscu i dokończ śniadanie. Jeśli będziesz biegać za nią za każdym razem, kiedy wykręca ci taki numer, tylko nauczysz ją, że to właściwy sposób na zwrócenie uwagi - tłumaczył cicho.

- Cóż ty o tym możesz wiedzieć? - Czuła litość dla Neely i gniew jednocześnie. Litowała się nad nią, wiedząc, że w tych oskarżeniach jest ziarno prawdy, że wszyscy przez całe życie dziewczyny usiłowali jej się pozbyć; natomiast gniewało ją to, że siostra ujawniła ton prywatny problem rodziny przed Welchem i wszystkimi ludźmi w restauracji.

- Zapomniałaś, że mam trójkę dzieci, w tym dwóch nastolatków. Przez lata uzbiera się parę wskazówek.

- Ach tak? No to jak zareagowałbyś na ten mały wybuch Neely, oświeć mnie łaskawie?

Spojrzał na nią w zadumie.

- Powiedziałbym jej, że jeśli jeszcze raz zrobi coś takiego, spiorę jej tyłek na kwaśne jabłko i nie usiądzie przez tydzień. - Alex była przerażona; Joe uśmiechnął się, widząc jej minę. - No dobra, nie zrobiłbym tego naprawdę. Ale w tej sytuacji, niech mnie szlag, na pewno bym jej tym zagroził.

- Może to i działa, gdy ty tak mówisz. Niestety, nie mam twojej groźnej postury i nie wydaje mi się, żeby ten sposób był skuteczny w moim wykonaniu. Masz może jakieś inne sugestie, które nie wiążą się z użyciem przemocy?

- Po prostu siedź sobie tutaj i pij kawę. Ignorowanie niewłaściwych zachowań nie działa od razu, ale w końcu skutkuje. - Wypił kolejny łyk, jakby chciał jej zademonstrować, co robić. - A przy okazji, mogłabyś przemyśleć ten pomysł, żeby została tu razem z tobą. Pomysł, dobrze się będziesz czuć, mieszkając w Whistledown całkiem sama?

O tym Alex nie pomyślała. Jak dotąd za każdym razem, gdy wchodziła do domu, ciarki przechodziły jej po plecach, i to solidnie.

- Nie zatrzymam Neely przy sobie tylko z tego powodu. To nie w porządku wobec niej. Poradzę sobie sama. - Musiała opanować dreszcz, który przeniknął ją na samą myśl o pustym domu.

Joe uśmiechnął się złośliwie.

- Jeśli coś cię przestraszy, zawsze możesz przybiec do mnie.

Oczy obojga się spotkały i Alex poczuła siłę wiążącą ich seksualnej fascynacji. Kiedy ostatnim razem zbiegła ze wzgórze, szukając pomocy, znalazła się pod prysznicem Joego, a potem w jego łóżku. Gdyby kiedykolwiek miała okazję powtórzyć to doświadczenie, cała akcja zakończyłaby się, jak przypuszczała, całkiem inaczej. Następnym razem nie trzymałaby rąk za plecami. Podejrzewała, że on też nie.

- Dolać ci jeszcze kawy, Joe? - Ponownie podeszła do nich Mabel, tym razem starannie unikając wzroku Alex, która poczuła znowu ogromny wstyd za zachowanie siostry.

- Poprosimy o rachunek, Mabel - odpowiedział Joe. Zapłacił i wyszedł na zewnątrz, podążając za Alex.

Neely stała obok budki telefonicznej po drugiej stronie parkingu; włosy nastolatki połyskiwały złotem w jasnym słonecznym blasku; rozmawiała z postawnym pracownikiem hotelowym, który wcześniej zagadnął Welcha. Alex

ruszyła w ich stronę. Joe szedł tuż za nią. Akurat teraz, pomyślała, wolałaby, żeby go tu nie było.

Na ich widok dziewczyna zmarszczyła czoło. Widząc jej minę, mężczyzna odwrócił się i zamachał ręką, spostrzegłszy Joego.

- Hej, Benny.

- Hej, Joe. Czy ta młoda dama jest z tobą? Pomyślałem, że może potrzebna jej pomoc.

- Ja nie jestem z nim - poprawiła Neely lodowatym tonem.

Alex jęknęła w duchu. Mężczyzna wyglądał na spłoszonego, czując nadciągający konflikt.

- Ee, wybaczenie, chciałem tylko pomóc. Na razie, Joe - powiedział i umknął.

- Do kogo telefonujesz? - zapytała Alex z pewną obawą. Kiedy Neely miała napad złego humoru, nie dało się przewidzieć, co może zrobić.

- Dzwoniłam do liceum i pytałam, co trzeba zrobić, żeby się zapisać.

Tym razem Alex jęknęła na głos.

- Powiedzieli, że trzeba tylko mieszkać w tym okręgu. Jeśli Eli chodzi do tego liceum, to i ja mogę.

- Neely... - zaczęła Alex, całkiem bezsilna.

- Jeśli pošlesz mnie do jakiejś szkoły, do której nie chcę iść, to po prostu się postaram, żeby mnie wywalili. A ty nie możesz zrobić nic, aby mnie powstrzymać!

Widząc minę Joego, gdy ten spojrzał, na jej siostrę, Alex zrozumiała, że za chwilę może wprowadzić w życie poradę, której udzielił w restauracji. Neely patrzyła z furią na siostrę, a Joe obserwował to jedną, to drugą z dezaprobatą w oczach, aż w końcu Alex miała tego dość.

- Dobrze! - warknęła, rzucając dziewczynie równie wściekle spojrzenie. - Bardzo dobrze! Chcesz zostać tu i chodzić do szkoły, załatwione! Ale jeśli to się skończy na powtarzaniu klasy, będziesz mogła mieć pretensje tylko do siebie! Teraz zbieraj się, ładuj tyłek do auta i jedźmy zapisać cię wreszcie do tej szkoły, OK?

Alex wróciła do Whistledown dopiero późnym popołudniem. Była teraz sama. Niebieski pikap Joego z Elim za kierownicą i bandą młodzieży w środku przetoczył się obok podjazdu właśnie w chwili, gdy obie wysiadały ze swego wozu. Eli wrzasnął przez okno do Neely, żeby też przysłała. Nawet wzrokiem nie pytając Alex o pozwolenie, siostra rzuciła się pędem w dół ze wzgórza. Dziewczynie nie przyszło do głowy, że w konsekwencji jej wybuchu w restauracji ojciec Eliego może nie powitać jej w swoim domu zbyt entuzjastycznie.

Rozstali się przed Dixie Inn. Na prośbę Alex Joe pokazał im, gdzie jest liceum, prowadząc je tam samochodem. Potem odjechał, by zająć się własnymi sprawami, i pozostawił Alex z zadaniem zapisania Neely do szkoły. Procedura była stosunkowo prosta, obejmowała parę rozmów telefonicznych oraz przefaksowanie kilku dokumentów i Neely mogła zacząć szkołę od zaraz. Ku wielkiej uldze starszej siostry Neely, gdy już znalazła się w szkole, zachowywała się wzorowo - zwykle zachowywała się bardzo dobrze, jeśli tylko wszystko szło po jej myśli - ale po całym niespokojnym dniu Alex, wchodząc do domu, czuła się wykończona. Musi zostać w Whistledown na trzy tygodnie - na samą myśl ciarki przeszły jej po plecach. Jedynym elementem, który czynił tę perspektywę znośną, był Joe Welch.

Nie minęła jeszcze doba, odkąd ten mężczyzna znalazł się w jej łóżku, a już z ogromną przyjemnością biegła myślami ku chwili, gdy Joe znów się tam znajdzie. Na pewno już przebolewał jej wpadkę z Paulem. Na to przynajmniej wyglądało...

Już sama czynność otwarcia drzwi i wejścia do domu napełniła Alex lękiem. Ku jej olbrzymiej uldze żyrandol w holu jarzył się cały, pokazując, że wreszcie włączono prąd. Zostawiła lampy wyłączone, zamknawszy drzwi wejściowe i teraz, idąc przez dom, zapalała światła we wszystkich pomieszczeniach, choć był przecież jasny dzień. Powiedziała sobie stanowczo, że nie ma się czego bać. Miniona noc to efekt niefortunnego zbiegu okoliczności. Mało prawdopodobne, że ulewa, brak prądu, pioruny i ciężko dyszące koty wystąpią wkrótce znów w tej samej konfiguracji.

Co do ciężko dyszących kotów: gdy Alex skierowała się do kuchni, gdzieś od strony biblioteki pojawił się Hanibal, kołysząc ogonem. Niosła właśnie zakupy zrobione w Shelbyville, pomyślała więc, że cichy szelest papierowej torby mógł przywabić zwierzaka. Przyjrzała mu się nieufnie i ominęła rezydenta farmy dużym łukiem, przechodząc przez wahadłowe drzwi. Kocur poszedł za nią; poruszał się zadziwiająco cicho, gdy tak kroczył za nią na przysłowiowych kocich łapkach - w jego przypadku ogromnych.

Czy to możliwe, że dwie noce temu w ciemności ściagała właśnie tego kota? Choć czuła się z tego powodu głupio, była to najbardziej prawdopodobna wersja wydarzeń.

Wersja, którą wolała.

- Uciekaj - powiedziała do Hanibala, gdy weszła do kuchni, a kot wciąż był obok.

Zignorował polecenie, wskoczył na blat, a stamtąd na lodówkę, gdzie usiadł i patrzył, jak Alex, zrzuciwszy buty, w samych pończochach zabrała się do układania zapasów. Pod jego skupionym wzrokiem czuła się niezręcznie; przypomniał jej się „Kruk” Edgara Allana Poe, zwłaszcza fragment, w którym ptak „na Pallady siadł popiersiu,

które strzegło moich drzwi. Przypadł, wzleciał, siadł i tkwi<sup>78</sup>. W każdej chwili spodziewała się usłyszeć, jak znenawidzony kocur kracze „nigdy więcej - nevermore!”.

Przez chwilę bawiła się myślą, czyby nie wziąć go po prostu na ręce i nie wynieść z kuchni, ale dłuższe spojrzenie na jego wielkie ciało odwiodło ją od tego pomysłu. Wydawał się żywym ucieleśnieniem wszystkiego, co kocie, a po wyglądzie sądząc, potrafił być nieprzyjemny, gdy ktoś go rozzłości.

- I co, zapisałaś ją?

Na dźwięk tego głosu, najwyraźniej dobiegającego znikąd, Alex aż podskoczyła, nim się zorientowała, kto to. Prawie upuściła na podłogę jajka. Przychodząc do siebie, odłożyła jajka na odpowiednią półkę w lodówce i ruszyła w stronę małego schowka, skąd, wydawało się, dochodził głos.

Wciąż w dzinsach i flanelowej koszuli, Joe tkwił tam skulony na podłodze, zajmując się czymś, co dotyczyło kabli elektrycznych w plastikowej izolacji: wyglądało na to, że mocuje kłębek kabli do tylnych drzwi.

- Co robisz? - zapytała, krzyżując ręce na piersiach.

Zaskoczyła ją jego obecność w domu - zapewne miał klucz - ale zaskoczyła przyjemnie. Zniknął ostatni ślad niepokoju.

Obejrzał się na nią przez ramię.

- Instaluję system alarmowy. - Podniósł leżącą obok wiertarkę i przyłożył do framugi, podnosząc głos, by był słyszalny przez warkot. - Wszystkie okna i drzwi zewnętrzne do niego podłączyłem. Te są ostatnie. Nie będziesz musiała się martwić, że dostanie się tu jakakolwiek żywa istota ludzka.

Słyszając to, Alex poczuła niemal namacalną ulgę. Uświadomiła sobie, że gdzieś w głębi duszy była przekonana, że wtedy, w korytarzu, dotknęła prawdziwego, żywego człowieka. To, co przykrywał materiał, nie było twarde i gładkie jak ściana, ale ciepłe i sprężyste jak ludzkie ciało.

Na to wspomnienie poczuła zimny dreszcz wzdłuż kręgosłupa.

- Joe! - Znów wiercił i musiała krzyczeć. Obejrzał się. - Dziękuję ci.

W odpowiedzi uśmiechnął się krótko i wrócił do swego zajęcia. Alex zaś poszła do kuchni, by skończyć układanie zapasów; wiertarka buczała uspokajająco w tle.

Akurat wkładała do lodówki ostatnie paczki - plastikowe woreczki z gotową sałatką i świeżymi pieczarkami z baru sałatkowego - kiedy Joe wyłonił się ze schowka.

- Już zrobiłaś zakupy? - zapytał, gdy zamknęła lodówkę i zaczęła składać i wygladzać brązową, papierową torbę.

- Musimy coś jeść - odrzekła.

Zmierzył ją wzrokiem.

- Umiesz chociaż gotować? - Odłożył wiertarkę i gruby kłębek pozostałego kabla na blat.

- Oczywiście, że umiem. - Uczciwość kazała jej dodać z leciutkim śladem uśmiechu: - A przynajmniej trochę. Omlet, jajka na twardo, sałatka z tuńczyka, takie różne.

- Założę się, że jesteś też mistrzynią w przyrządzaniu kanapek z masłem orzechowym - powiedział Joe z kamienną twarzą.

- Masz rację.

- Chcesz, żebym, zadzwonił do Inez i poprosił, żeby przychodziła codziennie, kiedy tu będziecie?

Alex spojrzała na niego z powagą.

- Wiesz co, ja nie jestem bezradna. Umiem obsługiwać odkurzaczy, włączyć zmywarkę i ścierać kurz z mebli. Potrafię nawet zrobić pranie, jeśli to naprawdę konieczne. No wiesz, wrzucić ubrania do bębna, wsypać proszek, zatrasnąć kłapę i uruchomić pralkę.

Joe się roześmiał.

- Co, znowu byłem niegrzeczny? Wybacz. Nie mam pojęcia, jak żyją córki miliarderów.

- W normalnym świecie, dokładnie tak, jak wszyscy - odparła Alex z odrobiną niepewnym uśmiechem.

Gdy iskierki rozbawienia zabłysły w jego oczach, a na ustach błąkał się uśmiech, wydawał się tak przystojny, że przyjemnie było na niego patrzeć. Stał obok wysokiego, barowego stołka; w jej głowie rozbłysły żywe wspomnienia chwili, gdy tam siedział i całował ją. Zdjęła przed nim bluzkę...

Ma do zapełnienia trzy tygodnie, nim wróci do normalnego życia. Trzy tygodnie, które mogłaby spędzić z Joem.

Nie ma sensu tracić choć jednego cennego dnia!

Odłożyła złożoną torbę na blat i przysunęła się do mężczyzny.

- Joe - zaczęła, przystając tuż przed nim i patrząc mu prosto w oczy. - Naprawdę bardzo, bardzo dziękuję, że założyłeś mi ten system alarmowy. Teraz będę się czuć bezpieczna, to dużo zmienia.

- Nie pomoże w wypadku duchów i kotów - uprzedził, patrząc na nią z rozbawieniem; jego oczy pociemniały.

- Z kotami i duchami potrafię sobie poradzić. To prawdziwi, żywi przestępcy mnie przerażają. Dziękuję ci.

Położyła dłoń na jego okrytej flanelą piersi, uniosła się na palce i wycisnęła mu na ustach szybki, delikatny pocałunek. Pozwolił się pocałować. Jego wargi stwardniały i rozchyliły się pod dotykiem jej ust, w oczach rozgorzał płomień. Ale kiedy odsunęła się i opadła na pięty, nie uczynił żadnego ruchu, by przedłużyć pocałunek

czy choćby wziąć Alex na powrót w objęcia.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

Widocznie wciąż się boczył o to, że nazwała go innym imieniem. Cóż, skoro ona mogła wybaczyć i zapomnieć te wszystkie obraźliwe słowa, które do niej później powiedział, to on też mógłby wybaczyć i zapomnieć o tamtym. Szczerze mówiąc, miała zamiar sprawić, że tak się stanie.

- Jestem ci też wdzięczna za to, że przyniosłeś mi dziś rano do hotelu wiadomość od Andrei. A więc dziękuję ci jeszcze raz. - Przesunęła dłonie na jego ramiona, znów unosząc się na palce i całując go.

Tym razem wysunęła nieco język, i tym razem jego dłonie objęły ją w pasie: czuła radość z bycia - prawie że - również całowaną. Przechylił głowę, szybko docisnął twarde wargi do jej ust, przemknął po nich językiem i natychmiast się cofnął, przerywając pieszczotę.

Alex uśmiechnęła się do siebie i znów opadła na podłogę.

- Nie ma sprawy. - Głos Joego brzmiał tylko trochę inaczej, a palce wbijały się w jej talie.

Alex zatrzymała dłonie na jego szerokich barkach, popatrzyła mu prosto w twarz i przysunęła się nieco, tak że jej piersi tylko muskały jego tors.

- Poza tym byłeś tak miły, że wysłuchałeś mnie dziś przy śniadaniu. Wiem, że ta cała sprawa także tobie stwarza problemy. Więc dziękuję ci i za to.

Tym razem, gdy uniosła się na palce, zarzuciła mu ręce na szyję i pocałowała go powoli, tak słodko i prowokująco, jak tylko potrafiła.

### Rozdział dwudziesty szósty

Przez chwilę nie reagował, pozwalając jej się całować i przejąć całą inicjatywę. Potem wydał cichy, gardłowy dźwięk i nagle zaczął oddawać pocałunki, spragniony jej pieszczot, jakby nigdy nie miał się nimi nasycić. Wargami rozgniatł jej gorące usta, jego ramiona opłotły ją i przyciągnęły blisko. Serce Alex przyspieszyło. Pragnęła go...

Obrócił się wraz z nią prawie jak w tańcu, tak że w końcu stała przyciśnięta tyłem do nieruchomej krawędzi blatu na środku kuchni; potem przesunął ręce na jej biodra, objął je dłońmi, gładził i przyciskał. Jęknęła, przywierając do jego twardej piersi i przypomniała sobie, jak wtedy całował jej pośladki...

Unióś ją i posadził na blacie. Rozsunął jej nogi i stanął między nimi, przywierając mocno do Alex. Obudziła się w niej gorąca, głęboka tęsknota, cała płonęła z pożądania, już czuła wilgoć. W jej oszołomionym namiętnością umyśle zawirowało przejrzyste jak kryształ pytanie: co jest w tym facecie, że tak bardzo go pragnie, że tak go pożąda?

- Joe - wyszeptala jego imię. Teraz nie było szans, by kiedykolwiek pomyliła go z kimś innym, bo nikt inny nigdy, przenigdy nie wzbudzał w niej takich emocji.

Chciała, żeby wziął ją tu, teraz, siedzącą na kuchennym blacie, w jaskrawym świetle jarzeniówki. Pragnęła, by kochał ją aż do zaleństwa, aż do utraty zmysłów, aż będzie krzyczeć i prosić...

Błagać go o to.

Boże, jakże go pragnęła.

Bez ostrzeżenia przerwał pocałunek, odsunął wargi od jej ust i cofnął się zdecydowanie. Rozplótł jej ręce obejmujące go za szyję i przytrzymał je przez chwilę, podczas gdy jego oczy, przymrużone, lśniące namiętnością, pochwyciły jej spojrzenie; oddech miał krótki i chrapliwy.

- Joe! - zaprotestowała.

Mocniej zacisnął ręce na jej nadgarstkach; oczy mu płonęły i przez moment myślała, że do niej wróci. Ale wtedy puścił ją całkiem, oparł się o szafki z tyłu, podczas gdy jego oczy, utkwione w niej, płonęły, a wargi zacisnęły się w prostą, twardą kreskę.

- Joe - powtórzyła, wyciągając ku niemu ramiona.

- Alex - odezwał się schrypniętym, gardłowym głosem. Szybko przeczesał krótkie włosy palcami, jakby w rozterce, po czym zamknął dłonie na krawędzi blatu, tak mocno zaciskając palce, że zbieleły mu kostki. - Alex, posłuchaj. Jesteś piękną, seksowną kobietą. W tej chwili pragnę cię tak mocno, że aż mnie to boli. Ale niech mnie piekło pochłonie, jeżeli zapewnię ci trzytygodniowe usługi jako ogier, aby pomóc ci przeboleć stratę narzeczonego i wrócić do równowagi.

Alex otworzyła usta. Nie wierzyła własnym uszom.

- Co?

- Słyszałaś dobrze.

- To śmieszne. - Wciąż siedziała na szafce; podciągnęła kolana pod brodę, objęła je rękami i wpatrywała się w niego. - To nie ma nic wspólnego z Paulem.

- Słonko, to ma wiele wspólnego z Paulem. W tej chwili przychodzisz do siebie i szukasz czegoś, co złagodzi ból. Wiem, bo sam przez to przechodziłem. Myślę, że to naturalny odruch, sypiać z innymi facetami po bolesnym rozstaniu z ukochanym. Ale nie mam ochoty być lekarstwem na twoje dolegliwości.

- Joe... - Alex urwała, gdyż nagle uświadomiła sobie, że teraz dosłownie błaga tego faceta, by się z nią kochał.

Gdzie się podziała jej duma? Przy wszystkich innych mężczyznach, których знаła, to ona była obiektem

pożądania, to ją trzeba było ścigać, kusić i przekonywać, jeśli to było możliwe, do spotkania, do związku, do pójścia do łóżka. Nawet Paul musiał ciężko się napracować, by ją zdobyć. Uwodził ją: przynosił kwiaty, zapraszał na kolacje, przysyłał śmieszne liściki, wydzwaniał...

A przy Joem, Alex zdała sobie z tego sprawę z dużym wstydem, to ona była stroną zabiegającą. W każdym aspekcie.

Ta świadomość ją zmroziła. Wyprostowała plecy i uniosła głowę. Wróciło jej poczucie godności.

- Możliwe, że masz słuszość - powiedziała spokojnie. - Oczywiście, możesz też nie mieć racji. Jednak nigdy się tego nie dowiemy, bo prędzej mi kaktus na dłoni wyrośnie, nim znów się z tobą prześpię.

Z zaciśniętymi ustami i lodem w oczach patrzył na nią przez sekundę w milczeniu. Potem wyprostował się, oderwał od blatu i wziął wiertarkę.

- Kod alarmu jest taki sam jak pierwsze cztery cyfry numeru telefonu: trzy-siedem-trzy-zero. Skrzynka znajduje się w schowku. Sprawdź, czy go włączyłaś, nim pójdziesz spać. Mam ci pokazać, jak go obsługiwać?

Alex pokręciła głową. Poczucie godności kazało jej trzymać podbródek uniesiony. Jej oczy lśniły od gniewu.

- Potrafię obsługiwać alarm.

- Dobrze więc. Gdybyś czegoś potrzebowała, zadzwoń. Będę tu, nim zdążysz odłożyć słuchawkę.

Neely wróciła akurat w chwili, gdy Alex już myślała, że będzie musiała zatelefonować po nią do Joego. Alarm czy nie alarm, świadomość, że jest sama w pustym domu po zmroku, budziła lęk, a słońce już zaczynało zachodzić. Jako że niechętnie by to zrobiła - już na samą myśl o dzwonieniu do Welchów zaczynała się wściekać - poczuła ulgę, gdy dziewczyna wpadła tylnymi drzwiami, dokładnie w chwili gdy ostatnie, pomarańczowe promienie zniknęły za horyzontem. Alex stała w kuchni przed otwartą lodówką, zastanawiając się, co z jej zawartości najłatwiej przyrządzić na kolację - gotowanie zdecydowanie nie było jej najmocniejszą stroną, poza tym i tak nie mogła wzbudzić w sobie choćby odrobiny apetytu - wystarczyło więc, że odwróciła głowę, by zobaczyć, jak jej siostra wkracza do domu przez schowek.

- Alex, wróciłam! - wrzasnęła dziewczyna i już z następnym oddechem zaczęła wyrzucać z siebie setki słów, skierowanych do Eliego i chłopca oraz dziewczyny, którzy weszli za nią do kuchni. Widząc Eliego, Alex natychmiast pomyślała o jego ojcu, a myślenie o Joem nie było tym, co chciałaby teraz robić. Ani w żadnej chwili aż do końca życia, jeśli już o to chodzi.

- Dzień dobry, panno Haywood - przywitał się Eli, patrząc na nią nad głową Neely.

Nie ma sensu wyładowywać gniewu na ojca na synu. Alex przywołała na twarz uśmiech i zamknęła drzwi lodówki.

- Cześć, Eli - odpowiedziała, po czym dodała: - Wiesz, możesz mówić do mnie „Alex”. Nie jestem jeszcze taka stara.

Jego krzywy uśmiech tak mocno przypominał jej Joego, że musiała wziąć się w garść, by nie uciec.

- No tak, ale tata ma bzika na punkcie dobrych manier. Wściekłby się, gdyby usłyszał, jak mówię pani po imieniu.

- Jeśli będzie się wściekał, powiedz mu... - zaczęła jedwabistym głosem i ledwo zdołała zmienić to, co chciała powiedzieć, w łagodniejszą wersję - ...że ja ci pozwoliłam.

- Eli będzie podwozić mnie do szkoły - oznajmiła Neely.

Alex dopiero teraz przyjrzała się siostrze, gdy ta przesunęła się na środek kuchni, i aż otworzyła oczy ze zdumienia. Dziewczyna od stóp do głów pokryta była pecynami zaschniętego błota wielkości dużej monety. Jej blond włosy, kompletnie potargane przez wiatr, sterczały wokół głowy jak puchowa kula wielkiego dmuchawca. Błoto oblepiało również sportowe buty na grubej podeszwie, i to tak dokładnie, że nie było spod niego widać skóry. Alex pomyślała, że kuchenną posadzkę przynajmniej łatwo wymyć.

- Dobry Boże, co wyście robili? Placki z błota?

Neely posłała jej miazdzące spojrzenie.

- Jeździliśmy na terenówkach. - Także głos Eli miał taki sam jak Joe.

- Było super - powiedziała Neely. - Pojechaliśmy strumieniem. A, tak, to Heather Isaacson i David Saunders.

- Cześć - powitała ich Alex. Jak echo powtórzyli pozdrowienie.

- O, ekstra, kocur! Skąd się tu wziął? - Dojrawszy Kanibala, który chleptał z miski mleko (wcześniej nakłonił Alex, by mu go naląła), Neely padła na kolana i przeciągnęła ręką po jego puszystym futrze. Hanibal odpowiedział wygięciem grzbietu, choć ani na chwilę nie przerwał picia mleka.

- Ma na imię Hanibal. Najwyraźniej tutaj mieszka - wyjaśniła Alex, po czym przeniosła uwagę na pozostałych towarzyszy Neely. Nauczyła się jednej rzeczy: że lepiej znać przyjaciół Neely, niż ich nie znać. W ten sposób czeka ją mniej niespodzianek. - Też chodzicie do liceum w Shelbyville?

- Tak.

Nawiązała z nimi krótką rozmowę. Wyglądało na to, że we troje podzucili Neely do domu przed powrotem do siebie.

- Do zobaczenia jutro w szkole - powiedziała słodko Heather do Neely, gdy już szykowali się do wyjścia, po

czym dość ostentacyjnie wzięła za rękę Elięgo.

Chłopak natychmiast się zawstydził i nawet jednego spojrzenia nie poświęcił dziewczynie u swego boku. Ach tak, oczywiście, Alex już sobie przypominała. Czy to imię Heather padło w rozmowie o dziewczynie Elięgo? To musi być ona. Najwyraźniej manifestuje swoje prawa tak, by Neely to widziała.

Mimo to siostra zdawała się nie przejmować jej istnieniem, jak spostrzegła z ulgą Alex.

- Tak, do jutra - odpowiedziała grzecznie z uśmiechem.

Goście skierowali się do drzwi.

- A, tata kazał mi to oddać. - Widocznie Eli dopiero sobie przypomniał o plastikowej reklamówce, niesionej w ręce i teraz, zawróciwszy, wręczył torbę Alex. - To pani ubrania i rzeczy z wczorajszej nocy i aparat długozasięgowego walkie-talkie, taki, jakich używamy do porozumiewania się przy pracy na farmie. Tata kazał powtórzyć, że jeśli pani weźmie aparat na górę, będzie pani mogła połączyć się z nami w każdej chwili w nocy, jak przez interkom. To znaczy, jeśli zajdzie taka potrzeba. Nawet jak wysiądą telefony.

- Dzięki, Eli. - Alex uśmiechnęła się do chłopaka, wzięła reklamówkę, nawet do niej nie zaglądając, i odstawiła na najbliższy blat prawie z lupnięciem. Zamierzała kontaktować się przez interkom z Joem Welchem mniej więcej tak często, jak i sypiać z nim, czyli nigdy. Chłopak odwzajemnił jej się pięknym, ściskającym za serce uśmiechem - znów przypominającym ojca - i wrócił do przyjaciół, jednocześnie unosząc rękę na pożegnanie.

- Na rano, Neely. Zabieram cię siódma trzydzieści. Do widzenia, panno Haywood. To znaczy, Alex.

- No i czy to nie jest najcudowniejszy facet, jakiego w życiu widziałaś? - zapytała gwałtownie Neely, gdy goście już wyszli.

„Nie całkiem” brzmiała natychmiastowa odpowiedź Alex w myśli, co ją tylko zdenerwowało, bo wyjątkiem, o którym pomyślała, był naturalnie Joe.

- Wiesz, wydaje mi się, że chyba Eli tak jakby już ma dziewczynę - zauważyła głośno, nie udzielając odpowiedzi wprost.

- Mówisz o Heather? - Neely wyjęła z lodówki puszkę dietetycznej coli. - Nią się nie martwię, to dziewica! Nie sypia z nim.

- Neely... - Alex była przerażona. - Masz dopiero piętnaście lat, a Eli nie jest dużo starszy. Przecież tak naprawdę nic z nim nie robisz, co? Tak serio?

Dziewczyna roześmiała się, otwierając z psyknięciem puszkę.

- Jeśli powiesz mi prawdę o przystojnym tatusiu, ja powiem ci prawdę o Elim. Muszę iść zmyć to błoto. Zaraz wrócę.

Alex nie była pewna, jak Joe zapatruje się na uprawianie seksu przez swego syna, ale z całą pewnością nie chciała być w pobliżu, gdy ojciec nakryje Elięgo z Neely.

- Aha, tak przy okazji - głos siostry przyplął do Alex z łazienki - zastanawiam się, czy nie przekłuć sobie języka. Słyszałam, że można robić efekty specjalne przy obciąganiu, jeśli się ma taki metalowy kolczyk w języku.

Alex zadrżała w duchu. Potem, domyślając się - a może mając nadzieję? - że Neely ostatnie słowa dorzuciła tylko po to, by ją zaszokować, nie zareagowała.

Ignorować, powiedział Joe. Ignorować.

Do tego czasu zrobiło się już całkiem ciemno, a miękkie, purpurowe światło późnojesiennego zmierzchu znikło; w kontraście z mrokiem kuchnia promieniowała ciepłem, zalana jasnym blaskiem. Mruczący Kanibal leżał rozciągnięty na blacie (Alex bezskutecznie próbowała spędzić stamtąd kota, gdyż onieśmielał ją bardziej niż ona jego) i sceneria przypominała prawdziwy dom. Gdy Neely wróciła do kuchni, Alex odsunęła temat Elięgo i kolczyków w języku, pytając, co siostra zje na kolację.

- Możemy zrobić kanapki z tuńczykiem albo usmażyć omlet - zaproponowała.

- Twój omlet jest do kitu - podsumowała Neely krótko, przycupnąwszy na stołku barowym i opierając podbródek na rękę. Zdradziecko nagrodziła Hanibala za niesubordynację, głaszcząc jego futerko. - Może byśmy zamówiły pizzę?

- Dowożą tutaj pizzę? - Zdziwiona Alex spojrzała znad drzwi lodówki, której zawartość jeszcze raz lustrowała, i przez chwilę popatrzyła, marszcząc czoło, na zadowolonego z siebie kocura, najwyraźniej uśmiechającego się do niej bezczelnie, po czym przeniosła wzrok na siostrę. - Skąd wiesz?

- Eli mówił, że mają pizzę na kolację. Mówił, że jego tato chodzi ciągle wkurzony i nie chce mu się gotować.

A więc Joe jest wkurzony, tak? Ciekawa informacja!

- Dobrze, w takim razie niech będzie pizza.

Alex zamknęła lodówkę i znalazła książkę telefoniczną. Z niejakim trudem udało jej się odszukać właściwy numer i zamówiła jedzenie. Gdy odłożyła słuchawkę, Neely patrzyła na nią w zadumie, jedną ręką wspierając podbródek, drugą zaś gładząc futro Hanibala.

## Rozdział dwudziesty siódmy

O co chodzi? - spytała Alex, rozpoznając spojrzenie siostry sprzed lat.

- Alex, myślisz, że tata coś czuł? No wiesz, kiedy się zastrzelił? Myślisz, że to go bolało?



Alex wzdrgnęła się i poczuła, jak żołądek zaciska się jej z żalu.

- O Boże, Neely, nie mam pojęcia. Nie, chyba nie. Musiało to nastąpić bardzo szybko. Niemal w jednej chwili.

- Tej nocy, kiedy zginął, miałam taki dziwny sen.

- Jaki?

- Śniło im się, że tata dzwoni do mnie, do szkoły i mówi mi, że mnie kocha. Nie widziałam go, ale słyszałam jego głos przez telefon. To było takie rzeczywiste, Alex, że kiedy mnie obudzili i powiedzieli, że ojciec nie żyje, z początku nie chciałam uwierzyć. Mówiłam, że to niemożliwe, bo przecież przed chwilą rozmawiałam z nim przez telefon.

Alex wpatrywała się w siostrę, czując jednocześnie, jak lodowate igielki przebiegają jej po plecach.

- Mnie też się śniło, że ojciec do mnie zadzwonił - odezwała się powoli. - Wtedy, jak spałyśmy w domu Joego. Tylko że nie mogłam zrozumieć, co usiłuje mi powiedzieć.

Przez chwilę patrzyły na siebie.

- A chcesz wiedzieć, co jest naprawdę niezwykle? - zapytała Neely.

Alex nie była przekonana, czy chce wiedzieć. Żołądek zaciskał się jej coraz mocniej.

- No, co?

- Następnego nocy po jego śmierci, kiedy już wróciłam do domu, telefon w moim pokoju dzwonił przez całą noc. To znaczy, naprawdę, ja nie spałam. Podnosiłam słuchawkę i nikt się nie odzywał. Słyszałam tylko ciszę, w której dźwięczało echo. Powtórzyło się to chyba ze cztery czy pięć razy. W końcu zdjęłam słuchawkę z widełek, ale już do rana nie mogłam zasnąć.

- To pewnie jakiś telefoniczny zboczeniec - wybrnęła Alex. - Ktoś, kto wiedział o śmierci ojca.

- Albo może to on próbuje się z nami skontaktować, jak myślisz? - zapytała niepewnie Neely. - No wiesz, z zaświatów?

Alex czuła, że ma gęsią skórę.

- Nie, Neely, za dużo oglądasz filmów o duchach - odpowiedziała nieco szorstko, próbując otrząsnąć się z tej niepokojącej wizji. Sama też się nad tym zastanawiała, ale sny, które obie miały, to przypuszczalnie jakiś typowy objaw żalu, a nie ich własna wersja „Kontaktu”. Joe wspominał, że też miał sny...

Wyjaśniła to wszystko Neely, z całej siły starając się, by jej słowa brzmiały spokojnie i rozsądnie; opuściła tylko pewien fragment o Joem.

- Chodzi o to - odrzekła Neely, najwyraźniej nie do końca przekonana argumentami Alex - że gdyby tata naprawdę chciał do mnie zadzwonić zaraz po śmierci, to mógłby mieć dobry powód, to znaczy, ten, żeby mi powiedzieć, że mnie kocha. Kiedy żył, ani razu mi tego nie powiedział.

Alex poczuła ukłucie w sercu, widząc wyraz twarzy siostry. Oczywiście, w tym tkwi przyczyna złego zachowania Neely. Brak rodzicielskiej miłości.

- Ale on przecież cię kochał - powiedziała. - Tylko nie był dobry w okazywaniu uczuć.

- Tobie okazywał uczucie. - Głos Neely nabrął twardych tonów. - Nie było tajemnicą, że uważał cię za dar od Boga, zesłany na ten świat. Ciągle tylko Alex to, Alex tamto. Mnie nawet nie chciał mieć przy sobie.

- Neely... - Alex czuła się wstrząśnięta.

Słowa siostry były w stu procentach prawdą, a jednak przez te wszystkie lata miała nadzieję, że jakimś cudem Neely nic nie zauważyła.

- Och, nie bój się, nie mam do ciebie pretensji - rzuciła nastolatka nagle jakby znudzona i zsunęła się z barowego stołka. - Jesteś wspaniała, wszyscy to wiedzą. No, ale nie myśl, że chcę zmienić temat, ale jak uważasz, co powinnam włożyć jutro do szkoły? Nie wzięłam ze sobą dużo ciuchów; będziemy musiały poprosić Gorgone, żeby przysłała moje rzeczy.

- Neely, ty też jesteś wspaniałą dziewczyną - powiedziała Alex stanowczym tonem, ignorując oczywistą próbę ucieczki od tematu.

- Jasne. - Neely zbyła jej słowa machnięciem ręki, już w drodze do drzwi.

Patrząc w ślad za nią, Alex poczuła pieczenie pod powiekami. Kochała ojca, trudno jednak zaprzeczyć, że nie był troskliwym tatusiem, a kompletny brak zainteresowania młodszą córką naturalnie musiał głęboko zranić Neely. Alex również nie cieszyła się często fizyczną obecnością ojca, lecz gdy w końcu dorosła, zrozumiała, że tata ją kocha.

W pierwszym odruchu chciała pójść za siostrą i doprowadzić do końca tę rozmowę, ale знаła Neely: dla niej, jak na razie, ta kwestia była zamknięta. Odśloniła serce tylko tyle, ile była w stanie znieść.

W tym momencie rozległ się dzwonek u drzwi. Alex poszła otworzyć, zadowolona z odmiany; Hanibal deptał jej po piętach. Przywieźli pizzę. Zapłaciła i zaniósła ciepłe, pachnące pudło do małego saloniku, który był najbardziej przytulnym pomieszczeniem na parterze, a poza tym stał tu wielki telewizor. Oglądały program i jadły, a przynajmniej Neely jadła, a Alex skubała; temat ojca już więcej nie wypłynął.

Zasiedziały się do późna i Alex zdała sobie sprawę - choć żadna z nich nie powiedziała na ten temat ani słowa - że obie próbują odwlec chwilę udania się na górę. W końcu nie mogły już odkładać pójścia do łóżek. Skończyły się wiadomości o jedenastej i były już tak zmęczone, że aż ziewały.

- I co, wymyśliłaś, w co się jutro ubierzesz? - zagadnęła Alex, próbując lekkiej konwersacji, gdy szły po schodach na piętro. Neely niosła w ramionach Hanibala, najwyraźniej zamierzała spać razem z kotem. Alex zazdrościła jej. Przynajmniej siostra nie będzie musiała kłaść się samotnie do łóżka w tym starym, przerażającym domostwie.

Neely wzruszyła ramionami.

- Chyba w dzinsy. Do tego fioletowy podkoszulek, farbowany w sznurkach, i dzinsowa kurtka. Pomyślałam też, że może wyjmę diamentik z nosa i założę jeden z tych kolczyków z długim fioletowym piórkiem, tych, co noszę zwykle do fioletowej bluzki. Jak myślisz? Hit sezonu czy raczej szmira?

Alex prawie się wzdrygnęła na myśl, że siostra pójdzie do nowej szkoły publicznej w małym miasteczku z fioletowym piórkiem dyndającym z nosa.

- Szmira - odrzekła. Potem, gdy już dochodziły do korytarza na piętrze, ostrożnie spytała: - Denerwujesz się przed jutrzejszym dniem?

Neely zaprzeczyła.

- Znam już kilka osób i przyjaźnię się z najseksowniejszym chłopakiem w całej szkole, więc powinno być w porządku.

- Skąd wiesz, że Eli jest najseksowniejszy w szkole? - zapytała Alex, bez trudności odgadując, o kim mówiła dziewczyna.

Siostra wyszczerzyła zęby w złośliwym uśmiechu.

- Heather mi powiedziała, kiedy patrzyłyśmy, jak chłopcy jeżdżą terenówkami. No co: jest przecież gwiazdą szkolnej drużyny koszykówki i najfajniejszym facetem w szkole. Powiedziała mi też, że Eli to wyłącznie jej własność, więc powinnam trzymać swoje napalone rączki z dala od niego. Myślę, że Heather i ja będziemy najlepszymi nieprzyjaciółkami.

- Oj, Neely - westchnęła Alex na wpół rozbawiona i zrozpaczona. Wizja dwóch dziewcząt, podejmujących wojnę o Elięgo, opartą na uśmiechach i ciosach w plecy, była niemal zabawna. Biedny chłopak, czy on ma pojęcie, co go czeka?

- Dobranocka - pożegnała się Neely i weszła do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Alex usłyszała stuknięcie zasuwki i uświadomiła sobie, że siostra, choć tego nie okazywała, także boi się iść spać tej nocy.

O Boże, myślała Alex, zmierzając do swojego pokoju, gdybyż tylko znalazła się teraz w Filadelfii, we własnym, absolutnie niegroźnym miejskim domu z cegły, gdybyż mogła szykować się do wejścia do własnego, wygodnego łóżka! Ale przecież, przypomniawszy sobie, w Filadelfii też byłaby teraz sama: Paul, z którym mieszkała, przeniósł się gdzie indziej, Neely zaś spałaby już w szkolnym internacie. Może przyjaciele wpadliby z wizytą, może nawet zostaliby na noc czy na dwie, gdyby uznali, że Alex trzeba podtrzymać na duchu, lecz wszyscy mieli przecież własne życie i swoje problemy. Możliwe też, że przed domem czatowaliby już dziennikarze, a także i fotografowie, jeśli sprawdzi się to, co mówiła Andrea.

No i nie byłoby aroganckiego, irytującego, niemożliwie przystojnego faceta z domku u stóp wzgórza.

Ale przecież ma nie myśleć o Joem.

Gdy wyobrażała sobie powrót do Filadelfii, widziała taki dom, jaki miała sześć tygodni temu, zanim zginął ojciec. Zanim porzucił ją Paul, przypomniawszy sobie. Cichy, spokojny dom, który kupiła zaledwie w zeszłym roku, gdzie była szczęśliwa, jadła lunchy z przyjaciółmi, wywoływała swoje zdjęcia, a wieczory i noce spędzała z Paulem.

Tamten dom zniknął na zawsze, istniał już tylko w przeszłości. Kiedy Alex wróci do Filadelfii, dom będzie tam nadal, ale jej życie zmieni się kompletnie. Nie ma ojca, nie ma Paula. Nie ma też pieniędzy. Została tylko ona i będzie musiała zbudować sobie całkiem nowe życie z połamanych fragmentów poprzedniego.

A tymczasem jest tu, w Whistledown, na dobre czy na złe.

Z tą myślą weszła do sypialni i rozejrzała się lekko strwożona. Już sprawdziła to pomieszczenie po południu, czekając, aż Neely wróci do domu, pamiętała bowiem, że gdy ostatnio była w pokoju, zostawiła łóżko raczej rozgrzebane. Ku jej zdumieniu jednak ktoś je starannie zaścielił. Jedyny wniosek był taki, że Joe pamiętał o tym i zatarł ślady ich miłości, kiedy obie pojechały do Dixie Inn. Wcześniej, gdy weszła do pokoju w świetle dnia, myśli o Joem i o tym, co razem robili w jej łóżku, przyćmiły wszystko inne.

Teraz jednak było inaczej. Cisza panująca wokół była niemal złowroźna. Myśli, które za dnia wydawały się głupie, teraz, gdy niebo za oknem stało się czarne jak atrament, a gwiazdy mrugały przez uchylone zasłony, nie były już tak nieprawdopodobne. Po obu stronach łóżka znajdowały się wysokie okna, złożone z wielu szyb tak starych, że zniekształcały obraz, dlatego księżyc i gwiazdy wyglądały jak nieostre, rozmyte przez wodę, co czyniło je równie ponurymi jak sam dom. Alex szybko przeszła przez pokój i zaciągnęła zasłony, by nie widzieć nieba.

O Boże, jakże się bała! Przyznała to sama przed sobą, mając nadzieję, że gdy nazwie lęk po imieniu, ten łatwiej zniknie. Ale wciąż nie mogła pozbyć się wspomnień wczorajszego przebudzenia i czyjś oddechu. Dzięki Bogu za system alarmowy, pomyślała - i za tabletki nasenne...

Wyjęła jedną, popiła ją wodą z kranu w łazience, po czym wzięła prysznic i wymyła zęby. Wróciła do sypialni,

naciągając po drodze koszulę nocną; odrzuciła kołdrę, zobaczyła świeże prześcieradło i już miała wejść do łóżka.

Prawie żałowała, że nie ma przy sobie tego po trzykroć przekłętego kocura. Cóż, przynajmniej Neely nie jest sama.

Oczywiście, gdyby wolno jej było wybierać, wołałaby Joego.

I wtedy właśnie przypomniała sobie o walkie-talkie. Zostawiła je wraz z torbą z ubraniem na kuchennym blacie. Nie zachwycała jej myśl o spacerze na dół przez ciemny, opustoszały dom, lecz jeszcze mniej zachwycała myśl o tym, że w nocy znowu coś się wydarzy, a ona nie będzie w stanie wezwać pomocy.

Zrobiła głęboki wdech i ruszyła z powrotem na dół, włączając po drodze światła. Gdy dotarła do kuchni, niemal porwała torbę z blatu i pomknęła do sypialni, zostawiając za sobą włączone lampy. Zdawała sobie sprawę, że to śmieszne, ale dom wydawał się bezpieczniejszy, gdy był oświetlony. Bez palących się świateł ciemność jak gdyby oddychała...

Alex wzdygnęła się na tę myśl. Wpadła do sypialni, zamknęła za sobą drzwi i wtedy przypomniała sobie, że tej nocy pomiędzy nią a kimkolwiek, kto chciałby ją skrzywdzić, znajduje się włączony system alarmowy i drzwi zamknięte na zasuwę. Dom jest dobrze oświetlony. Jej pokój wypełniał ciepły, żółty blask dwóch małych, bliźniaczych mosiężnych lampek, umieszczonych po bokach łóżka.

W torbie pomiędzy włochatym kocem a jedwabną koszulą nocną (obie rzeczy były wyprane) znalazła walkie-talkie, schowane w jednym z jej (wyczyszczonych) butów. Wyjęła urządzenie i przyjrzała mu się uważnie. Było nieco większe od jej dłoni, zrobione z jaskrawożółtego plastiku, o zaokrąglonych rogach.

Gdy przekreśliła gałkę, w głośniczku zatrzeszczały nagle zakłócenia i zabrzmiał gniewny głos.

- Alex? - Joe odezwał się tak wyraźnie i tak niespodziewanie, że aż podskoczyła.

- Joe?

- Macie tam jakiś problem?

Alex gapiła się na przedmiot spoczywający w jej dłoni: wyglądał jak zabawka.

- N-nie... A czemu?

- Dom jest oświetlony jak jakaś cholerna choinka. Parę minut temu był prawie całkiem ciemny.

- A skąd wiesz?

- Widzę przez okno!

- Naprawdę? - Ta myśl jednocześnie niepokoiła Alex i dodawała jej pewności siebie.

- No pewnie. Więc jak tam?

- Poszłam po coś na dół i zapaliłam światła.

- Jesteś na dole?

- Nie, już wróciłam na górę. - Zbyt późno zdała sobie sprawę, że mogła skłamać. W końcu przecież jej nie widzi.

- Zostawiłaś włączone światła.

- Wiem.

- Aha... - Chwila przerwy. - Boisz się?

- Nie - skłamała, tym razem bez wahania.

Zachichotał do siebie. Alex wykrzywiła się do krótkofalówki.

- Pamiętałaś, żeby włączyć alarm?

Oczywiście, prawie wykrzyknęła na głos. Jakże by mogła zapomnieć o czymś takim! Ale zamiast tego odpowiedziała niedbale:

- Tak.

- Dobrze pozamykałaś wszystkie drzwi?

Znowu wypytywanie - też coś.

- Tak.

- No to jesteś bezpieczna jak złoto w Forcie Knox.

Ucieszyła się, że Joe tak sądzi. Szkoda tylko, że ona sama tak się nie czuje.

- A w ogóle, jak to coś działa? - zapytała, znów przekreślając gałkę.

- Bardzo prosto. Moje walkie-talkie jest włączone. Ty włączasz swój aparat i możesz do mnie mówić. Nic innego nie musisz robić. Jak będziesz mnie potrzebować, tylko zawołaj.

- A gdzie jesteś?

- W łóżku. Usiłuję zasnąć. Walkie-talkie mam na szafce obok. Żebym cię mógł usłyszeć w nocy.

Alex zaczęła się uśmiechać.

- To tak, jak podsłuch przy dzieciennym łóżeczku.

- O właśnie.

- A ja jestem dzieckiem.

- Ty to powiedziałaś, Księżniczko, nie ja. Masz zamiar zostawić te światła na całą noc?

- A czemu pytasz?

- Żebym wiedział następnym razem, jak wyjrzę przez okno, co robić. Jeśli dom będzie ciemny, idę sprawdzić. Jeśli oświetlony, nie idę. Albo na odwrót.

- Zostawię światła włączone. - Alex przyznała to niemal ze wstydem, ale Joe miał rację. Światła to świetny system sygnalizacji.

Znów zachichotał.

- Ty płacisz za prąd. No cóż, skoro już mnie nie potrzebujesz, idę spać. Dobranoc.

- Dobranoc - odpowiedziała Alex miękko.

Potem ustawiła aparat na szafce nocnej i wsunęła się wygodnie pomiędzy prześcieradło i kołdrę - nie wyłączając światła. Zorientowała się, że tabletki zaczyna działać, ponieważ zaczęła odczuwać senność. Wiedziała z doświadczenia, że za parę minut będzie już spać.

Zdała też sobie sprawę, że - jakie to wspaniałe! - już się nie boi. To, że mogła rozmawiać z Joem przez krótkofalówkę, było niemal tak dobre, jakby miała go tu, w pokoju.

Niemal, ale nie całkiem.

- Joe? - W zasadzie chciała tylko upewnić się, czy urządzenie działa.

- Hmm?

- Nic. Dobranoc.

- Dobranoc.

Było jej ciepło, czuła się zadziwiająco bezpieczna i trochę jak pijana. Powieki najpierw opadły, potem zamknęły się całkiem. Już zasypiała, gdy przypomniała sobie, że jest przecież na niego zła. Bardzo zła. Zła do stopnia „precz mi z oczu”.

Ale co tam. Może być od nowa zła, kiedy wstanie dzień. Na noc zawiesza się wszelkie antagonizmy.

### Rozdział dwudziesty ósmy

No to koniec, pomyślał Joe, rzucając się na brzuch, kładąc poduszkę na głowie i przyciskając rogi do uszu. Nie ma szans, żeby teraz zasnął.

Słyszał każdy najdrobniejszy odgłos, jakie wydawała przez sen.

Słyszał cichy oddech, szelest pościeli, gdy Alex się obracała, a przed paroma sekundami cichutki jęk.

Nigdy wcześniej nie wynaleziono takich tortur. I pomyśleć, że sam je sobie zgotował.

Ale kto mógł przypuszczać?

A najsmutniejsze było to, że czuł się rozpalony jak piec, twardy jak skała, rozochocony jak kot w marcu - a przecież nie musiało tak być. Tam, w kuchni, Alex wydawała się aż nazbyt chętna. Boże, jak cholernie dobrze mu wtedy było - zbyt dobrze. Jakby tak właśnie miało być, ona w jego ramionach. Dopasowani idealnie, jak na specjalne zamówienie.

To właśnie taka kobieta, jakiej szukał przez większą część swego życia: w salonie dama, w sypialni ładaczka.

Dokładnie ta myśl zaświtała mu w głowie, gdy Alex oplotła go w pasie swymi pięknymi nogami; dlatego się wycofał.

Spędzi trzy tygodnie, śpijąc z nią i już nie zdoła się z nią rozstać. Był tego równie pewien, jak tego, że rano wszędzie słońce.

Tyle że ona odejdzie. Ma swoje życie gdzie indziej, a jego życie toczy się tutaj.

Być może ona wyleczy się ze swojej choroby, ale on już nigdy nie doszedłby do siebie.

Alex wydała długie, głębokie westchnienie. Słyszał je tak dobrze, jakby leżała tuż obok. Reakcja była natychmiastowa i przysporzyła mu tylko cierpienia.

Jeżu, jakie to żałosne. Bardziej żałosne niż nastolatek w mękach pierwszej miłości. Bardziej żałosne niż Eli, godzinami rozmawiający przez telefon z tą małą Heather.

To koniec. Już przepadło. Jeśli będzie tak jeszcze dłużej leżał i słuchał, to zapomni o wszystkich rozsądnych radach, których sobie udzielił, pobiegnie na wzgórze, użyje swojego klucza, wyłączy ten przeklęty alarm i wejdzie do jej łóżka.

Alex powitałaby go z radością, o tym był przekonany.

Gdy wyobraził sobie owo powitanie, aż zazgrzytał zębami. Spuścił nogi na podłogę i wstał. Oczywiście teraz mógł przez odsłonięte okno widzieć jaskrawe światła na wzgórzu, czyli Whistledown.

Powiedziała, że się nie boi.

No jasne. Tak jak on nie jest napalony.

Był pewny niemal w stu procentach, że Alex jest w swoim domu równie bezpieczna, jak on we własnym. System alarmowy został tak zaprojektowany, że usuwał nawet te pozostałe ułamki wątpliwości.

Porwał dzinsy z krzesła, na którym je zostawił, wciągnął je i ruszył do kuchni. Nie zawracał sobie głowy zapalaniem światła; nalał mleka do szklanki i stał oparty o szafkę, pijąc je w ciemnościach. Podobno mleko pomaga zasnąć, tak słyszał.

Alex mówiła, że bierze tabletki nasenne.

Nic dziwnego, że usnęła natychmiast. Szkoda, że on tak nie umie.

Wypił ostatni łyk, odstawił szklankę na blat - i usłyszał typowy dźwięk: klucz wsuwany, do zamka tylnych drzwi.

Dźwięk był cichy i ostrożny. Stuknięcie przesuwanego bolca w zamku zabrzmiało nieco głośniejsze, ale tylko

trochę. Potem drzwi się otworzyły.

Joe oparł się o blat, złożył ręce na piersiach i czekał.

W przeciwieństwie do Alex nie obawiał się włamania. Tutaj tego typu przestępstwa po prostu się nie zdarzały. Dostyc dobrze potrafił sobie wyobrazić, kto ma zamiar zakraść się do kuchni w środku nocy.

Drzwi wejściowe zostały zamknięte z taką samą ostrożnością, jak wcześniej były otwierane. Szczękniętą zamek. Joe wyciągnął ramię na całą długość i włączył lampę.

W nagłej powodzi jasnego światła stał, mrugając oczami, Eli - jak jeleń na szosie pochwycony w snop reflektorów.

- Ach, dobry wieczór, synu - odezwał się przyjaźnie Joe, od razu zauważywszy, że chłopak jest kompletnie ubrany w dżinsy, tenisówki i wojskową kurtkę z zamkiem zasuniętym pod szyję. Tak nie wygląda ktoś, kto wychodzi na chwilę na werandę, by zaczerpnąć świeżego powietrza. Kiedy Joe widział syna ostatnio, ten miał na sobie podkoszulek oraz bokserki i wracał właśnie z łazienki do pokoju.

- Cześć, tato. - Jak można sądzić po pełnym skruchy uśmiechu, który towarzyszył tym słowom, Eli z całą pewnością miał nieczyste sumienie.

- Może mi wyjaśnisz, gdzie byłeś?

Chłopak wzruszył ramionami i zaczął rozpinąć kurtkę.

- Na zewnątrz.

- A wiesz co, że jakoś się tego domyśliłem. Gdzie na zewnątrz?

Ich oczy się spotkały.

- Po prostu na zewnątrz.

Jak na Eliego był to jawny opór. Joe wyprostował się, odsunął od blatu i podszedł do syna. Chłopak obserwował go czujnie. Rozpięta kurtka zwisała luźno z zaskakująco szerokich ramion i Joe uświadomił sobie z ukłuciem żalu, że za parę lat syn będzie tak wysoki i potężny, jak on sam teraz.

Zbliżywszy się, Joe wciągnął powietrze. Nie za bardzo ostentacyjnie, ale wystarczająco: wziął głęboki, długi wdech.

Eli zmrużył oczy, patrząc na ojca.

- Nie piłem, jeśli to chcesz wywachać - oświadczył. - Ani nie ćpałem.

- Bardzo słusznie - odparł Joe i rozluźnił się odrobinę.

Syn stał zaledwie o krok od niego, patrząc spod oka, nieco markotny. Joe prawie się do niego uśmiechnął: opanował się w ostatniej chwili. Tylko trzy rzeczy mogą wyciągnąć szesnastolatka z łóżka w środku nocy. Dwie pierwsze zostały właśnie wyeliminowane.

Poza tym słyszał samochód zawracający na podjeździe, więc również tożsamość współniczki Eliego była niemal oczywista.

- Ona wyszła, czy ty wszedłeś do środka? - zapytał uprzejmie Joe.

Eli aż otworzył szeroko oczy, patrząc na ojca.

- Kto?

- No już, dość tego, chłopcze - powiedział Joe, siadając na rogu kuchennego stołu i obrzucając Eliego kpiącym spojrzeniem. - Bardzo dobrze wiesz, kto. Neely Haywood.

I znów prawie się uśmiechnął, widząc minę syna. Na jego twarzy widniało bezbrzeżne zdumienie. Nie byłoby bardziej widoczne, nawet gdyby Eli głośno zapytał: „Skąd wiedziałeś?”

- Ona wyszła - wyznał opornie. Pod krytycznym spojrzeniem ojca zaczerwienił się aż po cebulki włosów i zaczął ściągać kurtkę, żeby mieć pretekst do odwrócenia oczu. - Tylko rozmawialiśmy - zastrzegł się jeszcze.

Joe chciał odpowiedzieć: „tak, jasne”, ale się powstrzymał.

- Neely mówi, że sypiasz z jej siostrą.

Aha! Najlepszą obroną jest atak. Joe z trudem zachował obojętny wyraz twarzy. Nie miał zamiaru omawiać swojego życia seksualnego z synem.

- A ty poza weekendami masz ciszę nocną od dziesiątej. - Ta reguła, obrona poprzez atak, działała w obie strony.

Eli się zmartwił: złamanie ciszy nocnej z zasady kończyło się szlabanem.

- Proszę cię, tato. Ja tylko poszedłem na wzgórze.

Joe patrzył na syna przez chwilę.

- No dobrze, idź do łóżka. I nie zakradaj się więcej do domu w środku nocy, zrozumiano? Następnym razem naprawdę będziesz miał szlaban!

- Jasne, w porządku. - Chłopak poczuł widoczną ulgę. Odwiesił kurtkę na wieszak i ruszył do drzwi. Nagle obejrzał się przez ramię na ojca, który odstawiał mleko do lodówki, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Aha, tato, co do panny Haywood, to odjazdowa laska. Powodzenia - rzucił zaczepnie, po czym zniknął na korytarzu, nim ojciec miał okazję coś odpowiedzieć.

Wracając do sypialni, Joe słał niepochlebne myśli pod adresem Neely. Wszedł do pokoju i spojrzął przez okno na Whistledown: wciąż zalane światłem. Czy ta mała, rozpuszczona czarownica pamiętała, żeby włączyć z powrotem alarm? Nie mógł tego sprawdzić. Mówienie Alex, że jej nieznośna siostra wykrada się w nocy z domu, jest

prawdopodobnie stratą czasu: widać wyraźnie, że Alex i tak nie ma nad nią żadnej kontroli, ale postanowił jej powiedzieć. Jeśli chodzi o Eliego, to już parę lat temu Joe odbył z nim rozmowę o bezpiecznym seksie. Pomijając tę kwestię i to, że syn złamał ciszę nocną, Joe nie martwił się zbytnio. W końcu chłopak będzie miał niedługo siedemnaście lat.

Zdjął dzinsy, opadł na łóżko i nadstawił ucha: Alex nie spała, chodziła po pokoju. Słyszał jej miękkie kroki, gdy stąpała po podłodze, potem usłyszał skrzypienie drzwi. Pewnie idzie do łazienki, pomyślał. Obrócił się na brzuch i nogami poprawił pościel, próbując ułożyć się wygodnie. Sekundę później usłyszał jej westchnienie i zorientował się, że wróciła do łóżka.

Dźwięk jej oddechu wypełniał cały pokój.

Joe prawie się do niej odezwał, zdał sobie jednak sprawę, że rozpoczęcie w tej chwili rozmowy nie byłoby najmądrzejszym posunięciem. Gdyby powiedziała coś w stylu: „zajrzyj do mnie czasami”, prawdopodobnie wzięłby ją za słowo.

Poza tym oddychała tak, jakby już głęboko zasnęła: całkowicie zmienił się rytm jej oddechu. Teraz był cichy i równy, jak wcześniej.

I taka sama była reakcja Joego.

No i proszę, znowu, pomyślał. Przewrócił się na plecy, cisnął poduszkę na podłogę, podłożył sobie ręce pod głowę i poirytowany wbił wzrok w sufit. Gdyby był tak rozsądny, jak to sobie lubił wyobrażać, to po prostu wyłączyłby ten cholerny odbiornik. Kłopot z głowy. Morfeuszu, przybywaj. Ale tego nie mógł uczynić. Bo przecież Alex mogłaby się obudzić przerażona. Bo mogłaby go przecież wzywać. Bo zaufała mu, że będzie nad nią czuwał. A on jej nie zawiedzie.

Pomyślał ponuro, że nie zawodzić innych to jedna z jego specjalności. Przez całe życie nie zawiódł wielu ludzi.

Żeby jeszcze dla niego wynikło z tego coś dobrego...

### Rozdział dwudziesty dziewiąty

Noc to czas drapieżców. Zgodnie z prawami natury tak zawsze było i tak będzie. Nad polami, zalanymi księżycowym blaskiem, polują sowy: wielkie, rozpięte skrzydła unoszą je w górę, a potem ptak spada bez ostrzeżenia w dół, by pochwycić nieostrożną mysz, która krząta się wokół swoich spraw. Kojoty przemierzają mroczne zagajniki nad brzegami strumienia, biegną truchtem wzdłuż potoku, aż napotkają cielę lub kozę albo niestrzeżonego jelonka, a wtedy przyśpieszają nagle z dzikim wyciem radości, by dopaść nieszczęsnej ofiary.

Zadumał się: drapieżnik, tak jak Bóg daje i jak Bóg odbiera. Drapieżnik decyduje, która istota będzie żyć, a która umrze. Drapieżca zaś wybierał spośród potencjalnych ofiar, wybierał jedną, aby zaspokoić swoje potrzeby, nie zapominał jednak o ostrożności. Nigdy nie wyszedłby mu na dobre wybór ofiary, mogącej mu zagrozić.

Porwanie Alexandry Haywood mogłoby mu zaszkodzić. Drapieżca powtarzał to sobie z całą mocą, stojąc w jej sypialni, podczas gdy jego spojrzenie prześlizgiwało się po uśpionej kobiecie. Była piękna, jasna i świeża, a dziś jeszcze zostawiła włączone światło, miał więc wspaniały widok na nią całą, od jasnych włosów po bezbronne, podwinięte małe paluszki u stóp.

Delikatnie, bardzo delikatnie odsunął przykrycie, by przyjrzeć się jej lepiej.

Leżała na brzuchu, z rękami pod poduszką, z twarzą zwróconą w stronę lampki nocnej. Jej włosy rozsypały się obok głowy platynową wstęgą, jaśniejącą na tle bladego błękitu prześcieradła. Jej ciało osłaniała nocna koszula w ładny, kwiatowy wzorek na białym tle; uszyta była z jakiegoś lśniącego, miękkiego materiału, który wyglądał jak jedwab. Koszula zawinęła się jej wokół ud. Jedna długa, smukła noga leżała zgięta w kolanie. Druga była całkiem wyprostowana.

Miała małe, lecz kształtne pośladki, jak się domyślał, jędrne w dotyku.

Ale nie przyszedł tu dzisiaj, by jej dotykać. Zachowywał się jak klient, który ogląda wystawy: patrzy, lecz nie kupuje. Nie dziś.

Wiedział, co jeszcze przed nim ukrywała i ta wiedza czyniła samo patrzenie bardziej podniecającym, chociaż także i trudniejszym. Gdy wczoraj patrzył, jak się dla niego rozbierała do naga, poczuł palący głód. Jej siostra jest urocza, ta tutaj jednak to soczysty owoc. Pragnął koniecznie pokosztować jej ciała.

Nie wolno, przypomniał sobie. Nie, nie wolno. Niedobry chłopiec!

Gdyby zabrał ją dzisiaj, już jutro by jej szukali, a akcja byłaby szeroko zakrojona, tak szeroko, że być może nawet zdołaliby odkryć jego schronienie.

Ale pragnął ją wziąć. Ledwo mógł się powstrzymać. Patrzenie jest dobre i przyjemne, lecz przecież w końcu nie wystarcza. Nie wtedy, gdy tak łatwo byłoby ją zabrać. Wystarczy tylko dotknąć jej paralizatorem i przenieść.

Należałaby do niego.

Gdyby zrobił to dzisiaj, miałby podwójną przyjemność: wzięłby Alexandrę, a Kasandrę puścił - z dymem.

Uśmiechnął się do siebie na ten mały żarcik. Gdy będzie już gotów pozbyć się Kasandry - a stanie się to wkrótce, już niedługo - to właśnie jej powie: „Wyjdź z klatki, kochanie. Zaraz cię puszcze”.

„Z dymem” dorzuci wtedy, gdy będzie już przykuta do ściany i gdy zacznie ją polewać naftą.

Tylko że Kasandra zrobiła się ostatnio nudna jak flaki z olejem i wąpiał, czy mogłaby pojąć ten żart.

Ciekawie będzie obserwować, jak Alexandra - ach!, już nazywa ją Alexandra, no proszę, jak bardzo ją lubi! - zareaguje na to, że poprzedniczka zmienia się we frytkę na jej oczach.

Westchnęła przez sen i rozchyliła usta. Jej powieki drżały, jakby śniła. Zastanawiał się, czy wie, że on tu jest, może podświadomie wyczuwa jego obecność?

Miał taką nadzieję.

Jego dłoń zawisała nad policzkiem kobiety. Pamiętał, jaka miękka była jej skóra wtedy, wcześniej. Chciał znów to poczuć.

Gdyby zabrał ją ze sobą, mógłby dotykać każdego skrawka jej skóry.

Może pogłodzić palcem jej policzek. W tej chwili. To będzie test. Ostatnio, gdy jej dotknął, obudziła się. Tym razem, jeśli Alexandra się ocknie, będzie to znak, że powinien ją wziąć.

Że jest jej przeznaczeniem.

Albo ona - jego fatum.

Ta myśl go zastanowiła; zmarszczył brwi i cofnął rękę, która zawisała już nad twarzą śpiącej.

Nie jest aż tak zachłanny, namiętności nie wymykają mu się aż tak spod kontroli, by miał je zaspokajać kosztem własnego bezpieczeństwa.

A może jednak?

Pokusa była niemal nie do odparcia, ale w końcu zmusił się, by na powrót okryć Alexandrę kołdrą i odejść.

Pogratulował sobie: jego wola okazała się silniejsza niż pożądanie.

Przynajmniej dzisiejszej nocy.

### Rozdział trzydziesty

Gdy Alex otworzyła oczy, zobaczyła Hanibala skulonego w nogach jej łóżka. Kot po prostu leżał zwinięty w kłębek i patrzył na nią okrągłymi jak u sowy oczami, w ogóle nie mrugając. Wyglądał tak, jakby siedział w ten sposób od wielu godzin - od wieków.

- Psik! - zawołała, usiłując zrzucić go z pościeli. Ani drgnął, ale w końcu mrugnął i podwinął ogon.

Była zbyt wyczerpana, aby z nim walczyć. Pomyślała, że widzi kota tak wyraźnie, ponieważ jej łóżko obejmuje plama światła. Oczywiście, przecież zostawiła włączoną lampkę i teraz jej blask wydawał się tak ostry, że raził oczy. Nic dziwnego, że obudziła się w środku nocy. Sięgnęła ręką, żeby wyłączyć światło i móc ponownie zasnąć...

Zadzwoił stojący obok budzik. Alex aż podskoczyła i złapała go, jednocześnie prawie strącając lampkę. Wyłączyła budzik i jęknęła. Była za piętnaście siódma, a ona czuła się tak, jakby spała tylko dwie godziny. Bolała ją głowa, a w ustach tak jej zaschło, jakby żuła watę. Nie marzyła o niczym innym, tylko żeby zwinąć się w kłębek i naciągnąć kołdrę na głowę.

Znowu śnił jej się ojciec. Wspomnienie snu napłynęło tak nagle; tym razem stała na środku jasnej, zalanej słońcem łąki, a on siedział z przeciwka. Uśmiechała się, szczęśliwa, że go widzi, ale wtedy ojciec zaczął biec ku niej, krzyczeć i machać rękami; zorientowała się, że usiłuje coś odstraszyć. Miała uczucie, że to coś, nie wiadomo co, tkwi za jej plecami, czai się w pobliżu, lecz była zbyt przerażona, by się odwrócić i popatrzeć...

- Alex? - Głos dobiegający z walkie-talkie był zdecydowanie gniewny. Znowu podskoczyła, gdy przerwał jej myśli właśnie w tej chwili.

- Dzień dobry, Joe - powiedziała, opanowując się. Nastął dzień, więc w jej głosie brzmiał lód.

- Twoja siostra spotkała się z moim synem około drugiej nad ranem. Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

- O Boże, skąd o tym wiesz?

- Byłem w kuchni, kiedy Eli wślizgnął się do domu.

- I co, spraeś mu tyłek na kwaśne jabłko? - Alex przypomniała sobie radę Joego co do Neely, zadała więc to pytanie kpiącym tonem.

- Powiedziałem mu, żeby więcej tego nie robił.

- Widzę że przestrzegasz dyscypliny, co? Tak tylko gadasz, żeby gadać, ale nie robisz tego, co zalecasz innym.

- Twojej siostrze trzeba parę rzeczy uzmysłowić. Mój syn tego nie potrzebuje.

- Twój syn też wyszedł w nocy!

- Nie mówię o ubiegłej nocy, wiesz o tym dobrze. A przy okazji, Neely powiedziała chłopakowi, że spaliśmy ze sobą. Coś ty wymyśliła, relacjonujesz jej takie sprawy ze szczegółami?

- Nie, oczywiście, że nie... wiesz co, nie podoba mi się twój ton.

- Och, chyba się zaraz rozpłaczę.

- Nie muszę tego wysłuchiwać - powiedziała rozgniewana i z wielką satysfakcją wyłączyła odbiornik.

Teraz już tak samo zła jak Joe wzięła prysznic, naciągnęła czarne, skórzane spodnie i biały podkoszulek z długim rękawem - chyba będzie trzeba poprosić Andreę, żeby posłała kogoś do domu i kazała spakować parę rzeczy, jeśli Alex ma tu zostać trzy tygodnie - po czym zeszła na dół; po drodze walnęła pięścią w drzwi pokoju Neely. Kanibal kroczył tuż za nią. Dopiero gdy Alex otworzyła lodówkę, żeby nalać miauczącemu zwierzakowi mleka, zastanowiła się, jak właściwie kocisko dostało się do jej sypialni.

Drzwi pozostały zamknięte na zasuwkę. Alex była pewna, że kota nie ma obok niej, kiedy szła spać. Neely

zaniósła go przecież do swojego pokoju. Wciąż wyraźnie widziała tę scenę w wyobraźni i wiedziała, że się nie myli.

Dziewczyna wychodziła na spotkanie z Elim, więc Hanibal mógł wtedy wydostać się z jej pokoju. Ale nie tłumaczy to jeszcze, jak dostał się do sypialni Alex.

- Czy wymknęłaś się w nocy, żeby zobaczyć się z Elim, kiedy ja poszłam spać? - zapytała siostrę bez ceregieli, gdy ta zeszła z góry, powłócząc nogami.

Tego ranka wygląd Neely, ubranej w strój, który wczoraj opisała, na szczęście bez fioletowego piórka, daleki był od określeń „pełna energii” czy też „świeża i wypoczęta”.

Alex nigdy by nie przypuszczała, że kiedykolwiek z zadowoleniem zobaczy kolczyk w nosie siostry.

- No i co z tego? A w ogóle, skąd wiesz? - Neely ziewnęła przeraźliwie i naląła sobie szklanekę soku pomarańczowego.

- Joe mi powiedział. Mówił też, że wygadałaś Eliemu, iż spałam z jego ojcem.

Neely wypila łyk soku i skrzywiła się, czując jego kwaśny smak.

- A to było ściśle tajne? Wybacz, nie wiedziałam.

- Do diabła, Neely... - Alex zazgrzytała zębami. - Nie masz prawa włączyć się gdzieś po nocy i nie masz prawa opowiadać ludziom o moim życiu seksualnym. Co do którego tylko snujesz domysły, tak przy okazji!

- Ach, no jasne, jakby to nie była prawda!

Alex spojrzała na siostrę ze złością, porzuciła jednak tę dyskusję, by zadać dręczące ją pytanie.

- Wiesz, w jaki sposób Hanibal dostał się w nocy do mojego pokoju?

Neely się zdziwiła.

- Skąd mam wiedzieć? W ogóle to myślałam, że spał u mnie w sypialni.

- Kiedy się obudziłam, siedział na moim łóżku.

- Naprawdę? Jak mu się to udało, ciekawa jestem? - Upiła kolejny łyk ze szklanki.

- Nie wiem, ale tak właśnie było.

- Ale czad: kot, który materializuje się i dematerializuje, kiedy chce.

Rozmowę przerwał stłumiony dźwięk klaksonu przed domem.

- O kurna - westchnęła Neely, połknęła resztę soku i odstawiła szklanekę. - To Eli. Muszę lecieć. A, przy okazji, postanowiłam zrezygnować z kolczyka w języku: Eli uważa, że najlepiej jest *au naturel*.

- O Jezu - mruknęła Alex, gdy siostra swobodnym krokiem wyszła z kuchni i po chwili wybiegła z domu, trzaskając frontowymi drzwiami.

Ta sympatia Neely do Eliego zdecydowanie nie jest dobra, zwłaszcza że Joe... krzywiąc się, Alex zaparzyła kawę w dzbanku i zadumała się nad tajemnicą znikającego kota. Hanibal, który nic nie mówił, obserwował ją i tylko mruczał.

Czy możliwe, że dostał się do jej pokoju, kiedy zeszła na dół po walkie-talkie? Ale tylko wtedy, jeśli już wcześniej wydostał się z pokoju Neely. Z kolei Joe mówił, że Neely i Eli spotkali się około drugiej. Po walkie-talkie schodziła dużo wcześniej.

Było to jednakże jakieś wytłumaczenie: miał wtedy okazję, żeby zakraść się do jej sypialni i schować pod łóżkiem. Gdyby Neely z jakiegoś powodu wypuściła go z pokoju.

Póki Hanibal nie nauczy się mówić, jest to zapewne najlepsze wyjaśnienie, powiedziała sobie Alex. Przecież ten kot nie umie chyba przenikać przez ściany.

Kolejne dni minęły szybko. Co chwilę pojawiali się goście, najczęściej znajomi ojca, którzy pocztą pantoflową dowiedzieli się, że Alex i Neely przyjechały do Whistledown, ale odwiedzali je również sąsiedzi, którzy po prostu chcieli się przywitać. Alex często wychodziła, jeździła po okolicy, zwiedzała Simpsonville i niedalekie większe miasteczko Shelbyville; szczęśliwa, odkrywała centra handlowe i możliwość zakupów w odległym zaledwie o pół godziny Louisville. Co dzień rozmawiała z Andrea o drobnostkach, takich jak wysłanie ubrań, i o sprawach bardziej osobistych, na przykład o małżeństwie Paula z Tarą Gould i reakcji przyjaciół oraz towarzystwa na ten nieoczekiwany ślub. Andrea na bieżąco też informowała ją o tym cyrku, jak go nazywała, który zrobił się wokół artykułów na temat „Domu Haywoodów”; przysyłała faksem kopie, Alex jednak z trudem mogła na nie patrzeć, a co dopiero zmusić się do czytania. Nagłówki były dramatyczne, zdjęcia sprawiały ból, teksty zaś w jej mniemaniu były niemal oszczercze, gdyż autorzy ukazywali ojca jako kogoś robiącego interesy w stylu „rycerza-rabusia”. Życiorysy i zdjęcia jej oraz Neely, a także wszystkich sześciu żon taty, czyniły z tych artykułów opowieści podobne do nieco niesmacznych oper mydlanych. Czy dziennikarze zdawali sobie sprawę, że piszą o żywych ludziach, obdarzonych prawdziwymi uczuciami? Alex wylewała żółć przed Andrea. Jej odpowiedź brzmiała: ich to nie interesuje, jeśli tylko temat jest dobry.

Sprawdziwszy raport toksykologa, dołączony do dokumentów z sekcji, prawniczka potwierdziła przekonanie Alex, że jej ojciec nie był pijany w chwili śmierci. Co do zapachu wódki - Alex zdała przyjaciółce relację z rozmowy z Joem - Andrea również nie wiedziała, co o tym myśleć.

- W dochodzeniu biorą udział najlepsi detektywi, więc nie wiem, jakim cudem taki fakt mógłby im umknąć. To znaczy, lokalna policja mogła to przeoczyć, ale przecież śledztwo prowadziły i policja stanowa, i FBI. - Nagle w



głosie Andrei zabrzmiało powątpiewanie. - Ten facet, który ci o tym mówił, to nie jest jakiś kanciarz?

To słowo tak dalece nie pasowało do Joego, że Alex musiała się uśmiechnąć.

- Nie, można nawet powiedzieć, że to ktoś godny zaufania. Jeśli mówi, że czuł silny zapach alkoholu, to tak było.

- Widzę, że jesteś tego bardzo pewna. Chcesz, żebym kazała go sprawdzić? Ciągle jeszcze zatrudniamy paru prywatnych detektywów. Kończą właśnie swój ostateczny raport. Mogłabym poprosić jednego z nich, żeby sprawdził twoje źródło informacji i może w ogóle poszperał trochę.

- Byłoby cudownie - powiedziała Alex z wdzięcznością.

- Alex... - Głos przyjaciółki zabrzmiał niepewnie. - Wiem, że z trudem ci przychodzi zaakceptować to, że twój ojciec... zrobił to, co zrobił, ale zdajesz sobie sprawę, iż jedyną inną możliwością jest stwierdzenie, że ktoś inny go zabił? Czyli. - morderstwo? Wydaje mi się, że ta teoria została już chyba ostatecznie wykluczona. Na jego prawej dłoni były ślady prochu z niedawno użytej broni, no i sam pistolet leżał obok.

- Wiem o tym wszystkim, Andrea, ale ten zapach alkoholu... to mnie męczy. Dlaczego wokół było czuć alkohol, skoro ojciec nie pił?

- A ty jesteś pewna, że ten facet się nie myli? No dobrze. Przekażę to detektywom. - Andrea umilkła na chwilę. - Poczekaj no, czy to nie ten sam gość, z którym rozmawiałaś, kiedy dzwoniłaś do mnie w poniedziałek? Joe Jakiśtam? Ten zarządca farmy?

- Tak, ten sam.

- Oho! Mark z nim rozmawiał. Podobno dość przebojowy facet.

Czyli widocznie Joe dał Markowi w kość.

- Tak, powiedziałałabym, że to całkiem niezłe określenie. Co zrobił Markowi?

- Szczerze mówiąc, groził, że pozwie spółkę, jeśli nie uszanujemy jego umowy. Mark przejrzał dokument i orzekł, że kontrakt jest ważny. Przekazał go Davidowi Rowe'owi i jego ekipie, żeby zdecydowali, czy spłacić gościa, czy też pozwolić mu pracować do końca umowy.

Alex wiedziała, że „ekipa” oznaczała około pięciu prawników, którzy zajmowali się sprzedażą majątku ojca.

- Jest problem ze spłaceniem go od razu: chodzi o to, że trzeba się jeszcze zastanowić nad tymi wszystkimi końmi - powiedziała. - Najwyraźniej to zajmie trochę czasu, zanim zwierzęta znajdą nowych właścicieli.

- Widzę, że ci na tym zależy. - W głos Andrei wkradła się nutka rozbawienia. - Facet musi być przystojny, co?

- Czemu tak mówisz? - Alex osłoniła się pytaniem.

- Znam cię, przyjaciółko: nie jesteś tak bardzo zmartwiona z powodu zdrady Paula jak powinnaś. Poza tym dużo bardziej troszczysz się o Whistledown niż o którąkolwiek z innych posiadłości, jakie sprzedawaliśmy. A więc, jaki z tego wszystkiego wniosek? Rozwiązanie jest tylko jedno: szalowy facet.

Alex musiała się roześmiać.

- No dobrze, jest przystojny.

- Dobry w łóżku? A może jeszcze nie wiesz? Nieee, zawsze działasz szybko.

- Andrea!

- No dalej, przyznaj się! Podaj mi wartość w skali od jeden do dziesięciu.

- Jedenaście. - Alex się roześmiała. - A więcej już nie musisz wiedzieć.

- Myślę, że przyjadę cię odwiedzić. - Głos Andrei przeszedł w gardłowy pomruk. - A może zrobię inaczej, może znajdę jakiś pilny powód, żeby osobiście odwiedzić farmę Whistledown, kiedy ty już wrócisz do domu.

Alex zaśmiała się, chociaż nie rozbawiła jej jakoś myśl o tym, że ona wraca do Filadelfii, a Andrea przylatuje tutaj, by uwodzić Joego.

Ale przecież to śmieszne. Ona sama nie ma do niego żadnych praw i przypomina sobie o tym codziennie. Zwłaszcza obecnie ich relacje zredukowały się do jej celowego i jednoznacznego chłodu oraz rzeczowej uprzejmości z jego strony, z wyjątkiem nocnych rozmów przez walkie-talkie. Alex z czasem uzależniła się od niskiego, głębokiego, śpiewnego głosu Joego, który przemawiał do niej, jakby nucił kołysankę. Oprócz snu po tabletkach nie spała dobrze i prawie zawsze śnił jej się ojciec. Potrafiła przetrwać noc tylko dzięki świadomości, że Joe jest przy drugim aparacie i nasłuchuje.

W zasadzie w ciągu dnia spotykali się dość często w sprawach Whistledown. Po telefonie do swego wydawcy Alex otrzymała zamówienie na zdjęcia do albumu o farmach końskich w hrabstwie; miała nadzieję, że wykona szybko tę pracę. Dużo czasu spędzała w stajniach i na polach, robiąc zdjęcia wszystkim, począwszy od Joego (co go irytowało), pomocników i stajennych, przez ćwiczących konie trenerów i dżokejów, weterynarzy i innych pracowników, codziennie przewijających się przez stajnie, aż do samych koni i farmy. Niezmiernie podniosła ją na duchu perspektywa zmiany wymuszonego pobytu tutaj w płatne zlecenie. W okolicy niemal w zasięgu głosu były jeszcze inne stadniny i jeszcze więcej farm w odległości mniej niż godziny jazdy samochodem; Alex także tam robiła zdjęcia. Miała ze sobą ulubiony aparat - po prostu dlatego, że rzadko kiedy jeździła gdzieś bez niego. Jedną z gościnnych sypialni przekształciła w prowizoryczne studio z łazienką przerobioną na ciemnię. Odkryła, że może już zająć się na poważnie pracą.

Inez przychodziła dwa razy w tygodniu sprzątać dom, tak samo jak wtedy, gdy Whistledown stało puste. Alex i Neely (ta druga niechętnie) zamiatały podłogi, odkurzały i w miarę potrzeby robiły pranie. Alex kupiła nawet

książkę kucharską, żeby doskonalić swe umiejętności, a jednocześnie przygotowywać dla nich obu zdrowe, domowe obiady, które jednak nie idą w biodra - z tak dobrym rezultatem, że obie z Neely w końcu codziennie jadły pizzę na kolację. Dziewczyna błagała, by siostra pozwoliła jej zejść ze wzgórza (tak określała wyprawy do Welchów, które odbywała z pięć razy dziennie; Joe, ku zdumieniu Alex, wyraźnie nie miał nic przeciwko temu, a przynajmniej ona nic takiego nie słyszała) na kolację, Alex jednak zawsze kategorycznie odmawiała. Neely zawodziła, że Joe świetnie gotuje.

- Bądź twarda - brzmiała okrutna odpowiedź siostry. Haywoodowie nie będą nic zawdzięczać Welchom, prócz tego, co konieczne.

Pewnego wieczora, mniej więcej tydzień po ich przeprowadzce do Whistledown, w chwili gdy Alex kontemplowała dwa podejrzanie różowe filety z kurczaka, które właśnie wyjęła z piekarnika po, jak sądziła, wystarczającym czasie, zadzwonił telefon. Wciąż wykrzywiając się do mięsa, podniosła słuchawkę.

- Alex? - To był Joe.

Ostatnio widziała go w stajni około dwóch godzin temu. Pokazywał kilka koni potencjalnym nabywcom. Miał dość ponurą minę i Alex, ku jego oczywistemu, choć ukrywanemu niezadowoleniu fotografująca tę scenę (kto w końcu jest tu właścicielem? - takie posłała mu spojrzenie), sama poczuła ukłucie żalu na myśl o tym, że musi rozstać się ze zwierzętami, które zaczynała już poznawać i doceniać, każde z osobna.

Nie było innej rady i nawet Joe musiał to przyznać. Nie ma pieniędzy, więc konie muszą zostać sprzedane. Robił, co mógł w tej trudnej sytuacji, ale było jasne, że mu się to nie podoba.

- Tak? - odpowiedziała, specjalnie oziębło.

- Zaraz przyjedzie twoja pizza - poinformował ją oschłym tonem.

Zmarszczyła brwi.

- Skąd wiesz?

- Stąd, że chłopak, który ją wiezie, to przyjaciel Eliego i zatrzymał się po drodze, żeby oddać zeszyt do algebry, który pożyczał. Mówi mi, że przez cały tydzień codziennie zawozi wam pizzę.

- Wielki Boże, czy tu w ogóle nie można mieć żadnej prywatności? - Alex była oburzona.

- Nie bardzo. Ostrzegalem cię. Słuchaj, czy nie znudziła ci się jeszcze pizza?

Alex się najeżyła.

- Lubimy pizzę - odparła zadziornie. Potem jednak coś przyszło jej do głowy. - Chwileczkę, przecież jeszcze jej nie zamówiłam dzisiaj. Szykuję na kolację filety z kurczaka z ryżem. - Jej wyniosły ton nie odzwierciedlał żalostnego stanu kurzych piersi, które leżały sflaczałe na piecyku, czekając chyba na reanimację.

- Tak, słyszałem o twoich przygodach z gotowaniem. Posłuchaj, zrobiłem pieczeń z ziemniakami i marchewką. Za chwilę wyjmę mięso z piekarnika. Może wpadłybyście do nas na kolację?

Jego słowa wywołały w głowie Alex obraz, od którego żołądek ścisnął jej się boleśnie. Czy to głód? - zastanawiała się zdziwiona. Ostatnio tak mało jadła, że normą stało się dla niej niejedzenie. A to, być może, pomyślała teraz, nie jest najlepszy objaw.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach.

- Ja otworzę! - zawołała Neely z saloniku na dole, gdzie prawdopodobnie odrabiała lekcje przy telewizorze.

- Już zgaduję, że to twoja pizza. - Głos Joego stał się jeszcze bardziej oschły. - Alex, przyjdźcie na kolację, proszę. Możesz to uważać za spotkanie w interesach, jeśli chcesz. Mam parę ofert co do kilku koni i tak czy inaczej chciałbym to z tobą omówić.

- Naprawdę?

Neely weszła z pudełkiem z pizzą; ubrana była nadal w te same dzinsy-dzwony i obcisłą pomarańczową bluzeczkę, które nosiła w szkole. Wykrzywiła się do siostry, stawiając jedzenie na środku blatu.

- Nigdy nie myślałam, że to powiem, ale naprawdę mdli mnie na widok pizzy - oświadczyła.

- Ty ją zamówiłaś - odcięła się Alex, nie próbując nawet zasłaniać mikrofonu w słuchawce. - Ja myślałam, że będziemy jeść kurczaka i ryż.

- Taa, widziałam twojego kurczaka i ryż. Wtedy właśnie zamówiłam pizzę.

Alex odniosła wrażenie, że po drugiej stronie kabla słyszy stłumiony chichot.

### Rozdział trzydziesty pierwszy

Czy ty się ze mnie śmiejesz? - odezwała się surowym tonem.

- Nie, proszę pani. W żadnym razie.

- Czy to Joe? - Neely uniosła pokrywkę pudełka z pizzą. Ku nozdrzom Alex popłynął zapach sosu pomidorowego z czosnkiem. Otrząsnęła się ze wstrętem.

- Alex, przyjdźcie na kolację. - Joe częściowo prosił, częściowo rozkazywał.

Alex zmiękła. Na samą myśl o zjedzeniu kolejnej pizzy jej filet z kurczaka nabrał atrakcyjności przez samo porównanie. A to już jest bardzo smutne, biorąc pod uwagę stan biednych kotletów.

No i nęciła ją perspektywa zobaczenia Joego...

- Dziękujemy, ale nie skorzystamy - powiedziała z godnością. Mogą jeszcze zrobić sobie kanapki z tuńczykiem.

- Czego chce? - zapytała Neely; patrząc na oblane stopionym serem ciasto, stroiła miny i udawała, że zaraz się udławi.

- Alex, nie wygłupiaj się - perswadował Joe. Jego głos był jednocześnie oschły i czuły.

Ta czułość ją przekonała.

- Chce, żebyśmy przyszły do nich na kolację - wyjaśniła siostrze.

- Super! - Neely wyrzuciła pięść w powietrze w zwycięskim geście.

- Słyszałem - odezwał się Joe.

- No dobrze - poddała się Alex, w sumie bez żalu. - Będziemy u was za parę minut. Dziękuję za zaproszenie.

- Bardzo proszę - odpowiedział i rozłączył się.

- Dzięki Bogu! - Neely z rozmachem zamknęła pudło z pizzą, zmarszczyła nos, jakby trzymała worek cuchnących śmieci i zanosła pudło na drugą stronę kuchni, do pojemnika na odpadki. - Nigdy więcej pizzy!

- Neely. - Alex rzuciła siostrze błagalne spojrzenie. - Kiedy będziemy u nich, proszę, bardzo cię proszę, zachowuj się przyzwoicie.

Dziewczyna uśmiechnęła się szeroko.

- Och, nie martw się, nie jestem głupia. Będę idealnie grzeczna, jak aniołek - kiedy w pobliżu znajduje się przystojny tatuś. Eli mówi, że on potrafi być czasem ostry, a ja nie chcę, żeby Eli dostał szlaban albo coś w tym stylu. Co bym wtedy robiła?

Jeśli chodzi o zapewnienia, to Alex słyszała już w życiu lepsze, ale w wypadku Neely pomyślała, że lepiej brać, co dają.

Pięć minut później mercedes zatrzymał się przed domem Joego. Było dopiero kilka minut po szóstej, lecz zapadł już mrok. Siostry wysiadły, podnosząc kołnierze kurtek i chroniąc głowy przed zimną mżawką, która padała nieprzerwanie od rana. Na pukanie Alex drzwi otworzył Josh, ubrany w workowate dzinsy i flanelową koszulę narzuconą na biały podkoszulek.

- Eli wybiera się później do Heather - rzucił złośliwie do Neely, gdy już byli w środku. Alex usłyszała to i poczuła lekki niepokój, czekając, co odpowie jej siostra.

- Czy to ma mnie zmartwić? - odparła Neely, przechodząc wraz z nimi z mrocznego korytarza do jasnej, zapraszającej ciepłem kuchni.

- Eli, jak myślisz? - pytała pełna wątpliwości Jenny, obracając się wokół siebie przed bratem: miała na sobie niezbyt twarzową niebieską sukienkę z białym, koronkowym, okrągłym kołnierzykiem.

Ubrany w dzinsy i biały, sportowy sweter z wyszytym na przedzie napisem „Rockets” Eli przekładał właśnie sałatkę do szklanej miski stojącej na blacie. Obrzucił siostrę pobieżnym spojrzeniem.

- Dla mnie wygląda przyzwoicie.

- Nie chcę wyglądać przyzwoicie! - zawołała Jenny, bliska płaczu. - Chcę wyglądać super! Tato, ta sukienka jest niedobra!

- Mówiłem ci przecież, że wyglądasz w niej jak Sierotka Marysia - powiedział Josh, kierując się w stronę lodówki. Dolna warga Jenny zaczęła drżeć.

Alex musiała przyznać, że przy swej chłopięcej fryzurce i drobnej figurce Jenny w tej za dużej, zbyt oficjalnej sukience rzeczywiście wyglądała... „sierotkowato”.

- Przymknij się, Josh! - warknął Joe.

Mieszał coś w rondelku na kuchence, słuchając rozmowy przez ramię. Posłał przybyłym szybki, powitalny uśmiech, po czym poświęcił całą uwagę córce.

Ten uśmiech rozgrzał Alex całą, od stóp do głów, jej chłód stopniał nagle. Trudno w końcu być zimną w stosunku do faceta, który zaprasza cię na kolację.

- Jeśli ci się nie podoba, możemy ją oddać. Nie warto się mazać i złościć - tłumaczył łagodnie.

Miał na sobie dzinsy i bardzo stary szary podkoszulek. Był bardzo wysoki, bardzo przystojny i bardzo pasował do tej kuchni, gdy tak mieszał łyżką to coś, co właśnie przyrządzał.

- To nic nie da! Ty nigdy nie umiesz wybrać dobrych ubrań! Tatusiu, ty się w ogóle nie znasz na strojach dla dziewczynek! - W głosie małej brzmiała niemal rozpacz. Jenny stała na środku kuchni z dłońmi zaciśniętymi w pięści przy bokach i z nieszczęśliwą miną. - A ja muszę mieć sukienkę na jutro wieczór!

- Jezu Chryste, Jen, przecież będziesz tylko stała pośrodku wielkiej grupy dzieci i śpiewała. - Eli przyniósł miskę z sałatką do stołu. - Nikt nawet nie zauważy, co masz na sobie.

- A właśnie, że zauważy! Mają nam robić zdjęcia! Wszystkie dziewczyny będą wyglądać super, tylko ja nie!

- Cukiereczku, ty zawsze wyglądasz prześlicznie - wtrącił Cary.

Stał obok kuchenki mikrofalowej, ubrany w wymięte spodnie khaki i niebieską, drelichową koszulę. Gdy to mówił, mikrofalówka zapiszczała. Otworzył drzwiczki, wyciągnął tacę z bułeczkami i ruszył do stołu.

- Och, dziadku! - Jenny rzuciła mu poirytowane spojrzenie.

- No dobrze, zapytamy eksperta - powiedział Joe. Zdjął z palnika rondelki i zręcznie przelał jego zawartość - Alex zobaczyła, że był to brązowy sos - do sosjerki. - Alex, co myślisz o sukience Jenny? - Podszedł do stołu z dymiącym półmiskiem ziemniaków.

Alex się zawahała.

- A jaka to okazja? - zwróciła się wprost do dziewczynki, żeby zyskać na czasie.

- Nasz chór będzie śpiewał na zlocie kibiców, jutro wieczorem - wyjaśniła Jenny, patrząc prosząco na Neely. - Muszę włożyć niebieską sukienkę, wszystkie mamy być tak ubrane, ale w tej wyglądam jak kretynka. Na pewno głupio wyglądam!

- Chyba masz rację - potwierdziła Neely, zanim Alex zdołała w jakiś taktowny sposób powiedzieć małej, że akurat w tej sukience nie bardzo jej do twarzy. Nastolatka przyglądała się Jenny krytycznym wzrokiem od samego początku rozmowy. - Rzeczywiście jest fatalna. Mogłabyś wyglądać znacznie lepiej.

Alex posłała siostrze zabójcze spojrzenie, a Jenny zwróciła się do ojca:

- A widzisz?

- Lepiej powiedzieć szczerze - broniła się Neely, widząc minę Alex. - Bo pójdzie tak ubrana na tę imprezę i będzie wyglądać jak kretynka.

- Alex? - zwrócił się do niej błagalnym tonem Joe, Alex jednak, mając na uwadze ostrzeżenie Neely i utkwiony w sobie proszący wzrok Jenny, poczuła się zobowiązana do powiedzenia prawdy.

- Mogłoby być lepiej, Joe.

„Zdrajczyń!” - wołało jego spojrzenie.

- Tato, mówiłam ci! - wykrztusiła Jenny niemal oskarżycielskim tonem. - Nie umiesz wybrać ubrania dla dziewczynki! Muszę mieć inną sukienkę!

- Jutro ją oddamy - poddał się zgnębiony Joe. - Wybierzesz sobie taką, jaka ci się spodoba.

- Ale ja nie wiem, co jest teraz szalowe! - Jenny już prawie płakała. - To ty powinieneś wiedzieć. Ale ty nie wiesz, bo jesteś mężczyzną!

- A może Neely i ja weźmiemy cię jutro na zakupy, co Jenny? - wtrąciła się Alex, nim Joe zdążył zareagować. - I tak muszę sobie kupić parę rzeczy. Będzie świetna zabawa z wybraniem sukienki dla ciebie. A już moja siostra dobrze wie, co jest szalowe, wierz mi.

Joe popatrzył z lekkim przerażeniem na Neely i Alex musiała się uśmiechnąć.

- To by było super! - zawołała Jenny, spoglądając na dziewczynę i nagle dodała, prawie zawstydzona, zerkając na Alex: - To znaczy, jeśli to nie jest zbyt wielki kłopot.

Alex zdała sobie sprawę z tego, że Jenny uwielbia Neely; podejrzewała, że w oczach Jenny młodsza panna Haywood stanowi uosobienie tego, co modne i czadowe.

- Będzie fajnie - potwierdziła Neely i miała się rozpromienić. Alex uśmiechnęła się do nich obu, a Joe wyraźnie poczuł ulgę.

- Dziękuję wam, moje panie - zwrócił się do sióstr. - Zapobiegłyście kryzysowi. Jen, biegnij się przebrać i jedźmy już.

Usiedli do stołu, gdy dziewczynka wróciła. To ona dziś miała odmówić modlitwę i zrobiła to bardzo ładnie. Przekazywano sobie nawzajem półmiski w rodzinnej atmosferze i Alex odkryła ze zdziwieniem, że je niemal łączywie. Siedziała po prawej ręce Joego, mając Neely naprzeciwko i Josha obok siebie, i czuła się zupełnie nieskrępowana. Tego wieczora rozmawiała z Joem jak ze starym przyjacielem, którego znała całe życie - a przecież była pewna różnica. Ich oczy się spotykały, Joe uśmiechał się do niej, gdy podawał jej potrawy, ich ręce spotykały się, gdy podawał jej półmiski, a ona każdy uśmiech, każde spojrzenie, każdy dotyk odbierała jak wyładowanie elektryczne. Patrząc na niego, na jego śniadą, przystojną twarz, na oczy koloru morza i krzywy uśmiech, zadawała sobie pytanie: co takiego jest w tym mężczyźnie?

Rozmowa dotyczyła różnych spraw, od ofert kupna koni, które dostał Joe (po pół miliona za dwie kłaczki, żrebne ze Sztormowym Kotem), przez ćwiczenie, które Jenny przygotowywała na biologię (uczyła myszy pokonywać labirynt) i niesprawiedliwego nauczyciela algebry (Eli i Neely, choć nie byli w tej samej klasie, mieli tego samego nauczyciela i oboje kiepsko wypadli na sprawdzianie poprzedniego dnia), aż po szansę Josha na pójście na zbliżający się szkolny bal (tylko dla najmłodszych klas, tuż przed Bożym Narodzeniem, dziewczęta zapraszają chłopców), które on sam ponuro oceniał jako niewielkie.

- Gdybyś chociaż zaczął odzywać się do dziewczyn z klasy, jedna z nich na pewno by cię zaprosiła - doradzał Eli między kolejnymi kęsami. - Dziewczyny nie zaproszą kogoś, kto z nimi w ogóle nie rozmawia.

- Nie rozmawiasz z dziewczynami, Josh? - zaciekawiała się Jenny. - Dlaczego?

- On się wstydzi - wyjaśnił Eli.

Chłopiec zaczerwienił się po same uszy.

- Nie gadam z nimi, bo dziewczyny są głupie - oświadczył, wbijając wściekły wzrok w brata. - A zwłaszcza te z piątej klasy.

- Dziewczyny nie są głupie! - odparły jednocześnie Jenny i Neely, po czym szybko wymieniły spojrzenia aprobaty i porozumienia. Jenny dodała zjeżona: - A już na pewno nie z piątej klasy.

- Ach, tak?

- No już, dzieciaki - interweniował Joe. - Wystarczy, Josh. Dziadek mówił, że pomagałeś mu dzisiaj przy Tańcu Zwycięstwa. I co o nim myślisz?

- Jest naprawdę szybki - odpowiedział Josh z entuzjazmem, jakiego Alex jeszcze u niego nie widziała. - Tylko dosyć wychudzony. Dziadek mówi, że niektóre z najszybszych koni wyścigowych takie właśnie są.

- Zrobimy z tego chłopaka prawdziwego koniarza - odezwał się Cary do syna ze swego miejsca u szczytu stołu. - Ma wyczucie.

Josh prawie się nie uśmiechnął, ale jego twarz promieniała dumą.

- A przy okazji, Joe, jedzenie jest wyśmienite - wtrąciła Alex. - Jestem pod wrażeniem.

W jego oczach rozbłysły iskierki.

- Słyszałem, że próbowałaś gotować.

- „Próbowałam” to właściwe określenie. Wiesz, jaki jest tytuł książki kucharskiej, którą kupiła? „Gotowanie dla opornych”. Można powiedzieć, że to mniej więcej podsumowuje wszystko - włączyła się Neely z chichotem, prowokując zabójcze spojrzenie siostry i wybuch śmiechu wokół stołu.

- Pójdiesz jutro na zlot kibiców, dziadku? - zapytała Jenny.

- No jasne, Cukiereczku - odpowiedział radośnie Cary. - Myślisz, że przegapiłbym twój występ w chórze? Nigdy w życiu.

- No jasne, dziadek nawet już się umówił na randkę - ogłosił Josh i zaśmiał się z kpiną. - Z panią Shelley.

- Z panią Shelley? - powtórzyła Neely ze zgrozą.

Eli skinął markotnie głową.

- Oj, tak. Z panią doradcą zawodowym z naszej szkoły. Wyobrażasz to sobie?

- Co za pech! - powiedziała ze współczuciem Neely. Eli i Josh jednocześnie pokiwali głowami.

- Jeśli coś przeskrobia, pani Shelley wszystko mi mówi - wyjaśnił Cary Alex, uśmiechając się szeroko. - Dzięki temu zachowują się porządnie.

- Nie rozumiem, czemu nie możesz umawiać się z jakąś inną kobietą, dziadku - narzekał Josh. Popatrzył na Neely. - Ona nawet mówi mu, jakie mamy stopnie, jeszcze zanim my się o tym dowiemy. A dziadek powtarza ojcu wszystko, i z głowy.

- Tylko jeśli macie złe stopnie - zauważył słodko Joe. - Spróbuj mieć same szóstki, to poczujesz różnicę.

Po skończonym posiłku Joe uparł się, że odwiezie je mercedesem do domu.

- I tak muszę jeszcze zajrzeć do koni, więc wrócę sobie piechotą - tłumaczył, wprowadzając je do rezydencji.

- Pada deszcz - protestowała Alex, podczas gdy Neely, mamrocząc „dzięki za kolację” do Joego, szła już w stronę saloniku. Sekundę później Alex usłyszała telewizor.

- Słonko, nie rozpuszczę się.

Stali pod lśniącym żyrandolem w holu wejściowym i krople deszczu na czarnych włosach Joego migotały jak diamenty. Zielona, wojskowa kurtka jeszcze bardziej poszerzała jego ramiona; był tak wysoki, że Alex musiała odchylić głowę w tył, żeby popatrzeć mu w oczy, które także błyszczały na tle śniadej skóry; ich ciepłe spojrzenie pieściło jej twarz.

Opuściła wzrok i zatrzymała spojrzenie na jego ustach - pięknych i delikatnych.

Uniósł jej dłoń, przez chwilę trzymał ją w swojej, po czym uśmiechnął się krzywym uśmiechem, od którego Alex serce zamarło w piersiach, i uniósł jej rękę do ust.

Wargi Joego były ciepłe i odrobinę wilgotne. Alex czuła ciepło jego oddechu na skórze. Wciąż na nią patrząc, odwrócił jej dłoń i pocałował wewnętrzną stronę. Dreszcz pragnienia przemknął po skórze Alex jak ładunki elektryczne.

Rozchyliła usta i wciągnęła głęboko powietrze.

- Dziękuję - powiedział - za to, że zaproponowałaś zakupy Jenny.

Alex pochyliła się ku niemu. Pragnęła poczuć na ustach dotknięcie tych pięknych warg, pragnęła tak bardzo...

- Alex - zawołała z saloniku Neely. - Myślisz, że udałoby się nam wytrzasnąć skądś śpiwór? Jutro po imprezie mamy wszyscy spać w szkole.

Joe puścił jej dłoń i cofnął się o krok.

- Dobranoc - powiedział, odwrócił się i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Alex patrzyła przed siebie, póki Neely, wołając ją ponownie, nie przerwała działania czaru.

## Rozdział trzydziesty drugi

Tato, czy ostatnio przeskrobałeś coś takiego, o czym powinienem wiedzieć?

Była mniej więcej dziesiąta następnego ranka. Joe właśnie skończył rozmawiać przez telefon z Tommym: szeryf prosił, by przyjaciel zajrzał do niego jak najszybciej. Nie chciał rozwodzić się nad sprawą przez telefon, ale mówił urzędowym tonem i Joe poczuł się zaniepokojony. Znał Tommy'ego wystarczająco długo, żeby wiedzieć, kiedy coś jest nie tak.

Umówili się kwadrans przed jedenastą. Poza dziećmi ojciec był jedyną osobą, o której, jak przypuszczał Joe, Tommy mógłby chcieć z nim porozmawiać; a ponieważ dzieci znajdowały się w szkole i Joe nie mógł ich przepytwać, ruszył na poszukiwanie Cary'ego.

- Joe, synu, ten skurczybyk zrobił właśnie tysiąc dwieście metrów w minutę dziesięć!

Gdy Joe pojawił się za plecami ojca, ten właśnie, ze stoperem w ręce, opierał się o otwartą bramę toru treningowego za stajnię. Joe nie miał większej trudności z rozszyfrowaniem, o kim Cary mówi z takim podnieceniem, widząc, jak Taniec Zwycięstwa galopem mija bramę, niosąc na grzbiecie Lona Macleoda, dawnego dżokeja, częściowo już na emeryturze, który trenował konie w Whistledown.

- Posłuchaj no, tato, Tommy prosił, żebym zajął do jego biura i... - Joe nie skończył. Ojciec odwrócił się i chwycił go za ramię.

- Joey, Joey, ty mnie w ogóle nie słuchasz. To on! To ten koń! To nasza szansa na sukces!

Joe westchnął, obrzucając nieuważnym spojrzeniem wielkiego, chudego kasztana, który ponownie mijał bramę, tym razem klusem; uniósł jednak dłoń, pozdrawiając jeźdźca.

- Tato, mam teraz poważniejsze zmartwienia niż ten bezwartościowy kawał koniny, chociaż dałem za niego za twoją namową trzydzieści tysięcy. Dzwonił właśnie Tommy i prosił, żebym jak najszybciej przyszedł do jego biura. Powiedział, że musi ze mną o czymś porozmawiać. Teraz powiedz mi prawdę: czy przypadkiem nie miałeś jakiegoś wypadku samochodowego, o którym nie wiem, albo podobnych wyskoków?

Cary spojrzał na syna z wyrzutem.

- Nie, do diabła, nie! Dlaczego od razu myślisz, że każde złe wieści muszą dotyczyć mnie? Masz jeszcze trójkę dzieci...

- O nich też myślałem, ale są w szkole, więc pytam ciebie.

- Nigdy nie przyjdzie ci do głowy, że może chodzić o ciebie samego? Nie, skądże znowu. Obyśmy wszyscy byli tacy doskonali!

- Tato...

- Słuchaj, Joe, w tej chwili guzik mnie obchodzi Tommy. Ten koń ma wszystko, co trzeba, żeby móc ścigać się z najlepszymi. On fruwa! On po prostu fruwa!

- Przysięgasz, że nic nie zbroiłeś?

- Joe, ty mnie wcale nie słuchasz!

- Do diabła, ty też mnie nie słuchasz!

Patrzyli na siebie ze złością, twarzą w twarz, aż w końcu w oczach Cary'ego zaślnęły łzy i nagle odwrócił głowę.

- Jeśli ty nie jesteś żywym obrazem mamy, kiedy się tak wściekasz, to nigdy jej nie widziałem. Luiza była cierpliwa, ale jak już straciła cierpliwość, to ho-ho!

- Ach, tato... - Joe uspokoił się równie szybko, jak się rozgniewał; teraz otoczył plecy ojca ramieniem. Tata już nigdy nie był taki sam od śmierci żony i córki. Nawet po wielu latach na ich wspomnienie łzy napływały mu do oczu.

- Tęsknię za nią, Joey. Za nią i za twoją siostrą - mówił cicho Cary. - Czasem tak bardzo za nimi tęsknię.

- Ja także, tato. - Joe uściśnął ojca, po czym opuścił ręce. Spozrzegł, że obaj okazali więcej uczucia, niż mieli w zwyczaju, natychmiast więc spróbował zmienić temat. - A więc powiadasz, że ten worek kości zrobił tysiąc dwieście metrów w minutę dziesięć? No to lepiej oddaj ten swój stoper do sprawdzenia. Do licha, starszy jest chyba ode mnie.

- Ale chodzi tak samo dobrze jak wtedy, gdy był nowiutki. Taniec Zwycięstwa to nasza szansa, Joe, Mówię ci, to nasz los na loterii!

- Opowiesz mi o tym później - powiedział Joe, patrząc, jak koń zbliża się do nich, tym razem już powoli. - Muszę się zobaczyć z Tommym, potem o pierwszej mam spotkanie z jakimiś bankierami, z którymi muszę pogadać o sfinansowaniu przekształcenia naszej stajni w publiczną. Odbierz Jen, dobrze? Mogę nie wrócić na czas.

- Dobra, dobra. - Cary przywołał gestem Macleoda. - Lon, powiedz no mojemu chłopakowi, że jeszcze nie jestem zgrzybiałym staruchem: ten koń potrafi biegać!

Wciąż w siodle, Lon skinął głową potakująco.

- On potrafi biegać, Joe.

- To świetnie. - Joe spojrzał na ojca. - Nie zapomnij o Jenny.

- Myślisz, że mógłbym kiedykolwiek zapomnieć o moim małym Cukiereczku? - Cary ponownie skupił uwagę na koniu i jeźdźcu. - Lon, nie wydaje ci się, że on trochę robi kopytem na bok?

- No taak... ale to chyba nie przeszkadza.

Trzęsąc głową z oburzeniem, Joe odszedł od nich. Ojciec był gorliwym wyznawcą teorii, że kiedyś pojawi się „ten koń” - cudowny koń, który potwierdzi jego reputację jako trenera, uczyni sławnym Joego i w ogóle odmieni ich życie. Joe w cichości ducha żywił nadzieję, że tata ma rację, ale nie oczekiwał zbyt wiele. Z jego doświadczeń wynikało, że w życiu po prostu tak się nie zdarza. Bardziej ufał własnym wysiłkom w utworzenie konsorcjum inwestorów, które kupiłoby Srebrzysty Cud i kilka innych koni jako początek stajni publicznej.

Ciężka praca i własna inicjatywa - w to wierzył.

A nie w marzenia. I nie w cudowne konie.

Biuro Tommy'ego mieściło się w Simpsonville, mieścinie składającej się głównie z restauracji, małego centrum handlowego, paru rodzinnych sklepików i Pierwszego Kościoła Baptystów, który jako jedyny dwupiętrowy

budynek, górował nad całą resztą, pomijając nawet wieżę. Joe przyjechał do miasteczka w niespełna dziesięć minut. Biuro szeryfa mieściło się w centrum handlowym, obok sklepu spożywczego Quik-Pik, szewca i magazynu z narzędziami Gunthera, i było, na pierwszy rzut oka, jeszcze jednym sklepikiem z przeszklonym frontem. Ale na drzwiach wisiała tabliczka „Biuro Szeryfa”, a w środku za biurkiem na czarnym, biurowym krześle siedział zastępca szeryfa w brązowym mundurze, zajęty papierkową robotą.

- Cześć, Joe. - Łysiejący, otyły zastępca, Billy Craddock, powitał go z uśmiechem, unosząc oczy znad swoich formularzy.

Billy miał już ponad sześćdziesiąt lat i pełnił funkcję zastępcy szeryfa, odkąd Joe pamiętał. Do licha, gdy był rozhukanym nastolatkiem, Billy nic raz doprowadzał go do biura na „pogadankę”.

- Cześć, Billy. Tommy jest?

- W biurze.

Craddock wskazał głową do tyłu, więc nie czekając na bardziej oczywiste zaproszenie, Joe przeszedł w głąb biura. Pokój Tommy'ego był niewielki; ściany z pustaków pomalowano na delikatny kolor skorupki jajka. Pomieszczenie naprzeciwko wyposażono w kraty w drzwiach i pojedyncze okienko - w razie potrzeby mogło służyć jako areszt. Joemu nie wydawało się, by ktoś kiedykolwiek w ogóle tam siedział, prócz awanturujących się pijaków czy wojowniczych nastolatków. Jeśli ktokolwiek miał być przewieziony do okręgowego więzienia w Shelbyville, to albo siedział w biurze razem z szeryfem i czekał na transport więzienny, albo Tommy sam odwoził winowajcę. Takie właśnie było Simpsonville: przyjazne nawet dla swoich przestępców.

Tommy, odchylony na krześle, położył nogi na biurku i założył ręce za głowę, rozmawiając z Robem Mayhewem, który wyciągnął się (jeśli można wyciągnąć się na takim siedzeniu) na plastikowym krześle dla petentów. Na ścianie, za plecami szeryfa, wisiała tablica ogłoszeniowa, zapełniona kartkami, a między nimi wyróżniający się, czarno-biały list gończy za najbardziej poszukiwanym przestępcą z listy FBI. Tommy wciąż miał nadzieję, że taka kryminalna gwiazda znajdzie się nagle w pobliżu i to on właśnie pochwyti zbiega. Wisiały tam również zwyczajowe komunikaty o zaginięciach. Jeden wyglądał na nowy, przypięto go na samym wierzchu pliku starych kartek: przedstawiał ładną blondynkę, chyba z college'u, i chłopaka mniej więcej w tym samym wieku.

- No, więc o co chodzi? - zapytał Joe bez wstępu, wchodząc do pokoju. Rzucił okiem na drugiego mężczyznę, również swojego starego przyjaciela, prawnika. - Cześć, Rob.

Tommy i Rob patrzyli na niego przez parę sekund, nic nie mówiąc. Tommy opuścił nogi na podłogę i usiadł prosto.

- Może zamknij drzwi, Joe, dobrze? - poprosił.

Welch się zdumiał.

- Do licha, Tommy, zaczynasz mnie przerażać - powiedział, lecz usłuchał. - Lepiej wykrztuś z siebie, o co chodzi, zanim dostanę zawału.

- Jestem tu jako twój prawnik, Joe - odezwał się Rob, wstając i kładąc mu rękę na ramieniu. - I od razu mówię ci bez ogródek, że nie musisz rozmawiać z Tommym ani z nikim innym. Nie musisz w ogóle się odzywać. Szczerze mówiąc, to właśnie ci radzę.

- Co? - Joe gapił się to na Roba, to na szeryfa.

- Wezwałem go w twoim imieniu, Joe. Wydało mi się to nieuczciwe, rozmawiać z tobą bez prawnika. Gdybym tak zrobił, pomyślałem, wykorzystałbym fakt, że się przyjaźnimy.

Joe popatrzył na kolegę z takim zaskoczeniem, jakby szeryfowi nagle wyrósł drugi nos.

- O czym ty, do diabła, mówisz, Tom?

- Czy chcesz ze mną rozmawiać?

- Tak, tak, chcę z tobą rozmawiać. Ale o czym?

- Chcę ci zadać parę pytań. I chciałbym naszą rozmowę nagrywać, jeśli nie masz nic przeciwko temu. - Tommy dotknął małego, srebrnego dyktafonu, stojącego przed nim na biurku. Joe nie zauważył go wcześniej.

- Mówisz poważnie?

- Nie musisz się zgadzać, Joe. - Dłoń Roba nadal spoczywała na jego ramieniu. - I tak ci radzę, nie zgadzaj się na to.

- Mówię poważnie, to poważna sprawa. Możliwe, że zdecydujesz się posłuchać swojego prawnika. Mówię ci to jako przyjaciel, nie jako szeryf.

- Jezu Chryste, Tommy, czy mógłbyś przejść do rzeczy? Możesz mnie nagrywać i do niedzieli, jeśli chcesz. A ty się przymknij, Rob. Wiem, że nie muszę nic mówić.

- Dajesz mi pozwolenie na nagrywanie, Joe?

- Tak. Tak, do cholery!

Tommy włączył dyktafon.

- Rozmawiam z Joem Welchem, we wtorek, dnia siedemnastego listopada, około jedenastej rano, za jego przyzwoleniem, w obecności jego prawnika - powiedział, po czym spojrzął na niego. - Joe, chciałbym ci coś pokazać.

- Jeśli powiem ci, że masz się zamknąć, Joe, to natychmiast przestań mówić - szybko wtrącił Rob. Joe uciszył go

gestem.

Tommy otworzył szufladę biurka, wyjął parę cienkich, gumowych rękawiczek, po czym sięgnął na dół, obok krzesła, i podniósł z podłogi czarny, plastikowy worek na śmieci, który postawił na biurku. Otworzył worek; wewnątrz był jeszcze jeden worek na śmieci, pognieciony, brudny i wyraźnie starszy niż ten zewnętrzny. W pokoju zaczął się rozchodzić zapach stęchlizny. Ostrożnie dotykając drugiego worka, Tommy otworzył go i wyjął zniszczoną, damską torebkę; stęchły zapach stał się tak mocny, że Joe zmarszczył nos. Torebka, kiedyś ciemnobrązowa, teraz miejscami stała się czarna, tu i ówdzie była pokryta pleśnią i tak spłaszczona, że wyglądała, jakby wielokrotnie przejechała po niej ciężarówka.

- Rozpoznajesz ten przedmiot? - zapytał Tommy z oczami utkwionymi w twarzy przyjaciela.

Joe przeniósł wzrok z torebki na szeryfa.

- Cóż, na pewno nie jest moja - powiedział.

Rob uśmiechnął się i chyba trochę rozluźnił, ale Tommy nie. Ta jego powaga zaczęła już irytować Joego.

- No i co, to wszystko? O co tu chodzi? - zapytał zniecierpliwiony.

Tommy popatrzył mu w oczy.

- W tej torebce jest dokument - powiedział. - A także portfel pewnej kobiety, kosmetyki, szczotka do włosów, różne drobne przedmioty, ale najważniejszy jest dokument tożsamości. Wiesz może, do kogo należy?

- Nie, Tom, nie wiem, ale zakładam, że może jutro albo coś koło tego wreszcie mi powiesz.

- To torebka Laury, Joe, twojej żony.

- Co? - Sięgnął po torebkę, ale szeryf był szybszy, porwał ją ze stołu i z zasięgu rąk Joego. Ten spojrzął na niego ze złością. - Daj mi zobaczyć.

Ostrożnie, żeby przyjaciel nie dosięgnął torebki, Tommy otworzył ją i wyjął portfel; potem otworzył portfel, by pokazać Joemu poplamione prawo jazdy, schowane za niegdyś przezroczystą folią, i dwie karty kredytowe, wciąż tkwiące w przegródkach. W chwili gdy zamachał portfelem przed nosem Welcha, ten złapał go do ręki.

- Hej! - zaprotestował Tommy. - Zostawisz wszędzie odciski!

- To chyba nie ma znaczenia. Mówiłeś, że wszystko już zostało sprawdzone. Jeśli będą musieli jeszcze raz zbadać portfel, po prostu oświadczymy stanowczo, że wszelkie odciski palców, odkryte w drugim badaniu, są wynikiem tego zdarzenia - wtrącił się szybko Rob, podczas gdy Joe patrzył złym wzrokiem na Tommy'ego, a następnie przyglądał się dokładnie prawu jazdy. Przez podrapany plastik patrzyła na niego ze zdjęcia Laura.

- To Laury - potwierdził, oddając portfel szeryfowi. - No więc, o co ci chodzi?

- O co mi chodzi? - Tommy popatrzył na przyjaciela, jakby ten był upośledzony umysłowo. - Joe, gdzie jest Laura?

- A skąd ja mam to wiedzieć, do diabła? Rozwiedliśmy się, pamiętasz? Nie widziałem jej i nie miałem od niej wieści od lat.

- Czy wypełniłeś formularz zgłoszenia osoby zaginionej?

Joe spojrzął na niego ze zdumieniem.

- Po co? Przede wszystkim, nie wiem nic o tym, by miała być zaginiona. Możliwe, że wiedzie wesoły żywot gdzieś w Meksyku czy podobnym miejscu, z tego, co mi wiadomo. Po drugie, ja nie chcę jej odnaleźć. Dzieciaki i ja mamy się dużo lepiej, odkąd zniknęła z naszego życia, wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

- Dosyć, Joe, zamknij się już - przerwał Rob.

- Co? Chłopaki, czyście powariowali? No dobrze, znaleźliście starą torebkę Laury. O co tyle hałasu?

Rob spojrzął na szeryfa.

- Posłuchaj, widać jak na dłoni, że on nic nie wie. Nie jest zbyt dobrym aktorem. Pamiętasz „Kopciuszka”?

„Kopciuszka” wystawiali w szóstej klasie. Joego, wybranego do roli Księcia, ponieważ był wtedy jedynym w klasie chłopcem wyższym od Kopciuszka, w czasie premiery poraziła trema: stał na scenie, w świetle reflektora, jakby zmienił się w kamień, a wszystkie kwestie, które z takim trudem utrzymał sobie w pamięci, na dobre uleciały mu z głowy. Kopciuszek - Cindy Webber (obecnie Harrison) - musiała prowadzić swego partnera po scenie za rękę i podpowiadać kolejne zdania, które Joe powtarzał jak papuga, po czym Cindy mówiła swój tekst.

Była to pierwsza i ostatnia próba podboju sceny przez Joego i wiedział, że pamięć o tym przedstawieniu nigdy nie zaginie wśród przyjaciół, byłych kolegów szkolnych i mieszkańców miasteczka.

- Idź do diabła - powiedział Robowi, ale bez specjalnej złości.

Tommy przeniósł wzrok na Joego i skinął głową.

- Masz rację, nie jest tak dobrym aktorem. No dobrze, Joe, usiądź i pozwól, że opowiem ci, co się wydarzyło.

- Nie chcę siedzieć. - Nie był w tej chwili zbyt zachwycony postawą swego starego przyjaciela.

- Jak chcesz, to nie siadaj. - Szeryf łypnął na niego złym wzrokiem. - Ten worek, zawierający torebkę Laury i parę butów na obcasie, rozmiar osiem - Laura nosiła ten numer, prawda? - został znaleziony na farmie Boba Tolera dzisiaj rano, wyrzucony przez wodę potoku. Toler sprzątał swój kawałek brzegu, gdzie strumień wystąpił z koryta po sobotniej nocnej ulewie, i znalazł to, więc wezwał mnie.

- Skąd wiesz, jaki rozmiar butów nosiła moja była żona? - Joe wpatrywał się w Tommy'ego spod zmrużonych powiek.



- Do licha, ja też z nią chodziłem, Joe. Tak jak wszyscy w szkole. Mówiłem ci o tym, zanim się z nią ożeniłeś.

- Dobra, panowie, nie zagłębiajmy się tu w historię starożytną - wtrącił pośpiesznie Rob. - Joe, jest coś jeszcze. Tommy, może mu w końcu powiesz?

- Trochę dalej w dole strumienia, na tym samym polu, Toler znalazł kolejny worek, w którym prawdopodobnie znajdują się ludzkie szczątki. Kości, trochę włosów, takie rzeczy. Tamten worek jest już w drodze do laboratorium stanowego. Wyślę im również ten, z torebką i butami. Mam podejrzenia, że te czarne plamy na torebce to krew.

Joe wpatrywał się w Tommy'ego, a znaczenie usłyszanych słów stopniowo zaczęło docierać do jego mózgu. Nagle poczuł, że ma miękkie kolana i zaciśnięty żołądek.

- Chyba jednak usiądę - powiedział, przyciągając sobie krzesło, które zwolnił Rob.

- Mówiłem ci - wymamrotał Tommy.

- Myślisz, że te szczątki - i krew - to Laury? - Joe nabrał głośno powietrza.

- Myślę, że prawdopodobieństwo jest duże, jako że worek jest taki sam jak ten, w którym znaleźliśmy torebkę i buty. W torebce były pieniądze - sto trzydzieści dwa dolary. I niewykorzystany bilet lotniczy do Kalifornii, wystawiony w czerwcu 1991 roku. Z tego wniosek, że to chyba mało prawdopodobne, aby tak po prostu wsadziła torebkę do worka na śmieci, bo postanowiła ją wyrzucić razem z butami. Kiedy widziałeś Laurę po raz ostatni?

- Nie odpowiadaj, Joe - poradził szybko Rob.

- Jezu Chryste, Tommy, kazałeś mi tu przyjść i zadajesz te pytania, bo myślisz, że zabiłem Laurę?! - Oburzony Joe zerwał się na równe nogi.

- Uważaj, co mówisz, Joe. - Rob nalegał coraz usilniej.

- Przymknij się, Rob, do cholery - nakazał mu zirytowany szeryf. - Joe, nie przypuszczam, żebyś ją zabił. Przyznaję, że kiedy po raz pierwszy zacząłem przyglądać się tej sprawie, biorąc pod uwagę wszystko, co wiem o tobie i Laurze, o tym, jaka była dla dzieci i w ogóle, pomyślałem przez chwilę, że mogłeś ją zabić. Do diabła, gdyby była moją żoną, możliwe, że sam bym ją zamordował. Ale widzę, że nie wiesz o niczym, więc przestań robić takie miny. O nic cię nie oskarżam i nie podejrzewam. Teraz chcę się tylko dowiedzieć, co wiesz, a wtedy może odkryjemy, kto to zrobił.

- Jeżeli w ogóle ktoś coś zrobił - wtrącił się Rob. - Jak na razie, Tommy, masz tylko należącą do Laury starą torebkę z ciemnymi plamami i parę butów w worku na śmieci. Wyrzucenie torebki i butów nie wiąże się z żadnym przestępstwem. Szczątki - jeśli istotnie są to ludzkie szczątki, czego na razie nie wiemy - mogą w ogóle nie mieć związku z Laurą.

- To prawda - zgodził się szeryf, po czym ponownie spojrzał na Joego. - No więc, kiedy ostatni raz widziałeś Laurę?

### Rozdział trzydziesty trzeci

Wiecie, naprawdę ciężko jest nie mieć mamy - oświadczyła Jenny poważnym głosem, wracając do Simpsonville razem z Alex, Neely i jej przyjaciółką Samanta Lewis, wysoką, szczupłą dziewczyną o długich, prostych włosach w kolorze karmelu.

Dzień był jasny i słoneczny, tak ciepły, że nie potrzebowały płaszczy. Wyprawa na zakupy do Louisville zakończyła się sukcesem i sprawiła im dużo radości. Bagażnik zapełniały torby z zakupami, wśród nich była śliczna, błękitna sukienka dla Jenny. Sukienka miała długie, wąskie rękawy, marszczoną górę z elastycznego materiału i krótką, szeroką spódniczkę. Była już prawie piąta i na dwupasmowej drodze krajowej numer 60 panował zaskakująco duży ruch. Alex popatrzyła w lusterko na dziewczynkę, siedzącą z tyłu razem z Samantą. Brązowe oczy Jenny lśniły, a jej policzki były zaróżowione; takiej ładnej jeszcze Alex jej nie widziała. Weź dziewczynkę na zakupy, a rozkwitnie w niej kobieta!

- I mnie to mówisz - odpowiedziała małej Neely; siedziała na przednim siedzeniu, ale bokiem, żeby móc rozmawiać z koleżankami z tyłu.

Jenny zmarszczyła brwi.

- Ty też nie masz mamy?

Neely pokręciła głową.

- Umarła, kiedy byłam mała. Nie pamiętam jej za dobrze.

- Ja mojej wcale nie pamiętam - poskarżyła się Jenny.

- Umarła? - To pytanie zadała Samanta, która miała cudowną mamę.

Alex wiedziała o tym, ponieważ rozmawiała z panią Lewis przez telefon, żeby upewnić się, czy rzeczywiście uczniowie liceum mają spędzić noc w szkole po zlocie kibiców. Pod okiem nauczyciela, naturalnie. Nazywało się to „zamknięcie” i, jak oświadczyła pani Lewis, impreza odbywała się co roku.

Nie chodzi o to, że Alex nie ufała siostrze, ale sprawdzić nie zawadzi.

- Nie. Chyba nie. Dawno temu wyjechała i zostawiła nas z tatą. Rozwiedli się. - Jenny mówiła to rzeczowym tonem. - Rozwody są do kitu.

- Moi rodzice też byli rozwiedzeni - wtrąciła się Alex. - To ciężka sytuacja, wiem.

- I z kim w końcu wyłądownałaś, z mamą czy z tatą? - zapytała z ciekawością Jenny.

- W zasadzie to z nikim. Wyłądownałam w szkole z internatem. - Alex uśmiechnęła się nieco żałośnie. - I tam już

właściwie zostałam, aż dorosłam.

- Szkoły z internatem są do kitu - dołożyła swoje trzy grosze Neely, patrząc na Jenny. - Jeśli popatrzyś na to z tej strony, to raczej masz szczęście. Przynajmniej twój tata cię chce.

Słysząc to, Alex poczuła ukłucie w sercu i spojrzała z boku na siostrę. Postanowiła jednak poczekać z ponownym poruszeniem tego tematu, aż będą same.

Jenny i Samanta wróciły razem z nimi do Whistledown. Alex zostawiła dziewczęta i poszła na górę wziąć prysznic, po drodze zatrzymując się w prowizorycznej ciemni, żeby sprawdzić filmy, które leżały w utrwalaczu; potem wróciła na dół, do biblioteki, by odsłuchać wiadomości z automatycznej sekretarki. Hanibal chodził za nią krok w krok, cierpliwie czekał przed drzwiami ciemni, podążył także do biblioteki, gdzie wskoczył na półkę nad kominkiem i przycupnął pomiędzy barwnymi papugami z porcelany, obserwując Alex.

- Psik! - spróbowała go zgonić; mogłaby przysiąc, że prychnął na nią pogardliwie. Z całą pewnością jednak ani drgnął.

Nawet podmiot liryczny w „Kroku” nie miał tak ciężkiego życia, pomyślała, w miarę możliwości ignorując nieruchome spojrzenie kota. Nagrała się Andrea, więc Alex, sadowiac się przy biurku, sięgnęła po telefon. Wykręcając numer, przesuwiała wzrok po pokoju. Już wcześniej przeszukała biurko i regały z książkami, przekartkowała nawet same książki w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby jej wyjaśnić, w jakim stanie umysłu znajdował się jej ojciec na parę dni i godzin przed śmiercią. Choć miała przeczucie, że nie zabił się sam, zawsze istniała możliwość, że jednak się myli. Jeśli wiedział o tych pomówieniach, mógł znaleźć się w sytuacji bez wyjścia. Może był winien; może nie umiał znieść myśli o czekającej go rozprawie czy nawet więzieniu. Ale skoro wybrał samobójstwo jako jedyne wyjście, to na pewno zostawił jakąś wiadomość dla niej, Neely czy dla Mercedes albo dla pozostałych szefów firmy - pisemne wyjaśnienie tego, co robi. Niczego takiego jednak nie było. To dlatego nie mogła uwierzyć w wersję o samobójstwie. Nawet jeśli znalazł się na skraju przepaści, nie zostawiłby ich bez słowa pożegnania.

A może jednak?

Jeśli istniała jakakolwiek wiadomość, to na pewno została ukryta w tym pokoju, Alex była o tym przekonana. Tutaj ojciec musiał spędzić większość czasu w ostatnich dniach i godzinach życia. Ale gdzie? Gdzie szukać?

Właśnie w tej chwili Andrea odebrała telefon, przerywając rozważania przyjaciółki.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak, jest okay. - I o dziwo było to zgodne z prawdą, pomyślała Alex. Z każdym dniem stawała się silniejsza.

- Widziałam Paula na przyjęciu przedwczoraj, razem z Tarą - mówiła Andrea. - Nie wyglądał na zachwyconego. Uczepiła się go jak rzep psiego ogona i musiał ciągle wymyślać jakieś wymówki, żeby od niej na chwilę odejść. - Zachichotała. - Nigdy w życiu nie widziałam, żeby facet tak często przeproszał i wychodził do toalety.

- Już mi całkiem przeszło - oznajmiła Alex. - Nawet mnie to nie obchodzi. Wierz mi lub nie, ale mam nadzieję, że jest szczęśliwy. No dobra, może nie „mam nadzieję”, tylko po prostu przeżyję, jeśli będzie szczęśliwy.

Roześmiały się obie.

- Aha, dobra wiadomość: dzisiaj ukazał się ostatni artykuł z cyklu „Dom Haywoodów”. A burmistrz zwolnił szefa policji, co wywołało nowy skandal. Jeszcze z tydzień i będziesz mogła wracać do domu.

- To rzeczywiście dobra wiadomość - odrzekła Alex i natychmiast pomyślała o Joem.

Nie była jeszcze gotowa, by stąd wyjechać: zdała sobie z tego sprawę, kończąc rozmowę z przyjaciółką i odkładając słuchawkę. Tyle miłośnej chemii rozgrywa się między nimi - jak mogłaby tak po prostu odejść? Ledwo przecież zbadali wierzchnią warstwę...

Wspomniawszy miniony wieczór, niemal uśmiechnęła się do siebie ponuro. Sam dotyk jego ust ją rozpałił. Wszystkie seksualne fantazje, jakie miała w życiu, wydawały jej się tak naiwne wobec wspomnienia tamtej jednej, nocy.

Nigdy w życiu nie pragnęła żadnego mężczyzny tak mocno. Miała wrażenie, że ten fizyczny pociąg, który zaistniał między nimi, nie zdarza się często. Może nawet tak rzadko, że już nigdy więcej nie doświadczy czegoś podobnego.

Poza tym lubiła i szanowała Joego. Ale przede wszystkim dawał jej poczucie bezpieczeństwa.

Ma więc teraz wsiąść do samolotu i zostawić to wszystko?

Zadumana Alex weszła do kuchni, wciąż z Hanibalem tuż przy nodze. Na jednym z barowych stołków, opierając łokcie na blacie, siedziała jej siostra; w ręce trzymała niedojedzone jabłko. Obok niej stała Samanta, zwijając cienkie pasemka włosów przyjaciółki w długie sprężynki, a następnie spryskując je jaskraworóżową farbą do włosów. Hanibal natychmiast wskoczył na blat i trącił pyszczkiem rękę Neely, dopominając się o pieszczoty. Ta nie kazała się długo prosić. Kot zaczął mruzczyć jak bucząca piła elektryczna.

- A gdzie Jenny? - zapytała Alex, rozglądając się wokół, zanim jej wzrok z pewną dozą fascynacji powrócił do włosów siostry.

- Poszła do domu.

- A co wy robicie? - Zadała to pytanie specjalnie obojętnym głosem. Gdyby tonem wyraziła dezaprobatę, Neely gotowa byłaby pomalować sobie całą głowę na różowo.

- Robię sobie pasemka. - Neely drapała kota za uszami, a jego mruczenie brzmiało już jak startujący boeing 747.

- Są różowe - powiedziała Alex, jakby myślała, że dziewczyny mogły tego nie zauważyć.

Siostra odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

- Różowy jest teraz na topie. Wiesz, że masz nas podwieźć na imprezę, prawda?

- Nie widzę problemu. A co to za zlot, tak nawiasem mówiąc?

- Zlot kibiców drużyny koszykówki. W sobotę jest wielki mecz - wyjaśniła Samanta, wciąż nawijając pasemka i pryskając na nie sprejem. - Praktycznie całe miasto będzie dziś na ognisku.

- Ty też powinnaś się wybrać - poradziła jej Neely, dodając przebiegle: - I Joe tam będzie. Eli mówił, że jego ojciec zawsze chodzi na te imprezy. No i Jenny będzie śpiewać.

- Nie mogłabym przecież opuścić występu Jenny w nowej sukience, za nic w świecie - odparła Alex szczerze i naturalnie. Nie dodała jednak na głos, że nie mogłaby przegapić okazji spotkania się z Joem, też za nic w świecie.

Zanim Alex z dziewczętami dotarła na miejsce, było już całkiem ciemno. Spóźniły się i parking przy liceum był już zapchany: Alex zobaczyła to, kiedy już wjeżdżały. Podwoziła dziewczynki do wejścia na salę gimnastyczną, gdzie wysiadły, zabierając śpiwory, potem ruszyła szukać miejsca do parkowania. Gdy wyszła z samochodu, zobaczyła, że noc jest piękna, jasna, niezbyt chłodna; lekki wiaterek, niosący zapach jesieni, rozwiewał jej włosy, które zostawiła rozpuszczone. Było jej całkiem ciepło w jasnobieżowym kaszmirowym blezerku i swetrze, w czarnych spodniach i czarnych wysokich butach. Nad głową widziała jedwabiście granatowe niebo, usiane gwiazdami, które lśniły jak maleńkie, srebrne cekiny. Nieśmiały biały sierp księżyca wisiał nisko nad horyzontem. Przez ceglane mury szkoły wyraźnie słyszała okrzyki publiczności i muzyczne popisy grającego zespołu; dźwięki melodii dobiegały aż tu, gdzie stała Alex i jeszcze parę innych osób nieuczestniczących w imprezie, a nawet jeszcze dalej.

Nagle otwarto drzwi sali i wylał się z nich tłum uczniów i nauczycieli. W przeciągu paru sekund Alex została otoczona przez napływającą falę ludzi, wyraźnie biegnących w stronę boisk, położonych po drugiej stronie parkingu.

Zaskoczona Alex przywarła do zderzaka samochodu, by nie zostać zmiecioną przez tłum.

- Alex! Alex! Chodź!

Neely pędziła na samym końcu wijącego się sznura nastolatków; chwyciła siostrę za rękę, gdy cała grupa przewaliła się z hałasem obok nich. Chcąc nie chcąc, Alex zmuszona została niemal do biegu;

Neely ścisnęła jej palce aż do bólu i Alex ze śmiechem dała się pociągnąć przez tłum.

- Co, do licha...? - wydyszała do siostry, uważając, by się nie potknąć. Jej buty z całą pewnością nie były przeznaczone do biegania. Ale podobały jej się, bo kiedy nosiła spodnie, wydłużały nogi.

- Chcemy wsiąść na pierwszą platformę, razem z drużyną!

- Co?

Dla Alex to zdanie nie miało sensu, póki ich nie zobaczyła: ustawione jedna za drugą wielkie, wymoszczone sianem, płaskie przyczepy rolnicze czekały już na samym końcu parkingu, blisko miejsca, w którym zaparkowała auto. Przygotowano ich chyba z sześć, wszystkie doczepione do różnej wielkości i koloru ciągników. Kilka pojazdów było już w połowie pełnych; ludzie dobiegali do nich i wspinali się na górę.

- Tędy! Tutaj!

Ciągnięta przez rozpedzone nastolatki grupa Alex wyrwała się przed tłum, zmierzając ku pierwszemu pojazdowi w szeregu.

- Już pełno! - jęknął ktoś z tyłu, gdy dopadli do przyczepy.

- Jeden na drugiego, warstwami! - zawołał ktoś inny i dzieciaki zaczęły się wspinać na platformę, nie zważając na to, jak bardzo już jest tam ciasno, gramoląc się po tych, którzy już siedzieli i padając na siano.

- Neely! Tutaj!

Neely puściła dłoń siostry, gdyż poderwano ją w górę; Alex przez chwilę stała, nie wiedząc, co robić. Przyczepa wyglądała na całkiem zapchaną...

- Moja siostra! Moja siostra! - Neely wyciągnęła do niej rękę, pojawiły się też inne dłonie.

Nie bardzo wiedząc, w co się pakuje, Alex mimo wszystko ujęła wyciągnięte ręce, oparła stopę na brzegu przyczepy i pozwoliła się dźwignąć w górę.

Pojazd rzeczywiście był pełen; zobaczyła to, gdy tylko na nim stanęła. Ostrożnie utrzymując równowagę i omijając poplątane nogi ściśniętych ramię w ramię nastolatków, Alex dotarła na środek zasłanej sianem platformy i rozejrzała się, szukając miejsca, gdzie mogłaby usiąść. Neely została ulokowana pomiędzy Samantą a jakimś chłopcem - chyba Elim? Było zbyt ciemno, żeby go rozpoznać.

Jedna rzecz wydawała się pewna: Neely nie chciała, żeby dorosła siostra siedziała obok niej.

Poza tym i tak nie było miejsca. Nigdzie.

- Odjazd! - zawołał kierowca. Alex rozejrzała się raz jeszcze w panice. Wóz był dosłownie zapchany. Nie dałoby się chyba wcisnąć igły.

Traktor zaryczał i szarpnął w przód. Alex zachwiała się na swoich wysokich obcasach, straciła równowagę, przechyliła się na bok - i poczuła, jak ktoś siedzący niżej łapie ją za ramię i za biodro, przewidując jej upadek i

kierując nią.

Poleciała w dół z lekkim okrzykiem, po czym wylądowała na kimś usadowionym na platformie.

- Uff! - Tamten gwałtownie wypuścił z piersi powietrze, gdy usiadła na czymś miększym, niż się spodziewała - na czymś brzuchu?

- Strasznie przepraszam - powiedziała, usiłując się podnieść i przesunąć. Ale dłoń, opierająca się na biodrze Alex, objęła ją w pasie. Czyjeś ramię, ciężkie, twarde, męskie ramię uniemożliwiło jej ucieczkę.

- Z całą pewnością jesteś cięższa, niż na to wyglądasz - wymruczał jej do ucha męski głos w chwili, gdy Alex odwracała głowę, chcąc spojrzeć w oczy temu, kto ją pochwycił, i zażądać, by ją natychmiast puścił.

Prawie w tej samej sekundzie rozpoznała głos i twarz mężczyzny.

- Joe! - zawołała z radością, porzucając wszelką myśl o tym, by się uwolnić.

Znalazła się dokładnie tam, gdzie chciała być.

## Rozdział trzydziesty czwarty

Poczekaj sekundę, jakoś się usadowimy.

Jego ciepły oddech owionął ucho Alex. Joe jadł wcześniej coś, od czego delikatnie pachniał masłem: może popcorn? Wiercił się pod nią, przesunął parę centymetrów do tyłu i Alex opadła troszeczkę niżej. Okazało się, że siedzi pomiędzy ugiętymi kolanami Joego na grubej warstwie siana, zaścielającego dno przyczepy. Pośladkami wpasowała się wygodnie pomiędzy uda mężczyzny, jego ramiona obejmowały ją luźno w pasie; plecami opierała się o jego pierś. Sama też miała ugięte kolana: tuż przed nią siedział jakiś nastolatek, z obu stron tłoczyli się następni; w tej sytuacji nie było jak rozprostować nóg. Taka pozycja ich obojga wydawała się bardzo intymna, ale szybka lustracja otoczenia przekonała Alex, że wokół dosłownie nie ma miejsca, aby usiąść inaczej. Cały pojazd zapchany był ludźmi. Dla niej w ogóle nie wystarczyłoby już miejsca, gdyby Joe nie podzielił się z nią swoim.

Przyczepa szarpnęła ponownie, biorąc zakręt, i potoczyła się aleją biegnącą przed budynkiem szkoły. W żółtawym świetle ozdobnych żelaznych latarni, stojących na każdym rogu, Alex widziała ulice Shelbyville, przy których znajdowały się domy i sklepy powstałe jeszcze w czasach wojny secesyjnej. Rozejrzawszy się, zauważyła, że na przyczepie jest jeszcze dwoje innych dorosłych. Pozostali pasażerowie, w liczbie około dwudziestu pięciu, mieli po paręnaście lat. Wielu z nich najwyraźniej należało do drużyny koszykówki. Pamiętając o chłodzie ostrego, nocnego powietrza, ubrali się w ciemne bluzy z lśniącym białym napisem „Rockets” z przodu. Alex dostrzegła Eliego, wciśniętego na drugim końcu wozu pomiędzy Neely i Heather, i musiała się uśmiechnąć. Biedny chłopak.

Jej pozycja w ramionach Joego stanowiła potencjalne źródło zakłopotania dla nich obojga, zwłaszcza że byli doskonale widoczni dla całej przyczepy nastolatków, w tym dla syna Joego i bystrookiej i gadatliwej Neely, nie zapominając o dwojce być może plotkarskich dorosłych, jednak szybki rzut oka dookoła uspokoił Alex. Dzieciaki gadały, żartowały i śmiały się, popisując przed sobą. Dorośli - para mniej więcej przed pięćdziesiątką - rozmawiali. Najwyraźniej nikt nie zwracał na nich uwagi.

- Wygodnie ci? - zapytał Joe.

Alex skinęła głową. Szczerze mówiąc, nie przychodziło jej do głowy żadne inne miejsce na świecie, w którym wolałaby się znaleźć. Odprężyła się trochę i odchyliła głowę w tył, na ramię Joego. Gdy się poruszyła, dotykała policzkiem jego brody. Czuła ciepło jego skóry i delikatne drapanie zarostu.

Nie była pewna, czy widział jej skinienie, powiedziała więc „tak”, obracając nieco twarz w jego stronę, żeby na pewno usłyszał ją ponad miarowym warczeniem traktora i falującymi głosami rozgadanych nastolatków. Lekki zapach mydła zakręcił jej w nosie: Irlandzka wiosna? Prawie nieświadomie odetchnęła głębiej i przy tym ruchu obsunęła się odrobinę na śliskim sianie. Ręce Joego mocniej chwyciły ją w pasie i przyciągnęły z powrotem na poprzednie miejsce.

Przez całe jej ciało przebiegł elektryzujący dreszcz, aż wciągnęła gwałtownie powietrze. Joe ścisnął ją udami, zapewne, żeby się nie obsuwała.

- Nie mogę pozwolić, żebyś mi się wyślizgnęła - wyjaśnił idealnie obojętnym głosem wprost do jej ucha.

Czy to możliwe, że nie czuł tego, co ona?

Zorientowała się, że miał na sobie ulubioną, niebieską kurtkę, w której wyglądał jak maskotka Michelina. Kurtka była rozpięta i Alex znalazła się w środku, tak że poły puchówki osłaniały ją tak samo jak ramiona Joego - i jego uda. Pod kurtką nosił bluzę w kolorach czerni i chyba granatu; na tej bluzie spoczywała głowa Alex. Ponieważ widziała materiał tylko bokiem, nie była pewna koloru. Takie szczegóły nie były do końca rozpoznawalne w zmieniającym się świetle mijanych latarni i kontrastującej z nim ciemności pomiędzy rogami ulic. Za to wyraźnie widziała nogi Joego, jako że miał podkurczone kolana - nosił dzinsy i ciężkie buty z brązowej skóry, wysoko sznurowane.

- A tak w ogóle, co się dzieje? Czy to część tej imprezy kibiców? - Musiała się odezwać, powiedziała więc to, co jej przyszło do głowy. Nie mogła przecież siedzieć bez słowa, kontemplując jego bliskość.

- Nie byłaś nigdy na takiej imprezie? - Znów się przesunął, tak że teraz usta miał tuż przy jej uchu. Gdy mówił, czuła łaskotanie poruszających się warg. Delikatny płatek ucha, niezmiernie wrażliwy nawet na tak lekkie dotknięcie jego ust, pulsował cały i płonął.

Alex pokręciła głową.

- Nie.

- Ha, cóż, nie wydaje mi się, żeby traktory i przyczepy cieszyły się dużym powodzeniem wśród uczennic szkół z internatem - powiedział Joe. W jego głos wkradł się chłodny ton. - Jedziemy na platformach z sianem; traktory zawiozą wszystkich na ognisko. Będziemy palić kukły drużyny przeciwnej, śpiewać szkolną pieśń bojową, smażyć kiełbaski, robić ciągutki i w ogóle będziemy się bawić jak cholera. A jutro wieczorem zagramy mecz.

Czuła mocne, napięte mięśnie jego ud. W tej chwili Joe przesunął się trochę i ścisnął ją między nogami. Ten ich przypadkowy kontakt wywołał natychmiastowy i elektryzujący skutek: dreszcz i gorąco promieniowały na całe jej ciało, jednocześnie wybuchając gwałtownym płomieniem pożądania.

- A w ogóle, w czym tkwi sekret? Mówię o mężczyznach i koszykówce - zagadnęła imponująco lekkim tonem. - Muszę przyznać, że dla mnie to żadna atrakcja.

Joe parsknął śmiechem i poruszył się jeszcze raz, zmieniając pozycję.

- Sądzę, że to chyba tak samo, jak z kobietami i zakupami. A przy okazji, dziękuję, że wzięłaś Jenny do miasta.

- Nie ma za co.

- Była bardzo przejęta tą sukienką. Przed wyjściem pokazała mi się w niej. Muszę przyznać, że naprawdę wyglądała odłotowo. - Teraz specjalnie się z nią drażnił, jakby próbował osłabić napięcie, które pomiędzy nimi narastało. Ale jego ręce, obejmujące Alex w talii, pozostały sztywne i przyciskały ją - tak jej się zdawało - odrobinę mocniej, niż to było potrzebne. Czuła ciepło jego ciała, przyspieszające bicie jej serca.

- Jenny jest kochana - powiedziała Alex szczerze.

- A wiesz, że ja też tak myślę.

- Wszystkie bawiłyśmy się świetnie: Jenny, Samanta, Neely i ja.

- A jeśli już mowa o Neely - zaczął Joe - to mam z nią do pogadania.

- Oo? - Minęli właśnie ostatnie budynki miasta i otworzyła się przed nimi bezkresna, rozgwieżdżona połać nieba. Poła po obu stronach drogi były ciemne i ciche. Wciąż dobrze słyszeli głosy innych pasażerów, którzy śmiali się, krzyczeli i nawoływali między sobą - ale widać ich było tylko jako kształty i cienie, bez szczegółów. Przyczepa podążała naprzód, kołysząc się lekko na boki. Alex odchyliła się w tył w ramionach Joego, wdychając zapach siana, ropy i zapach mężczyzny. Rozkoszowała się tą jazdą. Całą sobą czuła ciepło jego ciała i stalową siłę mięśni.

- A co takiego zrobiła?

- Zrobiła mojej córce różowe paski we włosach.

Wspomniawszy Neely i Samantę, zajęte w kuchni farbowaniem włosów, Alex zachichotała. Dziwne, że nie odgadła tego od razu.

- O mój Boże!

- Tak, o mój Boże. Wnioskuje, że twoja siostra i jej przyjaciółka pomalowały sobie włosy z okazji dzisiejszej imprezy i Jen chciała wyglądać tak samo.

- O rany! - wykrztusiła Alex, wciąż się śmiejąc. - No i co zrobiłeś? Palnąłeś jej ostrą mowę na temat ryzyka związanego z robieniem pasemek i kazałeś jej umyć głowę?

- Nie zauważyłem niczego, póki nie była gotowa do wyjścia. Jechała na imprezę razem z całym chórem, więc zobaczyłem jednocześnie jej sukienkę i włosy. Muszę przyznać, że to był szok. Ale jestem przekonany, że różowe paski są czadowe.

- To się nazywa pasemka, nie paski, tak tylko mówię, żebyś wiedział. - Alex uśmiechnęła się do nocnego nieba. Gwiazdy migotały, jakby dzielając jej rozbawienie. - No i, oczywiście, są czadowe.

- Ale jeszcze nie słyszałaś najgorszego. Wiesz, co jeszcze wymyśliła twoja rewelacyjna siostra?

- Co? - zapytała Alex z niejaką obawą, jako że ton Joego przywoływał w jej wyobraźni potworne wizje kolczyków w różnych częściach ciała i podobnych rzeczy.

Joe odgarnął jej włosy z czoła. Potem przysunął usta tuż do ucha Alex, jakby w obawie, że ktoś go usłyszy. Jego wargi były gorące, a oddech wilgotny; od tego dotknięcia poczuła skurcz w podbrzuszu, a potem powolne, rytmiczne pulsowanie pomiędzy udami. Zaciśnęła zęby i starała się skoncentrować na tym, co mówił.

- Powiedziała Jen, że jeśli chce wyglądać naprawdę odłotowo, powinna sobie sprawić stanik z poduszkami.

To nie było aż takie złe. To jasne, że Joe nie miał pojęcia o szerokiej gamie różnych pomysłów, w większości znacznie bardziej potwornych, które Neely mogła przedstawić Jenny.

- Tylko tyle?

- Tylko tyle? To bardzo dużo, zapewniam cię. Wiesz, czego moja córka ode mnie żąda? Żeby w ten weekend zabrał ją do centrum handlowego w Louisville i kupił jej ten wypychany stanik! - W jego głosie brzmiało wzburzenie tylko w połowie maskowane wesołością.

Na myśl o Joem, przemierzającym podmiejski hipermarket w poszukiwaniu biustonosza dla Jenny, Alex rozluźniła się i uśmiechnęła.

- W „Victoria’s Secret” są naprawdę ładne rzeczy - powiedziała z powagą.

- W „Victoria’s Secret”? Dla Jenny? O mój Boże... nie śmieję się, to wcale nie jest śmieszne.

- To ty jesteś śmieszny. Przecież to dziewczynka. Prędzej czy później będzie musiała zacząć nosić staniki.

- No tak, ale jeszcze nie teraz. I nie wypchane gąbką, na litość boską! Ona ma jedenaście lat i jest płaska jak deska. To jeszcze mała dziewczynka, i chciałbym, żeby tak zostało, dziękuję uprzejmie.

Alex podniosła oczy i zobaczyła, że Joe zmarszczył brwi. Jego usta znów otarły się o jej ucho; pulsujące drżenie zmieniło się w prawdziwy głód. Zareagowała instynktownie, podkurczając palce u nóg.

- Joe, małe dziewczynki muszą dorosnąć.

- To się robi coraz trudniejsze, wiesz? - Nagle jego głos nabrał twardego brzmienia. - Wychowywanie jej samemu. Na chłopcach się znam. Ale dziewczynka...

- Uważam, że radzisz sobie świetnie - odpowiedziała Alex, przesuwając dłońmi po jego ramionach, oplatających ją w pasie. - We wszystkich trzech przypadkach.

- Tak, jestem po prostu idealnym panem mamusią. - Alex usłyszała w jego głosie coś, co kazało jej odwrócić głowę i przyjrzeć mu się uważnie.

- Joe, czy coś się stało?

Z profilu, na tle migoczącego nieba, wydał jej się prawie nieprzyzwoicie przystojny. Pozwoliła sobie wędrować spojrzeniem po jego twarzy, czując niemal ból z rozkoszy. Miał klasycznie harmonijne rysy: wysokie czoło, długi, prosty nos, mocno zarysowany podbródek. Gdy tak patrzył na nią w dół, jego oczy ocieniały gęste, czarne rzęsy.

- Nie, w zasadzie nie. - Mocniej objął ją w tali. - Opowiedz mi, co dzisiaj robiłaś.

To oczywiście, że pragnął zmienić temat. Pomyślała, że cokolwiek go martwi - a była niemal pewna, że tak jest - to nie chciał o tym rozmawiać w tym miejscu. Nie w tłumie potencjalnych postronnych słuchaczy. I obserwatorów. Cóż, jak chce.

- Poza tym, że wystawiłam twoją córkę na pastwę świata różowych pasemek i staników na gąbce? - Starła się uderzyć w beztroską nutę i nie wiedziała, czy dobrze trafiła. W jej własnych uszach pytanie to wyglądało na nieco sztuczne.

- Tak, poza tym. - Teraz uśmiechnął się naprawdę. Widziała błyśnięcie jego zębów w świetle księżyca.

- Rozmawiałam dzisiaj z Andrea.

Kontakt z jego ciałem wywoływał w niej napięcie, które opanowało już wszystkie mięśnie jej ciała.

- I co miała ci do powiedzenia?

- Że dzisiaj skończyła się seria artykułów. Powiedziała, że możemy wracać do domu za tydzień. Jeśli chcemy.

Joe znieruchomiał. Jego ręce stały się jakby twardsze i cięższe.

- To dobra wiadomość.

- Czyżby?

- A nie?

Nagle zdała sobie sprawę, że oddycha zbyt prędko. Joe musi to słyszeć, tak jak ona słyszy równy rytm jego oddechu. Jeśli przesunie głowę jeszcze trochę, będzie mogła dotknąć wargami jego brody... Robiła co mogła, by się powstrzymać.

- To zależy.

- Od czego?

- Od ciebie.

Nie odpowiedział. Alex w najwyższym stopniu była świadoma jego bliskości. Obejmujące jej talię ręce były silne, a nawet zaborne. Jego uda zamykały ją w mocnym uścisku. Nagle poczuła się niemal szczęśliwa; to uczucie było jej tak obce po minionych tygodniach zmagania, że natychmiast zanalizowała sytuację, by odkryć, skąd się wzięło. Oddycha oto chłodnym, listopadowym powietrzem, patrzy w bezchmurne, nocne niebo pełne migoczących gwiazd, pławi się w miękkiej księżycowej poświacie, wtulona w ramiona Joego.

Aha - wtulona w jego ramiona. O to chodzi. To jego ramiona zwyciężyły najgorszy ból i żal i sprawiły, że wszystko zaczęło wyglądać jaśniej. To ramiona Joego uczyniły ją szczęśliwą.

Nie chciała teraz po prostu wsiadać do samolotu, by polecieć do domu.

- Andrea opowiedziała mi o Paulu.

- Ach, tak? - zabrzmiało to obiecująco. Jego ramię, o które się opierała, zeszytywniało, a głowa uniosła się tak, że brodą już nie dotykał jej policzka.

- Powiedziała, że jak na jej oko nie wygląda na zbyt szczęśliwego w małżeństwie.

- Hmm. - Jeszcze bardziej obiecująco. Ta pojedyncza nuta zabrzmiała niemal jak pomruk.

- A ja oświadczyłam, że mnie to nie obchodzi, że już mi całkiem przeszło.

Milczał, więc po chwili wsunęła się trochę głębiej w jego objęcia. Gdy zaczęła mówić dalej, jej głos był tak delikatny, jak wietrzyk pieszczący jej twarz.

- Powiedziałam, że jest ktoś nowy.

- Ach, tak? - Wziął głęboki wdech.

Alex poczuła, jak jego pierś unosi się i opada, jak napina się ramię obejmujące ją w pasie. Przesunęła rękami wzdłuż śliskich, puchatych rękawów jego kurtki tak, by palce mogły - jakże delikatnie! - spocząć na wierzchu jego ciepłych dłoni.

- Tak. - Cofnęła się nieco, by lepiej widzieć twarz Joego. Popatrzyła mu w oczy, lśniące srebrzyście w blasku

księżycą, ale nie mogła nic wyczytać z wyrazu jego twarzy. - Jeśli oczywiście chcesz nim być.

- Alex?

- Tak?

- Czy możesz coś dla mnie zrobić? - Jego głos był zadziwiająco wyprany z emocji.

- Na przykład?

- Siedź spokojnie i nie wierć się.

Wciąż patrzyła mu w twarz, czekając na odpowiedź, z głową odchyłoną w tył, ustami niemal dotykając jego podbródka. Poczula niezwykłą nieruchomość szerokiej klatki piersiowej za plecami i mocniejszy nacisk rąk oplatających jej talię.

Nim zdążyła zapytać, dlaczego ma się nie poruszać, odgadła to sama.

- Joe? - Wypowiedziała jego imię prawie szeptem. Zwilżył wargi, po czym zacisnął szczęki, kierując spojrzenie ku jej twarzy.

- Daj mi sekundkę - odpowiedział.

Alex uśmiechnęła się. Miała rację od początku: zetknięcie ich ciał podnieca go tak samo jak i ją.

- Dobra, towarzystwo, trzymajcie się teraz! - zawołał kierowca.

Nagle traktor zjechał z drogi i przez otwartą bramę w ogrodzeniu wtoczył się, kołysząc, na otwartą przestrzeń. Alex napięła mięśnie i przycisnęła dłonie do rąk Joego - teraz już z prawdziwej konieczności. To, czego nie dokonała silna wola, załatwiło rozproszenie uwagi: drzenie ramion zniknęło, gdy objął ją mocniej.

Gdzieś w oddali rozświetlał niebo jaskrawoczerwony blask. Ognisko, domyśliła się Alex. Ogień strzelał i huczał, a jego dźwięk narastał, w miarę jak się przybliżali. W powietrzu unosił się przenikliwy zapach dymu.

- Czy teraz mogę już się poruszyć? - zapytała cichym głosem, gdy przyczepa pieła się pod górę.

- Tylko jeśli jesteś gotowa ponieść konsekwencje - odparł Joe, dotykając wargami jej ucha, jak jej się wydawało, tym razem specjalnie. Odruchowo zwróciła ku niemu twarz - i w tej chwili przyczepa zatrzymała się z szarpnięciem.

- O tak, jestem gotowa - zapewniła go z uśmiechem, patrząc mu w oczy.

Traktorzysta obrócił się na krzeselku.

- No, towarzystwo, wysiadka. Dojechaliśmy.

### Rozdział trzydziesty piąty

Dzieciakom nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Zeskakiwały z przyczepy i pędziły w stronę ogniska, usytuowanego na środku pola, które przypominało raczej małą dolinę. Z trzech stron znajdowały się okrągłe pagórki; z czwartej, równinnej, ograniczał je las. Samo ognisko tworzyły ułożone w kształt piramidy kłody, spiętrzone na wysokość pierwszego piętra. Ogień już buzował, malując cały krajobraz i niebo nad głowami migotliwym, czerwonym blaskiem.

- Ale była frajda, prawda? - zagadnął miły głos gdzieś z mroku.

Alex zorientowała się, że to mówi kobieta, która jechała razem z nimi na przyczepie. Czula palącą świadomość tego, że wciąż siedzi prawie na kolanach Joego, wtulona w jego ciało. Poklepała go po ramieniu, prosząc tym gestem, by ją uwolnił. Kobieta podniosła się, otrzępując ubranie i zerkając jednocześnie w ich stronę. Wstał również mężczyzna, siedzący dotąd obok niej. Widać go było tylko jako cień.

- Zdecydowanie tak - odrzekła Alex, mając nadzieję, że nikt nie rozszyfrował fałszywie radosnej nutki w jej głosie.

Gramoliła się, by stanąć na nogach, wspomagana przez dłonie Joe, wspierające ją w pasie. Nagle poczuła zawstydzenie, gdyż owa kobieta patrzyła na nią tak, jakby myśli Alex wypalone były na jej czole niczym płomienna „szkarłatna litera” widoczna dla wszystkich.

- Alex, poznałaś może Patsy Whelan? Patsy, to Alex Haywood. - Słowa Joego, który podnosił się z miejsca za jej plecami, brzmiały zupełnie spokojnie.

- Och, od razu się domyśliłam, kim jesteś - odrzekła Patsy, podczas gdy Alex ostrożnie postąpiła parę kroków przez siano, by uścisnąć jej rękę. W ciemności zauważyła tylko, że Patsy jest niższa od niej, bardziej przy kości, i ma krótkie, ciemne, kręcone włosy. Alex jeszcze zastanawiała się, jak rozumieć tę ostatnią uwagę, gdy kobieta wyjaśniła: - Nie mamy tu tak wielu gości.

- Patsy jest matką Terry'ego, naszego środkowego. Tak jak i ja, Patsy i Bill - Joe skinął głową w stronę mężczyzny stojącego za Patsy - pełnią funkcję porządkowych w czasie imprezy. To Bill Whelan.

- Witaj, Alex - powiedział Bill, ujmując jej dłoń. - Terry opowiadał nam o twojej ślicznej młodszej siostrze. Najwyraźniej zrobiła spore wrażenie na chłopcach.

- Bill! - Patsy trąciła go łokciem. - Nie gadaj mi tu na Terry'ego. Chodźcie, te dzieciaki gotowe zjeść wszystko, zanim tam dojdziemy.

- Masz rację. - Bill Whelan zeskoczył z przyczepy, Patsy zaś niezgrabnie poszła w jego ślady, prostym sposobem siadając na brzegu i zsuwając się na dół. - Idziesz, Joe?

- Jasne.

Joe minął Alex i również zeskoczył na dół. Podeszła do skraju przyczepy i spojrzała: do ziemi było dość daleko, a ona miała buty na wysokich obcasach. Nie chciała tak jak Patsy niezgrabnie zsuwać się na siedzeniu, ale...

Joe rozmawiający z Whelanami dostrzegł jej wahanie.

- No chodź - powiedział, odwracając się i wyciągając do niej ramiona.

Przez chwilę patrzyła w dół na jego opaloną, przystojną twarz, oświetloną blaskiem ognia, na jego wysoką postać o szerokich ramionach, oczekujących, by ją złapać, i zdała sobie sprawę, że kołacze się w niej gwałtowne życzenie, by Whelanowie rozwiali się jak dym w tej sekundzie. Ale oni stali tam, gdzie przedtem, z ciekawością patrząc, jak pochylała się i oparła ręce na ramionach Joego. Chwycił ją w pasie pod blezerkiem, z łatwością uniósł i postawił przed sobą na ziemi. Spojrzeli sobie w oczy. Nim zdjęła dłonie z jego ramion i usunęła się na bok, minęła chwila.

- Jak myślisz, kto jutro wygra, „Rakiety” czy „Niedźwiedzie”? - zagadnął Joego Bill Whelan.

Było jasne, że ci dwoje spodziewali się, że pójdą do ogniska w czwórkę. Joe ruszył razem z nimi, Alex szła z boku, słuchając jednym uchem rozmowy. Zrobiła kilka kroków, nim się zorientowała, że trzymał ją mocno za rękę.

- Damy im popalić - mówił Joe z przekonaniem.

Alex przewróciła oczami. Czy ci faceci o niczym innym nie rozmawiają, tylko o koszykówce? Nawet Joe okazał się w tym względzie nudziarzem.

Rozmowa toczyła się dalej, przechodząc w rozgorączkowaną analizę chyba każdego meczu koszykówki, jaki kiedykolwiek był i będzie rozegrany. Patsy też brała w tym udział, podczas gdy Alex nie mówiła nic i usiłowała nie potknąć się na nierównym gruncie; poza tym rozkoszowała się faktem, że nawet gdy próbowała zabrać rękę, Joe nie zwalniał mocnego uścisku.

Za nimi przyjechały kolejne przyczepy. Alex słyszała warkot traktorów i klekotanie drewnianych platform, gdy pojazdy wspinały się na wzgórze, a potem wszystko to cichło nagle, kiedy przystawały. Później następowały krzyki, wybuchy śmiechu i tupot biegnących nóg, a pasażerowie przyczep zeskakiwali i pędzili w stronę ogniska. Na szczęście rozentuzjasmowany tłum rozdzielił ich z Whelanami, jeszcze zanim zeszli ze wzgórza. Na nieszczęście nie było ucieczki przed dziećmi.

- A teraz R! - usłyszała czyjś wyraźny głos.

- R! - odpowiedział chór zebranych.

- A teraz A!

- A!

- A teraz K!

- K!

Owacja była ogłuszająca. Zamiast ruszyć wprost do ogniska, Joe okrążył wykrzykujących wokół niego kibiców. Alex zobaczyła, że na przeciwległym krańcu pola ustawiono długie stoły, nakryte białymi, papierowymi obrusami. Stało na nich wszystko, od surowych kielbasek do hot-dogów, gotowych, by je nadziać na patyki i smażyć, przez napoje i naczynia z lodem aż po stopy czekoladowych ciasteczek z bitą śmietaną. Za stołami uwijali się dorośli, w większości kobiety, ale było też paru mężczyzn. Po jednej stronie stały zaparkowane w szeregu samochody i ciężarówki, co tłumaczyło, w jaki sposób tamci znaleźli się na miejscu wcześniej niż pierwsza przyczepa.

- Głodna? - zapytał Joe.

Alex przypomniała sobie, że nic nie jadła, lecz zgodna z prawdą odpowiedź brzmiałaby: „Owszem, ale nie jedzenia”.

- Nie - odrzekła.

- Ani ja.

Szli dalej. Potknęła się na krowim placku ukrytym w trawie - chyba dziesiąty raz. Joe mocniej ścisnął ją za rękę, chroniąc przed upadkiem na kolana.

- Księżniczko, czy ty w ogóle masz jakieś tenisówki?

Wiedząc, że Joe myśli o jej obcasach, uśmiechnęła się słodko.

- Ależ, oczywiście. Wkładam je, kiedy gram w tenisa.

- Mogłabyś też wyciągnąć je z szafy na taką okazję, jak zlot kibiców.

- Gdybym wiedziała, że będę się przedzierać przez łąki i pastwiska, to może bym tak zrobiła. Z drugiej strony buty wojskowe byłyby chyba lepsze. Jak myślisz, mógłbyś trochę zwolnić? Wtedy moje wysokie obcasy nie będą stanowić problemu.

Zaśmiał się i zwolnił odrobinę.

- Idę za szybko? Wybacz. Usiłuję uciec stąd, zanim całe miasto nas zauważy i podejdzie, żeby pogadać.

Ten cel tak dokładnie pokrywał się z życzeniami Alex, że, nie zważając na wysokie obcasy, była gotowa iść tak prędko, jak Joe uzna to za konieczne.

- A, w takim razie, odwołuję poprzednie słowa. Prowadź.

- Eli ma dzisiaj odebrać nagrodę, więc chciałbym jeszcze chwilę zaczekać i popatrzeć. No i Jenny występuje. A potem...

- Co potem? - zapytała, gdy urwał.

- Potem możemy robić, co nam się zwykle podoba.



Dotarli do miejsca niedaleko lasu, gdzie cienie drzew zlewały się z mrokiem nocy, oferując trochę prywatności. Blask ogniska dawał nieco światła, poza tym w pobliżu było kilkoro ludzi, ale i tak to miejsce znajdowało się poza zasięgiem tłumu i z dala od ciągłych wędrówek tam i z powrotem do stołów z jedzeniem.

- Czyli co? - zapytała, patrząc na niego, gdy przystanęli.

- Nie wiem. Może porwiemy jakiegoś hot-doga, czy coś takiego. - Uśmiechnął się szeroko i unióśł jej dłoń do ust gestem, od którego Alex poczuła, że mięknie w środku, potem jednak zwrócił uwagę na ognisko, przed którym jakiś mężczyzna z tubą krzyczał coś, czego Alex nie mogła w tej chwili zrozumieć.

Dłoń, którą Joe ucałował, paliła żywym ogniem. Ależ zadrżała. Joe spojrział na nią. -

- Zimno? - zapytał, obejmując lekceważącym spojrzeniem jej bardzo szykowny i bardzo drogi blezer. Z miny mężczyzny jasno wynikało, że to, co myśli o jej ubraniu na ten wieczór, pokrywa się z jego opinią o jej butach.

Nie było jej zimno, nie całkiem. Choć wieczór zrobił się chłodny, Alex czuła wewnętrzny żar.

Nie miała jednak zamiaru mówić mu o tym. Jeszcze nie teraz.

- Trochę - skłamała.

- Masz. - Wyraźnie interesowała go zabawa, trwająca przy ognisku: właśnie wrzucano na stos szmaciane kukły; puścił dłoń Alex, zsunął kurtkę i zarzucił jej na ramiona.

Gdy otulił ją niebieski śliski materiał, sama nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Oto ona, ubrana w elegancki bliźniak Jil Sander, w butach od Manolo Blahnika, tonących w błocie z krowiego pastwiska gdzieś na końcu świata, otulona najbrzydszą kurtką, jaką widziała w życiu, ogląda jakieś dziwaczne obrzędy, które nic a nic jej nie obchodzą.

I na dodatek w zasadzie jest z tego zadowolona.

Obecność tego mężczyzny u jej boku oznacza, że znalazła się dokładnie tam, gdzie pragnęła być.

Chwyliła poły kurtki i przyciągnęła je bliżej, żeby okrycie się nie ześlizgnęło. Materiał był nadal ciepły od ciała Joego i przesiąknięty jego zapachem. Alex wciągnęła powietrze i roześmiała się ze swojej własnej głupoty.

- Dalej, Eli! - wrzasnął jej ideał, składając dłonie w trąbkę.

Alex spostrzegła, że Eli stoi właśnie przed wiwatującym tłumem i odbiera coś, co wygląda jak... kiść bananów? Nie miało to za bardzo sensu, ale przecież nie dosłyszała ani słowa z tego, co mówił wcześniej mistrz ceremonii (czy jak tam nazywali faceta z megafonem). Oczywiście klaskała, kiedy Eli unióśł banany (chyba nie?) nad głową jak dawno upragnione trofeum, a potem skrzywiła się, kiedy Joe wydał z siebie przenikliwy gwizd niemal prosto w jej ucho.

Gdy tylko przestało jej dzwonić w uszach, trąciła go łokciem.

- Powiedz no mi - odezwała się, gdy spojrział na nią pytająco. - Czy naprawdę przed chwilą Eli dostał kiść bananów?

- Nie uważałaś - zganił ją Joe.

- No dobrze, dostał czy nie?

- Tak. To coroczna nagroda za popisy na boisku. To znaczy, że Eli jest zręczny jak małpa, rozumiesz? Dużo kozłuje za plecami.

- Ach, rozumiem - powiedziała Alex. - Musisz być strasznie dumny.

Joe uśmiechnął się szeroko.

Dziewczęta z pomponami podskakiwały, tłum wrzeszczał jeszcze głośniejsze, a ktoś z tyłu poklepał Alex po ramieniu. Obejrzała się zdumiona.

- Nie uwierzę, że jesteś kibicem „Rakiet”.

Przypomniała sobie dentystę, którego poznała w czasie swej pierwszej już na zawsze zapamiętanej wizyty w stajni, gdy przyjechała, by zwolnić Joego; za mężczyzną szła szczupła brunetka, gdzieś po trzydziestce. Kobieta uśmiechnęła się i Alex odpowiedziała jej uśmiechem.

- Na to wygląda - odparła niezręcznie.

- Hej, Ben, w tym roku pokażą, co potrafią, jak myślisz? - Joe obejrzał się również i zobaczył nowo przybyłych.

- Wszystko na to wskazuje.

- Alex, pamiętasz Bena? A to jego żona, Tracy. Ich chłopak, Steve, to nasza szóstka.

Niech będzie, nieważne, pomyślała, ale uśmiechnęła się tak, jakby rozumiała, co Joe właśnie powiedział. Naprawdę, gdyby nie to, że prawie kręciło jej się w głowie z pożądania, to uległaby pokusie i walnęła go w głowę. Nie stoi tu przecież po kostki w krowich placach tylko po to, żeby wysłuchiwać, jak Joe rozmawia o koszykówce.

- To jest panna Haywood, Tracy - wyjaśnił Ben swojej żonie. Wzrok Tracy ześlizgnął się z twarzy Alex na kurtkę Joego, której poły Alex wciąż ścisnęła obiema rękami.

- Domyśliłam się - odrzekła kobieta.

Jakaś nuta w jej głosie kazała Alex zastanowić się nad tym, co właściwie mówi się o niej w miasteczku. Pomyślała, że prawdopodobnie nie chciałaby się jednak dowiedzieć.

- Alex - poprawiła, puszczając jedną połą kurtki i wyciągając rękę.

- Tracy.

Ucisnęły sobie dłonie, po czym Ben i Tracy odwrócili się, by razem z nimi przyglądać się uroczystości. Grupa

około trzydziestu dziewczynek ustawiała się przed ogniskiem i Alex zorientowała się, że to właśnie chór Jenny szykuje się do występu.

W ciemności trudno było odróżnić jedną buzię od drugiej. Alex musiała naprawdę mocno wyteżać wzrok, by odszukać Jenny. Dziewczynka stała w środkowym rzędzie, trzecia od lewej. W migotliwym blasku ognia nie można było dostrzec różowych pasemek we włosach ani w ogóle niczego prócz ogólnego kształtu sukienki.

- Widzisz, dlaczego nie przejmowałem się zbytnio tymi paskami? - zapytał Joe, po czym zaczął gwałtownie klaskać, gdy dziewczynki skończyły śpiewać „Piękną Amerykę” i zaczęły „Mój stary dom w Kentucky”.

Gdy chór skończył, wszyscy ponownie bili brawo i zachwycali się, jak pięknie dziewczynki śpiewały.

- Tato, mogę dostać pięć dolców?

To był Josh, który podszedł razem z grupą kolegów. Alex nie widziała go wcześniej: musiał jechać na innej przyczepie. Dzisiaj nosił na szyi ciężki, złoty łańcuch, a na głowie okrągłą czapkę, naciągniętą na uszy. Alex musiała się uśmiechnąć i zerknęła na Joego, by zobaczyć, jak ten zareaguje na buntowniczy wygląd syna. Najwyraźniej jednak wcale mu to nie przeszkadzało. Wysupłał pieniądze i chłopcy zniknęli.

- Alex, nie jesteś głodna? Wybaczcie, chyba pójdziemy upolować coś do zjedzenia.

Zanim Alex zdążyła odpowiedzieć, Joe chwycił ją za łokieć przez kurtkę i skierował w stronę stołów z jedzeniem.

- Na razie!

- Cześć!

Pożegnalne okrzyki przyjaciół wciąż rozbrzmiewały im w uszach.

- Jak na dworcu głównym - mamrotał cicho Joe, prowadząc ją wzdłuż linii drzew, wciąż jednak kierując się mniej więcej w stronę biało nakrytych stołów. Potem spojrzął na Alex.

- Jesteś już głodna?

- Nie bardzo.

- I dobrze - odpowiedział, po czym pociągnął ją w głąb lasu.

### Rozdział trzydziesty szósty

Jeszcze czterdzieści minut temu ten dzień, nawet jeśli nie był najgorszy w jego życiu, to na pewno mieścił się w pierwszej dziesiątce, pomyślał Joe. Minęło trochę czasu, zanim dotarli do niego wszystkie konsekwencje tego, co mówił Tommy. A gdy już wszystko pojął, ta przerażająca sytuacja przyprawiła go dosłownie o mdłości: musiał po drodze zatrzymać się i kupić tabletki na żołądek, zanim udał się na kolejne spotkanie. Odnalezione buty Laury i jej torebka, poplamiona prawdopodobnie krwią, worek na śmieci zawierający spalone ludzkie szczątki - Laura spalona na popiół? Laura? Jej twarz - jej piękna, roześmiana twarz, taka jak wtedy, gdy ujrzał dziewczynę po raz pierwszy - wciąż stała mu przed oczami. Boże, kochał ją do szaleństwa, jako chłopak i jako młody mężczyzna. Wszyscy ostrzegali go przed małżeństwem z Laurą: przyjaciele, ojciec, mama i Carol. Rozrywkowa dziewczyna, tak ją nazywali, i mieli całkowitą rację. Ale on był absolutnie przekonany, że to, co zaczęło się między nim a Laurą, jest tak odmienne od wszystkich innych romansów, że nie słuchał i ożenił się z nią - a potem, naturalnie, wypił piwo, którego sobie nawarzył. Do dnia, gdy wniósł sprawę o rozwód, zdążył ją znienawidzić. W końcu nienawiść umarła w nim, tak jak wiele lat wcześniej umarła miłość do żony. Teraz jednak, gdy wszelkie uczucia Joego dawno wygasły, nadal robiło mu się słabo na myśl o tym, że został po niej worek popiołu.

Jeżeli to naprawdę szczątki jego żony - lecz to przecież niemożliwe, takie rzeczy po prostu nie zdarzały się w tej okolicy - to na pewno, jak powiedział Tommy, sama sobie tego nie zrobiła. Ktoś zabił Laure, a potem włożył jej ciało do worka.

A to znaczy, że popełniono zbrodnię. Ktoś zamordował Laure, najwyraźniej dawno temu. Ale tutaj? Nie ma szans.

On na pewno tego nie zrobił, choć Rob ostrzegł go, że współmałżonek jest zawsze pierwszym podejrzanym, poza tym powszechnie znana była historia ich związku. Znał ją każdy w promieniu kilku kilometrów. Na szczęście każdy znał także Joego. Nie spodziewał się, by chciano oskarżyć go o zabójstwo. Raczej nie.

Ale jeżeli było to morderstwo i nie on jest sprawcą, to kto?

Już sama ta myśl, kiedy Joe zastanawiał się nad każdym z przyjaciół i sąsiadów, była alarmująca.

Z drugiej strony jednak Laura była nieobliczalna i samowolna, zależało jej tylko na prochach i facetach. Może zaplątała się w coś, co ją zgubiło, w jakiś handel narkotykami albo coś takiego...

Boże, Joe miał nadzieję, że tak nie było. To by tylko pogorszyło sprawę. Jeszcze więcej obrzydliwej pożywki dla plotek, kiedy - jeżeli w ogóle - ta sprawa wyjdzie na jaw.

Nieważne, co zrobiła Laura - zawsze pozostanie matką jego dzieci.

Boże, jeśli to wszystko prawda, jeśli to ona jest w tym worku - modlił się gorąco, by tak nie było - będzie musiał powiedzieć dzieciom.

Chwileczkę, mitygował się sam, kiedy tylko ta myśl wraz z towarzyszącymi jej obrzydliwymi implikacjami po raz pierwszy pojawiła się w jego głowie. Tylko chwileczkę. W tej chwili wszystko, co wiadomo, to to, że w worku na śmieci gdzieś na polu znaleziono buty Laury i jej torebkę z niezidentyfikowanymi plamami, a obok leżał drugi

worek zawierający kości i włosy. Tommy nie był nawet jeszcze pewien, czy te szczątki należą do człowieka, a co dopiero, czy to szczątki Laury.

Nie ma sensu martwić się na zapas. Kiedy będzie coś wiedział na pewno, wtedy może sobie nawet zemdleć. I wtedy powie dzieciom.

Jak na razie, najlepsze - i jedyne - co może zrobić, to spróbować o tym nie myśleć i czekać.

Około półtorej godziny po tym, gdy Joe pożegnał się z Tommym, spotkał się z całą grupą bankierów i innych inwestorów w Louisville. Uprzejmie wysłuchali jego planów wykupienia części hodowlanego inwentarza Whistledown i stworzenia stajni wyścigowej. Bardzo szczegółowo przyjrzeni się biznesplanowi, a następnie ogłosili werdykt.

Pomysł jest dobry, wykonalny i chętnie go poprą - pod warunkiem, że sam Joe również zdecyduje się ponieść część ryzyka. W efekcie oznaczało to, że w dodatku do wnoszonego doświadczenia, nakładu pracy i posiadanego wyposażenia będzie musiał zabezpieczyć inwestycję sumą około dwustu pięćdziesięciu tysięcy dolarów - w gotówce.

To było tak, jakby powiedzieć komuś: jasne, oczywiście, pewnie, możesz poślubić przystojnego księcia - jeśli uda ci się wcisnąć własną stopę numer czterdzieści w ten szklany pantofelek rozmiar trzydzieści sześć.

Ćwierć miliona dolarów w gotówce! Joe nie widział możliwości, by zebrać taką sumę. Gdyby sprzedał wszystko, co posiada - a przecież nie wszystko było wolne od innych obciążeń - to i tak nie przypuszczał, by udało mu się tyle dostać.

Poza tym Joe i jego dzieci muszą z czegoś żyć, w czasie gdy on będzie zmagał się z tym przedsięwzięciem.

Wrócił ze spotkania akurat na czas, by zrobić jeszcze szybki obchód stajni, wziąć prysznic, przebrać się i wyruszyć razem z Joshem na przedmeczową imprezę kibiców.

W chwili gdy wsiadł na przyczepę razem z drużyną, był już tak przygnębiony, jak nigdy w życiu.

I wtedy na platformie pojawiła się Alex i dosłownie padła mu w objęcia.

A on dostrzegł jedyny jasny promyk w tym ponurym dniu.

Już tylko to, że trzymał ją w ramionach, podziałało lepiej niż jakiegokolwiek lekarstwo, które w życiu zażył. Nim dojechali na miejsce, nawet jeśli nie zapomniał o wszystkich wstrząsach tego dnia, to przynajmniej zdołał odsunąć je na chwilę od siebie.

Teraz, gdy pociągnął Alex w głąb lasu, myślał już tylko o niej.

Niedojrzałe - oto jak można by najlepiej określić jego zachowanie, pomyślał, uśmiechając się w duchu do siebie, gdy prowadził ją praktycznie czarną ścieżką, którą pamiętał tak dobrze, że mógł nią iść niemal z zawiązanymi oczami. Tą ścieżką, już w podstawówce, prowadził w las dziewczyny spotkane na zlotach kibiców. Dużo było tych imprez i dużo dziewczyn. Joe znał wszystkie dobre miejsca.

Nie był też tu jedyny, sądząc po dostrzeganych ukradkowych poruszeniach pod drzewami po obu stronach ścieżki. Dzieciaki wymykające się do lasu - ten zwyczaj istnieje równie długo jak nastolatki.

Był jednak pewien problem: on sam miał już prawie trzydzieści siedem lat. A wymknięcie się do lasu to łagodne określenie tego, co mu chodziło po głowie.

- Hej, ty tam, w górze! Gdzie ognisko? - Głos Alex był jednocześnie rozbawiony i trochę zdyszany. Mówiła cicho, półgłosem i Joe ledwie ją słyszał na tle odgłosów imprezy dobiegających z tyłu i bliższych szmerów z lasu.

Czuł podniecenie, już tylko słuchając jej głosu ze słabym akcentem z północy.

- Nie wiem, jak ty - odpowiedział przez ramię - ale ja chętnie bym się wy dostał poza zasięg wzroku, zanim ktoś nas zobaczy i postanowi wybrać się razem z nami na spacer.

Mimo to zwolnił, mając na uwadze jej wysokie obcasy, które, musiał przyznać uczciwie, może i okazały się niepraktycznym obuwiem na taką imprezę, ale były seksowne jak wszyscy diabli. W zasadzie wszystko, co miała na sobie, było seksowne jak diabli: i obcisłe, czarne spodnie, dzięki którym jej nogi wydawały się niesamowicie długie i zgrabne, i sweter, który opinał jej piersi jak druga skóra i wydawał się taki miękki w dotyku, że tam, na platformie z sianem, Joe robił co mógł, żeby tylko trzymać ręce przy sobie. Hasłem tej przejażdżki powinno być: „i nie wódz nas na pokuszenie”. Gdy tak siedzieli razem, ona wciśnięta między jego uda, przeszedł przez najgorsze piekło - i niebo zarazem. Ręce nie trzęsły mu się tak, odkąd skończył siedemnaście lat.

Ale też wyciągnął z tego zdarzenia nauczkę: wszelkie jego próby uodpornienia się na wdzięki Alex Haywood są tylko stratą czasu. Już wsiąkł kompletnie - i to tak głęboko, jak to tylko możliwe.

Ścieżka była zbyt wąska, by mogli iść obok siebie, więc Alex kroczyła za nim krok w krok, trzymając go kurczowo za rękę. Miała szczupłe dłonie o długich palcach i chłodnej, miękkiej skórze. Oblał go żar, gdy przypomniał sobie ich dotyk na skórze.

- Czy taki właśnie mamy plan? Idziemy na spacer? - Lekka nutka rozbawienia w jej głosie niemal kazała mu na nowo przyspieszyć kroku.

- Powiedzmy.

- Ach... rozumiem. Często chodzisz na spacer do lasu w kompletnych ciemnościach?

- Nie za często. - Prawdę mówiąc, ostatni raz zaciągnął dziewczynę do tego lasu, kiedy miał osiemnaście lat. Później dojrzał do uprawiania miłości w otoczeniu bardziej intymnym i bardziej wygodnym.

- Ale wiesz, dokąd idziemy, co? Nie chciałabym tutaj się zgubić albo spaść z jakiejś skały.  
Joe pomyślał, że Alex chyba naprawdę trochę się boi i uśmiechnął się lekko do siebie. Spadanie ze skały zdecydowanie nie należało do jego planów na dzisiejszy wieczór.  
- Wiem, dokąd idziemy.  
- Słuchaj, wydaje mi się, że widziałam kogoś tam pod drzewem. - Zniżyła głos do przestraszonego szeptu.  
- Może.  
- Naprawdę. - To pojedyncze słowo, wypowiedziane szeptem, było pełne nacisku.  
- To pewnie tylko dzieciaki.  
- Po co dzieciaki miałyby siedzieć tutaj, w lesie? Cała impreza jest przy ognisku... aha.  
Znów się uśmiechnęła, słysząc to krótkie „aha”, gdy zrozumiała.  
- No właśnie, aha.

Znalazł zakręt, którego szukał, teraz całkiem zarośnięty krzakami, skręcił w boczną ścieżkę i wreszcie obszedł dookoła gęstwinę jeżynowych zarośli, która skutecznie oddzielała od reszty lasu mały nietknięty zakątek, gdzie postawiono stół piknikowy, dwie drewniane, ogrodowe ławeczki i betonową figurkę psa, trzymającego w pysku kosz z kwiatami. Joe rozejrzał się szybko wokół i zobaczył, że są tu z Alex sami.

To dobrze. Nie chciałby wypłoszyć jakiejś całującej się parki nastolatków.

- Joe...

Nim dokończyła, pociągnął ją przed siebie i oparł plecami o pień strzelistego wiązu, dzięki któremu to miejsce pozostawało chłodne i zacienione nawet w najgorętsze, najbardziej słoneczne letnie dni. Zacisnął dłonie na jej ramionach osłoniętych puchową kurtką. Nie żałował nawet, że nie ma okrycia, i nic dziwnego. Podczas jazdy na przyczepie Alex tak go rozpałała, że oddałby duszę za kubek lodowatej wody wylany na głowę. Sądząc po tym, jak się czuł teraz, możliwe, że nigdy już nie ostygnie.

Podniosła na niego oczy. Przez baldachim pozbawionych liści konarów przedostawało się akurat tyle księżycowego światła, by widział ukryty w cieniu kontur jej twarzy. Delikatne kości policzkowe, wielkie, niebieskie oczy, usta tak pełne i zmysłowe, jakich nigdy wcześniej nie zdarzyło mu się oglądać. Wsunął rękę pod jasny welon włosów Alex i oparł dłoń na jej karku. Kciukiem gładził jedwabistą skórę na jej policzku.

Zadrzała pod jego dotykiem.

- Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy tuż przedtem, nim wysiedliśmy z przyczepy? - Jego głos dobiegał z głębi gardła.

Joe z trudem panował nad sobą, ale było coś, co musiał jej powiedzieć.

- O Paulu? - spytała cicho; wyraźnie było słychać, że brak jej tchu, ale próbowała żartować.

- O kimś nowym w twoim życiu - odpowiedział, tylko troszeczkę ostrzej. - Słonko, masz już ochotnika.

Potem pocałował ją. Wargi Alex zadrzały i rozsunęły się pod pierwszym dotknięciem jego ust, jej ręce uniosły się i objęły go za szyję. Kurtka zsunęła się z jej ramion na ziemię, ale nikt jej nie podniósł.

Usta Alex były dokładnie takie, jak je zapamiętała: ciepłe, wilgotne i niewiarygodnie pełne słodczy. Boże, dniami i nocami snuł fantazje o smaku jej ust!

I smaku jej całej.

### Rozdział trzydziesty siódmy

Alex zadrzała, gdy Joe, wsuwając ręce pod jej blezer, objął ją mocno i przyciągnął do siebie. Jego ciało było silne i ciepłe, twarde od mięśni; rozkoszowała się jego dotykiem, czując, jak przyciska jej piersi do swojej; objęła go rękami za szyję. Jedna dłoń Joego ześlizgnęła się w dół, obejmując jej pośladki i przysuwając ją całą jeszcze mocniej i bliżej.

Jęknęła i wtuliła się w niego z bezwstydnym pragnieniem. Pragnęła go nagiego, na sobie, w sobie - i nie chciała czekać.

Mocne ramiona, obejmujące ją ciasno, zaczęły drżeć.

Joe uniósł głowę, przerywając pocałunek, i gwałtownie wciągnął powietrze.

- Widzisz, co mi zrobiłaś? Ręce nie trzęsły mi się tak, odkąd miałem kilkanaście lat. - Jego głos przechodził niemal w szept, gardłowy, namiętny i nieznośnie podniecający.

- Podoba mi się to.

- Ach, tak?

- A tak.

Z zachłannym pośpiechem stanęła na palcach i przycisnęła usta do jego ciepłego, klującego podbródka. Joe wstrzymał oddech, po czym położył obie dłonie na pośladkach Alex i po prostu uniósł ją w powietrze.

- Joe...

- Cii...

Znów odnalazł wargami jej usta, jednocześnie odwracając się razem z nią; przesunął dłonie z jej pośladków na uda, aż w końcu, pod jego naciskiem, oplotła go nogami w pasie.

Oderwał wargi od jej ust.

- Pamiętasz wtedy, w kuchni, kiedy siedziałaś na blacie i chciałaś objąć mnie nogami? - Szedł teraz, niosąc ją.

- Mhm. - Przywarła do niego, całując jego szyję.

- Prawie umarłem, zostawiając cię wtedy.

- Sam byłeś sobie winny.

Znów poszukał wargami jej ust, sadzając ją na stole, który ledwo zdążyła zauważyć wcześniej, w ciągu paru sekund po tym, gdy Joe wciągnął ją za jeżyny. Teraz pochylił się nad nią, aż oparła się plecami o twarde, zimne drewno. Nogi miała zaplecione wokół jego pasa, ręce na jego karku. Stół dźwigał cały jej ciężar; przez ubranie czuła niewielkie przerwy pomiędzy deskami. Joe niemal na niej leżał, pokrywając palącymi pocałunkami jej policzek i szyję. Rozpalona namiętnością, wbiła mu paznokcie w skórę, unosząc biodra w wygłodniałej reakcji na bliskość jego ciała.

- A może spróbujemy jeszcze raz w kuchni? - zamruczał jej do ucha.

- Mój Boże, Joe.

Alex wygięła się ku niemu, osłabiona pożądaniem, podczas gdy jego usta wędrowały w dół, szukając jej piersi. Zaciśnęła ręce na ramionach Joego, czując na ciele jego wargi. Podsunął do góry jej sweter i stanik i chwycił zębami sutek, już i tak twardy jak kamyk. Westchnęła gwałtownie, czując ból zmieszany z przyjemnością. Jego dłoń wsunęła się pomiędzy ich ciała, by odnaleźć guzik od jej spodni...

- Daj macha, co?

Głos zapewne nie przedarłby się przez mgłę, w której zatraciła się Alex, gdyby nie to, że rozbrzmiewał blisko - i był znajomy. Joe musiał usłyszeć go w tej samej chwili, bo uniósł głowę.

- Nie myślałam, że palisz trawę. - Drugi głos był wyższy, kokieterystyczny i jeszcze bardziej, wprost przerażająco znajomy.

- Myślałaś pewnie o kimś innym - odezwał się ponownie pierwszy głos.

Odpowiedzią był chichot.

- Co do cholery... - wymamrotał Joe; podniósł się i szybko poprawił ubranie Alex.

Zsunęła się ze stołu, wciąż nieco oszołomiona, już rozumiejąc jednak powagę sytuacji. Stała obok Joego, przyzwoicie ubrana, kiedy spoza krzaków jeżyny ukazała się wysoka, ciemna sylwetka Elięgo. Za nim, trzymając go za rękę, szła Neely. Wszystko było jasne: w tej właśnie chwili chłopak zaciągał się skrętem. Czerwony punkcik na końcu rozżarzył się, gdy chłopak wciągał dym. W powietrzu unosił się mdły, słodkawy zapach marihuany.

- Do jasnej cholery! - Tym razem Joe zawołał głośniejszym głosem, patrząc z przerażeniem na syna.

Eli zamarł; dłoń, w której trzymał skręta, opadła, a sam papieros upadł na ziemię.

- O kuma - jęknęła Neely i również coś upuściła - puszkę, która poturlała się na skraj polanki. Do zapachu trawy przyłączył się zapach piwa...

- Tato... - wykrztusił Eli.

Musiał spojrzeć pod nogi i dostrzegł wciąż tłącego się papierosa, bo zdeptał go i jednocześnie puścił rękę Neely.

Na chwilę zaległa pełna grozy cisza, gdy dorośli i dzieci wpatrywali się w siebie.

- Co ty robisz? - zapytał Joe syna, jakby nie mógł uwierzyć jednoznaczному świadectwu własnych oczu. - Co ty, do cholery, wyprawiasz?

- Tato... - powtórzył Eli udręczonym głosem.

- To moje - wtrąciła się Neely zadziornie. - Eli tylko się zaciągnął. Piwo też jest moje.

- Nie wątpię - odparł Joe, prawie nie patrząc na dziewczynę. Niemal całą uwagę poświęcił synowi.

- Neely! - jęknęła Alex z wyrzutem.

- Tato! - To był inny głos, bardziej odległy; z oddali Josh wołał ojca.

- No dobra, dawajcie to. - Joe wyciągnął w ich stronę otwartą dłoń. - Dawajcie wszystko, co macie. Natychmiast.

- Tato! - Głos Josha odezwał się bliżej, gdzieś ze ścieżki, nagląco.

- Tato, przepraszam - odezwał się Eli.

- Dawaj towar - Joe mówił niskim, złym głosem.

- Tato! - nawoływał Josh.

- Proszę. - Neely wyciągnęła coś z torebki - mały foliowy woreczek z czymś w środku - i wcisnęła Joemu w dłoń. W mroku Alex nie widziała dokładnie zawartości, lecz była gotowa strzelać. - To moje, mówiłam. Nie jego.

- Och, Neely! - jęknęła. W tym przynajmniej momencie po prostu nic innego nie przyszło jej do głowy.

- No dobra, naprzód. Oboje marsz z powrotem do ogniska. Ale i tak, niech to szlag, Eli, nie podejrzewałbym nigdy... Powiedziałem, marsz! Josh nie szukałby mnie, gdyby to nie było coś ważnego.

Wpychając woreczek do kieszeni, Joe złapał Alex za rękę i ciągnąc ją za sobą, podążał za milczącą parą winowajców. Alex w ostatniej chwili przypomniała sobie o jego kurtce, pozostawionej pod więzaniem. Złapała ją jedną ręką, w chwili gdy Joe już zniknął za kłującymi krzakami jeżyn i wychodził na ścieżkę.

- Josh! - zawołał młodszego syna w odpowiedzi na kolejny okrzyk. - Tu jestem!

- Tato!

- Czekaj, idę do ciebie.

Josh oczekiwał ich przy ścieżce. Rzucił okiem na Neely i brata, gdy pierwsi wynurzyli się z lasku, ale potem całą uwagę skierował na ojca.

- O co chodzi? - zapytał Joe ostro. Z miny chłopca widać było, że sprawa jest naprawdę poważna.
- O dziadka... Tato, dziadek jest zalany w trupa, a chce jechać samochodem, szeryf próbuje go powstrzymać i...
- Jasna cholera! - przerwał Joe z goryczą. - Gdzie oni są?
- Tam, koło wszystkich aut.
- Chodźmy. Eli, idziesz ze mną.
- I ty też - zwróciła się do siostry Alex.

Josh biegł przed nimi; przeszli przez pole aż do szeregu samochodów zaparkowanych obok stołów. Joe poruszał się tak szybko, że Alex prawie musiała biec, by dotrzymać mu kroku. Eli i Neely - chłopak z twarzą białą jak kreda, a dziewczyna wykrzywiona - szli po bokach. Joe wyraźnie zapomniał, że wciąż trzyma Alex za rękę. W tych okolicznościach nikt inny tego nie zauważył.

Wokół czarnego pikapa, który Alex rozpoznała jako wóz Cary'ego, zebrano już może z dziesięć osób.

Joe puścił ją teraz i przepchnął się przez gapiów, którzy rozstąpili się przed nim, gdy go dostrzeżono i rozpoznano. Alex i reszta trzymali się tuż za nim. Alex jednym rzutem oka objęła całą sytuację.

Cary leżał na brzuchu wprost na trawie, wierząc się, wierząc i plując wywiskami, ile wlezie. Ręce miał skute za plecami, a przysadzisty szeryf siedział mu okrakiem na plecach, by go przytrzymać.

Joe zbliżył się do nich; drżał cały z wewnętrznego napięcia.

- Co się tu, do diabła, wyprawia? - zapytał ostro. Cary wierzgnął i wrzasnął jeszcze głośniejsze. Szeryf wyraźnie miał ciężkie zadanie, próbując go utrzymać. - Do licha, Tommy, zejdź z niego.

- Sukinsyn przyłożył mi pięścią w twarz, Joe! - Szeryf uniósł twarz, na której malowało się rozżalenie. Na jednym policzku wykwitł mu rozległy, czerwony ślad, poza tym z małej ranki w kącie ust sączyła się krew. - Jest pijany jak bela, a chciał wsiąść do auta i jechać do domu. Zabrałem mu kluczyki. - Pokazał komplet na breloczku. Joe wziął je od niego i wetknął do kieszeni spodni - tej samej, przypomniała sobie Alex, w której już spoczywał woreczek z narkotykami.

- Do jasnej i pieprzonej cholery! Zejdź z niego, Tommy. Już ja się nim zajmę.

- Powiniennem go aresztować.

- Tak, wiem. No dalej, złaź. Jutro rano będzie mu wstyd.

- Powiedz mu, że jeśli jeszcze raz uderzy mnie w twarz, to go aresztuję, i nieważne, że jest twoim ojcem. - Szeryf zsiadł ze swego opornego rumaka. Cary natychmiast przetoczył się na bok i podniósł na kolana.

- Nie będziesz mi mówił, że nie wolno mi wsiąść do własnego auta! Ty mały, złośliwy draniu! Znam cię, odkąd ganiałeś z pieluchą, a teraz...

Joe pochylił się, chwycił ojca za kołnierz motocyklowej kurtki i podniósł na nogi. Widząc wściekłe spojrzenie syna, Cary zawahał się na sekundę, po chwili jednak odzyskał rezon i zaczął dalej wyklinać szeryfa tak plugawymi słowami, że Alex aż zamrugła ze zdziwienia.

- Do cholery, Joe... - zaczął szeryf.

- Tato, przymknij się - powiedział Joe ponurym głosem, potrząsając ojcem. - Zamknij się wreszcie. Tommy, zdejmij mu kajdanki.

- Ale Joe...

- Zrób, co mówię, bardzo proszę. Zabiorę go do domu.

- Do licha, powinien pójść za kratki. - Mimo to szeryf rozpiął kajdanki, po czym odskoczył na bezpieczną odległość, co było rozsądnym posunięciem, gdyż Cary zamachnął się pięścią. Joe chwycił ojca i od tyłu unieruchomił mu ramiona, po czym szarpiąc się z nim, zaczął iść w stronę samochodu.

- Niech cię diabli, nie jesteś moim synem, ty cholerny...

- Joe, nie dasz rady kierować samochodem w ten sposób. Ja będę prowadził, a ty trzymaj tego wojowniczego, nie powiem czyjego syna, żeby nie zrobił mi krzywdy - zaproponował z obrzydzeniem w głosie szeryf, idąc za Joem i jego ojcem w stronę ich wozu.

Eli, Neely, Alex i Josh ruszyli za nimi. Eli, blady i nieszczęśliwy, wbił wzrok w ojca. Alex, wciąż ściskająca w ramionach kurtkę Joego, ze złością spoglądała na swą spochmurniałą siostrę.

Cary nie przestawał się awanturować.

- Wsiądź tylko ze mną do auta, ty podły, mały, policyjny draniu, to powybijam ci zęby! Zobaczysz...

- Tato, ja poprowadzę - zwrócił się do ojca drżącym, cichym głosem Eli, przekrzykując inwektywy wykrzykiwane przez dziadka. Joe, nadal zmagając się z Carym, obejrzał się na chłopaka, którego mina wyrażała jednocześnie mękę i zawstydzenie, i pokręcił głową.

- Nie chcę, żebyś prowadził pikapa, Eli. Chcę za to, żebyś wsiadł do swojego auta i pojechał do domu.

- Tato, nie mogę, ja...

- Co to znaczy: nie możesz? - powtórzył Joe cichym głosem, przepelnionym furją. - Jeśli jeszcze nie wiesz, co dla ciebie najlepsze, to lepiej bądź w domu, kiedy wrócę.

- Moje auto zostało koło szkoły, a traktory nie będą wracać wcześniej niż o trzeciej. Tato, jeśli nie zanocuję w szkole ze wszystkimi, trener będzie chciał wiedzieć, dlaczego, i... jak się dowie, wywali mnie z drużyny. - Chłopiec mówił to głosem pełnym cierpienia.

- Do diabła, Joey, puszczaj! - odezwał się Cary, kopiąc w drzwi auta i usiłując uwolnić się z rąk syna.  
- Eli, niech szlag trafi... - zwrócił się do syna Joe, próbując jednocześnie nie wypuścić ojca. - Dobra. Jutro się tym zajmujemy. Zostań w szkole na noc i rób, co do ciebie należy, ale wróć wcześniej do domu. I na twoim miejscu nie robiłbym żadnych planów na najbliższą przyszłość.  
- Tato, przepraszam cię. - Tak też Eli wyglądał, przepraszająco.  
Josh stał obok brata i ze zmarszczonym czołem próbował zrozumieć, o co chodzi.  
- Pogadamy jutro w domu.  
- Może ja poprowadzę - zaproponowała cicho Alex, gdy Joe otwierał drzwi jedną ręką i wpychał szarpiącego się ojca na przednie siedzenie. Było oczywiste, że potrzebuje pomocy, żeby dowieźć Cary'ego do domu, a szeryf, który teraz obserwował wszystko z pewnej odległości, nie wydawał się najlepszym kandydatem na pomocnika.  
Joe odpowiedział jej krótkim spojrzeniem.  
- Świetnie. Dzięki. - Wyjął z kieszeni kluczyki i podał je Alex. Potem spojrzął na starszego syna. - Słyszałeś, co powiedziałem. Jutro, jak najwcześniej.  
Nieszczęśliwy Eli kiwnął głową. Idąc do auta, Alex zatrzymała się przy Neely.  
- I my też pogadamy o tym jutro - powiedziała niemal bezgłośnie, choć raz gotowa spełnić swe groźby co do joty.  
- A jeśli sprawisz mi dzisiaj jeszcze jakiś kłopot albo jeśli jutro nie dojdziemy do jakiegoś porozumienia co do twojego zachowania w przyszłości, to przed wieczorem będziesz w drodze do internatu. Przysięgam na wszystkie świętości, że tak się stanie.

### Rozdział trzydziesty ósmy

Drapieżca pogwizdywał przy pracy. Naprawdę, to był świetny dzień. Minionej nocy doznał objawienia. Zamiast spędzać w pokoju Alexandry może z dziesięć minut za każdym razem, wymyślił sposób, by mieć ją przed oczami prawie cały czas, i to nie ryzykując wystawiania się na żadne z zagrożeń, związanych z jej ewentualnym zaginięciem.

Znajdował się w Whistledown, w sypialni Alexandry; w suficie nad jej łóżkiem i w łazience instalował właśnie minikamery wideo. Kiedy skończy, będzie miał własną, prywatną stację telewizyjną: cała Alexandra, Alexandra non stop.

Ona sama i jej siostra znajdowały się teraz na zlocie kibiców, który potrwa do drugiej, trzeciej nad ranem. Wiedział o tym, bo sam też był na imprezie i widział je tam. Całe miasto bawiło się, tak jak zawsze, nie wyłączając najbliższych sąsiadów Whistledown - Joego Welcha z całą rodziną.

A więc pobyt w tym domu o tak wczesnej porze - była dziesiąta wieczór - naprawdę nie stanowił żadnego ryzyka.

W domu nie było nikogo, prócz tego przekłętą kocurą.

Ten zwierzak ciągle go obserwował. Trochę wcześniej, gdy Drapieżca pracował, poczuł nagle, że ktoś za nim stoi. Wrażenie było tak silne i tak niesamowite, że odwrócił się natychmiast, szybciej niż się normalnie poruszał.

I zobaczył, że wielki, pomarańczowy kot, który chyba był duchem tego miejsca, patrzy na niego wielkimi oczami, w ogóle ich nie przysmykając, i rejestruje każdy ruch.

Nie cierpiał tego zwierzaka. Już wcześniej widywał go w Whistledown. Kot zawsze pojawiał się jakby znikąd, laził za nim wszędzie, i choćby nie wiem jak człowiek się starał - nigdy nie dawał się schwytać.

Drapieżca uczynił kolejną próbę i znów nie dał rady: zdyszany patrzył, jak zwierzak umknął pod łóżko Alexandry.

Pewnego dnia, obiecał sobie, pewnego dnia usmaży tego kota na frytkę.

A tymczasem będzie się zabawiał oglądaniem Alexandry, obiecywał sobie. „Każdy twój gest, każdy twój oddech...” - zauważył, że pogwizduje tę piosenkę, instalując ostatni maleńki element w ostatniej maleńkiej dziurce, którą wywiercił w suficie, i umilkł, uśmiechając się szeroko.

Jakież z niego bystry i dowcipny mężczyzna!

Gdy skończył, powstał przez chwilę w miejscu, podziwiając swą pracę z zadowoleniem: dziurka nie większa od śladu po pinezce nad łóżkiem i druga, taka sama, w łazience.

Alexandra nigdy ich nie zauważy, nie będzie nawet podejrzewać, że ktoś patrzy, gdy ona się przebiera, gdy bierze prysznic, gdy śpi...

Ta myśl tak go podnieciła, że postanowił wpaść jeszcze na chwilę do Kasandry, zanim wyjdzie.

Choć nie była ona - nie, zdecydowanie nie była - dziewczyną, na którą miał dziś ochotę. Jej wysuszone, niereagujące ciało wydawało się mniej więcej tak smakowite jak przesmażony stek, w porównaniu z jedwabistymi krągłościami Alexandry...

Ha, cóż, trudno, powiedział sobie filozoficznie. I znów uśmiechnął się szeroko, gdy zauważył, że pogwizduje teraz melodię „Kochaj tę, którą masz”.

### Rozdział trzydziesty dziewiąty

Naprawdę, strasznie mi przykro, Eli - przepraszała Neely pokornym głosem.

Siedzieli w terenówce chłopca, toczącej się ciemną, praktycznie pustą drogą w kierunku Whistledown. Minęło około piętnastu minut od chwili, gdy ojciec Eliego, dziadek i Alex wyruszyli, by odstawić starego pijanicę do domu. Jeśli Eli i ona się pośpieszą, kalkulowała, to może uda jej się wpaść do swojego pokoju i zabrać stamtąd

zapas trawy, nim ktoś go znajdzie. Bo na pewno będą szukać - przechodziła już przez to w szkole. Za każdym razem, gdy dorośli złapią cię na ćpaniu albo picciu, przeszukują pokój, żeby znaleźć resztę towaru. W sypialni w Whistledown Neely miała trawę i dużo innych rzeczy: przede wszystkim speed, żeby nie przybierać na wadze, i konopie, i trochę valium na uspokojenie; gdyby Alex to odkryła, chybaby zrobiła w majtki ze strachu. Pewnie też wysłałaby ją do jakiejś wojskowej szkoły z internatem na resztę życia. Gdyby znalazł to ktoś inny - na przykład, powiedzmy, przystojny tatuś Eliego - od razu wezwałby gliny. Miała więc tylko tę jedyną szansę, żeby schować zapasy i ratować tyłek.

Musi tylko wślizgnąć się do domu, a potem - pędem do pokoju, porwać towar i zniknąć. Maksimum pięć minut, przysięgała Eliemu, błagając, by ją zawiózł do Whistledown i tłumacząc, co może się stać.

Jedyny problem w tym, wyjaśnił jej, że jego auto stoi na szkolnym parkingu, a żadne z nich nie miało innego wozu, by dostać się z miejsca imprezy do szkoły. Ten problem sam się rozwiązał, gdy podczas ich sprzeczki Neely zobaczyła znajomą dziewczynę, Cindę Hawkins, z którą chodziła na angielski; Cinda właśnie wsiadała do samochodu z jakimś starszym chłopakiem, który przyjechał specjalnie po nią. Nie ma sprawy, odrzekła, gdy Neely przypadła do niej i błagała o podwiezienie jej i Eliego na szkolny parking. Koleżanka najwyraźniej uznała, że oni, tak jak i ona, chcą się wymigać od szkolnego noclegu.

Przez całą drogę do szkoły Eli nic w ogóle nie mówił i Neely domyśliła się, że chłopak boi się ojca. Czuli się trochę winna tej sytuacji. Eli nie zapaliłby skręta - a przynajmniej nie wtedy - gdyby ona nie miała trawy przy sobie. Normalnie podpalał trochę, ale nie za dużo, i w ogóle nie pił. Potrafiła to zrozumieć teraz, kiedy zobaczyła jego dziadka całkiem zalanego.

Alkoholizm to dziedziczna przypadłość. Ten nałóg dotknął też jej rodziny, choć nikt o tym głośno nie mówił. Wiele lat temu ojciec Neely też był takim samym pijakiem, jak dziadek Eliego. Ona sama nie pamiętała wiele z tamtych czasów, gdyż nie mieszkała za często u taty, ale słyszała różne opowieści od służących i innych ludzi.

Może dlatego tak bardzo smakuje jej piwo, zastanawiała się Neely. Może ona też będzie alkoholiczką. Kiedy ojciec żył, jakby miała nadzieję, że tak się właśnie stanie. Przynajmniej wtedy musiałyby się nią zająć, musiałyby zrobić coś ze swoją niechcianą córką, której przekazał tę chorobę.

A może i tak nic by go to nie obeszło.

- To chyba nie jest najlepszy pomysł, Neely - protestował niespokojnie Eli nawet wtedy, gdy już mknął szosą. - Mój tata i tak już jest wściekły. Jeśli przyłapie nas, jak zabieramy coś z Whistledown, i to w momencie, kiedy powinienem być na imprezie... Boże. Nie chciałbym tego przeżyć.

- Nie złapie nas - zapewniała go Neely. - Możesz wyłączyć światła, a ja, przysięgam ci, uwinę się błyskawicznie. Eli, jeśli nie zabiorę tego towaru, Alex albo twój tata przeszukają pokój albo wezwą gliniarzy i oni zaczną szukać, no i znajdą co nieco. Będę miała przesrane. Jeśli wciągną w to policję, mogę nawet pójść do kicia.

- Jesteś za młoda, żeby iść siedzieć - zauważył ponuro Eli. - Najwyżej do poprawczaka.

- Jakby to było lepsze!

- A co, jeśli oni są w domu? - zapytał Eli, zaniepokojony. - Boże, nie chcę teraz wpaść na ojca. I tak już ma dość, nigdy mi tego nie zapomni.

- Jeśli są w domu, to my nie wejdziemy do środka. Poza tym nie mogą być już w Whistledown. Muszą odwieźć twojego dziadka i zostać przy nim, póki się nie uspokoi. To na pewno trochę zajmie. Nie mogli jeszcze wrócić do Whistledown... mamy trochę czasu.

- Kurna, Neely, sam nie wierzę, że to zrobiłem. - Głos Eliego był tak pełen żalu, że Neely spojrzała na niego z ciekawością.

- To co, twój tata cię zbije za to wszystko, czy jak?

Sądząc po wyglądzie Joego, przypuszczała, że tak się stanie. Ponieważ nigdy nie mieszkała z własnym ojcem, nie bardzo wiedziała, jak ojciec powinien zareagować na taki wybryk. Sądząc po minie ojca Eliego, jego reakcja będzie na pewno okropna.

Chłopak spojrzał na nią z niesmakiem.

- Nie, nie zbije mnie. Pewnie da mi szlaban do końca życia, zabierze kluczyki od auta i każe pracować na farmie, aż mi ręce odpadną, i Bóg wie, co jeszcze. I na pewno powie, że go zawiodłem. I to będzie prawda. Zawsze martwił się o Josha, że wykręci mu taki numer, nigdy o mnie. Ma do mnie - miał - zaufanie - zakończył Eli prawie załamany głosem.

- Tak strasznie cię przepraszam - zaczęła znowu Neely, przysuwając się jeszcze bliżej, co było trochę trudne, jako że już siedziała tuż obok niego na podwójnym przednim siedzeniu. - Kto by przewidział, że wpadniemy na twojego tatę w środku lasu?

- No tak. - Eli był zrezygnowany.

- Wiesz, pewnie pieprzył moją siostrę.

- No.

- O Boże, Eli, tu był zjazd, przegapiłeś go! - Neely obejrzała się przez ramię, gdy mijali skręt w Polną Drogę, wiodącą na farmę.

- Myślisz, że pojedę środkiem ulicy? - zapytał chłopak gwałtownie. - A jeśli będą akurat wyjeżdżać albo coś?



Podjadę od tyłu, przez pola. Trzymaj się.

Auto zwolniło i po sekundzie wjechało w zwirową zatoczkę, gdzie Eli wyłączył światła. Stamtąd ruszyli w ciemnościach po wertepach przez pole.

- Czy ty cokolwiek widzisz? - wyszczała Neely, trzymając się obiema rękami deski rozdzielczej.

- Widzę Whistledown. Nie martw się, wiem, co robię.

Neely także widziała dom - zgrabny, kwadratowy kształt na szczycie wzgórza wprost przed nimi. Z okien lał się blask - zarówno ona, jak i Alex wołały zostawiać światła włączone, kiedy wychodziły. Podjazd był najwyraźniej pusty. Za rezydencją, u stóp wzgórza, stał ciemny dom Welchów.

- Muszą jeszcze ciągle być u dziadka - oświadczył Eli z ulgą w głosie, wypowiadając otwarcie to, o czym Neely właśnie pomyślała.

- A nie mówiłam?

Samochód stanął niedaleko tylnego wejścia. Neely wygrzebała z torebki klucz.

- Poczekam tu i będę uważał, czy ktoś nie idzie - zaproponował Eli. - Idź i zabieraj ten przeklęty towar, ale biegiem!

Tak zobowiązana do pośpiechu Neely wygramoliła się z szoferki.

### Rozdział czterdziesty

Drapieżca znajdował się właśnie w piwnicy Whistledown i był w drodze do Kasandry, gdy zorientował się, że na samym środku łóżka Alex zostawił wiertarkę. No, coś takiego na pewno by zauważyła, pomyślał. Oczywiście nie miałyby pojęcia, jak to narzędzie znalazło się na jej kołdrze. Zabawnie byłoby obserwować, jak stara się znaleźć wyjaśnienie.

Ale nie! - powiedział sobie. Mogłaby wezwać gliny. Na wiertarce są jego odciski palców. Gdyby przyjechała policja, gdyby byli dociekliwi i zdjęli odciski, mogliby zacząć węszyć.

Takie jest życie. Jedno „gdyby” za drugim. Żeby odnieść sukces, nie można przeoczyć żadnego „gdyby”.

Ruszył więc z powrotem na górę, by zabrać swoją własność. Wchodził tylnymi schodami, poruszając się szybko pomimo tuszy, ponieważ niecierpliwił się, by odwiedzić Kasandrę i wrócić do domu. Naprawdę, po ostatnich nocach, kiedy się tu mocno zasiedziało, zaczynał odczuwać pewne zmęczenie.

Może powinien zacząć zażywać geriatvit. Uśmiechnął się na tę myśl i wciąż się uśmiechał, gdy usłyszał kroki, zbliżające się w jego stronę z korytarza na piętrze.

Zdziwiony, otworzył szeroko oczy. Był już niedaleko szczytu schodów - za późno, żeby się wycofać. Rozejrzał się po wąskiej klatce i jej gładkich ścianach: nie ma się gdzie ukryć. Czuł, jak adrenalina zaczyna krążyć w jego krwi, gdy pomyślał, że być może za chwilę zostanie odkryty. W pewien sposób - dzięki pobudzeniu, jakiego dostarczał organizmowi - strach okazał się równie przyjemny jak seks: czy nie to Drapieżca zawsze powtarzał Kasandrze i innym?

Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, mocując się z guzikiem, i wyjął paralizator...

Na szczycie schodów pojawiła się Kornelia - młodsza siostrzyczka.

### Rozdział czterdziesty pierwszy

Dla Alex jazda z Joem i Carym była koszmarem. Stary pluł przekleństwami, na próżno usiłując wyzwolić się z rąk syna. Joe tylko od czasu do czasu rzucał jakieś zdawkowe uwagi, przeplatane różnymi wersjami poleceń, by ojciec się zamknął. Alex milczała, koncentrując się na prowadzeniu auta. W zamkniętej kabinie odór alkoholu był tak silny, że w końcu musiała otworzyć okno, inaczej by zwymiotowała. Wreszcie, gdy już zbliżali się do skrzyżowania Polną Drogę, Cary ucichł. Alex zdumiona rzuciła okiem do tyłu i zobaczyła, że zwisał bezwładnie w ramionach syna.

- Stracił przytomność - wyjaśnił Joe ponuro.

Przejeżdżali właśnie obok Whistledown i Alex pozwoliła sobie na krótkie spojrzenie w bok, na pełne godności, stare domostwo, wznoszące się na szczycie wzgórza. Ponieważ zostawiła zapalone światła, jak zawsze, kiedy wychodziła wieczorem, i okna były jasne, dom otaczała aura oczekiwania, jakby spodziewał się jej powrotu. Po chwili Alex przesunęła wzrok na balkon na piętrze. Dokładnie w tym samym miejscu, gdzie poprzednio, stał mężczyzna. Obraz był jasny, postać rysowała się na tle jasno rozświetlonego okna...

- Na litość boską, Alex, patrz, gdzie jedziesz! - krzyknął Joe.

Zwracając ponownie uwagę na szosę, Alex skrzyła kierownicą, odbijając od pobocza i rowu. Potem szeroko otwartymi oczyma ponownie spojrzała na Whistledown. Mężczyzna zniknął. Zamrugła i popatrzyła jeszcze raz.

Nikogo nie było.

- Joe - zwróciła się do niego stanowczo - ten człowiek na balkonie... właśnie znów go zobaczyłam.

- O Boże, nie dziś. - Joe, zniechęcony, popatrzył ku Whistledown, ale oczywiście nikogo nie dostrzegł. Minęli już rezydencję, Alex jednak obejrzała się na chwilę i wyraźnie zobaczyła, że nic nie przesłaniało teraz ciepłego blasku padającego z okien.

- Ale przecież ja, naprawdę...

- Słonko, pozwól mi zażegnać najpierw jeden kryzys, dobrze?

W głosie Joego brzmiało niesamowite zmęczenie, więc, obrzuciwszy go szybkim spojrzeniem, nic już nie mówiła. Cokolwiek to było, zastanowi się nad tym później. W tej chwili są pilniejsze sprawy. Może, powiedziała sobie, to, co zobaczyła, to tylko jej wyobraźnia albo refleksy światła.

Ale sama w to nie uwierzyła.

Żwirowa droga, wiodąca do domku Cary'ego, zaczynała się obok podjazdu wiodącego do Welchów, potem zakręcała wokół stajni i kierowała się w stronę lasu.

- Otwórz drzwi, dobrze? - poprosił Joe, kiedy zatrzymali się przed chatką; on sam przerzucił sobie ojca przez ramię.

Alex skinęła głową i ruszyła przodem, po dwóch drewnianych stopniach wchodząc na wąską werandę, biegnącą wzdłuż domu. Otworzyła drzwi, Joe minął ją i wszedł do środka, niosąc ojca bezwładnego jak worek ziemniaków.

Alex weszła za nim, zamknęła drzwi i rozejrzała się w poszukiwaniu przełącznika światła. Tymczasem Joe ruszył przez ciemny dom z pewnością kogoś, kto zna dobrze drogę. Alex znalazła pstry - czek i włączyła światło. Znajdowała się w saloniku. Na lewo, za niskim blatem, na którym na książce telefonicznej stał szary telefon, zobaczyła niewielką kuchnię. Była urządzona surowo i praktycznie, umeblowana zwyczajnymi szafkami, wyposażona w białe sprzęty, z małym, okrągłym stołem ustawionym na środku.

Przed nią z saloniku odchodził korytarzyk w lewo. Jako że Joe, dźwigając ojca, zniknął właśnie tam, Alex przypuszczała, że tamtędy idzie się do sypialni.

Sam pokój dzienny był nieduży i schludny; ściany miał gładkie, otynkowane na biało, na środku znajdowały się wygodna kanapa, okryta czerwoną narzutą ze sztruksu, fotel obity tweedem w złocistym kolorze i drugi, bujany, z giętego drewna, oba umieszczone pod kątem prostym do kanapy. Biała, kamionkowa lampka, którą Alex włączyła przełącznikiem w ścianie, stała na sosnowym stoliku obok kanapy. Identyczna lampa przy drugim końcu kanapy nie działała. Przed sofą znajdowała się podłużna ława, a pod przeciwległą ścianą dość duży telewizor. Ustawiono na nim zdjęcia w ramkach i Alex przeszła przez pokój, by im się przyjrzeć. Zdjęcia rodzinne przedstawiały nieco młodszego Joego z ojcem, jakąś kobietą i dziewczynką.

Alex odgadła, że to pewnie zmarła matka i siostra Joego. Na jednym zobaczyła Joego w czarnej todze i w birecie absolwenta, kilka innych było typowymi szkolnymi fotkami trójki wnuków Cary'ego. Fotografia, która przykuła uwagę Alex, ukazywała Joego, młodszego i przystojnego, w granatowym garniturze, białej koszuli oraz czerwonym krawacie, z jakąś kobietą, a także chyba małym Elim i Joshem. Chłopcy siedzieli na kolanach ojca, kobieta stała za nim. Dorośli i może około trzyletni Eli uśmiechali się do obiektywu, Josh w beciku wyglądał tak, jakby zaraz miał wybuchnąć płaczem. Alex przyjrzała się uważnie kobiecie: żona Joego była piękna, miała niewiele ponad dwadzieścia lat, a gęste, proste włosy koloru złota opadały jej niemal do pasa. Rękę oparła na ramieniu Joego, jakby pokazywała, do kogo on należy. Alex przyjrzała się dokładnie jej twarzy: była okrągła, rumiana, uśmiechnięta i bardzo młoda.

Tak wyglądała matka Eliego, Josha i Jenny - była żona Joego, Laura (Joe mówił, że tak miała na imię).

Alex wciąż patrzyła na zdjęcie, gdy Joe wrócił do pokoju. W bluzie i džinsach miał takie szerokie ramiona i wąskie biodra; stał przez chwilę w milczeniu, przeczesując ręką włosy i patrząc jej w oczy. Był tak przystojny, że aż mocniej zabiło jej serce, i tak drogi i bliski, że już sama jego obecność napełniała ją ciepłem od środka. Wyglądał na zmęczonego. Wydawało jej się, że widzi na twarzy Joego cień niepokoju, gdy popatrzył na zdjęcie i rozpoznał, które to. Alex odstawiła fotografię na miejsce i podeszła do niego.

- Zadbaleś o ojca?

- Tak. Jest całkiem nieprzytomny. Nie ocknie się wcześniej niż jutro koło południa, a potem będzie miał takiego kaca, co trwa i trwa. - Popatrzył jej w oczy i wykrzywił usta. - Boże, co za koszmarny dzień!

- Przepraszam cię za Neely - cicho powiedziała Alex.

Wydał jakiś dźwięk pośredni między śmiechem a parsknięciem, potem uniósł jej rękę do ust i przycisnął wargi do wnętrza dłoni. Tam, gdzie ją pocałował, skóra zaczęła palić.

- Nie jesteś wszak stróżem swojej siostry - odrzekł z lekkim uśmiechem. Trzymając ją za rękę, podszedł do kanapy i usiadł ciężko. Pociągnął Alex do siebie, więc przytuliła się do niego. Objął ją ramieniem. Oparł nogi w butach na ławie, skrzyżował je, odchylił głowę na oparcie i spojrzał z boku na Alex. - Zdaję sobie sprawę, że nie zdołasz jej upilnować. Tak jak i ja nie potrafię upilnować Eliego. Kiedy dzieci osiągają pewien wiek, muszą podejmować decyzje samodzielnie. Masz nadzieję, że te decyzje będą właściwe, ale tego nie da się przewidzieć. Nie obwiniam też twojej siostry o to, co zrobił Eli. Powinien być mądrzejszy.

- Jak go ukarzesz?

- Ma już pewny szlaban aż do matury, poza tym zacznę go pędzić do roboty na farmie, aż będzie tak zmęczony, że straci wszelką ochotę do pakowania się w kłopoty - mówił Joe ponurym głosem. Potem nabrał powietrza i zapatrzył się w sufit; zmarszczki wokół jego oczu się pogłębiły. - Dałbym głowę, że Eli nie zrobi czegoś takiego. Okazuje się, że przegrałbym zakład.

- Wiesz, to wspaniały chłopak.

Joe się wykrzywił.

- W takiej sytuacji zaczynasz się zastanawiać, czego jeszcze nie wiesz o własnym dziecku, nieprawdaż? - Znów na nią popatrzył. - A ty jak ukarzesz siostrę?

Alex bezradnie wzruszyła ramionami.

- Porozmawiam z nią. Odeślę do surowej szkoły z internatem. Co mogę zrobić? Ona nie jest zła, tak w głębi serca. Jest tylko... zaniedbana, i to w najprawdziwszym znaczeniu tego słowa. Zawsze miałyśmy obie każdą rzecz, której zapragnęłyśmy, ale Neely chciała uczucia. Nie miała go za dużo, szczerze mówiąc.

- Ty ją kochasz.

- Tak, ale jestem tylko jej siostrą. To nie to samo. Ona pragnęła miłości rodziców, miłości ojca. Nigdy nie czuła, że tata ją kocha.

- Czasem się zastanawiam, czy ojcowska miłość wystarcza. Może to, czego dzieci naprawdę potrzebują, to uczucie matki. Nie potrafię wybrać odpowiednich ciuchów dla Jenny, nie potrafię wyrwać Josha z najwyraźniej wiecznego złego nastroju, no a teraz Eli i narkotyki. - Joe zaśmiał się krótko, ale nie był to radosny śmiech. - Robilem, co tylko mogłem, by dobrze wychować całą trójkę, ale to chyba za mało.

- Ty przynajmniej kochasz swoje dzieci i one o tym wiedzą.

- Tak, Kocham.

- Joe.

- Hmm?

Głowa Alex spoczywała na jego miękkiej bawełnianej granatowej bluzie. Pachniał przyjemnie, pomyślała, świeżym powietrzem, rozgrzaną skórą, dymem z ogniska, może z niewielką domieszką alkoholu, od ojca (ona pewnie też śmierdzi bimbrem; odór przeniknął wszystko w kabinie auta). Odchyliła się troszeczkę do tyłu, żeby widzieć wyraźniej jego twarz.

- Opowiedz mi o swoim ojcu. Czy jest taki - to znaczy, czy pije, odkąd byłeś mały, czy... - Urwała.

Jego wargi zadrżały. Odwrócił głowę, ponownie wbijając oczy w sufit. Zmienił pozycję, tak że teraz jego ramię leżało płasko na oparciu kanapy. Alex przesunęła się razem z nim i objęła go rękami w pasie.

- Tata pił, odkąd pamiętam, pewno jeszcze zanim się urodziłem. Kiedy byłem mały, nie było jeszcze tak źle. Po prostu pił, póki film mu się nie urwał, nie za często, może co parę miesięcy, i któreś z nas okrywało go tam, gdzie akurat padł, i tyle. Był trenerem rasowych koni, dość znanym - wiedziałaś o tym? - Alex potrząsnęła głową. - Miał wtedy w Churchill Downs stajnię pełną koni, które szycował do wyścigów. Pewnego dnia upił się i padł nieprzytomny właśnie tam, w stajni, a kiedy się ocknął, ogier Vince'a Atkinsona, wart dwanaście milionów, miał złamaną nogę, i to tak fatalnie, że dolna część po prostu trzymała się tylko na kawałku skóry. Konia trzeba było uspić, Atkinson odebrał ubezpieczenie - a w świat poszła plotka, że mój ojciec wziął pieniądze i przymknął oko na to, że uspił zwierzę, żeby właściciel dostał odszkodowanie. Atkinson i tak po paru miesiącach zbankrutował, a mój ojciec nigdy już nie dostał do treningu konia pierwszej kategorii. Jego kariera się skończyła. Konie, którymi się zajmował, były coraz gorsze, tak samo jak dżokeje i tory wyścigowe, aż wreszcie ojciec wyleciał z interesu. Nie mógł nawet dostać pośledniego konia do treningu. Musiał sprzedawać ubezpieczenia, Boże drogi, a nie był w tym za dobry. To wtedy zaczął naprawdę ostro pić. Kiedy mama i siostra zginęły, pił już w zasadzie co weekend. Teraz robi to dwa razy częściej. To dlatego mieszka tutaj, a nie ze mną. Nie chcę, żeby kręcił się koło dzieci, kiedy jest w takim stanie. Zwykle upija się tutaj całkiem sam i film mu się urywa. Mniej więcej co trzy albo cztery miesiące wykręca mi taki numer jak dzisiaj. Już zaczynam mieć tego dość, muszę ci powiedzieć. Widziałaś minę Eliego? I Josha? Moje dzieci wstydzą się za niego. A po dzisiejszej nocy, wierz mi, zamierzam mu powiedzieć wprost, że daje im cholernie zły przykład.

- I co chcesz zrobić w tej sprawie? - zapytała cichym, współczującym głosem.

Przesunęła dłoń na jego pierś, gładząc miękką, bawełnianą bluzę. Przez materiał czuła twarde mięśnie Joego. Wyraźnie nieświadomy jej współczujących gestów, wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Co mogę zrobić? Chyba zacisnąć zęby, aż do następnego razu. - Spojrzała na nią z boku i wyraz jego twarzy uległ zmianie. Joe rozpromienił się, ujął jej dłoń i uniósł do ust. - Jesteś piękna.

Alex uśmiechnęła się lekko na te słowa i chciała go pocałować. Powstrzymał ją, kładąc delikatnie palec na jej wargach.

- Muszę ci coś powiedzieć, zanim posuniemy się dalej. Coś, po czym możesz zmienić zdanie.

- Co takiego? - Spojrzała na niego ze zdumieniem.

- Szeryf wezwał mnie dziś do swego biura - powiedział poważnie Joe. - Wezwał też prawnika, mojego przyjaciela, Roba Mayhewa, i spytał, czy może nagrywać naszą rozmowę. Potem pokazał mi damską torebkę i pantofle, oświadczając, że w plastikowym worku na śmieci znaleźli szczątki, które, jak myślą, są szczątkami ludzkimi. - Popatrzył Alex w oczy. - Te rzeczy należały do Laury, a Tommy uważa, że w worku mogą również być jej szczątki.

Alex wyprostowała się gwałtownie na kanapie i wbiła w niego oczy. Z wolna docierało do niej wszystko, co wynikało z jego słów.

- O mój Boże! Szeryf uważa, że twoja była żona została zamordowana? Matka Josha, Jenny i Eliego? - Jej myśli uleciały ku pięknej blondynce z fotografii na telewizorze.

Joe skinął głową.

- Tak to wszystko wygląda.
- Tutaj, w hrabstwie Shelby? - W jej głosie brzmiało niedowierzanie.
- Najwyraźniej tak. Oczywiście, zawsze istnieje możliwość, że znalezione szczątki nie są ludzkie, a jeśli nawet są, to kogoś innego, nie Laury. W każdym razie taką mam nadzieję. Nie mam też zamiaru mówić o tym dzieciom, póki się nie okaże, że to prawda. Tommy powiedział, że zachowa rzecz w tajemnicy, dopóki laboratorium nie przyśle mu jednoznacznej odpowiedzi.
- Och, z pewnością to nie Laura - powiedziała Alex z ulgą w głosie. Potem zmarszczyła brwi i spojrzała na Joego.
- Ale co w tym wszystkim miałyby sprawić, że zmienię zdanie co do nas?

Uśmiechnął się do niej powoli i tkliwie, aż poczuła, że robi jej się gorąco.

- Nas, co? Podoba mi się brzmienie tego słowa. - Potem jego uśmiech przygasł. - Jeśli się okaże, że to szczątki Laury, będzie to oznaczać, że została zamordowana. Właśnie tu, w naszej szczęśliwej krainie. Mniej więcej osiem lat temu, najwyraźniej w czerwcu, świadczą o tym daty na pewnych papierach w jej torebce. - Wziął głęboki oddech. - Mniej więcej wtedy widziałem ją po raz ostatni. Przyjechała odwiedzić dzieci. Od tamtej pory nie widzieliśmy jej i nie mieliśmy żadnych wiadomości, co mi specjalnie nie przeszkadzało. Ale Tommy już podejrzewał, że może to ja zamordowałem Laurę, a jeśli okaże się, że to jej szczątki są w tym worku, wielu ludzi może tak pomyśleć.

Alex wpatrywała się w jego twarz.

- Na pewno nie.

Joe miał nieco przygnębioną minę.

- Może tak być. Znamy się z Tommym od przedszkola, a on nagrywa naszą rozmowę na wszelki wypadek, gdybym miał się przyznać.
- To śmieszne! - oburzyła się Alex.

Joe uśmiechnął się do niej.

- Nie zapytałaś mnie, czy to zrobiłem - zauważył Joe z lekkim uśmiechem.
- Znam odpowiedź na to pytanie.
- Ślepa wiara, co? - Uśmiechnął się jeszcze szerzej i cieplej.
- Znam takich facetów jak ty. Arogancki i bezczelny, owszem, czasami. Także niegrzeczny i niemożliwy, owszem, od czasu do czasu. Ale - morderca własnej żony? Raczej nie.

Nim skończyła, Joe uśmiechał się już od ucha do ucha.

- Dziękuję ci za ten uderzająco pochlebny komentarz. Przypomnij mi, żebym nigdy nie poprosił cię do zaświadczenia o moim charakterze.
- Prawda w oczy kole. - Alex powtórzyła jego słowa wypowiedziane do niej jakiś czas temu. Joe znowu przysunął do ust jej dłoń, ucałował, potem odwrócił wnętrzem do góry i przycisnął do niej wargi. Alex poczuła na skórze dotyk jego języka i zadrzała. Zamrugała powiekami i nieświadomie rozchyliła usta.
- Nie uważasz chyba naprawdę, że jestem - jak to było? - arogancki, bezczelny, niegrzeczny i niemożliwy, co?

Przesunął usta na jej nadgarstek, tam, gdzie bije puls: jego rytm przyspieszył znacznie. Alex wiedziała, że Joe czuje jej galopujące tętno na wargach. Nie miało to jednak znaczenia: była pewna, że potrafiłby odczytać jej emocje ze spojrzenia.

- Na pierwszy rzut oka? Oj, tak.
- No proszę, to dziwne. Widzisz, nawet kiedy mnie wyrzucałaś z pracy, pomyślałem sobie: „Co za laska”.
- Kłamczuch - odpowiedziała Alex nieuważnie, chłonąc oczami kontrast pomiędzy bielą swoich smukłych palców a brązem jego mocnej dłoni, która je obejmowała, i odnotowując wrażenie nagłej suchości w ustach, przyspieszony oddech i gwałtowne rozluźnienie wszystkich mięśni.
- Mówię prawdę, przysięgam. - Nagle w jego oczach zamigotało rozbawienie. - Nie myślisz chyba, że wymyśliłbym taką historyjkę, byle tylko dobrać się do ciebie?
- A nie zrobiłbyś tak? - Spojrzała mu prosto w oczy.

Potrząsnął głową.

- Jestem dużo bardziej bezpośredni w działaniu.
- Ach, czyżby?
- A tak. Na przykład, gdybym chciał się do ciebie dobierać, zacząłbym od ułożenia cię, o właśnie tak - wsunął rękę pod kolana Alex i przechylił ją tak, że leżała na plecach na kanapie, z nogami na jego kolanach - potem pochyliłbym się - zawisł nad nią - i pocałował.

Alex właśnie wyciągnęła ręce, by objąć go za szyję, gdy poczuła na wargach jego usta.

## Rozdział czterdziesty drugi

Ten pocałunek był delikatny, długi i leniwy. Policzki i podbródek Joego drapały, krótki zarost szorował jej twarz. Uwielbiała ten męski dotyk jego brody na swojej skórze. Językiem odkrywał wnętrze jej ust, wargami dotykał jej warg tak niespiesznie, że miała wrażenie, jakby przeznaczył na to całą wieczność. Pod pierwszym dotknięciem

jego ust całe jej ciało ogarnęła gorączka i gotowa była podjąć grę na nowo w tym miejscu, gdzie ją przerwali w lesie. Pragnęła go. Och, Boże, jakże mocno go pragnęła.

Ale on najwidoczniej nie śpieszył się, co, jakby na przekór, tym« mocniej prowokowało jej reakcję. Dłonie Alex wślizgnęły się pod jego bluzę i przesunęły po nagich plecach. Wyczuwała giętkie, prężne mięśnie pod ciepłą, gładką skórą. Dłoń Joego odnalazła jej pierś, a w odpowiedzi Alex zatopiła paznokcie w skórze na jego łopatkach. Pieścił delikatnie jej sutki przez warstwy kaszmiru i jedwabiu. Alex jęknęła, wyginając się ku niemu, lecz gdy nadal tylko powoli pocierał koniuszek jej piersi, ugryzła go lekko w ucho i przesunęła się tak, by przycisnąć biodra do jego ud. Ale to tylko wzmogło jej pragnienie. Pocałowała go w szyję, ustami przesunęła po ciepłej, kłującej skórze, kołyszając się pod nim i usiłując bez słów pokazać, czego od niego oczekuje, jak chce być dotykana.

On jednak nie przestawał być delikatny i powolny - ach, jakże powolny! Uwięził jej twarz w dłoniach i obdarzał ją długimi, oszalałymi pocałunkami. Pieścił przez ubranie jej piersi, przenosząc uwagę z jednej na drugą, drażnił palcami sutki, aż stały się twarde, drżące, a pożądanie sprawiało jej ból.

I nie posuwał się dalej.

Alex nie mogła już tego znieść. Nie mogła czekać ani sekundy dłużej. Pożądała go, nagiego, natychmiast. Sięgnęła w dół, pomiędzy ich ciała, i delikatnie przesunęła palcami po jego kroku.

W górę i w dół, i jeszcze raz. Materiał spodni był sztywny w dotyku, gładki, odrobinę chłodny. Przykryła dłonią ciepłe i twarde wzniesienie, czując jego pulsowanie. Znow przesunęła dłoń wyżej i sięgnęła do zamka spodni Joego.

Pochwyił jej rękę i przytrzymał, przyciśniętą do jego dżinsów, jednocześnie unosząc głowę. Wsparty na jednym łokciu, spojrzał w dół, na twarz Alex. Przez chwilę patrzyli na siebie: morskoniebieskie spojrzenie splotło się z ciemniejszym, łagodniejszym błękitem.

Z pewną satysfakcją spostrzegła, że pan Niewzruszony także ciężko oddycha. Ciemny rumieniec zabarwił jego policzki. Odbite w jego oczach żółte światło lampy sprawiało wrażenie, jakby lśnił w nich płomień.

- Poczekaj chwilkę - powiedział. Choć mówił ściśniętym, gardłowym głosem, na jego twarzy powoli wykwitł uśmiech. - Cały czas myślę, że to ja mam uwodzić ciebie.

Alex zmrużyła oczy, zrozumiałwszy, o co mu chodzi.

- Zrobiłeś to specjalnie!

- Tak myślisz?

Był tak pociągający, że nie mogła się nawet obrazić. Czuła głód - jego ciała. Przez długi, palący moment badała spojrzeniem twarz Joego. Zorientowała się, że celowo starał się doprowadzić ją do tego, by szalała z pożądania i, musiała przyznać, że mu się udało. Teraz jednak czas odwrócić role.

Alex poruszyła szybko palcami, przyciskając dłoń do pulsującej wypukłości, i obserwowowała reakcję Joego. Gdy jego oczy pociemniały, a szczęki się zacisnęły, uwolniła rękę i wsunęła ją za pasek spodni.

Jego źrenice rozszerzyły się, aż oczy wydawały się całe czarne. Gwałtownie wciągnął powietrze i zacisnął zęby, potem sięgnął w dół, chwycił Alex za nadgarstek i odsunął jej dłoń.

- Teraz moja kolej - powiedział drżącym głosem.

Cała drżąca od pożądania, Alex wyciągnęła się na kanapie i patrzyła, jak Joe rozpina zamek od jej spodni, po czym wsuwa dłoń do środka. Jego dłoń była duża i ciepła, a koniuszki palców lekko szorstkie; przesunął ręką po jej naprężonym brzuchu, po czym odnalazł i zaczął pieścić trójkąt jasnobrązowych włosów między nogami. Miała na sobie malutkie bikini w uroczy cętkowany wzór. Znikająca pod nimi dłoń mężczyzny była najbardziej erotycznym obrazem, jaki Alex widziała w życiu. Teraz jego palce sunęły dalej, w dół, pomiędzy jej uda, dotykały jej tam, gdzie tego pragnęła, pieściły, drażniły, zapuszczały się w głąb - przez cały czas Joe nie spuszczał z niej oczu.

- O Boże, Joe - wydyszała, wijąc się konwulsyjnie pod dotknięciem jego doświadczonej dłoni; wbiła palce w miękkie poduszki kanapy; całe ciało ją paliło. - Kochaj mnie, proszę, już!

- Załatwione, Księżniczko. - Jego głos był tak chrapliwy, że słowa nieomal zamieniły się w pomruk.

Usiadł gwałtownie z poczerwieniałą twarzą i zacisniętymi szczękami. Alex jęknęła, gdy się odsunął, ale Joe porwał ją na rękę i wstał. Objęła go za szyję i przywarła do niego. Napotkała spojrzenie Joego, jasne i ostre od pożądania, a on tymczasem niósł ją przez oświetlony salon do tonącego w półmroku korytarza, a następnie wszedł do ciemnej sypialni, zamknął drzwi i przekręcił klucz.

- Twój ojciec... - wyszeptwała.

- Nie usłyszałby, nawet gdyby ekspres przetoczył się przez salon.

Zastłony były rozsunięte i wpuszczały do środka księżycowy blask. Alex zobaczyła łóżko, dwuosobowe, okryte ciemną narzutą w węzełki. Joe zerwał ją, potem zdarł kołdrę i ułożył Alex na prześcieradle tak, by jej głowa spoczęła na jednej z poduszek. Prześcieradło było gładkie, chłodne, nieco sztywne, w jakiś kwiatowy wzorek, a poduszka w takiej samej poszewce. Łóżko pachniało czystością, ale cały pokój sprawiał wrażenie, jakby nie używano go od bardzo dawna.

Joe jednym płynnym ruchem zdjął bluzę i podkoszulek. Alex pochwyliła tylko obraz jego szerokich, nagich pleców, lśniących brązowo w świetle księżycy i szeroką klatkę piersiową, porośniętą w trójkąt gęstymi, ciemnymi

włosami. Rozpięte spodnie zsunęły się poniżej bioder, odsłaniając gładką biel bokserek. Był cudowny...

I już pochylał się nad nią, szarpiąc jej spodnie i ciągnąc je w dół.

- Buty. - Alex usiłowała się podnieść. - Trzeba je zdjąć najpierw.

Puścił spodnie i przesunął się niżej. Zdecydowanie pociągnął za cholewkę. But ani drgnął.

- Przypomnij mi, że mam ci kupić adidasy - wymamrotał, szarpiąc jeszcze mocniej.

- Są na zamek - powiedziała i sama je zdjęła, rzucając oba na podłogę, a potem ściągnęła blezer, który także wylądował obok łóżka. Joe zdjął jej sweter przez głowę, po czym sięgnął niżej i zsunął jej spodnie. Została w małych figach bikini i w staniku na fiszbinach z tego samego materiału.

- Jeśli kupiłaś te rzeczy w Victoria's Secret, to Jenny kupi tam sobie bieliznę po moim trupie - powiedział, przesuwając wzrokiem po jej ciele, podczas gdy Alex, oparta na łokciu, czekała na niego w łóżku. - To najbardziej seksowne fatalaszki, jakie widziałem w życiu.

Usiadł na brzegu łóżka. Alex podniosła się i przycisnęła piersi okryte jedwabiem do jego nagich pleców, a dłońmi przesunęła po jego barkach. Były takie rozłożyste, takie silne...

- Mają tam też gładką, białą bawełnę - odezwała się gardłowym głosem, gdy Joe zmagał się z butami.

Już pierwszy uderzył z łoskotem o podłogę. Joe zajął się drugim. Alex objęła go od tyłu i gładziła drżącymi dłońmi jego klatkę piersiową. Włosy na piersiach skręcały się i wiły wokół jej palców. Sutki były stwardniałe.

- No dobra, dosyć tego.

Drugi but upadł na podłogę; nagle Joe odwrócił się, chwycił ją za ramiona i odwrócił tak, by mocją pocałować. Chwytnie powstrzymując powietrze, Alex zarzuciła mu ręce na szyję i oddała pocałunek. Joe obrócił się razem z nią w ramionach, opuścił ją na materac i sam przetoczył się na nią, zdzierając z niej bieliznę.

Zsunął spodnie i bokserki w dół kilkoma szybkimi, niecierpliwymi ruchami. Potem rozsunał kolanami jej nogi, rękami chwycił biodra i wszedł w nią głęboko. Krzyknęła, wyginając się w łuk, wychodząc mu na spotkanie i spazmatycznie chwytała powietrze, czując czystą rozkosz. Joe całował jej usta, szyję, piersi, jego wargi i język były tak samo gorące, jak on cały.

Alex odwzajemniała mu się z dziką namiętnością, paznokciami znaczyła jego plecy, oplótła nogami biodra. Wbijał się w nią z gwałtownością, która kazała jej wiać się, rzucać, naprężyć - i błagać o więcej. Wsunął palce pomiędzy nich, tam, gdzie się połączyli, i zaczął ją drażnić i pieścić. Ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi, by zdławić krótkie okrzyki, gdy tymczasem jej ciało drżało, płonęło i zwijało się konwulsyjnie.

- Joe! O mój Boże, Joe! - Kulminacja była druzgocząca. Alex niemal konała z ekstazy.

Ale on nie ustawał, nie dał jej nawet chwili, by odzyskała oddech. Parł dalej, aż zaczęła błagać go, by nie przestawał, aż znów osiągnęła szczyt, i wtedy wreszcie ulitował się nad nią i sam uległ, z ustami przy jej szyi, objawiając krótkim jękiem swą rozkosz i zagłębiając się w drżące ciało Alex.

Potem leżała bezwładnie na łóżku na wznak i czuła się mniej więcej tak, jakby przejechała ją ciężarówka z małą przyczepą. Była zbyt zmęczona, obolała i roztrzęsiona, by się poruszyć. Joe, gorący i spocony, leżał na niej, w jednym uchu słyszała jego chrapliwy oddech. Oboje byli nadzy. Czuła jego mocne, twarde uda między nogami. Poruszyła się odrobinę, na próbę, a wtedy wargi Joego dotknęły jej ucha. Dłoń, wcześniej spoczywająca na jej ramieniu, zsunęła się, by objąć jej pierś. Potem zsunęła się niżej, gładząc ją po żebrach, po brzuchu...

- Joe - zaprotestowała Alex, oplatając palcami jego nadgarstek; zorientowała się, że nie może nawet objąć jego ręki swoją dłonią.

- Już dość? - Uniósł głowę i spojrzał na nią oczyma lśnącymi jasno w zalewającej ich poświacie księżyca.

- Chciałam powiedzieć... - Uśmiechnęła się do niego, a potem przesunęła do góry tak, że teraz leżała dokładnie na nim, pierś w pierś, brzuch w brzuch, z udami przyciśniętymi do jego ud.

- Teraz moja kolej.

Po czym podciągnęła się jeszcze wyżej, by ucałować jego usta.

### Rozdział czterdziesty trzeci

*Neely* - rozległ się szept, leciutkie tchnienie dźwięku. Głos był znajomy, boleśnie znajomy...

- Tato? - wyszeptwała, otwierając oczy.

Było tak ciemno, że nie miała pewności, czy to dzień, czy noc. Tak ciemno, że nie widziała nic dalej niż czubek własnego nosa. Panował tu mrok, jak w grobie, mrok chłód i zaduch. W powietrzu czuć było wilgoć i zapach ziemi po deszczu. *Neely* leżała na czymś miękkim - na materacu? Na łóżku? Słyszała... co to? Rytmiczne kapanie jak z ciekącego kranu. I jęk...

- *Jestem przy tobie, Neely.*

- Tato?

Słyszała głos, na pewno go słyszała, nie wyobraziła go sobie. Usiłowała się poruszyć. Czuła mrowienie w zdrtwiiałych, martwych rękach. Leżąc, przygniatała je ciałem, były pod spodem. Przesunęła się i rozprostowała obolałe ramiona. Przynajmniej spróbowała je rozprostować. Drgnęły z metalicznym grzechotem, a potem nie mogła ich już przesunąć.

Na nadgarstkach miała metalowe obręcze, czymś ze sobą spięte. Ręce zostały unieruchomione za plecami.

Rozpoczęła nerwowe oględziny: podążając od metalowych obręczy na nadgarstkach, palcami namacała gładkie ogniwa z zimnego metalu - łańcuch.

Miała ręce skute za plecami.

Szarpała za łańcuch, walczyła dziko, przesuwała się i skręcała - także nogi miała zakute w kajdanki.

Boże mój, Boże, co się dzieje? Ze skutymi rękami i nogami leży oto na materacu w zimnym, wilgotnym pomieszczeniu, mroczniejszym niż najgłębsza jaskinia.

- Tato - jęknęła, choć już sobie przypomniała, że ojciec nie żyje.

Czy to dlatego słyszy jego głos? Czy sama także umarła? Nie, wtedy nie byłoby tych łańcuchów, nawet w piekle.

Na szczycie schodów był jakiś mężczyzna - to on ją pochwycił.

Tylko tyle pamiętała.

Przewróciła się na brzuch, usiłując się uwolnić, skręcała całe ciało i kopała; byle tylko się wyzwolić, i gdy to robiła, zorientowała się, że wciąż ma na sobie dzinsy i golf. Ale przecież była ubrana jeszcze w kurtkę i kowbojskie buty. Poruszyła palcami u stóp: okrywały je tylko cienkie skarpetki. Ktoś zdjął jej wierzchnie rzeczy.

Na tę myśl ciarki przeszły jej po grzbiecie.

- *Neely?* - Znow usłyszała głos ojca.

- Gdzie jesteś? - zatkała, rzucając gwałtownie głową na prawo i lewo.

Nie widziała nic, kompletnie nic. Było tak czarno, jakby straciła wzrok. Ale wiedziała, że tak nie jest.

Szarpnęła łańcuchy. Dzwoniły i grzechotały, trzymały jednak mocno, niezależnie od tego, jak się starała. Nabrała powietrza i otworzyła usta do krzyku...

- *Bądź cicho* - ostrzegł ją głos ojca.

Wtedy dostrzegła coś: dwa punkciki, dwa małe, świecące punkty, lśniące zielenią, zaledwie metr od niej. Jak para oczu w środku nocy...

Kroki. Usłyszała kroki. Ich stukot narastał, zbliżając się do miejsca, w którym leżała.

Niedobrze. Neely nie wiedziała, czemu tak myśli, ale była tego pewna.

- *Udawaj, że śpisz.*

Głos ucichł. Zielone punkciki także zniknęły. Znow znalazła się w ciemności, samotna i przerażona. Chciała go wezwać z powrotem, na cały głos zawołać: „tato!”, ale za bardzo się bała i zdawała sobie sprawę, że coś się zbliża... Coś złego, była tego pewna.

Instynkt zwyciężył. Usiłując zapanować nad oddechem, Neely przewróciła się jakoś na plecy i ułożyła mniej więcej w takiej pozycji, w jakiej się ocknęła: na wznak, z rękami pod spodem i z wyciągniętymi nogami...

Pojawiło się światło. Zbliżało się do niej jak reflektory lokomotywy. Małe światełko, bez akompaniamentu łoskotu i ryku - oczywiście, latarka. Ktoś się zbliżał, niosąc zapaloną latarkę.

Zanim Neely zacisnęła powieki, zobaczyła, że leży na niczym nieosłoniętym materacu podwójnego łóżka. Było dosunięte wzdłuż do tylnej ściany niewielkiego pomieszczenia, jakby celi o chropowatych, kamiennych ścianach i więziennych kratkach zamykających front. Miejsce, w którym się znalazła, przypominało scenografię do horroru. Wampiry czułyby się tu jak w domu.

Gdy tylko o tym pomyślała, poczuła, że włosy stają jej dęba.

Usłyszała grzechot, jakby brzęk kluczy, i zacisnęła powieki; tymczasem światło latarki znajdowało się jeszcze metr od kraty. Potem zmusiła się, by rozluźnić mięśnie twarzy...

- Witaj, Kornelio - zagruchał męski głos. Miał przyjemne brzmienie, niezbyt głębokie, z wyraźnym południowym akcentem.

Ciarki przebiegły jej po krzyżu.

- Obudziłaś się już?

Usłyszała brzęknięcie metalu o metal, cichy stukot, po czym drzwi celi otworzyły się na oścież i jakiś mężczyzna wszedł do środka, zmierzając w stronę łóżka.

Serce Neely waliło mocno; instynktownie napięła wszystkie mięśnie, ale potem przypomniała swemu przerażonemu ciału, że ma się rozluźnić, zwiotczeć, udawać sen...

- Wciąż śpisz? - W jego głosie zabrzmiało rozczarowanie; promieniem latarki omiatał jej postać. - No cóż, niech będzie. Ja mam masę czasu. Całą noc, tak naprawdę.

Roześmiał się, choć zabrzmiało to raczej jak chichot, dziwaczny chichot na wysokich tonach; usłyszawszy go, Neely miała ochotę wrzasnąć. Wiedziała jednak, że nie wolno jej tego zrobić, że musi leżeć idealnie nieruchomo, w całkowitym bezruchu, a tymczasem on ustawił światło gdzieś obok łóżka i dotknął jej, odwrócił ją na bok...

- Masz takie ładne włosy. - Wziął w palce jeden z długich, miękkich loków. - Farbujesz je, prawda? A może jesteś blondynką? Zobaczymy...

W równym stopniu mówił do siebie jak i do niej, domyśliła się Neely. Odgadła również, co ją czeka. Gwałt - o Boże, o mój Boże - a następnie zapewne śmierć z ręki tego człowieka.

Ani drgnij. Ręce i nogi musisz mieć rozluźnione. Nie zapomnij oddychać. Niemal słyszała te słowa, przewijające się przez jej umysł.

- Zrobimy tak, żeby ci było wygodniej, chcesz? - Przetoczył ją na bok, tak że leżała tyłem do niego, a jego palce

dotknęły jej dłoni, gdy manipulował przy kajdankach. Zorientowała się, że zdejmuje metalowe obręcze, gdy uwolnił najpierw jedną, a potem drugą jej rękę. Ku zaskoczeniu Neely rozmasował jej nadgarstki: ten troskliwy gest był bardziej przerażający, niż gdyby potraktował ją brutalnie. - Przykro mi, że zostawiłem cię w takim stanie na tak długo, ale miałem coś do załatwienia. Przegapiłaś właśnie niesamowite ognisko. Prawdę mówiąc, zorganizowałem je na twoją cześć. Twoja poprzedniczka właśnie się wyprowadziła.

W jego słowach nie dostrzegła najmniejszego sensu.

Nie napinaj mięśni. Zwiesz bezwładnie ręce. Są bardzo ciężkie, jak kamień...

- Tylko przykujemy tę małą rączkę do ściany, wtedy będziesz się mogła poruszać, ile chcesz. Nie chcę, żeby ci było niewygodnie. Widzisz, jestem miły dla moich gości.

Ponownie przetoczył ją na plecy, po czym łagodnie pogładził po twarzy. Rozluźnij się. Oddychaj... Jego dłoń była wilgotna od potu. Nachylił się nad nią, poczuła na sobie jego oddech, ciepły i obrzydliwy, o nikłym zapachu mięty lub czegoś podobnego, podczas gdy mężczyzna sięgnął przez jej ciało po jej lewą rękę, leżącą bliżej ściany.

- Więc nie będziesz ze mną walczyć, prawda? Byłoby mi przykro, gdybym musiał cię skrzywdzić. - Uniósł jej rękę i nasunął na nadgarstek coś metalowego. Wsunął owo coś dalej niż kajdanki, była to jakby bransoleta. - Nie śpisz już, co, Kornelio? Ach, ach! Jesteś niegrzeczna, chcesz mnie oszukać... - Dotykał jej, gładził ją lekko po karku, a potem przesunął rękę w dół, zamykając dłoń na piersi i zaciskając palce. - Taka ładna...

Neely nie mogła tego znieść. Nie mogła znieść dotyku jego ręki, jego oddechu, świadomości tego, co zaraz się stanie.

Jego palce wślizgły się pod brzeg golfu, dotykając jej nagiego brzucha...

Neely wrzasnęła. Nie wiedziała nawet, kiedy to zrobiła. Wrzasnęła mu prosto w twarz z mocą fabrycznego gwizdka, oznajmiającego koniec zmiany. Jednocześnie uniosła błyskawicznie powieki, podkurzyła kolana i wierzgnęła nogami jak kangur, trafiając stopami mężczyznę prosto w podbrzusze, aż poleciał do tyłu.

- Pomocy! Ratunku! - wrzeszczała, zrywając się z łóżka i pędząc ku drzwiom. Musi uciec, musi się wydostać, musi...

Tylko że nie potrafiła latać. Miała nogi skute w kostkach, spętane ciężkim łańcuchem, długim może na niecały metr. W samych skarpetkach chwiejnie przebiegła po zimnej, kamiennej podłodze, potknęła się o coś, prawie upadła, odzyskała równowagę - i zobaczyła, że to Eli, zwinięty w kłębek i skuty, na pierwszy rzut oka bez życia, leży na środku pomieszczenia. Nie mogła nic zrobić, bo musiała dostać się do drzwi. Musi uciec, zanim ją złapie...

Zaledwie parę centymetrów od celu zdała sobie sprawę, że jej się nie uda i zatrzymała się z ostatnim potknięciem. Porywacz podniósł się i patrzył teraz na nią z wściekłością, parskając jak szarżujący byk, z żądzą mordy w oczach. Nie ma szans, by udało jej się go wyminąć i dopaść drzwi...

- Zrobiłaś coś bardzo niedobrego, Kornelio, i będę musiał cię za to ukarać - oświadczył, po czym ruszył w jej stronę.

Kiedy go kopnęła, lecąc do tyłu, wypadł za drzwi celi, które, odbite, niemal się zamknęły. Teraz czarna, sięgająca od podłogi do sufitu krata znajdowała się pomiędzy nimi, lekko uchylona. Neely ponownie krzyknęła, gdy porywacz rzucił się w jej stronę, i chwytając za najbliższy pręt kraty, z brzękiem zamknęła drzwi - prosto w twarz mężczyzny. Nie zatrasnęły się - nie miała czym ich zablokować.

Krata uderzyła go w czoło; zawył i zatoczył się do tyłu o krok.

- Eli! Eli, pomóż mi! - krzyczała przeraźliwie Neely, rozglądając się wokół przerażona, ale chłopak nie poruszył się, była więc zdana sama na siebie...

Metalowa bransoleta nadal obejmowała jej rękę, zwieszał się od niej łańcuch, ale porywacz nie zdążył zatrasnąć zamka kajdanków. Ruchem szybkim jak myśl Neely owinęła łańcuch wokół krat tyle razy, ile zdołała, spinając razem pręty, po czym zsunęła obręcz z nadgarstka. Mężczyzna ruszył do przodu, grubym ramieniem uderzając o kraty drzwi, gdy zatrasnęła bransoletę wokół zwiniętego łańcucha, zamykając go - i tym samym drzwi celi.

- Otwórz! - W świetle latarki jego cień na ścianie z tyłu wydawał się ogromny i groźny. - Jeśli tego nie zrobisz, to... popatrz, Kornelio, popatrz! Spójrz, co się stanie, jeśli mnie nie usłuchasz!

Odsunął się odrobinę od drzwi i włączył lampę kempingową, ustawioną na środku stołu. Neely zobaczyła, że pomieszczenie poza celą przypominało piwnicę, ze składanym stolikiem, wielkim fotelem i telewizorem...

Coś wisiało przy ścianie. Coś czarnego zwisało z kajdanków umocowanych do kamieni. Aż do sufitu sięgały ślady płomieni... z przeraźliwie poparzonej głowy wciąż zwisał lok jasnych włosów... ciało... to było ludzkie ciało, spalone tak, że niemal nierozpoznawalne.

Neely wrzasnęła, a potem krzyknęła jeszcze raz, zdając sobie sprawę, na co patrzy: to coś przy ścianie było kiedyś żywe, było istotą ludzką, kobietą, sądząc po włosach...

- Miała na imię Kasandra i przestałem być z niej zadowolony, więc spaliłem ją żywcem. To samo stanie się z tobą, Kornelio, jeśli nie będę z ciebie zadowolony. To twoja ostatnia szansa. Otwórz drzwi!

Neely otrząsnęła się i cofnęła od kraty.

Porywacz zaryczał i rzucił się całym ciężarem ciała na pręty, przy akompaniamencie przeraźliwego łomotu i brzęku metalu. Drzwi ustąpiły, ale tylko o kilka centymetrów. Neely z ulgą zobaczyła, że dzięki zatrasniętemu



łańcuchowi nie zdołał ich otworzyć.

Mężczyzna wyprostował się i przez moment patrzył na nią. Potem uśmiechnął się, a od tego przerażającego grymasu dostała gęsiej skórki.

- Och... To ja mam klucz.

Nadal uśmiechając się do niej, sięgnął do kieszeni i wyjął mały, srebrny kluczyk. Przez sekundę machał nim tak, aby na pewno mogła go zobaczyć. Potem postąpił do przodu i sięgnął poprzez kraty. Patrząc pomiędzy prętami - było oczywiste, że nie widzi dokładnie, gdzie jest bransoleta - palcami zaczął szukać kajdanków i zamka, żeby je otworzyć.

- Pomocy! Ratunku! - wrzeszczała Neely.

Rzuciła przerażone spojrzenie na leżącego chłopca. Nadal się nie poruszał i pomyślała, złękła się, że może już nie żyje.

- Nikt cię tu nie usłyszy - powiedział porywacz.

Musi go powstrzymać, by nie udało mu się otworzyć drzwi...

Rozejrzała się w popłochu dookoła, szukając czegoś, czegokolwiek, czego mogłaby użyć jako broni, by go do siebie nie dopuścić. Będzie walczyć o życie...

Dojrzała swoje kowbojskie buty, rzucone koło łóżka.

But nie jest zbyt skuteczną bronią, ale to wszystko, co miała.

Mężczyzna musiał szukać dziurki w zamku, próbując czubkiem klucza. Trafił...

Neely rzuciła się do butów, złapała jeden i odwróciła się w ostatniej chwili, by zobaczyć, jak klucz wsuwa się gładko do zamka.

- Nie! - wrzasnęła, doskakując z powrotem do drzwi i jednocześnie unosząc za cholewkę but nad głowę.

Dysząc z wyczerpania i przerażenia, z całej siły walnęła obcasem mężczyznę w rękę. Towarzyszył temu taki dźwięk, jakby dynia rozbryznięła się na chodniku.

- Auu! Ty wściekła suko! - wykrzyknął, cofając dłoń i odskakując od drzwi; tymczasem mały, srebrny kluczyk upadł z cichym brzęknięciem na ziemię.

Pod nogi Neely.

Padła na ziemię i porwała go sekundę wcześniej, zanim porywacz wcisnął rękę między prętami, by odszukać klucz. Neely tyłem, jak rak, odczołgała się od drzwi i zatrzymała się dopiero na nieruchomym ciele Elięgo.

- Oddawaj! - Mężczyzna już wstawał na nogi, groźny, olbrzymi, rzucając wściekłe spojrzenia poprzez kratę.

Neely poczuła, że postawiła stopę w czymś mokrym, co przemoczyło jej skarpetkę.

Rzuciła okiem w dół i ku swemu przerażeniu zdała sobie sprawę, że stanęła w kałuży krwi chłopca.

### Rozdział czterdziesty czwarty

Zakochał się. Te właśnie słowa przebiegły Joemu przez myśl, gdy leżał na wznak z rękami pod głową, patrząc, jak blask świtu rozjaśnia sypialnię. Zza okna, gdzieś z pobliskiej farmy dochodziło pianie koguta. Ptaki zaczynały się budzić i ich poranny świergot tworzył znajome tło dla ryku wyłączanego i zapalanego silnika furgonetki rozwijającej gazety; jej opony chrzęściły na żwirze, gdy zawracała na podjeździe przy domu Joego.

Alex spała obok, zwinięta w kłębek. Z domu Cary'ego wyszli około drugiej w nocy i przyjechali tutaj. Ponieważ Jen nocowała u koleżanki, a Josh, Eli i Neely w szkole ze wszystkimi, nie było powodu, by Alex miała wracać do Whistledown.

Tak więc to, co pozostało z nocy, spędziła w jego łóżku. W konsekwencji on sam spał może godzinę.

No i... zakochał się.

Stało się to, czego najbardziej się obawiał: zakochał się po uszy w Księżniczce Alex.

I w dodatku nie miał nic przeciwko temu.

Obrócił się na bok, podparł na łokciu i popatrzył na jej twarz. Alex miała zamknięte oczy i lekko uchylone usta. Jej splątane włosy jasną chmurą zakrywały poduszkę. Koldrę naciągnęła na ramiona, zasłaniając przed jego oczyma resztę ciała, ale nie miało to większego znaczenia. Będzie jeszcze czas, żeby się napatrzeć do syta.

Tej kobiecie nie pozwoli odejść.

Może ona o tym jeszcze nie wie, ale należy do niego.

Poruszyła się przez sen i zamruczała. Nawet kiedy brała tabletki nasenne, spała niespokojnie. Wiedział o tym, bo słuchał jej śpiącej. Wstawała i kładła się co chwila, wielokrotnie też chodziła po sypialni. Miał zamiar uczynić to swoją osobistą misją, by zastąpić jej tabletki nasenne solidną porcją conocnych ćwiczeń. Może wtedy będzie mógł wreszcie porządnie odpocząć.

Uśmiechając się na myśl o tych nocnych ćwiczeniach, Joe pochylił się nad Alex i pocałował ją leciutko w ucho.

- Joe? - zamruczała sennie, unosząc jedną powiekę, by na niego spojrzeć.

- Idę sprawdzić, co u koni - powiedział z uśmiechem. - Dopiero szósta. Śpij.

Wymamrotała coś i zamknęła oczy. Jeszcze zanim postawił nogi na podłodze, poznał po równym oddechu, że zasnęła.

Wciąż się uśmiechając, Joe włożył ubranie i wyszedł, kierując się do stajni. Kiedy skończył obchód, ruszył przez

pole do domu ojca. Było ledwo po siódmej - dość wcześnie jak na pobudkę dla człowieka, który z pewnością ma solidnego kaca - ale jeśli tak, to trudno. Ostatnia noc była przysłowiową kroplą, która przepełniła czarę: czas rozwiązać alkoholowy problem Cary'ego.

Będzie też musiał rozwiązać problem Eliego. Eli. Jego syn, którego znał jak siebie samego, tak zawsze myślał. Najwyraźniej nie miał racji.

Ten błąd w ocenie charakteru syna, którego Joe kochał nad własne życie, sprawił mu większy ból, niżby kiedykolwiek mógł przypuszczać.

Otrzymał dziś druzgoczący cios.

Otworzył drzwi swoim kluczem, wszedł do środka i skierował się do kuchni, by nastawić kawę. Dla siebie. Ojciec wolałby pewnie coś mocniejszego - klin klinem. Wykrzywiając usta, Joe wyciągnął butelkę Wild Turkey z barku pełnego alkoholu jak sklep monopolowy i nalał sporą porcję do szklaneczki. Dokładnie wiedział, ile trzeba, by przemienić jego tatę z trzęsącego się, rzygającego, zataczającego się ludzkiego wraka w - do pewnego stopnia - przytomną istotę ludzką: odprawiał ten antykacowy rytuał, odkąd był dzieckiem.

Zabrał ze sobą szklanekę i ruszył do sypialni ojca.

- Hej, tato!

Zapach przetrawionego alkoholu był tak silny, że Joe na chwilę zatrzymał się w progu. Potem wziął się w garść i, stawiając szklanekę na nocnej szafce, podszedł do okna i szeroko rozsunął zasłony. Słoneczny blask wlał się do pokoju. Joe otworzył okno, by wywietrzyć trochę pokój, mając nadzieję, że dzięki temu się nie udusi; wreszcie odwrócił się w stronę łóżka.

- Hej, tato! Pobudka! - Usiadł na brzegu materaca, potrząsając ojcem za ramiona, niezbyt gwałtownie, ale też bez przesadnej delikatności. Zeszłej nocy rozebrał go do spodenek. Teraz Cary leżał rozwalony na brzuchu; jego wciąż gęste, białe włosy wyglądały, jakby ktoś ubijał je trzepaczką do piany; z otwartych ust dobywało się chrapanie tak głośne, że aż drżały szyby. - Tato!

- Hej... Joe? Co? - Cary odrobinę uniósł powieki. Gdy spostrzegł syna, zamrugał powiekami gwałtownie, potem znów z jękiem zamknął oczy. - Moja głowa... Kto rozsunał te przekłete zasłony?

- Ja. Obudź się, tato, musimy pogadać.

- Do diaska, synu, co to, umarł ktoś? - Cary znów jęknął i przewrócił się ciężko na wznak.

Podobnie jak Joe, Cary miał dość mocne owłosienie. Ale włosy na klatce piersiowej ojca były tak samo białe, jak te na głowie. Joe zauważył też inne oznaki jego starości. Jakimś cudem, Joe wcześniej nawet tego nie spostrzegł, ojciec dochował się wiszącej luźno, pomarszczonej skóry na szyi, również skóra na twarzy pomarszczyła się i nie trzymała kości. Pomimo złości na Cary'ego Joe poczuł wzruszenie na widok tych oczywistych dowodów jego wieku.

Mimo wszystko, kochał starego drania.

- Siadaj i wypij. - Jego głos odrobinę stracił na ostrości.

- Przyniosłeś mi moje lekarstwo?

- Tak. - Lekarstwo było eufemizmem, którego używali od lat na określenie dawki alkoholu, jakiej nieodmiennie wymagał Cary po wcześniejszych ekscesach. To słowo oraz bolesne wspomnienia z dzieciństwa sprawiły, że Joe zmarszczył brwi.

- O Boziu!

Cary zdołał unieść się i oprzeć o wyświecony sosnowy zagłówek łóżka, aby wziąć szklanekę, którą Joe wyciągał ku niemu. Ale ręka tak bardzo mu się trzęsła, że syn musiał przytrzymać ją swoją dłonią i pomóc donieść alkohol do ust.

Cary przełknął zawartość kilkoma szybkimi łykami, po czym zakrzuszył się i zakaszłał. Przez minutę siedział wsparty o łóżko; tymczasem Joe odstawił szklanekę na stolik.

- Pod prysznic - rozkazał bezlitośnie, chwytając ojca za ramię i na wpół ciągnąc, na wpół podnosząc go z pościeli. To również stanowiło część rytualnego otrzeźwiania.

- Je-zu, nie, tak źle się czuję, synu, mógłbyś po prostu mi dać święty spokój?

Cary chwiał się na nogach; Joe zarzucił sobie ramię ojca na szyję i zmusił go do marszu do łazienki. Gdy już tam się znaleźli, pomógł ojcu wejść do wanny, gdzie ten, wciąż w bokserkach, wyciągnął się jak długi, z jedną ręką wyciągniętą, na przemian rugając syna i błagając o litość. Joe, niewzruszony, odkręcił do oporu kran z zimną wodą i ustawił prysznic nad głową ojca.

Cary zareagował jak ryba nagle wyrzucona na ląd. Wierzgnął i oklapł, plując i prychnając; usiłował wstać, cały czas zlorzczając. Wreszcie, gdy Joe uznał, że ojciec ma już dość, zakręcił kran i odwiesił prysznic na miejsce.

Woda przestała się lać; Cary leżał w wannie, roztrzęsiony; prychnął i ocierał krople z twarzy obiema rękami. Spojrzał z wściekłością na syna.

- Jesteś bezlitosnym skurwysynem, Joe.

- Lepiej? - zapytał niewzruszony Joe i rzucił mu ręcznik.

- Która godzina, do diabła? - burknął Cary.

- Południe - skłamał Joe bez wyrzutów sumienia. - Możesz sam wstać?

- Tak, do diabła, potrafię sam wstać.

Cary chwycił się skrajy wanny z jednej strony, a z drugiej uchwytu przymocowanego do płytek, i podźwignął w górę. Joe przytrzymał go za ramię, żeby ojciec się nie wyrócił - ostrożnie, nie podchodząc zbyt blisko, aby samemu się nie zamoczyć.

- No już, no już - mówił poirytowany ojciec, wychodząc z wanny. - Idź sobie, idź do kuchni. Zaraz tam będę.

- Jeśli wrócisz do łóżka, to jeszcze raz właduję cię pod prysznic - ostrzegł go syn.

Cary odpędził go machnięciem i Joe wyszedł. W kuchni nalał sobie kawy do filiżanki, potem nalał kubek ojcu i wyjął dwie tabletki aspiryny.

Po paru minutach nadszedł Cary, powłócząc nogami, owinięty w obszarpany, długi do kostek, kanarkowożółty szlafrok, który Joe pamiętał z dzieciństwa. Na ten widok na jego usta wypłynął mimowolny uśmiech: „Wielki Ptak - dzień po” - taki tekst on i Carol zawsze podkładali do owych scen.

- Do cholery, chłopcze, lepiej dla ciebie, gdyby jednak ktoś umarł: dopiero siódma trzydzieści - zrzędził ojciec, rzuciwszy okiem na ścienny zegar. - Co z tobą, do diabła?

- Siadaj, tato - powiedział Joe i Cary, po jeszcze jednym, złym spojrzeniu usłuchał, zajmując krzesło naprzeciwko. Wziął tabletki, wrzucił je do ust i popił kawą, znów krztusząc się i kaszląc.

- Czegoś mi tu brakuje - powiedział, spoglądając znacząco w stronę barku. Gdy syn nie podchwycił jednak aluzji, Cary westchnął i pociągnął kolejny łyk kawy, zanim spojrzał synowi w oczy. - No to o co ci chodzi? - Jak zawsze, kiedy czuł się winny, w jego głosie pobrzmiwała zadziorność.

- Ile pamiętasz z minionej nocy? - zapytał spokojnie Joe.

Cary się zastanowił.

- Przywiozłeś mnie do domu i położyłeś do łóżka.

To można było założyć z dużym prawdopodobieństwem, Joe więc ani trochę nie zmodyfikował swego przekonania, że ojciec nie pamięta kompletnie niczego. Takie zaniki pamięci były główną cechą tego etapu alkoholizmu, który Cary osiągnął.

- Tak, przywiozłem cię do domu, tato. W przeciwnym razie Tommy wsadziłby cię do kicia. Dałeś mu w twarz, bo zabrał ci kluczyki od auta. Byłeś taki wojowniczy, że musiałem cię trzymać w samochodzie, w drodze do domu. A wiesz, kto prowadził wóz, kiedy ty przez cały czas szarpałeś się i przeklinałeś, cuchnąc jak cholerna gorzelnia? Alex, nie kto inny.

- Alex, co? No, to ci dopiero kobitka. Mogłeś dużo gorzej trafić, synu. - Zamiast wzbudzić w ojcu poczucie wstydu, jak miał nadzieję, Joe zobaczył, że wspomnienie Alex wywołało tylko błysk w oku starego. - Próbowałeś już z nią szczęścia? No jasne, że tak. Nie wychowałem cię na idiotę.

- Tato... - Joe ostrzegawczo zmrużył oczy.

- Nie marnuj czasu i nie zaprzeczaj, Joey. Myślisz, że nie widziałem, jak na nią patrzysz?

- Tato, nie o to teraz chodzi, jak ja patrzę lub nie patrzę na Alex. Chodzi o to, że kompromitujesz naszą rodzinę! Eli i Josh byli tam i widzieli wszystko. Tak samo ich przyjaciele. I praktycznie całe miasto, jeśli już chcesz wiedzieć.

Cary skrzywił się i tym razem zrobił trochę zawstydzoną minę.

- A Jenny?

Joe spojrzał mu w oczy. Kusiło go, żeby skłamać, wiedział, że Jenny była dla dziadka oczkiem w głowie, ale nie chciał aż tak pognębić ojca.

- Nie - odrzekł. - Ale tylko przez szczęśliwy zbieg okoliczności. Cary wyraźnie poczuł ulgę.

- W porządku, synu. Osiągnąłeś swój cel. Przykro mi i więcej tak się nie zachowam. Masz na to moje słowo.

Joe się roześmiał. Ten śmiech był chrapliwy i przepełniony goryczą.

- Tato, już we wrześnie miałem twoje słowo. A wcześniej w sierpniu. I jeszcze wcześniej, tak daleko wstecz, jak tylko sięga moja pamięć. Niechętnie ci to mówię, staruszk, ale twoje słowo nie jest już dla mnie warte złamanego grosza.

Cary wpatrywał się w niego lekko rozszerzonymi oczyma.

- No, to jest dopiero coś, powiedzić to własnemu ojcu, Joe.

Syn wytrzymał jego spojrzenie; w oczach Joego nagle błysnęła stal.

- Teraz i ja jestem ojcem, tato, i jeśli już o tym mówimy, muszę chronić moje dzieci. Nie pozwolę, by przez ciebie Eli, Josh i Jenny przechodzili przez to samo, co ja i Carol. Poza tym dajesz im zły przykład. Ja nie piję ani kropelki, zauważyłeś? Ale jesteś ty, co dwa miesiące upijasz się na umór i padasz bez ducha, a oni cię oglądają. Wiesz, na czym wczoraj przyłapałem Elię? Na paleniu trawki. Trudno mówić dzieciom: „nie wolno wam się niczym podkręcać”, kiedy ich dziadek, którego kochają, robi to cały czas. A więc układ jest taki: albo zgłosisz się na leczenie do ośrodka i otrzymasz tam pomoc, albo wynosisz się z tego domu i z naszego życia.

Cary zamarł, wbijając oczy w Joego.

- Nie możesz tego zrobić!

- Ten dom należy do mnie, tato, poza tym to moje dzieci. Mogę to zrobić.

Na chwilę zapadła cisza, gdy ci dwaj mierzyli się wzrokiem.

Cary ze smutkiem potrzęsął głową.

- Że też doczekałem tego, by mój własny syn mi groził...

- Opuść sobie, tato, w tej sprawie opuściło mnie już poczucie winy. Jestem gotów zrobić to, co muszę. Więc jak będzie? Jedziesz na leczenie czy wynosisz się stąd?

Cary zmarszczył czoło i rozejrzał się po kuchni, nim w końcu ponownie popatrzył na syna.

- Myślę, że chyba mógłbym pojechać na leczenie, kiedyś, na wiosnę może...

Joe pokręcił głową.

- W następny poniedziałek, tato. Myślę o tym już od września. Jedyne, co trzeba zrobić, to zadzwonić do twojego lekarza i wszystko załatwione.

- Joe, jesteś moim synem i kocham cię bardziej niż kogokolwiek innego, i ty o tym wiesz. Ale masz w sercu kawałek lodu, wielki jak lodowa góra, i zawsze tak było. Co by powiedziała twoja matka, słysząc, jak usiłujesz mnie szantażować w taki sposób...

Joe zmrugał oczy.

- Nawet tego nie próbuj, tato. Mówię serio. - Wstał z krzesła.

- No dobrze. Dobrze, ty uparty... Już dobrze. Pójdę na jakieś tam bzdurne leczenie, jeżeli tego chcesz. Ale muszę poczekać, choćby do początku roku.

- Nie ma czekania, tato, mówiłem ci. - Joe odwrócił się, gotów wyjść z pokoju. - Poniedziałek - albo znikasz stąd.

- Synu, jest coś, co muszę ci powiedzieć. - Nagle w głosie Cary'ego zabrzmiała desperacja, aż Joe, zaalarmowany, odwrócił się, by spojrzeć na niego. - Mam powód, żeby czekać przynajmniej do początku roku. Zgłosiłem Taniec Zwycięstwa do wyścigu Magna Futurity w Gulfstream Park. - Cary pośpiesznie wyrzucił z siebie te słowa.

- Co takiego? - Joe gapił się na ojca. Wyścig Magna Futurity odbywał się na torze na Florydzie w drugą sobotę grudnia. Była to jedna z najbardziej prestiżowych gonitw; nagroda wynosiła pół miliona dolarów, wpisowe zaś - pięćdziesiąt tysięcy. Niemożliwe, by ojciec... - Tato, nie mogłeś tego zrobić. Nie masz już nawet licencji trenera. Poza tym przecież nie mamy pięćdziesięciu tysięcy dolarów, żeby je wydać na coś takiego.

Cary przygryzł dolną wargę i odwrócił wzrok.

- Użyłem twojej.

- Co?

- Mówię, użyłem twojej. Twojej licencji, a pieniądze na wpisowe zdobyłem, powiększając twój kredyt hipoteczny. Wszystko załatwiłem listownie i na wszystkich dokumentach podpisałem się za ciebie.

Joe był tak wstrząśnięty, że mógł tylko wpatrywać się w ojca. Na pewno stary kłamie... Ale nie. Joe na tyle dobrze go znał, by to od razu poznać.

- To przecież fałszerstwo! - Joe puścił wiankę, która zawstydziłaby wczorajsze popisy Cary'ego. Gdy wreszcie zabrakło mu już siły i umilkł, Cary miał nieco lepszą minę.

- Nie powinieneś tak kłąć, chłopcze - powiedział z naganą.

To niemal sprowokowało kolejny wybuch Joego, powstrzymał się jednak i tylko łypał ze złością na ojca.

- Gdybyś był jednym z moich dzieci, zamiast na odwrót...

Cary nie dał mu skończyć.

- Joe, przez całe życie siedzę w tym interesie. Mówię ci, to ten. On może wygrać. Wiem, co mówię. Pozwól mi trenować tego konia, Joey. Proszę cię. Pozwól mi go trenować, a wtedy, przysięgam, pójdę na leczenie.

- Jezu, tato - jęknął Joe. Oczami duszy widział już utratę pięćdziesięciu tysięcy. I to jeszcze w chwili, kiedy powinien oszczędzać każdy grosz.

- On może wygrać - powtórzył Cary.

Joe dojrzał w oczach ojca błaganie i ulegając, wymyślał sobie w duchu od idiotów.

- Do diabła, tato. Dobrze więc, trenuj go.

### **Rozdział czterdziesty piąty**

Eli żył, był jednak ciężko ranny. Chyba został postrzelony, pomyślała Neely. Otwór w jego piersi nie był większy od gumki na ołówku, jak się przekonała, kiedy porywacz wreszcie odszedł, i gdy wzięła pozostawioną przez niego latarkę i podciągnawszy koszulę chłopca, odnalazła krwawiącą ranę. Ale cieknąca krew pełna była bąbelków powietrza, poza tym rana tak jakby zasysała się do środka, kiedy Eli robił wdech. Neely pomyślała, że to pewnie oznacza, że chłopak ma przebite płuco. Niejasno przypomniała sobie, że słyszała coś o zasysających się ranach na kursie pierwszej pomocy w szkole.

Skóra Eliego była zimna, jakby już nie żył. Neely wzdrygnęła się na samą myśl o tym. Leżał zwinięty na boku, w pozycji embrionalnej. Nadgarstki miał skute za plecami. Drugi łańcuch związał mu kostki.

Neely zdobyła klucz. Mały, srebrny kluczyk od łańcucha, obecnie zamykającego kratę, powinien pasować i do tego zamka. Ku swej uldze odkryła, że tak jest, zdjęła więc łańcuchy z rąk i nóg rannego, po czym przetoczyła go na wznak, przez cały czas lękliwie oglądając się za siebie na wypadek, gdyby tamten potwór powrócił.

- Eli! Eli! - Potrzęsnęła ramieniem chłopaka, wołając go po imieniu.

Nie odpowiadał, nie jęknął nawet ani nie mrugnął. Szok. Może jest w szoku? W szkole słyszała także i o tym,

lecz nie potrafiła sobie przypomnieć nic ponad to, że szok może zabić. Jak zwykle, nie uważała wtedy na zajęciach.

A teraz w panice przeszukiwała zakamarki umysłu, próbując przypomnieć sobie choćby skrawek informacji z kursu pierwszej pomocy.

Oczywiście, po pierwsze trzeba zatamować krwawienie. Nie miała jednak niczego, aby zrobić opatrunek, na przykład prześcieradła do podarcia czy ręcznika. Skarpetki - jej własne były cienkie i delikatne, ale Eli miał na nogach grube, białe skarpety: spostrzegła to, gdy zdjęła mu buty. Zsunęła skarpety z jego stóp, zwinęła obie razem w gruby tampon i przycisnęła go dłonią do rany w piersi chłopca. Po kilku minutach krew zaczęła przesączać się przez opatrunek.

Eli miał na sobie czarną bluzę z napisem „Rockets” z przodu, a pod spodem biały podkoszulek i spodnie od dresu. Bluzka i podkoszulek były mocno nasączone krwią, więc Neely zdjęła własny golf - odrobinę niechętnie, ponieważ nie chciała, żeby potwór, gdy wróci, zastał ją w samym staniku: na samą myśl o tym przeszedł ją dreszcz. Teraz jednak, drżąc z zimna i strachu, zwinęła sweter i przycisnęła go do rany chłopca.

Tym razem krew nie przesiąkła. Wreszcie Neely nabrała pewności, że może już nie dociskać opatrunku ręką. Umocowała ten prowizoryczny bandaż, związując z tyłu rękawy golfu, po czym nasunęła na wierzch podkoszulek i bluzę: tylko w ten sposób mogła ogrzać Elię. W pomieszczeniu było zimno, nawet bardzo, i ona sama też drżała.

A może trzęsła się ze strachu.

Podłoga była zimna, tak lodowata, że Neely zdrętwiały stopy. Przyszło jej do głowy, że Eli nie powinien leżeć na tej zimnej powierzchni. Powinien mieć ciepło - mizerne szansę w tym pomieszczeniu. Obejrzała się na łóżko. Gdyby udało jej się położyć go na materacu...

Bała się jednak poruszyć rannego bardziej niż to konieczne, poza tym i tak nie przypuszczała, by dała radę go podnieść. Eli był szczupły, ale wysoki i, nieprzytomny, mógł okazać się dla niej zbyt ciężki.

Zamiast tego ściągnęła materac z łóżka i ułożyła go niezgrabnie obok rannego: cela była niewielka, może dwa i pół na trzy metry, nie zostało więc zbyt dużo miejsca - po czym wtoczyła na wierzch chłopca. Kiedy skończyła, cała spływała potem. Eli jęknął i zatrzepotał powiekami, ale nie odzyskał przytomności, nawet kiedy Neely usiłowała go ocucić, wołając po imieniu i nacierając mu dłonie i policzki.

Wreszcie, ponieważ już nic innego nie przychodziło jej do głowy, ułożyła się obok chłopca, przytuliła się do jego pleców i otoczyła rannego ramieniem, mając nadzieję, że ciepło jej ciała trochę mu pomoże. Potem, choć niechętnie, wyłączyła latarkę, żeby oszczędzać baterie.

O Boże, proszę, nie daj mu umrzeć, modliła się, leżąc w mroku, wstrząsana dreszczami. Ale poza modlitwą nie przychodziło jej do głowy nic, co mogłaby zrobić.

Mogła tylko czekać na powrót potwora.

- Tato - westchnęła na głos. Tym razem jednak odpowiedzi nie było.

## Rozdział czterdziesty szósty

Ha, cóż, pomyślał Drapieżca, nie zawsze wszystko idzie zgodnie z planem. Ale odrobina spontaniczności niekoniecznie musi okazać się zła. Dzięki niej życie wciąż jest ciekawe.

A więc Kornelia to mała wojowniczką, tak? Dumął nad tym, jadąc do pracy drogą numer 60 w jasny świeży poranek. Wypchnęła go z celi, zamknęła drzwi na łańcuch - bardzo zaradna, musiał jej to przyznać.

Prawdę mówiąc, dzięki temu urosła w jego oczach.

Tak łatwo było ją porwać - wielkie, zdziwione oczy wpatrywały się w niego ze szczytu schodów, wystarczył chwyt za nadgarstek i bzyknięcie paralizatora - że nie podejrzewał dziewczyny o stawianie oporu.

Ale oczekiwania to kłoda na drodze do sukcesu, na której łatwo można się potknąć, powiedział sobie. Już poprzednio dał się zwieść wielkim nadziejom. Charles Haywood - oto kolejny przypadek, kiedy jego wyobrażenia i rzeczywisty bieg wypadków nie pokryły się ze sobą. I proszę, do czego doszło? Haywood zginął, a jego córki przyjechały do Whistledown, przez co z kolei Kornelia trafiła do klatki.

A razem z nią Eli. W zasadzie przykro mu było z tego powodu. Gdyby chłopak nie wszedł do domu, szukając Kornelii, i to dokładnie w chwili, gdy Drapieżca wynosił ją do kuchni, nigdy by mu nie przyszło do głowy, żeby zabrać także Elię. Poza tym był szybki, to znaczy, Eli: odwrócił się na pięcie, wybiegł i wskoczył do auta. Na szczęście Drapieżca miał przy sobie, poza paralizatorem, glocka. Musiał strzelić do chłopaka przez szybę. Co za bałagan. Wszędzie szkło, chłopak skrwawiony i na pewno cierpiący...

Miał zamiar skrócić męki Elię już zeszłej nocy, tuż po tym gdy skończył z Kasandrą. Płakała, kiedy przykuwał ją do ściany, świadoma tego, co się zaraz stanie. Miał teraz kilka przepięknych fotografii tej sceny, jak również płomieni wspinających się po ciele i błyskających wokół twarzy dziewczyny, zanim umarła. Krzyczała, jak wszyscy przed nią.

Gdybyż tylko mógł wystawić gdzieś swoje fotografie, na pewno zdobyłby jakąś dużą nagrodę.

Zatytułowałby kolekcję „Oblicza Śmierci”. Albo podobnie.

Miał więc zamiar skończyć następnie z Elim. Ale po załatwieniu się z Kasandrą czuł taki głód nowego, świeżego ciała, że postanowił najpierw wypróbować Kornelię, aby podporządkować ją sobie. Myślał, że potem uprzętnie bałagan, który został po Kasandrze, i na jej miejscu przykuje chłopaka.

I znów - plany swoją drogą, a rzeczywistość swoją. Nigdy niczego się nie spodziewaj, upominał sam siebie.

Nic nie miał przeciwko chłopcu, nie zamierzał go skrzywdzić, a Joe był na dodatek dość przyzwoitym gościem.

To trochę potrwa, zanim upora się z bólem po stracie syna, ale przecież w końcu mu przejdzie. Drapieżca był głęboko przekonany, że człowiek może poradzić sobie z każdą stratą.

Na przykład on sam. Jego ojciec odszedł, zanim on się urodził. Jego matka, Jean - wciąż pamiętał jej długie, jasne włosy; jako mały chłopiec lubił dotykać miękkich, jedwabistych splotów małymi, pulchnymi rączkami - śliczna Jean, która zawsze była taka smutna, cały czas, w końcu zaś zabiła się i próbowała zabić też jego, podkładając ogień pod dom, kiedy syn spał.

Obudził się na czas, by z krzykiem uciec, przedzierając się przez piekło. Przybyli na miejsce strażacy musieli go gonić. Nim udało im się go złapać, przewrócić na ziemię i zdusić płomienie, miał już poparzenia trzeciego stopnia na ponad dziewięćdziesięciu procentach skóry.

Ocalały jedynie głowa i twarz.

Proszę, oto dopiero traumatyczne przeżycie, chyba każdy się zgodzi. Poradził sobie jednak i wrócił do produktywnego życia.

No, może miał jeszcze kilka problemów, jakby powiedziała Sally Jessy.

Ale stopniowo poradzi sobie z nimi. Na tę myśl zachichotał.

W sumie, pomyślał z uśmiechem, okaże się jeszcze, że to całkiem dobry dzień.

Zeszłej nocy Kornelia pokrzyżowała jego zamiary.

Dzisiaj wieczorem zaś on pokrzyżuje jej plany.

Zabezpieczyła drzwi łańcuchem, zatrzasnęła kłódkę i sprytnie przechwyliła klucz.

Zaradna dziewczynka. Pomysłowa.

Lecz nie dość zaradna i niewystarczająco pomysłowa.

Miał zapasowy klucz.

### Rozdział czterdziesty siódmy

Zaginęli. Neely i Eli. Nadeszła północ, zanim Joe wreszcie to przyznał. Alex doszła do tego wniosku już parę godzin wcześniej. Ale przecież Neely już dawniej uciekała z domu.

- Eli nie przysnąłby tak po prostu. - Joe nadal upierał się przy swoim, po rozmowie z Tommym, po wypełnieniu formularza o zaginięciu na policji, gdy już obdzwonił wszystkich, których Eli mógł znać, i przejechał kilometry dróg, żeby sprawdzić, czy jego syn nie miał wypadku. - To po prostu nie jest coś, co on by zrobił.

Alex popatrzyła na niego. Siedzieli w salonie Welchów. Ona skuliła się na starej, pokrytej tweedem kanapie; Joe stał przed nią. Josh i Jenny, oboje zaskoczeni i zaniepokojeni nieobecnością brata, mimo protestów zostali wysłani do łóżek o jedenastej. Cary, równie załamany jak Joe, poszedł do domu parę minut temu.

Alex, za obopólną zgodą, spędzała noc w domu Joego. Dla zachowania pozorów zamierzał spać na kanapie, odstępując Alex swoje łóżko. To był jego pomysł: nie chciał, by sama nocowała w Whistledown, a ona też nie miała na to ochoty. Po pierwsze, nie chciała zostawiać go samego w tych okolicznościach. Po drugie, w tym domu było coś takiego...

Wydarzyły się tam same niedobre rzeczy. Alex pamiętała owo nocne dyszenie i nigdy nie opuszczającą jej świadomość, że nie jest sama, a także postać mężczyzny na balkonie. Jej ojciec tam umarł;

Neely zniknęła.

Alex zadrzała.

- Wiem, wiem - powiedział Joe apatycznie, przechodząc przez pokój, by rozsunąć zasłony od frontu i wyrzucić przez okno w cichą, mroczną noc. - Tak samo uważałem, że on nie pali trawy. Boże, jeśli tylko Eli nie leży gdzieś w rowie albo gdziekolwiek indziej, nie mogąc się ruszyć, to zabiję go za to, że muszę przeżywać coś takiego.

Alex wstała i podeszła do niego cicho. Objęła go w pasie i przytuliła policzek do jego pleców w niemym pocieszeniu.

- Dlaczego miałby uciekać? Tego właśnie nie rozumiem. Owszem, podpadł mi mocno i wiedział o tym. Ale nie bał się mnie przecież. Przysięgam ci, że on się mnie nie boi. Nigdy w życiu nie podniosłem ręki na tego chłopaka. Nie bałby się przecież wrócić do domu.

- Joe. - Alex było go tak bardzo żal. Przechodził przez piekło, to oczywiste. Ona to co innego, już dawno uodporniła się na wybryki Neely. Nietrudno jej było wyobrazić sobie, że siostra uciekła. Przecież uciekała już ze szkoły i innych miejsc średnio dwa razy w roku. - Ta koleżanka Neely, Cinda Hawkins, i jej chłopak podwieźli ich ze zlotu pod szkołę. Nigdzie nie ma śladu po samochodzie Eliego. Neely też wpadła w kłopoty. Zagroziłam jej, że odeślę ją do szkoły z internatem, pamiętasz? Jestem pewna, że to Neely namówiła go, by razem uciekli.

Niemal słyszała, jak Joe zgrzyta zębami.

- Twoja siostra to utrapienie.

Przycisnęła usta do jego pleców.

- Wybacz mi. Sprawiliśmy ci tyle kłopotów. Pewnie teraz marzysz o tym, żebyś nigdy w życiu nie miał już do czynienia z żadnym Haywoodem.

- Nie - odparł Joe, odwracając się, by ująć jej twarz w dłonie; popatrzył Alex w oczy. - Nie o tym marzę.

Po czym pochylił się i ucałował jej usta.

## Rozdział czterdziesty ósmy

*Neely.*

Znów odezwał się głos ojca, budząc ją z niespokojnego snu. Odkąd zaczęła śnić o nim, nie dziwiło jej już, że słyszy jego głos. A nawet czuła się dzięki temu lepiej, czuła się kochana.

- Tato?

Otworzyła oczy. Było ciemno. W pomieszczeniu znajdował się ktoś jeszcze. Czuła obok siebie czyjeś ciało - lekko ciepłe, którego nie mogła zobaczyć. Gdzie się znalazła?

O Boże. Nagle przypomniała sobie wszystko.

*Neely. On zaraz wróci.*

- Tato? Gdzie jesteś? - Usiadła, rozglądając się w mroku.

Nie wyobrażała sobie tak po prostu tego głosu. Słyszała go, wiedziała, że go słyszy. Znów zobaczyła dwa zielone ogniki, równie jasne jak poprzednio; wydawało się, że ją obserwują. Sięgnęła po latarkę, szukając przez chwilę palcami wokół, aż znalazła ją, ustawiła i włączyła.

Przez kraty wpatrywał się w nią Hanibal, z zadartym do góry ogonem.

- Hanibal. Och, Hanibal! - Na widok kota Neely przypomniała sobie o swoim położeniu. Wargi jej zadrżały, w oczach zakręciły się łzy. - Hanibal, jak się tu dostałeś?

Ale kot obejrzał się tylko, zawrócił i zniknął w ciemności. Po sekundzie Neely zrozumiała, dlaczego.

Ona także usłyszała zbliżające się kroki.

W panice skoczyła na równe nogi, chwyciła mocno latarkę i skuliła się na materacu. Eli nadal żył, wciąż oddychał, był jednak nieprzytomny. Nie zdawał sobie sprawy z tego, przez co przechodzą - przez ułamek chwili Neely prawie mu zazdrościła - i nie można na niego liczyć.

Potwór wracał, a ona zdana była tylko na siebie.

Porywacz nie może wejść do środka. Tak zabezpieczyła drzwi, że nie będzie mógł wejść.

Chyba że jest zapasowy klucz.

Nie wiedziała, skąd jej to przyszło do głowy, ale ze zgrozy otworzyła szeroko oczy, czując, jak serce wali jej w piersi z przerażenia.

Oczywiście, że miał drugi klucz. Wszyscy ludzie zawsze trzymają gdzieś zapasowe klucze, prawda? Potwór poszedł po drugi klucz, przyniesie go - i będzie mógł dostać się do celi.

- O Boże! - Neely zerwała się z łkaniem, mając supeł w żołądku, czując, jak jej kolana zmieniają się w galarete, a klatka piersiowa z trudem unosi się w walce o oddech.

Potrzebna jej broń: pistolet albo nóż.

*Nie, trzeba zabarykadować drzwi.*

Widziała zbliżający się snop światła latarki. O Boże, nie ma już czasu!

Łóżko. To jedyna rzecz, jaką może się posłużyć. Rama jest metalowa, solidna. Łóżko, dwuosobowe, miało ze dwa metry długości, sprężyny. Jak jest szerokie?

Nieważne. Ma tylko to.

Rozpacz dodała Neely sił. Odłożyła latarkę i przysunęła ramię łóżka do stalowych krat. Boże, na drodze leży Eli, i materac; jakoś nie może dobrze ustawić barykady.

Zapłonęło światło latami. Neely nawet się nie odwróciła. Plecami oparła się o zimną, kamienną ścianę; siedziała na podłodze, zapierając się stopami o materac obciążony bezwładnym ciałem Eliego: powoli odpychała go, żeby nie przeszkadzał.

- Kornelio, co ty robisz?

Ten głos, brzmiący tak zupełnie normalnie, sprawił, że oblała się zimnym potem. Materac drgnął; Neely popatrzyła na potwora - spojrzała w jego stronę, bo nie mogła się powstrzymać, boją przerażała...

- Niedobra dziewczynka! Kornelio, jesteś niegrzeczna! Już śpieszył ku celi, jedną ręką grzebiąc w kieszeni. Klucz. Wiedziała, że będzie miał zapasowy klucz. Nawet jeśli uda jej się dosunąć łóżko do krat, zostanie jeszcze sporo miejsca, dość miejsca, by zdołał otworzyć drzwi. Jeszcze dobry metr pozostał między końcem łóżka a tylną ścianą.

Wsunął rękę z kluczem przez kraty, tak jak się tego spodziewała. Przywiązał klucz do nadgarstka plecionym rzemykiem, w drugiej ręce zaś trzymał wymierzoną w twarz Neely puszkę z gazem obezwładniającym.

Tym razem zadbał, aby nie udało jej się wytrącić mu klucza z ręki.

Dysząc i płacząc, Neely skoczyła na równe nogi i rzuciła się na drugi koniec łóżka, walcząc z wielką, masywną konstrukcją, by ją odpowiednio ustawić. Rama nie była dość szeroka: kiedy dziewczyna przeciągnęła ją na miejsce, pomiędzy końcem łóżka a ścianą nadal pozostawała wolna przestrzeń.

Ale nie było jej wystarczająco dużo. Potwór wyciągnął łańcuch spomiędzy krat z przeraźliwym łoskotem dokładnie w chwili, gdy Neely zdołała ustawić swą barykadę na właściwym miejscu. Pchnął ramieniem drzwi. Neely uskoczyła do tyłu, usuwając się na bok, gdy przesunięte łóżko huknęło o tylną ścianę.

Drzwi były otwarte. Potwór wchodził do środka.

- Ratunku! - krzyczała Neely. - Błagam, niech ktoś mi pomoże!  
Już przecisnął przez szparę rękę i ramię - ale to wszystko. Otwór nie był dość szeroki.  
Porywacz nie mógł się przedostać do środka.  
Dzięki ci, Boże, pomyślała Neely i upadła na kolana, czując, że nogi ma jak z waty.  
Potwór przez uchyloną kratę zaczął rozpylać gaz.

### Rozdział czterdziesty dziewiąty

Następne dni mijały nieznośnie powoli, bez wiadomości od uciekinierów. Szukała ich cała armia policjantów i prywatnych detektywów - dzięki uprzejmości firmy Haywood - ale jak dotąd nie znaleziono żadnego śladu i choćby nawet jednego człowieka, który widział zniszczoną niebieską półciężarówkę, a w niej wysokiego chłopca o czarnych włosach i ładną blondyneczkę.

Joe wyglądał na wykończonego. Jenny i Josh, bladzi i nienaturalnie spokojni, z każdą godziną, która nie przynosiła wieści od brata, stawali się coraz bardziej apatyczni. Cały czas snuli się za ojcem, a on poświęcał im tyle czasu, ile tylko mógł. Także Alex zaczęła się martwić. Może i Neely uciekła - owszem, często uciekała - lecz zawsze pojawiała się z powrotem po jednym czy dwóch dniach. Teraz Alex nie potrafiła tego pojąć, że siostra mogła zniknąć tak po prostu, bez słowa, na tak długi czas.

Najgorsze jednak było to, że żadne z nich nie było w stanie nic zrobić. Joe przeszukiwał okolicę, aż w końcu nie została już żadna droga, asfaltowa, żwirowa czy choćby polna, którą by nie przejechał; także policja przeszukała teren, a nawet zbadała przydrożne jezioro, podejrzewając, że być może auto w jakiś sposób zjechało z szosy; sąsiedzi i przyjaciele przeczesałi na nogach lasy i pola, aż wreszcie zgodnie stwierdzono, że zaginionej dwójki nie ma nigdzie w promieniu czterdziestu pięciu kilometrów.

Teraz pozostawało tylko przeszukać resztę kraju...

Dzwoniła Andrea, z ostrzeżeniem, że jakiś dziennikarz zainteresował się zniknięciem Neely i, co było do przewidzenia, w mediach pojawiły się wiadomości na ten temat. Ale owe drobne teksty koncentrowały się na burzliwym życiu nastoletniej córki miliardera; historie te zostały tak pokrętnie napisane, że przedstawiały Neely jako narkomankę o ciele pokłutym i upstrzonym kolczykami, dla której ucieczki z domu stały się normalną sprawą. Te artykuły nie wzbudziły na szczęście dużego zainteresowania i pomimo towarzyszących im zdjęć nie stały się wielką sensacją.

A przy tym wszystkim trzeba było utrzymywać choćby pozory normalnego życia. Na trzeci dzień Josh i Jenny musieli wrócić do szkoły. Joe ani na chwilę nie przerwał pracy, Cary zaś z drobiazgową starannością trenował Taniec Zwycięstwa. Alex nie zdziwiła się na wieść o tym, że stary Welch zgłosił konia do zbliżającego się ważnego wyścigu. Ale ojciec Joego stracił entuzjazm nawet dla swego faworyta, jak zauważyła podczas wspólnych, codziennych kolacji.

Teraz właściwie mieszkała już w domu Joego. Podtrzymywali pozory sypiania oddzielnie ze względu na dzieci, ale od zniknięcia Eliego i Neely Joe nie przespał nawet paru godzin, prawda więc była taka, że spędzali nocne godziny razem, w jego łóżku lub na kanapie w salonie, na przemian rozmawiając i kochając się.

Pewnego wieczoru po kolacji wstąpił do nich szeryf, by porozmawiać z Joem. Widząc, że jego wóz zatrzymuje się przed domem, cała rodzina wybiegła na werandę z nadzieją, że przywozi wieści o zaginionych. Wyjaśniwszy wszystkim, że jego wizyta nie ma z tą sprawą nic wspólnego, Tommy poprosił przyjaciela na zewnątrz, by z nim pomówić na osobności.

Po odjeździe szeryfa Joe wrócił do kuchni, gdzie Josh, Jenny, Alex i Cary sprząтали po kolacji. Już od progu powitały go cztery pary oczu, pełnych oczekiwania.

- Josh, Jen, chodźcie do salonu - powiedział bardzo łagodnie. Napotkawszy jego wzrok, zaniepokojona Alex otworzyła szeroko oczy. Domyślała się, że cokolwiek Tommy powiedział, jest to jakaś zła wiadomość. - Alex, ty i tata równie dobrze możecie też pójść z nami.

Gdy już wszyscy usadowili się w pokoju, Joe na kanapie, mając dzieci po bokach, Alex i Cary obok, w fotelach, Joe powiedział, że zidentyfikowano ciało Laury; najwyraźniej została zamordowana w czerwcu 1991 roku, gdy odwiedziła ich po raz ostatni.

- Więc to dlatego mama przez te wszystkie lata nigdy do nas nie przyjeżdżała - odezwał się zamyślony Josh. - Zastanawiałem się nad tym. No bo to przecież dziwne, nigdy, przenigdy nie widywać swojej mamy, rozumiecie? Większość dzieci, których rodzice się rozwiedli, mieszka z matkami, a jeśli nie widują któregoś z rodziców, to zazwyczaj taty.

- Obawiam się, kolego, że jesteś na mnie skazany - powiedział Joe, wyraźnie usiłując uderzyć w nieco lżejszą nutę, po czym przeciągnął dłonią po ogolonej głowie syna.

- Nie szkodzi - odrzekł Josh, rzucając ojcu szybkie spojrzenie. Odkąd Eli zniknął, Josh prawie że chodził na paluszkach wokół Joego. - Nie przeszkadza mi to. To znaczy, jeśli tobie to nie przeszkadza.

Joe obrzucił uważnym wzrokiem twarz syna.

- Co to znaczy: „Jeśli mnie to nie przeszkadza”? Oczywiście, że nie przeszkadza! Kocham cię, jesteś moim synem.



- Eli zginął, a ja zostałem - wyrzucił z siebie Josh; w jego oczach zabłyśły łzy. - Myślę sobie cały czas, że wolałbyś, żebym to ja zniknął, a Eli był w domu.

- O Boże - Joe wyraźnie był zaszokowany. - Josh, nie! - Objął syna ramieniem i pochylił się ku niemu, patrząc mu w oczy z poważną miną. - Josh, jesteś dla mnie dokładnie tak samo ważny jak Eli, nawet nie myśl, że może być inaczej. Jesteś moim ukochanym synem. Nieważne, który z was by zginął, to nie ma najmniejszego znaczenia: cierpiałbym dokładnie tak samo. Potrzebuję was tu obu. Potrzebuję was wszystkich trojga.

Josh pochylił się, szybko, niezgrabnie uściskał ojca, po czym poderwał się i, wstydliwie rozejrzawszy się wokół, uciekł z pokoju.

Joe podniósł się, najwyraźniej chcąc pójść za nim, ale Jenny pociągnęła go za rękaw.

- Tatusiu - powiedziała, patrząc niemal surowo w górę, w jego twarz. - Tak sobie myślę, że skoro mama przyjechała tutaj i została zamordowana, to znaczy, że w naszej okolicy mieszka ktoś, kto zabija ludzi. Może właśnie ten ktoś skrzywdził Eliego i Neely.

Później, tego samego wieczora Joe, gdy już porozmawiał na osobności i z Joshem, i z Jenny, i ułożył ich do snu, zapytał Alex, czy nie miałyby ochoty na spacer. Cary jeszcze nie poszedł do siebie; usadowiony na kanapie, oglądał telewizję. Przez kilka ostatnich wieczorów zostawał do późna, zwykle do jedenastej. Alex domyślała się, że, tak jak i wszyscy pozostali, nie miał ochoty być sam.

- Poczekam tu, aż wróciacie - powiedział, machając ręką do syna. - Nie śpieszcie się, nigdzie się nie wybieram.

Noc była piękna, czysta i chłodna; gnane wiatrem chmury przesłaniały i odsłaniały usiane gwiazdami niebo, jakby grając z patrzącym w chowanego. Wąski sierp księżycy wisiał wysoko na nieboskłonie. Wiatr zdmuchiwał włosy Alex do tyłu, jasne pasma zaczęły o rękaw kurtki Joego.

- Muszę zajrzeć do koni na górze, w Whistledown - powiedział, spoglądając, jej w twarz.

Alex wsunęła palce w jego dłoń i szli blisko siebie.

- Masz ochotę na tak daleki spacer, czy chcesz tylko przejść się kawałek drogą, a ja potem wyjdę jeszcze raz?

- Możemy iść do Whistledown - odrzekła. - I tak muszę wstąpić do domu i wziąć trochę ubrań.

Skierowali się jednak w dół, a potem pod górę podjazdem do rezydencji, bo tak było łatwiej iść.

Dom stał pogrążony w ciemnościach, ponieważ Alex i tak w nim nie mieszkała. Gdy tylko weszli do środka, Joe przeszedł przez wszystkie pokoje, zaglądając do nich i włączając wszędzie światła. Pomyślała, że widok pokoju Neely niemal wywołuje ból: na oparciu krzesła w kącie nadal wisiały rzeczy, które miała na sobie w czasie ostatniej wyprawy do sklepów, a na toaletce wciąż walały się elektryczne lokówki siostry. W kątach i wnękach widać było inne rzeczy, a na łóżku leżał jej brezentowy plecak.

Neely, gdzie jesteś? - zapytała bezgłośnie Alex. I czy kiedykolwiek wrócisz?

Po raz pierwszy dopuściła myśl, że być może siostra już nie wróci.

Może przytrafiło jej się coś strasznego. Na tę myśl Alex poczuła, jak żołądek jej się zaciska.

Przecież byłej żonie Joego przytrafiło się tutaj coś okropnego, chociaż miejscowi nazywają okolicę Rajską Krainą.

- Wszystko dobrze?

Joe stanął obok, patrząc jej w twarz. Nie chcąc go niepokoić swymi przypuszczeniami - i tak wystarczająco się denerwował zniknięciem Eliego, nie zamierzała mu jeszcze dokładać powodów do obaw - skinęła głową i uśmiechnęła się, po czym razem zeszli na dół.

- Boże, ależ jestem zmęczony. - Westchnął, kierując się do saloniku, po czym padł ciężko na wielki, niebieski skórzany fotel obok kanapy. Przeciągnął rękami po twarzy i uniósł wzrok, uśmiechając się do Alex. - To spanie z tobą mnie wykańcza. Jesteś zbyt niespokojna.

Wyciągnął rękę i ujął dłoń Alex, pociągając ją na kolana. Usiadła chętnie, obejmując go za szyję.

- To dlatego, że odstawiłam tabletki nasenne. Znalazłam sobie dużo ciekawsze zajęcie na noc.

Roześmiał się niewesoło.

- Spałaś tak niespokojnie, kiedy zażywałaś te prochy. Doprowadzałaś mnie do szału, kiedy słuchałem przez walkie-talkie, jak się tłuczesz. Wstawałaś, kładłaś się, całą noc chodziłaś po pokoju.

- Nigdy w życiu! Kiedy już zażyłam tabletkę i zasnęłam, to spalam jak kamień!

- Skoro tak mówisz. - Jego uśmiech zbladł. - Boże, było mi dziś tak ciężko. Nie wiedziałem, że Josh myśli...

- W jakim byli stanie, gdy rozmawiałeś z nimi przed pójściem spać?

- Josh już w porządku. - Joe się skrzywił. - Jenny płakała.

- Dlatego, że jej mama nie żyje?

Joe potwierdził skinieniem głowy.

- Uwierzyłabyś? Gdy ostatni raz widziała matkę, była zaledwie niemowlęciem. Niemożliwe, żeby zachowała o niej jakieś wspomnienia, dobre czy złe. Ale płakała za nią.

- Laura była jej matką - tłumaczyła mu Alex łagodnie. - Nieważne, czy zostały jej jakieś wspomnienia, czy nie.

Joe nabrał głęboko powietrza i spojrzął na nią z boku, bez uśmiechu.

- Była koszmarną matką - powiedział. - Narkotyzowała się, piła i myślała tylko o tym, jakby tu się zabawić. Gdy

zaczęła ćpać, już nigdy nie czułem się bezpiecznie, zostawiając ją z dziećmi. Po prostu potrafiła w każdej chwili wstać i wyjść, zostawiając je same. Znikała na całe dni z byle facetem, który zafundował jej prochy. I myślę, że właśnie to jej się przytrafiło: zaplątała się w jakąś aferę z narkotykami, jakiś przekręt, który się nie udał. Przez te wszystkie lata, gdy ani ja, ani dzieci nie widywaliśmy jej, modliłem się do Boga, by trzymał ją od nas z daleka. Wiesz, co zrobiła, kiedy ostatnim razem przyjechała się ze mną zobaczyć? Zagroziła, że odbierze mi dzieci, jeśli nie dam jej pieniędzy, tyle, ile chce. Zrozum, ona naprawdę nie chciała dzieciaków. Wtedy już nawet by ich nie poznała. Ale wiedziała, że zapłacę każdą cenę, aby je zatrzymać. I tak się stało. - Znów spojrział na nią z boku i uśmiechnął się niewesoło. - A dzisiaj Jenny za nią płakała. Siedziałem przy mojej córeczce, póki nie zasnęła, i opowiadałem jej kłamstwa, mówiłem, jak bardzo mama ją kochała, jak chciała ją odwiedzać, jaka była z niej dumna. Do diabła, Alex, Laura nie dałaby złamanego grosza za Jenny czy za któregoś z chłopców. Pod koniec zależało jej tylko na tym, by mieć dość pieniędzy i móc się naćpać.

Alex mruknęła coś ze współczuciem i pocałowała go w kłującą szczękę.

- Nigdy nikomu nie opowiedziałem, co się wydarzyło tej ostatniej nocy, gdy Laura tu przyjechała - dodał - tylko tobie.

Usiłując pocieszyć Joego tak, jak umiała, objęła go mocno za szyję, przyciągnęła jego głowę i pocałowała. Rozpięła flanelową koszulę i przesunęła ustami po jego piersi, po czym opuściła się na podłogę. Skubiąc wargami jego płaski brzuch, wsłuchana w przyspieszający, chrapliwy oddech Joego, rozpięła mu spodnie, wyjęła jego członek i wzięła do ust. Po pierwszym, gwałtownym oddechu Joe nie poruszał się; zacisnął ręce na oparciach fotela i spod wpełprzymkniętych powiek obserwował ją oczami w kolorze morza.

Wreszcie, jęcząc z rozkoszy, pociągnął Alex na dywan, odwrócił na plecy i rozebrał i ją, i siebie, szybko i sprawnie. Całował całe jej ciało, jej usta, piersi i wrażliwe miejsce między udami, aż wiła się z pożądania i jęczała, a potem wziął ją z zachłanną gwałtownością. Gdy było po wszystkim, uniósł się na łokciach i popatrzył na nią z leciutkim uśmiechem, który stopił jej serce w piersiach.

- Mam dla ciebie niesłuchaną nowinę, Księżniczko - powiedział. - Kocham cię do szaleństwa.

Alex spojrziała na niego, na jego ogorzałą, przystojną twarz i oczy w kolorze morskiego błękitu, na szerokie ramiona, unoszące się nad nią; na mężczyznę, który w tak krótkim czasie stał się centrum jej świata - na Joego.

- I ja kocham cię do szaleństwa - odpowiedziała z cichym śmiechem. Posłała mu drżący uśmiech, a on pochylił głowę i delikatnie, łagodnie ucałował jej wargi.

Gdy później wychodził zjrzeć do koni, Alex udała się na górę, by spakować trochę rzeczy.

- Wrócę po ciebie za kwadrans - obiecał. - Ale, tak na wszelki wypadek, włącz alarm i pozamykaj drzwi.

## Rozdział pięćdziesiąty

Potwór wyszedł, pozostawiając telewizor włączony, żeby sobie popatrzyła, jak powiedział. Z początku, jako że ekran był mały i ustawiony za daleko, Neely nie zorientowała się, co właściwie ogląda.

Pusty pokój - też mi coś. Ale przynajmniej ekran zapewniał odrobinę światła, nie została więc w kompletnej ciemności.

Dopiero kiedy zobaczyła postać wchodzącą do pokoju, ku swemu przerażeniu zdała sobie sprawę, co widzi: sypialnię Alex. Samą Alex.

Najpierw zaczęła krzyczeć do siostry, odruchowo przyjmując, że ta ją usłyszy, co oczywiście było niemożliwe. Teraz więc patrzyła tępo, jak siostra od czasu do czasu wchodzi do pokoju.

Neely od razu domyśliła się, że Alex raczej nie nocuje w domu. Wchodziła do sypialni tylko na kilka minut i najwyraźniej w ogóle tam nie sypiała. Zapewne nie chciała przebywać sama w Whistledown.

Czy ich szukają? - zastanawiała się Neely z bólem w sercu. Była pewna, że tak, wiedziała, że w tej chwili musi trwać szaleńcza akcja poszukiwawcza. Ale prawdziwe pytanie brzmiało: czy ich odnajdą?

Obawiała się, że i na to pytanie zna odpowiedź.

Nikt nie przyjdzie im na ratunek, a przynajmniej nikt nie zdąży ich uratować.

A więc musi uratować się sama!

Miała plan. Nie był może dobry, ale jedyny, jaki zdołała ułożyć. W ramie łóżka zobaczyła metalowe, płaskie podpórki, na których leżał materac sprężynowy. Te kawałki metalu były przykręcone śrubami. Siedząc w półmroku, Neely cały czas pracowała nad nimi, aż udało jej się odkręcić jeden płaskownik. Gdy już trzymała go w ręce, zapaliła latarkę i zbadała go dokładnie. Miał niecały metr długości, no, może z metr, zaokrąglone rogi, i wydawał się bardzo solidny.

Znów usiadła w mroku i zaczęła pocierać jednym końcem o kamienną podłogę, tam i z powrotem; zdawało jej się, że to trwa wieczność, jednak w końcu starła metal tak, że utworzył się szpic. Wtedy zajęła się drugim końcem, trąc go i skrobiąc godzinami, bez końca.

Robiła oszczep.

Kiedyś, dawno temu, gdzieś w jakimś komiksie czytała o Ludziach-Kretach. Nazywali się tak, ponieważ żyli pod ziemią i nigdy, przenigdy nie wychodzili na powierzchnię ani nie oglądali słońca. Tak właśnie się czuła. Może siedzi już w tej dziurze całe lata, może wieki. Miała nikłe szanse na to, że kiedykolwiek jeszcze ujrzy słoneczny

blask. Wątpiła, czy uda jej się żywej wyjść z tej wampirzej krypty.

Miała jednak zamiar spróbować. Słabła coraz bardziej, dostrzegała to. Tak dawno nie jadła niczego poza robakami, że nie była już nawet głodna. Robaki, karaluchy, świerszcze, obrzydliwe owady z parunastoma nogami nie występowały zbyt licznie w jej więzieniu, ale codziennie udawało jej się schwytać jednego czy dwa. Kiedy je gryzła, chrupały, chociaż właściwie, jeśli Neely nie myślała o tym, co je, nie były takie najgorsze.

Gdyby nie mały uskok w suficie, już by nie żyła. Wpływała tamtędy woda i zbierała się na kamieniach w krople; było jej akurat tyle, że Neely nie umierała z pragnienia. Ale i tak język i usta miała opuchnięte i popękane. Już teraz, gdy się uszczypnęła, skóra nie wracała na miejsce, tylko odkształcała się w spiczaste wzgórciki; Neely wiedziała, że to niezawodna oznaka odwodnienia.

Eli od czasu do czasu budził się, jęczał i rzucał, lecz nigdy całkiem nie odzyskał przytomności. Był w dużo gorszym stanie niż Neely. Wydarła kawałek obrąbka od jego podkoszulka - gryzła materiał, aż puścił, i używała tej szmatki, by napoić chłopca. Dziewięć, dziesięć razy na dzień moczyła materiał, a potem wyciskała wodę wprost do ust rannego, uzyskując w ten sposób może łyżeczkę płynu. Parę razy usiłowała rozgnieść robaka i włożyć chłopcu do ust, żeby coś zjadł, ale nie udało jej się zmusić go do przełknięcia.

Jeśli wkrótce nie nadejdzie pomoc albo jeśli jej plan zawiedzie, Eli umrze. Oboje umrą.

Zastanawiała się tylko, w jaki sposób.

Potwór odwiedzał ich regularnie, za każdym razem przynosząc wodę i pożywienie. Stawiał tacę przed drzwiami i znikał, myśląc, że Neely uzna, iż naprawdę odszedł, i mając nadzieję, że wywabi ją z klatki. Zapach jedzenia doprowadzał ją do szału, w żołądku burczało i aż skręcała się z głodu. Gdyby poddała się i rzuciła na tacę, którą jej zostawił, złapałby ją, była tego pewna. Czekał na to, tam, w mroku, za drzwiami.

Cóż on sobie myśli, że jest całkiem głupia? Przyniósł jeszcze jeden łańcuch i wielką kłódkę, którymi zabezpieczał drzwi klatki, odchodząc. Kiedy się pojawiał, ustawiał tacę z jedzeniem, zdejmował swój łańcuch z kraty i wychodził. Idiota by się domyślił, o co chodzi. Neely zawsze była uparta i nie zamierzała pozwolić mu tak po prostu wygrać. Może umrzeć, ale nie umrze bez walki.

Zamierzała przesunąć łóżko tak, by przy odrobinie wysiłku mógł wejść do klatki. Ona sama będzie leżeć obok Eliego, jakby również straciła przytomność - i czekać. Kiedy porywacz będzie już w środku, wtedy dźgnie go swoją dzidą.

Lecz najpierw musi ją zrobić.

Podczas gdy tarła metalem o kamień, nadszedł Kanibal. Już się domyśliła, że to kocie oczy widziała w ciemności jako dwa zielone ogniki; wiedziała też, że głos ojca rozbrzmiewa wyłącznie w jej głowie. Ale przynajmniej odzywał się do niej dość często, udzielając dobrych rad.

Pojawienie się Hanibala niezmiennie poprzedzało przyjście potwora - kot musiał chyba jakoś dostawać się do tego pomieszczenia tą samą drogą, co porywacz, więc kiedy Neely zobaczyła kota, natychmiast ukryła ostrze pod łóżkiem.

Dziś zamiast zbliżyć się do krat - był za gruby, żeby się zmieścić między nimi - kocur wskoczył na stół i usiadł z uniesionym ogonem obok telewizora.

Gdyby nie przyciągnął jej uwagi do ekranu, nigdy by nie zauważyła, że Alex weszła do sypialni.

Neely patrzyła jak urzeczona, jak jej siostra przechodzi przez pokój, otwiera szafę wnękową i wyjmuje ubrania. Obraz był niewielki, ale ostry.

Alex! - Neely niemal wykrzyknęła imię siostry, przypomniała sobie jednak, że zaraz nadejdzie potwór, i nie zawołała.

Odwróciła głowę, by nie widzieć ekranu. Nie ma sensu się zadreć.

*Neely.* Głos ojca znów rozbrzmiał w jej głowie. *Neely, wykorzystaj kota!*

„Wykorzystaj kota”? Nagle zrozumiała dokładnie, co miał na myśli.

Zdjęła jedyną ocalałą skarpetkę i zawiązała na niej szybko węzeł, tak, że powstała pętla. Wyjęła jeszcze kolczyk z nosa i przymocowała do skarpetki. Potem przykucnęła. Wiedziała, że nie ma wiele czasu.

- Hanibal! Kici kici! Chodź do mnie, kotku!

Kocur podszedł, ku jej wielkiej uldze. Sięgnęła poprzez kraty, chwyciła go, i wsunęła mu skarpetkę na szyję.

- Idź! - szepnęła do zwierzaka. - Uciekaj!

Przez sekundę Hanibal stał w miejscu, patrząc na nią, a jego zielone oczy lśniły w półmroku. Potem odmaszerował, zadzierając ogon.

W tej samej chwili Neely dostrzegła błysk latarki, zwiastujący nadejście potwora.

## Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Alex właśnie skończyła zbierać rzeczy, potrzebne jej na parę następnych dni, gdy usłyszała Hanibala. Był w garderobie i miauczał tak, jakby go obdzierano ze skóry.

Czyżby zamknęła tego zwierzaka w środku, kiedy zasuwawała drzwi? Nie pamiętała w ogóle, by go tu widziała, ale tak widocznie się stało.

Chciało jej się śmiać i płakać jednocześnie, kiedy wspomniała komentarz Neely na temat dematerializujących się

kotów.

Otworzyła drzwi garderoby i wypuściła Hanibala. Przemaszerował obok niej, wymachując ogonem, po czym wskoczył na łóżko, dokładnie w sam środek starannie ułożonego stosiku ubrań.

Następnie usiadł.

- Psik! - powiedziała Alex, machając rękami.

Ale kot siedział dalej, utkwivszy w niej oczy, jakby zamierzał pozostać na swoim miejscu aż do końca świata.

Joe wróci za parę chwil, a ona naprawdę potrzebuje tych rzeczy.

Zebrawszy całą odwagę, Alex wzięła wielgachnego zwierzaka na rękę.

I zobaczyła skarpetkę zawiązaną na jego szyi.

## Rozdział pięćdziesiąty drugi

Drapieżca z uśmiechem postawił tacę na podłodze.

- Nie jesteś głodna, Kornelio? - zapytał jowialnie. - Przecież zagłodzisz się na śmierć, jeśli nie będziesz jadła.

Nie odpowiedziała. Siedziała skulona w kącie i nawet nie chciała na niego spojrzeć. Niegrzeczna dziewczynka. Jak już ją dostanie w swoje ręce, zapłaci mu za to...

Odwracając wzrok, napotkał ekran monitora. Ach, Alexandra wróciła do domu! Ostatnio jej nie było, więc była to prawdziwa uczta, widzieć ją znów w „Alexandra-show”. Właśnie pochylała się nad łóżkiem, biorąc na rękę tego cholernego kota.

Zdejmuje mu coś z szyi. Coś, co wygląda jak pętla...

To kawałek szmatki, zawiązany na węzeł.

Aleksandra rozwiązała supeł i coś z niego wytrząsnęła. Nagle jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

On także aż otworzył oczy. Szybko spojrzął na Neely, która wciąż siedziała skulona w kącie, gapiąc się w podłogę.

- Ty suko! - warknął, po czym rzucił się ku schodom.

## Rozdział pięćdziesiąt trzeci

Alex wpatrywała się w skarpetkę, trzymaną w ręku. Była to cienka, różowa podkolanówka, pobrudzona i poplamiona czymś, co wyglądało na krew; w materiale na palcach tkwił wbity brylantowy kolczyk.

Neely! Serce Alex zaczęło galopować, puls uderzał głośno. Neely musiała zawiązać tę skarpetkę kotu na szyi...

Joe! Musi powiedzieć Joemu! Pośpieszyła ku drzwiom. Neely jest gdzieś niedaleko; a więc i Eli też znajduje się gdzieś niedaleko...

Sądząc po stanie, w jakim była skarpetka, Neely i Eli mają kłopoty. Skarpetka stanowi oczywistą próbę wysłania sygnału o pomoc.

Odwróciła się na pięcie i ruszyła do telefonu. Przez te parę tygodni, które tu spędziła, odkryła, że ta superbezpieczna kraina mogła się pochłubić awaryjnym numerem 997. Jeśli w ogóle ktoś kiedykolwiek potrzebował natychmiast pomocy, to właśnie ona, w tej chwili.

Podniosła słuchawkę, trzęsącymi się palcami wybrała dwie pierwsze cyfry...

I poczuła, że ktoś rzuca się na nią od tyłu. Krzyknęła, odwracając się jednocześnie, ale było już za późno. Jakaś ręka chwyciła jej włosy i skręciła je, niemal wrywając z głowy, gdy szarpnięto ją do tyłu. Ciężka dłoń stłumiła jej krzyk, przykrywając usta i zamykając w duszącym uchwycie.

Alex upuściła skarpetkę.

- Zamknij się! Stój spokojnie! - Dłoń puściła jej włosy. Do jej lewej skroni przyciśnięto mocno jakiś metalowy przedmiot, okrągły i zimny. To lufa pistoletu! Choć Alex nigdy nie była w takiej sytuacji, instynktownie rozpoznała broń. Przestała się szamotać i zamarła w bezruchu. Serce jej waliło, a żyły wypełnił lód.

- Już lepiej. - Uchwyt jego ręki nie zelżał ani na milimetr. Napastnik mówił jej prosto do ucha. Jego głos wydawał się znajomy. Nie widziała go, ale z kontaktu ich ciał mogła się domyślić, że jest krępy i nie tak wysoki jak Joe. - Jeśli będziesz krzyczeć, zabiję cię tu i teraz. Zrozumiałaś?

Alex zadrzała ze zgrozy. Strach zaciskał jej żołądek, na całe ciało wystąpił zimny pot. On i tak ją zabije, nieważne, czy będzie krzyczała. Wiedziała o tym tak dobrze, jak wiedziała, jak się nazywa.

Ale wołała, by nie nastąpiło to szybciej, niż musi.

- Zrozumiałaś? - Głos napastnika był twardy.

Mężczyzna wbijał palce głęboko w miękki policzek obok jej ust. Lufa pistoletu uciskała skroń, zadając ból. Alex poczuła, że z przerażenia uginają się pod nią kolana.

Skinęła głową.

Wyrwał jej z ręki skarpetkę, po czym wcisnął ją do kieszeni spodni. Były czarne, z mocno zaprasowanym kantem. Buty też miał czarne, płaskie, obecnie pokryte cieniutką warstwą kurzu. Alex dostrzegła jeszcze białą koszulę z długimi rękawami. Nie mogła jednak jakoś zidentyfikować jego zapachu.

Nie widziała również twarzy napastnika.

Oczywiście. Teraz sobie to uświadomiła: ten człowiek musi więzić także Neely i Eliego.

- Grzeczna dziewczynka. Teraz idź.

Alex potknęła się, popchnięta w stronę garderoby.

- Otwórz - rozkazał głos przy jej uchu.

Posłusznie przekreśliła gałkę. Gdy drzwi się otworzyły, została wcisnięta do środka tak gwałtownie, że prawie upadła na kolana. Podtrzymała ją dławiąca dłoń. Za karę napastnik dźgnął ją mocniej lufą.

Garderoba, dość duża jak na czasy, kiedy ją wykonano, była długa i wąska. Wszystkie ubrania wisiały po jednej stronie; była to dawna wersja dużej szafy wnękowej. Napastnik pociągnął Alex, nakazując, by zamknęła drzwi. Musiała go usłuchać. Teraz, w ciemności, ocierając się z lewej strony o własne ubrania, a z prawej podtrzymywana przez mężczyznę, szła popychana ku tyłowi pomieszczenia. Wszędzie wokół unosił się w powietrzu znajomy zapach odświeżacza powietrza, którego używała w szafach, co jeszcze pogłębiało wrażenie nierealności.

To nie może się dziać naprawdę, to jakiś koszmar.

- Pamiętaj, jeśli krzykniesz, zabiję cię - zapowiadał głos w jej uchu.

Potem napastnik puścił jej usta, sięgając ręką ku ścianie garderoby. Alex nabrała wielki haust powietrza, ale nie krzyknęła. Nie miała wątpliwości, że mężczyzna mówi poważnie. Poza tym, jeśli Joe nie wrócił do domu - a nie przypuszczała, by już zdążył przyjść - to i tak w okolicy nie było nikogo, kto by ją usłyszał.

Ku jej zdumieniu, gdy mężczyzna przycisnął ręką tylną ścianę, ta otworzyła się jak drzwi. Wepchnął Alex do korytarza tak wąskiego, że ramionami szorowała po szorstkich i zimnych ścianach z obu stron. Porywacz zdjął palce z jej ust tylko po to, by chwycić ją za włosy, szarpiąc głowę w tył. Przesunął lufę pistoletu, przykładając ją teraz do karku Alex. Ciarki chodziły jej po plecach, była tak przerażona, że prawie nie oddychała. Popchnął ją jeszcze około metra naprzód. Za jej plecami zamknęły się z cichym stuknięciem drzwi. Rozbłysła latarka. Jej promień oświetlał długi, wąski tunel, jak wnętrze komina, najwyraźniej biegnący przez całą długość górnego piętra.

- Idź - zasyczał jej do ucha napastnik.

Alex zorientowała się, że mężczyzna musi iść bokiem, by się przecisnąć. Był więc duży i ciężki. Lufa dźgnęła ją mocno w czaszkę.

Na końcu tunelu były wąskie stopnie, nie szersze niż sam korytarz, prowadzące w dół. Alex zrozumiała, że schodki znajdują się w ścianie za kuchenną klatką schodową. Zdała też sobie sprawę, że przez cały czas, gdy mieszkała w tym domu, porywacz miał dostęp do jej sypialni i prawdopodobnie również do innych pokoi.

Przypomniała sobie sapanie, które tak przeraziło ją pierwszej nocy. Miała więc teraz wyjaśnienie.

Zeszli ze schodów i skręcili na mały podest, po czym ruszyli dalej w dół. Alex zorientowała się, że zmiierzają do piwnicy.

Stara kotłownia wskazywała na wiek budynku. Powietrze było tutaj chłodne i pachniało wilgocią. Alex potknęła się parę razy na nierównym podłożu. Poza wąskim strumieniem światła latarki było tu ciemno jak w grobie.

Gdy już znaleźli się w piwnicy, napastnik sprawiał wrażenie bardziej rozluźnionego.

- Ach, Alexandro! Jak świetnie będziemy się bawili! - zapowiedział niemal miło prosto w jej ucho. Ten głos był jej znany, lecz nie potrafiła go zidentyfikować. W ciemności, choć próbowała się rozejrzeć, nie widziała zbyt wiele...

- Gdzie moja siostra? - Ku niezadowoleniu Alex jej głos, który miał być stanowczy, zadrzał.

Prawie już pokonali całą szerokość piwniczki. Alex wydawało się, że idą wprost na palenisko. Był to stary piec węglowy, czarny i bardzo stary. Teraz już go nie używano. Nowoczesny system grzewczy i klimatyzację zainstalowano na gorze.

- Kornelia? Och, to niedobra dziewczyna. Parę minut temu bardzo się na nią rozgniewałem, ale teraz już się nie gniewam. Doszedłem do wniosku, że jej uczynek to przeznaczenie. Pragnąłem ciebie. Teraz należysz do mnie.

Gdy do Alex dotarło oczywiste znaczenie jego słów, skóra jej ścierpła.

- Więzisz ją, prawda? I Eliego też? Gdzie oni są? Co im zrobisz?

- Zobaczysz ich już niedługo.

Na to spokojne stwierdzenie Alex poczuła niemal przytłaczającą ulgę - póki nie uświadomiła sobie, że odnalezienie Eliego i Neely nikomu nie pomoże; ona sama też po prostu zniknie.

Na tę myśl zadrzała ze zgrozy.

Joe lada chwila zauważy, że zniknęła. Zaraz będzie wracał ze stajni...

- Wiesz, że masz bardzo mocny sen. Byłem w twojej sypialni prawie każdej nocy, odkąd przyjechałaś, a ty nigdy nie wiedziałaś, że tam jestem. - Jego głos brzmiał niemal pogodnie. - A może wiedziałaś. Widywałaś mnie w swoich snach, Alexandro?

Wspomnienie Joego dodało jej odwagi. On będzie jej szukał - wiedział, że została w domu. Jeśli będzie musiał, to, żeby ją znaleźć, rozbierze Whistledown cegła po cegle.

- Widziałam cię na balkonie na piętrze. Dwukrotnie.

- Na balkonie? - Po głosie poznała, że się zdziwił. - Nie, nie, mylisz się. Jestem bardzo ostrożny. Nie wychodziłem na balkon, to zbyt niebezpieczne. Ktoś mógłby mnie zobaczyć. Wiesz, ty i twoja siostra sprawiłyście mi masę kłopotów. Tak samo wasz ojciec. Bardzo z was kłopotliwa rodzinka, wy, Haywoodowie.

- Mój ojciec... - Oczywiście. Oto odpowiedź, której szukała. Ojciec nie zabił się sam; wiedziała o tym od początku.

- Zabiłeś go, prawda?

Zaśmiał się i nie odpowiadając, pchnął ją za palenisko. W kamiennej ścianie osadzone były małe, żelazne drzwiczki. Sięgnął ręką i otworzył je; zawiasy zaskrzypiały głośno.

Skaczące światło latarki ukazało Alex klepisko, szare, brudne ściany oraz kupkę zapomnianego dawno węgla w odległym kącie, po czym została wepchnięta do środka. Domyśliła się, że są teraz w starym pomieszczeniu na węgiel. Porywacz pchnął ją na drugą stronę komórki, przez kolejne małe, skrzypiące drzwiczki i znaleźli się w piwnicy o kamiennych ścianach, sklepieniu i podłodze.

Ohydny, obrzydliwy smród uderzył Alex w twarz. Pomieszczenie oświetlał blady, niebieskawy blask, padający z małego telewizorka. Alex zobaczyła, że piwnicę umeblowano prawie jak mały gabinet: były tu duży fotel, stół i cała ściana zdjęć.

Teraz mężczyzna puścił ją, popychając brutalnie naprzód, i Alex upadła na kolana. Miała dziś na sobie dzinsy i sportowe buty - parę dni wcześniej Joe przyniósł jej adidasy - ale i tak poczuła uderzenie. Jednak było to niczym w porównaniu ze strachem, który jak dotyk lodowatych palców przemknął jej wzdłuż kręgosłupa. Dotarli na miejsce. Co on jej teraz zrobi?

- Kornelio! - zawołał, patrząc gdzieś poza nią. - Przyszła twoja siostra!

### **Rozdział pięćdziesiąty czwarty**

Gdzieś daleko, w głębi domu ten przeklęty kocur zawodził, jakby go ktoś żywcem smażył w oleju. Joe usłyszał go natychmiast, gdy tylko wszedł do środka tylnymi drzwiami. Co się dzieje z tym zwierzakiem?

Metaliczny brzęczyk systemu alarmowego przypomniał mu, by się zatrzymał. Wstukał kod i wszedł do kuchni. Boże, ależ czuł się stary. Starszy od własnego ojca. I zmęczony. Śmiertelnie zmęczony.

Eli. Myśl o synu przywoływała dojmujący ból. O Boże, Eli, gdzie jesteś?

- Alex? - zawołał, wchodząc do holu i rozglądając się dokoła. Cisza. Musi być na górze.

Kot też był gdzieś na górze i darł się, jakby go przypiekano żywym ogniem.

Joe, marszcząc brwi, ruszył po schodach na piętro.

- Alex?

Gdyby nie ona, nie wiedział, jak by mu się udało przetrwać ostatnie kilka dni. Po raz pierwszy w życiu potrzebował kogoś, kto ofiaruje mu wsparcie. I Alex to zrobiła.

- Alex! - Szedł teraz przez korytarz na piętrze, wołając nieco głośniejszym głosem. Drzwi do jej sypialni były zamknięte. Sądząc po dźwiękach, kot znajdował się właśnie tutaj.

- Alex? - Joe otworzył drzwi i zajrzał. Kocur pojawił się u jego stóp, ocierał mu się o nogi i miauczał na całe gardło.

Ale poza nim w pokoju nie było nikogo. Joe wszedł do środka, rozejrzał się i sprawdził łazienkę. Alex nie było.

Hanibal wciąż miauczał.

Joe odwrócił się i ruszył z powrotem na dół, wołając Alex.

### **Rozdział pięćdziesiąty piąty**

Alex wylądowała w jakimś ciemnym kącie, z jednej strony wyznaczonym przez chłodną kamienną ścianę, z drugiej zaś przez żelazne kraty. Skuliła się tam, odwróciła się twarzą do swego prześladowcy i instynktownie wcisnęła plecami w kąt tak daleko, jak to tylko możliwe.

Uniosła głowę i po raz pierwszy spojrzała na mężczyznę. Podeszedł ku stołowi i zapalił stojącą na środku latarnię. W nagłym jasnym blasku zaślniła jego łysa czaszka. Miał okrągłą, rumianą twarz, na której gościł niemalże przyjemny uśmiech. Zszokowana, otworzyła szeroko oczy i usta. Wiedziała, że zna ten głos: był to Homer Gibson, właściciel Dixie Inn.

Jakaś ręka wysunęła się spomiędzy krat i dotknęła jej pleców.

- Alex? - przemówił chrapliwym, świszczącym głosem.

- Neely? - Błyskawicznie odwróciła głowę. Skulona po drugiej stronie kraty, siedziała jej siostra: brudna, potargana, ubrana jedynie w jasnoniebieski stanik i dzinsy. Alex otrząsnęła się na myśl o tym, co przeszła Neely, ale przynajmniej żyła. - Dzięki Bogu! Neely, nic ci nie jest? Gdzie Eli?

- Jest tutaj, ranny. Och, Alex, tak mi przykro, że ciebie w to wpakowałam. Ja nie...

Spoglądając ponad Neely, Alex dostrzegła sylwetkę chłopca, zwiniętego w pozycji embrionalnej na materacu, który najwyraźniej zajmował większość podłogi.

- No cóż, moje panie, cieszę się, że mogłem zorganizować dla was to wzruszające rodzinne spotkanie. Kornelio, moja droga, masz teraz problem. Widzisz, jeśli nie otworzysz drzwi i nie wpuścisz mnie do środka, przykuję twoją siostrę łańcuchem do ściany i zrobię z niej ognisko.

Alex szybkim ruchem odwróciła głowę z powrotem ku Homerowi. Przyjrzała mu się niepewnie. Serce zaczęło walić jej w piersiach. Co miał na myśli? Ognisko... Nagle dostrzegła na ścianie z prawej strony czarne smugi po

ogniu. Sięgały aż do sufitu...

Porywacz przeszedł przez pomieszczenie do drzwi w kracie, które, jak już teraz Alex widziała, prowadziły do celi jej siostry, i wsunął rękę między prety, grzebiąc przy zabezpieczającym wejście łańcuchu; wyciągnął go z głośnym grzechotem.

Za plecami słyszała oddech Neely, który brzmiał tak, jakby dziewczyna miała się zadławić powietrzem.

- O Boże, o Boże...

- Neely, co...

- Alex, o nie, Alex...

- Wybór należy do ciebie, Kornelio. Możesz otworzyć drzwi albo...

Urwał i wbił wzrok w monitor. Alex podążyła za jego spojrzeniem. Ze zdumienia rozchyliła usta.

Z całą pewnością na ekranie był Joe. Chodził dookoła po jej sypialni.

- No i znów mamy problem. Czyż dzisiaj nie będzie im końca? Czy mam tam iść i jego też sprowadzić tu, na dół? Nie chcę go, poza tym naprawdę nie ma tu już miejsca... A, wychodzi. Może po prostu sobie pójdzie. - Alex pomyślała, że Homer mówi raczej do siebie niż do niej czy do Neely, gdy tak stał, w zamyśleniu stukając palcem w usta. Ręka trzymająca broń zwisała luźno wzdłuż jego boku.

Przez ułamek sekundy Alex rozważała możliwość ucieczki, ale zrezygnowała. Zdążyłby unieść broń i wypalić w jednej chwili. Nie ma szans, by zdołała minąć go i wybiec za drzwi.

Gdy Alex patrzyła na ekran, Joe opuścił jej pokój. Teraz monitor ukazywał pustą sypialnię. Na łóżku leżały ubrania...

- Nad moim łóżkiem jest kamera. - Uświadamiając to sobie, poczuła nieprzyjemne ciarki na skórze.

- A owszem. Jak również w twojej łazience. Nazwałem to „Alexandra-show”. Cała Alexandra, non stop.

Poczuła mdłości na myśl o tym, że ten zboczeniec oglądał ją w najbardziej intymnych momentach.

- Obserwowałem cię również w hotelu, wiesz. Wtedy, kiedy u mnie nocowałyście. Mam bardzo przyjemne nagranie was obu. Dałyście niezłe przedstawienie.

- Masz kamery w hotelu? - wybuchnęła Alex ze zgrozą.

Uśmiechnął się do niej.

- Ależ tak. Wszystkie pokoje są podłączone: obraz i dźwięk. A co się wyprawia w hotelu, jaka tam panuje rozpusta i rozwiązłość, a także oszustwa wszelkiej maści! Na przykład mam utrwalone na taśmie, jak wasz tatuś daje w łapę naszemu szacownemu wicegubernatorowi, Whelanowi. - Twarz mu pociemniała. - Miałem nadzieję zarobić na tym ładny kawał grosza, prawdę mówiąc, lecz wasz ojciec nie chciał pójść na kompromis. Przypuszczam, że będę musiał poruszyć ten temat z panem Whelanem, ale on tak naprawdę nie ma żadnych pieniędzy, więc chyba wszystko na nic.

- Czy dlatego go zabiłeś? Bo nie chciał pójść na kompromis?

Alex poczuła, że coś twardego i zimnego przesuwają się przez kraty pomiędzy jej plecami a murem, tam gdzie Homer nie mógł sięgnąć wzrokiem. Neely coś jej podawała; Alex uważnie przebiegła palcami po przedmiocie: zimny, płaski metalowy pręt, zaostroszony z jednego końca.

- No wiesz, miałem go na taśmie - Homer wydawał się boleśnie dotknięty. - On i Whelan zjedli u nas śniadanie, a potem poszli do pokoju, wynajętego na cudze nazwisko. Wasz ojciec chciał dostać pozwolenie na pewną liczbę miejsc szpitalnych, Whelan zaś z chęcią oddał mu tę przysługę, za określoną cenę. Pieniądze zmieniły właściciela. Wszystko to mam na taśmie. - Popatrzył na Alex, marszcząc brwi. - Wasz ojciec był bardzo bogaty. Nie podejrzewałem, by miały wyniknąć jakiegokolwiek problemy. Poprosił mnie o spotkanie w stajni Whistledown, podał datę i godzinę w nocy, powiedział, że przyniesie pieniądze, jeśli przyniosę taśmę, więc tak zrobiłem. Wziąłem nawet butelkę whisky, żeby to oblać. Ale wtedy powiedział, że nie zapłaci mi złamanego grosza i wyciągnął broń! Uważam, że chciał mnie zabić. Ale ja miałem ze sobą paralizator - pamiętasz go, Kornelio, prawda? Teraz jest niestety, zepsuty. Udało mi się go użyć, gdy podawałem waszemu ojcu kasetę. Wylałem wtedy całą whisky, ale już trudno. Gdy był nieprzytomny, zrozumiałem, że pozostaje mi tylko jedno wyjście. Gdybym tego nie zrobił, na pewno by mnie ścigał. Więc wcisnąłem mu rewolwer w rękę, przyłożyłem do głowy i pociągnąłem za spust. Stuprocentowe samobójstwo. Doprawdy, łączę się z wami w bólu po tej stracie, tak przy okazji. - Znów uwagę Homera zwrócił ekran monitora. Jego głos nabrał niecierpliwego brzmienia, gdy powiedział: - A ten znowu wrócił!

## Rozdział pięćdziesiąty szósty

Alex nie było nigdzie w domu.

Gdy Joe to zrozumiał, poczuł, jak za gardło chwyta go czysty, zimny strach. Wiedział tak dobrze, jak to, że słońce wstanie rano, iż sama po ciemku nigdzie nie poszła.

Podniósł słuchawkę w kuchni i wykręcił numer do Tommy'ego. Przekonał się już wcześniej, że dzwonienie pod 997 nie bywa aż tak skuteczne, jak znajomość domowego numeru szeryfa.

- Przywieź swoje dupsko do Whistledown i to już! - Joe tak mocno ścisnął słuchawkę, że pobiełały mu kostki na palcach. - Nie mogę znaleźć Alex! Była w domu i zniknęła!

Oczywiście Tommy już spał, gdy zadzwonił telefon, ale natychmiast odpowiedział poważnym głosem:

- Jadę.

Znał przyjaciela wystarczająco długo, by nie zadawać pytań: jeśli Joe mówi, że to krytyczna sytuacja, na pewno tak jest.

Po rozmowie Joe wrócił do pokoju Alex. Ubrania, które chciała zabrać ze sobą, leżały na łóżku. Na łóżku musiał też wcześniej leżeć ten przekłety kocur: to jasne, na kupce ubrań było wgłębienie i kilka pomarańczowych włosów. Cokolwiek przydarzyło się Alex, najprawdopodobniej przydarzyło jej się w sypialni.

Joe wyprostował się, wodząc dokoła spojrzeniem. Serce waliło mu w piersiach, w ustach czuł gorycz, surowy smak strachu. Nie może jej utracić, nie teraz...

Nie przypuszczał, by mógł znieść stratę jeszcze jednej ukochanej osoby. Hanibal wynurzył się spod łóżka. Spojrzał na Joe'go, miauknął i z wysoko uniesionym ogonem ruszył w stronę garderoby.

Kot...

Zaintrygowany Joe poszedł za nim i otworzył drzwi. Kot wszedł prosto do środka i zatrzymał się przed tylną ścianą, łagodnie kołyszając ogonem z prawa na lewo, po czym odwrócił się i miauknął, dosłownie jakby prosił, by go wypuszczono.

Joe na chwilę zamarł, gdy uderzyła go zaskakująca myśl; podszedł i pchnął ścianę ramieniem.

Ustąpiła.

### Rozdział pięćdziesiąty siódmy

No cóż. - W głosie Homera brzmiał lekki żal, gdy patrzył, jak Joe wchodzi do garderoby za kotem. - Przypuszczam, że to przeznaczenie. Wasze - i moje.

Podszedł do Alex. Gdy spróbowała poderwać się i ugodzić go prętem, wyrwał jej ostrze z dłoni.

- Niegrzeczna dziewczynka! - powiedział i uderzył ją w głowę pistoletem.

Alex zobaczyła wszystkie gwiazdy. Gdy się ocknęła, była przykuta do ściany łańcuchem za jedną rękę.

- Masz szczęście, że cię nie zastrzeliłem - powiedział. - Chociaż może, tak się zastanawiam, nie masz jednak szczęścia. W każdym razie tutaj kule rykoszetują.

Neely łkała w klatce.

- Alex! Alex! Nie, proszę, nie! Alex...

Alex czuła, że serce zaczyna jej walić jak młotem. Zaszło jej w ustach. Oczy otworzyła szeroko ze strachu, patrząc, jak Homer chowa pistolet do kieszeni i podchodzi do ściany naprzeciw celi.

Groził, że przykuje ją do ściany i zrobi z niej ognisko!

Zalał ją zimny pot; zaczęła szarpać łańcuch, który ją więził. Ogniwa grzechotały i dzwoniły, ale łańcuch był ciężki, przymocowany do solidnej, żelaznej obręczy osadzonej w kamieniu, i nie puszczał.

Gdy mężczyzna wrócił, niósł w rękach czerwony, blaszany kanister.

Opanował ją paralizujący strach.

On ma zamiar spalić ją żywcem. Neely zawodziła cienkim głosem, przepełnionym czystym przerażeniem.

Alex zaczęła się trząść.

- Proszę cię, Homer. Proszę. Nie rób tego. Proszę...

- Nie chciałem, by tak się to zakończyło, Alexandro - powiedział z żalem mężczyzna. - Pragnąłem zatrzymać cię tutaj na długo. Ale ponieważ Joe najwyraźniej tu zmierza, a ja nie widzę innego wyjścia, by nie odkryto mojego małego „domu z dala od domu”, jedyne, co mogę zrobić, to usunąć wszystkie dowody, paląc to miejsce. Kiedy znajdą ciebie, Kornelię i Elięgo wśród popiołów, będą wiedzieli, co się stało, nie będą jednak wiedzieli, kto to zrobił. - Zaczął rozlewać dookoła naftę. Przenikliwy zapach uniósł się w górę i zatkał płuca Alex, gdy krople spadły niedaleko jej stóp. - W końcu „ten, kto umyka, unosząc szyję, kiedyś kolejnej walki dożyje”.

Rozlał trochę koło klatki, trochę wlał do środka przez pręty i wycofał się, zostawiając za sobą strumyk płynu.

- Żegnaj, Alexandro - powiedział, otwierając drzwi.

Sięgnął do kieszeni spodni, wyjął pudełko zapalek i zapalił jedną. Alex z przerażeniem patrzyła, jak płomyk buzuje jasno w jego dłoni.

Potem upuścił drewnienko i świat z cichym szumem przybrał pomarańczową barwę.

### Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Alex! Alex!

- Neely! O Boże, Neely!

Alex krzyknęła, gdy jasne, pomarańczowe płomienie zatańczyły na podłodze, przemknęły przez pomieszczenie i wspięły się na ściany. Ich śladem wzniósł się w powietrze dym, kłębiąc się pod sufitem, wyciągając ku niej oleiste palce, zatykając usta i nos. Neely także krzyczała, Alex słyszała ją, widziała, jak siostra wypada przez drzwi celi i śpieszy ku niej, uchylając się przed ścianą płomieni, które z każdą sekundą sięgały coraz wyżej i stawały się bardziej zaciekle.

- Alex! - Neely manipulowała przy kajdankach na jej ręce, usiłując włożyć do zamka klucz, który skądś wydobyła, Bóg wie skąd; tymczasem Alex dusiła się od dymu; próbowała dłonią osłonić twarz przed buchającym gorącem.



- Zostaw mnie tu, zostaw! - Wiedziała, że zaraz umrze w tym potwornym miejscu, pochłonięta przez płomienie, krzyżąc... A z nią Neely i Eli. - Neely, uciekaj! Zostaw mnie!

- Boże, proszę, Boże, proszę, Boże, proszę... - Neely z łkaniem wyrzucała z siebie te słowa, podczas gdy płomienie wspinały się wyżej, rozgrzewając powietrze i wysysając z niego cały tlen...

Ryk i trzaski były najbardziej przerażającymi dźwiękami, jakie Alex w życiu słyszała. To ściany zaczynają się kruszyć. Oceniała, że mają około minuty, zanim całe pomieszczenie pochłonie ogień, a języki płomieni zaczną lizać ich skórę...

Łańcuch puścił.

Drzwi z drugiej strony pomieszczenia wpadły z hukiem do środka. Ogień zajaśniał, wzmocniony dopływem tlenu. Zobaczyła Joego, jak przeskakiwał przez pas płomieni, osłaniając twarz ramieniem...

- Alex! - Jego głos wzniósł się ponad ryk ognia.

- Eli! Eli jest w klatce! - zawołała Neely, biegnąc ku niemu. Alex ruszyła w stronę drzwi do celi; nie zostawi tu syna Joego...

- Uciekaj stąd! - wrzasnął Joe, mijając ją biegiem.

Dym stawał się coraz gęstszy; z oczu płynęły jej łzy. Nie mogła oddychać, nic nie widziała.

Skóra paliła ją z gorąca.

Nie zostawi tu ich obu!

Panika wezbrała jej w gardle jak mdłości. Joe jest w klatce, pochyla się nad materacem, podnosi Elięgo...

W tej chwili ogień dosięgnął stóp Alex. Opanował ją śmiertelny strach.

Pobiegła, krzyżąc i skacząc jak sarna, bijąc dłońmi w płomienie, które czepiały się nogawek jej dżinsów. Rozgrzanym powietrzem nie dało się oddychać.

Drzwi, drzwi... Z walącym sercem, pędząc, ile sił, dotarła do wyjścia. Wypadła z drzwi wprost w wilgotną, bezpieczną ciemność komórki na węgiel, i chwyciła spazmatycznie powietrze; odwróciła się akurat, by zobaczyć, jak Joe, z ciałem syna przerzuconym przez plecy, wyskakuje z płomieni.

### Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Przed wieczorem następnego dnia wszyscy troje wyszli już ze szpitala, oprócz Elięgo, który miał tam pozostać przez parę tygodni, jak powiedział lekarz. Chłopiec przeszedł operację usunięcia kuli z piersi i z czasem rana zagoi się zupełnie.

- Nie miałem jeszcze okazji ci podziękować - zwrócił się Joe do Neely po drodze, towarzysząc obu siostrąm do Whistledown po rzeczy.

Dom był poważnie uszkodzony i nikt nie mógł w nim mieszkać, dopóki nie zostanie przeprowadzony gruntowny remont. Rezydencja była teraz zagrodzona żółtą taśmą przez policję, jako miejsce zbrodni. Musieli dostać przepustkę, żeby móc wejść do środka.

- Ocaliłaś życie mojego syna.

- Mam swoje zalety - odrzekła Neely z zadziornym uśmiechem.

Jej włosy, podobnie jak włosy Alex, pod wpływem wysokiej temperatury skręciły się w drobne kędziorki, poza tym miała parę powierzchownych oparzeń. Oparzenia na nogach Joego były poważniejsze, ale w szpitalu założono mu opatrunki oraz bandażę i pozwolono wyjść do domu.

- Tak, przyznaję to. Masz swoje zalety - zgodził się Joe.

Ta rozmowa odbyła się w korytarzu na piętrze i Alex, która pakowała rzeczy w sypialni, słuchała jej z uśmiechem. Jej zdaniem, które już zresztą wyraziła, Neely była bohaterką. Przecież uratowała także życie im obu.

Joe wszedł do pokoju, więc Alex przerwała na krótko pakowanie, by posłać mu uśmiech. Na czas wizyty w domu ustanowił się ochroniarzem jej i Neely, choć niebezpieczeństwo już minęło. Tommy aresztował Homera mniej więcej dwadzieścia minut po tym, gdy wysłuchał całej historii z ust Neely, Alex i Joego. Morderca po prostu wrócił do Dixie Inn, przekonany, że wyeliminował wszystkich świadków. Policja stanowa, której szeryf przekazał zatrzymanego, oświadczyła, że gdyby nie pochwycono zabójcy, ten z pewnością uderzyłby ponownie: zamordował już dwadzieścia dwie kobiety i czterech mężczyzn. W domu przechowywał ogromną kolekcję zdjęć swoich ofiar; identyczną z tą, która wisiała na ścianie pomieszczenia w piwnicach Whistledown i uległa zniszczeniu.

Natychmiast po zatrzymaniu Homer do wszystkiego się przyznał. Laura Welch też była jedną z jego ofiar, jak już się domyślano. Po ostatnich odwiedzinach u Joego w domu spędziła noc w Dixie Inn. Homer porwał ją, gdy spała.

- Wyjaśnij mi coś: dlaczego w moim domu są tajemne przejścia i kryjówki? - zapytała Alex, przesuując się tak, by mogła patrzeć na Joego. - To nie jest chyba jakaś dziwna, lokalna tradycja, taka jak pasjonowanie się grą w koszykówkę, co?

Joe uśmiechnął się do niej szeroko.

- Widocznie Whistledown było częścią Podziemnego Szlaku - odrzekł. - Powstał jeszcze przed wojną secesyjną, wiesz. Zbiegłych niewolników ukrywano w tym schowku za komórką na węgiel. Przejścia służyły, by przeprowadzać niewolników do domu albo poza dom, gdyby pojawił się pościg. Był jeszcze jeden tunel, także wiodący z piwnicy i biegnący w stronę strumienia. Podmyły wodą deszczową, zapadł się częściowo, ale

najwyraźniej tam właśnie Homer ukrywał zwłoki, bardzo skrupulatnie pakując je do plastikowych toreb na śmieci. Ta wielka ulewa, którą mieliśmy owej nocy, gdy przyjechałaś, zapewne wypłukała parę tych worków.

- Skąd Homer się o tym dowiedział? - zapytała Neely głośno z drugiego pokoju.

- Dorastał w Whistledown. Należało do jego rodziny przed dwudziestu pięciu laty. A tutejsze przejścia i kryjówki tak naprawdę nie są tajemnicą, każdy coś tam o nich słyszał.

- Wierz mi, ja nic o nich nie wiedziałam - oświadczyła stanowczo Alex. - Gdybym wiedziała, nie spędziłabym tu nawet pierwszej nocy.

- No, właściwie to nie spędziłaś tu tamtej nocy - zauważył Joe pod nosem, a Alex wykrzywiła się do niego, wspominając swą paniczną ucieczkę ze wzgórza.

Okrzyknął łóżko, podszedł do Alex i stał, spoglądając na nią z namysłem. Uniosła pytająco brew i pakowała się dalej.

- Teraz, skoro nie masz gdzie mieszkać, zapewne będziesz chciała pomyśleć o powrocie do Filadelfii - zaczęła.

Przerwała pakowanie i spojrzała mu w oczy.

- To zależy - odrzekła.

- Od czego? - Nagle spojrzał jej w twarz poważnym wzrokiem.

- Od ciebie.

- Ach, tak? - zapytał ucieszony.

- A tak.

- Alex. - Wyciągnął ręce, chwycił jej dłonie i przyciągnął Alex do siebie. Kiedy jednak chciała go objąć, odsunął ją trochę, by móc widzieć jej oczy.

- Wyjdź za mnie - poprosił cicho.

Popatrzyła na niego, na morski błękit jego oczu, piękne usta i stanowcze rysy twarzy, i poczuła, że coś ściskają za serce.

- Tak... - odpowiedziała z uśmiechem. Potem zaplotła mu ramiona na szyi, wspięła się na palce i pocałowała Joego w usta.

- Czy ja naprawdę słyszę to, co mi się wydaje, że słyszę? - wrzasnęła od progu Neely. - Powiedziałaś, że za niego wyjdiesz?

- A co, czy to jakiś problem? - zapytał Joe, unosząc głowę. Alex obróciła się w jego ramionach i uśmiechnęła do siostry.

- Nie, skąd - odrzekła Neely, złośliwie szczerząc do nich zęby. - Choć nie wiem, jak się pogodzę z faktem, że Eli będzie moim kuzynem.

Joe jęknął.

- Jakoś sobie z tym poradzimy - oświadczyła stanowczo Alex.

Jakiś czas potem byli gotowi do drogi powrotnej do domu u stóp wzgórza. Joe już znosił walizki na dół.

- Widziałaś gdzieś Hanibala? - zapytała Neely siostrę. Alex już go szukała i teraz potrząsnęła głową. - Nie możemy go tu zostawić.

- Nie - zgodziła się starsza siostra. Kot był przecież jednym z największych bohaterów na świecie. Przypomniała sobie o tym i nagle wpadła na pomysł, gdzie go szukać. - Chodź - powiedziała do dziewczyny, która skrzywiła się, ale poszła za nią.

Gdy tylko Alex wyszła na górny balkon, uderzył ją w twarz podmuch lodowatego powietrza. Była to ta pora dnia, gdy zmierzch przechodzi w noc i wszystko wokół pokrywały głębokie, purpurowe cienie. Siostry przeszły wzdłuż ściany, wołając Hanibala. Nagle kot pojawił się przed nimi, nadchodząc z przeciwnej strony: mruczał głośno i machał dumnie uniesionym ogonem.

W tyle, migotliwa i niewyraźna, ale rozpoznawalna od razu, jaśniała postać mężczyzny.

Alex wbiła wzrok w ciemność. Nie ma mowy o pomyłce: na balkonie stał jej ojciec, z rękami w kieszeniach, uśmiechając się do niej i do Neely; jego srebrzyste włosy lśniły, a błękitne oczy błyszcząły ciepłem i miłością. Był ubrany tak, jak Alex często go widywała: w tweedową, sportową marynarkę i rozpiętą pod szyją koszulę, wsuniętą w spodnie khaki.

Gdy tak wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, z wargami rozchylonymi ze zdumienia, postać ojca zaczęła blednąć. Uniósł jeszcze dłoń w pożegnalnym geście, a potem zniknął całkiem, tak jakby nigdy go tu nie było.

Tam, gdzie stał przed chwilą, pozostały jedynie głębokie, purpurowe cienie.

- Tato! - wykrzyknęły jednocześnie Alex i Neely; Kanibal ocierał się o ich nogi, mruczając. Potem popatrzyły jedna na drugą.

Widziały go obie. Nie było mowy o pomyłce.

- Alex! - wołał z dołu Joe, najwyraźniej zaniepokojony tym, że nigdzie nie może ich znaleźć.

- Chodźmy - powiedziała.

Neely wzięła na ręce wciąż mruczącego kota i przytuliła go do siebie. Potem odwróciły się i z głębokich, purpurowych cieni balkonu weszły prosto w ciepłą jasność wnętrza.

## Epilog

Był grudzień, słoneczny, sobotni dzień. Joe opierał się o barierkę niedaleko linii mety toru wyścigowego w Gulfstream Park. Po prawej stronie miał ojca, podskakującego i wrzeszczącego, jakby go zarzynali. Na lewo stała jego świeżo poślubiona żona Alex, która także machała rękami i krzyczała. Wokół nich cała czwórka dzieci podskakiwała jak kangury; poziom hałasu wytwarzanego przez ową ekipę kibiców o parę decybeli przekraczał to, co uszy Joego w normalnych warunkach mogły znieść.

Lecz to nie były normalne warunki. Patrzyli, jak Taniec Zwycięstwa wygrywał właśnie gonitwę Magna Futurity o sześć długości. Joe nie wierzył własnym oczom.

Dwie myśli przemknęły mu przez głowę, gdy patrzył, jak ten wychudzony worek kości biegnie po pół miliona dolarów i wieniec chwały, a jednocześnie zerkał na swoją rozentuzjasmowaną żonę.

Pierwsza myśl brzmiała: kiedy się już rozpędzisz, to gnasz na całego.

A druga, że marzenia czasami się spełniają.